ŚWIADKOWIE

ZAPOMNIANE GŁOSY

Berlingowcy

Żołnierze tragiczni

RM

Fundacja Karta

ŚWIADKOWIE

ZAPOMNIANE GŁOSY

Berlingowcy

Żołnierze tragiczni

POD REDAKCJĄ:
Dominika Czapigo

Z KOMENTARZEM HISTORYCZNYM
Marcina Białasa

AUTORZY WSPOMNIEŃ
Bolesław Dańko
Józef Dubiński
Józef Franczak
Stanisława Kubiak
Roman Marchwicki
Jan Prorok
Andrzej Rey
Daniel Rudnicki
Wacław Zakrzewski

WYDAWNICTWO RM
Ośrodek Karta

Berlingowcy. Żołnierze tragiczni

Pod redakcją: Dominika Czapigo (Ośrodek KARTA)

Komentarz historyczny: Marcin Białas (Centralna Biblioteka Wojskowa)

Autorzy wspomnień: Bolesław Dańko, Józef Dubiński, Józef Franczak, Stanisława Kubiak, Roman Marchwicki, Jan Prorok, Andrzej Rey, Daniel Rudnicki, Wacław Zakrzewski

Copyright © 2015 Wydawnictwo RM
All rights reserved

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

ISBN 978-83-7773-316-5
ISBN 978-83-7773-429-2 (ePub)
ISBN 978-83-7773-430-8 (mobi)

Współwydawca: Fundacja Ośrodka KARTA, 02-536 Warszawa, ul. Narbutta 29
www.karta.org.pl

ISBN 978-83-64476-36-5

Źródła zdjęć: Archiwum Akt Nowych, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka, Ośrodek KARTA, Archiwum Józefa Rybickiego, Wojskowa Agencja Fotograficzna

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.

Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

Edytor: Andrzej Kaflik
Kwerenda ikonograficzna: Ewa Czuchaj i Agata Bujnowska (Ośrodek KARTA)
Redaktor prowadzący: Irmina Wala-Pęgierska
Redakcja i przypisy: Barbara Odnous
Korekta: Krystyna Budek
Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec
Projekt graficzny okładki: Maciej Jędrzejec
Zdjęcie na okładce: Ośrodek KARTA
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp

Rozdział I

Agresja Trzeciej Rzeszy i ZSRR na Polskę we wrześniu 1939

Deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR

Zbrodnia katyńska

Układ Sikorski–Majski. Armia Polska w ZSRR

W drodze do Andersa

Józef Franczak

Roman Marchwicki

Bolesław Dańko

Rozdział II

Związek Patriotów Polskich i polscy komuniści

Plany utworzenia polskich formacji podległych ZSRR. Zygmunt Berling

Odkrycie zbrodni katyńskiej i zerwanie polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych

Żołnierze gen. Zygmunta Berlinga. Powstanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

1. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater

W drodze do Berlinga

Roman Marchwicki

Wacław Zakrzewski

Jan Prorok

Józef Dubiński

Rozdział III

Kadra oficerska

Oficerowie polityczno-wychowawczy

Przebieg szkolenia, obóz szkoleniowy w Sielcach, kadra szkoleniowa
Symbole i tradycje
Służba duszpasterska
Sądy polowe
1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR
Sielce nad Oką
Bolesław Dańko
Roman Marchwicki
Jan Prorok
Wacław Zakrzewski
Józef Franczak
Stanisława Kubiak
Józef Dubiński
Daniel Rudnicki
Rozdział IV
Bitwa pod Lenino (12−13 października 1943)
Bitwa
Roman Marchwicki
Wacław Zakrzewski
Jan Prorok
Józef Franczak
Po bitwie
Wacław Zakrzewski
Jan Prorok
Rozdział V
Powstanie 1. Armii Polskiej w ZSRR
Operacja brzesko-lubelska (18 lipca−2 sierpnia 1944)
Powołanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i utworzenie Wojska Polskiego
Wojsko Polskie a Armia Krajowa

Przez granicę, za Bugiem
Józef Dubiński
Daniel Rudnicki
Bolesław Dańko
Jan Prorok
Józef Franczak
Andrzej Rey

Rozdział VI

Pod Dęblinem, Puławami i na przyczółku warecko-magnuszewskim (28 lipca−12 września 1944)

Działania 1. Armii Wojska Polskiego w Warszawie (sierpień−wrzesień 1944)

Walki o Jabłonnę (10−29 października 1944)

Udział Wojska Polskiego w operacji wiślańsko-odrzańskiej (styczeń−luty 1945). Zdobycie Warszawy (17 stycznia 1945)

Przez Wisłę, do Warszawy i dalej…
Stanisława Kubiak
Józef Dubiński
Daniel Rudnicki
Józef Franczak
Andrzej Rey

Rozdział VII

Udział 1. Armii WP w przełamaniu Wału Pomorskiego (31 stycznia−10 lutego 1945)

Wojsko Polskie w operacji pomorskiej (1 marca−7 kwietnia 1945)

Bitwa o Kołobrzeg (4−18 marca 1945)

Pomiędzy Zalewem Szczecińskim a Zatoką Gdańską

Wojsko Polskie w operacji berlińskiej (16 kwietnia−2 maja 1945)

Walki 1. Armii WP w Brandenburgii (16 kwietnia−8 maja 1945)

Żołnierze polscy w bitwie o Berlin
Operacja łużycka 2. Armii WP i tragedia pod Budziszynem
Ostatni akord – operacja praska 2. Armii WP
Przez Wał Pomorski, Kołobrzeg, Odrę…. na Berlin
Józef Franczak
Józef Dubiński
Daniel Rudnicki
Andrzej Rey
Zakończenie wojny
Jan Prorok
Józef Dubiński
Daniel Rudnicki
Andrzej Rey
Rozdział VIII
Po wojnie
Tuż po wojnie
Jan Prorok
Józef Dubiński
Józef Franczak
Kalendarium
Biogramy autorów relacji
Źródła relacji
Wybór dokumentów źródłowych

WSTĘP

Ta książka powstała z potrzeby zrozumienia doświadczeń żołnierzy, którzy służyli w wojsku tworzonym od 1943 roku w Sielcach nad Oką. Opowiada historię głosami bezpośrednich uczestników zdarzeń. Odwołuje się do rzeczywistych ludzkich decyzji i emocji − nie poprzestaje na opisie struktury, kolejnych stoczonych bitew ani na charakterystyce twórców i dowódców tej formacji. Wspomnienia żołnierzy zostały wzbogacone komentarzem historyka, który kreśli kontekst zdarzeń, a także porządkuje i tłumaczy to, co współczesnemu czytelnikowi mogłoby wydać się niejasne podczas lektury samych wspomnień.

Relacje zamieszczone w książce pochodzą z dwóch źródeł: Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA oraz Zbiorów Specjalnych Centralnej Biblioteki Wojskowej. Archiwum Wschodnie gromadzi (od końca lat 80.) wspomnienia obywateli polskich represjonowanych na terenach dawnego Związku Radzieckiego. W zbiorach Centralnej Biblioteki Wojskowej sięgnęliśmy do kolekcji pułkownika Józefa Margulesa (1919−2008), historyka wojskowości, który przez lata zbierał wspomnienia, zdjęcia i dokumenty żołnierzy określanych popularnie (i nie do końca adekwatnie) nazwą berlingowcy.

Od początku byliśmy świadomi, że w jednej książce, głosami dziewięciu osób, nie sposób wyczerpująco opowiedzieć historii tego wojska. Dołożyliśmy jednak starań, by wybrane do druku wspomnienia wzajemnie się dopełniały i w ten sposób tworzyły możliwie najszerszą panoramę losów. W książce opowiadają szeregowcy, oficerowie niższego szczebla, oficerowie polityczno-wychowawczy, a także żołnierz Armii Krajowej, wcielony do „wojska Berlinga” już na terenach Polski lubelskiej.

Treść publikowanych zapisów w przeważającej mierze dotyczy lat 1943−1945. Głos oddajemy ludziom, którzy jako pierwsi przeszli szlak bojowy w formacjach Ludowego Wojska Polskiego, lecz nie opowiadamy ich dalszych losów. Zależało nam, by pokazać drogę tych, którzy w tamtym czasie znaleźli się w szeregach tego wojska: jak i dlaczego do niego trafili, jak stawali się żołnierzami, co o tym wojsku myśleli. Nie piszemy, że to zwykli żołnierze, bo nie mamy pewności, kim miałby być zwykły żołnierz.

Zależy nam, by spojrzano na dzieje tej formacji z perspektywy jednostki. Jesteśmy przekonani, że tak pisana historia musi dopełniać opracowania bazujące na dokumentach źródłowych.

Dominik Czapigo
Ośrodek KARTA

* * *

W czasach Polski Ludowej, przez cały okres jej trwania, doceniano udział żołnierza polskiego w walkach na wszystkich frontach II wojny światowej. Wyraźnie jednak było widać różnice w podejściu do historii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz na Wschodzie. Nie chodziło przy tym o skalę zaangażowania poszczególnych formacji na frontach, ale o kontekst polityczny. Obowiązywał przekaz o dziejowej misji wyzwoleńczej Ludowego Wojska Polskiego, które − walcząc u boku sojuszniczej Armii Czerwonej − wprowadziło w Polsce ustrój sprawiedliwości społecznej. Podkreślano w oficjalnej propagandzie, że był to dowód mądrości Polaków, którzy obrali najkrótszą drogę do ojczyzny. To dlatego pierwszą bitwę dywizji kościuszkowskiej pod Lenino podniesiono do rangi legendy i uznano za symbol polsko-radzieckiego braterstwa broni.

Stawiano ją tuż obok wielkich zwycięstw oręża polskiego pod Grunwaldem czy Wiedniem.

Transformacja ustrojowa Polski po przełomie 1989 roku spowodowała zmiany również w historycznej świadomości społeczeństwa. Dokonując rozliczeń poprzedniego systemu, przewartościowano także polską historię najnowszą. W ostatnich latach można było zauważyć negowanie albo przynajmniej umniejszanie wysiłku wojennego żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, których zaczęto postrzegać jako polskojęzyczną formację Armii Czerwonej lub wprost – jako komunistyczne wojsko, współodpowiedzialne za utrwalenie narzuconego siłą systemu władzy.

Armia Polska w ZSRR, utworzona w Sielcach z 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, została zorganizowana na terytorium państwa, które nie utrzymywało stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. Przyszli berlingowcy nie podlegali więc Naczelnemu Wodzowi Wojska Polskiego i nie byli organizowani na podstawie jego rozkazów. Formalnie więc wojsko polskie na froncie wschodnim nie było armią państwa polskiego, lecz formacją nadzorowaną i kontrolowaną przez naczelne dowództwo Armii Czerwonej oraz komunistyczny aparat partyjny. W założeniach Stalina polskie oddziały miały być gwarantem przyszłych zmian ustrojowych w Polsce i jednocześnie miały stanowić przeciwwagę dla działających w okupowanym kraju organizacji wojskowych Polskiego Państwa Podziemnego, podległych legalnemu rządowi polskiemu w Londynie.

Mimo tych argumentów, dowodzących niesuwerenności wojska utworzonego w ZSRR i jego pełnego podporządkowania rozkazom Stalina, dla tysięcy Polaków więzionych w sowieckich łagrach dywizja, a później armia pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga, były jedyną

nadzieją na wyrwanie się z „nieludzkiej ziemi” i powrót do ojczyzny. Większości żołnierzy nie interesowała wielka polityka. Ich jedynym pragnieniem było wydostać się z Rosji, żeby dalej walczyć w polskim mundurze. Tymczasem musieli się przyzwyczaić do myśli, że będą się bić u boku wczorajszego wroga, od którego doznali wielu krzywd.

Podczas pierwszej bitwy − pod Lenino − zostali wysłani przez „sojuszników” na prawdziwą rzeź. Uwolnieni z łagrów, po przebyciu dalekiej drogi do Sielc nad Oką, chcieli dojść do Polski, ale wielu doszło tylko do Lenino. Ci, którzy przeżyli starcie, przez niemal pół wieku byli narzędziem w rękach propagandy. Danina krwi złożona na szlaku bojowym do Berlina była wielka − zbyt wielka, aby o niej zapomnieć i przedstawiać losy berlingowców wyłącznie przez pryzmat wielkiej polityki. Gdy po latach zdjęto z żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego propagandowy wizerunek bohaterów bez skazy, można i powinno się ich historię ocenić bez niepotrzebnych emocji. Temu celowi służy niniejsza publikacja, której autorami są przede wszystkim żołnierze oraz ich żywe wspomnienia.

Marcin Białas (mb)
Centralna Biblioteka Wojskowa

Rozdział I

Spoza gór i rzek…[1]

Agresja Trzeciej Rzeszy i ZSRR na Polskę we wrześniu 1939 roku

O świcie 1 września 1939 roku wojska niemieckie przekroczyły na całej długości granicę z Polską. Agresja była konsekwencją polityki Trzeciej Rzeszy, rozpoczętej po dojściu do władzy Adolfa Hitlera, który bezwzględnie dążył do zmian na mapie Europy. Wobec biernej postawy państw zachodnich, zwłaszcza Francji i Wielkiej Brytanii, Trzecia Rzesza dokonywała kolejnych podbojów.

Po zajęciu Austrii i Czechosłowacji celem ekspansji stała się Polska, która konsekwentnie odmawiała Hitlerowi ustępstw. Niestety porozumienia Rzeczpospolitej z Francją i Wielką Brytanią, wymierzone w Berlin, okazały się bezwartościowe, ponieważ mocarstwa te nie włączyły się do wojny w obronie Polski. Tymczasem realizowano założenia tajnego układu Trzeciej Rzeszy ze Związkiem Radzieckim (ZSRR), podpisanego 23 sierpnia 1939 roku w Moskwie.

Umowa, zwana paktem Ribbentrop–Mołotow, a właściwie tajny załącznik do tej umowy, przewidywał wspólny atak na Polskę i jej rozbiór. Na mocy tego dokumentu 17 września 1939 roku Armia Czerwona przekroczyła granicę Rzeczpospolitej Polskiej (RP). Po przegranej kampanii wrześniowej kraj został podzielony przez agresorów, zaś ludność poddana niezwykle okrutnym represjom.

Bezwzględna polityka okupanta sowieckiego w stosunku do ludności polskiej zamieszkującej wschodnie tereny II RP była konsekwencją antypolskiej polityki Moskwy

prowadzonej przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego. Sowieci nigdy nie pogodzili się z przegraną wojną 1919−1921 i konsekwentnie dążyli do rewanżu. Po klęsce wrześniowej, w październiku 1939 roku, Kresy Wschodnie RP, zwane przez Sowietów Zachodnią Białorusią i Zachodnią Ukrainą, zostały wcielone do imperium Stalina. Natychmiast rozpoczęły się prześladowania ludności polskiej, a także tzw. paszportyzacja, czyli zmuszanie Polaków do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego.

Deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR

Represje okupantów na polskich Kresach dotknęły ludzi ze wszystkich grup społecznych i zawodowych. Większość tych osób została przymusowo wywieziona w głąb ZSRR.

Miały miejsce cztery fale deportacji. Pierwsza, trwająca od 9 do 10 lutego 1940 roku, objęła średnich i niższych funkcjonariuszy państwowych i samorządowych, a także osadników rolnych z rodzinami. Do północnych rejonów europejskiej części Związku Radzieckiego wywieziono wtedy około 140 tys. osób.

Druga masowa deportacja, przeprowadzona od 12 do 13 kwietnia 1940 roku, objęła około 60 tys. osób, w tym: zamożniejszych włościan, ludność pasa nadgranicznego oraz rodziny zesłanych podczas pierwszej fali wywózek, łącznie z rodzinami aresztowanych i zamordowanych oficerów Wojska Polskiego (WP). Transporty te, składające się w 80 procentach z kobiet i dzieci, skierowano na południe ZSRR, przeważnie do Kazachstanu. Deportowani Polacy podzielili los dziesiątków milionów obywateli ZSRR.

Część Polaków została aresztowana i trafiła do łagrów, co praktycznie oznaczało wyrok śmierci, gdyż średni czas życia w obozach nie przekraczał wówczas roku.

Przyczynami tak wysokiej śmiertelności były: katorżnicza praca, głodowe racje żywnościowe, brak odzieży i obuwia, skrajnie trudne warunki bytowe, surowy klimat oraz liczne choroby.

Trzecia deportacja rozpoczęła się w nocy z 28 na 29 czerwca 1940 roku i objęła głównie uchodźców z zachodnich i centralnych obszarów dawnych Kresów II RP. W jej wyniku około 79 tys. osób wywieziono do centralnych i północnych rejonów ZSRR oraz na Syberię.

Ostatnią masową deportację przeprowadzono w maju i czerwcu 1941 roku. Objęła około 42 tys. obywateli polskich – głównie pochodzenia żydowskiego z terenów Litwy, Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Wywózki przerwał wybuch wojny niemiecko-radzieckiej 22 czerwca 1941 roku.

Pozostałe kategorie zesłańców stanowili przymusowi osiedleńcy: zmuszani do ciężkiej pracy fizycznej, zwykle ponad siły, a także tzw. wolni osiedleńcy, czyli ludzie przymusowo osiedleni w określonym miejscu i całkowicie pozostawieni samym sobie.

Na mocy dekretu wydanego 29 listopada 1939 roku przez władze radzieckie wszyscy mieszkańcy obszarów wcielonych do ZSRR po 17 września 1939 roku musieli przyjąć obywatelstwo radzieckie. Tym samym jako obywateli Związku Radzieckiego dotyczył ich powszechny obowiązek służby wojskowej. Jesienią 1940 roku do Armii Czerwonej wcielono 50 996 osób ze wschodnich terenów Rzeczpospolitej. Po agresji Trzeciej Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 roku zesłano ich do obozów o zaostrzonym rygorze.

Niewielu z nich doczekało szansy odmiany losu, jaką była nowo tworzona w następnych miesiącach Armia Polska w ZSRR. W sumie w latach 1940−1941 deportowano − do

północnych i środkowo-wschodnich obwodów europejskiej części Rosji, a także na Ural, Syberię i do Kazachstanu − ponad 320 tys. obywateli polskich.

Zbrodnia katyńska

W wyniku działań Armii Czerwonej prowadzonych od 17 września 1939 roku do niewoli trafiło około 240 tys. polskich żołnierzy (w tym 10 tys. oficerów) oraz funkcjonariuszy Policji Państwowej, żandarmerii, Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) i wywiadu. Brak możliwości przetrzymywania tak dużej liczby jeńców spowodował zwolnienie połowy, a po pewnym czasie większości szeregowców i podoficerów. Pozostałych umieszczono w specjalnych obozach NKWD. Do marca 1940 roku około 8,5 tys. oficerów skoncentrowano w dwóch obozach jenieckich w Kozielsku i Starobielsku. Żandarmów, policjantów, pograniczników itp. umieszczono w obozie w Ostaszkowie.

5 marca 1940 roku na polecenie Józefa Stalina wydano decyzję o rozstrzelaniu polskich jeńców. Likwidację obozów rozpoczęto między 3 a 5 kwietnia 1940 roku. Powołane Kolegium Specjalne NKWD zajęło się stroną organizacyjną operacji. Zadbano przede wszystkim o tajność prowadzonych działań. O eksterminacji polskiej inteligencji i kadry oficerskiej miała się nigdy nie dowiedzieć ani społeczność międzynarodowa, ani miejscowa ludność.

Ogółem zamordowano 21 857 obywateli polskich, w tym 9631 oficerów Wojska Polskiego i służb mundurowych. Dodatkowo ofiarami zbrodni katyńskiej padło również 7305 więźniów przetrzymywanych w zachodnich obwodach Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Zbrodnia katyńska wyniszczyła elitę polskiego korpusu oficerskiego II RP. Miało to znaczenie w późniejszym

okresie, kiedy rozpoczęto formowanie jednostek polskich w ZSRR. Brak oficerów był odczuwalny zwłaszcza w oddziałach tworzonych pod patronatem Moskwy. Z tego między innymi powodu kadra dowódcza dywizji kościuszkowskiej, jak również przyszłego Ludowego Wojska Polskiego (LWP), była uzupełniana przez oficerów Armii Czerwonej.

Układ Sikorski−Majski. Armia Polska w ZSRR

22 czerwca 1941 roku Rzesza Niemiecka uderzyła na Związek Radziecki. Tego dnia zakończył się sojusz dwóch państw, które we wrześniu 1939 roku dokonały rozbioru Rzeczpospolitej.

Dla Wielkiej Brytanii, w tamtym czasie samotnie opierającej się nawale niemieckiej w Europie, Moskwa stała się nieoczekiwanie nowym sojusznikiem. Biorąc pod uwagę potencjał ludnościowy, terytorialny i gospodarczy ówczesnego ZSRR − był to aliant znaczący. Za namową Wielkiej Brytanii również rząd polski na uchodźstwie rozpoczął rozmowy z władzami radzieckimi. 30 lipca 1941 roku w Londynie premier polskiego rządu gen. Władysław Sikorski oraz ambasador ZSRR w Wielkiej Brytanii Iwan Majski podpisali umowę, zwaną układem Sikorski−Majski, która przywracała wzajemne stosunki dyplomatyczne, zerwane w wyniku agresji 17 września 1939 roku. Porozumienie zakładało ponadto wzajemną pomoc w wojnie z Niemcami oraz utworzenie na terenie ZSRR armii złożonej z obywateli polskich zesłanych oraz przetrzymywanych w radzieckich obozach i więzieniach.

Moskwa uznała za nieważne postanowienia traktatu Ribbentrop–Mołotow dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, nie oznaczało to jednak, że Stalin zaakceptował

granicę polsko-radziecką w przedwojennym kształcie; sprawę granic pozostawiono nierozwiązaną.

Największym osiągnięciem podpisanej w Londynie umowy był dodatkowy protokół, przewidujący ogłoszenie amnestii dla wszystkich obywateli polskich na terytorium ZSRR pozbawionych wolności. Dekret o amnestii, wydany przez rząd radziecki 12 sierpnia 1941 roku, dał dziesiątkom tysięcy polskich obywateli więzionych w łagrach oraz przymusowo osiedlonych na terenie całej Rosji szansę na wyrwanie się z niewoli.

14 sierpnia 1941 roku w Moskwie podpisano polsko-radziecką umowę wojskową, przewidującą utworzenie armii polskiej na terenie ZSRR. Dowódcą polskich formacji mianowano gen. Władysława Andersa, który rozpoczął formowanie dwóch dywizji piechoty i mniejszych jednostek w pobliżu miejscowości Buzułuk[2], Tockoje[3] i Tatiszczewo[4].

Z upływem czasu ujawniła się niechęć władz radzieckich do Polaków zwalnianych z łagrów i więzień, jak również do udzielenia pomocy materialnej organizującej się armii. Pracujący w obozach i kołchozach cywile, zgłaszający się na ochotnika do polskiego wojska, zwalniani byli tylko w początkowym okresie. Do rejonów formowania się dywizji docierali wyłącznie nieliczni. Ochotnicy musieli najpierw pokonać biurokratyczne przeszkody stawiane im przez miejscowe władze. Potem fatalny na ogół stan zdrowia i warunki trwającej niekiedy miesiącami podróży eliminowały słabszych − ludzie umierali w drodze z głodu, zimna i chorób. Pomimo tych trudności w połowie listopada 1941 roku polskie formacje w ZSRR liczyły już 44 tys. żołnierzy.

W organizującej się armii brakowało oficerów. Było to bezpośrednią konsekwencją mordów dokonanych

w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Tymczasem władze radzieckie konsekwentnie unikały odpowiedzi na pytania o los zaginionych żołnierzy i utrudniały władzom polskim prowadzenie poszukiwań. Sytuacja nie uległa zmianie nawet po wizycie w Moskwie − 30 listopada 1941 roku − Naczelnego Wodza i premiera rządu na uchodźstwie gen. Władysława Sikorskiego i po jego spotkaniu ze Stalinem. Postanowiono wtedy przemieścić Armię Polską do Uzbekistanu, Kirgistanu i Kazachstanu.

W lutym 1942 roku władze radzieckie zaproponowały wysłanie 5. Dywizji Piechoty (DP) na front. Spotkało się to ze zdecydowaną odmową polskiego dowództwa, argumentującego, że użycie jednej dywizji nie wywoła żadnego efektu taktycznego ani politycznego. Generał Anders stał na stanowisku, że w walce powinna wziąć udział cała armia. Moskwa kontrargumentowała, że na Zachodzie walczyły nawet pojedyncze polskie brygady. Prawdziwym celem propozycji Stalina było pokazanie rzekomej niechęci polskiego dowództwa do użycia żołnierzy w walkach na froncie wschodnim. Chodziło o zaostrzenie stosunków polsko-radzieckich.

Pogarszające się zaprowiantowanie polskich jednostek, w wyniku drastycznego zmniejszenia racji żywnościowych przez władze radzieckie, doprowadziło do ochłodzenia stosunków polsko-radzieckich i spowodowało podjęcie przez rząd RP na uchodźstwie decyzji o przeprowadzeniu Armii Polskiej z ZSRR do Iranu. Podczas ewakuacji, trwającej od marca do listopada 1942 roku, przewieziono 115 742 osoby, w tym 78 470 żołnierzy. Wielu nie doczekało podróży i zmarło jeszcze w ZSRR.

12 września 1942 roku z jednostek przemieszczonych do Iranu utworzono Armię Polską na Wschodzie, którą następnie przerzucono do stref pod brytyjskim zarządem

w Iraku i Palestynie. W lipcu 1943 roku wydzielono ze składu armii 2. Korpus Polski i wyznaczono na dowódcę gen. Władysława Andersa.

Po ewakuacji wojsk gen. Andersa na Bliski Wschód sytuacja Polaków rozsianych na rozległych obszarach ZSRR znacznie się pogorszyła. Według przedstawicieli radzieckich władz utracili oni status sojuszników i stali się „elementem podejrzanym”. (mb)

RELACJE

W drodze do Andersa

JÓZEF FRANCZAK

Wywieziono mnie wraz z rodzicami i rodzeństwem podczas pierwszej wywózki − w lutym 1940 roku − z miejscowości Kamionka Wielka w pobliżu Kołomyi w województwie stanisławowskim. Rodzice moi, pochodzący z Radziszowa pod Krakowem, zakupili tutaj kilkumorgowe gospodarstwo i zajmowali się ogrodnictwem. Ja pracowałem w warsztacie ślusarsko-mechanicznym i stamtąd zostałem zabrany przez NKWD. Awansowałem w ten sposób na polskiego „pana i burżuja". […]

Znaleźliśmy się w Krasnojarskim Kraju, niedaleko mongolskiej granicy! Ale nie był to koniec podróży, czekały nas jeszcze trzy dni jazdy sankami, bieg za nimi dla rozgrzewki i męka tych, którzy na to nie mieli siły. Ostatecznym celem podróży była specjalnie dla nas wybudowana osada nad rzeką Czeremuszka. Czekały tam na nas chaty z bali: z pryczami, stołem i piecem w kącie. W każdej chacie umieszczono cztery rodziny.

Jakoś się urządziliśmy, próbując żyć w tych nowych surowych warunkach. Wkrótce zaczęła się ciężka harówka w lesie, trwająca od wschodu do zachodu słońca, w brygadach liczących po sześć osób, z jednym pilnującym Rosjaninem. […] Piły, siekiery, wilki i niedźwiedzie… Ale wokoło nas była, wprawdzie surowa, ale cudowna, urzekająca przyroda, zachwycająca zwłaszcza krótką porą wiosenno-letnią, kiedy zbudzona do życia, z gorączkowym pośpiechem starała się przystroić odmarzającą ziemię w coraz to nowe cuda. Wszystko kiełkowało, rosło i kwitło dosłownie w oczach, a po kobiercach z kwiatów,

zaścielających lasy, po tych bielach, niebieskościach i różowościach aż grzech było stąpać.

Powoli zapoznawaliśmy się z miejscowymi obyczajami, rozeznawaliśmy się w tajnikach socjalistycznego systemu pracy oraz sposobach wyrabiania normy, a więc i zdobywania chleba. […]

Z dużym opóźnieniem, ale w końcu i na ten nasz skraj świata − skąd do najbliższego miasteczka trzeba było podróżować tydzień − nadeszła wieść najpierw o wojnie sowiecko-niemieckiej, a potem o umowie między rządem polskim i sowieckim i naborze do polskiego wojska. Wyruszyłem w drogę z kolegą Olkiem Marcinkiewiczem. Po piętnastu dniach dotarliśmy do polskiej placówki, ale już było za późno, nie zostaliśmy przyjęci. Wróciliśmy z ciężkim sercem i zaraz po powrocie zostaliśmy postawieni pod sąd za… samowolne opuszczenie pracy. Skazano nas na pół roku więzienia […] i popędzono wraz z grupą kryminalistów różnych narodowości do więzienia w Krasnojarsku. Szliśmy tam kilka dni.

W więzieniu − jak to w sowieckim więzieniu: ciasnota, brud, głód i odpowiednie towarzystwo. Nie zapomnę nigdy jednego kryminalisty, który miał wytatuowanych na stopach Lenina i Stalina! Wyprowadzano nas do pracy w lesie. Zarabialiśmy nawet jakieś marne grosze, ale w kantynie więziennej oprócz machorki nie można było nic kupić.

Po odbyciu kary obaj z kolegą zostaliśmy wcieleni do sowieckiego wojska. Rozpoczęły się ciężkie i wycieńczające − bo przy marnym odżywianiu − ćwiczenia wojskowe. Buntowaliśmy się na swój los. Zamiast u Andersa, znaleźliśmy się w bolszewickim wojsku! Już wkrótce mieliśmy być wysłani na front, kiedy wreszcie los się nad nami ulitował. Pewnego dnia zobaczyliśmy, idących za ogrodzeniem koszar, dwóch żołnierzy z biało-czerwonymi

baretkami. Zdumieni, zaczęliśmy krzyczeć: „Kim jesteście? Polakami? Więc jest jeszcze polskie wojsko?”. W radosnym oszołomieniu dowiedzieliśmy się od rodaków, że przetrzymywanie nas w sowieckich koszarach jest bezprawne i że nasza sprawa jest do załatwienia. Tak było rzeczywiście, ale trochę czasu upłynęło, zanim odesłano nas z powrotem do Czeremuszki. Stamtąd − po otrzymaniu zawiadomienia − udaliśmy się do miasteczka o nazwie Szało, w którym organizowano transport do polskiego wojska i potem już wprost trafiliśmy do Sielc nad Oką.

ROMAN MARCHWICKI

To trzecie, kolejne i jak zwykle upalne lato od samego początku upływało pod znakiem ciągłego wyczekiwania na akcję umożliwiającą dostanie się do tworzącej się Armii Polskiej. Z wiadomości, które do nas docierały wynikało, że do armii zmierzali nie tylko mężczyźni, lecz także całe rodziny, i że wszyscy oni po dotarciu do pewnych rejonów mogli liczyć na pomoc i opiekę ze strony polskich władz wojskowych. Los Czartoryskich, którzy jeszcze na wiosnę wybyli z Żołymbetu[5] na własną rękę, był tego najlepszym dowodem. Nic więc dziwnego, że do wyjazdu, oprócz młodzieży, szykowało się kilka rodzin zdecydowanych na wszystko, między innymi gotowych do zniesienia trudów podróży i pogodzenia się z warunkami życia obozowego.

W naszym wypadku, głównie ze względu na babusię, nie myśleliśmy o żadnym indywidualnym wyjeździe. Nawet ciotkę Baranowską, której nic nie przeszkadzało w podjęciu takiej decyzji, usilnie namawialiśmy do zaniechania tego zamiaru. Po wspólnym przemyśleniu sytuacji doszliśmy do wniosku, że tylko ci, którzy mają szansę dostać się do wojska, powinni być gotowi do ewentualnego wyjazdu i że jeśli dojdzie on do skutku, powinien być, przy okazji,

potraktowany jako swego rodzaju rekonesans, na podstawie którego podjęte zostaną decyzje odnośnie wyjazdu pozostałych osób.

W każdym razie, obok Witka Baranowskiego i innych kolegów rysowała się także i dla mnie szansa wojskowego zaciągu a wraz z nim − wyrwania się z miejscowych opłotków. Obawiałem się przy poborze ograniczeń wiekowych, a szczególnie tego, by moje osiemnaście lat nie było powodem zawiedzionych nadziei […]. Na wszelki wypadek w legitymacji gimnazjalnej, która mi się zachowała, przerobiłem rok urodzenia z [19]24 na [19]22, aby w ten sposób udowodnić, że nadaję się do pełnienia służby wojskowej.

[…]

Dopiero jesienią 1942 roku zostaliśmy oficjalnie powiadomieni o ochotniczym zaciągu do armii Andersa, bez żadnych ograniczeń ze strony władz. Ustalono dzień i miejsce zbiórki, skąd mieliśmy być przewiezieni samochodami do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Akmolińska[6], siedziby najbliższej wojskowej komendy uzupełnień. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania wyjazdowe.

Rysiek, który jak dotąd nie wykazywał większego zainteresowania służbą wojskową, tym razem nie chciał nawet słyszeć o pozostaniu w domu. Nie pomagały żadne namowy w rodzaju: że jest jeszcze za młody do wojska, że może nie podołać trudom życia wojskowego, że na razie powinien z wyjazdem zaczekać, tym bardziej że starszy brat ma do tego większe prawo i predyspozycje.

Wobec nieustępliwego stanowiska braciszka oraz pewnego niezadowolenia matki, stanęło na tym, że pojedziemy do wojska razem. Do tego wręcz salomonowego rozstrzygnięcia doszło głównie dzięki babusi, która

twierdziła, że wcześniej czy później i tak wojsko nas nie ominie, że gdy razem będziemy, to będzie nam lżej, a oni tu na miejscu, przy niezłym przygotowaniu do nadchodzącej zimy, dadzą sobie jakoś sami radę.

Jeszcze wtedy nikt z nas nie wiedział, że Ryśkowi groziła rozprawa sądowa za nieumyślne spowodowanie awarii windy kopalnianej, przy której był zatrudniony. Dopiero po latach zwierzył się, że bał się wtedy oskarżenia o sabotaż i w konsekwencji surowej kary. Dlatego tak uparcie rwał się do wojska.

Mając w płóciennych tobołkach po kilka placków na drogę i po parę rubli na wszelki wypadek, odziani w nieco cieplejsze łachmany, stawiliśmy się na miejscu zbiórki w asyście wszystkich bez wyjątku domowników. […]

Na miejscu, w Akmolińsku, w wojskowej komendzie zastaliśmy pokaźną grupę rodaków przybyłych przed nami z innych regionów i załatwiających dalsze formalności wyjazdowe. Niektórzy wybrali się do wojska ze swoimi rodzinami, czemu władze radzieckie − ku naszemu zdziwieniu − wcale się nie sprzeciwiały.

Zostaliśmy załatwieni bardzo szybko. Jeszcze tego samego dnia, po sprawdzeniu naszych tożsamości, bez żadnych komisyjnych badań i bliższych dociekań znaleźliśmy się − wszyscy bez wyjątku − na liście osób, które miały się udać koleją w dalszą drogę. Przed wyruszeniem na dworzec kolejowy każdy z nas otrzymał porcję suchego prowiantu, składającą się z kawałka razowego chleba, kilku kostek cukru, jednej suszonej ryby, kostki marmolady i paru sucharów. Miało to nam wystarczyć do przybycia na miejsce przeznaczenia. Starszy grupy rozporządzał niezbędnymi dokumentami podróży.

W Akmolińsku władowaliśmy się do pociągu osobowego zdążającego w kierunku północnym, czyli w stronę

Pietropawłowska […].

Jechaliśmy teraz po tej samej trasie, którą przeszło dwa lata temu przemierzaliśmy w przeciwnym kierunku, ale w jakże odmiennych warunkach. Wtedy byliśmy uwięzieni w wagonach towarowych, a teraz z wolnej stopy mogliśmy się z okien rozglądać po okolicy.

[…]

Gdy przejeżdżaliśmy przez Szortandy[7], zerknąłem na drogę, która wiodła ku Żołymbetowi, ku pozostawionym najbliższym. Byłem myślami przy nich. Zastanawiałem się, czy dadzą sobie bez nas radę, czy czasami nasz wyjazd nie był czynem zbyt lekkomyślnym?

[…]

Późnym wieczorem dotarliśmy do Pietropawłowska: ogromnej węzłowej stacji kolejowej na transsyberyjskiej magistrali. W odróżnieniu od dotąd przejechanych stacji, panował tutaj ożywiony ruch. Na torowiskach stały długie towarowe zestawy, gotowe w każdej chwili do odjazdu w dalszą drogę. Wśród *eszełonów*[8], załadowanych samochodami, działami i czołgami, kręcili się krasnoarmiejcy. Kilka pociągów osobowych, na których widniały emblematy Czerwonego Krzyża i przy których uwijały się osoby w białych chałatach, najprawdopodobniej zapełnionych było rannymi żołnierzami, przewożonymi do szpitali na zapleczu. Co chwilę po przelotowych torach migały w obu kierunkach potężne lokomotywy, ciągnące za sobą tasiemce ciężkich wagonów. Zewsząd rozlegał się przeraźliwy gwizd maszyn i łomot towarzyszący ruszaniu z miejsca. Wszystko to odbywało się w rzęsiście oświetlonej scenerii, bez żadnego maskowania, jak gdyby nie istniało żadne niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciela.

Ponieważ w Pietropawłowsku musieliśmy się przesiąść do innego pociągu, zmierzającego w stronę Czkałowa[9],

mogłem się przyjrzeć tłumom, które przewalały się przez miejscowy dość okazały dworzec kolejowy. Byli to przeważnie uciekinierzy z przyfrontowej strefy, którzy zagrożeni działaniami wojennymi szukali bardziej bezpiecznego miejsca zamieszkania. Wraz ze swym skromnym dobytkiem, czekając na odpowiedni transport, okupowali budynek dworcowy i jego najbliższe otoczenie, nie wyłączając wszystkich peronów. Część z tych osób, załadowana do wagonów towarowych, czekała na odjazd.

Polacy łagiernicy zgłaszają się do armii tworzonej przez gen. Władysława Andersa (1941, ZSRR). *Zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie*

Wśród tego mrowia ludzkiego nie brakowało rodaków, którzy − tak jak my − zdecydowali ruszyć w świat z zamiarem i pod pretekstem zaciągnięcia się do armii Andersa. Większość z nich ciągnęła z całymi rodzinami, gdyż wyjątkowo ciężkie warunki bytowe, w jakich się znaleźli po wywiezieniu z kraju, nie dawały im szans przetrwania. Byli to przeważnie Polacy z Dalekiej Północy i rejonów pokrytych tajgą, gdzie brakowało żywności, a praca i klimat były nader uciążliwe. Mimo przemęczenia widocznego na ich twarzach po przebytej drodze, mimo na ogół słabej kondycji, będącej rezultatem prawie dwuletniego zesłania, można ich było poznać po jeszcze polskich, choć mocno już podniszczonych akcesoriach ubraniowych, po wyrazach twarzy, na których rysowało się zadowolenie z możliwości jazdy do swoich. Prowadziliśmy życzliwe i pełne nadziei na przyszłość rozmowy, przeplatane salwami śmiechu. Cieszyliśmy się, że stanowimy coraz liczniejsze grono osób zmierzających do tego samego celu, do Wojska Polskiego. Radowaliśmy się z faktu, że los uległ tak radykalnej zmianie na lepsze.

Wyjątkowo szybko, bo w dniu następnym, znaleźliśmy się w specjalnie sformowanym dla Polaków pociągu osobowym, którym mieliśmy ruszyć w dalszą drogę. Po odebraniu przydziałowego suchego prowiantu w kolejowej kantynie, składającego się z razowego chleba i konserw rybnych, oraz po załatwieniu wszystkich formalności u wojskowego komendanta na dworcu, pociąg nasz ruszył z miejsca. Tym dodatkowym przydziałem żywności zostaliśmy mile zaskoczeni, jako że jeszcze w Akmolińsku uprzedzano nas o tym, że przydzielone racje powinny wystarczyć na okres całej podróży.

[…]

Trasa do Czkałowa wiodła przez takie większe miejscowości, jak Kurgan, słynny Czelabińsk, Troick, Kartały[10] i Orsk. […] Na liniach kolejowych panował ożywiony ruch a na dworcach węzłowych stacji mrowie ludzkie oczekiwało na załadunek. Większość pociągów miała charakter wojskowy. Zdarzało się, że żołnierskim eszełonom − niezależnie, w którą stronę zmierzały − towarzyszyły śpiewy i harmonie. Z kolei przygnębiające wrażenie sprawiały przeładowane transporty sanitarne, z których dochodziły jęki i przekleństwa rannych, a wokół krzątali się osobnicy z temblakami i obandażowanymi głowami.

Na każdym kroku towarzyszyły nam hasła mobilizujące obywateli radzieckich do walki z wrogiem. Słowa wodza: „Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy” (Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa), „Smiert niemieckim okupantam” (Śmierć niemieckiemu okupantowi) oraz „Nasze dieło prawoje, wrah budiet razbit” (Po naszej stronie jest sprawiedliwość, wróg będzie pokonany) − były wszędzie na widocznych miejscach wypisywane. Byliśmy prawie stale w zasięgu przenikliwego spojrzenia towarzysza Stalina i innych przywódców, ich portretami przyozdabiano bowiem co znaczniejsze obiekty. Nawet lokomotywy, w tym i nasza, z podobizną przywódcy ludzkości przemierzały kraj wzdłuż i wszerz, przypominając ludziom o tym, kto tu jest najważniejszy.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że każdy przejechany kilometr przybliżał nas do upragnionego celu. Tymczasem pociąg, jakby na przekór naszym pragnieniom, pchał się do przodu bardzo powoli, bez najmniejszego pośpiechu.

[…]

Obóz formującej się armii gen. Władysława Andersa (listopad 1941, Kołtubanka, ZSRR). *Fot. Czesław Zembal, zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie*

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed okazałym i jak zwykle na czerwono udekorowanym budynkiem dworcowym, na którego frontonie duże litery oznajmiały, że znaleźliśmy się u celu podróży. W jego wnętrzu jak również na przydworcowym placu panował ożywiony ruch. Różnokierunkowe strumienie podróżnych przeplatały się wzajemnie na peronach i w przeładowanej poczekalni. Tłumy okupowały nie tylko pomieszczenia stacyjne, lecz także, korzystając z ciepłej i słonecznej pogody, przylegający do dworca skwerek. To zbiorowisko ludzkie, składające się przeważnie z rodaków, ściągnęło tutaj z różnych zakątków Związku Radzieckiego z zamiarem zaciągnięcia się do armii Andersa, jak również dostania się pod jej bezpośrednią opiekę. Z takim też zamiarem i my przybyliśmy do Czkałowa.

W miejscowej komendanturze, przystrojonej biało-czerwoną flagą, na której drzwiach widniał odpowiedni napis w ojczystym języku, zgłosiliśmy swój przyjazd. Oficer − w szarej angielskiej bluzie, w spodniach ze spinaczami i porządnie wyglansowanych trzewikach, oraz w starannie zawiązanym krawacie − przyjął nas bardzo uprzejmie, odebrał niezbędne dane dotyczące każdego z nas i ku naszemu zaskoczeniu oświadczył, że formowanie jednostek polskich w Buzułuku i Tatiszczewie zostało już zakończone. Równocześnie prosił, abyśmy się tym nie zrażali, gdyż następne oddziały, wobec nadchodzącej zimy, będą tworzone na południu, w rejonie Taszkientu, dokąd powinniśmy pojechać zorganizowanym w tym celu transportem. Ci, którzy z różnych przyczyn nie chcieliby skorzystać z tej okazji, będą mieli zagwarantowany powrót do miejscowości przez siebie wybranej. Nikt z naszej grupy nie zamierzał wracać. […]

Dzięki temu przymusowemu oczekiwaniu mogliśmy się rozkoszować żołnierską repetą, sporządzaną na amerykańskich konserwach i serwowaną w zasadzie w dowolnych ilościach przez polski personel wojskowy. Mogliśmy się narozmawiać z rodakami, poznać ich losy i dowiedzieć wielu ciekawych i dotyczących nas spraw.

Ja nie mogłem oderwać oczu od polskich patroli porządkowych, z angielska ubranych, ale z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Ich obecność wśród nas wynikała nie tylko z potrzeby zachowania ładu, lecz także była namacalnym dowodem, że polska siła zbrojna na tych terenach już istnieje, że mamy rzeczywiście własną armię. […]

Stosunkowo szybko, bo po paru dniach bezczynności i wałęsania się po okolicy, zaopatrzeni w żywność,

znaleźliśmy się w upragnionym pociągu, zmierzającym w stronę Taszkientu.

[…]

Po kilkudniowej podróży dobrnęliśmy wreszcie do Taszkientu. Uzbecka stolica przywitała nas piękną słoneczną pogodą i wyjątkowo wysoką temperaturą, zmuszającą do zrzucenia z siebie co cieplejszych łachów. Tutejsza pogoda wcale nie odpowiadała późnej kalendarzowej jesieni, z czego – oczywiście − byliśmy bardzo zadowoleni.

Jak w Czkałowie i kilku innych węzłowych stacjach − okazały taszkiencki dworzec w żaden sposób nie mógł pomieścić w swoim wnętrzu wszystkich podróżnych. Tłumy okupowały nie tylko ogromny hol, lecz także przesiadywały na peronach i wolnej przestrzeni wokół budynku dworcowego. […]

W językowym rozgardiaszu, który rozlegał się nad tym ludzkim mrowiskiem, nie brakowało ojczystej mowy, zabarwionej przeważnie wileńsko-lwowskim akcentem.

Tu także, w polskiej komendanturze na dworcu, zameldowaliśmy swój przyjazd, gdzie nam oznajmiono, że powinniśmy być przygotowani do dalszej podróży, jako że właściwy rejon formowania znajduje się dalej na południu. Mieliśmy więc cierpliwie czekać na sformowanie odpowiedniego transportu, którym dotarlibyśmy na miejsce przeznaczenia. Na okres wyczekiwania zostaliśmy zaprowiantowani w miejskiej jadłodajni oraz zobowiązani do utrzymywania jak najściślejszego kontaktu z polską komendanturą. […]

Piękna pogoda a nade wszystko perspektywa rychłego dostania się do wojska sprawiły, że przyszła nam do głowy myśl o celowości pozbycia się niektórych cywilnych łachów, tym bardziej że były one wówczas na tutejszym rynku

w wyjątkowej cenie. Na pierwszy ogień poszły płaszcze, jako zbytnio obciążające nasz bagaż, a później rękawiczki i czapki. Uzyskany w ten sposób grosz miał stanowić rezerwę na wszelki wypadek.

Wyczekiwanie na odjazd stwarzało doskonałą okazję do zawierania nowych znajomości. Od ludzi, którzy przybywali tutaj z różnych zakątków Związku Radzieckiego, dowiadywaliśmy się ciekawych rzeczy. W większości przypadków mieli oni znacznie trudniejsze warunki życia i pracy od tych, jakie myśmy mieli w kołchozie a później w Żołymbecie. Pośród wiadomości prawdziwych, szczególnie dotyczących naszego losu, nie brakowało i takich, które − jak się okazało − nigdy się nie sprawdziły. Krążyły najprzedziwniejsze pogłoski na temat naszego wojska, między innymi ta, że formowanie jednostek zostało zakończone, że mamy być umieszczeni w obozach zapewniających znośniejsze warunki bytowania. Jakby na potwierdzenie tego podejrzenia, do Taszkientu wracała z tamtych stron coraz większa rzesza rodaków, twierdząc, że wobec braku perspektyw dostania się do wojska oraz konieczności przebywania w obozie z jednoczesnym obowiązkiem pracy, chcą wracać do poprzednich miejsc zamieszkania, do pozostawionych rodzin.

Wszyscy oni mieli nadzieję, że gdy tylko przystąpi się do ponownego formowania, natychmiast stawią się na wezwanie.

W ten sposób dworzec taszkiencki i jego przyległe tereny stały się skupiskiem Polaków czekających na odjazd w kierunku południowym, a także miejscem, z którego udawali się w drogę powrotną.

Zacząłem więc i ja po raz pierwszy poważniej zastanawiać się nad ewentualnym powrotem do domu. Przesiadywanie w obozie w oczekiwaniu na wojsko wcale

mi się nie uśmiechało, ponieważ zdawałem sobie sprawę z tego, w jak ciężkiej sytuacji znaleźli się najbliżsi po naszym wyjeździe z Żołymbetu. Przecież tylko matka, jako jedyna pracująca osoba w rodzinie, miała dać utrzymanie babusi i dwóm niepełnoletnim braciom.

[…]

Wreszcie po kilku dniach wyczekiwania na transport znaleźliśmy się w wagonie osobowym zdążającym w pożądanym kierunku. Znowu z zaciekawieniem przyglądałem się krajobrazowi, który z wolna przesuwał się przed mymi oczami. Zatrzymując się na prawie każdej większej stacyjce, zbliżaliśmy się do Samarkandy.

Na pewnej niedużej stacyjce pociąg nasz zatrzymał się obok przeładowanych ludźmi wagonów. Byli to nasi, powracający do Taszkientu. Przez otwarte okna wdaliśmy się z nimi w rozmowę. Okazało się, że warunki, jakie zastali pod Jangi-Julem[11], miejscem zgrupowania, nie spełniały ich oczekiwań. Zamiast wcielenia do wojska, musieli przesiadywać w rozwiniętych w szczerym polu namiotach. Marne wyżywienie, składające się z zupki, herbaty i chleba, zmuszało wielu do pracy na pustyni, przy kopaniu kanału, za co dostawali dodatkowe racje żywnościowe. Chociaż opiekę nad obozem sprawowały polskie władze wojskowe, to jednak, gdy się do nich zwracano o określenie terminu formowania nowych jednostek wojskowych, odpowiadały zawsze wymijająco. W dodatku tym, którzy uważali, że okres wyczekiwania na wojsko powinni spędzać nie tutaj, lecz przy pozostawionych rodzinach, nie czyniono żadnych trudności w powrocie do dotychczasowych miejsc zamieszkania […].

A więc potwierdzały się pogłoski, jakie docierały do nas jeszcze przed wyruszeniem z Taszkientu. Zacząłem w trybie przyspieszonym analizować powstałą sytuację i poważnie

zastanawiać się nad powrotem; rozważałem za i przeciw takiej decyzji.

Siedzenie w obozie i praca za pszenne placki, w oczekiwaniu na coś co nie wiadomo kiedy nastąpi, jak również troska o najbliższych, którym brakowało rąk do pracy − to główne argumenty przemawiające za powrotem. Byłem wtedy przekonany, że na pójście do wojska będzie jeszcze czas, że będziemy bardziej przydatni w domu niż tutaj, gdzieś na bezludziu.

Tymczasem Rysiek o żadnym powrocie nie chciał nawet słuchać, chociaż wydawało się, że ze względu na słabszą kondycję fizyczną nie powinien się upierać. Jeszcze wtedy nic nie wiedziałem o tym, że groziła mu rozprawa sądowa za spowodowanie awarii windy kopalnianej.

[…]

Jako najstarszy syn, niesiony poczuciem obowiązku dopomożenia matce w utrzymaniu rodziny i sprawowaniu opieki nad niepełnoletnimi braćmi, zdecydowałem się na powrót. Pożegnałem się z braciszkiem i znajomymi, chwyciłem za swój węzełek i z kilkoma innymi osobami wyskoczyłem z wagonu. W ostatniej chwili udało mi się dopaść pociągu odchodzącego w stronę Taszkientu.

Po paru godzinach, gdy znalazłem się znowu w tłumie okupującym taszkiencki dworzec i gdy było wiadome, że dla „dezerterów” przewidziane są specjalne transporty, nie pozostawało nic innego, jak tylko cierpliwie czekać na moment odjazdu w dalszą drogę, którego termin miał być zawczasu zapowiedziany przez polską komendanturę.

Tasiemcowe kolejki przy jadłodajniach, w których na podstawie przydzielonych talonów wydawano posiłki, zabierały mi najwięcej czasu. A więc jakieś dalsze wypady od dworca były możliwe tylko wtedy, kiedy udawało się zjeść szybciej śniadanie lub obiad.

[…]

Tymczasem brak palta, którego pozbyłem się kilka dni temu, kiedy nie myślałem jeszcze w ogóle o powrocie, dawał się teraz coraz bardziej we znaki. O nocowaniu na świeżym powietrzu nie było mowy. Na samą myśl, że czeka mnie podróż w regiony, gdzie niewątpliwie jest znacznie chłodniej, robiło mi się zimno. A ja bez cieplejszego okrycia… Jak sobie tam poradzę? Zacząłem się rozglądać za cieplejszymi łachami.

I oto, na szczęście, udało mi się dogadać z jakimś rodakiem zmierzającym do wojska i za jeden talon konsumpcyjny zdobyć mocno podniszczoną watowaną kurtkę, tak zwaną fufajkę, a od drugiego − także sfatygowaną czapkę uszankę. Z kawałka nie pierwszej świeżości ni to koca, ni to wełnianej szmaty sporządziłem węzełek, którego pilnowałem jak oka w głowie. Teraz mogłem już śmielej patrzeć w przyszłość.

Gdzieś w początkach grudnia zostaliśmy powiadomieni, że na jednej z bocznic stoi specjalnie dla nas przygotowany pociąg towarowy, którym możemy się dostać aż do Akmolińska i że wszyscy, którym ten kierunek odpowiada, powinni z tego środka lokomocji skorzystać. Bez najmniejszego wahania udałem się do miejsca postoju.

Znalazłem się w wagonie jakże podobnym do tego, którym przeszło dwa lata temu wieziono nas na Syberię. Były po obu stronach prycze, na środku stał żelazny piecyk, na ścianie wisiała lampa naftowa a w drewnianej skrzyni znajdował się zapas paliwa. Dwa wiadra, jedno z wodą, miały służyć potrzebom sanitarnym.

Chętnych do jazdy nawet w tych prymitywnych warunkach nie brakowało. Nic więc dziwnego, że wagony były przeładowane po brzegi.

Nim ruszyliśmy w drogę, został wyznaczony komendant transportu i komendanci wagonów oraz otrzymaliśmy suchy prowiant w postaci sucharów, konserw rybnych, margaryny i cukru.

W moim wagonie, oprócz kilku kompletnych rodzin i jednego starszego intelektualisty, przeważały osoby młode i samotne, które − jak ja − uznały za stosowne wracać do dotychczasowych miejsc zamieszkania, do swych najbliższych.

[…]

Do Pietropawłowska dotarliśmy w wyjątkowo krótkim czasie. W tym miejscu zamknął się ogromny obwód mojej marszruty, prowadzący najpierw do armii Andersa a później − do domu.

Tutaj także trochę ludzi ubyło. Nasz wagon znalazł się znowu na bocznicy, w oczekiwaniu na sformowanie nowego transportu, którym mógłbym już bez przeszkód dotrzeć do celu podróży.

[…]

W biały dzień znalazłem się na miejscu. Mróz i silne podmuchy *burianu*[12] zmusiły mnie do szukania schronienia w stacyjnym, całkowicie zawianym śniegiem i nieopalanym drewnianym baraku. Trząsłem się z zimna, czekając na okazyjny transport.

Gdy tylko do moich uszu dotarł terkot nadjeżdżającej maszyny, wybiegłem na jej spotkanie. Właśnie skręcała w stronę drogi wiodącej do Żołymbetu. Podniosłem rękę z nadzieją, że się zatrzyma. Owszem, zatrzymała się, ale tylko po to, by wysadzić kilku pasażerów zdążających na najbliższy pociąg. Nim podszedłem, pojazd ruszył dalej. Jeszcze musiałem marznąć, wyczekując następnej okazji.

[…]

Tym razem szczęście mnie nie zawiodło, w pewnym momencie zatrzymała się bowiem cała kolumna ciężarowych wozów, wracających do bazy w Żołymbecie. Uprzedzony o konieczności opłacenia przejazdu, posiadane banknoty wziąłem do ręki i szybko doskoczyłem do kabiny. Argument pieniężny, którym dysponowałem, był na tyle skuteczny, że nie tylko zostałem zabrany, lecz także mogłem się znaleźć przy kierowcy i odbyć podróż w luksusowych warunkach.

Jeszcze tego samego dnia, ale już w ciemnościach, wysiadłem przy osiedlu fabrycznym. Uradowany, dobrnąłem do całkowicie zasypanej śniegiem chałupy i jak bomba wpadłem do wnętrza. Zaskoczyłem domowników zupełnie.

Gdy serdeczne powitania minęły i pierwsze emocje opadły, opowiadaniom nie było końca. Cieszyłem się, że Boże Narodzenie spędzę w gronie rodzinnym.

[…]

Zgodnie z postanowieniem, które w tak raptowny sposób podjąłem w drodze do armii Andersa i w wyniku którego powróciłem do Żołymbetu, natychmiast zacząłem rozglądać się za pracą, aby matce, jako jedynej pracującej osobie, pomóc w utrzymaniu rodziny. […] Nie zważając na zimowe warunki, zgodziłem się zostać wozakiem.

[…]

Trzecie z kolei święta Bożego Narodzenia na obczyźnie przyszło nam spędzać nie tylko bardziej skromnie, lecz dodatkowo w okrojonym składzie, brakowało bowiem Ryśka, który wojażował gdzieś na południu oraz ciotki Baranowskiej, która wraz z córką, podążając za młodzieżą, opuściła na jesieni Żołymbet i wyjechała do Andersa. Cieszyłem się, że udało mi się wrócić do swoich, że uniknąłem tułaczki i że te święta będę mógł jeszcze spędzić w gronie najbliższych. Byłem wtedy przekonany, że mój

pobyt w domu ma charakter tymczasowy, to znaczy do nowego zaciągu, który miał rzekomo nastąpić po stworzeniu dogodnych warunków do formowań następnych jednostek wojskowych.

Praca w transporcie była nie tyle fizycznie wyczerpująca, ile dokuczliwa, i to nie tylko ze względów atmosferycznych, ale przede wszystkim dlatego, że zajezdnia wraz ze stajnią znajdowały się w znacznym oddaleniu od domu, a ponadto odpowiadałem za konia oraz mocno podniszczony pojazd.

Zacząłem więc rozglądać się za nowym bardziej atrakcyjnym zatrudnieniem, przynajmniej pod dachem. Jeszcze tej zimy przeniosłem się do tego samego zakładu, do którego przewoziłem rudę, aby tutaj z innymi rodakami kopalnianym urobkiem napełniać wagoniki, a następnie przesuwać je pod przeróbcze urządzenia.

[…]

Jak zwykle śledziłem za wojennymi wydarzeniami i wielką polityką, a szczególnie za rozwojem stosunków polsko-radzieckich i na ich tle za losem armii Andersa, do której miałem nadzieję ponownie się wybrać, już bez żadnych perturbacji.

Z oficjalnych i dostępnych źródeł mogłem wywnioskować, że na froncie wschodnim zarysowywała się stabilizacja, ale o sprawach polskich coraz mniej się mówiło i pisało. Drogą pantoflową poczęły do nas docierać wiadomości, że wszystkie jednostki polskie spod Czkałowa wyjeżdżają na południe i na razie nie zanosi się na nowe formowania. Rysiek powiadomił nas listownie, że jest w drodze do Krasnowodzka, portu nad Morzem Kaspijskim. Natomiast ciotka nie dawała o sobie znaku.

Już na podstawie tych skromnych danych można było sądzić, że nasze sprawy przybierają dziwny obrót. Czyżby to była ewakuacja do Iranu? A więc poza granice Związku

Radzieckiego? I z jakiego powodu? Jeśli oni wyjadą, co będzie z nami?

[…]

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Sprawa katyńska, która ujrzała światło dzienne, a później zerwanie stosunków z rządem w Londynie było potwierdzeniem naszych najgorszych obaw.

[…]

Rozpoczął się dla nas nowy etap. Trzeba było pracować, siedzieć cicho i żyć w ponownej niepewności.

BOLESŁAW DAŃKO

W sierpniu 1942 roku odnalazłem w Kotłasie[13] polską wojskową placówkę. Stanowił ją major i kilku podoficerów, a ich zadaniem było werbowanie Polaków do wojska. Odbywało się ono na dość dziwnych zasadach, ponieważ oficjalnie nie można było zaciągnąć się, bo miejscowe władze na to nie zezwalały.

Gdy jednak ktoś dostał się już do placówki i został przez majora wpisany na listę, władze bezpieczeństwa w sprawę nie ingerowały i po skompletowaniu odpowiedniej grupy przejazd do miejsca formowania odbywał się pociągiem. Nie zastanawiając się długo, podjąłem decyzję wstąpienia do wojska. Gdy jednak nawiązałem kontakt z placówką, dowiedziałem się, że dwa dni temu transport odjechał, a następny będzie za miesiąc. Jeden z podoficerów poradził, bym do tego czasu pływał na „Puszkinie”, a zgłosił się do punktu tuż przed odjazdem transportu. Rada była słuszna, gdyż warunki mieszkaniowe w Kotłasie były złe. Tego samego zdania był również pracujący ze mną na statku J. Ręczkowski. Wieść o możliwości zaciągnięcia się w Kotłasie do wojska, mimo powściągliwego stosunku władz, rozeszła się po *posiołkach*[14] i kołchozach. Kto mógł, usiłował tam

dojechać. My pomogliśmy dojechać do Kotłasu dwóm kolegom z Kargowina[15] […]. Walczyli oni później jako żołnierze 2. Korpusu [Polskiego] pod Monte Cassino. Sami jednak nie zdążyliśmy się wpisać na listę. Gdy przybyliśmy tam po dwóch tygodniach, placówki już nie było – została zlikwidowana.

[…] W tym samym czasie władze bezpieczeństwa zabroniły mi pracy na statku, nie podając żadnych motywów. W związku z tym podjąłem pracę tragarza na przystani Dwinskoj Biereźnik[16]. Brygada, w której pracowałem, składała się z Polaków, Tatara i Ukraińca. […]

W listopadzie 1942 roku zostaliśmy wszyscy wezwani przez władze bezpieczeństwa do komendy − celem wydania dowodów osobistych. Z wpisu, który tam widniał, wynikało, że staliśmy się obywatelami radzieckimi, chociaż w dokumentach wydanych nam poprzednio w wyniku amnestii, a teraz zabieranych, stwierdzono, że jesteśmy obywatelami polskimi czasowo przebywającymi na terenie ZSRR. Wymiana dowodów spowodowała, że zaczęliśmy tracić nadzieję na powrót do kraju, ale ostatecznie się z tym pogodziliśmy i przyjęliśmy paszporty, bo nie było wyjścia.

W połowie października, z chwilą zamarznięcia Dwiny ustawał wszelki ruch statków i barek. Wszyscy pracujący na rzece przechodzili do pracy na lądzie. Nasza brygada została skierowana do odległej o dwanaście kilometrów Piandy, gdzie pracowaliśmy przy odkuwaniu z lodu statków i barek zacumowanych na wodach małej rzeczki. Zakwaterowano nas w chacie u kołchoźnicy. W końcu listopada ciężko zachorował Tadeusz Szutkowski, którego należało niezwłocznie dostarczyć do szpitala. Utrzymująca się długo wysoka temperatura z dniem każdym umniejszała jego siły. Zawiadomiony o tym naczelnik zdecydował, że zabierze go w drodze powrotnej woźnica, który raz

w tygodniu przywoził chleb. Uważałem, że nie można dłużej zwlekać, przerwałem pracę i udałem się na kwaterę, by ubrać i wyprawić chorego.

W tym czasie na miejsce pracy przyszła *dziesiatnik*[17], wyjątkowo wredna baba, i pytała, gdzie jestem. Koledzy powiedzieli, że poszedłem za potrzebą. Baba usiadła na pniu i czekała. Po pół godzinie poszła. Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że zostałem podany do sądu za *proguł*, to jest samowolne opuszczenie pracy. W następnym tygodniu otrzymałem wezwanie na rozprawę do miejscowości Siemionowskoje. Sędzia, kobieta, szybko rozpatrzyła sprawę i po chwili odczytała wyrok, skazując mnie na potrącenie 25 procent wynagrodzenia przez sześć miesięcy. Ciemno już było zupełnie, gdy wróciłem do Piandy; zmęczony, głodny i zły. Nic nie mówiąc kolegom, położyłem się na kojce i usnąłem. Nazajutrz razem ze wszystkimi poszedłem do pracy, ale jak się okazało, nie na długo. Do dziś nie wiem, co było tego przyczyną − czy przerobiona na świadectwie data urodzenia, czy też sprawa sądowa, a może zupełnie inne powody.

Faktem jest, że jako jeden z całej naszej brygady otrzymałem kartę powołania do służby w Armii Czerwonej. Na początku stycznia 1943 roku znalazłem się w dwuszeregu ponad stu poborowych, którzy za chwilę mieli ruszyć piechotą do stacji kolejowej Chołmogory, odległej o dwieście kilometrów. Odchodzących żegnały rodziny, znajomi, wśród nich moja matka i dwie młodsze siostry. Nie był to moment radosny, szczególnie dla matek, które zdawały sobie sprawę, że synów swych widzą może ostatni raz. […]

Drogę do stacji kolejowej pokonywaliśmy etapami, nocując w przydrożnych kołchozach. Pociągiem dotarliśmy do Wołogdy, która była miejscem szybkiego

przygotowywania frontowych rezerw. Mieszkaliśmy w dwustuosobowych ziemiankach, słabo ogrzewanych. Sypialiśmy na pryczach z okrąglaków, bez żadnej pościeli. Zamiast poduszki pod głowę kładłem buty, a do przykrycia służył płaszcz. […] W nocy ogrzewaliśmy się własnymi ciałami. Wyżywienie było słabe i stale głód dawał o sobie znać, a czas ćwiczeń wynosił dziesięć godzin dziennie. Umundurowanie stare, trzeciej kategorii. Nowe wydawano po ukończeniu szkolenia, tuż przed wyjazdem na front.

Po trzech miesiącach mieliśmy wszystkiego dość i sami dopytywaliśmy się, kiedy nastąpi już odjazd. Gdzieś na górze zadecydowano jednak inaczej. W końcu kwietnia, gdy wróciliśmy z ćwiczeń, zarządzono zbiórkę batalionu. Dowódca wyczytywał nazwiska. Jedni ustawiali się na prawo, drudzy na lewo, nie wiedząc, w czym rzecz. Znalazłem się w grupie po prawej, z innymi Polakami. Grupę po lewej stanowili: Białorusini, Ukraińcy i Żydzi. Ich skierowano do roboczych batalionów. Nam wydano suchy prowiant, dokumenty podróży i polecono wracać do *wojenkomatów*[18], z których zostaliśmy powołani. W ten sposób na początku maja 1943 roku znalazłem się znów w Biereźniku i przystąpiłem do pracy w swojej brygadzie tragarzy, która wróciła już z Piandy.

Pobyt tam nie trwał długo. Po kilku dniach prasa przyniosła wiadomość, że Wanda Wasilewska i pułkownik Berling tworzą dywizję piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która po wyszkoleniu będzie brała udział w walkach z Niemcami u boku Armii Czerwonej. Kilka dni później odpływaliśmy statkiem do Archangielska, żegnani przez rodziny i przyjaciół.

W Archangielsku przydarzył mi się następujący incydent. Pewnego dnia rano poszedłem na rynek, by kupić trochę tytoniu. Ponieważ byłem w wojskowym płaszczu, ale bez

pasa i w cywilnej czapce, natychmiast podpadłem patrolowi z komendy miasta, który wyłapywał dezerterów i maruderów. Pod karabinem zostałem doprowadzony do komendy, a tam zapytany przez oficera dyżurnego, co robię w mieście. Zgodnie z prawdą, śmiało i trochę hardo odpowiedziałem: „Jedu w polskuju armiju”[19]. Zaskoczony oficer wrzasnął: „Ja tiebie dam polskuju armiju”[20]. Po chwili siedziałem w areszcie, ubolewając nad losem. Sytuacja była groźna, gdyż mogłem być faktycznie posądzony o dezercję, a takich załatwiano szybko. Po wielu tarapatach wydostałem się z komendy, próbując zrozumieć zachowanie oficera dyżurnego. Widocznie nie wiedział on, że organizuje się nowe wojsko polskie i uważał, że jestem jakimś spóźnionym ochotnikiem do armii generała Andersa, która była już w tym czasie w Iranie.

Propaganda w tym zakresie zrobiła swoje. Panowała powszechna opinia, że: „Poljaki udrali”[21]. W poważnym stopniu wpłynęła ona na stosunek władz i społeczeństwa radzieckiego do Polaków. Na trzeci dzień po tej przygodzie ustawiono nas w kolumnę marszową i z orkiestrą wojskową na czele poszliśmy na dworzec kolejowy. Dziwna to była kolumna. W kufajkach, starych wojskowych płaszczach, podartych marynarkach i innych zniszczonych okryciach. W walonkach, podartych butach i łapciach na nogach. W uszankach[22], kubankach[23], papachach[24] i innych czapkach. Z kuferkami, walizkami lub zwykłymi workami na plecach. Obok twarzy pokrytych zmarszczkami i zarośniętymi − twarze jeszcze bez zarostu.

[…] Bardzo różny był osobowy i losowy skład tej kolumny. Szedł tam stary osadnik wojskowy Jan K., który z naczelnikiem posiołka demonstracyjnie rozmawiał tylko po polsku. [Szli:] Zygmunt S. – łagiernik; Jan M. – lwowianin, który za usiłowanie przekroczenia granicy do

Rumunii, celem zaciągnięcia się do Wojska Polskiego we Francji, otrzymał wyrok 15 lat; Tadeusz Sz. – rodem z Brześcia, żołnierz Armii Czerwonej skazany za rzekome szpiegostwo na karę śmierci, zamienionej na 25 lat, później amnestionowany; Kazimierz C. – leśniczy z powiatu Prużany; Stanisław B. – jeniec wojenny z 1939 roku; Janusz K. – inteligent z Warszawy; wreszcie duża grupa *spiecpieresieleńców*[25]. Gdzieś na końcu tej kolumny w dziurawym szarym płaszczu, z workiem na plecach, w którym była para podartej bielizny, bochenek spleśniałego chleba, ołówek i paczka machorki, maszerowałem też ja.

Przypisy

[1] Jako motto rozdziałów tej książki posłużyły słowa wojskowej pieśni *Marsz Pierwszego Korpusu*, napisanej w 1943 roku w Sielcach przez Adama Ważyka do muzyki Aleksandra Barchacza.

[2] Buzułuk − miasto w obwodzie orenburskim nad rzeką Samarą, w pobliżu miasta Samara (w latach 1935−1991 Kujbyszew); wrzesień 1941−styczeń 1942 siedziba dowództwa i sztabu formującej się w ZSRR armii gen. Władysława Andersa.

[3] Tockoje (Tocki) − wieś w obwodzie orenburskim nad rzeką Samarą; miejsce formowania 6. Lwowskiej DP armii gen. Władysława Andersa i Ośrodek Zapasowy Armii.

[4] Tatiszczewo − k. Saratowa nad Wołgą; rejon formowania 5. Wileńskiej DP armii gen. Andersa.

[5] Żołymbet − miasto w Kazachstanie.

[6] Akmolińsk − obecnie Astana, stolica Kazachstanu.

[7] Szortandy − wieś w pobliżu Astany (d. Akmolińsk) w Kazachstanie.

[8] *Eszełon* (ros.), eszelon (pol.) − wojskowy pociąg towarowy.
[9] Czkałow – w latach 1743−1938 i od 1957 miasto Orenburg nad rzeką Ural, dawna twierdza na granicy Europy i Azji.
[10] Kartały − obecnie Łokomotiwnyj.
[11] Jangi-Jul (ZSRR) − obecnie Yangiyo'l (Uzbekistan); w 1942 kwaterował tu sztab armii gen. Władysława Andersa.
[12] Popr. *buran* (ros.) − wicher połączony ze śnieżycą, wiejący zimą na Syberii, Uralu i Powołżu.
[13] Kotłas − port nad Dwiną, w obwodzie archangielskim, w latach 30. XX wieku centrum przesyłowe dla zesłańców i więźniów łagrów.
[14] *Posiołek* (ros.) − osada.
[15] Kargowino − specposiołek *(patrz przypis 25)* w obwodzie archangielskim (ZSRR).
[16] Prawd. chodzi o Dwiński Bereźnik.
[17] *Dziesiatnik* (ros.) − pol. dziesiętnik: funkcjonariusz nadzorujący.
[18] *Wojenkomat* − ros. *wojennyj komissariat*; wojenny punkt mobilizacyjny.
[19] Jadę do polskiej armii (ros.).
[20] Ja tobie dam polską armię (ros.).
[21] Polacy zwiali (ros.).
[22] Uszanka − zimowa czapka z nausznikami opuszczanymi do dołu.
[23] Kubanka − tradycyjna kozacka czapka futrzana: z prostym czarnym otokiem i płaskim kolorowym denkiem.
[24] Papacha − tradycyjna czapa z owczej wełny (lub futra), noszona przez mężczyzn na Kaukazie, w Azji Środkowej i przez Kozaków.

[25] *Specpieresieleńcy* (ros.) − pol. specprzesiedleńcy: przymusowi przesiedleńcy, z ograniczoną swobodą poruszania się, ograniczonym prawem do korespondencji i obowiązkiem regularnego meldowania się u władz.

Rozdział II

Wyszliśmy na brzeg…

Związek Patriotów Polskich i polscy komuniści

Utworzenie Związku Patriotów Polskich (ZPP) i sformowanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki było aktem wieńczącym starania Stalina o zbudowanie przeciwwagi politycznej dla rządu RP w Londynie. Plan ten był częścią wielkiej polityki ZSRR, która wykrystalizowała się pod wpływem wydarzeń na froncie wschodnim pod koniec 1942 i w 1943 roku.

Zwycięstwa pod Stalingradem (23 sierpnia 1942−2 lutego 1943) i Kurskiem (5 lipca−23 sierpnia 1943), stanowiące przełom w wojnie na wschodzie, pozwoliły Armii Czerwonej na przejęcie inicjatywy strategicznej i przejście do działań ofensywnych na całej długości frontu. W tym dogodnym momencie Stalin określił podstawowe cele polityczne ZSRR w wojnie. Priorytetem było doprowadzenie do całkowitego zwycięstwa i zapewnienie Moskwie trwałej kontroli w kształtowaniu powojennych losów Europy.

Polska w planach radzieckich, ze względu na położenie geograficzne oraz potencjał ludnościowy i ekonomiczny, stanowiła niezwykle ważny element. Stalin zdawał sobie sprawę, że próba ograniczenia suwerenności kraju nad Wisłą, przez włączenie go w strefę wpływów ZSRR, jak również rewizja granic na wschodzie, nie zostaną zaakceptowane przez polski rząd w Londynie, dlatego opracował strategię, która miała umożliwić osiągnięcie tego celu.

Pierwszym etapem tego planu było doprowadzenie do zerwania stosunków dyplomatycznych z polskim rządem na uchodźstwie, ale w taki sposób, aby zaakceptowali to zachodni sojusznicy Polski. Kolejnym krokiem miało być utworzenie polskiej organizacji społeczno-politycznej, reprezentującej interesy Polaków w ZSRR. Uwieńczeniem tych działań miało być sformowanie polskich jednostek wojskowych, żeby pokazać światu, iż u boku Armii Czerwonej walczą z Niemcami regularne oddziały polskie, niepodporządkowane rządowi polskiemu w Londynie.

1 marca 1943 roku został powołany Związek Patriotów Polskich. W zamierzeniu twórców organizacja miała zrzeszać Polaków przebywających w Związku Radzieckim, reprezentujących różne poglądy i siły polityczne (od skrajnej lewicy po centrum), a także deklarujących chęć współpracy z władzami radzieckimi w dziele odtworzenia sił zbrojnych i powojennej odbudowy państwa polskiego. Nazwa organizacji, wymyślona przez Stalina, była kamuflażem dla jej rzeczywistego charakteru i oblicza kształtowanego przez sowieckie władze.

Założycielami ZPP byli Wanda Wasilewska i Alfred Lampe, główny ideolog komunistów polskich w ZSRR. Organem prasowym organizacji stała się gazeta „Wolna Polska”, w której propagowano idee ZPP oraz zamiar utworzenia polskich jednostek wojskowych na terenie ZSRR. Polscy komuniści wydawali również czasopismo „Nowe Widnokręgi”, od 1943 roku redagowane przez Wandę Wasilewską.

Wanda Wasilewska była córką Leona Wasilewskiego, cenionego działacza przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) i ministra spraw zagranicznych w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego (17 listopada 1918−16 stycznia 1919). Od wczesnej młodości angażowała się

w działalność polityczną PPS-u, ale w połowie lat 30. zbliżyła się do komunistów. We wrześniu 1939 roku znalazła się we Lwowie. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną popierała antypolskie działania władz radzieckich na Kresach. Za lojalność i zaangażowanie została członkiem Rady Najwyższej ZSRR, a następnie została przyjęta w szeregi Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) − WKP(b). Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej pełniła służbę na froncie w stopniu pułkownika w aparacie politycznym Armii Czerwonej. Misję utworzenia ZPP powierzył Wandzie Wasilewskiej sam Józef Stalin.

Plany utworzenia polskich formacji podległych ZSRR. Zygmunt Berling

Pierwsze przymiarki do utworzenia polskich formacji wojskowych u boku Armii Czerwonej zostały poczynione już latem 1940 roku. Władze radzieckie, w obliczu sukcesów wojsk niemieckich we Francji i spodziewanego konfliktu z Niemcami, zaczęły rozważać powołanie jednostek wojskowych niezależnych od rządu polskiego w Londynie, złożonych z Polaków znajdujących się w niewoli radzieckiej. Próbowano pozyskać do utworzenia takich formacji polskich oficerów więzionych w ZSRR.
Miejscem gromadzenia jeńców wyselekcjonowanych przez NKWD był obóz w Griazowcu. Przywieziono tam około 400 oficerów z obozów specjalnych w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Wybrano z nich 15 oficerów, których zakwaterowano w willi NKWD w Małachówce pod Moskwą. Jednym z najaktywniejszych członków tej grupy okazał się ppłk Zygmunt Berling.

Przyszły dowódca pierwszej polskiej dywizji formowanej z inicjatywy władz sowieckich – Zygmunt Berling – był przedwojennym oficerem, z bogatą historią służby

w Legionach Polskich podczas I wojny światowej. W czasie wojny polsko-bolszewickiej (1919−1921) został awansowany do stopnia kapitana i wsławił się w obronie Lwowa, za co uhonorowano go Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Od 1937 roku już jako podpułkownik dowodził 4. pułkiem piechoty Legionów w Kielcach. W czerwcu 1939 roku wskutek wyroku oficerskiego sądu honorowego, który odniósł się do jego niegodnego zachowania w związku z jego sprawą rozwodową, został usunięty z wojska.

Po wybuchu wojny w 1939 roku, mimo kilkakrotnych próśb skierowanych do władz wojskowych, nie otrzymał wezwania do armii. Aresztowany w Wilnie przez NKWD, został osadzony z innymi oficerami w obozie w Starobielsku, skąd w 1940 roku przewieziono go do Moskwy. Od października 1940 do czerwca 1941 roku przewodniczył grupie polskich oficerów przebywających w willi NKWD w Małachówce. Ich zadaniem było przygotowanie przyszłych kadr oficerskich dla planowanych polskich jednostek wojskowych.

Ponieważ grupa Berlinga działała bez zgody polskiego dowództwa i rządu, współpraca z obcym państwem nad organizacją sił zbrojnych była w świetle prawa zdradą. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej Berling, w imieniu oficerów z Małachówki, wysłał do NKWD deklarację polityczną, w której zapewnił o pełnej gotowości do służenia w Armii Czerwonej. Współpracę ze Związkiem Radzieckim uznał za jedyną drogę do oswobodzenia narodu polskiego.

30 lipca 1941 roku doszło do podpisania polsko-radzieckiej umowy, na mocy której rozpoczęto formowanie Armii Polskiej w ZSRR. Zrezygnowano wtedy z projektu tworzenia jednostek polskich w ramach Armii Czerwonej.

W 1942 roku ppłk Berling, który nie zerwał kontaktów z NKWD, trafił do tworzącego się wojska gen. Andersa i został mianowany szefem sztabu 5. Dywizji Piechoty. Podczas ewakuacji Armii do Iranu wyznaczono go na komendanta bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku; to stąd odpływały statki z polskimi żołnierzami i cywilami. Razem z grupą oficerów zdecydował się pozostać w ZSRR, za co został zdegradowany i wydalony z wojska, a sąd polowy skazał go zaocznie na karę śmierci jako dezertera.

Niezależnie od rzeczywistych intencji Berlinga, podjęte przez niego działania przyczyniły się do uratowania tysięcy polskich więźniów i zesłańców, którzy ciągle przybywali z różnych rejonów ZSRR i nie zdążyli dotrzeć do armii Andersa.

Po zamknięciu bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku ppłk Berling zgłosił się jako ochotnik do Armii Czerwonej i został skierowany do Moskwy. Tutaj sformułował i złożył władzom radzieckim memoriał wojskowo-polityczny, w którym zadeklarował, że działa niezależnie od rządu RP w Londynie i wyraził pogląd o konieczności sformowania nowego wojska polskiego w ZSRR. W związku z tą deklaracją w połowie lutego 1943 roku został wezwany na Kreml i przyjęty przez samego Stalina. Głównodowodzący Armii Czerwonej wyraził zgodę na utworzenie polskiej jednostki wojskowej, zawiesił jednak realizację tej decyzji do czasu całkowitego zerwania kontaktów z rządem RP w Londynie. Berling dostał polecenie nawiązania współpracy ze Związkiem Patriotów Polskich i Wandą Wasilewską.

Poglądy polityczne Zygmunta Berlinga dalekie były od ideologii komunistycznej. Ponadto jako legionista i oficer przedwojennego Wojska Polskiego nie wzbudził zaufania Wandy Wasilewskiej i jej stronników z ZPP. Miał jednak poparcie Stalina i potrafił działać skutecznie. Wasilewska

widziała polskie jednostki jako odosobnione związki taktyczne w składzie Armii Czerwonej, zaś Berling pragnął, aby polska dywizja stała się częścią składową przyszłych Polskich Sił Zbrojnych (PSZ). Przez cały okres formowania dywizji między Zygmuntem Berlingiem a Wandą Wasilewską trwała ostra rywalizacja. Ostatecznie Berling (i jego sztab) miał odpowiadać za sprawy wojskowe, zaś Wasilewska (i ZPP) za ideologiczne wychowanie żołnierzy i nadzór polityczny nad dywizją.

Odkrycie zbrodni katyńskiej i zerwanie polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych

12 kwietnia 1943 roku Niemcy odkryli w lesie katyńskim masowe groby pomordowanych polskich oficerów. Jako sprawcę wskazali Związek Radziecki. W następnych miesiącach propaganda nazistowska starała się nagłośnić wydarzenie, licząc na antysowiecki wydźwięk wśród ludności polskiej. Nie osiągnięto sukcesu, ale ujawnienie masowego mordu mogło opóźnić lub całkowicie zniweczyć cały misterny plan Stalina i polskich komunistów.

25 kwietnia 1943 roku Związek Radziecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem RP, cynicznie wykorzystując sprawę katyńską jako pretekst do już dawno zaplanowanych przez Stalina działań. 7 maja 1943 roku Komitet Obrony Związku Radzieckiego podjął uchwałę o utworzeniu na terytorium ZSRR polskiej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Żołnierze gen. Zygmunta Berlinga. Powstanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

Pierwszą grupę ochotników skierowanych do Sielc (151 osób) stanowili obywatele radzieccy pochodzenia polskiego, służący dotychczas w batalionach roboczych. Jednak pierwszy masowy zaciąg dywizji stanowili obywatele polscy wywiezieni do ZSRR z terenów wschodnich II RP w latach 1939−1941. Ludzie ci dobrowolnie zgłaszali się do radzieckich punktów mobilizacyjnych (*wojenkomatów*), skąd − zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty oraz żywność na czas podróży − przewożeni byli do obozu wojskowego Armii Czerwonej we wsi Sielce nad rzeką Oką, 160 km na południowy wschód od Moskwy.
Transporty docierały najpierw do Riazania, skąd koleją przewożono rekrutów do stacji Diwowo, na przeciwległym brzegu Oki. Stamtąd ochotnicy do wojska przeprawiali się promem, a później mostem pontonowym do wsi Fiediakino i Wakino. Informacje o zaciągu do dywizji były ogłaszane przez radio i prasę.

Mimo szczegółowych wytycznych dotyczących zasad zwalniania Polaków do wojska, kierownicy fabryk i zarządzający obozami pracy patrzyli na werbunek niechętnie, tłumacząc się brakiem rąk do pracy przy produkcji dla frontu.

Do obozu w Sielcach zaczęli ściągać Polacy prawie ze wszystkich zakątków Związku Radzieckiego. W pierwszym miesiącu formowania dywizji najwięcej ludzi przybyło z Czelabińska – 1094, potem z Nowosybirska – 684, Omska – 364 i Archangielska – 178. Dodatkowo 643 ochotników przybyło do Sielc na własną rękę, bez dokumentów z punktów mobilizacyjnych. Dla wielu z nich zaciągnięcie się do polskiej armii było jedyną szansą na odmianę losu.

Polską jednostkę organizowano w oparciu o etat radzieckiej dywizji piechoty. Składała się z: trzech pułków piechoty, batalionu szkolnego, pułku artylerii lekkiej,

dywizjonu artylerii przeciwpancernej, batalionu saperów oraz pododdziałów zabezpieczenia i obsługi. Formacja liczyła 16 700 żołnierzy i była w założeniu silnym związkiem taktycznym, zdolnym do wykonywania samodzielnych zadań zarówno w obronie, jak i natarciu.

Jedyną słabością tej struktury był całkowity brak środków przeciwlotniczych oraz czołgów. Niedostatki te w jakimś stopniu uzupełniono, tworząc − poza etatem dywizji − pułk czołgów i dywizjon przeciwlotniczy.

W pierwszych dniach istnienia obozu dużo pracy miała służba zdrowia. Poborowych dokładnie badano i szczepiono. Niezadowolenie wśród rekrutów wywołało wydanie radzieckich uniformów drelichowych, które dopiero pod koniec czerwca zastąpiono narodowymi mundurami i czapkami rogatywkami. Również oficerowie dywizji, w większości radzieccy, zostali zobowiązani do noszenia polskich mundurów.

1. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater

Wśród ochotników napływających do obozu w Sielcach znalazła się też liczna grupa kobiet. Pod koniec maja 1943 roku postanowiono, wzorując się na oddziałach kobiecych w Armii Czerwonej, utworzyć odrębną jednostkę − 1. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater. Formacja powstała 19 sierpnia 1943 roku. Służące w niej Polki nazywano od patronki jednostki − platerówkami.

Większość kobiet służących w batalionie skierowano do pełnienia służby wartowniczej i ochrony mienia wojskowego. Platerówki były także telefonistkami, radiotelegrafistkami, maszynistkami, praczkami, sanitariuszkami i lekarzami. Bezpośrednio w walkach

uczestniczyły kompanie fizylierek[1], które przydzielono do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Pierwsze platerówki zostały wysłane na front już 1 września 1943 roku. Walczyły pod Lenino, gdzie pełniły służbę również jako łączniczki, konwojentki lub personel medyczny. Podczas pierwszej bitwy poległo siedem z nich, a wiele odniosło rany. Z dużej grupy kobiet w Wojsku Polskim tylko nieliczne tworzyły batalion kobiecy. Większość służyła w innych jednostkach, pełniąc nierzadko funkcje dowódcze. Kobiety stanowiły również znaczącą grupę kadry oficerów oświatowych (polityczno-wychowawczych).

Kobiety w polskich mundurach przeszły cały szlak bojowy: od Sielc, przez środkową Wisłę, w której rejonie brały udział w bitwie pod Dęblinem, Puławami oraz na przyczółku magnuszewskim, następnie uczestniczyły w bitwie o Warszawę, zdobywały Wał Pomorski, bałtyckie porty, walczyły nad Odrą i Łabą oraz w Czechosłowacji. Do końca wojny ponad 1500 kobiet dosłużyło się stopni oficerskich, a ponad 2200 − podoficerskich. (mb)

Przemówienie radiowe Wandy Wasilewskiej do Polaków w Związku Radzieckim. Moskwa, 28 kwietnia 1943 roku

Dwudziestego piątego kwietnia zostały przerwane stosunki dyplomatyczne między rządem radzieckim a rządem polskim w Londynie. Emigracyjny rząd gen. Sikorskiego nie reprezentuje narodu polskiego. Ten rząd występował przeciw zbrojnej walce polskiego narodu z niemieckim okupantem w Polsce, wyprowadził poza granice Związku Radzieckiego gotową do walki armię, która do tej pory nie bierze żadnego udziału w wojnie, prowadził wrogą wobec Związku Radzieckiego agitację, starając się popsuć stosunki między sojusznikami, a wreszcie skompromitował się ostatecznie, biorąc udział w zorganizowanej przez hitlerowców antyradzieckiej propagandowej hecy w sprawie lasu katyńskiego, [miejsca] rzekomego rozstrzelania przez organy radzieckie polskich oficerów, w rzeczywistości wymordowanych przez samych Niemców.

Nie reprezentował rząd polski w Londynie tęsknot, pragnień, dążeń narodu – ani Polaków ginących i walczących pod hitlerowskim jarzmem, ani Polaków rozrzuconych po świecie.

Do Polski, do kraju, do rodzinnych domów prowadzi jedna droga – droga walki i pracy dla zwycięstwa. I najkrótsza droga jest właśnie stąd, ze Związku Radzieckiego.

Część Polaków, którzy znajdowali się na terytorium Związku Radzieckiego, wybrała inną drogę – drogę tułaczki po dalekich lądach i morzach.

My, którzyśmy zostali na terytorium Związku Radzieckiego, musimy sobie jasno powiedzieć:

Prawo powrotu do kraju zdobywa się walką i pracą. Walką i pracą musimy wykazać nasz patriotyzm i naszą polskość.

Związek Patriotów Polskich od dłuższego czasu czyni starania o stworzenie na terenie Związku Radzieckiego polskich oddziałów. Wierzymy, że w najbliższym czasie będziemy mogli ramię przy ramieniu z Armią Czerwoną pod polskim sztandarem polskich oddziałów zadokumentować z bronią w ręku naszą miłość do Polski, nasze prawo do Polski.

Ale nie wszyscy mogą iść do armii, nie wszyscy są zdolni do służby wojskowej.

Ci muszą pracować dla frontu, dla przyspieszenia zwycięstwa, tak jak pracują wszyscy radzieccy obywatele.

Polacy w sowchozach, kołchozach, fabrykach, instytucjach – waszą pracą musicie wykazać wasz patriotyzm i waszą wolę powrotu do wyzwolonej spod jarzma hitlerowskiego ojczyzny.

Rzetelnością, oddaniem sprawie zwycięstwa, pracą i walką musimy zdobywać zaufanie i szacunek tych ludzi, z którymi razem pracujemy.

Rzetelnym stosunkiem do swoich obowiązków obywatelskich musimy pomóc rządowi radzieckiemu w zachowaniu i rozbudowie polskich szkół i instytucji opieki społecznej na terenie Związku Radzieckiego.

Związek Radziecki wziął na siebie główny ciężar walki z wrogiem ludzkości i Polski – hitleryzmem. Armia Czerwona dwa lata zmaga się w walce z bohaterstwem nieznanym dotąd w dziejach. I Związek Radziecki, niezależnie

od przerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie, zawsze był i pozostanie sojusznikiem polskiego narodu walczącego o swą wolność.

Rząd w Londynie wykazał swą nielojalność wobec sojusznika – my musimy wykazać wobec niego lojalność, płynącą ze zrozumienia wspólnych celów i dążeń, wspólnej nienawiści do wroga, wspólnej doli.

Rząd polski w Londynie wyprowadził sformowaną i uzbrojoną na terenie ZSRR armię poza jego granice, gdzie dotąd stoi bezczynnie; my musimy pójść z bronią w ręku na front.

Rząd polski w Londynie wysłał dziesiątki tysięcy na bezczynną tułaczkę po świecie – my musimy wytężoną pracą wykazać zrozumienie ważności chwili i wykazać ducha obywatelskiego.

W imieniu Związku Patriotów Polskich zwracam się do wszystkich Polaków w Związku Radzieckim: zachowajcie się z godnością; zachowajcie się jak prawdziwi obywatele. Macie pełną możność służenia tu, w Związku Radzieckim, ojczyźnie, macie pełną możność zdobywania sobie prawa powrotu do Polski, do kraju, do rodzinnych miast, nie papierkiem, który wydawał „mąż zaufania”, ale własną postawą, pracą i walką.

Bądźcie godnymi Polski, która czwarty rok walczy z okupantem, zalewając się krwią. Bądźcie godnymi kraju, w którym dziś żyjecie, który dwa lata wiedzie bohaterski bój z brutalnymi hordami Hitlera.

Bądźcie lojalnymi sojusznikami w wielkim sojuszu demokracji – Związku Radzieckiego, Anglii i Ameryki, nie dajcie mącić atmosfery politykierom, którzy zechcą zatruwać wasze dusze kłamliwymi podszeptami.

Pamiętajcie, że reprezentujecie Polskę i naród polski, reprezentujcie go tak, jak tego wymaga wielkość narodu, bohaterstwo narodu i wielkość, i ważność chwili.

„Wolna Polska” 1 maja 1943 nr 9

Komunikat o zgodzie rządu radzieckiego na formowanie polskiej dywizji na terytorium Związku Radzieckiego. Moskwa, 9 maja 1943 roku

Rząd Radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim.

Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło.

„Nowe Widnokręgi” 20 maja 1943 nr 10

Nota rządu RP złożona w Foreign Office w sprawie tworzenia dywizji polskiej na terytorium ZSRR. Londyn, 13 maja 1943 roku

Panie Ministrze,

Biuletyn informacyjny agencji Reutera z 9 maja przynosi wiadomość, że Rząd Radziecki przedsięwziął formowanie dywizji spośród Polaków, którzy zostali deportowani do ZSRR. Dywizja ta ma wejść w skład Czerwonej Armii jako dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Podejmując tę decyzję, Rząd Radziecki powołuje się na wniosek sformułowany przez ugrupowanie komunistyczne, noszące nazwę Związek Patriotów Polskich w ZSRR. Ta decyzja Rządu Radzieckiego musi być uważana przez Rząd Polski jako cios w suwerenne prawa państwa polskiego, które wyłącznie ma prawo dysponowania życiem swoich obywateli w szeregach Armii Narodowej. Jest ona równocześnie pogwałceniem układu zawartego przez Rząd Polski z Rządem ZSRR 30 lipca 1941 roku i układu wojskowego podpisanego 14 sierpnia 1941 roku. Stosownie do tego ostatniego układu kontyngenty Armii Polskiej formowane na terytorium ZSRR mogły być ograniczane jedynie „możliwościami w zakresie personelu i wyposażenia". Pomijając te dyspozycje, Rząd Radziecki zawiesił w marcu 1942 roku werbunek ochotników do Armii polskiej i odwołał wszelką rekrutację wśród obywateli polskich, przebywających na terytorium ZSRR.

Wobec jednostronnej decyzji Rządu Radzieckiego, aby zawiesić werbunek do Armii Polskiej, Rząd Polski prosił wielokrotnie – poprzez noty i ustne zwracanie się – o podjęcie rekrutacji, jak również przeniesienie do Armii Polskiej tych Polaków, którzy wcieleni siłą do armii niemieckiej zostali wzięci do niewoli przez wojska radzieckie. Duża liczba tych Polaków zdezerterowała z armii niemieckiej, aby móc służyć pod polskimi sztandarami.

Prośby te powtarzane wielokrotnie przez Rząd Polski zostały odrzucone w sposób kategoryczny przez Rząd Radziecki.

Po długim okresie, w czasie którego duża liczba Polaków znajdujących się w ZSRR była pozbawiona, wbrew swej woli i pragnieniu Rządu Polskiego, możliwości walki za wspólną sprawę, ci sami Polacy są teraz zagrożeni losem zgotowanym w 1940 roku trzem rocznikom poborowych, którzy na terytorium polskim, okupowanym w owym czasie przez oddziały radzieckie, zostali wcieleni siłą do Armii Radzieckiej.

Polskie siły zbrojne były pierwsze, które weszły w walkę z najeźdźcą niemieckim i kontynuują tę walkę niezachwianie u boku narodów sprzymierzonych.

Ochotnicy, którzy przezwyciężają olbrzymie trudności i niebezpieczeństwa, przybywają nieustannie z Polski i innych krajów do Wielkiej Brytanii i na Bliski Wschód, aby móc się połączyć z polską Armią Narodową.

Poza niemieckim terytorium okupacyjnym jedynie Polacy zatrzymani w ZSRR pozbawieni są podstawowego prawa służenia w szeregach Armii Narodowej. Pomoc, jaką Polska jest w stanie użyczyć we wspólnym wysiłku, jest na nieszczęście znacznie zmniejszona.

Opierając się na zasadach prawa międzynarodowego i wyraźnych postanowieniach układów polsko-radzieckich, Rząd Polski ma obowiązek wnieść

swój głos w obronie tak licznych na terytorium ZSRR obywateli polskich i żądać – tak jak oni gorąco tego pragną – wcielenia ich do Armii Polskiej.

Materiały i Dokumenty Wojskowego Instytutu Historycznego, Formacje Polskie na Zachodzie, sygn. V/20/7, egz. II, cz. I, s. 15–17.

RELACJE

W drodze do Berlinga

ROMAN MARCHWICKI

Tymczasem na politycznym horyzoncie pojawiła się Wanda Wasilewska, o której − jako o przedwojennej pisarce − coś niecoś słyszałem. Z „Prawdy”[2] dowiedziałem się o powstaniu w Moskwie Związku Patriotów Polskich i o zgodzie rządu Związku Radzieckiego na utworzenie polskiej dywizji do wspólnej walki z niemieckim najeźdźcą.
Z pewnym niedowierzaniem przyjąłem wiadomość, że dowódcą nowo powstającej jednostki ma zostać pułkownik Zygmunt Berling, zawodowy oficer, były legionista, wypuszczony z sowieckiego obozu, i wojskowy, który zrezygnował z wyjazdu do Iranu. Nie mogłem pojąć, aby tego typu człowiek, bądź co bądź represjonowany przez tutejsze władze, mógł się podjąć współpracy ze swoimi niedawnymi oprawcami. A poza tym i samo nazwisko wydawało mi się co najmniej podejrzane.

Takie nazwiska, jak Aleksander Zawadzki, Alfred Lampe, Roman Zambrowski, Włodzimierz Sokorski i inne, które znalazły się na łamach centralnych gazet z okazji pojawienia się nowej polskiej organizacji politycznej, kompletnie nic mi nie mówiły. Wiedziałem tylko, że byli to polscy komuniści, którzy być może kilka lat temu przyczynili się do aresztowań i zsyłek a w każdym razie akceptowali poczynania władz radzieckich.

Miałem więc do nich, jak i do celów ówczesnego ZPP, wiele wątpliwości. Co prawda głosili potrzebę walki o demokratyczną i niepodległą ojczyznę, w której miała panować sprawiedliwość społeczna, ale przerażała sama myśl, że może to być kolejna republika radziecka.

Przede mną jak i przed wielu innymi młodymi ludźmi rysowała się możliwość nie zaciągu ochotniczego, tak jak to było w przypadku armii Andersa, lecz odgórnego poboru do nowego wojska. Powszechnie występująca podejrzliwość i nieufność powodowały, że z pewnym niepokojem czekaliśmy na rozwój wypadków.

Jakby na ironię, bo w prima aprilis, w miejsce wcześniej odebranych paszportów, w których uznawani byliśmy za radzieckich obywateli, wydano nam nowe dowody osobiste, ale już bez wzmianki o przynależności państwowej. Mój dowód osobisty, który odbierałem z mieszanym uczuciem, nosił numer: 537Io4 seria II PCh.

W maju przyszła wreszcie i na nas kolej. Rozpoczęła się rekrutacja; ściśle według kryteriów, które obowiązywały w Armii Czerwonej, to znaczy wszyscy mężczyźni o dobrym stanie zdrowia, w wieku od 18 do 55 lat, oraz ochotnicy, czyli kobiety i młodzież poniżej ustalonej granicy wieku, mieli się zgłosić w rejonowej komendzie uzupełnień, celem dokonania niezbędnych formalności związanych z poborem.

Dokładnie 22 maja na placu przed restauracyjnym budynkiem stanęło kilka samochodów ciężarowych, którymi mieliśmy wyruszyć w drogę. W małym tłumie wokół pojazdów wrzało jak w ulu. Czułe pożegnania, serdeczne uściski, ostatnie rady i wskazówki, ożywiona wymiana zdań − wszystko to trwało jakiś czas, aż wreszcie milicjant zaczął nawoływać do zajmowania miejsc w samochodach.

Tak jak za pierwszym razem, wybrałem się znowu w najlichszym ubraniu i z węzełkiem na przybory toaletowe oraz na niezbędną żywność. Babusia, matka i chłopcy znowu mnie odprowadzali. Gdy trzeba było się żegnać, mieliśmy łzy w oczach. Znowu prosiłem braci, aby byli grzeczni i posłuszni. Matka wcisnęła mi na odchodne jeszcze parę rubli na wszelki wypadek.

Samochody dowiozły nas tylko do stacji Szortandy, gdzie wsiedliśmy do pociągu osobowego, którym dojechaliśmy do Aleksiejewki[3], noszącej kazachską nazwę Ach-Kul, siedziby rejonowej komendy uzupełnień. Tutaj po zewidencjonowaniu i po badaniach lekarskich otrzymaliśmy książeczki wojskowe, w których określona została nasza przydatność do pełnienia służby wojskowej.

Z mojej książeczki wynikało, że zostałem uznany za zdolnego do służby. Nadano mi specjalność tajemniczą liczbą 133, zaliczono do rezerwy drugiej kategorii a wykształcenie określono na dziewięć klas rosyjskiej jedenastolatki. Rok urodzenia miałem prawidłowy, czyli 1924.

Po rejestracji przewieziono nas pociągiem do tak zwanej *obłastnoj*[4] wojskowej komendy uzupełnień w Akmolińsku, do tej samej, w której kilka miesięcy temu załatwialiśmy formalności związane z wyjazdem do armii Andersa. Tutaj poddani zostaliśmy dalszym badaniom lekarskim i zabiegom ewidencyjnym.

Ci wszyscy, którzy służyli już w wojsku polskim i posiadali oficerski lub podoficerski stopień wojskowy, zostali wyłączeni z naszej grupy i natychmiast skierowani do tworzącej się dywizji. […]

My, jako nieprzeszkoleni szeregowi, zostaliśmy w Akmolińsku zatrzymani do czasu skompletowania odpowiedniego transportu. Zakwaterowano nas i zaprowiantowano w miejscowych koszarach. Zadbano także o to, abyśmy się w okresie wyczekiwania zbytnio nie nudzili. Wyprowadzano nas na tory kolejowe, gdzie w ciągu dnia wykonywaliśmy szereg najprostszych czynności ziemnych.

W międzyczasie do Akmolińska ściągano poborowych z innych okolicznych miejscowości i – podobnie jak nas –

przetrzymywano, aby później w sposób zorganizowany przewieźć wszystkich razem w rejon formowania dywizji.

Przygotowania przeciągały się. Dopiero 19 czerwca późnym wieczorem, umieszczeni w kilku osobowych wagonach i pod wodzą radzieckiego oficera, wyruszyliśmy w drogę, w kierunku nieznanego nam jeszcze miejsca przeznaczenia.

[…]

Najpierw marszruta wiodła na północ, w stronę Pietropawłowska, gdyż tylko tędy można się było wydostać na szeroki świat. Później skręciliśmy na zachód. Do Swierdłowska pruliśmy po transsyberyjskiej magistrali, co umożliwiło dotarcie do Uralu w stosunkowo krótkim czasie. Dalej nie szło już tak sprawnie. Pod semaforami i na bocznicach zdarzały się dłuższe postoje. Na niektórych, najczęściej jednotorowych odcinkach wlekliśmy się niemiłosiernie długo. Ta swego rodzaju kolejowa przepychanka trwała aż do 26 czerwca, to znaczy do czasu kiedy tuż za Riazaniem, na bardzo podrzędnej stacyjce o nazwie Diwowo, kazano nam wreszcie opuścić wagony.

WACŁAW ZAKRZEWSKI

Zaczęto szeptać, że podobno polskie wojsko się formuje. Zacząłem pilnie szukać wiadomości. Poszedłem do Wizingi, do wojenkomatu. Dowiedziałem się, że: „Polaczki udrali”. Była to mowa o armii Andersa. Wróciłem z niczym.

Traktowanie nas zmieniło się znów na gorsze. Podczas pobytu wyrobiliśmy sobie opinię pozytywną. Po wyjściu Andersa do Iranu zaczęto odnosić się do nas jak do wrogów, jak do tych, którzy zdradzili. W maju znów zaskoczyła nas wiadomość, że organizuje się wojsko. Co to za wojsko? W końcu wyjaśniło się, że to polskie wojsko. Napisałem podanie do Wandy Wasilewskiej, do Patriotów Polskich

z prośbą o przyjęcie mnie do polskiej armii. Po jakimś czasie wezwali mnie do wojenkomatu w Wizindze. Teraz wyrazili zgodę na przyjęcie mnie do wojska. […] Radość moja była ogromna. Uśmiechała mi się droga do Polski, do tej Polski wytęsknionej, wyśnionej po nocach i wreszcie powrót do niej realny. […] Opanowała mnie tylko radość, którą psuło to, że jeszcze może się coś stać, że jeszcze mogą cofnąć decyzję, że jeszcze mogą odwołać, że jeszcze mogę zostać, aby zachwycać się tajgą, a ja przecież tych zachwytów miałem już dosyć. Naprawdę dość. Miejscowi patrzą i mówią: „Czewo on, durak, takoj dowolen? Tam gorie i smiert`, a on kak raz by szoł gulat`”[5]. […]

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu. Co mogłem, to sprzedałem lub zamieniłem na trochę żywności. Resztę zostawiłem pozostającym tam Polakom. Odprowadzają nas miejscowi i Polacy. Do Wizyngi idziemy pieszo. Dalej jedziemy samochodem do Syktywkaru. W jakże innym nastroju jedziemy tą samą drogą z powrotem. Bez żalu, lecz z radością żegnamy, daj Boże na zawsze, te niełaskawe dla nas strony. W Syktywkarze zaprowiantowali nas i skierowali na statek, którym popłyniemy do Kotłasu. […]

W Syktywkarze wsiedliśmy na statek. Płyniemy rzeką Dźwiną. Jest to olbrzymia rzeka. Szerokość jej wynosi około trzech kilometrów. Wpada ona do Morza Białego. Płyniemy jej końcowym odcinkiem w górę rzeki. […] Płyniemy jakby wąwozem szerokim. Widoki piękne. Gdy płynęliśmy w tamtą stronę, to myśli były zajęte czym innym i nie zauważyliśmy tego piękna i urody. Wzdłuż brzegów pełno tartaków, które przerabiają drewno. Brzegi porżnięte z góry do dołu jakby rowami. To spadające wody wiosenne powymywały sobie drogi w tych skamielinach. Sama natura tak pięknie to utworzyła. Wspaniale to wygląda, jakby sny-cerz potężnym rylcem to wyrył. […] Co jakiś czas

zatrzymujemy się przy brzegu i zabieramy nowych pasażerów. […] Dopłynęliśmy do Kotłasu. Tutaj nas znów zaprowiantowano i dalej pojechaliśmy już pociągiem przez Gorki[6] do Sielc.

W Gorkach staliśmy z pociągiem na bocznym torze. Zaczął się nalot niemieckich samolotów na miasto. Gotowaliśmy sobie kaszę obok torów, gdy ogłoszono alarm lotniczy. Obok stacji towarowej mieściły się Zakłady Samochodowe GAZ, w których produkowali wozy ciężarowe. Z niedogotowaną kaszą uciekliśmy w pole i leżąc na plecach, obserwowaliśmy niebo. Co za piękny widok, a jaki straszny w swym dziele.

JAN PROROK

Wczesnym rankiem 20 maja 1943 roku wyruszyła z Ważju[7] do Ib[8] spora grupa nędzarzy i obdartusów z maleńkimi zawiniątkami pod pachą. Byli to wybrańcy losu, szczęśliwi i nieszczęśliwi zarazem, ci, którzy poprzedniego dnia wieczorem otrzymali z rąk majstra karty powołania do wojska, do tworzącej się po raz wtóry na terenie ZSRR polskiej jednostki wojskowej. Jakiej − jeszcze nikt nie wiedział, gdzie – też nie, ale że odchodzili *w sołdaty*[9] wiedziało całe Ważju i las, bo od wczorajszego popołudnia majster w koło gardłował, że: „Oni uż liesu rubit’ nie budut!”[10].

Wybrańcy losu – bo nie wszyscy mężczyźni tego pamiętnego wieczora otrzymali od majstra karty powołania, a nieszczęśliwcy – bo wielu z nas, jedynych żywicieli wieloosobowych rodzin, nie przeczuwając niczego złego, żegnało się ze swymi najbliższymi po raz ostatni w życiu. Wszyscy zaś pozostawiali swoje rodziny w odludnym, nieprzyjaznym lesie na długo i na pastwę losu.

[…]

Odziani w „odświętne” łachmany, stanowiące żałosne resztki okrycia przywiezionego niegdyś z Polski, lub w czarno-zielone wybrakowane mundury armii amerykańskiej, będące darem rządu USA dla polskich wysiedleńców w ZSRR, kroczyli teraz leśną ścieżynką dziesiątki kilometrów do punktu zbornego, do *rajwojenkomatu*[11] w Ib, otoczeni licznym gronem odprowadzających: rodzinami, znajomymi i przyjaciółmi, wśród gwaru, narzekań, lamentów i płaczu.

Przodem tej rozpłakanej i zatroskanej karawany szła, jakby dla kontrastu, spora gromadka tubylczej młodzieży Komi − szesnasto-, osiemnastolatków podrygujących w takt harmoszki i śpiewających na pożegnanie polskim wysiedleńcom skoczne rosyjskie czastuszki, podobne do tych, które śpiewali swoim czerwonoarmistom, w końcu czerwca 1941 roku gremialnie powoływanym do wojska.

Wśród tej zróżnicowanej gromady ludzkiej, rozproszonej na znacznym odcinku leśnej ścieżynki, szedłem i ja, odprowadzany przez starszą siostrę. Reszta rodziny, czyli: ojciec, kuzynka i młodsza siostra mieszkający w odległym o 16 kilometrów kołchozie, nie wiedzieli, co zaszło, a ja, ze względu na odległość i ograniczony czas, nie mogłem ich powiadomić ani pożegnać. Bolałem nad tym ogromnie, zważywszy, że wyjeżdżałem na front, że wszystko może się zdarzyć i że to pożegnanie z ojcem i rodziną może być pożegnaniem ostatnim.

W Dżepcie[12] i Jasnogu, przez które przechodziliśmy, nasza grupa poborowych i odprowadzających stale się powiększała i wydłużała, aż urosła do sporej procesji. […]

Kulminacyjny moment pożegnań przypadł nazajutrz, 21 maja, około południa, gdy władze wojenkomatu zakończyły sprawdzanie listy obecności wszystkich poborowych. […]

Na statku − płynącym przez dwa dni rzekami Sysołą i Wyczegdą z Ib przez Syktywkar do Kotłasu − panował grobowy nastrój. Poborowi rozmawiali ze sobą niechętnie i niewiele. […]

W Kotłasie, gdzie po dwóch dniach podróży przycumował nasz statek i gdzie zbiegają się linie kolejowe z północnych obszarów ZSRR: z Archangielska i Workuty, roiło się już od polskich łachmanów. Na ulicach, peronach i w poczekalniach swojsko dźwięczały słowa polskiej mowy, dosadnie kontrastując z hasłami i napisami w języku rosyjskim rozwieszonymi na ścianach dworca kolejowego. […]

Skład pociągu specjalnego, którym odbywaliśmy podróż na południe, niewiele się różnił od eszelonu, którym nas tu przywieziono przed trzema laty. W zwyczajnych „krowich” wagonach towarowych brakowało jedynie kłódek, pryczy, żeliwnych piecyków i okratowanych okien, za to dodatkowym wyposażeniem wagonu była słoma; wilgotna, sczerniała, cuchnąca słoma, przypominająca wyglądem wymiętoszoną mierzwę lub sieczkę.

Suchy prowiant na drogę, wydany na stacji w Kotłasie, stanowiły: chleb, cukier, suchary, sproszkowany koncentrat zupy lub kaszy jęczmiennej i… puszka świńskiej tuszonki[13] […]. Na stacjach kolejowych, na których zatrzymywał się nasz eszelon, wychodziliśmy na perony po tzw. *kipiatok*, czyli po gorącą wodę, z kranu umieszczonego zwykle w ścianie budynku stacyjnego od strony peronów. Wtedy należało nasłuchiwać umownych sygnałów naszej lokomotywy. Jeden przeciągły gwizd oznaczał: przygotować się do odjazdu. Dwa krótsze: pociąg za chwilę odjedzie, a po trzech krótkich − koła wagonu wprawiano w ruch. Średni czas od pierwszego gwizdka do ostatniego wynosił około dwóch minut. Było to dużo i mało zarazem. Na trasie

naszej podróży mieliśmy wiele postojów krótszych i dłuższych, dochodzących niekiedy do kilkunastu godzin. Ale na żadnej stacji nie informowano nas o zamierzonej długości postoju. Było to poniekąd zrozumiałe, gdyż z każdym dniem wkraczaliśmy coraz głębiej w strefę przyfrontową i niespodziewanych przypadków nie można było wykluczyć.

Na jednej takiej stacji, o czysto rosyjskiej nazwie Iwanowo, przydarzył się nam nieoczekiwanie przykry incydent z sokistami. Incydent, który kilku z nas mogło przypłacić nawet życiem.

Kierownik pociągu, zapytany o godzinę odjazdu, odrzekł, że odjedziemy nie wcześniej niż o piątej po południu. Korzystając z tak długiego postoju, bo dochodziła dziesiąta, poszliśmy beztrosko do miasta, którego ulice przylegały niemal do samych torów. Nie oddaliliśmy się zbytnio od zabudowań stacyjnych i zamierzaliśmy przebywać w mieście około godziny, aż tu nagle doleciał nas od stacji przeciągły sygnał naszej lokomotywy. Pierwszy długi gwizdek. Nie dowierzając własnym uszom, zawróciliśmy natychmiast i zaczęliśmy biec w kierunku peronów. Było nas siedmiu. Po chwili usłyszeliśmy dwa krótkie gwizdy, a u wejścia na peron – trzy krótkie. Biegłem pierwszy. Resztkami sił dopędziłem toczący się pociąg i dosięgłem uchwytu nad zderzakiem w ostatnim wagonie. Jeszcze tylko jedno mocniejsze odbicie się nogami od peronu i stanąłbym na stopniu, ale „uczynny” sokista pochwycił mnie wpół i siłą powalił na peron. Pociąg nieubłaganie nabierał szybkości i odjechał, a naszą siódemkę nierozważnych „turystów” otoczyli uzbrojeni sokiści i grożąc bagnetami, pognali „dezerterów” – jak się później okazało – do wojenkomatu mieszczącego się w centrum miasta. […]

Noc spędziliśmy o głodzie i chłodzie, wsparci dla rozgrzewki plecami o siebie, stojąc lub kucając, bo ściany ociekały wilgocią. W celi, oprócz kamiennej podłogi, nie było żadnych sprzętów.

Śledztwo rozpoczęło się nazajutrz. Wyprowadzano nas z celi pojedynczo i stawiano przed obliczem srogiego śledczego, a następnie kierowano do izolatek.

− Dezerter, aa?!… Wojowat nie choczesz?[14] – tymi słowami witał nas zza biurka zgryźliwy rudawy cywil, dodając ironicznie: − W karnej kompanii powojujesz… nie biespakojsia![15].

Nogi ugięły się pode mną na takie dictum. […] Przecież zdarzył się tylko zwyczajny wypadek… Informacja kierownika pociągu nie była ścisła i to wprowadziło nas w błąd. Nic więcej. Nikt z nas nie myślał o żadnej dezercji, bo i dokąd mielibyśmy uciekać, z powrotem do lasu? […]

Śledztwo w podobnym stylu trwało dwa dni […]. Rudawy śledczy srożył się i groził, chmurzył i łagodniał, jakby chciał koniecznie zasilić ruskie oddziały karne upartymi polskimi dezerterami. W trzecim dniu śledztwa dano nam spokój i znów wepchnięto do wspólnej celi. Czekaliśmy jak na wyrok. Czwartego dnia zmieniono nam celę na lepszą i pognano do roboty. Pod okiem czujnych „karabinierów” sprzątaliśmy scenę i myliśmy okna i podłogi w miejscowym teatrze. Musieliśmy się chyba dobrze spisać w tej sprzątaninie, bo szóstego dnia wieczorem pozwolono nam obejrzeć spektakl. Siedzieliśmy w ostatnich bocznych fotelach przy prawie pustej widowni. Finał nastąpił siódmego dnia rano, kiedy to dwóch czerwonoarmiejców zaopiekowało się nami i pognało nas w kierunku stacji kolejowej.

Na tym można by zakończyć nasze i moje „dezerterskie” tarapaty w podstołecznym Iwanowie, ale uzbrojeni

konwojenci dostali rozkaz pilnowania nas dalej niż do najbliższej stacji kolejowej. Mieli oddać nas – „siedmiu polskich dezerterów” – w ręce polskich władz wojskowych celem… ukarania. Stąd też dalszą podróż na południe odbywaliśmy w towarzystwie uzbrojonych, czyli pod konwojem.

Jechaliśmy wygodnie pociągiem osobowym, z przesiadką w Moskwie, aż do maleńkiej stacyjki Diwowo nad Oką. Tu przedstawiciel dowództwa dywizji, oficer dyżurny w pięknym polskim mundurze z biało-czerwoną opaską na rękawie, witający w imieniu dowództwa wszystkich przybywających na stację tułaczy Polaków, powitał i nas przyjaźnie, z uśmiechem, bez wdawania się w jakiekolwiek dociekania powodów spóźnienia.

JÓZEF DUBIŃSKI

Z „Izwiestii”[16] można było wyczytać o dalszym marszu Armii Czerwonej na zachód. Pisano o zdobyciu przez armię każdej najmniejszej miejscowości, czego nie można było wyczytać wcześniej, kiedy niemiecka nawała runęła na wschód. […] Każdego dnia listonosz przynosił po kilka kart pogrzebowych, donoszących o zabitym synu, ojcu, a nawet dziadku, którzy ginęli: „za rodinu, za Stalina”[17]. […]

Przeszła jeszcze jedna zima 1942−1943. Nastało lato, które tutaj przychodziło pod koniec maja, na początku czerwca. Straciliśmy już nadzieję na powrót do domu. Nic nie było nam wiadomo o tworzeniu się nowych jednostek polskich i wyjeździe Polaków do tej armii. Nie wyczytaliśmy też takiej wiadomości z „Izwiestii”, a może po prostu przeoczyliśmy. […]

W sierpniu zawiadomiono mnie, że mam się zgłosić do Sargatki[18] na ćwiczenia […]. Ćwiczenia trwały przez cały wrzesień, a po ich zakończeniu każdemu Rosjaninowi

wręczono skierowanie do jednostki frontowej, a mnie kazano wrócić do domu. Po trzech dniach otrzymałem wezwanie do RWK w Sargatce. W zawiadomieniu poinformowano mnie, że mam zabrać ze sobą żywność i odzież na miesiąc, co świadczyło, że mają mnie zabrać do wojska.

Z biura otrzymałem wyprawkę w postaci siedmiu kilogramów mąki żytniej razowej. Mama upiekła chleba z na wpół startymi ziemniakami. Poprosiła Iwanczyszyna, by zabił prosiaka, z którego część mięsa upiekła dla mnie i wszystko to spakowała do lnianego worka. Dyrektor mleczarni dał zaprzęg, składający się z byka i sani, i 12 października wyjechaliśmy z matką, żegnani przez miejscowe społeczeństwo, a szczególnie przez młodzież, która odprowadziła mnie na odległość 12−15 kilometrów. Odprowadzając mnie […] na przemian śpiewali i płakali. Przeżywałem to z różnymi uczuciami, żal mi było rozstawać się […]. Doszliśmy z tym śpiewem i płaczem aż pod Karmanę i około godziny dwudziestej drugiej na dobre rozstaliśmy się ze łzami w oczach. Oni poszli w drogę powrotną do Chochłowa, a ja z mamą w dalszą drogę do Sargatki. Mama miała obowiązek w drodze powrotnej […] przywieźć − z barki na Irtyszu − soli do mleczarni.

Do Sargatki dotarliśmy nad ranem. Po krótkim odpoczynku i ogrzaniu się w domu uprzejmych gospodarzy tej miejscowości, przed południem jeszcze tego samego dnia zgłosiłem się do RWK, do komendanta Polańskiego, który zapytał mnie, czy chcę iść do polskiej armii? Powiedziałem mu, że uzgodnię to z mamą i jutro dam odpowiedź. Wróciłem na kwaterę, zaprzęgliśmy byka i pojechaliśmy na przystań, tam naładowaliśmy soli i wróciliśmy na tę samą kwaterę. Tam spędziliśmy noc. Uzgodniliśmy z mamą, że pójdę do wojska, może w ten

sposób prędzej dostanę się do Polski. Rozstałem się z ukochaną mamą z płaczem i różnymi myślami, które nas nękały. Mama pojechała z powrotem do Chochłowa, ja poszedłem zgłosić się do RWK. […]

Gdy przybyłem do RWK, komendant zabrał mnie ze sobą i zaprowadził do leśniczego […], który mnie i swego syna − może o rok starszego ode mnie, narodowości estońskiej − miał zawieźć do Omska na punkt zborny.

Około godziny dziewiątej ruszyliśmy w drogę do Omska, odległego ponad sto kilometrów […]. Do Omska dotarliśmy po północy i znów, jak w każdej innej miejscowości, zajechaliśmy na nocleg do znajomych leśniczego.

[…] Gdy po przespanej nocy ruszyliśmy ulicami miasta na punkt zborny, który znajdował się w kościele lub cerkwi, widziałem na ulicach jeszcze sześć trupów leżących na śniegu, umarłych przez noc z głodu i chłodu. […] Na myśl przychodził mi […] obraz ojca, który został w więzieniu w Czortkowie[19].

Po przybyciu na punkt zborny w kościele, okazało się, że takich jak ja było tam już kilkaset osób, z tym że na posadzce i każdym piętrze, prowizorycznie skleconym z żerdzi i desek, znajdowała się inna narodowość […]. Była grupa Litwinów, Estończyków, Rumunów, Rosjan i nasza, polska, licząca 37 osób. Kierował nią ruski sierżant w mundurze polskiego żołnierza. Na drugi dzień po moim przybyciu grupa nasza odmaszerowała na *wogzał* (dworzec kolejowy), skąd mieliśmy wyjechać na zachód do Sielc nad Oką. Podróż ta trwała prawie miesiąc. Jechaliśmy różnymi pociągami: towarowymi, osobowymi i nawet sanitarnymi; takimi, jakie można było dostać i do jakich nas wpuszczono.

Czekaliśmy niejednokrotnie przez dwa dni na następny pociąg, śpiąc na posadzkach wogzałów, brudni i zawszeni. Jedliśmy zapasy zabrane z domu, popijaliśmy kipiatokiem,

który prawie na każdej większej stacji można było nalać z zaworu wystającego na zewnątrz budynku stacyjnego. Czasem, tak jak w Swierdłowsku, podano nam ciepłą strawę, jakiś kapuśniak czy inną zupę.

Mieliśmy też różne nieprzewidziane przygody w podróży. Pierwszą, przykrą i nieprzyjemną, mieliśmy w Kazaniu, kiedy to w oczekiwaniu na pociąg spaliśmy w poczekalni na posadzce i nagle zrobił się ruch, i zgasło światło, a gdy po chwili zabłysło z powrotem, okazało się, że większość worków z chlebem została naszym chłopcom skradziona. Mój worek uratowałem dlatego, że nie był duży i że miałem go pod głową w czasie spania. […]

Zaduch, wszy i głód nie opuszczały nas. Za *lepioszkę*[20] z jednego ziemniaka trzeba było płacić 10−20 rubli, za bochenek chleba razowego 400 rubli. W kraju, gdzie ziemie są tak urodzajne, żywność była droższa od złota. Toteż kradło się, co się tylko dało, z żywności.

Przypisy

[1] Fizylierki (fizylierzy) – oddział wspierający akcje pancerne w ramach dywizji.
[2] „Prawda” − dziennik wydawany w Moskwie przez komunistów od 1912.
[3] Aleksiejewka − obecnie Akkol (Kazachstan).
[4] *Obłastnaja* (ros.) − obwodowa.
[5] Czemu on, głupi, taki zadowolony? Tam rozpacz i śmierć, a on jakby na spacer szedł (ros.).
[6] Gorki − obecnie Niżny Nowogród (Rosja).
[7] Ważju − osada w rejonie Komi (obwód archangielski, ZSRR).
[8] Ib − wieś w rejonie Komi (obwód archangielski, ZSRR).
[9] Do wojska (ros.).
[10] Oni już lasu rąbać nie będą (ros.).

[11] *Rajwojenkomat* − ros. *Rajonnyj wojennyj komissariat* (RWK), rejonowy wojenny punkt mobilizacyjny.
[12] Dżept − specposiołek w rejonie Komi (obwód archangielski, ZSRR).
[13] Tuszonka (ros.) − konserwa mięsna.
[14] Walczyć nie chcesz (ros.)?
[15] … nie martw się (ros.).
[16] „Izwiestia” − dziennik wychodzący w Moskwie od 1917 roku.
[17] Za ojczyznę, za Stalina (ros.).
[18] Sargatka − obecnie Sargatskoje; miasto w obwodzie omskim, nad rzeką Sargatką.
[19] Więzienie NKWD w Czortkowie (obwód tarnopolski, Ukraina).
[20] Lepioszka − chleb bez drożdży, popularny w Azji Środkowej.

Rozdział III

„Wczoraj łach, mundur dziś…”

Kadra oficerska

Kadra dywizji kościuszkowskiej składała się w przeważającej części z oficerów Armii Czerwonej, których oddelegowano do polskiego wojska. Zajmowali oni różne stanowiska, uzależnione w dużej mierze od ich narodowości. Stanowiska dowódcze obsadzano oficerami mającymi polskie korzenie, pozostali pełnili obowiązki instruktorów. 6 lipca 1943 roku w dywizji kościuszkowskiej służyło 684 oficerów, z tego około 66 procent stanowili oficerowie radzieccy, 29 procent − oficerowie wojska II RP, a 6 procent − oficerowie nowo mianowani i polityczni bez stopnia. Zastępcami gen. Zygmunta Berlinga byli mjr Włodzimierz Sokorski (zastępca dowódcy ds. oświatowych) i płk Bolesław Kieniewicz (zastępca dowódcy ds. liniowych). Szefem sztabu dywizji został płk Antoni Siwicki, dowódcą artylerii − płk Wojciech Bewziuk, szefem saperów − ppłk Bronisław Lubański. Dowódcami trzech pułków piechoty zostali: ppłk Władysław Kozino, mjr Gwidon Czerwiński i ppłk Tadeusz Piotrowski, zaś dowódcą pułku czołgów − ppłk Anatolij Wojnowski. Jedynym Polakiem wśród tej grupy oficerów był dowódca pułku artylerii lekkiej ppłk Leon Bukojemski (od października 1940 do czerwca 1941 razem z gen. Berlingiem był przetrzymywany w willi w Małachówce).

Kształcenie oficerów piechoty dla polskiej armii na wschodzie rozpoczęto już w czerwcu 1943 roku, zaś w lipcu i sierpniu w Riazaniu utworzono Oficerską Szkołę Piechoty, powstałą w ramach radzieckiej Oficerskiej Szkoły Piechoty

im. K. Woroszyłowa. W marcu 1944 roku została ona przekształcona w Centralną Szkołę Podchorążych. Riazań stał się centrum wyszkolenia polskiej armii. Do końca wojny utworzono 5 szkół oficerskich piechoty, które mogły jednocześnie kształcić 6400 podchorążych.

W czasie wojny szlify podoficerskie w polskich i radzieckich jednostkach szkolnych zdobyło 32 tys. żołnierzy. Nauka trwała krótko, przeważnie sześć tygodni. W warunkach frontowych oznaczało to, że nowi dowódcy mieli mało czasu na doskonalenie umiejętności, gdyż najczęściej od razu po ukończeniu szkoły szli ze swoimi jednostkami do boju. Taki system kształcenia miał negatywne skutki podczas działań bojowych.

Od momentu utworzenia dywizji kościuszkowskiej starano się do niej kierować oficerów polskiego pochodzenia. Z czasem do rozrastającej się armii kierowano oficerów radzieckich nieznających języka polskiego. Cierpiało na tym szkolenie wojskowe, co w konsekwencji odbiło się niekorzystnie na sprawności bojowej.

Bardzo mało oficerów miało wykształcenie wyższe. Widoczny był brak doświadczenia w dowodzeniu dużymi jednostkami. Oficerowie i podoficerowie praktykę bojową zdobywali dopiero w polskiej armii. Braki nadrabiali brawurą, co powodowało duże straty osobowe.

Styl dowodzenia, wywodzący się z zasad regulaminowych Armii Czerwonej, zobowiązywał dowódców do przebywania na wysuniętych stanowiskach, aby móc bezpośrednio kierować działaniami bojowymi. Obecność dowódców w pobliżu walczących wojsk dawała możliwość szybkiego reagowania na wydarzenia, a jednocześnie zagrzewała szeregowych żołnierzy do walki.

Oficerowie polityczno-wychowawczy

Polskie jednostki walczące na froncie wschodnim były tworzone w oparciu o wzorce stosowane w Armii Czerwonej. Dotyczyło to również służby polityczno-wychowawczej, stanowiącej dla polskich komunistów, skupionych wokół ZPP, najważniejsze ogniwo propagandy i indoktrynacji. Specyfika zadań powodowała, że dokładano starań, aby kadrę oficerów politycznych stanowili Polacy. Z powodu niedostatku polskich oficerów, sięgnięto po cywilów bez przeszkolenia wojskowego. Zostawali oni tymczasowo tzw. oficerami bez stopnia. W późniejszym terminie przechodzili szybkie kilkutygodniowe kursy, dzięki którym otrzymywali odpowiednie awanse.

Ponieważ gen. Zygmunt Berling nie zgodził się na używanie określenia „oficer polityczny”, gdyż kojarzyło się z komisarzami Armii Czerwonej, wymyślono termin „oficer służby kulturalno-oświatowej”. Zgodnie z przyjętą instrukcją oficerowie ci pełnili funkcję zastępców dowódcy i byli odpowiedzialni za ideowe wychowanie żołnierzy. Przed bitwą pod Lenino dowódca dywizji kościuszkowskiej wyraził zgodę na kolejną zmianę językową: „służby kulturalno-oświatowe” nazwano wtedy „korpusem oficerów polityczno-wychowawczych”. Było to spowodowane chęcią podkreślenia ich politycznej roli.

Kształcenie kadr oficerów politycznych dla rozbudowującego się wojska odbywało się w specjalnych szkołach polityczno-wychowawczych. W kwietniu 1945 roku w wyzwolonej Łodzi otworzono Centralną Szkołę Oficerów Polityczno-Wychowawczych, kształcącą jednocześnie do 2 tys. podchorążych i oficerów.

Przebieg szkolenia, obóz szkoleniowy w Sielcach, kadra szkoleniowa

Podstawą programu szkolenia 1. Dywizji Piechoty było założenie, że główną formą działań jest natarcie, i to atakowi poświęcano 90 procent zajęć. W ćwiczeniach stosowano metody poglądowo-praktyczne, powtarzając poszczególne zagadnienia aż do pełnego ich opanowania. Mimo że odziały berlingowców były przygotowywane do walki pospiesznie, program podstawowego szkolenia został zrealizowany. Żołnierze 1. Dywizji przeszli trzymiesięczny instruktaż, kolejne jednostki szkolono według przyspieszonego półtoramiesięcznego trybu. Było to spowodowane naciskiem na szybkie formowanie oddziałów.

Rozwój polskiej armii wymusił rozbudowę systemu szkoleń. W programie szczególną uwagę zwracano na natarcie na silnie umocnioną pozycję, połączone z forsowaniem przeszkody wodnej, a także na współdziałanie piechoty z czołgami. W późniejszym okresie, kiedy wcielano do wojska również niedoświadczonych rekrutów, sprawność bojowa oddziałów znacznie się obniżyła. Dodatkowo zaczęło brakować koszar, umundurowania, obuwia, bazy szkoleniowej, instruktorów, sprzętu transportowego i środków łączności. Dużym problemem było również wyżywienie wojska. Najgorzej przedstawiało się wyposażenie w środki transportowe, których przez cały okres wojny było zbyt mało. Bardzo często transport mechaniczny trzeba było zastępować dużo wolniejszym przewozem konnym.

Symbole i tradycje

W 1. Dywizji Piechoty a później w całym Wojsku Polskim obowiązywał polski ceremoniał wojskowy: polskie modlitwy i nabożeństwa, hymn narodowy, biało-czerwona flaga, mundury, musztra, obchodzenie w tradycyjny sposób świąt

państwowych i religijnych, tradycyjne marszowe pieśni żołnierskie.

Kultywowaniu polskich tradycji miało również sprzyjać przyjęcie na patronów oddziałów rodzimych bohaterów narodowych: Tadeusza Kościuszki, Jana Henryka Dąbrowskiego, Romualda Traugutta, Jana Kilińskiego, Józefa Bema, Emilii Plater i Bohaterów Westerplatte. Najwięcej kontrowersji wzbudzał orzeł na czapkach berlingowców. Ponieważ Wanda Wasilewska i komuniści z ZPP nie akceptowali godła z symbolem orła w koronie, za znak nowego wojska przyjęto orła piastowskiego. Wzór zaczerpnięto z grobowców w kaplicy królewskiej bazyliki katedralnej w Płocku, w których spoczywają szczątki Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego.

Służba duszpasterska

Ważną rolę w podtrzymywaniu narodowego ducha odegrali kapelani wojskowi. Ich obecność w dywizji oraz możliwość uczestniczenia w obrzędach religijnych była dla wielu żołnierzy moralnym wzmocnieniem, jak również dodawała autentyzmu nowo tworzonej formacji. Symbole narodowe i praktyki religijne stanowiły dla żołnierzy najbardziej przekonujący dowód na „polskość” wojska, do którego wstępowali.

W obozie sieleckim urządzono nawet kaplicę, w której nad ołtarzem umieszczono obraz przedstawiający Matkę Boską na tle Orła Białego i sztandaru narodowego, unoszącego się nad grobem Chrystusa. Mimo zaciekłych sprzeciwów zarówno ze strony komunistów, jak i większości oficerów radzieckich, kapelani wojskowi byli obecni w polskich jednostkach przez cały okres wojny.

Pierwszym kapelanem 1. Dywizji Piechoty został ksiądz Wilhelm Franciszek Kubsz. Kapłan pochodził ze Śląska, ale

posługiwał na Polesiu. Po ataku Trzeciej Rzeszy na ZSRR, zagrożony aresztowaniem przez Niemców, wstąpił do radzieckiego oddziału partyzanckiego. W 1943 roku został ściągnięty do Moskwy, gdzie uczestniczył w zjeździe organizacyjnym ZPP. Po objęciu obowiązków kapelana polskiej armii − gen. Berling mianował go majorem.

W październiku 1944 roku utworzono Główny Wydział Duszpasterstwa WP, na którego czele stanął ksiądz ppłk Stanisław Warchałowski. W ciągu całej wojny w szeregach Wojska Polskiego pełniło służbę 47 księży kapelanów.

Sądy polowe

19 czerwca 1943 roku utworzono pierwszy dywizyjny sąd polowy, pod przewodnictwem radzieckiego ppłk. Stefana Piekarskiego. W późniejszym okresie oficer ten przewodził sądowi 2. Armii WP (jej formowanie rozpoczęto w sierpniu 1944 roku). Wyroki na żołnierzy były wydawane w imieniu narodu polskiego, w oparciu o wprowadzony 7 lipca 1943 roku *Kodeks Karny Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR*.

Najwyższym wyrokiem była kara śmierci, potem − pozbawienie wolności do lat 10, który to wyrok często zamieniano na służbę w oddziałach karnych. Prawo łaski przysługiwało jedynie dowódcy polskiej dywizji (późniejszej armii). Ogółem tylko w okresie przebywania wojska na terenie ZSRR osądzono 541 żołnierzy, z czego 37 skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Pierwszym prokuratorem dywizji kościuszkowskiej był oficer polityczny mjr Hilary Minc (w PRL minister przemysłu i handlu). W sierpniu 1943 roku, po zatargu z dowódcą dywizji Hilary Minc został odsunięty ze stanowiska i zdegradowany do stopnia plutonowego. Przyczyną sporu była odmowa Minca zajęcia się sprawą

oficera radzieckiego pełniącego służbę w polskich szeregach, skazanego przez gen. Berlinga na karę śmierci.

1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR

10 sierpnia 1943 roku Stalin podjął decyzję o sformowaniu 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Decyzja była podyktowana dużym napływem ochotników do obozu w Sielcach, przekraczającym potrzeby jednej dywizji. Dowódcą korpusu został Zygmunt Berling, awansowany jednocześnie do stopnia generała brygady.

Po wysłaniu dywizji kościuszkowskiej na front (1 września 1943) w Sielcach rozpoczęto formowanie 2. Dywizji Piechoty im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, pod dowództwem płk. Antoniego Siwickiego. Wraz z nią utworzono również 1. Brygadę Artylerii Armat im. Józefa Bema, 1. Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte, 1. Samodzielny Batalion Łączności, 3. Samodzielny Batalion Saperów, 1. Samodzielny Batalion Rozpoznawczy i 1. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater. Na lotnisku w miejscowości Grigoriewskoje (w obwodzie riazańskim) sformowano 1. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”, który jednak nie podlegał 1. Korpusowi. Pod koniec grudnia 1943 roku w Sielcach rozpoczęto formowanie 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta, pod dowództwem płk. Stanisława Galickiego (w marcu 1944 awansowany na generała). W lutym 1944 roku ośrodek formowania jednostek polskich został przeniesiony z Sielc do Sum na Ukrainie.

W wyniku ciągłego napływu ochotników do polskich jednostek w połowie marca 1944 roku 1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR liczył już około 40 tys. żołnierzy i miał w swoim składzie trzy dywizje piechoty, brygady: pancerną i artylerii armat, dywizjony: moździerzy, artylerii

przeciwlotniczej i przeciwpancernej, pułk artylerii ciężkiej, bataliony: łączności, rozpoznawczy, saperów, specjalny, chemiczny, a także pododdziały: dowodzenia, obsługi i urządzeń tyłowych. (mb)

Wyciąg z rozkazu dziennego nr 39 dowódcy 1. DP w sprawie przysięgi wojskowej. Sielce, 12 lipca 1943 roku

1. Dnia 15 VII 1943 roku odbędzie się uroczyste zaprzysiężenie całego składu personalnego dywizji.
2. Przysięgę przyjmować będą członkowie prezydium Związku Patriotów Polskich.
3. Po złożeniu przysięgi nastąpi defilada dywizji. Defiladę odbiorę sam. Dowodzić defiladą będzie mój zastępca, pułkownik gwardii B. Kieniewicz.
4. Dla złożenia przysięgi i odbycia defilady przyprowadzić wszystkie oddziały dywizji, z wyjątkiem służby dziennej i jednego plutonu pogotowia na każdy pułk, a na 4. odcinku obozu – plutonu pogotowia z samodzielnego baonu saperów.
   Plutony pogotowia winny być w pełnym bojowym uzbrojeniu i wyposażeniu. Do służby dziennej wyznaczyć zdolnych, przygotowanych i wypróbowanych żołnierzy.
   Na wszystkich, którzy 15 VII 1943 roku przysięgi nie złożyli, należy przygotować wykaz. Zaprzysiężeni będą dodatkowo 18 VII 1943 roku.
5. Miejsce uszykowania się dywizji do przysięgi i defilady: plac przed sztabem dywizji (sprzęt artylerii, czołgów, samochodów i plutonów konnych – plac koło piekarni polowej).
6. Oddziały przybędą na miejsce zbiórki o godzinie 9.00 do 9.30.
   Początek składania przysięgi o godzinie 10.00.

Szef Sztabu Dywizji Dowódca Dywizji
A[ntoni] Siwicki, płk dypl. Z[ygmunt] Berling, płk dypl.

CAW, III-7/491, s. 58–65.

Raport instruktora Wydziału Politycznego 2. DP z wykonania wyroku sądu polowego na dezerterach. Sielce, 27 grudnia 1943 roku

Dnia 27 grudnia 1943 roku na terenie obozu 4. pp odbyło się wykonanie wyroku sądu polowego na 2 dezerterach z szeregów 2. PDP.

Przed wykonaniem wyroku od godz. 15 do 16 na plac przybywały oddziały 4. i 5. pp, batalionu kobiecego, saperów i innych jednostek dywizji. Oddziały przybywały z pieśnią i ożywieniem. W tym samym czasie przybyli przedstawiciele władz i sądu. O godz. 16.30 na plac wprowadzono oskarżonych w towarzystwie księdza majora Kubsza, który bez przerwy rozmawiał z oskarżonymi i opuścił ich na kilkanaście sekund przed salwą. Oskarżeni szli na stracenie o własnej sile. Przed przywiązaniem do słupów zaczęli prosić o łaskę: „Dajcie, jaką chcecie, karę" – mówił T. „Nie przywiązujcie mnie do słupa" – mówił drugi dezerter.

Pluton egzekucyjny z kompanii fizylierów 4. pp wykonał rozkaz szybko i sprawnie na komendę dowódcy: „Po dezerterach ognia".

W czasie czytania wyroku i egzekucji żołnierze zachowywali się poważnie i cicho. Nie było oznak współczucia ani łez. W momencie wykonania wyroku było już dość ciemno, dlatego do jednego z dezerterów na wniosek lekarza oddano dodatkową salwę, ponieważ dezerter zdradzał oznaki życia, poruszając głową i prężąc się. Po drugiej salwie stwierdzono śmierć.

Z powodu opóźnienia egzekucji na skutek zarządzenia zastępcy dowódcy dywizji przemówień przed egzekucją nie było. Polecono wygłosić przemówienia w pułkach.

Przechodząc w pobliżu trupów straconych, żołnierze przyglądali się im z ciekawością raczej niż ze współczuciem. Egzekucja wywarła na żołnierzach bardzo silne wrażenie. Z placu do obozu oddziały powracały z pieśnią.

Instruktor Wydziału Politycznego 2. DP
P[iotr] Jaroszewicz

CAW, III-3/92, s. 20.

RELACJE

Sielce nad Oką

BOLESŁAW DAŃKO

Po kilku dniach jazdy pociąg zatrzymał się na stacji Diwowo i jeszcze tego samego dnia ze łzami w oczach przeczytałem: „Witaj żołnierzu – wczorajszy tułaczu”. Komisja poborowa skierowała mnie do 3. pułku piechoty. Ponieważ „kupiec”[1] gdzieś się zawieruszył, a zmęczenie wzięło górę, postanowiłem się trochę zdrzemnąć pod drzewem. Obudziłem się na drugi dzień rano, ale bardzo przeziębiony i z wysoką temperaturą. Ktoś powiadomił lekarza, a ten po zbadaniu polecił postawić bańki. […]

Wróciwszy do zdrowia, znalazłem się w 7. kompanii, gdzie mianowano mnie pisarzem. Funkcję pełniłem jednak niedługo, bo zastępca dowódcy kompanii podporucznik Konrad Świetlik skierował mnie do szkoły podoficerskiej.

W początkowym okresie umundurowanie dywizji było jak w Armii Czerwonej, co wśród masy żołnierskiej budziło wiele komentarzy. Pewne wątpliwości budzili również oficerowie, którzy nie znali języka polskiego i posługiwali się tylko rosyjskim. Różnie też mówiono o Wandzie Wasilewskiej i Berlingu […]. Szczególnym komentarzom podlegała grupa dąbrowszczaków[2], którzy przybyli z Algierii, a oficjalnie w szyku zwartym wystąpili w dniu przysięgi na defiladzie. O tych sprawach żołnierze żywo dyskutowali, dając wyraz braku zaufania do dowództwa i wszystkiego, co się działo. Było to wynikiem bolesnych przeżyć, których większość doświadczyła.

Generał Zygmunt Berling wśród żołnierzy (1944, ZSRR). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Nawet księdza [Wilhelma] Kubsza uważali niektórzy za podstawionego oficera NKWD. Ja też byłem tego zdania, aż do pewnej lipcowej nocy, gdy pełniłem służbę wartowniczą przed budynkiem, w którym mieszkał pułkownik Berling, major [Włodzimierz] Sokorski, generał Karol Świerczewski i ksiądz major Kubsz. Noc była parna, ksiądz nie mógł spać na swoim poddaszu, zszedł na dół i wszczął ze mną rozmowę. Był ciekawy, skąd pochodzę, jak się tu znalazłem, gdzie mam rodzinę i czy jestem wierzący. Na posterunku żołnierzowi rozmawiać nie wolno, o czym wiedziałem, ale jak tu nie odpowiadać oficerowi i to w stopniu majora. Ponad godzinę zeszło na tej rozmowie, po czym ksiądz, nic nie mówiąc, poszedł do swojego pokoju. Za chwilę wrócił i wręczył mi medalik i książeczkę do nabożeństwa w czerwonej okładce. […]

Miałem też okazję przyjrzeć się z bliska Berlingowi. Stałem wtedy na posterunku przy *kukuruźniku*[3] dowódcy dywizji. Była godzina dziesiąta, gdy nadszedł pułkownik Berling. Wsiadł, pilot radziecki zakręcił śmigłem i samolot odleciał w kierunku Moskwy. Następna zmiana wypadła mi od godziny dwudziestej drugiej do dwudziestej czwartej przy mieszkaniu pułkownika Berlinga. Było już szaro, gdy między drzewami pojawiła się wysoka postać dowódcy. Zauważyłem, że na rękawach, naramiennikach i furażerce pojawił się generalski zygzak. Przyjąłem postawę zasadniczą, ściągnąłem karabin do nogi i zameldowałem: „Obywatelu generale, strzelec Bolesław Dańko melduje się na posterunku". Generał zasalutował, lekko się uśmiechnął i wszedł do budynku. Na pewno byłem pierwszym żołnierzem dywizji, który meldował się już nie pułkownikowi, lecz generałowi Berlingowi.

[…]

Żołnierze dywizji, w tym i ja, przechodzili dwa rodzaje szkolenia: bojowe i polityczne. Początkowo szkolenie bojowe prowadzili podoficerowie i oficerowie polscy z armii przedwrześniowej oraz Armii Czerwonej, a trochę później − absolwenci szkół podoficerskich i oficerskich. Oprócz tego byli również instruktorzy radzieccy, którzy chodzili w mundurach oficerów Armii Czerwonej. Byli przeważnie narodowości rosyjskiej i język polski był im obcy. Z tej też przyczyny szkolenie prowadzili w języku rosyjskim. Z powodu kilkuletniego pobytu w ZSRR większość z nas ten język znała, a gdy czasem pojawiały się jakieś trudności, to rozwiązywano je tak: instruktor brał do ręki część broni, pokazywał i mówił na przykład: „Wot eto zatwor"[4]. W grupie żołnierzy zawsze znalazł się ktoś, kto służył w wojsku lub posiadał przeszkolenie, i on tłumaczył: „To zamek". Gorzej było przy broni nowoczesnej, nieznanej

w Polsce przed wojną, gdy w polskiej terminologii nie było odpowiednika. Wtenczas instruktor mówił: „Wot eto… Chrienowinka”[5]. Nie przeszkadzało to jednak w przyswajaniu zasad posługiwania się bronią, bo instruktorzy byli dobrymi pedagogami i życzliwymi ludźmi.

Oprócz szkolenia bojowego, na które żołnierze szli z ochotą, było też − w formie pogadanek – szkolenie polityczne. Prowadzili je oficerowie oświatowi, późniejsi zastępcy dowódców. Na stanowiska te przybyli po odbyciu kilkutygodniowego kursu. Stosunek żołnierzy do tej kadry był różny i kształtował się indywidualnie.

Oświatowcy korzystali z umundurowania oficerskiego, na które składały się: chromowe[6] buty, granatowe spodnie *galife*[7], kurtka, pas główny z poprzeczką, torba polowa, pistolet i czapka. Początkowo nie mieli żadnych dystynkcji na naramiennikach. Później przyznano im stopnie wojskowe, przeważnie chorążych. Stopień taki w przedwrześniowej armii polskiej istniał, lecz nie jako stopień oficerski. W dywizji uznano go za pierwszy stopień oficerski, odpowiednik młodszego lejtnanta Armii Czerwonej.

Oznaką tego stopnia był cienki sznurek wzdłuż naramiennika, w środku z gwiazdką. Przypominało to trochę kometę i na tym tle powstał chętnie powtarzany żołnierski dowcip: „Jaka jest różnica między chorążym a kometą? Kometa to gwiazdka z kutasem, a chorąży to kutas z gwiazdką”.

Tematyka prowadzonych pogadanek nie była zbyt obszerna. Dotyczyła klęski wrześniowej, przyszłej demokratycznej Polski, stosunku do rządu londyńskiego. Pytań po pogadance nie było wiele, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że niektórych interesujących problemów oświatowy nie wyjaśni. Ponadto można się było narazić na

zarzut, iż się jest niepewnym. Z tej też przyczyny większość przyjęła zasadę wynikającą z rosyjskiego przysłowia: „Tisze jediesz, dalsze budiesz”[8]. Jeśli były szczere dyskusje, to w bardzo wąskim gronie kolegów.

ROMAN MARCHWICKI

Teraz z ogromną uwagą i wyjątkową wnikliwością przyglądałem się wszystkiemu, co mogłoby dać odpowiedź na nurtujące mnie pytanie, czy to wojsko, do którego idziemy, jest rzeczywiście polskie, i czy w tym poborze nie ma jakiegoś podstępu.

Tymczasem radziecki opiekun z podróży gdzieś się ulotnił, a na jego miejsce pojawili się nasi wojacy, dość dziwnie ubrani: w bluzach, tak zwanych gimnaściorkach[9], w owijaczach, w furażerkach z orłem bez korony i z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Oficer, który przewodził tej grupie żołnierzy, wyglądał korzystniej. Miał na sobie mundur drelichowy, zapinany pod szyją, eleganckie chromowe buty, broń przypiętą do skórzanego pasa z koalicyjką, a także torbę skórzaną przewieszoną przez ramię.

Już z pierwszej wymiany zdań wywnioskowałem, że żołnierze wywodzili się z Kresów, a oficer, który posługiwał się prymitywną polszczyzną, był tutejszy i co najwyżej miał pochodzenie polskie.

Z tej różnobarwnej i byle jak ubranej zbieraniny ludzkiej, która wysypała się z pociągu, uformowano kolumnę marszową, po czym na rozkaz przewodnika w mundurze ruszyliśmy przed siebie.

Bacznie obserwowałem okolicę i wszystko co się wokół mnie działo. Sama miejscowość nie była ciekawa. Porozrzucane po terenie drewniane chałupy, o zszarzałych ze starości rzeźbionych okiennicach i podniszczonych

gankach, nie przyciągały wzroku, chociaż były najwymowniejszym dowodem, że znaleźliśmy się na rdzennie rosyjskiej ziemi. Nie widziałem, aby wokół domostw krzątali się jacyś ludzie. Nie zauważyłem, abyśmy byli obiektem zainteresowania ze strony tutejszego społeczeństwa. Nawet dzieciarnia nie wybiegała na drogę, aby nam się bliżej przyjrzeć. Skromność wiejskich obejść i brak bujniejszej zieleni wokół zabudowań rzucały się w oczy, tworząc z okolicy obraz monotonny, bez życia.

W miarę oddalania się od Diwowa krajobraz począł się stopniowo zmieniać. W pewnym momencie droga wyprowadziła nas na zbocze, z którego roztaczał się rozległy widok na dolinę, przez którą przewijała się pokaźnych rozmiarów rzeka. To Oka ukazała nam się w pełnej krasie: majestatyczna, ze spokojnym nurtem i potężnym zakolem oraz rozległą łachą białego piachu, i starym sosnowym borem po przeciwnej stronie. Przed nami, za rzeką rozpościerał się wyraźnie lesisty krajobraz, bez ludzkich osiedli i zupełnie pozbawiony obiektów świadczących o ich gospodarczym przeznaczeniu. Jak się później okazało, przed nami rozciągał się poligon wojskowy moskiewskiego okręgu wojskowego.

[…]

Wkrótce podeszliśmy do samej rzeki, do promu, który w tym rejonie był jedynym środkiem przeprawy na drugi brzeg. Teraz mogłem bliżej przypatrzeć się wodzie. Nie byłem w stanie oprzeć się pokusie, aby po trzyletniej przerwie nie dotknąć prawdziwej rzeki. Kiedy umoczyłem rękę, przekonałem się, że woda była ciepła i już nadawała się do kąpieli. Pokaźna ilość narybku, jaki uwijał się tuż przy brzegu, świadczyła o tym, że ryb tutaj nie brakowało, tym bardziej że na głębszej wodzie i pomiędzy takimi

samymi wodorostami, jak na naszym Niemnie, dostrzec można było gołym okiem także większe sztuki.

Oka w tym miejscu była naprawdę szeroka i tak jak w słynnej piosence − można ją było pod tym względem przyrównać do Wisły. Brzegi krajobrazowo różniły się między sobą znacznie. Lewy: wysoki, gdzieniegdzie stromo schodzący w dół, na którego szczycie z rzadka usadowiły się domki, niemal bezdrzewny. Prawy: zupełnie nizinny, do którego z jednej strony przylegała mocno zakrzaczona łąka, a z drugiej sosnowy las ze złocistą płaszczyzną piasku, nadającą się na wyborną plażę.

Już w trakcie przeprawy przez rzekę dowiedzieliśmy się, że właśnie tutaj, właśnie w tym rejonie jest formowana dywizja, że będzie to miejsce, w którym zakończymy kilkudniową podróż.

Po jako takim uporządkowaniu szyku poczłapaliśmy w kierunku okazałych sosen, które niby punkty orientacyjne sterczały na horyzoncie. W obrębie lasu witała nas bogato wystrojona brama, na której powiewały biało-czerwone flagi, widniał nietypowy orzeł i rozciągnięty był transparent z hasłem w ojczystym języku.

Muszę przyznać, że przekraczałem granicę obozu wojskowego z mieszanymi uczuciami. Co prawda swojskie symbole radowały, ale przeważało uczucie obawy i podejrzliwość co do charakteru tworzącego się wojska − w świetle zerwanych stosunków z rządem polskim w Londynie i wyjściem armii Andersa do Iranu. A poza tym świadomość, że to wojsko będzie organizowane z inicjatywy polskich komunistów, jak również poczucie krzywdy za aresztowanie ojca i wywózkę − nie nastrajały mnie optymistycznie. Szedłem, ponieważ nie było innego wyjścia. Ale gdy pomyślałem, że przecież nie ja jeden znalazłem się w takiej sytuacji, pesymistyczny nastrój nieco łagodniał.

W miarę jak przenikaliśmy w głąb sosnowego boru, obóz stopniowo odsłaniał przed nami swoje tajemnice. Ukazywały nam się przeróżne drewniane szopy, baraki, altany, wydeptane pomiędzy drzewami ścieżki, starannie utrzymane alejki z uszeregowanymi przy nich namiotami. Przeważnie już umundurowani osobnicy, którzy krzątali się wokół tych obiektów, nie skąpili nam przyjaznych spojrzeń, uśmiechów i słów. Pozdrawialiśmy się, chętnie dzieliliśmy się informacjami i luźnymi uwagami a nawet trzymały się nas żarty. Gdy my dopiero co przybywaliśmy do obozu, oni byli już po wcieleniu i wstępnej aklimatyzacji.

Zauważyłem, że przed drewnianym budynkiem, o bardzo lekkiej konstrukcji, na wysokim maszcie powiewała biało-czerwona flaga a obok stał uzbrojony żołnierz, strzegący wejścia do obiektu. Jak się później okazało, była to siedziba dowództwa i sztabu dywizji.

Przypatrywałem się wszystkiemu bardzo wnikliwie, chcąc odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie: czy jest to naprawdę wojsko polskie? Czy czasami nie jest ono [polskie] tylko z nazwy?

Dystynkcje noszono takie same, jak dawniej, salutowanie przedwojenne: nie całą dłonią, lecz dwoma palcami, nawet legionowe piosenki, które rozlegały się po lesie, powszechne zwracanie się przez „pan” − to argumenty, które przemawiały za polskością armii. Ale ten dziwaczny orzeł i w dodatku bez korony?

Wreszcie przyprowadzono nas pod jeden z większych baraków. Mieliśmy tutaj wraz z inną gromadą takich samych oberwańców czekać cierpliwie na załatwienie formalności związanych z przybyciem, czyli dokonać rejestracji, poddać się komisyjnemu badaniu i otrzymać służbowy przydział.

[…]

Wreszcie przyszła i na mnie kolej. Wszedłem do baraku i w niedużym pomieszczeniu stanąłem przed podłużnym stołem, za którym siedziało kilka osób wojskowych, uważnie wpatrujących się w moją postać. Czułem na sobie ich przenikliwe spojrzenia. Zrobiło mi się gorąco. Przypuszczam, że byłem czerwony jak burak. Z wrażenia oczy spuściłem w dół, niczym przestępca mający coś na sumieniu. Speszony, czekałem na pytania, względnie polecenia. Wreszcie któryś z wojskowych począł mnie wypytywać o personalia. Odpowiadałem uczciwie i rzetelnie, niczego nie ukrywając, za wyjątkiem daty urodzenia, którą podałem w wersji złożonej w Akmolińsku z okazji wyjazdu do Andersa − czyli 8 stycznia 1923 roku. Uważałem wtedy, że te moje dziewiętnaście lat będzie stanowiło pewną przeszkodę w pełnieniu służby wojskowej, że z tego powodu nie będę traktowany przez dziewczyny jako dorosły mężczyzna. Słowem − chciałem być starszy, tym bardziej że nie żądano żadnych dokumentów potwierdzających prawdziwość oświadczeń. Nawet nie musiałem przedstawiać książeczki wojskowej, w której figurowała prawdziwa data. W ten sposób stałem się od tego momentu starszy o jeden rok i siedem miesięcy.

Później facet w białym fartuchu poprosił mnie do siebie i przystąpił natychmiast do rutynowych czynności badawczych. Popukał, nasłuchiwał, zmierzył ciśnienie i wzrost oraz zważył tak szybko, że pisarz, wypełniający mój arkusz ewidencyjny, nie mógł nadążyć z wpisem. Odniosłem wrażenie, że to badanie miało czysto formalny charakter, ponieważ nic mi nie dolegało i czułem się zdrów jak ryba.

Gdy stanąłem znów przed wojskowymi, jeden z nich zadał mi dość zaskakujące pytanie: gdzie chciałbym służyć? Z początku nie wiedziałem, o co chodzi, ale gdy sobie uprzytomniłem, że mógłbym zaproponować rodzaj wojsk,

pomyślałem o podtrzymaniu ojcowskich tradycji i zgłoszeniu chęci skierowania do artylerii. Jednak nie uczyniłem tego, nie zdradzałem bowiem żadnego zamiłowania do służby w tej formacji. Również nie zastanawiałem się nad tym, jak czynili to inni, bardziej doświadczeni, gdzie może być lżej i co najważniejsze − bezpieczniej na froncie.

Odpowiedziałem zdecydowanie, że przydział jest mi obojętny. W tym momencie zauważyłem, jak siedzący za stołem wojskowi uśmiechnęli się, szeptem wymienili między sobą jakieś uwagi i po chwili jeden z nich oznajmił mi, że zostaję skierowany do podoficerskiej szkoły. Uświadomiłem sobie, że mam zostać podoficerem, czyli że w perspektywie mógłbym dorównać ojcu.

Kiedy opowiadałem kolegom i znajomym o przebiegu i wynikach, niektórzy z nich byli zdziwieni, że zgodziłem się iść do szkoły, że nie starałem się zostać zwykłym, szarym żołnierzem. Powszechnie bowiem uważano, że z każdym stanowiskiem dowódczym na wojnie związana jest większa odpowiedzialność, może nie tyle za sprzęt, co za podległych żołnierzy. W moim przypadku te dodatkowe kłopoty dotyczyłyby drużyny, czyli kilkuosobowego zespołu. Ale, jak to się mówi − stało się.

Wraz z Bolkiem Chochą i Ryśkiem Sawickim oraz paru innymi chłopakami zostałem przyprowadzony na teren szkoły[10], mieszczącej się nieopodal, w sosnowym lesie. Jeszcze tego samego dnia poddaliśmy się dokładnym zabiegom sanitarno-higienicznym oraz przemundurowaniu.

Pożegnałem się z włosami. Z wielką rozkoszą wyszorowałem się pod polowym natryskiem. Na czyściutkie ciało nałożyłem przydzielone mi nowe, jeszcze pachnące naftaliną wojskowe ciuchy. Poczułem się w nich bardzo nieswojo. Onuce w trzewikach ciągle mi się podwijały,

a owijacze bez przerwy opadały. Trwało to do czasu, aż się nauczyłem nimi prawidłowo posługiwać.

W jednym z namiotów dostałem miejsce do spania. Dwa mizerne koce, prześcieradło i poduszka wypchana sianem służyły mi za posłanie na drewnianych narach.

Nim jednak zdążyłem się zadomowić w szkole podoficerskiej, zdarzyło się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał. Oto, dosłownie po paru dniach zostałem wezwany do namiotu sztabowego, gdzie wysoki, szczupły i z wileńska zaciągający porucznik − jak się później okazało Jerzy Putrament − nie wdając się w żadną rozmowę, oświadczył mi bezpardonowo, że zostaję natychmiast przeniesiony do stacjonującej obok kompanii podchorążych. Zaniemówiłem. Po chwili, gdy uświadomiłem sobie wagę tej decyzji dla mnie, […] odważyłem się nieśmiało wypowiedzieć w tej sprawie. Przede wszystkim określiłem siebie jako osobnika, który ma za niskie wykształcenie, aby zostać oficerem. Poza tym zgłosiłem obawę, że nie podołam obowiązkom podchorążego, a tym bardziej oficera na wojnie. W odpowiedzi usłyszałem, że dwie klasy gimnazjum, które miałem za sobą, w zupełności wystarczają. Że przecież matura to nie wszystko, że niektórzy oficerowie nieposiadający nawet takiego wykształcenia doskonale sobie radzą na froncie, a co do samego nauczania, to nie ma najmniejszej wątpliwości, że zakończy się ono dla mnie pomyślnie.

Wobec takich argumentów nie pozostawało nic innego, jak tylko pogodzić się z losem otwierającym nową perspektywę.

[…]

Wylądowałem w drużynie dowodzonej przez szczupłego i ponad dwa metry mierzącego Władysława Kozimora (Ledochowskiego). Przyjęty zostałem przez kolegów dość

chłodno. Może dlatego, że jako bardzo młody chłopak nie miałem z nimi, bądź co bądź dorosłymi i otrzaskanymi już z wojskiem ludźmi, wspólnego języka. Z czasem ten dystans stopniowo się zmniejszał, aż w końcu, gdy poznaliśmy się bliżej i stopniały lody podejrzliwości, staliśmy się dobrymi kolegami.

W porównaniu do szkoły podoficerskiej warunki zakwaterowania były nieco lepsze. Co prawda spaliśmy na narach, ale mieliśmy pod sobą sienniki i w namiotach było przestronniej.

Jednak zasadnicza różnica występowała w umundurowaniu. Przede wszystkim każdy z nas posiadał: ćwiczebne buty, tak zwane kirzowe[11], i wyjściowe chromowe, a także specjalnie dla nas uszyte z angielskiego szewiotu[12] ubrania wyjściowe oraz pasy z koalicyjkami z prawdziwej skóry. Ten świąteczny strój w wyraźny sposób odróżniał nas od pozostałych żołnierzy. Od oficerów różniliśmy się tylko dystynkcjami, co dla niektórych kolegów miało to takie dodatkowe znaczenie, że zwiększało szanse u płci pięknej, zgrupowanej w kobiecym baonie.

Chociaż do nikogo nie smaliłem cholewek, niemniej imponowało mi chodzenie w wyglansowanych butach i dopasowanym mundurze, przyozdobionym żółtym pasem i białym kołnierzykiem.

Od razu, bez najmniejszej zwłoki zostałem wciągnięty w tryb podchorążackiego życia i intensywnego szkolenia. Dzień rozpoczynał się dla całego obozu jednakowo. O godzinie piątej roznosiły się po lesie sygnały pobudek, które podrywały nas na równe nogi. Jeszcze zaspani, wybiegaliśmy z namiotów i pod wodzą kolegów, pełniących na co dzień funkcje dowódców drużyn i plutonów, ćwiczyliśmy na świeżym powietrzu, kończąc tę poranną gimnastykę marszobiegiem po udeptanych ścieżkach

i leśnych wertepach. Następnie porządkowanie namiotów i najbliższego otoczenia oraz toaleta, którą niezależnie od pogody odbywaliśmy na piaszczystym brzegu Oki. Wówczas nad wodą roiło się i wrzało jak w ulu. Najwięcej jednak czasu zabierało golenie, które w tych naturalnych warunkach wymagało nie lada wprawy. Całe szczęście, że mój młodzieńczy zarost nie potrzebował codziennie brzytwy i dlatego mogłem sobie pozwolić na wolniejsze obroty przy pozostałych porannych czynnościach. Dzięki temu nie przejawiałem także pośpiechu podczas odwiedzin w polowej, doskonale zamaskowanej w krzakach, latrynie.

W przeciwieństwie do jednostek liniowych, w których w ramach porannych i wieczornych apeli zbiorowo odśpiewywano modlitwy, i ten religijny element traktowany był jako normalna część rytuału wojskowego, w naszej kompanii takiego zwyczaju nie było. Widocznie to, co było dopuszczalne w zwykłym żołnierskim środowisku, u nas − ze względów doktrynalno-wychowawczych − nie mogło mieć miejsca, tym bardziej że spora część podchorążych nie miała nic wspólnego z katolicyzmem. W tej sytuacji zawsze z głębokim wzruszeniem odbierałem, płynące z rejonu 3. pułku, odgłosy śpiewanych modlitw. Przypominały mi one grodzieńskie czasy, kiedy to latem na Rumlówce[13] wojsko także śpiewało, a echo docierało aż do naszego domu.

Na posiłki do baonowej stołówki chodziliśmy zawsze w szyku zwartym, ochoczo i przeważnie z pieśnią na ustach. Jakże mogło być inaczej, skoro już na podejściach do tego życiodajnego obiektu upajaliśmy się zapachem zbożowej kawy, zaskwarzanej[14] zupy lub amerykańskiej konserwy mięsnej.

Konsumpcyjny ceremoniał rozpoczynał się od sprawiedliwego rozdzielenia chleba przez dyżurnych, jako że i w wojsku był on ściśle normowany. Przeważnie był to

razowiec, ale zdarzało się, szczególnie w niedziele i święta, że pokazywała się także bułka. Następnie ustawialiśmy się w kolejce do kuchni, aby przy obiedzie, korzystając z jednego kociołka, odebrać najpierw chochlę zupy a później wrócić po porcję drugiego dania.

Ja, dla zaoszczędzenia czasu, jak również nie dostrzegając celowości oddzielnego spożywania dań, odbierałem wszystko do jednego naczynia. Taki kogiel-mogiel, składający się z zupy, ziemniaków i jakiegoś mięsiwa, a szczególnie kapitalistycznej *swinnoj tuszonki*[15], doskonale mi smakował i momentalnie znikał, nie zaspakajając jednak w pełni moich potrzeb żołądkowych. Ponieważ repetowanie, ze względów prestiżowych, nie wchodziło w rachubę, odchodziłem od stołu zawsze na wpół głodny. Śniadania i kolacje także były skromne, bo składały się z porcji chleba, kostki jakiegoś tłuszczu i z dowolnej, na szczęście, ilości zbożowej kawy.

Nic więc dziwnego, że w tym wygłodniałym stanie marzyłem przede wszystkim o jedzeniu, o takiej jego ilości, której potrzebował mój niedożywiony organizm. Zastanawiałem się, w jaki sposób i gdzie można by było zdobyć trochę czegoś do zjedzenia. Nie pozostawało nic innego, jak tylko sięgnąć po leśne zasoby. Zainteresowałem się grzybami, które tego lata dość obficie obrodziły i które mogły − jak mi się wtedy wydawało – stanowić doskonały surowiec do sporządzania w warunkach polowych grzybowych potraw.

[…]

Szkoliliśmy się przez cały dzień. Po śniadaniu pod wodzą niskiego i krępego wykładowcy oficerskiej szkoły piechoty w Riazaniu kapitana Rogowa wyruszaliśmy w pełnym rynsztunku w teren. Ten radziecki oficer na nieużytkach przylegających do wsi Sielce uczył nas metodą

kompleksową: taktyki, saperki i ataku chemicznego. Przy pomocy łopatek ryliśmy w ziemi okopy, czołgaliśmy się pod zasiekami z drutu kolczastego, nacieraliśmy w maskach przeciwgazowych i bez [masek], wywijaliśmy karabinami w walce wręcz, ocenialiśmy bojową sytuację, wydając stosowne rozkazy i komendy. Słowem − w pocie czoła realizowaliśmy obowiązujący program. Niemiłosiernie zmordowani, umorusani i zakurzeni wracaliśmy do bazy na obiad.

Muszę przyznać, że w tym czasie o niczym innym nie myślałem, jak tylko o jedzeniu i wypoczynku, umożliwiającym regenerację sił. Z wyczerpania fizycznego, będącego rezultatem tych intensywnych ćwiczeń, wpadłem w swego rodzaju depresję. Miałem wszystkiego dość: kariery, awansu, szlifów oficerskich i zaszczytów, których mógłbym się spodziewać w przyszłości. Miałem pretensję do siebie, że w komisji poborowej zgodziłem się na przydział do baonu szkolnego, że nie wybrałem sobie wygodniejszego miejsca, że nie usłuchałem starszych osób, wychwalających status zwykłego szeregowca. Zdawałem sobie sprawę, że to dopiero początek trudności i kłopotów, że później dojść musi odpowiedzialność za ludzi i cały pododdział.

Ale odwrotu nie było, tym bardziej że, gdy załamanie mijało, brały górę ambicja i przekonanie, że przecież nie jestem w końcu takim ułomkiem niemogącym sobie poradzić z obecnymi trudnościami. A o przyszłości starałem się na razie nie myśleć. Zakładałem, że jakoś to będzie, że się ułoży, że powiedzenie: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło − w moim przypadku się sprawdzi.

Zajęcia popołudniowe były znacznie mniej wyczerpujące. Tylko ćwiczenia z wychowania fizycznego i musztry, prowadzone pod kierunkiem drugiego instruktora

radzieckiego z Riazania, wysokiego i wysportowanego kapitana [Leonida] Muratowa, wymagały pewnego wysiłku. Ale takie przedmioty, jak regulaminy i nauka o broni przerabialiśmy we własnym zakresie, to znaczy przy pomocy kolegów znających język rosyjski i mających już za sobą służbę wojskową w wojsku polskim lub armii radzieckiej, co oczywiście nadawało tym zajęciom relaksowo-kameralny charakter.

Najwięcej problemów sprawiał mi drążek i poręcze. Chociaż byłem dobrze rozwiniętym młodzieńcem, jednak z trudem udawało mi się wykonywać podstawowe ewolucje. Niemniej jednak zaliczałem się pod tym względem do przodujących podchorążych, gdyż większość kolegów miała jeszcze gorsze wyniki. Z musztrą, którą wykonywaliśmy według polskich zasad, po początkowych niepowodzeniach szło mi coraz sprawniej. Niewątpliwie przyczyniły się do tego częste zbiórki, nie tylko w ramach plutonu, lecz także zarządzane przez naszego dowódcę kompanii, radzieckiego Polaka porucznika [Zygmunta] Wilkina, oraz przez dowódcę baonu szkolnego, przedwojennego kapitana [Jana] Łopacińskiego[16], jak również liczne przemarsze, organizowane przy różnych okazjach. Podobnie rzecz się miała z bronią, czyli długimi rosyjskimi karabinami, zakończonymi sztyletowymi bagnetami, z którymi także występowaliśmy dość często.

Porucznik Putrament, ten sam, który swego czasu ściągnął mnie do podchorążówki, jako zastępca dowódcy kompanii do spraw kulturalno-oświatowych prowadził z nami zajęcia polityczne. Omawiał sytuację na arenie międzynarodowej, komentował aktualne wydarzenia na frontach, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji na froncie wschodnim, wyjaśniał zagadnienia dotyczące przyszłej Polski, nie precyzując jednak jej systemu

ustrojowego ani też kształtu terytorialnego. Mówiło się wtedy tylko o Polsce demokratycznej, w której obowiązywać miała sprawiedliwość społeczna. Nie było wtedy mowy o socjalizmie, o ideologii marksistowsko-leninowskiej, o żadnej przodującej partii politycznej. O taką ojczyznę mieliśmy walczyć wspólnie z Armią Radziecką.

Działalność marszałka Piłsudskiego, jak również kapitalistyczne stosunki polskiego państwa były mocno krytykowane, przy równoczesnym przemilczaniu takich wydarzeń, jak pakt Ribbentrop–Mołotow i inwazja Armii Czerwonej na wschodnie rubieże Rzeczpospolitej. Wybycie armii Andersa traktowano jako ucieczkę i zdradę polskich interesów.

Z uwagą i dużą rezerwą przysłuchiwałem się wypowiadanym poglądom i komentarzom. Szczególnie nie podobała mi się ocena przedwojennych stosunków, które w moim odczuciu wcale nie zasługiwały na taką krytykę, a odnośnie Andersa, z którym i mój los mógłby być związany, to uważałem, że była to naturalna reakcja ludzi, którzy po prostu pragnęli opuścić kraj, w którym doznali tylu krzywd i upokorzeń. Dla mnie marszałek Piłsudski pozostawał dalej Dziadkiem i wielkim Polakiem, któremu zawdzięczaliśmy niepodległość. Domyślałem się, że to rok dwudziesty i zamach majowy były tymi wydarzeniami, które w głównej mierze przyczyniały się do pomniejszania jego historycznej roli. Milczenie, które otaczało sprawę rozbioru Polski przez Niemcy i Związek Radziecki, uważałem w owym czasie za w pełni uzasadnione, jako że nie wypadało nadużywać gościnności gospodarzy.

Msza święta w kaplicy polowej (1943, Sielce nad Oką). *Fot. J. Sigalin, zbiory Ośrodka KARTA, udostępnił płk Stanisław Piekarski*

Prelekcje prowadzone przez Putramenta były żywe i ciekawe, zabarwione anegdotami i opowiadaniami z własnych przedwojennych przeżyć. To od niego bezpośrednio dowiedziałem się, że był absolwentem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, że należał do lewicującej inteligencji, że miał za sobą pewien dorobek pisarski, a nawet poetycki. Imponował mi wiedzą i erudycją. Podobały mi się jego ostre i bezpardonowe powiedzenia, wypowiadane z wileńskim akcentem. Umiał z nami rozmawiać. Swoją nieraz kontrowersyjną postawą oraz odmiennymi od oficjalnych poglądami − mógł wzbudzać zaufanie.

Do kolacji, rozebrani prawie do rosołu, pod okiem kolegów pełniących funkcje dowódców drużyn i plutonów, czyściliśmy broń i pozostały sprzęt wojskowy. Na karabinach w żadnej części nie miało prawa znajdować się

ani jedno ziarenko piachu (nawet odrobina kurzu). Do tego celu służył własnoręcznie przygotowany zestaw patyczków, za pomocą których można się było dobrać do wewnętrznych powierzchni i wszelkiego rodzaju szczelin.

Rozkład dnia przewidywał dopiero po kolacji trochę wolnego czasu. W praktyce jednak przesiadywaliśmy nad regulaminami i podręcznikami, a nieraz musieliśmy w obrębie kompanii wykonywać prace gospodarczo-porządkowe.

Rzadko zdarzało się, bym mógł spokojnie usiąść i przejrzeć dostępną prasę, aby dowiedzieć się, co słychać w świecie, co się dzieje w wielkiej polityce. Dwustronicowy formacik dywizyjnej gazety „Żołnierz Wolności" zdążałem jeszcze od deski do deski przeczytać, ale już z „Wolną Polską", wydawnictwem Związku Patriotów Polskich, było – ze względu na objętość czasopisma – znacznie gorzej.

Apel wieczorny, w ramach którego: sprawdzano obecność, odczytywano rozkazy i przekazywano polecenia na dzień następny, był ostatnim akordem powszedniego dnia. Na ten moment czekałem zawsze z ogromnym utęsknieniem, po nim bez żadnych już bowiem zakazów i ograniczeń mogłem swobodnie ułożyć się do snu.

Gdy wreszcie znalazłem się w upragnionej pozycji, żegnałem się skrycie i w duchu odmawiałem „Ojcze nasz". Nim jednak zmorzył mnie sen, nawiedzały mnie różne myśli. Najczęściej zastanawiałem się nad tym: jak sobie radzą w Żołymbecie, gdzie się obraca i co porabia Rysiek, jaki mnie czeka los?

Punktualnie o godzinie dwudziestej drugiej trębacz ogłaszał capstrzyk, po którym obóz powoli cichł. Tylko służby czuwały nad spokojem i bezpieczeństwem odpoczywających.

Zapadałem w tak twardy sen, że nawet na pochrapywania kolegów nie reagowałem zupełnie. Nocny wypoczynek był dla mnie zdecydowanie za krótki. Na szczęście istnienie niedziel stwarzało warunki do nadrabiania zaległości, z czego oczywiście zawsze chętnie korzystałem, wysypiając się − tym razem za cały tydzień − najczęściej na świeżej trawce lub w cieniu rozłożystych i szumiących na wietrze sosen.

[…]

Na każdą niedzielę czekałem zawsze z ogromnym utęsknieniem, nie tylko dlatego że mogłem się swobodnie zająć swoją zupką grzybową i porządnie wyspać, lecz dlatego że uczestnicząc w różnych imprezach, odprężałem się psychicznie, zapominałem o kłopotach dnia codziennego, przestawałem zadręczać się myślami.

Nie opuściłem żadnej polowej mszy świętej, odprawianej w naszym rejonie przez księdza kapelana majora Kubsza. Wraz z żołnierską bracią, stłoczoną wokół umajonego ołtarza, ustawionego nieopodal sztabu dywizji, żarliwie modliłem się i śpiewałem. Gdy pod koniec nabożeństwa po lesie roznosiło się potężne: „Boże coś Polskę…”, a później: „…racz nam wrócić Panie”, nie byłem w stanie opanować wzruszenia i powstrzymać się od łez.

Podczas jednej z takich uroczystości religijnych rozdawano książeczki do nabożeństwa: wydane w Londynie, z dedykacją kapelana polowego Wojska Polskiego księdza biskupa [Józefa] Gawliny. Otrzymałem i ja ten czerwony, pokaźnych rozmiarów modlitewnik. Miałem go stale przy sobie, w luźnej kieszeni munduru. Może dzięki temu zachował mi się nieco podniszczony do dzisiaj i stał się jedną z cenniejszych pamiątek z tamtego okresu.

W odróżnieniu od wielu innych kolegów − nie miałem okazji do zawarcia znajomości z jakąkolwiek dziewczyną

z batalionu kobiecego. Nie przejawiałem zresztą w tym kierunku żadnych starań, wychodząc z założenia, że zawracanie sobie głowy pannami w tych warunkach nie ma najmniejszego sensu.

Do uczestniczenia w imprezach sportowych także nie zdradzałem większej ochoty. Po tygodniowym wysiłku fizycznym wolałem się oszczędzać. Tylko raz wyłamałem się z przyjętej zasady, dając się namówić do wzięcia udziału w biegu terenowym, organizowanym z okazji jakiegoś święta. W tej dywizyjnej konkurencji zająłem nawet jedno z czołowych miejsc, potwierdzając − ku własnemu zdziwieniu − że z moją kondycją nie jest tak źle.

Największą frajdę mieliśmy wtedy, kiedy na miejscowej estradzie polowej, w kształcie muszli, występował dywizyjny teatrzyk żołnierski, z Hanin[17] i Krasnowieckim[18] na czele, a orkiestra wojskowa pod batutą Cajmera[19] wykonywała utwory muzyczne. Przepełniona widownia bardzo żywo i entuzjastycznie reagowała na wszystko co się działo na scenie. Nie żałowano oklasków: dziewczętom z baletu − za piękne tańce ludowe, śpiewakom − za arie i wzruszające przedwojenne żołnierskie pieśni, orkiestrze − za patriotyczne i legionowe melodie, artystom − za rodzajowe scenki. Popularny Jaś-oferma rozśmieszał wyglądem i powiedzonkami. Tutaj po raz pierwszy, w wykonaniu chóru i orkiestry, żołnierze usłyszeli słynną „Okę”[20]. Czasami zaglądały do nas radzieckie zespoły artystyczne. Do żelaznego repertuaru sobotnio-niedzielnej rozrywki należały filmy. Słowem − w dni wolne od zajęć imprez kulturalnych nie brakowało.

Chodziłem na nie z przyjemnością, gdyż zawsze podczas ich trwania zapominałem o troskach dnia codziennego, przestawałem zadręczać się myślami, odprężałem się

całkowicie. Przy okazji mogłem się przyjrzeć z bliska niektórym oficerskim osobistościom, zasiadającym najczęściej w pierwszych rzędach żołnierskiej widowni.

Wiadomość o tragicznej śmierci Władysława Sikorskiego, którą w pierwszych dniach lipca wyczytałem w „Żołnierzu Wolności", wywarła na mnie przygnębiające wrażenie. Odebrałem ją jako zamach na naszego jedynego i wiarygodnego przywódcę, z którym – jak zdążyłem zauważyć − wiązali nadzieję i inni żołnierze kościuszkowskiej dywizji.

Tymczasem czynniki oficjalne potraktowały ten wypadek jako wydarzenie mało znaczące i niezasługujące na uwagę. Tym chyba należy tłumaczyć fakt, że na terenie obozu nie odbyła się żadna uroczystość żałobna, ani nie przeprowadzono w oddziałach akcji wyjaśniających na temat gibraltarskiej katastrofy.

Gdy tylko zapadła decyzja, że uroczystą przysięgę dywizja złoży 15 lipca [1943], to jest w 533. rocznicę grunwaldzkiego zwycięstwa Jagiełły, rozpoczęły się pełną parą przygotowania do tej imprezy. Oprócz normalnych zajęć, w wolnych chwilach tłukliśmy musztrę, uczyliśmy się na pamięć słów przysięgi, przerabialiśmy wszystkie czynności przewidziane na tę okazję. Nawet ostatnia niedziela była normalnym dniem pracy, przeznaczonym na generalną repetycję.

Wyjątkowo staranne przygotowania, które poprzedzały tę uroczystość, świadczyły najwyraźniej, że będzie to impreza o wyjątkowym znaczeniu. Mieliśmy bowiem przy tej okazji zademonstrować zaproszonym gościom, że jesteśmy już względnie dobrze zorganizowaną i zdyscyplinowaną siłą zbrojną.

W związku z tym, że zapowiadano przyjazd ważnych osobistości z Moskwy, a nawet z zagranicy, liczyłem

w skrytości ducha na to, że być może uda mi się zobaczyć tych, których znałem jedynie ze słyszenia. Byłem bardzo ciekaw, kto nas odwiedzi.

Nieopodal sztabu dywizji, na rozległej polanie rozciągającej się od skraju lasu aż po brzeg Oki, zgromadziły się wszystkie dywizyjne jednostki. Przed ich frontem stała udekorowana piastowskim orłem trybuna, a obok skromny polowy ołtarz. Na wysokich masztach obok biało-czerwonej powiewały flagi państw koalicji antyhitlerowskiej: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Radzieckiego.

Zastępca dowódcy dywizji do spraw liniowych pułkownik Bolesław Kieniewicz − ten sam, którego widywałem nieraz w obrębie baonu szkolnego, jak siał popłoch wśród kadry radzieckich instruktorów − w oczekiwaniu na rozpoczęcie uroczystości udzielał dowódcom ostatnich uwag i wskazówek. Mimo że był obywatelem radzieckim, posługiwał się niezłą polszczyzną, świadczącą niezbicie o jego polskim pochodzeniu. Swą okazałą sylwetką jak również pełną energii i żywiołowości postawą wzbudzał respekt pośród żołnierskiej braci. Wysokie bojowe odznaczenia, które przyozdabiały polski mundur, wskazywały na to, że z niejednego frontowego pieca chleb jadł, że był bojowym i doświadczonym wojakiem, któremu nieobcy był zapach prochu.

Uroczystość rozpoczęła się od mszy świętej, odprawionej przez księdza kapelana Wilhelma Kubsza, podczas której wszystkich bez wyjątku obowiązywało katolickie zachowanie. Wszyscy więc byli bez czapek i w odpowiednich momentach klękali.

Ksiądz major Wilhelm Kubsz odczytuje rotę przysięgi; z prawej gen. Zygmunt Berling (1943, Sielce nad Oką). *Zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie*

Po części religijnej i krótkiej przerwie − na trybunie ukazała się przystojna brunetka, gładko uczesana, w białej bluzce i czarnym garniturze. Od razu domyśliłem się, że nie może to być nikt inny, jak tylko Wanda Wasilewska, przewodnicząca Związku Patriotów Polskich. Wiedziałem, że to głównie dzięki jej staraniom Stalin zgodził się na sformowanie polskiej jednostki, że z tytułu pełnionych obowiązków była w jakimś sensie naszym zwierzchnikiem. Obok stał wysoki, szczupły, w furażerce i z krzyżem Virtuti Militari na piersi dowódca naszej dywizji, przedwojenny legionista, pułkownik Zygmunt Berling. Z drugiej strony, w albie i przy stule, stał ksiądz kapelan major Wilhelm Kubsz. Dość pokaźne grono cywilnych i wojskowych osób zgromadziło się przy trybunie. Jak się później okazało, byli to zaproszeni goście, a wśród nich przedstawiciele armii

radzieckiej, attaché wojskowi państw sprzymierzonych oraz korespondenci wojenni.

Właściwa uroczystość rozpoczęła się od wyprowadzenia przed front oddziałów sztandaru, który przy tej okazji został ufundowany dywizji przez Związek Patriotów [Polskich]. Orkiestra wojskowa odegrała hymny Polski i Związku Radzieckiego, po czym wystąpiła Wanda Wasilewska, która w gorących słowach mówiła o obowiązku kontynuowania walki z wrogiem, o ojczyźnie czekającej na wyzwolenie, o znaczeniu przysięgi dla żołnierza polskiego. Zza pleców kolegów wyciągałem szyję, aby się bliżej przyjrzeć tej przystojnej kobiecie. Przysłuchiwałem się jej mowie, wypowiadanej w składnej i pięknej polszczyźnie, z wielką uwagą odbierałem i analizowałem każde jej słowo.

Gdy do pocztu sztandarowego podszedł Berling w towarzystwie księdza kapelana, rozległa się kolejna donośna komenda [Bolesława] Kieniewicza, tym razem: „Do przysięgi!”. Zdjęliśmy z głów nakrycia i unieśliśmy lekko do góry dwa palce prawej ręki.

[Ksiądz] Kubsz, ubrany na biało, z wolna odczytywał poszczególne zdania roty, a my wraz z pułkownikiem powtarzaliśmy je chóralnie. Co chwilę echo gromadnie wypowiadanych słów roznosiło się po okolicy.

Oto treść przysięgi, którą złożyłem w obozie sieleckim 15 lipca 1943 roku:

> „Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi, narodowi polskiemu, umęczonemu w niemieckim jarzmie, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie.
>
> Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju, w każdej chwili i na każdym

miejscu, strzec wojskowej tajemnicy, wypełniać wiernie rozkazy oficerów i dowódców.

Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii.

Przysięgam wierność sztandarowi mojej dywizji i hasłu ojców naszych, które na nim widnieje: za naszą wolność i waszą.

Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu nienawidzić będę wroga − Niemca, który zniszczył Polskę, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu walczyć będę o wyzwolenie Ojczyzny, abym mógł żyć i umierać jako prawy i uczciwy żołnierz polski.

Tak mi dopomóż Bóg!”.

[…]

Po przysiędze, będącej dla dywizji organizacyjnym i szkoleniowym półmetkiem, rozpoczął się dla nas okres wyjątkowo intensywnych zajęć. […]

Właśnie w tym czasie znalazłem się po raz pierwszy w życiu na bojowej strzelnicy. Przekonałem się wówczas, jak niedoskonałe są moje umiejętności strzeleckie, jak w tej dziedzinie teoria różni się od praktyki, jak wiele zależy od doświadczenia i predyspozycji psychicznych w momencie oddawania strzału, od opanowania. Z karabinu, zwłaszcza z podpórką, na mizerną trójeczkę wystrzelałem, ale z broni krótkiej, czyli pistoletu TT[21], nie było czego szukać w tarczy. Pocieszałem się tylko, że inni koledzy nie byli lepsi ode mnie.

Prawdziwym i ostatecznym sprawdzianem gotowości bojowej miały być ogólnodywizyjne manewry, które

zaplanowano na drugą połowę sierpnia; z udziałem wszystkich bez wyjątku oddziałów stacjonujących w obozie, a więc i batalionu szkolnego, dowodzonego przez kapitana Łopacińskiego.

Alarm zarządzony przez kierownika ćwiczenia, dowódcę Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, postawił nas w pełnym rynsztunku na nogi. Kilkunastokilometrowym marszem po wertepach miejscowego poligonu zostaliśmy wyprowadzeni w rejon ześrodkowania, gdzie dowództwo naszej kompanii otrzymało „zadanie bojowe". Najpierw w składzie jakiegoś pułku, w kanonadzie ćwiczebnych petard, terkocie ślepej amunicji i pod osłoną świec dymnych nacieraliśmy na okopanych i zamaskowanych obrońców. Później, po przegrupowaniu, role się odwróciły i w zupełnie nowym terenie przystąpiliśmy do organizacji obrony. Tutaj, w ograniczonym czasie, przy pracach ziemnych, a szczególnie przy tworzeniu systemu zapór popisywaliśmy się pomysłowością i umiejętnościami inżynierskimi. Jak się okazało, obrona była na tyle skuteczna, że umożliwiła nam przejście do kontrataku a następnie do pościgu.

Z omówienia ćwiczenia, które przeprowadził z nami porucznik Wilkin, a później porucznik Rogow, wynikało, że mimo pewnych uchybień wypadliśmy w sumie nieźle. Doszedłem do przekonania, że z moją kondycją nie jest najgorzej, skoro dałem sobie radę z tak wyczerpującym dwudniowym wysiłkiem.

Końcowe egzaminy zorganizowane zostały w sposób uroczysty[22]. Zdawaliśmy je na podstawie biletów przed przedmiotowymi komisjami, które wymagały od nas nie tylko wiedzy teoretycznej, lecz nade wszystko umiejętności praktycznych. Każdy ze zdających starał się o odpowiedzi, które by w konsekwencji dawały odpowiednio wysoką

lokatę, zapewniającą nie tylko wybór jednostki wojskowej do dalszej służby, ale również uzyskanie wyższego stopnia wojskowego, czyli podporucznika.

Zdawałem sobie sprawę, że w tej rywalizacji, w której uczestniczyli koledzy mający już za sobą służbę wojskową, żadnych szans nie mam. Niemniej jednak względy ambicjonalne nie pozwalały na rezygnację ze szlachetnej walki o jak najlepsze wyniki. Zawsze do stołu egzaminacyjnego podchodziłem w napięciu i z ogromną tremą, a gdy wyciągałem bilet, na którym były pytania, nawiedzała mnie myśl, że oto kolejna przeszkoda do szlifów oficerskich zostanie pokonana, że pod tym względem przeskoczę ojca. I tak też się wkrótce stało.

Natychmiast po egzaminach, 27 sierpnia 1943 roku mieliśmy być promowani na pierwszy stopień oficerski chorążego, znaczony na naramiennikach jedną gwiazdką z podłużnym białym paskiem. Ten stopień, który w przedwrześniowym wojsku nie był uważany za oficerski, tym razem w ramach dostosowywania się do radzieckiej struktury stopni − stał się oficerskim.

Wyjątkowo starannie wypacykowani ustawiliśmy się znowu na tej samej polanie, nieopodal sztabu dywizji, naprzeciwko udekorowanej trybuny, na której nie tak dawno składaliśmy przysięgę wojskową. Tym razem uroczystość miała wyraźnie skromniejszy charakter, dotyczyła bowiem tylko baonu szkolnego i nie miała religijnej oprawy. Niemniej jednak na trybunie ponownie ukazała się Wanda Wasilewska, o której zdążyłem dowiedzieć się coś niecoś więcej, a obok niej stanął nieznany mi jeszcze − przysadzisty, z mnóstwem radzieckich odznaczeń na polskim mundurze − generał. Wśród gości dostrzegłem kilku radzieckich wojskowych.

[…]

Koledzy mi podpowiedzieli, że nieznany generał to sam Karol Świerczewski, warszawiak, ale i obywatel radziecki oraz uczestnik walk w Hiszpanii, mianowany na stanowisko zastępcy dowódcy dopiero co utworzonego polskiego korpusu.

Zygmunta Berlinga ujrzałem po raz pierwszy w szlifach generalskich. Wydawało mi się, że te generalskie dystynkcje jakoś lepiej pasują do jego sylwetki. Przy tym był potwierdzeniem, że mimo legionowej przeszłości, udziału w walkach z bolszewikami w 1920 roku, służby w armii Andersa − cieszy się nadal zaufaniem Stalina. Ponieważ pełnił funkcję mistrza promocyjnej uroczystości, byłem przekonany, że jest naszym najstarszym przełożonym, czyli dowódcą korpusu. Przyznam, że Berling, jako przedwojenny polski oficer zawodowy, wzbudzał we mnie wtedy pełne zaufanie, jak również darzyłem go dużą sympatią.

Promocja rozpoczęła się od złożenia generałowi Berlingowi meldunku przez pułkownika Kieniewicza, po którym obaj, salutując, przeszli przed frontem pododdziałów szkolnych. Na pozdrowienie dowódcy odpowiedzieliśmy zbiorowo, dość nierówno i mało energicznie, co wywołało na twarzy towarzyszącego grymas niezadowolenia. Podczas wykonywania kilku kolejnych komend nie ustrzegłem się potknięć i niedokładności, które na szczęście ze względu na drugi szereg nie zostały zauważone.

Przy dźwiękach hymnu narodowego na maszt powędrowała biało-czerwona. Do stojącego vis-à-vis mikrofonu podszedł generał i wygłosił krótkie żołnierskie przemówienie, nawiązując do tego podniosłego wydarzenia. Z głośnika poczęły płynąć nazwiska osób, które miały podchodzić do Berlinga dla dokonania aktu mianowania.

Najpierw byli wzywani najlepsi, którym nadawano stopień podporucznika. […]

Bacznie przypatrywałem się ich zachowaniu, przyglądałem się każdemu ruchowi, wierząc, że robią to tak, jak należy, wzorowo. Chciałem ich naśladować. Gdy rozpoczęły się mianowania na chorążego, w ogromnym napięciu czekałem na moment, w którym usłyszę swoje nazwisko. Musiało to trwać dość długo, bo dopiero jako siedemdziesiąty pierwszy, po dwumetrowym Kozimorze, zostałem wywołany do wystąpienia z szeregu. Poderwałem się. Uderzyłem lekko w ramię kolegę stojącego przede mną, w pierwszym szeregu, dając mu znać, aby ustąpił. Mocniej chwyciłem za karabin i krokiem defiladowym podążyłem w stronę promującego. Na wyłożonym chodniczku, opierając się o broń, ukląkłem na prawym kolanie. Generał wywinął w powietrzu szablą i − wypowiadając sakramentalne: „Mianuję was chorążym piechoty dla pracy ku chwale Ojczyzny” − uderzył nią o moje lewe ramię. Bez namysłu odpowiedziałem wyuczonym zwrotem: „Ku chwale Ojczyzny, obywatelu generale”, po czym wstałem, wyprężyłem się i nieśmiało spojrzałem na zwierzchnika. Na bladej i starannie wygolonej twarzy malował się lekki uśmieszek, będący wyrazem wewnętrznego zadowolenia. Buchnął przyjemny zapach perfum. Przy uścisku dłoni klepnął mnie po ramieniu i powiedział: „Gratuluję i życzę powodzenia”. Znowu odpowiedziałem: „Ku chwale Ojczyzny, obywatelu generale”. Przed samym odejściem jeszcze raz zerknąłem na wysmukłą postać promującego, starając się dostrzec, czy czasami mój młodzieńczy wyraz twarzy nie wywołał zdziwienia. Gdy już swobodnym krokiem wracałem na swoje miejsce w szeregu, miałem wrażenie, że pokonałem największą przeszkodę w życiu, że uporałem się z jej ciężarem.

[…]

Po ceremonii pasowania generał powrócił na trybunę, skąd wygłosił krótkie przemówienie. Gratulując awansu, w prostych żołnierskich słowach życzył nam sukcesów w pracy dowódczej jak również pomyślności w życiu osobistym. Szczególny nacisk położył na rzetelne wykonywanie odpowiedzialnych wobec umęczonej ojczyzny zadań. Wspomniał o czekających nas frontowych trudach. Mówił o odwadze i honorze jako o cechach polskiego oficera.

W imieniu władz radzieckich zabrał głos jakiś trójgwiazdkowy generał. Składając nam życzenia pomyślności, nawiązał do znaczenia przyjaźni i braterstwa broni między naszymi armiami, które powinny doprowadzić do zwycięstwa nad faszystowskimi okupantami.

W przerwie po części oficjalnej mogliśmy sobie pozwolić na wzajemne złożenie gratulacji i umieszczenie na naramiennikach właściwych dystynkcji.

Defilada była końcowym akordem uroczystości. Maszerowaliśmy jako pierwsi, tuż za sztandarem. Łopaciński, awansowany do stopnia majora, prowadził swój batalion, a na czele naszej kompanii szedł już nie porucznik, lecz kapitan Wilkin. Z wielkim trudem na miękkim i gdzieniegdzie trawiastym podłożu mogłem utrzymać tempo marszu oraz zachować równanie i krycie. Spod nóg wydobywały się kłębowiska kurzu. Gdy mijałem trybunę, spojrzałem na stojące na niej osoby. Wojskowi salutowali, a Wanda [Wasilewska] pozdrawiała podniesioną ręką.

Po przybyciu w rejon zakwaterowania okazało się, że obiad, na który zawsze z takim pragnieniem wyczekiwałem, tym razem zostanie wydany na naszą cześć przez dowództwo dywizji; w godzinach popołudniowych. […]

Znowu rozpoczęło się wszystko od przemówień. Najpierw zabrał głos gospodarz generał Berling. Mówił o wielkim zaszczycie, ale też i odpowiedzialności pierwszych oficerów, wychowanków dywizji, za powierzone pododdziały, za ich kondycję i sprawność bojową. Podkreślał, że umęczony kraj czeka na nas, że widzi w nas bohaterów, że tych nadziei zawieść nam nie można. Na zakończenie wzniósł toast za naszą oficerską pomyślność.

Wychyliłem i ja kieliszek czyściochy, która w pustym żołądku zaostrzyła jeszcze bardziej apetyt i uderzyła do głowy. […]

Kolejny toast wznosił generał Świerczewski. Ponieważ była to osobistość nowa, dopiero co przybyła do obozu, o której mówiono różnie, dlatego uważnie się przypatrywałem i w to co mówił wsłuchiwałem. Spośród gości wyróżniał się całkowitą łysiną, rześkim wyrazem twarzy, krępą budową i największą liczbę odznaczeń. Nawet nieźle mówił po polsku, lepiej od samego Kieniewicza, potwierdzając, że był także radzieckim Polakiem. Musiał znać naszą historię, skoro w swoim wystąpieniu nawiązywał do zwycięskich bitew i sławnych żołnierskich postaci. To on przypomniał zebranym hasło: „Polegaj na mnie jak na Zawiszy”.

Wanda Wasilewska i tym razem pięknie przemawiała, ale jej głos: dziwnie brzmiący, o wyjątkowo niskiej tonacji, nie pasował do kobiecej sylwetki […]. W swoim wystąpieniu wspomniała o zbliżającej się rocznicy napaści Niemiec na nasz kraj. Mówiła, że wbrew przewidywaniom wroga, Polacy dalej walczą na wszystkich frontach, a jednym z tego dowodów jesteśmy my, którym najbliższa przyszłość ma umożliwić wkroczenie na frontową scenę.

Starszy lejtnant Muratow, nasz taktyk, zabrał głos w imieniu radzieckich instruktorów. Jak zwykle przy takich

okazjach, nader przesadnie chwalił nas za sumienność w nauce, za wytrzymałość i właściwą postawę. […]

Z każdym wychylonym kieliszkiem atmosfera w baraku stawała się coraz bardziej kameralna. Orkiestra wygrywająca przeróżne melodie, włącznie z legionowymi, zagłuszała nieco gwar toczonych rozmów. Goście, najwyraźniej zadowoleni, żywo rozprawiali między sobą.
W najbliższym gronie opowiadaliśmy sobie kawały, po których wybuchały salwy śmiechu. W beztroskim nastroju popisywaliśmy się wokalnymi umiejętnościami. Tego dnia do późna w nocy roznosiło się po sieleckim lesie echo promocyjnego przyjęcia.

Gdy chwiejnym krokiem i z wypchanym żołądkiem wracałem do namiotu, wszystko wydawało mi się piękne i różowe, bezproblemowe jak nigdy przedtem. Zwaliłem się na posłanie prawie bezwładnie, niczym ścięte drzewo. Momentalnie usnąłem.

Już następnego dnia dowiedziałem się, że po rozliczeniu się z kompanią, wraz z 35 kolegami mam niezwłocznie meldować się w sztabie 3. pułku piechoty, gdzie otrzymam konkretny przydział na stanowisko służbowe. A więc wyjaśniła się sprawa jednostki wojskowej, z którą przyjdzie mi związać los. Aby zdążyć na odprawę w pułku, musieliśmy się mocno śpieszyć z załatwianiem formalności rozliczeniowych.

Zaraz po odebraniu pierwszej oficerskiej gaży, postanowiłem część pieniędzy przesłać na kazachstański adres matki.

Jeszcze tego samego dnia z workiem brezentowym pod pachą, zawierającym rzeczy osobiste, i z niezbędnymi dokumentami zgłosiłem jakiemuś oficerowi w sztabie swoje przybycie. Dowiedziałem się, że zapowiadana odprawa służbowa będzie miała charakter spotkania, na którym

zostaniemy przedstawieni dowództwu pułku, po czym każdy z nas otrzyma właściwy przydział. Tak też się stało.

Najpierw szef sztabu pułku kapitan [Borys] Masalski zameldował dowódcy majorowi [Tadeuszowi] Piotrowskiemu[23] oraz jego zastępcy do spraw kulturalno-oświatowych kapitanowi [Marianowi] Naszkowskiemu naszą obecność. Następnie wywiązała się między nami dość ożywiona rozmowa, podczas której dowiedzieliśmy się o problemach występujących w jednostce, poinformowano nas też o panujących wśród żołnierzy nastrojach, jak również zapoznano z rozkazem personalnym dywizji wyznaczającym każdego z nas na odpowiednie stanowisko służbowe.

Zostałem skierowany na stanowisko dowódcy drugiego plutonu strzeleckiego w trzeciej kompanii pierwszego batalionu.

[…]

W ramach tego spotkania mogłem się bliżej przyjrzeć pułkowym dostojnikom. Major Piotrowski, szczupły i średniego wzrostu, posługujący się słabą polszczyzną i nierozstający się z ostrogami − był bez wątpienia radzieckim Polakiem i kawalerzystą. Sprawiał wrażenie człowieka pogodnego i dobrodusznego.

[…]

Kapitan Masalski nie kaleczył polskiego, bo posługiwał się wyłącznie rosyjskim z domieszką ukraińskiego. Wydawało się, że jest oficerem z prawdziwego zdarzenia i ma frontowe obycie.

Jeszcze tego samego dnia w drodze do 3. kompanii meldowaliśmy się u dowódcy 1. batalionu kapitana [Kazimierza] Rodziewicza. Wysoki, z okazałymi wąsiskami i mówiący wyłącznie po rosyjsku oficer przyjął nas dość

życzliwie i jak zauważyłem, był bardzo zadowolony z kadrowego wzmocnienia oddziału.

Wymarsz w pełnym rynsztunku (1943, Sielce nad Oką). *Zbiory Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie*

Już tylko we trójkę, ze skierowaniami w rękach, pod sam wieczór przybyliśmy w rejon, gdzie mieściła się 3. kompania strzelecka. Od razu udaliśmy się do namiotu zajmowanego przez dowództwo kompanii, aby tutaj dokonać oficjalnego zameldowania. Dowódca porucznik [Stanisław] Ozga, jego zastępca do spraw liniowych podporucznik [Henryk?] Jankowski i zastępca do spraw kulturalno-oświatowych podporucznik [Mieczysław] Wodnar przyjęli nas bardzo ciepło. Rozmawialiśmy długo na różne tematy, między innymi dowiedzieliśmy się o sytuacji, w jakiej znajdują się nasze plutony. Musieliśmy odpowiadać na pytania skierowane pod naszym adresem.
W międzyczasie szef kompanii plutonowy [Józef?] Dobrusin poczęstował nas kolacją, przyniesioną z pułkowej kuchni polowej.

Pierwsze wrażenie, jakie wyniosłem ze spotkania z dowódcą kompanii, utwierdziło mnie w przekonaniu, że trafiłem do niezłego pododdziału, ponieważ dowodził nim człowiek pochodzący z Polski i wykazujący postawę i maniery przedwojennego żołnierza zawodowego. Szczupły, z krótkim wąsikiem, zaciągający lwowskim akcentem, dystyngowany i niepozbawiony humoru pan.

Oświatowiec Wodnar, także z Polski i w tym samym średnim wieku co Ozga, mimo że posiadał stopień oficerski, zachowywał się jak dopiero co przebrany cywil bez żadnego przeszkolenia wojskowego.

Najmłodszy z trójki naszych bezpośrednich przełożonych, liniowiec Jankowski, oficer radziecki mówiący słabo po polsku, nie wyróżniał się w tym gronie niczym szczególnym.

[…]

Gdy się przypatrywałem poszczególnym osobom z kierownictwa i wsłuchiwałem w ich wypowiedzi, zadawałem sobie w duchu pytania: czy będą to ludzie do współżycia, czy będą uczynni i życzliwi, czy ewentualnie można będzie liczyć na ich pomoc? Równocześnie byłem bardzo ciekaw, jaki to jest ten mój drugi pluton, co sobą przedstawia i z jakich żołnierzy się składa? Zaspokoić ciekawość mogłem dopiero w dniu następnym.

Na porannej zbiórce, stojąc obok Ozgi i przed rozwiniętym frontem całej kompanii, byliśmy przez niego przedstawiani jako dowódcy plutonów. Kiedy porucznik wymienił moje nazwisko, stanąłem na baczność i energicznie zasalutowałem. Poczułem, jak w tym momencie przebijają mnie spojrzenia żołnierzy, a szczególnie tych ze środkowej części dwuszeregu. Starałem się postawą i zachowaniem zaprezentować zgromadzonym z jak najlepszej strony. Chciałem przynajmniej w ten sposób osłabić niekorzystne wrażenie,

jakie mógł wywrzeć u podkomendnych mój młodzieńczy wygląd.

Później nastąpił moment może najważniejszy w mojej karierze wojskowej. Już bez przełożonych, znalazłem się sam na sam ze swoim plutonem. Plutonowy [Eugeniusz] Wolaniuk, pełniący do tego czasu obowiązki dowódcy, złożył mi przepisowy meldunek. Zasalutowaliśmy. Podałem mu rękę i spojrzeliśmy sobie w oczy. Dostrzegłem na jego twarzy grymas, który być może był wyrazem niezadowolenia, wynikającego z konieczności przekazania mi zwierzchnictwa nad pododdziałem, a tym samym pogodzenia się ze statusem zastępcy, pozbawiającym go, mimo starszeństwa i doświadczenia wojskowego, samodzielności.

Stanąłem na środku przed żołnierskim szeregiem, przyjąłem postawę zasadniczą, starannie przyłożyłem dwa palce do furażerki i po raz pierwszy w życiu jako przełożony głośno i zdecydowanie krzyknąłem: „Czołem, żołnierze!”. W odpowiedzi usłyszałem chóralne, trochę może nieskładne: „Czołem, obywatelu chorąży!”. Dałem im „spocznij”. Wiedziałem, że teraz należało do nich sensownie, w prostych i zrozumiałych słowach przemówić. Ale nic mi do głowy mądrego nie przychodziło. Prawie w ostatniej chwili wpadłem na pomysł, aby po prostu powiedzieć coś o sobie: skąd pochodzę, jakie jest moje wykształcenie, gdzie obecnie przebywają moi najbliżsi. Wydawało mi się, że jeśli przedstawię podwładnym swój życiorys, to łatwiej zdobędę ich zaufanie oraz we właściwy sposób ułoży się między nami współpraca. Inauguracyjną „mowę” zakończyłem przekonaniem, że uda nam się żyć i służyć bezkonfliktowo.

Przypatrywałem się tym 37 powierzonym mi ludziom z pewną obawą, czy mnie zaakceptują, czy zaskarbię ich

zaufanie, czy ci o pomarszczonych twarzach i przyprószonych siwizną skroniach nie potraktują mnie jak młokosa, który nie podoła dowódczym obowiązkom, czy ci młodsi ode mnie, rówieśnicy i starsi będą lojalni wobec mnie oraz posłuszni mojej woli.

Postanowiłem od Wolaniuka, dotychczasowego dowódcy, zasięgnąć opinii o podległych żołnierzach. Nie bardzo mi się to udało, gdyż ten śniady lwowianin był bardzo powściągliwy w ocenach. Nie chciał o nich mówić ani źle, ani dobrze. Podejrzewałem, że chciał być dla nich, jak to się mówi, dobrym wujkiem. Muszę przyznać, że byłem taką postawą swojego zastępcy nieco rozczarowany.

Nazajutrz po objęciu obowiązków dowódcy 2. plutonu zostaliśmy oficjalnie powiadomieni o tym, że wkrótce ze względów organizacyjno-szkoleniowych mamy na stałe opuścić sielecki obóz. Nie mówiło się wtedy jeszcze otwarcie o wyjeździe na front, lecz na jakieś bliżej nieokreślone ćwiczenia. Jednak wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że będzie to wyjście na szlak bojowy.

Rozpoczęła się ożywiona krzątanina, związana z uporządkowaniem zajmowanego rejonu i przekazaniem go władzom kwaterunkowym, uzupełnieniem sprzętu techniczno-bojowego i amunicji, jak również wyposażeniem żołnierzy w należne sorty mundurowe oraz odebraniem z magazynu żywności na drogę.

Szef kompanii uwijał się jak w ukropie, żądając co chwilę ludzi do wykonywania różnych czynności. W tych warunkach o żadnym szkoleniu nie było mowy, tym bardziej że dowódca kompanii po odprawie w batalionie zapowiedział, że wyjście z obozu może być poprzedzone alarmem. Nic więc dziwnego, że tylko capstrzyk, pobudka i spożywanie posiłków odbywały się zgodnie z ustalonym

porządkiem dnia. Pozostały czas wykorzystywano do prac porządkowo-organizacyjnych związanych z odejściem.

Gdy w wolnych chwilach zastanawiałem się nad najbliższą przyszłością, to muszę przyznać, że ogarniał mnie pewien niepokój. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nieuchronnie przybliża się dla nas czas działań zbrojnych, że kończy się okres cieplarnianego życia obozowego, że będę musiał z podległymi mi ludźmi, których jeszcze nie zdążyłem poznać, wykonywać odpowiedzialne zadania. Byłem przekonany, że jedno bojowe strzelanie, które pluton odbył na strzelnicy, oraz udział w dywizyjnych manewrach to stanowczo za mało do osiągnięcia pełnej sprawności bojowej, nie mówiąc o psychicznym przygotowaniu i frontowym obyciu. Wyniki ostrego strzelania, a szczególnie erkaemistów, były bardzo słabe. Ponadto żaden z żołnierzy nie tylko nie rzucał granatem bojowym, lecz nie miał go nawet w ręku. A do tego wszystkiego przecież i ja sam byłem niedoszkolony, bez żadnego doświadczenia dowódczego.

Zostaliśmy wyposażeni, że tak powiem – po uszy. Każdy wojak, oprócz należnej broni, posiadał przy sobie: hełm, maskę przeciwgazową, łopatkę saperską i opatrunek osobisty. Umundurowany był w ubranie drelichowe, trzewiki, owijacze, pas brezentowy i czapkę rogatywkę. W noszonej na plecach torbie brezentowej przechowywał: furażerkę, ręcznik, mydło, przybory do golenia i inne osobiste drobiazgi. Zrolowany i przewinięty przez ramię płaszcz-namiot[24] dopełniał całości żołnierskiego wyposażenia.

Dla siebie z magazynu pułkowego odebrałem pistolet TT, z dwoma magazynkami zawierającymi 18 sztuk amunicji, hełm, maskę przeciwgazową, łopatkę saperską, skórzaną torbę i mapnik, brezentowe, tak zwane kirzowe buty

i oficerską pelerynę oraz drelichowe ubranie z kompletem bielizny i ręczników. Odebrałem tak samo brezentowy worek do przechowywania osobistych rzeczy.

Ponieważ powszechnie tolerowana była praktyka wykorzystywania szeregowych do czynności usługowych na rzecz oficerów, przeto i ja nie omieszkałem z tej okazji skorzystać. Byli to tak zwani nieetatowi ordynansi, wybierani spośród podkomendnych, którzy godzili się usługiwać swoim przełożonym. Cieszyli się więc ich zaufaniem. Opiekowali się ich osobistymi rzeczami i korzystali z ułatwień przy pełnieniu służby. W plutonach strzeleckich taki ordynans, zwany inaczej fajfusem, uważany był powszechnie za gońca, któremu powierzać się miało dostarczanie rozkazów i meldunków.

W moim przypadku ordynansa wcale nie wybierałem, ponieważ z początku nie dostrzegałem takiej konieczności. Wychodziłem bowiem z założenia, że jestem na tyle samowystarczalny, że żadnego pomagiera nie potrzebuję. Ale kiedyś sytuacja tak się złożyła, że byłem zmuszony powierzyć osobiste wyposażenie pierwszemu z brzegu szeregowcowi. Okazał się nim żołnierz z 4. drużyny, młodszy brat dowódcy tejże drużyny − szeregowy Piotr Żuraw. A że zadanie wykonał ochoczo i uczciwie, więc tak już pozostało. W ten sposób trzydziestojednoletni Piotr, pochodzący ze Stanisławowskiego, deportowany z żoną i dziećmi na Syberię, został moim ordynansem, któremu powierzyłem cały osobisty majątek.

Z początku byłem nieco zażenowany tym, że ten poważny, żonaty i dzieciaty pan miał opiekować się moim workiem oraz spełniać niektóre czynności usługowe, ale gdy się przekonałem, że czynił to bez najmniejszego sprzeciwu, a nawet niechęci, nie szukałem już pomagiera młodszego.

JAN PROROK

Rzeczny prom towarowo-osobowy, wypełniony po brzegi różnojęzycznym tłumkiem i kilkoma wojskowymi furmankami, sunął z wolna po linie do przeciwległego brzegu Oki. […] Był to cel naszej wielodniowej podróży: wojskowy obóz szkoleniowy w Sielcach nad Oką.

[…]

Był dzień 6 czerwca 1943 roku. Zbliżało się południe, kiedy po osiemnastu dniach podróży z przygodami nasza „dezerterska" siódemka wraz z dużą grupą tułaczy znad Obu, z Irkucka i Semipałatyńska stanęła u celu – w sieleckim lasku nad Oką, wśród zielonkawych wojskowych namiotów.

− Baczność! W dwuszeregu zbiórka! Tak, tak, jeden obok drugiego, ramię przy ramieniu, łokieć przy łokciu… − komenderował z zapalczywością starszy strzelec [Zygmunt?] Sadowski, jak się później okazało − dowódca plutonu w tworzącej się 1. kompanii fizylierów.

− Równaj w prawo! Na prawo patrz! – padały słowa polskiej komendy, zrozumiałe dla wszystkich, ale niewielu wiedziało, jak taką komendę należy poprawnie wykonać. Byliśmy bowiem – jak się wyraził jeden z oficerów: „surowym, zabiedzonym materiałem".

− Obywatelu poruczniku, starszy strzelec Sadowski melduje grupę cywilów na zbiórce!

− Dziękuję. Dajcie spocznij – odezwał się łamaną polszczyzną szczuplutki oficer z dwiema gwiazdkami na rosyjskim dopasowanym mundurze.

Podporucznik [Julian] Szczęsnowicz, dowódca kompanii, bo o nim mowa, Polak z Rygi, odebrał raport i ze swym zastępcą plutonowym podchorążym [Bronisławem] Zduńczykiem przeszedł przed frontem „tułaczy" i „zmartwychwstańców". Potem, wracając, przyglądał się

każdemu „tułaczowi” z osobna, czasem o coś pytał i niektórym z nas kazał wystąpić z szeregu.

− Mianuję was dowódcami drużyn – powiedział, gdy ustawiliśmy się według wzrostu. − Wy będziecie dowódcą pierwszej, wy drugiej, a wy… dziewiątej. Kto ma jakieś pytania?

Pytania oczywiście były, a właściwie jedno zasadnicze: jak ja mogę być dowódcą drużyny, nie mając w ogóle pojęcia o służbie wojskowej, jak mogę dowodzić pododdziałem, kiedy nie mam w tym kierunku żadnego przygotowania?

− Nie szkodzi. My o tym wiemy – odrzekł miękkim wileńskim akcentem podporucznik Szczęsnowicz – ale teraz nie pora na takie dyskusje. Każdego dnia po południu my obaj z plutonowym Zduńczykiem będziemy szkolić was, a następnego dnia przed południem wy będziecie szkolić swoich podwładnych w drużynach. Zrozumiano?!

[…]

Pierwszy wojskowy obiad w obozie sieleckim smakował wszystkim wyśmienicie. Była – pamiętam – zawiesista grochówka ze skwarkami wielkości dużego paznokcia i kawałkami chudego wieprzowego mięsa z amerykańskich konserw. […]

Czas mijał nieubłaganie, życie obozowe i polowe toczyło się normalnie, to jest zgodnie z planem. Wykłady, wymarsze, biegi i alarmy stały się naszą szarą codziennością. W drodze na poligon i z powrotem zawsze musieliśmy śpiewać. Śpiewaliśmy różnie i różne różności, ale najczęściej, bo… najmocniej wpadało do serc zmartwychwstańców – „Pierwszą Dywizję”:

My, Pierwsza Dywizja,
Honor i Ojczyzna,
Marsz, marsz!

Na melodię popularnej niegdyś „Pierwszej Brygady” Legionów Piłsudskiego. Co początkowo było prawie obowiązkowe, zaś z czasem… niemile widziane.

WACŁAW ZAKRZEWSKI

Po dłuższej podróży dojechaliśmy wreszcie do stacji Diwowo. Było to dnia 13 czerwca 1943 roku. Koniec podróży. […] Idziemy około pięciu kilometrów, mijając po drodze miasteczko wielkości dużej wsi z cerkwią.

Jest to miasteczko o nazwie Sielce. Zaraz za Sielcami płynie Oka. Ma ona całą masę zalewów i starych koryt. Rzekę przepływamy promem, potem kawałek łączki i już widać na skraju lasu bramę, a obok niej wartownik. Jak Bozię kocham! – w polskim mundurze.

Brama jest tylko symboliczną bramą, gdyż od niej nie ma żadnego ogrodzenia. Postawiona jest nad drogą, którą wchodzi się do lasku i wisi na niej napis: „Witaj żołnierzu – wczorajszy tułaczu”. Przechodzimy przez bramę. Po lewej stronie dróżki stoją domki oficerskie, dalej po prawej stoi duży dom. To budynek komisji poborowej i punkt przyjęcia. Na tym domu flaga biało-czerwona, nasza polska flaga. Po tylu latach znowu zobaczyłem naszą biało-czerwoną łopocącą wysoko i dumnie. Uczucie − jakby powróciło się z długiej podróży do domu. Jakaś radość i smutek jednocześnie chwytają za serce, gdy tak staniesz i patrzysz, ciesząc się widokiem tej twojej biało-czerwonej.

Wchodzimy do sali pojedynczo, tam siedzi kilka osób i jeden lekarz. Pytania: „Skąd teraz?”, „Gdzie mieszkasz w Polsce?”, „Czy służyłeś w wojsku?”, „Dlaczego tu przybyłeś?”. I tak dalej, i tak dalej. Potem do lekarza. Zważyli, zmierzyli. „Na co się skarżysz?”, ale kto by się skarżył, wszak nie po to jechał taki szmat drogi, aby tu się skarżyć. Każdy wolał zataić, co mu dolegało, aby tylko

przyjęli, aby tam już nie wracać. Lekarz osłuchał, opukał i zadecydował, że zdrowy.

Dostaję skierowanie do 3. pułku piechoty. Zgłosiłem przybycie i skierowano mnie do 1. batalionu. W batalionie nie było chwilowo dowódcy, kazano mi poczekać: „Lepiej idźcie w tym czasie coś zjeść, na pewno jesteście głodni. Macie tu kartkę do kucharza, da wam jeść". Przyszedł dowódca batalionu i odesłał do 2. kompanii strzeleckiej. „To te namioty" – pokazał. Idę i zgłaszam przybycie. Dowódca kompanii mówi: „Dobra, pójdziecie do Piecyka". Tak nazywał się dowódca 1. plutonu. „To twoje miejsce" – kapral Piecyk wskazał mi pryczę w namiocie, zbitą z desek i wypełnioną słomą. […]

[…] Zastępcą dowódcy kompani do spraw politycznych jest oficer bez stopnia [o nazwisku] Niemiec. Po rozmowie ze mną, a czynił to z każdym nowym, mianował mnie zastępcą plutonu do spraw polityczno-wychowawczych. W niedługim czasie zostałem „szarżą". Do moich obowiązków należało między innymi pozytywne oddziaływanie na kolegów.

Dostawaliśmy jeść i do momentu otrzymania munduru mieliśmy zapoznać się z obozem, kolegami i życiem żołnierza. Po kilku dniach zebrało się więcej takich jak ja, bez mundurów. Zebrano nas i poszliśmy na drugi koniec obozu, gdzie znajdowała się łaźnia. Stajemy z jednej strony baraku i komenda: „Rozbierać się. Zostawić tylko pieniądze i rzeczy wartościowe, wszystko inne rzucać na stertę i wchodzić do baraku". Z tych naszych ubrań-łachów powstało ogromne ognisko.

Po wejściu do baraku najpierw strzyżenie głów do gołej skóry i pod prysznice. Po umyciu się przechodzimy do drugiego pomieszczenia, w drzwiach stoi sanitariusz i smaruje jakąś maścią pozostały jeszcze zarost, bo wszyscy

przecież mieliśmy wszy. W drugim pomieszczeniu dostajemy bieliznę, dalej ubranie, potem buty, czapki, pasy i całe oporządzenie żołnierskie. Pełne naręcze tych ciuchów. Jeżeli rozmiar nie ten, należy wymienić się z kolegami. Zakładam pierwszy raz mundur wojskowy. Wszystko czyściutkie, świeże. Ubrani w mundury ustawiamy się przed barakiem. Każdy z nas wygląda teraz inaczej niż przed godziną, trudno się rozpoznać, jest przy tym dużo śmiechu. […]

Dywizja otrzymuje zwiększone przydziały żywności, aby odżywić ludzi wycieńczonych różnymi warunkami życia.

[…]

Powoli wojsko zaczynało odżywać. Zaczęły się już zajęcia. Najpierw porządkowanie terenu, upiększanie wokół namiotów i temu podobne prace.

Przeżyłem kiedyś wzruszenie − idąc koło sztabu dywizji, usłyszałem dźwięki hejnału mariackiego. Tu o dwunastej w południe, tak jak w Polsce, trębacz grał nasz hejnał krakowski. Szedłem powoli, aby usłyszeć cały hejnał. […]

Zaczęła już pracować poczta polowa. Chłopcy piszą listy do rodzin, które zostały w ZSRR, a gdzie ja mam pisać? Przez front poczta przecież nie chodzi, a czy ja wiem, kto tam został żywy.

Skończyły się dni organizacji i wypoczynku. Zaczęto szkolić i nadrabiać stracony czas. W ciągu dwóch miesięcy, przez lipiec i sierpień, bez przerwy ćwiczenia i wymarsze dniem i nocą. Byliśmy tak zmęczeni, że każdą wolną chwilę wykorzystywało się na odpoczynek. Chociaż mieszkaliśmy w namiotach, to sypiało się wszędzie.

Powoli nabieraliśmy wyglądu wojska i uczyliśmy się sztuki wojowania i dyscypliny wojskowej. 15 lipca 1943 roku na placu alarmowym w obecności Wandy Wasilewskiej i księdza Wilhelma Kubsza odbyła się przysięga całej

dywizji. Najpierw generał Berling złożył, wobec całej dywizji uformowanej w czworobok, na ręce […] księdza […] przysięgę, a potem nastąpiło wręczenie sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo polskie w ZSRR dla 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po uroczystościach wręczenia sztandaru cała dywizja złożyła przysięgę na nowo otrzymany sztandar. Przysięga odbyła się bardzo uroczyście. […] Po przysiędze odbyła się defilada. […]

Przysięga 1. Dywizji Piechoty. Poczet sztandarowy: chorąży Józef Pawłowski, w asyście Władysława Łopucha i Józefa Piotrowskiego (1943, Sielce nad Oką). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Tak się złożyło, że na trzeci dzień po przysiędze odbył się sąd nad dezerterami, którzy zostali skazani na karę śmierci. Oddalili się oni samowolnie do Riazania, około dwudziestu kilometrów, i tam ich złapała rosyjska *patrolka*. Przyprowadzili ich do obozu i posądzili o dezercję. Na

następny dzień po sądzie odbyło się wykonanie wyroku. Sąd dla przykładu wydał taki surowy werdykt.

Za budynkiem sztabu był rejon zakwaterowania kompanii fizylierek i one miały własną strzelnicę. Na tej strzelnicy zebrano całą dywizję. Utworzono z jednostek czworobok, zostawiając jeden bok wolny. Tu znajdowała się bojnia, czyli miejsce, gdzie padają pociski w czasie strzelania − tam zostali ustawieni skazani. Jednego z nich ułaskawił dowódca dywizji, zmieniając mu wyrok śmierci na dziesięć lat więzienia. Pozostali dwaj nie pozwolili sobie zawiązać oczu. Ksiądz Kubsz podszedł do nich i udzielił im ostatniej pociechy. Stanął pluton egzekucyjny z kompanii fizylierek. Padła komenda: „W dezerterów ognia!”. Huknęły strzały. Konali krótko.

Po egzekucji wszyscy bali się gdziekolwiek oddalać. Było to tak sugestywne, że jeszcze dzisiaj mam całą tę scenę przed oczyma. Byli, żyli i już ich nie ma, a tam gdzieś w ich domu rodzinnym na nic czekają. Jednak szkoda ludzi.

[…]

W ostatnich dniach sierpnia ogłoszono alarm bojowy dywizji. […] Alarm ogłoszono o godzinie dwudziestej pierwszej i po zameldowaniu dowódcy dywizji o gotowości pododdziałów, od razu nastąpił wymarsz. Marsz odbywał się kompaniami. Każda kompania szła według azymutu, to znaczy, że kierowano się wyłącznie kompasem. Rano połączyliśmy się w bataliony i maszerowaliśmy dalej bez jedzenia i bez wody. Wszystkie studnie były obstawione przez posterunki. We wszystkich wioskach jak również przy rzeczkach stały posterunki i broniły dostępu do wody, tłumacząc, że woda jest zatruta. Nie dostawaliśmy jedzenia. Jedynie wyjaśniono nam, że kuchnie są zbombardowane. Tak maszerowaliśmy bez jedzenia i picia, stale słysząc tylko: „Szybciej do przodu, nie rozciągać się, dołączyć”. […]

Jako zastępca dowódcy plutonu szedłem za plutonem i pilnowałem, aby pluton za dużo się nie rozciągał i aby nikt nie został, boby się zgubił w nieznanym terenie. Ja też ledwo już szedłem, gdy zobaczyłem żołnierza z mojego plutonu, jak siedział na kamieniu przydrożnym i dalej już nie miał siły iść. Każę mu powstać i iść, a on nie chce. Daję mu rozkaz dołączyć do plutonu, a on wtedy tak do mnie mówi: „Zastrzel, bracie, ja i tak już dalej nie mogę. Tu skończy się moja droga do Polski". Miał około 40 lat. Co mam z nim zrobić? Żal mi go. Zabrałem karabin i plecak, wziąłem go pod rękę i jakoś poszliśmy dalej. Po pewnym czasie odebrał swój bagaż i dogoniliśmy pluton.

Około godziny siedemnastej wyszliśmy na pozycje wyjściowe, szykując się do natarcia. Nacieraliśmy na przestrzeni około pięciu kilometrów: cały czas biegiem, z bronią gotową do strzału, z cekaemami i artylerią za czołgami. Serce podchodziło pod gardło i dusiło tak, że tchu nie można było złapać. […]

Po zakończeniu natarcia dano nam obiad. […] Kto nie zdążył zjeść, musiał zostawić jedzenie. Wymarsz z lasu odbył się na zasadzie alarmu. Idąc w kolumnie, chciało mi się strasznie pić. Szliśmy drogą polną, na której po deszczu były kałuże. Przed nami maszerowała artyleria konna. Po tych kałużach przejeżdżały działa i przechodziły konie. Gdy nadeszliśmy do tych kałuż, to chwytaliśmy wodę do hełmu i piliśmy ją. Ja też tak gasiłem pragnienie i nigdy nic mi się nie stało.

Przemawia Wanda Wasilewska; pierwszy z lewej – gen. Zygmunt Berling (1943, Sielce nad Oką). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Maszerowaliśmy całą noc i nad ranem doszliśmy do obozu. Przed obozem, koło mostku stał generał Berling i przyjmował defiladę powracających jednostek. Obok niego stali dowódcy pułków. Szły więc bataliony i kompanie, a kto upadł w marszu, to omijano go i szło się dalej. To była defilada jak rzadko się spotyka. Żołnierze dobywali resztek sił, aby iść wyprężonymi, wyprostowanymi, udając, że tak mogą iść jeszcze daleko, chociażby do samej Warszawy.

JÓZEF FRANCZAK

Moje wspomnienie o Sielcach to wspomnienie o długich monotonnych dniach, wypełnionych musztrą i ćwiczeniami, a w wolnych chwilach rozmowami z kolegami i śpiewem. Wyżywienie było niezłe, zwłaszcza smaczne były konserwy

z napisem: *swinaja tuszonka*, na których pod spodem można było dostrzec angielskie[25] etykietki.

Z początku używaliśmy podczas ćwiczeń wojskowych drewnianych karabinów, potem stopniowo uzupełniano nam uzbrojenie i umundurowanie. Orzełki na czapkach mieliśmy typu „wrona". Jak na razie był to jedyny wtręt ideologiczny komunistów. Starano się bowiem, zwłaszcza na początku, stworzyć nam prawdziwie polską atmosferę. Byli polscy kapelani, a więc i nabożeństwa polowe, były patriotyczne apele i polskie pieśni, był sztandar z napisami: „Za naszą wolność i waszą" i „Honor, Bóg, Ojczyzna" oraz z wizerunkiem Kościuszki w środku.

Natomiast musztra, salutowanie, a także częściowo nazewnictwo pododdziałów były sowieckie. Łączyło się to jak najbardziej z brakiem oficerów. Tylko nieliczni byli Polakami, inni powoływali się na polski rodowód. […] Pamiętam, jak jeden z oficerów, podpułkownik Piotrowski, podczas jakiejś uroczystości, chyba niedługo przed skierowaniem na front, krzyknął: „Niech żyje Józef Piłsudski!". Może się pomylił, miało być „Stalin", a może pomylił się specjalnie? […] Odpowiedziało mu nasze głośne i radosne: „Hurra!". Tego oficera już potem nie zobaczyliśmy…

„Zaszczyciła" nas natomiast wizytą szefowa ZPP Wanda Wasilewska. […] Żartowali nieraz, że to ona, Wanda, przyjaciółka Generalissimusa, jest prawdziwym dowódcą dywizji, a nie Berling, który wtedy został generałem.

Oficerowie polityczno-wychowawczy, czyli politruki, zachowywali się na początku powściągliwie. Nie narażali się przygotowującym się intensywnie na front żołnierzom, a my atakowaliśmy ich często kłopotliwymi pytaniami.

STANISŁAWA KUBIAK

6 czerwca 1943

Jestem tu prawie dwa tygodnie.[26] […] Skończył się kazachstański marazm, zaczął babski. Jakże przeraża mnie ten kolektyw – utyskujące, choć syte, […] zastraszone. A przede wszystkim – nieszczere. Może i to jakoś by się dało wytrzymać, gdyby nie ich dewocja. Modły przed wartą i klepanie pacierzy po apelu. Ile można? Inna sprawa, że nikt do tego w dowództwie nie przywiązuje wagi, a sam dowódca taki bogoojczyźniany. Zresztą, inaczej wyobrażałam sobie wojsko. Jeśli nie zmieni się rygor – na większy − to o wojsku mowy nie ma. […]

Wczoraj stałam na warcie w nocy. Nic się nie działo. Nie było „straszno” – jak tu mówią. A mówią tak źle po polsku. Zapomniały. A tak liczyłam, że własne zaniedbania nadrobię. Ale zdaje się, że to kolejna mrzonka. […]

Dziś wydali buty. Poskakałam za namiotem na wiwat i jeśli się uda, włożę je w nocy pod zagłówek: to na szczęście. Tak zawsze robiłam w domu. A te buty są przecież ważne – pierwsze od czterech lat nowe buty!

9 czerwca 1943

Były dwa wykłady: o ZPP i o pomocy Związku [Radzieckiego]. Dziewczęta bardzo narzekają, że im smutno za domem. A gdzie ten dom? W tajdze, na stepie? Pewnie, że te, które rozstały się z rodzicami, tęsknią. Mnie to nie dotyczy, nie mam nikogo. Przyszłam tu z własnej woli, by nie czekać na głodowe *pajki*[27], by mówić po polsku. A do „domu” się nie spieszę. Nie mam domu. Dusi tylko tęsknota za krajem.

Zastępcą dowódcy jest H. Z. [Halina Zawadzka]. Mówiła na wykładzie, że z wojskiem szybciej będziemy w kraju. Że Armia Czerwona zwycięży. Że pojedziemy do Polski. Kiedy? Coś jednak trzeba by zrobić, by przyspieszyć ten czas. Ale

co? Stać na warcie, maszerować. To chyba nie wystarczy. Więc co?

12 czerwca 1943

A jednak coś się dzieje. Dziś wezwali mnie po zbiórce do namiotu *naczalstwa*[28]. […] Była rozmowa na temat tego, czy chcę pójść na kurs oświatowców. Nie wiem, co to jest i czym zwróciłam na siebie uwagę. Milczę przecież cały czas. Z nikim się nie zadaję. Roztaczane przede mną perspektywy jakiejś konkretnej pracy są nęcące, a zwłaszcza nauka. Ale – czy to realne? Cztery lata bez książek, gazet. Sprostaczałam i schamiałam. Czy ja jeszcze coś potrafię?

Około 18 czerwca 1943

Zaczął się kurs. Jestem jedną z kilku z batalionu. Czasu na pisanie jest mało. Dużo wykładów i to bardzo ciekawych. Wykładają [Wanda] Wasilewska, [Hilary] Minc, [Zygmunt] Modzelewski, [Stefan] Jędrychowski, [Włodzimierz] Sokorski, [Jan] Mietkowski i wielu innych. […] Jest bardzo dużo słuchaczy z całego obozu – mężczyzn.

Przed wieczorem podszedł do mnie jakiś wysoki żołnierz. Zapytał mnie o nazwisko. Że też go od razu nie poznałam. Przecież tyle razy był u nas w domu ze swoją piękną żoną. Henryk K. uciekł przed Niemcami; żona została z dzieckiem we Lwowie. Pamięta mnie, gdy jeszcze byłam zupełnie smarkata. Miłe, ale jakże bolesne spotkanie. Po co wspominać i drapać stare rany. Już się prawie zasklepiły. Ale jedno jest dobre w tym spotkaniu. Będę mogła z kimś porozmawiać o tym wszystkim, co mnie dręczy. On jedzie na takim samym koniu, zna mnie. Mogę być szczera. […]

Mam kłopoty z wykładami. Nie wszystko rozumiem, zwłaszcza jeśli idzie o komunistów. Krępuję się pytać, ale będę musiała. Ani w domu, ani w szkole nikt mi nigdy nie

mówił, że są komuniści i nikt mnie nie zaznajamiał z ich programem działania.

W 1939 roku mówili trochę o bolszewikach, poznałam ich, gdy wkroczyli do Lwowa i mieszkali u nas. […] Dlaczego zatajono przede mną, że w Polsce przed wojną byli komuniści? W „Wieku Nowym”[29] kiedyś pisali o jakimś procesie, ale babcia nie dała mi wtedy żadnego wyjaśnienia. Czy ona też nie wiedziała?

Około 30 czerwca 1943

Nie rozumiem, dlaczego tu mówią, że klęsce Polski winni są oficerowie. Przecież wiem dobrze, że walczyli i wielu poległo. Nie było rodziny w moim otoczeniu, by nie zginął któryś z oficerów. A potem ich rodziny wywieźli jako *niebłagonadiożnyj*[30] element. A za co mnie? Przecież mój papa nie żyje od 1929 roku. Nawet naczelnik NKWD w Ałdze dziwił się, gdy z bratem stanęłam przed nim. Cesio miał tylko 13 lat. Coś tu jednak nie w porządku. Henryk usiłował mi to wytłumaczyć, ale jakoś mnie nie przekonał. Czyżby też przede mną coś ukrywał?

Tak jak tu przedstawiają komunistów – to naprawdę patriotyczni ludzie. Dlaczego więc byli znienawidzeni i prześladowani? […]

Henryk odradza mi pisanie pamiętnika, bo przez to mogę się narazić. Ale komu?! Rozumiem, że na froncie to może wpaść w ręce Niemców; a w ogóle to kogo interesuje, co myślę na prywatny użytek. Czy ktoś liczy się ze mną, czy mam coś do powiedzenia? W wojsku trzeba słuchać, a moi przełożeni nic takiego nie zakazali. Inne piszą listy. Ja tylko z przyzwyczajenia notuję takie sobie przeżycia.

Kurs dobiega końca. W batalionie bywam tylko na apelu porannym, na obiedzie i na apelu wieczornym. Dziewczyny zazdroszczą mi, bo podobno trochę im dają bobu. Przyszedł nowy zastępca i zapowiedział, że zrobi z nich wojsko. […]

Wojskową część egzaminu zdałam na dobrze. Trochę się poszkapiłam przy meldowaniu pułkownikowi [Bronisławowi] Lubańskiemu. Ryknął takim śmiechem, że obejrzałam się, co takiego śmiesznego zobaczył. Okazało się, że to ja go tak rozbawiłam […].

Gorzej z egzaminem ze spraw oświatowych, a *de facto* politycznych. Tam do licha! Kazachstan wyprał mi dokumentnie mózg. Okazuje się, że nie pamiętam ojczystej historii. Wyleciały z pamięci daty. Ale to pół biedy – gorzej, że wymagają oceny wydarzeń. Zaginam się przy Łokietku. Nie pamiętam, do jakich reform dążył Kościuszko. Jestem jak próżna dynia. Ucieszyłby się pan profesor Baumgarten, gdyby widział, jakie skutki dała jego edukacja. Widocznie stawiał mi bardzo dobrze na wiarę.

Ciągle szukam tego, kto jest winny, kto nie pozwolił mi rozumieć tych wszystkich spraw tak, jak je tu ujmują. Coś musi jednak być w tym, że krytykują burżuazyjną edukację, naszą Polskę. No pewnie, że było dużo biedy, to wiem. Ale żeby źle uczyli historii ojczystej? Oj! Bieda ci, bieda. Ani książek, ani bryka. Pamięć, notatki, wykłady. A ja mam próżnię w głowie. Po nocach śnią mi się milowe kolejki po chleb, lepioszki pieczone w popiele kiziaka[31], susły łapane w stepie i ciągle pociąg zatłoczony, który wiózł w nieznane.

Muszę zdać ten egzamin! Boję się, że inaczej znów poślą mnie do posiołka, do nędzy.

Nie jestem z siebie zadowolona. Wkuwałam notatki w nocy w kancelarii batalionowej. Odpowiadałam miernie. Najlepiej poszły mi powstania. Potem była rozmowa z Mietkowskim. Nie wiem, dlaczego pytał mnie o znajomość języka niemieckiego. Nawet żądał, bym coś po niemiecku powiedziała. Zarecytowałam Heinego, bo go bardzo lubię.

Był zadowolony i powiedział, że niemiecki może mi się jeszcze przydać.

Około 7 lipca 1943

Czasu na pisanie coraz mniej. Wyznaczono mnie na zastępcę dowódcy kompanii do spraw oświatowych. Jestem przerażona. Masa obowiązków: dyżury, cały czas z kompanią, mam prowadzić wykłady i robić komunikaty, a ponadto prowadzić gimnastykę poranną, być na każdych ćwiczeniach, pilnować porządku.

Żądają, bym zjednała sobie dziewczęta. Ale jak, u licha? Złoszczą mnie ich fanaberie, histerie, no i tępota. Jak mam podać w sprawozdaniu, o co pytają na zajęciach oświatowych, kiedy o nic nie pytają. Śpią albo tępo na mnie patrzą. Wywoływanie po nazwisku nic nie pomaga. Tego, o czym mówią w namiotach między sobą, nie mogę przecież przekazywać – to byłoby donosicielstwo. Mówią źle o swoim pobycie w kołchozach, o Rosji. Ale nigdy przy mnie. Kiedy zbliżam się, milkną.

Mało tego. Każą mi chodzić z dziewczętami na niedzielne nabożeństwa. Nudzi mnie to. Dziesięć lat temu zerwałam stosunki z Panem Bogiem i nie mam zamiaru czcić go tutaj. Jeśli nie wróciłam do modłów w Kazachstanie, to już chyba nie wrócę nigdy. Szkoda czasu.

Zaczęły się ostre przygotowania do przysięgi. Mac[32] zupełnie oszalał – żąda, by kompanie chodziły jak baletnice. Buciska latają po nogach, dziewuchy pocą się jak drwale. Mój Orłowski[33] kiwa głową. Miałam z nim rozmowę na temat tego, czego wymaga od swego zastępcy, czyli ode mnie. […] Oświadczył mi, że będzie surowo egzekwował wszystkie moje rozkazy. No, to dobrze.

Nie cieszy się jednak zbytnim mirem cała batalionowa oświata. Jesteśmy za słabo przeszkolone wojskowo. Tytuł oficera bez stopnia nie przynosi autorytetu, a zdobyć go

samymi pogadankami, które z takim trudem udaje się sklecić, chyba się nie uda. […]

Gdybym miała ściśle określić swoją funkcję, to chyba najsłuszniejsze byłoby: „ruchoma gderliwa ciotka”. Istotnie, biorę udział w ćwiczeniach i pogderuję na leniwe dziewuchy, z których pot cieknie ciurkiem. Wracamy do obozu i znów pogderuję, popędzam, to do porządków, to znów na zbiórkę. A najkomiczniejsze, kiedy w zastępstwie mam prowadzić musztrę. Podaję komendy i nie jestem zbyt pewna, czy dobrze. […]

Spieszymy się ciągle i wszędzie, od świtu do nocy. I śpimy też tak, jakby prycza była komuś potrzebna.

1. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater (1943, Sielce nad Oką). *Zbiory Ośrodka KARTA, udostępniła Zofia Górska*

Najgorsze kłopoty są jednak z majtkami. Mac wydał osobistą wojnę naszym suszącym się za namiotami desusom. Rozumiem, że te sine, niedoprane trykoty nie ozdabiają obozu, ale nie rozumiem awantur, które urządza. Wojna wojną, ale jeśli zdecydowano się na damskie wojsko,

to i na majtki też. W efekcie poszłam dziś na ćwiczenia z dwoma parami mokrych wypranych trykotów w torbie. Notatnik niosłam w ręku. Suszyłam na krzakach, gdy dziewczęta ćwiczyły. Ale mnie to jeszcze dobrze; mam trzy pary, a one jedną na tydzień – do czasu kąpieli w łaźni. Przepierają rano w rzece, wykręcają i wkładają wilgotne pod spodnie. Nasze starania – a pyskowałyśmy na odprawie, ile się dało, by zrobić baonową suszarnię – na razie spełzły na niczym. Swoją drogą, strasznie to śmieszne: baonowa suszarnia majtek z wartownikiem. Ciekawe, jak zareagują dziewczęta, które będą pełniły tam służbę.

Coś przebąkują, że my, oświatowe, mamy dostać stopnie. Ciekawe jakie? Przysięga za pasem i nie czas o tym myśleć. Dziś na odprawie była mowa, że trzeba pójść z żołnierzami przed przysięgą do spowiedzi. Klecha coraz częściej przychodzi do dziewcząt na pogaduszki. I jakoś nikt nie mówi, że nie ma on autorytetu. Może by tak zastąpił mnie w tej mozolnej pracy nawracania tułaczek na *Sowietskij Sojuz*[34]. Zresztą, nie rozumiem ich. No, chociażby za ten pełny kociołek, za buty, za naukę, teraz tu mogłyby odrzucić na chwilę swoje krzywdy.

A czy ja jestem inna? Czy i mnie nie dotknęły wszystkie klęski tułaczego życia? Przeżywam je sama. Najtrudniejsze są chwile, gdy rozdzielają pocztę. One dostają od swoich bliskich listy, piszą listy, czekają na nie. Ja nie mam na co czekać. Zeszycik zapisuję drobnymi linijkami, choć też na dobrą sprawę nie wiem, po co. Czy przetrwam? Czy kiedyś będę miała córkę, której opowiem, a może dam do przeczytania? Kazachstańskie notatki poskładałam i włożyłam do oprawki książeczki do nabożeństwa, z której wydarłam cały środek. Tak zajmują mniej miejsca,

a ponadto nie wzbudzą zbytniej ciekawości w razie jakiejś kontroli. Teraz chociaż dobrze, że jest na czym pisać.

Jeśli porównam dzień dzisiejszy z tak niedawną jeszcze przeszłością, stwierdzam, że jest mi dobrze. Przytyłam, już tak nie sterczą mi żebra. Bardzo ciężko znoszę nadal miesiączki. Dużo krwawię, ale nie korzystam ze zwolnienia, mimo że mogłabym. Nie chcę, by moje podwładne, które też cierpią zapewne, mogły mi wytknąć, że wykorzystuję swoje stanowisko.

Mundur przypasowałam sobie bardzo dobrze. Dostałam lepsze buty, torbę polową, ładny pas z poprzeczką. Trochę mam kłopotów z włosami, rozpadają się. Ciągle brak mi chustek do nosa, a przede wszystkim kogoś […]. Ee, lepiej się nie rozklejać.

10 lipca 1943

Dziś jestem oficerem dyżurnym w kuchni. Po raz pierwszy. Nic tu nie ma do roboty. Ot, trochę trzeba popilnować, czy mają czyste ręce i czy nie oszukują. Będę więc mogła przygotować się do zajęć na przyszły tydzień, trochę popisać o swoich sprawach. […]

Z moim dowódcą mam dobre stosunki. Jest bardzo ludzki. Zdaje się jednak, że niezbyt zadowolony z mojej pracy. Ja też nie jestem. W kompanii jest kilka inteligentniejszych dziewcząt. Wyłuskałam je i one jakoś trzymają mnie na duchu. A w ogóle, w mojej ocenie, zaszła pomyłka w wyznaczeniu mnie na oświatową w kompanii. Nie umiem tego robić i nic na to nie poradzę. Nie nadaję się, choć nikt mi nie robi żadnych wymówek. Piszę staranne konspekty, zadaję na instruktażach dziesiątki pytań, uczę się pogadanek na pamięć. Za mało wiem, za mało umiem. W prawdziwej wojaczce idzie mi lepiej. Miałam najlepsze wśród oświatowych wyniki w strzelaniu z kb [karabinu]

i pistoletu – bez pudła. Opanowałam rozbieranie broni na bardzo dobrze.

Udane strzelanie skłoniło Maca do rozmowy. […] Rozmawiał ze mną dość długo o kompanii. Z całej rozmowy wyciągnęłam wniosek, że stwarza pozory surowości, a w gruncie rzeczy pęka ze śmiechu z naszej nieporadności. Nie dziwię się zresztą, że wiele rzeczy złości go; mnie też. Ale trudno tu być mądrym. Z jednej strony wymagają surowości, egzekwowania wysiłku etc., a z drugiej… No choćby sprawa tego zawalonego namiotu podczas czyszczenia broni. Zjechał cały wielki sztab i biadolił nad dwoma dziewuchami, które miały małe draśnięcia. Sam „wódz” pogłaskał po głowie beczącą Reginę, której krew ciekła z nosa. Czy będzie je głaskał i wtedy, kiedy pójdziemy wreszcie do prawdziwej walki?

A o tym mam stale przypominać w swojej pracy oświatowca: „że nie licząc się z trudem, ofiarą krwi, żołnierz powinien…”. Teraz będę dodawała nową formułkę, własną: „a jeśli będziemy grzeczne, to »wódz« pogłaska nas po głowie”.

11 lipca 1943

Dziś miałam wolne. Dyżur w kuchni udał się – nic nie zaszło. Kucharka poczęstowała mnie plackami kartoflanymi. Ale pycha! Ile lat nie jadłam placków? Cztery! Nie do wiary! Nie wiem tylko, dlaczego, gdy smakowałam placki, nagle naszły mnie wspomnienia. Najpierw o domu, o zapachach donoszących się z kuchni, gdy wracałam ze szkoły, a potem o Kazachstanie. Ileż to nocy śnił mi się chleb, którego za żadną cenę nie można było dostać. […] I stanęły placki w gardle. Jakże upokarzające było to uczucie głodu, które przeżyłam. Czy kiedyś o nim zapomnę?

12 lipca 1943

Dzień był zupełnie zwariowany, jak każdy teraz. Byłam na taktyce z kompanią. Podczas ćwiczeń przyleciał goniec – a raczej gońcówna – z wiadomością, że mamy natychmiast wracać do obozu. Porucznik Orłowski był trochę zdziwiony.

To, co zastaliśmy w baonie, trudno opisać. Mac zwariował. Powyrzucał z namiotów wszystkie sienniki, pościel i w ogóle zrobił sądny dzień. Na uporządkowanie dał 30 minut. Jest to kara, bo pod którymś siennikiem leżały onuce. Mac niewiele może mówić, bo ochrypł od komend w czasie musztry. Stał na „linijce", patrzył na zegarek i perfidnie się uśmiechał. Dziewczęta zalewała krew: wrzeszczały, wyrywały sobie z rąk koce i prześcieradła. I po co to wszystko? Orłowski mówi, że szkoda czasu na takie hece.

13 lipca 1943

Od dziś będziemy zajmować się już tylko przygotowaniami do przysięgi. Chwilami nasz baon wygląda tak, jakby wszystkie naraz miały iść do ślubu. Nastrój jest gorączkowy. Ciągle jeszcze wszystkie ćwiczymy krok defiladowy. […]

Przygotowujemy gazetkę ścienną. Napisałam do niej, tak jak czuję, czym jest przysięga. […]

15 lipca 1943, godz. 18.00

Chyba nie będę w stanie opisać, co dziś czułam. Było tak uroczyście. Przemawiała bardzo pięknie i wzruszająco Wanda Wasilewska. Pierwszy raz od chwili przyjazdu tutaj płakałam. Wojska było dużo. Rota przysięgi jest piękna i nikt jakoś nie powstrzymał się od wymówienia tego tekstu o dochowaniu wierności sojuszniczej. A tyle było pracy, a właściwie kapania na mózg przy tłumaczeniu, dlaczego ten zwrot jest w przysiędze.

Od chwili przyrzeczenia harcerskiego w Spale, nigdy jeszcze nie przeżyłam takiej uroczystości. Stałam się

cząstką tej rzeszy żołnierskiej i wiem, że przysięgi dotrzymam.

[…]

19 lipca 1943

Nie wiem, co mi się stało. Co drugi dzień mam straszne dreszcze. Ledwie jestem w stanie zwlec się na zbiórkę. W ciągu dnia kręci mi się w głowie. Ale nic mnie nie boli. Poczekam jeszcze i jeśli to nie minie, pójdę do lekarki. Roboty jest strasznie dużo; przybyło znów sporo nowych dziewcząt. Trzeba je rejestrować, prowadzić do łaźni, rozmawiać. Są trochę starsze i – jak na razie – przerażone. […]

Moja kompania ma coraz lepsze wyniki w dziele wojackim. Porucznik Orłowski nie żałuje sił. Mac już się teraz do naszej kompanii nie miesza. Odkąd przyjechały Rosjanki, dużo się zmieniło. Niektóre z nich są fajne. Ale do nas zaufania nie mają. Trzymają się razem i nawet przy stole w stołówce siadają oddzielnie. Zazdroszczę im wyszkolenia, same dobrze umieją i potrafią uczyć.

23 lipca 1943

Jakaż radość mnie wczoraj spotkała. Dyżurną była Janka Zahaczewska. W czasie obiadu wywołała mnie, bo ktoś do mnie przyszedł. Myślałam, że to zwykły kawał. Podeszłam do wyjścia. Przed bramą stał jakiś podporucznik i patrzył na mnie, uśmiechając się. W pierwszej chwili nie poznałam. Janka miała strasznie durną minę, gdy zobaczyła, że podbiegł do mnie, chwycił mnie wpół i zaczął tańczyć. Ja też nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Poznałam go dopiero po chwili, gdy postawił mnie na ziemi, nie wypuszczając jednak z objęć. To pan Wacław Szylberg – mój ranny, którego w 1939 roku pielęgnowałam w szpitalu. Widział mnie podczas defilady i odszukał.

Nie wiem, jak to się stało, że Mac dał mi przepustkę. Płakałam i śmiałam się jednocześnie, i podobno w ogóle się przepisowo nie zameldowałam. Nic to!

Całe popołudnie spędziłam z Wackiem. Nie wiem, dlaczego mówiłam mu „ty", przecież jest starszy ode mnie. Cieszę się bardzo, że żyje, bo miałam o nim złe wieści jeszcze w 1940 roku. Wspominaliśmy szpital. Wacek był ranny w biodro podczas bitwy pod Janowem. Dwukrotnie go operowano i łamano mu nogę na żywo. Czuwałam przy nim parę nocy; płakał jak małe dziecko, gdy go przywozili z sali operacyjnej. […] Obok niego leżał sierżant Stanisław Szott. Obydwaj oddali mi dokumenty na przechowanie. Zakopałam je w puszce w ogrodzie. Teraz narysowałam Wackowi cały plan naszego ogrodu i miejsce, gdzie są zakopane dokumenty.

Wacek opowiadał mi swoje dzieje. Gdy w styczniu 1940 razem z panami Szottem i Barteckim chcieli przekroczyć granicę sowiecko-niemiecką, aresztował ich patrol rosyjski. Wywieziono ich najpierw do Starobielska, a potem do Komi. Szott i Bartecki nie żyją.

[…]

Przegadaliśmy wiele godzin. […]

Dobry był dziś dzień. Wacek był dla mnie serdeczny, obiecał mnie odwiedzać. Rozstaliśmy się tuż przed apelem. Było strasznie śmiesznie, gdy na oczach wartowniczki Wacek buchnął mnie w mankiet. Wyobrażam sobie, co też zaraz dziewczyny będą kombinowały na mój temat.

5 sierpnia 1943

Jest mi coraz ciężej pracować. Kompania ma wzmożone ćwiczenia. Coś się ma stać. Wiem co, ale nie powinnam o tym pisać. Już jest po przysiędze.

Rano nie mogę wstać. Lekarka mówi, że to malaria i chce mnie odesłać do szpitala. Bronię się, jak mogę, nadrabiam

miną, ale chwilami czuję, że nie dam rady.

Powinnam się teraz cieszyć. Oświatowi zostali awansowani. Dostałam stopień chorążego i… naganę, bo pozwoliłam sobie zaraz po awansie na żart, że raczej jesteśmy chorągiewki. […]

Około 18 sierpnia 1943

Więcej czasu spędzam teraz w lazarecie. Lekarka podjęła się mnie wyleczyć. […] Ataki malarii męczą, jestem na wpół głucha od chininy. A w kompanii tyle pracy… Wiem już, że z kompanią tam, gdzie ma się udać, nie poślą mnie. Moje miejsce ma zająć, a faktycznie już zajęła, Natka Bajtner. Pisać zbyt wiele nie mogę, kręci mi się w głowie, a poza tym leżą oprócz mnie inne dziewczyny, więc na pewno by się zainteresowały…

25 sierpnia 1943

Kilka dziewcząt z kompanii przyszło się pożegnać. Wyjeżdżają. Popłakałyśmy się. […] Niesłodkie są te myśli, z których się zwierzyły. Przykro mi, że nie będę z nimi. Nic na to nie poradzę. Taki jest rozkaz.

Poniżej zamieszczamy relacje Józefa Dubińskiego i Daniela Rudnickiego, którzy znaleźli się w obozie w Sielcach nad Oką już po chrzcie bojowym dywizji kościuszkowskiej, czyli po bitwie pod Lenino. Obóz w Sielcach zlikwidowano bowiem dopiero na początku lata 1944 roku. Józef Dubiński przyjechał do obozu w Sielcach − jako nowo zwerbowany żołnierz − w listopadzie 1943 roku. Daniel Rudnicki powrócił do Sielc w kwietniu 1944 roku ze szpitala w Moskwie, do którego trafił po bitwie pod Lenino − przyp. red.

JÓZEF DUBIŃSKI

Ostatecznie w pierwszych dniach listopada dotarliśmy do końcowej stacji Diwowo, odległej o 20 kilometrów od obozu sieleckiego. Z Diwowa poprowadził nas uprzednio

wspomniany sierżant w polskim mundurze − do obozu w Sielcach. W bramie obozu z dachu ziemianki przywitali nas − 37 łachmaniarzy − generał Zygmunt Berling i Wanda Wasilewska. Przywitanie było krótkie, po nim odprowadzono nas do jednej z ziemianek. W ziemiance tej mieściła się tzw. kwarantanna, zgromadzono w niej 250−300 osób na kilku piętrowych pryczach, po obu stronach ścian. Prycze wykonano ze zwykłych drągów sosnowych, o byle jak obciętych sękach, i nie było na nich żadnego posłania. Na tych drągach przez dwa tygodnie spaliśmy i odpoczywaliśmy we własnych łachmanach, pełnych robactwa z drogi i wzbogaconych dodatkowo o robactwo tu nabyte. Po trzech tygodniach pobytu w tej niby-kwarantannie zaprowadzono nas do łaźni parowej. Tu nasze łachmany poddano dezynfekcji i oddano nam, z możliwością odesłania ich do domu. Nas natomiast ubrano w stare kufajki i jakieś kożuszki, które miały może jeszcze jedną czwartą sierści, i przydzielono na kilka dni do pułku zapasowego. Ale już pod koniec listopada przyszli po nas „kupcy” i wybierali do organizującego się 7. pułku piechoty.

Ja z kilkoma kolegami z podróży, między innymi z Władkiem Soczyńskim, trafiliśmy do 1. kompanii moździerzy batalionowych 82 mm. Kompania składała się w większości z moich rówieśników, byłych zesłańców rozproszonych po całej Syberii. Dowodził naszą kompanią podporucznik Michał Mickiewicz, były kapral przedwojennej marynarki. Bardzo sprytny, dobry oraz przykładny dowódca. […] Dowódcami plutonów i drużyn mianowano byłych uczestników walk pod Lenino. […]

Było też w naszej kompanii kilku Ślązaków z armii niemieckiej. Pochodzili przeważnie z rejonu Rybnika. Do nich należeli między innymi Janko Alfred i Jerzy Choży.

Później doszedł Łakota, oficer, i Eryk Suchanek. Był jeszcze jeden plutonowy, którego zgubiłem gdzieś w rejonie Choszczówki lub Brudnego[35]; bardzo inteligentny i równy kolega. Lubiłem iść z nim na służbę, zwłaszcza w jasne noce, kiedy opowiadał mi o gwiazdach i podawał ich nazwy. […]

Wszyscy byliśmy u kresu sił, gdyż poza dziennymi ćwiczeniami, które trwały od godziny piątej rano do dwudziestej drugiej, z godzinną przerwą na obiad, to jeszcze co najmniej dwa razy w tygodniu odbywały się ćwiczenia nocne przez 2−3 godziny. A że był to okres zimowy, prawie sześć godzin ćwiczyło się w warunkach nocnych.

Na domiar złego moździerzysta był obładowany trzydziestopięciokilogramowym obciążeniem. Ja na przykład początkowo byłem amunicyjnym. Moje wyposażenie składało się z: podstawy moździerza, która ważyła 21 kg, karabinu − około 4,5 kg, hełmu, który ważył około 3 kg, maski przeciwgazowej − 4,8 kg i łopatki saperskiej oraz kilku innych drobiazgów, nie licząc amunicji i granatów. To wszystko trzeba było na siebie pozawieszać. Nie było to jeszcze takie straszne w marszu, ale gdy przyszło się czołgać lub biec, to ostatni pot spływał z człowieka. Pisałem nawet do mamy na Sybir, że wolałbym być tam niż w wojsku, co zresztą cenzura zamalowała na czarno i mama nie wiedziała, o co chodziło, i przysłała mi ten list z powrotem do wojska.

Koszarami naszymi w 7. pułku piechoty i tym razem była ziemianka, tylko dwa razy większa, a prycze były tu wykonane z desek […]. Pozostałe wyposażenie było podobne jak w poprzednio opisywanej ziemiance: tak samo kopciły kagańce napełnione oliwą, takie same papiery wisiały w oknach i taki sam był zaduch. A gdy rano się

wstało, zwłaszcza z prycz na trzecim piętrze, to z czadu i brudu chłopcom od wieczora do rana urastały czarne wąsy pod nosem. Zresztą, nie było się co dziwić − przecież w jednej ziemiance mieścił się cały batalion, ponad 300 osób.

Do mycia biegaliśmy co rano rozebrani do pasa – do przerębli na Oce; zaliczano to do gimnastyki porannej. W tych […] warunkach przebywaliśmy do 15 marca 1944 roku. Raz na miesiąc prowadzili nas do łaźni nad Okę. Tam parzono naszą odzież i porządnie się myliśmy. Potem przez kilka dni czuliśmy się lepiej i robactwo tak nie gryzło. Przy okazji wymarszu do łaźni, wymienialiśmy z ruskimi babami cukier na lepioszki ziemniaczane. Za jedną lepioszkę wielkości dłoni trzeba było dać dziesięć kostek cukru. Przez cały miesiąc odkładaliśmy po jednej kostce cukru, żeby takiej wymiany dokonać. […]

Nadmierny wysiłek i słabe wyżywienie dawały się we znaki − stale chodziliśmy głodni, zwłaszcza Ślązacy, którzy porównywali wyżywienie żołnierzy niemieckich i nasze i marzyli o takim, jakie tam [w armii niemieckiej] otrzymywali. Największą gratką było dostać się do kuchni do obierania ziemniaków. Tam można było do syta pojeść i jeszcze coś przynieść w kociołku do ziemianki. Najczęściej wieczorem po kolacji otrzymywaliśmy porcję chleba, cukru i czasem mięso z konserwy lub ryby, ale do rana do śniadania nic z tego nie pozostawało i piło się kawę bez cukru, bez chleba i szło o samej kawie na ćwiczenia.

Jak już wspomniałem, 15 marca 1944 roku po otrzymaniu umundurowania letniego, z obawy przed ruszeniem lodów na Oce, opuściliśmy obóz sielecki i udaliśmy się do wsi w pobliże stacji Diwowo. Tu rozkwaterowano nas po domach riazańskich. Pobyt w tych wsiach trwał do 6

kwietnia, do chwili załadowania naszej jednostki na wagony towarowe i wyjazdu na front.

DANIEL RUDNICKI

Diwowo − widziane po raz drugi w niecały rok później − wyglądało już inaczej. Na stacji pełno nowych niespotykanych dotąd mundurów. Obok wagonów z furażem[36] kilku wartowników na posterunku. Na peronie powoli, z poczuciem ważności przechadza się tęgi oficer − sądząc z naramienników, na których gwiazdki zastąpiły poprzeczne metalowe paski, podobne do odznak oficerskich w naszej Marynarce Wojennej – w eleganckiej czapce uszance.

Niecodzienne to wojsko, sprawiające nieco operetkowe wrażenie, było formującą się narodową dywizją rumuńską. Niedawnych żołnierzy armii Antonescu[37] zwolniono z niewoli, dając im możność tworzenia dywizji, która − podobnie jak nasza dywizja − miałaby walczyć razem z Armią Radziecką przeciwko hitlerowcom. Nie wiem, co się później stało z tym wojskiem. […]

W Sielcach nasza grupa bohaterów spod Lenino – a wtedy to naprawdę dużo znaczyło – trafiła do ziemianki stanowiącej rodzaj punktu selekcyjnego, w którym po licznych manipulacjach dokonywano przydziału nowo przybyłych do odpowiednich specjalności i pododdziałów. Nie było nam w tej ziemiance źle. Jeść dawali, na zbiórki nie ganiali, leżało się na pryczy, bałaganiło, gadało, śpiewało. Władek Jałowiecki pięknym barytonem raczył nas na przemian to ariami z „Oniegina”[38], to popularnymi pieśniami rosyjskimi, a zwłaszcza na moją specjalną prośbę pieśnią „Po dorogie pylnoj, czto legła pod ukłon[39]”, której muzyka, ilekroć ją usłyszę, zawsze przypomina mi barwę i zapach owej ciemnej ziemianki, z dwoma rzędami

dwupiętrowych prycz − w obozie sieleckim w tamto przedwiośnie [19]44 roku.

[…]

Po kilku dniach pobytu w ziemiance dostałem wreszcie przydział do bardzo bojowej jednostki – samodzielnego batalionu wyzdrowieńców[40] 1. Korpusu.

[…] Gromadziło się tu bractwo najbardziej przypadkowe: trochę rannych i chorych po wyleczeniu, jak ja, i masa żołnierzy po pięćdziesiątce, z którymi nie było co zrobić w linii, i Polacy z Łodzi oraz Ślązacy wcieleni do Wehrmachtu, skąd przeszli na stronę radziecką, a nawet Żydzi, którzy nawiali do radzieckiej partyzantki z oddziałów Organizacji Todta[41], skierowanych do *Ostlandu*, […] i trochę ruskich Polaków z Leningradu, których po przerwaniu blokady przysłano do 1. Korpusu, a którzy mieli u wyzdrowieńców powrócić do jako takiej kondycji. I spryciarze-dekownicy, szukający bezpieczniejszego, mniej „gorącego" miejsca w armii, wreszcie – a tych też było niemało – ci, którzy mieli jakieś haczyki w personaliach, czyli niepewną postawę polityczną, jak na przykład część przedwrześniowych podoficerów zawodowych lub w okresie późniejszym nie mniej niż pluton żołnierzy i oficerów 27. Dywizji AK[42].

Nie wiedziałem, że u wyzdrowieńców utknę na długo – do października [19]44 roku. Tu też zostałem pracownikiem politycznym.

Wobec spodziewanych roztopów wiosennych na Oce, kto został w obozie sieleckim po wyjeździe 3. Dywizji na front, przeniósł się do wiosek na przeciwległym wysokim brzegu. Wyzdrowieńców rozlokowano we wsi Fiediakino; częściowo w szkole, częściowo u kołchoźników. Pewnego razu polityczno-wychowawcza mojej 2. kompanii, oficer bez stopnia Kazimiera Glaterowa, obok której kręcił się taki

sam „oficer” Goldberg […] zaproponowała mi czytanie żołnierzom na głos gazet radzieckich. Z początku chodziło o *swodki*[43], a potem, kiedy się okazało, że to mi wychodzi, dano mi do tłumaczenia na polski i do omawiania większe artykuły. Wreszcie dostąpiłem drugiego stopnia wtajemniczenia: zacząłem wygłaszać pogadanki z konspektów. Oczywiście główną rekomendacją do wykonywania przeze mnie tego rzemiosła było to, że byłem kościuszkowcem rannym pod Lenino. I jak mi się dzisiaj wydaje, chyba nie tylko to…

[…]

Dowódcą batalionu był rasowy, szczupły, opanowany kapitan Angorman, radziecki Polak, zdolny oficer liniowy, nie wiadomo po co trzymany na głębokim zapleczu, którego odnalazłem dopiero tuż pod koniec wojny w 3. pułku piechoty jako zastępcę dowódcy pułku do spraw liniowych. […]

W ostatnich dniach przed wyjazdem zająłem się − trochę z nudów, zrodzonych przez przesilenie zimy z wiosną w głębokiej wiosce rosyjskiej, a trochę z recydywy starej szkolnej miłości − pracą w teatrzyku. Założyłem, chyba słusznie, iż jest to forma pracy politycznej równie skuteczna co tradycyjne formalne odwalanie pogadanek, prasówek, gazetek ściennych…

Przypisy

[1] „Kupiec” − przedstawiciel jednostki wojskowej zajmujący się werbowaniem żołnierzy.

[2] Dąbrowszczacy − żołnierze XIII Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, walczący przeciwko gen. Franco w wojnie domowej w Hiszpanii w latach 1936−1939.

[3] *Kukuruźnik* (ros.) − Po-2; radziecki dwupłatowy samolot wielozadaniowy.
[4] To jest zamek (ros.).
[5] A to jest… Chrzanić to (ros.).
[6] Chromowe buty − tj. ze skóry garbowanej solami chromu; odporne na wilgoć i pleśń.
[7] Spodnie *galife* (fr.) − bryczesy.
[8] Nic nie mów, lepiej na tym wyjdziesz (ros.) − tłum. Bolesław Dańko.
[9] Gimnaściorka − ros. *gimnastiorka*; bluza mundurowa wkładana przez głowę, najczęściej z zielonego drelichu.
[10] 1 czerwca 1943 sformowano w Sielcach nad Oką batalion szkolny. Dowodził nim przedwojenny oficer kpt. Jan Łopaciński. W składzie batalionu wydzielono kompanię podchorążych, która z czasem przyjęła nazwę Dywizyjnej Szkoły Podchorążych. Jej pierwszym dowódcą był kpt. Leonid Muratow, w lipcu 1943 zastąpił go por. Zygmunt Wilkin. Nauka w szkole trwała dwa miesiące, podczas których przygotowywano oficerów do dowodzenia plutonem w warunkach bojowych. Pierwsza promocja oficerów (165) odbyła się 27 sierpnia 1943.
[11] Popr. buty kierzowe − z czarnego brezentu lub sztucznej skóry.
[12] Szewiot − tkanina wełniana.
[13] Rumlówka − przedwojenny poligon wojskowy k. Grodna (obecnie w Republice Białorusi).
[14] Zaskwarzana zupa − zupa zagęszczana zasmażką ze skwarkami.
[15] *Swinnaja tuszonka* (ros.) − mielonka wieprzowa w puszce.
[16] W Sielcach był już majorem.
[17] Ryszarda Hanin (1919−1994) − polska aktorka.

[18] Władysław Krasnowiecki (1900−1983) − polski aktor i reżyser.
[19] Jan Cajmer (ur. 1911) − polski muzyk i dyrygent pochodzenia żydowskiego.
[20] „Oka” − nieoficjalny hymn żołnierzy dywizji kościuszkowskiej. Słowa: Leona Pasternaka, muzyka: Stefana Turskiego. Piosenkę napisano w lipcu 1943 roku w polskim obozie wojskowym w Sielcach nad Oką.
[21] Tetetka − radziecki pistolet projektu Fiodora Tokariewa, produkowany od lat 30. w Tule (ZSRR).
[22] Odbyły się w dniach 17−19 sierpnia 1943.
[23] W tym czasie był już podpułkownikiem.
[24] Pałatka, płaszcz-pałatka − rodzaj obszernej wojskowej peleryny.
[25] Chodzi o etykiety w jęz. angielskim. Tuszonka była produkowana w USA i dostarczana do ZSRR w ramach wojennej pomocy państw alianckich.
[26] Stanisława Drzewiecka (1920−2000; z domu Kubiak) − autorka książki „Szłyśmy znad Oki” oraz współscenarzystka filmu „Rzeczpospolita babska”. Jej drugim mężem był gen. Jan Drzewiecki.
[27] *Pajok* (ros.) − porcja, racja.
[28] *Naczalstwo* (ros.) − dowództwo.
[29] „Wiek Nowy” − dziennik wydawany we Lwowie w latach 1901−1939.
[30] *Niebłagonadiożnyj* (ros.) − podejrzany.
[31] Kiziak − suszone odchody zwierząt używane na stepach Azji Środkowej jako opał.
[32] Por. Aleksander Mac − zastępca dowódcy ds. linowych 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater, potem dwukrotnie dowódca batalionu; awansowany do stopnia kapitana.

[33] Ppor. Bronisław Orłowski − dowódca 1. kompanii fizylierek; jego zastępczynią ds. polityczno-wychowawczych była Stanisława Kubiak.
[34] *Sowietskij Sojuz* (ros.) − Związek Radziecki.
[35] Prawd. Bródna.
[36] Furaż − pasza dla koni.
[37] Ion Antonescu − dyktator Rumunii w latach 1940−1944.
[38] „Eugeniusz Oniegin” − opera Piotra Czajkowskiego.
[39] Pierwszy wers rosyjskiej piosenki wojskowej „Ułybka” („Uśmiech”), autorstwa B. Łaskina (słowa) i N. Bogosłowskiego (muzyka).
[40] Chodzi o 1. samodzielny batalion ozdrowieńców.
[41] Niemiecka organizacja budująca obiekty wojskowe, zarządzana przez Fritza Todta, wykorzystująca na ogromną skalę robotników przymusowych, więźniów obozów koncentracyjnych, jeńców.
[42] 27. Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej.
[43] *Swodka* (ros.) − krótki komunikat prasowy.

Rozdział IV

Ściśnij pas, pora iść…

Bitwa pod Lenino (12−13 października 1943)

Batalia pod Lenino − stoczona przez żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki 12 i 13 października 1943 roku − była chrztem bojowym, pierwszą bitwą polskiej jednostki na froncie wschodnim. Przez lata Polski Ludowej doczekała się licznych opracowań i artykułów, w których przedstawiano ją jako zwycięskie starcie i symbol braterstwa broni polskich i radzieckich żołnierzy, a dzień boju był obchodzony jako święto Ludowego Wojska Polskiego.

Pierwsza Dywizja Piechoty, mimo niezakończonego cyklu szkolenia, wyruszyła na front 1 września 1943 roku, kierując się w rejon miasta Wiaźma. O dacie wysłania jednostki zadecydował Stalin − na prośbę Wandy Wasilewskiej i gen. Zygmunta Berlinga, którym zależało na propagandowym wydźwięku. Dywizja została podporządkowana dowódcy Frontu Zachodniego gen. Wasilijowi Sokołowskiemu i miała kontynuować ćwiczenia, lecz już 23 września dostała rozkaz przegrupowania się w kierunku zachodnim. Polscy żołnierze przeszli 250 km w dwa tygodnie i zatrzymali się 15−25 km od frontu. Trudy marszu, odbywającego się głównie nocą, wycieńczyły polskie oddziały. 1 października 1943 roku dywizja została najpierw podporządkowana 10. Armii Gwardii gen. Kuźmy Trubnikowa, a następnie 33. Armii gen. płk. Wasilija Gordowa. Tym samym przeniesiono ją z głównego kierunku uderzenia na kierunek pomocniczy, na którym nie

planowano ofensywy, ale jedynie działania pozorowane. Miały one związać siły niemieckie, aby nie mogły być wykorzystane na ważniejszym odcinku frontu. Zadaniem 33. Armii było przełamanie obrony niemieckiego 39. Korpusu Pancernego i wyjście nad Dniepr na południe od Orszy. Dywizja kościuszkowska miała nacierać w pierwszym rzucie Armii na dwukilometrowym odcinku. Na obu skrzydłach wspomagały ją dywizje radzieckie: 42. i 290., z tyłu zaś 5. Korpus Zmechanizowany, który planowano włączyć do walki po przerwaniu pierwszych pozycji nieprzyjaciela. Niestety obie dywizje radzieckie, z powodu zbyt niskich stanów osobowych, powinny być raczej wycofane z frontu niż wystawione do boju. Polski dowódca nie był również świadomy osłabienia samej 33. Armii − wskutek odesłania części jej żołnierzy na inny kierunek operacyjny. Na planach sztabowych siły wspierające działania polskiej dywizji mogły się wydawać wystarczające, ale w rzeczywistości były zbyt małe.

Polacy trafili na doświadczonego i doskonale uzbrojonego przeciwnika. Niemiecka 337. Dywizja Piechoty liczyła 18 tys. żołnierzy i była uzbrojona w działa i moździerze największych kalibrów, jakimi nie dysponowała jednostka polska. Żołnierzy niemieckich wspierały również artyleria ciężka, broń pancerna i lotnictwo.

Polska 1. Dywizja Piechoty przystąpiła do walki w pełnym składzie etatowym: trzy pułki piechoty, pułk artylerii lekkiej, dywizjon artylerii przeciwpancernej, batalion saperów, samodzielne kompanie: rozpoznawcza, łączności i chemiczna, batalion sanitarny, kobieca kompania fizylierek i kompania karna. Całość sił miała być wspierana przez samodzielny pułk czołgów (40 czołgów T-34).

Polska piechota rozpoczęła działania 12 października 1943 roku o świcie. Atak wyglądał imponująco: pełni zapału

i ofiarności żołnierze szli wyprostowani, prowadząc ogień w ruchu. Dowódca 33. Armii gen. Wasilij Gordow, zwykle nieskory do pochwał, w rozmowie z gen. Berlingiem wyraził podziw dla polskich piechurów. Niestety, gdy polska dywizja ruszyła do boju, jej skrzydła zostały odsłonięte w wyniku nieskutecznego natarcia radzieckich dywizji, które utknęły na pozycjach. Kościuszkowcy, zamiast wsparcia radzieckich jednostek, na obu swoich skrzydłach mieli teraz żołnierzy wroga. Dodatkowo zawiodła sojusznicza artyleria. Według planów nawała ogniowa powinna trwać sto minut, tymczasem już po 40 minutach gen. Gordow kazał przerwać ogień i wydał gen. Berlingowi rozkaz do ataku piechoty. Później się okazało, że artyleria nie zdołała nie tylko zniszczyć, ale nawet obezwładnić niemieckich środków ogniowych. Zawiodło również wsparcie broni pancernej. Czołgi utknęły w bagnistym dorzeczu Mierei, mimo wybudowania przez saperów mostów, zaś gen. Gordow nie wprowadził do działań 5. Korpusu Zmechanizowanego, jak ustalono przed bitwą. Podczas przeprawy przez rzekę ugrzęzła artyleria, co na dłuższy czas pozbawiło polską piechotę wsparcia ogniowego.

Tymczasem polskim pułkom udało się przełamać pierwszą linię niemieckich stanowisk i opanować wsie Trygubowa i Połzuchy. Kontrataki niemieckiej piechoty, wspieranej przez czołgi, ciężką artylerię oraz lotnictwo, powodowały, że obie miejscowości przechodziły z rąk do rąk. Rosły straty: przybywało poległych i rannych, zaczęło brakować środków sanitarnych i amunicji. Pierwszy pułk piechoty stracił w bitwie dwie trzecie stanu, co spowodowało że gen. Berling wprowadził na jego miejsce 3. pułk piechoty. 13 października wykrwawione oddziały 1. Dywizji ruszyły zdecydowanie do ataku, lecz mimo ponownego opanowania wsi Połzuchy przez 2. pułk

piechoty, natarcie Polaków utknęło w ogniu niemieckiej broni maszynowej, a także kontrataków piechoty i lotnictwa. Samoloty niemieckie bezkarnie krążyły nad polem bitwy − przy braku reakcji ze strony lotnictwa radzieckiego.

W godzinach popołudniowych 13 października 1943 roku 1. Dywizja Piechoty z powodu utraty zdolności do prowadzenia dalszych działań zaczepnych przeszła do obrony. W nocy z 13 na 14 października została zluzowana przez radziecką 164. Dywizję Piechoty.

Straty kościuszkowców w bitwie pod Lenino okazały się ogromne i wyniosły 23,7% stanu osobowego: 510 żołnierzy poległo, 652 zaginęło bez wieści, 116 dostało się do niewoli, a 1776 odniosło rany.

Przez wiele lat ukrywano, że część z wziętych do niewoli żołnierzy przeszła na stronę niemiecką dobrowolnie. Niemcy, kiedy się dowiedzieli przed bitwą, że będą walczyć z Polakami, starali się − za pomocą komunikatów nadawanych przez megafony − przeciągnąć ich na swoją stronę. Motywów dezercji z szeregów dywizji kościuszkowskiej należy się doszukiwać prawdopodobnie w chęci wyrwania się z wojska podporządkowanego Sowietom. Większość żołnierzy Berlinga pochodziła ze wschodnich terenów II RP. Nie zaznali okupacji niemieckiej, za to przeżyli gehennę sowieckich łagrów − przechodząc na stronę wroga, mieli być może nadzieję, że będą lepiej traktowani przez Niemców.

Po bitwie wielu żołnierzy zostało odznaczonych Orderami Virtuti Militari (w większości pośmiertnie), Krzyżami Walecznych oraz Medalami Zasłużony na Polu Chwały. Po raz pierwszy i ostatni w tej wojnie władze radzieckie uhonorowały troje Polaków tytułami Bohaterów Związku Radzieckiego. Fizylierka z batalionu kobiecego,

szeregowiec Aniela Krzywoń, która zginęła podczas bitwy, ratując dokumenty dywizji z płonącego samochodu, została później, w czasach Polski Ludowej, patronką licznych ulic, szkół, drużyn harcerskich i gromad zuchowych, a jej postawę uznano za symbol odwagi i poświęcenia. Drugi z odznaczonych, kpt. Władysław Wysocki, zasłużył się tym, że w czasie bitwy objął dowództwo batalionu po śmierci swojego dowódcy. Poległ pod Trygubową, broniąc się przed nacierającymi żołnierzami niemieckimi. Trzeci Bohater Związku Radzieckiego, kpt. Juliusz Hibner, uhonorowany został jako poległy, ale kilka dni po zaszczycie odnalazł się w szpitalu polowym. Takie pomyłki zdarzały się często w zamieszaniu bitewnym.

Dużo większą wpadką okazała się sprawa por. Adolfa Wysockiego, odznaczonego pośmiertnie Orderem Virtuti Militari, który w rzeczywistości przeszedł na stronę niemiecką. Został on później z grupą innych żołnierzy wykorzystany przez nazistów do antysowieckiej akcji propagandowej.

Oceniając bitwę z wojskowego punktu widzenia, należy zaznaczyć, że polscy żołnierze, nacierając z wielką odwagą i poświęceniem, zadali nieprzyjacielowi znaczne straty − około 1500 żołnierzy Wehrmachtu zginęło, a 326 dostało się do niewoli. Berlingowcy, przełamując pierwszą linię obrony, umożliwili natarcie radzieckiego korpusu zmechanizowanego.

Niestety pełna poświęcenia postawa polskich wojsk nie przerodziła się w sukces operacyjny całej 33. Armii, która na tym kierunku nie podjęła działań. Samodzielnie polska dywizja nie byłaby w stanie przełamać obrony niemieckiej i dotrzeć do Dniepru. Po wycofaniu się Polaków z pola bitwy Niemcy odzyskali stracony teren. Po bitwie pod Lenino 1. Dywizja Piechoty została wycofana z frontu w rejon

Smoleńska − w celu uzupełnienia strat i odtworzenia gotowości bojowej.

Stalinowi zależało przede wszystkim na dużym wydźwięku politycznym bitwy z udziałem kościuszkowców. Ich walka i poniesione straty zostały przez niego umiejętnie wykorzystane podczas konferencji teherańskiej, która odbyła się pod koniec 1943 roku z udziałem przywódców ZSRR, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Stalin mógł tam przedstawić zachodnim aliantom Związek Patriotów Polskich, opozycyjny wobec polskiego rządu w Londynie, jako wiarygodną polską reprezentację polityczną, dysponującą siłą wojskową zdolną do działań na froncie. Rozgłos nadany pierwszej bitwie z udziałem polskiej dywizji spowodował przyspieszenie rozwoju polskich formacji wojskowych w ZSRR. Coraz więcej Polaków wstępowało w ich szeregi. (mb)

RELACJE

Bitwa

ROMAN MARCHWICKI

Dokładnie w czwartą rocznicę napaści Niemców na nasz kraj i tak samo o świcie sygnał alarmowy zerwał nas ze snu. Ponieważ takiego rozwoju wydarzeń spodziewaliśmy się, więc wyjście na plac zbiórki przebiegło szybko i sprawnie. Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy wszyscy ludzie wyszli, zajrzałem do opuszczonych namiotów, czy zostały zostawione w należytym porządku, po czym zameldowałem dowódcy kompanii o wykonaniu zadania alarmowego.

Gdy alarmowe emocje nieco opadły, uprzytomniłem sobie, że pośpiech, jaki ostatnio towarzyszył zadaniom związanym z promocją[1] i zabiegami organizacyjno-zaopatrzeniowymi, był ściśle związany z terminem naszego wyjścia z obozu. Musiał to być dzień 1 września, symbolizujący kontynuację walki, którą podjęliśmy cztery lata temu.

Całością kompanii przybyliśmy w rejon rozległej polany, na której gromadziły się poszczególne pododdziały pułku. Tutaj przez jakiś czas porządkowano szeregi i czyniono ostatnie przygotowania do wymarszu.

Ruszyliśmy, gdy było już zupełnie widno. Tylko gęsta mgła, zalegająca dolinę, ograniczała widoczność. Szliśmy na wprost, w stronę rzeki, tej samej, którą tak niedawno przekraczaliśmy z odwrotnego kierunku i w łachmanach.

Kursujące między obu brzegami promy, nie mogły nadążyć z przerzutem pododdziałów. Czekając na swoją przeprawową kolej, ogarnięty byłem uczuciem niepokoju o dalszy swój los. […] byłem usatysfakcjonowany oficerskim awansem, tym bardziej że w tak krótkim czasie przeskoczyłem ojca, ale równocześnie nie dawały mi

spokoju pytania: czy nowe zadania nie przerastają moich możliwości, czy będę w stanie podołać nowym obowiązkom. Przecież wypływam na szerokie wody bez żadnego doświadczenia życiowego i wystarczającej wiedzy, bez należnego przygotowania dowódczego. […]

W kolejnym liście powiadomiłem matkę, że opuściłem obóz i udałem się z całą jednostką w nieznanym mi kierunku.

[…]

Po przeprawieniu się na drugi brzeg Oki, po uporządkowaniu szeregów i sprawdzeniu obecności, ruszyliśmy z wolna w górę. […]

Jako świeżo upieczony oficer i dowódca starałem się, aby ten króciutki przemarsz z obozu do Diwowa, a następnie załadunek do wagonów przebiegał jak najsprawniej, tak by bezpośredni i wyżsi przełożeni nie mieli do mnie żadnych zastrzeżeń. Wydawało mi się, że ja i mój pluton znajdujemy się ciągle pod ich obserwacją, że wszystko, co czynię, jest poddawane ich ocenie, że zdaję przed nimi pierwszy dowódczy egzamin. Nie odstępowałem więc swojego plutonu ani na krok. Starałem się mieć wszystkich swoich żołnierzy na widoku. Miałem wrażenie, że tylko moja obecność przy nich jest gwarancją właściwego wywiązania się z zadania. Słowem − byłem bardzo przejęty dowódczą rolą.

Załadunek do podstawionych towarowych wagonów, przystosowanych do przewozu ludzi, odbywał się prosto z marszu.

[…]

Mimo dość sprawnego załadunku, z miejsca ruszyliśmy dopiero w nocy z pierwszego na drugiego września.

Zdążyłem się zorientować, że pociąg, po nabraniu przyzwoitej prędkości, zmierzał w kierunku

północnozachodnim, w stronę Moskwy. […]

Od Łubokina posuwaliśmy się tylko po jednym torze, najwyraźniej świeżo po zniszczeniach odbudowanym. Tempo zmalało. Zatrzymywaliśmy się często nawet w szczerym polu. Zrujnowane i wypalone domostwa, sterczące kikuty drzew, poryty teren oraz bezładnie porzucony sprzęt wojskowy były dowodem, że właśnie tutaj, między Tuczkowem i Możajskiem, przebiegała kiedyś linia frontu, że na tym obszarze musiało dojść swego czasu do zażartych bojów.

Zrujnowane osiedla świeciły pustkami. Im dalej przesuwaliśmy się na zachód, tym krajobraz stawał się bardziej ponury. W Tumienowie, zrównanym całkowicie z ziemią, pozostał tylko napis na dworcowym szkielecie. W Gżatsku[2] jeszcze dymiły zgliszcza, roznosząc po okolicy swąd spalenizny. Aż do samej Wiaźmy, także okrutnie zniszczonej, teren wyglądał podobnie. Z oddali poczęły dochodzić głuche odgłosy wybuchów, a w nocy, szczególnie na zachodnim horyzoncie, ukazywały się łuny. Po niebie nieustannie biegały smugi reflektorów. Od czasu do czasu ze znacznej wysokości docierał warkot samolotów.

[…]

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że właśnie na tym kierunku operacyjnym zostaniemy rzuceni do walki. Ale nim do tego miało dojść, musieliśmy najpierw zejść z wagonów. Tak też się wkrótce stało.

Za Wiaźmą, na małej i niedawno uruchomionej stacyjce Semlewo zatrzymaliśmy się na bocznicy kolejowej. Po kilku manewrach znaleźliśmy się przy dość zaniedbanej rampie. Akurat zapadał zmrok, gdy na polecenie przełożonych poczęliśmy opuszczać wagony. Mimo że obowiązywał w dalszym ciągu surowy zakaz korzystania ze światła, wyładunek nie przysporzył większych trudności.

[…]

Przez jakiś czas stałem z plutonem na uboczu i czekałem cierpliwie na dalsze dyspozycje. Niebawem z innymi dowódcami plutonów poszliśmy do porucznika Ozgi na odprawę, na której dowiedziałem się, że już wkrótce wyruszamy pieszo w dalszą drogę. Równocześnie poinformowano nas, że powinniśmy na tym niedawno wyzwolonym terenie zachować jak najdalej idącą ostrożność. […]

Przejęty ostatnimi wytycznymi i odpowiedzialnością za pluton, jak również pokrzepiony wieczornym posiłkiem, natychmiast zebrałem wszystkich żołnierzy i powiadomiłem o rychłym wymarszu oraz zapoznałem z obowiązującymi w strefie przyfrontowej zasadami bezpieczeństwa. Idąc za przykładem przełożonego, dowódców drużyn obciążyłem odpowiedzialnością za wszelkiego rodzaju uchybienia w zachowaniu ich ludzi. Najbliższa przyszłość miała potwierdzić sens tych zabiegów.

[…]

Ruszyliśmy dopiero o północy, w bardzo wolnym tempie, zachowując kilkusetmetrowe odstępy między kompaniami, a prawie bez żadnych przerw między plutonami.

[…]

Przez pewien czas szliśmy zupełnie przyzwoitą, bo utwardzoną drogą, zmieniając tylko kilka razy kierunek. Później wkroczyliśmy na polne wertepy, którymi dotarliśmy do jakiegoś kompleksu leśnego. Piaszczystą i na niektórych odcinkach podmokłą przesieką przenikaliśmy do jego wnętrza. Gdy rozwidniało, zobaczyliśmy niskopienny i mieszany las, silnie zdewastowany nie tyle działaniami bojowymi, ile pobytem w tym rejonie oddziałów niemieckich. Teren zaśmiecony był hitlerowską prasą, sprzętem wojskowym, przedmiotami osobistego użytku

i resztkami po konsumpcji. Bardziej okazałe drzewa zostały wycięte, a ziemię poryto przeciwlotniczymi okopami.

Tutaj kazano się nam zatrzymać. Zanosiło się na dłuższy postój, gdyż każdej kompanii przydzielono rejon, na którym miała się odpowiednio wygodnie rozlokować. Rozpoczęliśmy się urządzać. […]

Po dwóch dniach intensywnego zagospodarowywania rejonu zarządzono szkolenie żołnierzy. Mieliśmy do obiadu przerabiać najprostsze zagadnienia saperskie, z musztry i regulaminów oraz niektóre tematy taktyczne.

Wtedy po raz pierwszy w karierze wojskowej w niecodziennych okolicznościach zająłem się nauczaniem podwładnych. Będąc świadomym, że nie mam jeszcze wystarczającej wiedzy wojskowej ani też odpowiednich umiejętności pedagogicznych, jak również chcąc w oczach podkomendnych i przełożonych wypaść jak najkorzystniej, ze szczególną starannością przygotowywałem się do tych pierwszych w moim życiu zajęć. Przypominałem sobie materiał z podchorążówki, przeglądałem przechowywane pieczołowicie sieleckie notatki, szperałem w regulaminach, które znajdowały się w kompanijnej kancelarii, podglądałem zajęcia prowadzone przez kolegów, a szczególnie przez Jurka Rybnikowa, którego − ze względu na przedwojenne przeszkolenie − uważałem za wzór do naśladowania. Mimo wszystko przez długi okres czasu nie mogłem się pozbyć tremy, która paraliżowała mi ruchy, zwłaszcza wtedy, kiedy ćwiczenie wymagało od kierownika pokazowego wykonania określonej czynności. […]

Po kilku dniach względnie spokojnego życia zostaliśmy poderwani kolejnym alarmem na równe nogi i wyprowadzeni w rejon, w którym miały się odbyć ćwiczenia zgrywające dla całego pułku. […]

Z ogromną ulgą przyjęliśmy wszyscy zakończenie dwudniowych wyczerpujących ćwiczeń; przy czym chodziło nie tyle o wypoczynek, ile o gruntowne wysuszenie ubrań po ostatnich wyjątkowo obfitych deszczach i po tarzaniu się po podmokłej ziemi.

Ponieważ do mojej pracy, jak również do działania plutonu przełożeni nie wnosili większych zastrzeżeń, mogłem przeto ten mój pierwszy samodzielny występ dowódczo-bojowy uznać za w pełni udany. Przekonanie to wyraźnie podbudowało mi psychikę, poprawiło samopoczucie i przyczyniło się do większej pewności siebie.

Tutaj też po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu tak zwanej armii [Andrieja] Własowa, generała rosyjskiego, który po dostaniu się do niewoli niemieckiej przystąpił do formowania jednostek wojskowych, przewidzianych do walki z Armią Radziecką. Informowały o tym walające się ulotki, zredagowane w języku rosyjskim, wzywające żołnierzy do dezercji i poddania się Niemcom, u boku których istniała szansa pokonania komunistów i utworzenia nowego rosyjskiego państwa.

[…]

Pomimo intensywnych codziennych treningów na sucho, moje umiejętności strzeleckie nie poprawiły się. Ten stan rzeczy został potwierdzony na tutejszej polowej strzelnicy, na której − podobnie jak w Sielcach − trudno mi było doszukać się przestrzelin w tarczy. Mogłem się pocieszać jedynie tym, że wyniki innych oficerów także nie przedstawiały się najlepiej; do grona kiepskich strzelców zaliczał się nawet dowódca kompanii. Jedynie Jurek Rybnikow miał zawsze dobre oko i pewną rękę. Udowadniał, że nie wszyscy absolwenci dywizyjnej podchorążówki są strzeleckimi łamagami.

Pierwszą przysługującą oficerom co kilkanaście dni dodatkową rację, tak zwany *dopołnitielnyj pajok*, składający się tym razem z: pierników, sucharów, konserwy rybnej, paczki tytoniu, kostki masła oraz pary skarpetek, odebrałem z nieukrywanym zadowoleniem. Dzięki temu przydziałowi mogłem złagodzić braki konsumpcyjne. Mimo że kuchnia batalionowa była wyraźnie lepsza od sieleckiej, w dalszym ciągu zaopatrzenie nie zaspokajało moich potrzeb. W warunkach niedostatku chleba cenne były zwłaszcza suchary, a takie artykuły, jak tytoniowe czy galanteryjne, cieszące się popytem wśród miejscowego społeczeństwa, stanowiły doskonały materiał wymienny. W moim przypadku na handel wymienny do okolicznych wsi wysyłałem ordynansa, który przynosił mi zawsze bochen czarnego jak ziemia żytniego chleba, z pokaźną domieszką ziemniaków. Przy takiej żywnościowej rezerwie poprawiło się moje samopoczucie, miałem bowiem świadomość, że w każdej chwili mogę sięgnąć po kromkę tego czerstwego razowca, często z zakalcem.

Podczas gdy my uzupełnialiśmy braki szkoleniowe, stacjonujące w lesie nieopodal wsi Grigoriewo, wojska Frontu Zachodniego Armii Radzieckiej parły nieprzerwanie do przodu, wyzwalając codziennie po kilkanaście miejscowości.

Walki przeniosły się aż w rejon Smoleńska. Front się od nas znacznie oddalił. Wyraźnie osłabło echo artyleryjskich kanonad. Zupełnie zamilkł terkot karabinów maszynowych. Zbladły na zachodnim horyzoncie łuny i rozbłyski. Tylko samoloty przelatujące na dużych wysokościach i migające po niebie smugi przeciwlotniczych reflektorów dawały jeszcze znać o sobie.

Pogłoska o rychłym opuszczeniu przez nas zajmowanego lasu stawała się coraz realniejsza. 22 września na kolejnej

odprawie otrzymaliśmy polecenie przygotowania pododdziałów do wymarszu. Następnego dnia […] po zapadnięciu zmroku zaczęliśmy kompaniami wychodzić z dotychczasowego miejsca postoju. Na przodzie naszej kolumny posuwał się wóz kompanijny, po brzegi załadowany ciężką bronią, amunicją i szefowskim majątkiem. Tuż za nim kroczyły plutony CKM i granatników a dalej według numeracji, prawie bez żadnych odstępów plutony strzeleckie. Znalazłem się więc ze swoim wojskiem niemal w środku kompanijnej kolumny.

Wyruszyliśmy mocno obładowani. Każdy żołnierz, okryty sukiennym płaszczem, musiał oprócz osobistej broni, łopatki saperskiej, maski przeciwgazowej, stalowego hełmu, podręcznego worka, kociołka oraz płaszcza-namiotu, dźwigać pokaźną ilość należnej amunicji. Strzelcy mieli przy sobie po sto sztuk naboi, amunicyjni nieśli pojemniki z załadowanymi magazynkami, a celowniczowie erkaemów taszczyli ręczne karabiny maszynowe, znacznie cięższe od zwykłych karabinów.

[…]

Po dość męczącym marszu po wertepach, jeszcze w zupełnych ciemnościach dobrnęliśmy wreszcie do drogi o mocno podniszczonej asfaltowej nawierzchni. Jak się później okazało, była to szosa prowadząca ze wschodu na zachód, w kierunku na Smoleńsk i dalej na Mińsk, nosząca jeszcze z czasów carskich nazwę warszawskiej, gdyż wiodła tędy najkrótsza droga do naszej stolicy. Zaczęliśmy się, zgodnie z przewidywaniami, posuwać po niej w stronę frontu; z prędkością nie większą niż pięć kilometrów na godzinę. […]

Noce spędzaliśmy w marszu po „warszawskiej szosie”, dni upływały na odpoczynku w leśnych ostępach. Narastało nie tylko fizyczne wyczerpanie, spowodowane trwającą już

kilkanaście dni wędrówką na zachód, lecz także − a może przede wszystkim − wyczerpanie psychiczne, wywołane atmosferą frontu, do którego zbliżaliśmy się nieustannie. Stale pogarszająca się jesienna pogoda − deszcz podczas wyjścia na trasę a później mżawka − dodatkowo pogłębiała ten posępny nastrój. Każdy przebyty kilometr niewątpliwie przybliżał nas do ojczyzny, ale odbieraliśmy to bez entuzjazmu. Czekała nas przecież walka na cudzej i niegościnnej ziemi, u boku armii, do której mieliśmy tyle żalu jeszcze z [19]39 roku.

[…]

Linia frontu coraz bardziej dawała o sobie znać: głośniejszymi i częstszymi terkotami, trzaskami i wybuchami, a w nocnej porze rozbłyskami rakiet i eksplozji, dochodzącymi z zachodniego kierunku. Deszczowa aura nie przestawała dokuczać. W takiej scenerii i takim nastroju pokonywaliśmy z wolna drogę dzielącą nas od kolejnych miejsc dziennego odpoczynku.

Pewnej nocy monotonię marszu zakłóciło wyjątkowe wydarzenie, którego głównym sprawcą był mój żołnierz i które w jakimś stopniu dotyczyło również mnie. Otóż celowniczy erkaemu 4. drużyny, dwudziestosześcioletni kawaler pochodzący z krakowskiego, powołany do wojska przez czkałowską komisję, cieszący się opinią spokojnego i zdyscyplinowanego żołnierza − szeregowy Jan Jakubowicz – w pewnym momencie zwrócił się do mnie z dość zaskakującą prośbą, abym zabrał od niego ręczny karabin, gdyż jest mocno zmęczony i ma trudności z kontynuowaniem marszu. Zareagowałem na to w ten sposób, że kazałem mu zamienić erkaem na zwykły karabin, uważając, że taka zamiana broni ułatwi mu przezwyciężenie słabości. Po przejściu paru kilometrów ponowił prośbę. Tym razem stwierdził, że jest tak wyczerpany, że dalej iść nie

może. Wyznaczyłem więc dwóch najsilniejszych chłopaków do pomocy. Gdy i to nie wystarczyło, starałem się − za zgodą dowódcy kompanii − usadowić go, mimo wszystko, na przeciążonej furmance, ale nie uzyskałem zezwolenia. Wtedy, za cichą aprobatą szefa, postarałem się, żeby przynajmniej jego broń i worek znalazły się na wozie. Wydawało mi się, że teraz Jakubowicz będzie już mógł dalej maszerować. Niestety, tak się nie stało. Podczas kolejnej krótkiej przerwy, kiedy wszyscy odpoczywaliśmy na jezdni, zalegającą ciszę przerwał raptowny wystrzał z karabinu, oddany z pobocza. Poderwaliśmy się na równe nogi. Penetrując przyległy teren, natknęliśmy się na sapiącego i broczącego krwią Jakubowicza. Okazało się, że postrzelił się z karabinu w prawą pierś. Po opatrzeniu rany i wyniesieniu poszkodowanego na szosę, złożyliśmy przełożonym meldunek. Dowódca batalionu kapitan Rodziewicz, a tuż za nim zastępca dowódcy pułku do spraw kulturalno-oświatowych kapitan Naszkowski, zjawili się na miejscu wypadku i wypytywali o okoliczności zdarzenia. Przede wszystkim kierowali pytania do mnie − jako przełożonego rannego. Odpowiadałem tak jak było, bez żadnych przeinaczeń i niedomówień.

Kiedy karetka sanitarna zabrała rannego, sprawa powoli przycichła, ale całkiem o niej nie zapomniano. Wypadkiem zainteresowała się prokuratura wojskowa, która wszczęła dochodzenie. Zeznania składali najpierw koledzy Jakubowicza, a później ja. Powtórzyłem wszystko, co mówiłem poprzednio. Opowiedziałem ze szczegółami, jak próbowałem pomóc Jakubowiczowi w marszu, i zapewniłem o jego dotychczasowej nienagannej opinii jako celowniczego karabinu maszynowego. Wszczęcie postępowania przez prokuratora oznaczało, że nad moim żołnierzem zawisła groźba rozprawy sądowej.

Jakubowicz przebywał na szpitalnym leczeniu, tymczasem myśmy nocami maszerowali dalej, a wojskowe organy oskarżycielskie robiły swoje, czyli szykowały materiał na pokazową rozprawę.

5 października znaleźliśmy się w lesie, nieopodal wsi Tiagłowszczyzna. Zapowiedziano, że tutaj zatrzymamy się nieco dłużej, żeby dać ludziom okazję do porządnego wypoczynku […].

Aby się nam nie nudziło, z samego rana dnia następnego ściągnięto wszystkie pododdziały pułku na dość rozległą polanę, na której stało naprędce zmontowane podium, ze stołem i kompletem krzeseł. Z początku wydawało mi się, że będziemy świadkami jakiegoś widowiska artystycznego. Ale gdy na to podwyższenie zaczęły wchodzić i zajmować kolejno miejsca za stołem osoby wojskowe, wśród nich jedna kobieta, a potem ujrzałem vis-à-vis stołu prezydialnego bladego, wychudzonego i w płaszczu bez pasa Jakubowicza, w uzbrojonej asyście − wszystko stało się dla mnie jasne. To nie będzie żadna rozrywka, lecz pokazowa rozprawa sądowa, podczas której mojemu żołnierzowi ma być udowodnione przestępstwo i wymierzona sprawiedliwa kara. Było oczywiste, że ta polowa pokazówka ma być równocześnie ostrzeżeniem dla zgromadzonych tutaj widzów, a zatem ze sprawiedliwością może być różnie.

Już z odczytywanego oskarżenia powiało grozą, ponieważ posądzano Jakubowicza o umyślne samookaleczenie się w celu uniknięcia frontu, co mogło być potraktowane jako dezercja, za którą w warunkach wojennych wymierzano najwyższą karę, czyli śmierć.

Prokurator dywizyjny chorąży Stefan Jędrychowski podniosłym głosem rzucał gromy na podsądnego. Zarzucał mu świadome działanie, mające na celu uniknięcie walki

z wrogiem. Posądzał o tchórzostwo. Mówił o zdradzie i sprzeniewierzeniu się przysiędze.

Obrońca Brandwein, występujący bez stopnia wojskowego, obciążał wprawdzie winą oskarżonego, ale w tonie znacznie łagodniejszym, i dopatrywał się w przestępczym czynie motywów psychologicznych i osobowościowych. Twierdził, że w miarę podchodzenia do frontu narastała w oskarżonym bojaźń, która mogła doprowadzić do desperackiego czynu. Wspomniał o pozytywnej opinii, którą wydałem w trakcie dochodzenia. Świadkowie nie zeznawali.

W ostatnim słowie Jakubowicz właściwie nic nie powiedział. Wyszeptał tylko coś niezrozumiałego i stał z opuszczoną głową, i ronił łzy. Zarządzono krótką przerwę.

Mój celowniczy był blady, widocznie jeszcze niezupełnie wyleczony, obojętny na otoczenie, nie poznawał kolegów. W towarzystwie dwóch żandarmów czekał na wyrok; być może dla niego korzystny.

W ogromnym skupieniu przysłuchiwałem się wyrokowi, który był odczytywany przez przewodniczącego sądu kapitana [Leonarda?] Azarkiewicza. Z każdym zdaniem malała nadzieja na łagodniejszą karę. Górę brały słowa i argumentacja oskarżycielska. Gdy na koniec usłyszałem wstrząsający zwrot: „…na karę śmierci przez rozstrzelanie”, a później stwierdzenie, że wyrok: „zaskarżeniu i apelacji nie podlega”, z wrażenia znieruchomiałem. Otrząsnąwszy się z szoku, uświadomiłem sobie, jak surowe i tragiczne może być prawo wojenne, szczególnie wtedy, kiedy ku przestrodze innym zaistnieje potrzeba przykładnego ukarania; prawo wojenne, które nie uznaje żadnych okoliczności łagodzących ani też względów moralnych i humanitarnych. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że choć szeregowiec Jan Jakubowicz,

celowniczy 3. drużyny mojego plutonu, bezsprzecznie dopuścił się wykroczenia, to jednak zasądzona kara była niewspółmierna do popełnionego przestępstwa. W okresie poprzedzającym rychłe przystąpienie dywizji do działań bojowych stał się w pewnym sensie ofiarą zapotrzebowania na spektakl, który pozostałych żołnierzy miał ostrzec i odwlec ich od podobnych zamiarów.

Jakubowicz schodził z podium z opuszczoną głową.

[…]

Dowódca dywizji pułkownik Zygmunt Berling uznał za stosowne z prawa łaski nie skorzystać.

Egzekucja, na którą znowu ściągnięto cały pułk oraz dodatkowo przedstawicieli z pozostałych jednostek dywizji, odbyła się w trzecim dniu po rozprawie, czyli 9 października, w pobliżu miejscowości Krasatinka, do której zdążyliśmy przybyć po trzydniowym odpoczynku w rejonie Tiagłowszczyzny.

Tym razem jednak od uczestnictwa w potwornym widowisku udało mi się wymigać. Wprowadzeniem plutonu na miejsce kaźni zajął się mój zastępca.

[…]

Otrzymaliśmy polecenie, aby w swoich pododdziałach przeglądnąć wszystką broń, sprawdzić, ile każdy żołnierz ma amunicji, przejrzeć pozostałe wyposażenie wojskowe, jak również rozdać granaty bojowe, przeważnie typu zaczepnego. Z tych poczynań wynikało niezbicie, że czas naszej bezczynności jest policzony, że w każdej chwili możemy się spodziewać rozkazu wprowadzającego nas do akcji bojowej. Chociaż nie mówiło się oficjalnie, że są to ostatnie przygotowania do wyruszenia w kierunku linii styczności z nieprzyjacielem, jednak każdy z nas, niezależnie od stopnia wojskowego, wyczuwał, co się święci. W nastroju powagi, w ogromnym skupieniu

wyczekiwaliśmy na działania bojowe, do których od dawna byliśmy systematycznie przygotowywani.

Nie zauważyłem, aby żołnierze rwali się do walki, aby byli żądni zemsty czy rewanżu na Niemcach. Panowała atmosfera daleka od euforii. Świadomość, że wreszcie „dostąpimy zaszczytu" uczestniczenia w walce zbrojnej u boku naszej „wyzwolicielki", nie wzbudziła w nas szczęścia.

Przygnębienie i smutek dawały coraz mocniej znać o sobie. Łączyliśmy się w myślach z najbliższymi. Niejeden z nas, mając jak najgorsze przeczucia, starał się podzielić nimi przynajmniej listownie. Pisaliśmy więc serdeczne, rzewne pożegnalne listy, zwierzaliśmy się w nich ze swoich obaw co do losu.

Ja też natychmiast po przybyciu do tego rejonu, już 9 października napisałem do swoich w Żołymbecie. […] Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji i zagrożeń, jakie mogłyby być moim udziałem, pragnąłem się z najbliższymi na wszelki wypadek pożegnać. Przede wszystkim do matki skierowane były pożegnalne słowa. Rzeczywiście w Bogu, do którego po kryjomu się modliłem, pokładałem jedyną nadzieję; liczyłem, że mnie uchroni od najgorszego, że da mi wyjść z opresji cało. Chociaż do londyńskiej książeczki do nabożeństwa, którą otrzymałem jeszcze w Sielcach, nie wypadało przy ludziach zaglądać, nosiłem ją stale w dużej kieszeni munduru i korzystałem z niej, gdy tylko pozwalały na to warunki.

To nieprawda, że byłem w dobrym nastroju, że niczym się nie przejmowałem, że to, co miało nastąpić, było mi obojętne. […] Niewątpliwie najbardziej obawiałem się kalectwa.

[…]

Już w przeddzień było wiadomo, że w dniu następnym z rana mamy wyjść z zajmowanego rejonu, że będzie to

wymarsz w kierunku przedniego skraju obrony nieprzyjaciela, z którego, o dziwo, od dłuższego już czasu nie dochodziły do nas poważniejsze odgłosy świadczące o aktywności bojowej. Było wyjątkowo cicho i spokojnie. Nie czuło się zupełnie bliskości frontu […].

12 października zerwałem się bardzo wcześnie, gdyż chciałem osobiście dopilnować wszystkich czynności związanych z przygotowaniem plutonu do wymarszu. Jak zwykle poranna krzątanina przeciągała się, przede wszystkim z powodu wody, po którą trzeba było biegać z menażkami do pobliskiego bajorka lub do bardziej oddalonego strumyka. Śniadanie także zabrało nieco więcej czasu, ponieważ tym razem było wyjątkowo treściwe i wydawano je w zasadzie bez ograniczeń, z czego oczywiście żołnierze chętnie korzystali. Mój Piotr przyniósł mi taką porcję gotowanego, że po raz pierwszy nie byłem w stanie opróżnić naczynia.

[…]

Ruszyliśmy z miejsca przy pięknej słonecznej pogodzie, w warunkach całkowitego zastoju bojowego. Milczące, gęsto utkane w terenie i starannie zamaskowane wszelkiego rodzaju działa artyleryjskie jak również towarzysząca nam cisza, zupełnie nietypowa dla frontowej sytuacji, nie zapowiadały, jak się okazało, nic dobrego. Była to bowiem cisza przed burzą.

Kiedy z wolna, prawie spacerowym krokiem posuwaliśmy się po krętej i wyboistej drodze polnej do przodu, kiedy wydawało się, że ten spokój będzie nam towarzyszył nadal, zerwała się nagle potężna kanonada. Ukryte i drzemiące dotąd żelazne cielska poczęły pluć pociskami w stronę Niemców. W trakcie tego trwającego kilkanaście minut huraganowego ognia nad naszymi głowami co pewien czas przelatywały eskadry radzieckich samolotów szturmowych,

zmierzające ku niemieckim pozycjom. Ziemia drżała od wybuchów, a my przesuwaliśmy się powoli przy tym akompaniamencie w kierunku zachodnim.

Rosła nadzieja, że przy tak intensywnym bombardowaniu żadna siła nie będzie w stanie oprzeć się naszemu naciskowi, że przy takim lotniczo-artyleryjskim uderzeniu ogniowym przeciwnik nie powinien być zdolny do walki. Humory nam się wyraźnie poprawiły. Jeszcze w pełni nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to dopiero początek zmagań, że tam, na przodzie nasi z innych pułków szykują się właśnie do ataku, który będzie potwierdzeniem skuteczności tego ogniowego przygotowania.

Po pewnym czasie działa ucichły. Słyszana od zachodu strzelanina jak również odgłosy coraz częstszych wybuchów świadczyły najwyraźniej o tym, że właśnie tam walka toczy się na dobre.

Po pokonaniu kolejnego zakrętu i minięciu jakichś pojedynczych zabudowań zauważyłem wysoko na bezchmurnym niebie majestatycznie przesuwającą się w naszą stronę dość pokaźną i zgrabnie uszykowaną grupę samolotów. W miarę jak się zbliżały, wzmagał się warkot motorów i wkrótce przerodził się w przeraźliwy przeciągły ryk. Nagle rozległ się z przodu potężny wybuch. Po nim w równych odstępach czasu następne. Towarzyszący tym wybuchom skowyt pikujących maszyn, uprzytomnił mi, że to atak lotniczy na nasze maszerujące kolumny. Poczęły roznosić się komendy. Wrzasnąłem i ja na swoich, aby popadali na ziemię. Wojsko momentalnie zaległo na obrzeżach drogi, niesione bardziej instynktem samozachowawczym niż poczuciem żołnierskiego posłuszeństwa. W każdym razie, gdy sam znalazłem się w przydrożnym dołku i nasłuchiwałem za dochodzącym z oddali łomotem, stwierdziłem, że wszyscy moi podwładni

są już we względnie bezpiecznej pozycji. Przyciśnięty do ziemi, z niepokojem przysłuchiwałem się kanonadzie i co jakiś czas zerkałem tam, gdzie fontanny ziemi, kurzu i przeróżnych przedmiotów wytryskiwały ku górze. Z ogromną trwogą oczekiwałem momentu, kiedy bomby zaczną spadać na nasze głowy.

Na szczęście do tego nie doszło. Samoloty przerwały niszczycielską robotę i odleciały, a my, po uporządkowaniu szeregów, z wyjątkową ostrożnością ruszyliśmy w dalszą drogę, spodziewając się w każdej chwili ponownego ataku. Bez przerwy prawie spoglądałem w niebo, nasłuchując, czy nie szykuje się nowy nalot, którego celem mogłaby być tym razem nasza kolumna.

Względna cisza pozwoliła nam spokojnie dotrzeć do miejsca niedawnego bombardowania. Jak się okazało, był to dla maszerujących bardzo niewygodny odcinek, bo wymagał sforsowania dość urwistego jaru, porośniętego gęsto młodą olszyną.

Gdy przechodziłem przez ten rejon, mogłem się naocznie przekonać, jak dużego spustoszenia dokonały bomby. Liczne leje po wybuchach, wokół których leżało mnóstwo poniszczonego sprzętu, poszarpane odłamkami krzaki, na których sterczały fragmenty żołnierskiego umundurowania, ślady krwi i zapach spalenizny − wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie i nastrajało bardzo pesymistycznie. Jeśli tak zaczęły się nasze działania, to czego można się spodziewać potem? Mina mi wyraźnie zrzedła.

Niezależnie od przeżyć, trzeba było iść dalej. Przy czym, zdawałem sobie sprawę, że nie mogę okazywać swojego niepokoju podwładnym. Przeskoczyliśmy szybko i sprawnie ten niebezpieczny odcinek, po czym pokonując zakrzaczenia, wyszliśmy na ich skraj. Przed nami rozciągała

się odkryta przestrzeń. Świst przelatujących nad głowami pocisków, jak również dochodząca do nas z różnych stron strzelanina − były potwierdzeniem, że weszliśmy w strefę bezpośredniego oddziaływania niemieckich środków ogniowych, czyli że zbliżyliśmy się do linii frontu. Dalsze posuwanie się do przodu wymagało wyjątkowej ostrożności. Nic dziwnego, że w tym miejscu powstał swego rodzaju zator, wywołany koniecznością przejścia z marszu do szybkiego przeskoku.

Śledziłem, jak poszczególne pododdziały, znajdujące się przede mną, pokonują to − prawdopodobnie obserwowane − pole. Leżałem w olszynach i zastanawiałem się, czy tę przestrzeń pokonać całym plutonem, czy też drużynami. Rybnikow, którego uważałem za chojraka, nie zastanawiając się zbytnio, ruszył tuż przede mną całym plutonem. Ale gdy zauważyłem, że kilka pocisków rozerwało się niedaleko od jego żołnierzy, skóra mi ścierpła i postanowiłem biec drużynami, wysyłając pierwszą ze swoim zastępcą plutonowym Wolaniukiem. Sam miałem iść z ostatnią drużyną, aby w ten sposób zapewnić sobie lepszy wgląd w sytuację. Uzgodniliśmy, że gdy tylko Wolaniuk na trasie dobrnie do miejsca nieobserwowanego przez Niemców, to zaczeka na dołączenie pozostałych drużyn.

Kiedy Wolaniuk ze swoimi ludźmi zniknął mi z pola widzenia, wysłałem następną drużynę, po niej kolejną, aż przyszła pora na mnie. Wyrwaliśmy się do przodu po gołym polu, co sił w nogach. Przelatujące nad naszymi głowami pociski na szczęście rozrywały się gdzieś dalej, nie robiąc nam, tym razem żadnej krzywdy.

Zgodnie z umową połączyłem się z całym plutonem w jakimś łagodnie schodzącym zakolami zagłębieniu terenowym, dającym dobrą osłonę przed zauważeniem. Właśnie tutaj artylerzyści radzieccy pokopali sobie

ziemianki, z których bacznie i − wydawało mi się − życzliwie przyglądali się naszemu marszowi. Niektórzy, przeważnie nieogoleni i umorusani, kierowali pod naszym adresem pozdrowienia i uwagi. Przejęci powagą chwili, nie reagowaliśmy zupełnie. Z tego okresu mocno utkwiła mi w pamięci scenka, jak pewien wojak radziecki o azjatyckich rysach podbiegł do rannego konia z ogromnym nożem w ręku i bez żadnych skrupułów począł mu z uda wyrzynać kawał mięsa. Widać nie chciał zmarnować takiej okazji i prawdopodobnie zamierzał przygotować wyśmienite danie.

Dalej z wolna przesuwaliśmy się po zagłębieniu terenowym, zmierzającym wyraźnie ku rozległej kotlinie, którą – jak się później okazało − płynęła rzeczułka Miereja. Po jej zachodniej stronie rysowało się pasmo łagodnych wzniesień. Z dochodzącej stamtąd strzelaniny można było wnosić, że właśnie tam nasi toczą walkę, że gdzieś tam przebiega linia styczności bojowej. Ale o wynikach tych zmagań nic nie wiedzieliśmy. Dopiero gdy zetknęliśmy się z pierwszymi rannymi, którzy zakrwawieni i obandażowani, ale o własnych siłach zmierzali w przeciwnym kierunku, mogliśmy sobie uprzytomnić, jak trudne czekają nas zadania. Widok zszokowanych i broczących krwią naszych żołnierzy, wycofujących się z pola walki, nie nastrajał optymistycznie. Wręcz przeciwnie − sugerował, że z tym dzisiejszym natarciem nie działo się najlepiej.

Sporadyczny ostrzał, głównie moździerzowy, towarzyszył nam dalej. Nabraliśmy takiej wprawy, że na podstawie natężenia świstu, jaki rozlegał się przy przelocie każdego granatu, ocenialiśmy bezbłędnie miejsce wybuchu i stopień zagrożenia. Aby uniknąć niebezpieczeństwa, musieliśmy wielokrotnie przytulać się do matki ziemi. W jednym wypadku nie zapewniło to skutecznej osłony. Chodziło

o mojego ordynansa Piotra Żurawia, który − mimo że wszyscy bez wyjątku zdążyliśmy paść na ziemię − został śmiertelnie ugodzony odłamkiem. Ten pierwszy tragiczny wypadek był głębokim przeżyciem nie tylko dla jego brata, dowódcy 3. drużyny, nie tylko dla wszystkich szeregowych, lecz również i dla mnie, ponieważ w tak nieoczekiwany sposób straciłem, na podejściu do Mierei, bardzo porządnego, spokojnego i zdyscyplinowanego żołnierza, który z ordynansowych obowiązków wywiązywał się uczciwie i nader starannie. Musiał, biedaczysko, przeczuwać śmierć, skoro w przeddzień wymarszu, spędzając ostatnią noc pod wspólnym ze mną przykryciem, opowiadał mi wiele o sobie, o żonie i dzieciach pozostawionych w dalekiej syberyjskiej tajdze. Nawet − ku memu zdziwieniu − zwierzył mi się z trosk o los najbliższych. Na jego twarzy malował się głęboki niepokój i smutek.

Przykryłem go płaszczem-namiotem i zostawiłem na zboczu wąwozu obok ścieżki. Nie miałem odwagi szperać w jego worku za swoim oficerskim prowiantem i innymi drobiazgami. Przewidując, na co się zanosi, sięgnąłem tylko po jego łopatkę saperską, którą postanowiłem od tej pory chronić jak oka w głowie i mieć stale pod ręką.

Bitwa pod Lenino (12–13 października 1943). Nacierająca piechota.
NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka

Niezależnie od wszystkiego, trzeba było prowadzić pluton dalej do przodu, ku dolinie, za którą nasi już od samego rana toczyli krwawy bój.

Dopiero pod wieczór, kiedy słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi, dotarliśmy do łąk przylegających bezpośrednio do Mierei. Tutaj, w miarę podchodzenia, gromadziło się coraz więcej wojska. Poszczególne pododdziały, zachowując jak najdalej idące środki bezpieczeństwa, ze względu na małą przestrzeń zatrzymywały się prawie obok siebie. Dowódca batalionu kapitan Rodziewicz, […] ze swoimi oficerami z właściwą sobie werwą krążył po rejonie i wydawał po rusku polecenia przygotowujące nas do następnych działań. Jak się później okazało, z tego miejsca mieliśmy niezwłocznie wejść do walki, wzmacniając siły 1. i 2. pułku.

Sporadyczny ostrzał, który dotąd dawał się nam we znaki, jak na zamówienie − zupełnie ustał. Nawet strzelanina dochodząca z dala stopniowo cichła. Ostatnie przygotowania mogły więc przebiegać bez zakłóceń.

W pewnym momencie dowódca kompanii porucznik Ozga wezwał nas, dowódców plutonów, do siebie i w obecności swoich zastępców, podporuczników [Feliksa] Łankowskiego i Wodnara, oświadczył w sposób bardzo ogólnikowy, że wkrótce ruszymy do przodu i po przejściu tego zabagnionego terenu, który rozciągał się przed nami, rozwiniemy tyralierę, i pójdziemy do natarcia. Forma tego oświadczenia wcale nie przypominała rozkazu. Była to raczej rozmowa przełożonego, który podzielił się z nami wiadomością uzyskaną w batalionie. Niczego konkretnego nie dowiedzieliśmy się o sytuacji bojowej, nawet tego, gdzie się znajdują Niemcy, a gdzie nasi. Nie otrzymaliśmy żadnego zadania, z którego wynikałby kierunek i sposób działania po tamtej stronie.

U podłoża tej zupełnej nieznajomości położenia było − jak sądzę − to, że dowództwo dywizji po prostu nie panowało nad sytuacją i w konsekwencji nie rozporządzało niezbędnymi informacjami dotyczącymi pola walki. Decyzja użycia naszego pułku jako drugiego rzutu była podyktowana koniecznością zapobieżenia niepomyślnie rozwijającym się wydarzeniom pierwszego dnia, jak również − koniecznością zapanowania nad powstałym rozgardiaszem bojowym.

Zatem dosłownie i w przenośni mieliśmy być wprowadzeni do walki w ciemno, czyli po zapadnięciu zmroku i bez dostatecznego rozpoznania sytuacji bojowej.

Ruszyliśmy zaraz po nastaniu ciemności, w tej samej co poprzednio kolejności: przede mną szedł Jurek Rybnikow, a za mną Tadek Terech. Stalowe hełmy, które dotąd spoczywały bezczynnie na żołnierskich plecach i traktowane były jak zbyteczny balast, tym razem znalazły się na naszych głowach. Ponieważ trzeba było iść po świeżo wydeptanej ścieżce gęsiego, co znacznie wydłużyło

kolumnę, postanowiłem swojego zastępcę plutonowego Wolaniuka przesunąć na sam koniec pododdziału. Miał czuwać, aby nikt nie zbłądził lub nie odstał. Krocząc na czele plutonu, miałem pełnić funkcję przewodnika.

Przechodząc po podmokłym i nieco zakrzaczonym terenie, dotarliśmy do kładki, dzięki której mogliśmy suchą nogą przeskoczyć strumyk zwany Miereją. Po drugiej stronie bardzo szybko wyszliśmy na lekko wznoszącą się otwartą przestrzeń. Tutaj poczęliśmy rozwijać tyralierę: z marszu, bez żadnych szczególnych dyspozycji, prawie żywiołowo, starając się zachować dotychczasowy kierunek. Szło to jednak opornie. Żołnierze, zamiast zachować właściwe odległości między sobą, skupiali się wokół przełożonych, narażając się w ten sposób na większe niebezpieczeństwo. Na szczęście w dalszym ciągu trwała dość zagadkowa cisza ogniowa.

Posuwaliśmy się po łagodnym zboczu bardzo powoli. W ciemnościach można było dostrzec jedynie kontury jakichś wraków. Pole usłane było przeróżnymi przedmiotami, o które nieraz zawadzaliśmy. Gdy w pewnym miejscu otarłem się o drut kolczasty i rozdarłem pelerynę, uświadomiłem sobie, że właśnie tutaj kilka godzin temu wrzała walka, że wszystko, co nas tutaj otacza, jest pozostałością tych działań, że tutaj mogą być jeszcze ranni i zabici. Z tego głównie względu nie miałem najmniejszej ochoty na przyglądanie się otoczeniu.

Tymczasem nasza tyraliera, w środku której ja się znajdowałem − chociaż nie było ku temu powodów − ciągle się kurczyła. Doszło do tego, że wokół mnie skupiona była większość żołnierzy. Zaniepokojony taką sytuacją musiałem osobiście rozrzedzić szyk, co nie przychodziło mi łatwo ze względu na instynkt samozachowawczy żołnierzy, pragnących być jak najbliżej siebie.

W pewnym momencie ku memu przerażeniu stwierdziłem, że utraciłem łączność stykową z sąsiednimi plutonami. Nie mogłem w żaden sposób pojąć, jak to się stało. Czyżbym wszystkich wyprzedził? A może oni pozmieniali kierunki? A może przez to samowolne zerwanie szyku znalazłem się z plutonem w odosobnieniu?

Ponieważ w dalszym ciągu panowała cisza i ze strony Niemców na razie nic nam nie groziło, postanowiłem wolno posuwać się w dotychczasowym kierunku; odłożyłem nawiązanie kontaktu ze swoimi na później. Miałem przy tym cichą nadzieję, że sytuacja sama się jakoś pomyślniej ułoży.

Wkrótce bez żadnych przeszkód przeskoczyliśmy przez głęboki rów i weszliśmy na ściernisko, które w miarę posuwania się do przodu traciło wyraźnie pochyłość. Pierwsze, z rzadka dochodzące do nas z oddali pojedyncze wystrzały karabinowe jak również słabo oświetlające teren rakiety nie dawały mi powodów do zatrzymania plutonu, chociaż w głębi duszy o takiej ewentualności myślałem. Powstrzymywała mnie świadomość odpowiedzialności za to, co by się mogło stać, gdyby natarcie pomyślnie się rozwijało, a ja ze swoimi ludźmi pozostalibyśmy w tyle. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że ponowne poderwanie leżących żołnierzy byłoby bardzo trudne.

Pełen niepokoju, wlokłem się więc do przodu, nie mając zupełnie rozeznania w sytuacji ani też sprecyzowanego zadania. Obok mnie w ogromnym skupieniu i ciszy ciągnęli moi podwładni, w szyku daleko odbiegającym od tyraliery.

Nagle wraz z wystrzałem rakiety świetlnej zaterkotały karabiny maszynowe. Wokół nas zrobiło się widno jak w dzień. Momentalnie, bez namysłu zwaliłem się na ziemię. Ochłonąwszy nieco z szoku, stwierdziłem, że to samo uczynili pozostali żołnierze. Tymczasem pociski wściekle

pruły w naszym kierunku. Towarzyszył im skowyt rykoszetów i świst przelatujących tuż nad naszymi głowami kul. Niektóre zaznaczały lot świetlnymi smugami.

W okopach pod Lenino (październik 1943). *Zbiory Archiwum Akt Nowych*

Tuląc się do matki ziemi, wrzasnąłem na swoich, aby się okopywali. Sięgnąłem po łopatkę saperską, dzięki przezorności zabraną jeszcze na podejściu do pola walki od martwego ordynansa Piotra Żurawia. Leżąc na boku, darłem nią ziemię, a następnie usypywałem przed sobą, by w ten sposób osłonić się przed strumieniem śmiercionośnych pocisków. Gdy wreszcie w pocie czoła wygrzebałem jako taki dołek i mogłem się w nim zagłębić, odsapnąłem nieco. Spostrzegłem, że wojsko − nieponaglane przez nikogo − wkopywało się w gliniasty grunt ścierniska. Pewien starszy wiekiem żołnierz, który znalazł się tuż obok mnie, nie wiadomo z jakiego powodu −

bez łopatki, grzebał swój dołek gołymi rękami. Kiedy się zorientował, jak mało skuteczny jest jego wysiłek, błagał ze łzami w oczach, abym mu pożyczył łopatkę. Oczywiście od tego momentu używaliśmy narzędzia na przemian.

W trakcie okopywania się dowiedziałem się od dowódców drużyn, że ten raptowny niemiecki ogień, na który natknęliśmy się, nie spowodował żadnych strat wśród ludzi. Zostałem tym wyraźnie podbudowany. W tej groźnej i niebezpiecznej sytuacji, która wytworzyła się wokół nas, była to iskierka nadziei, zapowiadająca, że może wszystko skończy się dobrze, że szczęśliwie wyjdziemy z opresji. W międzyczasie zaczęły mnie nachodzić różne myśli, głównie dotyczące dalszego działania − ponure i przepojone ogromnym niepokojem. Jakże miałyby być inne, skoro znaleźliśmy się samotnie na wzgórzu, pod nieustannym karabinowym ogniem, zmuszającym nas do szukania ratunku w obronie. Teraz, kiedy zaległiśmy na tej otwartej przestrzeni, a nad głowami hulały pociski, odrzucałem od siebie jakąkolwiek myśl o ponownym ruszeniu do przodu, ponieważ równałoby się to działaniu samobójczemu. Uznałem więc pozostanie na miejscu, aż do wyjaśnienia sytuacji, za jedyne racjonalne w tych warunkach zachowanie; nie chciałem narażać życia podwładnych. Równocześnie zadawałem sobie pytania dotyczące naszych możliwości zorganizowania tutaj dostatecznej obrony. Dysponując jedynie łopatkami saperskimi, byłem przekonany, że do rana, mimo najszczerszych chęci, nie będziemy w stanie nawet przyzwoicie się okopać. A zatem, z ustąpieniem ciemności znajdziemy się w położeniu bardzo nieprzyjemnym, bo w zasięgu niemieckiej obserwacji i pod gradem bomb.

Mój zastępca plutonowy Wolaniuk wysunął propozycję, aby nie zwlekając zbytnio, usadowić się w opuszczonych

niemieckich transzejach, które ze względu na doskonałą rozbudowę inżynieryjną, mogły stanowić skuteczną ochronę nie tylko przed bronią maszynową, lecz przede wszystkim przed lotnictwem. Zameldował przy tym, że obok nas, prawie w sąsiedztwie, jest taka transzeja, nieobsadzona przez nikogo.

Nie było powodów, aby z okazji nie skorzystać, tym bardziej że kilku żołnierzy z prawego skrzydła, zamiast kopać sobie wnęki w szczerym polu, znalazło schronienie w tym pustym okopie. Ostateczną decyzję o opuszczeniu zajmowanej pozycji i przejściu w nowe i bardziej bezpieczne miejsce podjąłem dopiero wtedy, kiedy osobiście przekonałem się, że sąsiedni okop jest rzeczywiście wolny.

Manewr miał być przeprowadzony skrycie, z zachowaniem jak najdalej idących środków bezpieczeństwa. Oznaczało to w praktyce, że niezależnie od oddalenia każdy z nas musiał kolejno przeczołgać się do nowego miejsca. Śledząc przebieg tego działania, przekonałem się, jak zdyscyplinowany może być żołnierz w obliczu zagrożenia i z jaką skrupulatnością może wypełniać obowiązki, gdy jest przekonany o słuszności podejmowanych przez przełożonych decyzji. Może dlatego i tym razem uniknęliśmy strat.

Gdy jako ostatni dobrnąłem do okopu i stwierdziłem, że nikt nie pozostał poza nim, natychmiast przystąpiłem do organizacji obrony. W tym rowie o dwumetrowej głębokości, z ostrymi załamaniami, rozpocząłem od rozstawienia ludzi, wyręczając dowódców drużyn, później wyznaczyłem miejsca dla ręcznych karabinów maszynowych, a następnie nakazałem przygotowanie stanowisk umożliwiających prowadzenie obserwacji i ognia. Ponieważ zajęliśmy − jak się później okazało − wykop łączący transzeje obronne, wykonanie tego zadania

wymagało wkopania się w jego zbocza oraz urządzenia właściwego stanowiska ogniowego.

Wobec tego, że dotychczasowy wysiłek fizyczny dawał się nam coraz mocniej we znaki, a aktywność niemiecka najwyraźniej zmalała, zobowiązałem dowódców drużyn do wyznaczenia dyżurnych, którzy mogliby pozostałym żołnierzom zabezpieczyć jeszcze tej nocy jako taki odpoczynek. Wydałem także polecenie, aby dyżurne środki ogniowe co jakiś czas dawały znać o sobie, przypominając przeciwnikowi, że rubież jest obsadzona i zdolna do oporu.

Okazało się, że w zajmowanym przez nas rowie znajdował się również okazały schron, przykryty z wierzchu balami i grubą warstwą ziemi. Wewnątrz wyposażony był w obszerne ziemne nary ze słomą oraz drewniany stół. Kiedy przejmowaliśmy go we władanie, na stole stały resztki jedzenia, a wokół walały się niemieckie czasopisma, zdjęcia roznegliżowanych kobiet, plakaty, broszury i listy. Obiekt ten w tych okolicznościach był prawdziwym darem niebios, ponieważ mogliśmy w nim przyzwoicie wypoczywać.

Jeszcze tej samej nocy, gdy wydawało się, że nic nie może zakłócić mi drzemki, zostałem w pewnym momencie wezwany do wyjścia ze schronu. Po przejściu paru kroków dostrzegłem w ciemnościach − stojącą tuż nade mną − postać w pelerynie i z automatem w ręku, za którą w pewnym oddaleniu stała druga osoba. Najwyraźniej lekceważąc zasady bezpieczeństwa, [mężczyzna] stał na skraju transzei. Zwrócił się do mnie w znanym mi języku z zapytaniem, czy jestem dowódcą tego pododdziału. Gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, ku mojemu zdziwieniu, nie zmieniając pozycji oraz czując zapewne, że ma do czynienia z młodym i niedoświadczonym bojowo polskim oficerem, zaczął mnie pouczać. Najpierw spytał, czy wiem, że

znajduję się na terenie dopiero co opuszczonym przez Niemców i czy zdaję sobie sprawę z położenia? Potem, nie dopuszczając mnie do głosu, pospiesznie począł tłumaczyć, że zajmowany obecnie przez nas odcinek transzei jest częścią ogólnego systemu obronnego, że ten rów, w którym siedzimy, jest powiązany z okopami obsadzonymi przez Niemców i z tego faktu wynika potrzeba zachowania jak najdalej idącej czujności, gdyż po przebiegłych Szwabach można się spodziewać nie tylko frontalnego ataku, lecz także obejścia od tyłu i pełnego zaskoczenia. Na zakończenie tych − jak mi się wydawało − życzliwie wypowiedzianych uwag, zapytał o miejsce pobytu dowódcy kompanii. Nie chcąc przyznać się do niewiedzy, odpowiedziałem od niechcenia, że jest gdzieś na zboczu, i wskazałem ręką kierunek. Myślałem, że taka informacja w zupełności zadowoli gościa, a mnie uwolni od kłopotliwego, bądź co bądź, tematu. Niestety, ku memu ogromnemu zażenowaniu, zaproponował mi rolę przewodnika, na co z oczywistych względów nie mogłem się zgodzić. Tłumaczyłem się koniecznością pozostania na miejscu. W końcu zrezygnował nie tylko z moich usług, lecz i z gońca, którego byłem skłonny mu przydzielić. Machnął ręką, coś odburknął pod nosem i zniknął w czeluściach nocy.

Odetchnąłem z ulgą tylko na chwilę. Ten wojak radziecki, przypuszczalnie oficer, napędził mi bowiem takiego strachu, że teraz o niczym innym nie myślałem, jak tylko o tym, by nie dopuścić do zaskoczenia. Wystawiłem na obrzeżach zajmowanego odcinka transzei dodatkowe posterunki, zabarykadowałem skrajne przejścia, zwróciłem uwagę podoficerom na konieczność zwiększenia czujności oraz poleciłem przygotowanie wszystkich środków ogniowych do natychmiastowego użycia.

[…]

Podczas oddawania strzałów z dziesięcionabojowych automatycznych karabinów, tak zwanych SWT[3], znajdujących się w dyspozycji większości szeregowych, ich zamki – z powodu zanieczyszczeń − tak się klinowały, że nie sposób je było odblokować nawet silnym uderzeniem łopatki saperskiej. Nie było więc mowy nie tylko o ogniu automatycznym, ale i pojedynczym. Na myśl, że dysponuję zaledwie kilkoma niezawodnymi, jeszcze z pierwszej wojny światowej, rosyjskimi karabinami, czterema na ogół sprawnymi ręcznymi karabinami maszynowymi oraz ograniczoną liczbą granatów − cierpła mi skóra. Szczególnie wtedy, kiedy pomyślałem o sytuacji wymagającej przeciwstawienia się napastnikowi.

Teraz nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko dyżurne posterunki ogniowe obsadzić ludźmi posiadającymi sprawną broń i czekać na szczęśliwy rozwój wydarzeń.

Leżąc w schronie na frycowskich narach, w duchu odmawiałem pacierze: prosiłem Boga o pomoc w przetrwaniu i ochronę życia. Zazdrościłem tym wszystkim, którzy znaleźli się na tyłach, którym nie groziły żadne wojenne niebezpieczeństwa. Sięgnąłem pamięcią do Grodna i szkolnych przeżyć, myślałem o najbliższych w Kazachstanie i o Ryśku w dalekim świecie; żałowałem, że nie dane mi było być razem z nim.

Po spotkaniu z radzieckim oficerem, który nie zważając na zagrożenia, w tak śmiały sposób osobiście badał położenie, zacząłem się zastanawiać, czy postępuję właściwie, nie szukając kontaktu z przełożonymi. Czy dobrze zrobiłem, nie udając się z nim razem na poszukiwanie dowódcy kompanii? Czy wreszcie nie należałoby już teraz wysłać kogoś z odpowiednim zadaniem?

Muszę przyznać, że do tak odważnych ludzi wtedy nie należałem, a nawiązanie łączności ze swoimi za pośrednictwem gońca wydawało mi się bardziej skuteczne za dnia.

Pomimo przemęczenia, które dawało mi się coraz mocniej we znaki, długo nie mogłem usnąć na cienkiej i porządnie zmiętoszonej przez poprzednich lokatorów słomie. Przewracałem się z boku na bok. Czułem, że musiało już być dość późno, gdy wreszcie opadły mi powieki i zapomniałem o bożym świecie.

Potężny wybuch, a za nim seria kolejnych tak silnie wstrząsnęły schronem, że o dalszym spaniu nie było mowy. Zerwałem się na równe nogi i jeszcze półprzytomny wybiegłem czym prędzej na zewnątrz. Było już jasno i zanosiło się znowu na piękny słoneczny dzień. Wojsko także nie spało, zaniepokojone najwyraźniej tym, co się wokół działo.

Właśnie przed chwilą Luftwaffe przystąpiła do gwałtownego i zmasowanego ataku na zajmowane przez nas pozycje. Zupełnie bezkarnie, nie napotykając na żaden przeciwlotniczy opór z naszej strony, samoloty z czarnymi krzyżami rozpoznawczymi krążyły nad rejonem i opróżniały nad nami swoje luki bombowe.

Przeraźliwy warkot motorów, gwizd spadających z nieba śmiercionośnych ładunków, potężne detonacje, tryskające w górę fontanny piachu i kamieni, drgająca ziemia i towarzysząca temu wszystkiemu kurzawa oraz nieprzyjemny swąd − oto obraz, który przyrównać można jedynie do piekła na ziemi. Bez żadnych wyjątków, niebywale przerażeni, siedzieliśmy cichutko na dnie głębokiej transzei lub w zbawiennym schronie. Na każdy głośniejszy skowyt, zapowiadający upadek bomby gdzieś nieopodal nas,

tuliliśmy się jak najczulej do matki ziemi, chowaliśmy się przed odłamkami.

Tymczasem atak nie ustawał, zmieniało się tylko jego natężenie. Kiedy jedna partia samolotów odlatywała, następna nadchodziła i w podobny sposób, bez żadnych przeszkód kontynuowała rozpoczęte przez poprzedników niszczycielskie dzieło. Nawet bezchmurne − ku naszej rozpaczy − tego dnia niebo było sprzymierzeńcem wrażego lotnictwa. […]

Siedziałem przeważnie w transzei, wśród większości żołnierzy. Psychicznie i nerwowo czułem się fatalnie. Starałem się swojego przerażenia, wręcz strachu, nie okazywać podwładnym. Na ile mi się to udawało, nie wiem. W każdym razie na ich twarzach i w ich zachowaniach dostrzegałem oznaki podobnych przeżyć.

W miarę przedłużania się nalotów, rosła we mnie obawa, że w końcu któraś z bomb dosięgnie i nas, tutaj, w tych głębokich okopach, że staniemy się ofiarami tego uderzenia. Podobnie jak w nocy − w skrytości ducha odmawiałem pacierze, prosiłem Boga o ochronę i nerwowo ściskałem londyńską książeczkę do nabożeństwa, tak starannie przechowywaną w dużej kieszeni munduru.

[…]

Jedno wydawało mi się wtedy pewne − mianowicie to, że podczas tych długotrwających bombardowań piechota niemiecka nie przejdzie do ataku, a w konsekwencji nie dojdzie do starcia, w którym − ze względu na zawodność naszej broni automatycznej − nie mielibyśmy prawie żadnych szans. Zaistniał zatem pewien paradoks, polegający na tym, że dopóki trwały bombardowania i nie wyrządzały nam przykrości, dopóty uważałem je za mniejsze zło. Zdawałem sobie jednak sprawę, że naloty nie będą trwały wiecznie, że niewątpliwie ustaną

z zapadnięciem zmroku. I dlatego coraz częściej spoglądałem na chylące się ku zachodowi słoneczko, wierząc, że zapadające ciemności − podobnie jak to było wczoraj − staną się początkiem tak upragnionego przez nas względnego spokoju.

Tymczasem szczęście nam dopisywało. Bomby wyraźnie nas omijały. Nie było bezpośredniego trafienia ani w transzeję, ani w schron. Drobne zadrapania jak również dwa lekkie zranienia od przypadkowych odłamków, z którymi zresztą uporaliśmy się dość łatwo, nie mogły być powodem do narzekań, szczególnie w świetle tego, co się dotąd wokół nas działo. Rezultat odchodzącego dnia, który trzymał nas w takim napięciu, okazał się bardzo korzystny. […]

Kiedy z szarówką ucichł wreszcie szum motorów, a po okolicy poczęły roznosić się echa pojedynczej strzelaniny oraz na niebie rozbłyskiwać rakiety świetlne, przystąpiłem ponownie do porządkowania obrony. Szło mi z tym o wiele sprawniej niż poprzednio, gdy obejmowaliśmy transzeję we władanie, ponieważ wszyscy bez wyjątku, szeregowi i podoficerowie, z pełnym poświęceniem i sumiennością wykonywali powierzone im zadania. Tę korzystną zmianę postaw i zachowań mogłem tłumaczyć tym, że dopiero w obliczu namacalnie grożącego niebezpieczeństwa każdy z nas poczuł się naprawdę cząstką żołnierskiej wspólnoty, od której skutecznego działania zależeć może los całej zbiorowości; dopiero na polu walki poczęła ustępować wzajemna nieufność, a dla przełożonych rozpoczął się proces budowania autentycznego autorytetu, opartego na surowej ocenie przez podwładnych ich sprawności bojowej.

[…]

Sprawdzając funkcjonowanie dyżurnych środków ogniowych, stale przypominały mi się przestrogi

radzieckiego oficera, dotyczące grożącego nam obejścia i zaskoczenia. Wiedziałem, że po długotrwałym bombardowaniu Niemcy mogą przypuszczać, iż teren przed nimi jest strefą niczyją, nieobsadzoną przez nikogo, uznałem więc za konieczne zaznaczyć wyraźnie naszą obecność tutaj. W tym celu poleciłem niektórym stanowiskom, niezależnie od zadań obserwacyjnych, oddawanie sporadycznych strzałów ostrzegawczych. Miałem nadzieję, że w ten sposób zapobiegnę niekorzystnemu rozwojowi wydarzeń.

Jak już wspominałem, z nastaniem ciemności uspokoiło się prawie zupełnie. Tylko od czasu do czasu zaterkotał gdzieś karabin maszynowy a nad nami przeleciał jakiś zabłąkany pocisk. Ludzie usypiali ze znużenia. Właśnie z tego względu, mimo że i mnie sen morzył niemiłosiernie, nie mogłem sobie pozwolić na przyzwoity wypoczynek. Co pewien czas wyskakiwałem ze schronu, by sprawdzić, czy dyżurni czuwają i wykonują powierzone zadania, by upewnić się, czy z naszym bezpieczeństwem jest wszystko w porządku. A poza tym nie dawały mi spokoju ciągłe rozmyślania: co będzie dalej, co mam zrobić, jeśli się w ciągu tej nocy nic nie zmieni, czy wytrzymamy jeszcze jedno uderzenie w dzień? Ponadto i sam schron od pewnego momentu przestał być miejscem pewnym i spokojnym, przez górną część otworu wejściowego poczęły bowiem wpadać do wnętrza pociski, zapewne mierzone przez niemieckiego strzelca wyborowego. Później wchodzić do niego musieliśmy bardzo ostrożnie i tylko na czworakach.

Późnym wieczorem, kiedy wydawało się, że wszystko przebiega bez zakłóceń, zostałem raptownie wywołany na jedno ze stanowisk obserwacyjnych. W oddali dostrzegłem trzy postacie, które szybkim i energicznym krokiem, nie

zważając na nic, zbliżały się ku naszym pozycjom. Nie mogąc rozróżnić sylwetek, sięgnąłem na wszelki wypadek po znajdujący się pod ręką karabin. W pewnym momencie w górę wystrzeliła rakieta świetlna. W jej blasku zauważyłem, że to swoi. Odłożyłem więc broń na bok i nie spuszczałem z nich ani na chwilę oka, śledziłem ich ruchy. Gdy się zbliżyli na odległość kilku kroków, zamarłem z wrażenia. Oto ujrzałem samego zastępcę dowódcy dywizji do spraw liniowych, korpulentnego pułkownika Kieniewicza, w towarzystwie dwóch nieznanych mi osób, z których jedna, także tęgawa, wydawała się oficerem, a druga, z pistoletem w ręku, szeregowym. Natychmiast, nie wyłażąc z okopu, przesunąłem się bliżej przełożonego i nieco speszony, ale regulaminowo, zameldowałem. Teraz ze strony tego surowego – jakim mi się jawił jeszcze w Sielcach − oficera niczego dobrego się nie spodziewałem. „Oby tylko nie za mocno beształ” − pomyślałem. Za to, że nie szedłem wczoraj do przodu, że się oderwałem od kompanii, że wreszcie dzisiaj najspokojniej w świecie siedzę sobie w tych poniemieckich umocnieniach. Nie daj Boże, abym był posądzony o tchórzostwo, za które… aż strach pomyśleć, co mogło grozić.

Tymczasem pułkownik Kieniewicz, wbrew moim przewidywaniom i ku mojemu miłemu zaskoczeniu, wcale nie okazał się facetem groźnym ani też nieprzystępnym. Łagodnym tonem i łamaną polszczyzną spytał najpierw o straty, później, jak się czujemy i czy Niemcy nam za bardzo nie dokuczają. Kiedy się dowiedział, że dzięki tej transzei, a szczególnie schronowi, udało nam się − nie licząc dwóch lekko rannych − uniknąć strat, jak również że dajemy sobie jakoś radę, wyraźnie się ożywił i wydawało mi się, że był zadowolony. W pewnym momencie przerwał mi składanie relacji i oznajmił, że jeszcze dzisiejszej nocy

zostaniemy zluzowani przez oddziały radzieckie, a po przekazaniu pozycji mamy się niezwłocznie stawić w rejonie, z którego wczoraj z rana wymaszerowaliśmy do akcji. Nie rozwodząc się zbytnio nad zadaniem, zakończył spotkanie lakonicznym żołnierskim pozdrowieniem, po czym żwawo przeskoczył okop i oddalił się z towarzyszącymi mu osobami.

[…]

Nie upłynęło dużo czasu od spotkania, kiedy do naszych stanowisk z trudem dociągnięty został ranny w nogę oficer, ten sam, który szedł w asyście pułkownika Kieniewicza. Okazało się, że znaleźli się w porządnych opałach. Miałem się zaopiekować rannym do przybycia sanitariuszy i wyewakuowania go do tyłu. […]

Od naszego gościa, kapitana i adiutanta zastępcy dowódcy dywizji, dowiedziałem się ciekawych rzeczy dotyczących sytuacji ogólnej na polu walki. Poinformował mnie, że na skutek niepowodzenia bojowego, jak również dużych strat, dywizję postanowiono wycofać i zastąpić ją jednostką radziecką.

Teraz o niczym innym nie myślałem, jak tylko o rychłym opuszczeniu zajmowanych stanowisk. Pamiętałem o zapowiedzianym przez pułkownika Kieniewicza przekazaniu pozycji. Przy czym wyobrażałem sobie, że do naszego rejonu przybędzie jakiś pododdział radziecki, odpowiednio rozmieści swoich ludzi i dopiero potem będziemy się mogli wycofać. Wydawało mi się, że dowódcom radzieckim będzie bardzo zależało na przejęciu zdobytych przez nas okopów. Chociażby dlatego, że umocnienia były solidnie rozbudowane i znajdowały się na panującym [nad okolicą] wzniesieniu.

Czas upływał a „towarzyszy” radzieckich ani było widać, ani słychać. Z coraz większym zniecierpliwieniem

spoglądałem w stronę spowitej w ciemnościach doliny, wypatrując, czy aby ktoś nie nadchodzi. Owszem, doczekałem się przybyszów, ale tylko dwóch i to naszych z noszami, którzy − zgodnie z zapowiedzią − zabrali naszego rannego gościa i ponieśli do tyłu.

Po północy, którą – z braku zegarka − mogłem jedynie intuicyjnie określić, zacząłem się poważnie martwić, jak również zadawać sobie zasadnicze pytanie: co mam zrobić, jeśli nie doczekam się zmienników, jeśli do świtu wszystko pozostanie po staremu? Przecież z nastaniem dnia można się spodziewać piekła, podczas którego wycofanie się będzie niemożliwe, a my znajdziemy się znowu w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Pozostanie na miejscu nie wchodziło w rachubę. Uważałem, że nie powinienem narażać życia żołnierzy, skoro otrzymałem tak wyraźny rozkaz wycofania się jeszcze tej nocy. Co prawda zadanie przewidywało także przekazanie zajmowanych pozycji. Jak mam więc postąpić, jeśli nie zjawią się odbiorcy?

Po naradzie ze swoim zastępcą plutonowym Wolaniukiem ustaliliśmy, że będziemy siedzieć na miejscu tak długo, jak się da, czyli do pierwszych przebłysków świtu. Zarezerwowaliśmy sobie szarówkę na dotarcie przynajmniej za Miereję.

Teraz, aby nie przegapić właściwego momentu do wyjścia, coraz uważniej przyglądałem się wschodniej części nieba. Równocześnie straciłem jakąkolwiek nadzieję na zluzowanie. Nie marnując czasu, omówiłem z dowódcami drużyn sposób wycofywania się. Uważałem, że najlepiej będzie, jeśli z okopu, na dany znak, wyskoczymy wszyscy naraz, a później w drodze każdy powinien trzymać się blisko mnie. Wspomniałem o potrzebie pomocy rannym i niedomagającym żołnierzom.

Kiedy wydawało mi się, że już jaśnieje, dałem − tak długo wyczekiwany przez wszystkich − sygnał do odejścia. Wyskoczyłem z transzei pierwszy i nie oglądając się na nic, prawie biegłem łagodnym zboczem ku rozległej dolinie. Musiałem się zatrzymać, by sprawdzić, czy nikt nie został i czy wszystko w porządku. Kiedy się okazało, że wszyscy w komplecie i co najważniejsze nawet najsłabsi w zupełnie przyzwoitej kondycji, podkręciłem tempo, bo zaczynało już porządnie widnieć. Chociaż odskoczyliśmy na taką odległość, że nie groził nam ogień z broni strzeleckiej, jednak od czasu do czasu śmigały nad naszymi głowami pociski moździerzowe i artyleryjskie. Jeden, tuż na podejściu do strumyka, napędził nam takiego strachu, że w odruchu samozachowawczym przywarliśmy do bardzo podmokłego podłoża, dzięki czemu uniknęliśmy przykrych następstw wybuchu.

Miereję staraliśmy się przekroczyć jak najprędzej, w miejscu zupełnie przypadkowym, na wprost. Aby osiągnąć drugi brzeg, trzeba było przedzierać się jeszcze przez szuwary i zarośla, jak również brodzić po wodzie o różnej głębokości − niesamowicie umorusaliśmy się błotem.

[…]

Szkielet murowanej budowli, stojącej tuż nad rzeką, do której niezwykle zmordowani dotarliśmy, uznałem za miejsce nadające się do odpoczynku i jako takiego uporządkowania plutonu. Sądziłem, że grube mury, a szczególnie podziemne pomieszczenie, dadzą ludziom właściwą osłonę przed pociskami, a przez to zapewnią niezbędne warunki do szybkiej regeneracji sił.

Niestety, tak się nie stało, a to z tej prostej przyczyny, że budynek okazał się miejscem, w którym gromadzono zwłoki zabitych. Ta polowa zbiornica ludzkich ciał robiła

przygnębiające wrażenie. Stos niedbale ułożonych trupów dawał makabryczny widok. Nie było mowy, żeby się tutaj na dłużej zatrzymać, nawet przy największym zmęczeniu.

Postanowiłem nie robić dłuższej przerwy, lecz tylko zaczekać na odstających i po ich dołączeniu do plutonu bez zwłoki wyruszyć dalej.

Muszę przyznać, że nie tylko napotkana trupiarnia przyspieszyła nasze wycofywanie się. […] Rozciągającą się teraz przed nami rozległą, otwartą i w dodatku obserwowaną przez przeciwnika przestrzeń − należało pokonać jak najszybciej, czyli bez żadnego zatrzymywania się. Wyruszyliśmy po staremu. Ja prowadziłem pluton, narzucając tempo, a Wolaniuk zamykał kolumnę.

Zaraz po wyjściu natknęliśmy się na starannie zamaskowane okopy, w których najspokojniej w świecie siedzieli radzieccy żołnierze; może nawet ci sami, którzy zaledwie kilka godzin temu mieli nas luzować, na których do ostatniej chwili czekałem, aby przekazać swój obronny odcinek. Gdy przekraczaliśmy ich pozycje, mogłem sobie w duchu pogratulować, że podjąłem taką a nie inną decyzję. Czekałbym na nich − jak to się brzydko mówi − aż do zasr… śmierci. I jak tu być sumiennym w wykonywaniu poleceń przełożonych?

Kiedy wreszcie po forsownym marszobiegu, zziajani i krańcowo wyczerpani dotarliśmy do pierwszej ocalałej wioski, zapchanej radzieckimi oddziałami medyczno-sanitarnymi, zdałem sobie sprawę, że znaleźliśmy się już w rejonie względnie bezpiecznym, w którym można było nieco pofolgować. Przeszliśmy więc do marszu spacerowego, w miarę potrzeb przerywanego wypoczynkowymi postojami.

[…]

Idąc wolno po polnej drodze, rozglądałem się za miejscem odpowiadającym najbardziej na kilkugodzinny postój. […]

Nieopodal tej ocalałej, zapchanej wojskiem i nieznanej mi z nazwy wioski, do której dotarliśmy po morderczym marszu, wpadła mi w oko niewielka kotlinka, porośnięta bujną trawą i osłonięta rzadkimi krzakami dzikiej róży. Zdecydowałem się zatrzymać tutaj, około 200 metrów od miejscowości.

Momentalnie, nie oglądając się na nic, przystąpiliśmy do urządzania się; każdy na swój sposób, nie tracąc ani chwili. Broń, odzież, worki lądowały na ziemi. Obuwie spadało z nóg. Rozbieraliśmy się jak komu było najwygodniej, nawet do rosołu. Golenie, a potem rozkosz kąpieli przy najbliższej wiejskiej studni. Najbardziej zmordowani marzyli tylko o przyjęciu pozycji umożliwiającej oderwanie się od trosk tego świata. Większość uważała, że w pierwszym rzędzie należy zadbać o żołądki, zwłaszcza że w ostatnim okresie o jakimś przyzwoitszym jedzeniu nie było mowy. Brzęczały kociołki nad ogniskami. Suchy prowiant wyzwolił kulinarne umiejętności. Roznosił się zapach zupy i kawy zbożowej. Na zacisznym zboczu można się było opalać. Odchodziło coraz głośniejsze chrapanie. Wojsko nadrabiało zaległości.

Ja sobie także niczego nie żałowałem. Starannie, bez pośpiechu ogoliłem się, wymyłem się do pasa i wymoczyłem nogi. Chociaż nie miałem własnego prowiantu, bo został przy nieboszczyku Piotrze, moim ordynansie, jednak dzięki gościnności podwładnych najadłem się jak za najlepszych czasów. […]

Tymczasem, gdy my beztrosko odpoczywaliśmy, 2−3 kilometry w prostej linii przed nami rozgrywał się dalej bitewny dramat, ale na szczęście bez naszego udziału. Z tej odległości byliśmy tylko widzami. […]

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego nie doszło do zluzowania. Chodziło chyba o to, by nie wprowadzać świeżych oddziałów do rejonu zagrożonego i tym samym nie osłabiać własnych sił.

[…]

W drugiej połowie dnia zacząłem się zastanawiać, czy wracać jeszcze dzisiaj do rejonu wyjściowego, czy też skorzystać z okazji i przedłużyć pobyt tutaj do dnia następnego? Byłem przekonany, że z tego powodu nikt mi złego słowa nie powie, czas powrotu nie został przecież dokładnie określony. Kiedy jednak zorientowałem się, że ludziom kończy się prowiant, postanowiłem jeszcze tego dnia pod wieczór dołączyć do kompanii. Ze znalezieniem swoich nie miałem żadnego problemu.

Niezwłocznie po przybyciu zameldowałem się u dowódcy kompanii porucznika Ozgi, któremu złożyłem szczegółowy raport za okres rozłąki z pododdziałem. Mówiłem nie tylko o okolicznościach, w jakich przyszło nam działać, lecz również o dylematach, przed którymi stawałem przy podejmowaniu określonych decyzji. Zauważyłem, że z uwagą i zrozumieniem wysłuchał mojej relacji. Nie zadawał pytań.

Zdając sobie sprawę, że radiowa wiadomość o naszym udziale w bitwie dotarła już do Żołymbetu i że dla moich najbliższych mogła być źródłem niepokoju o mój los, postanowiłem jak najszybciej powiadomić ich o tym, że żyję. Przysiadłem więc już następnego dnia z rana do napisania listu.

[…]

Nadeszła pora na pobitewny remanent. Rozpoczęły się apele materiałowe, przeglądy broni i sprzętu technicznego oraz wszelkiego rodzaju kontrole i wizytacje. Nie było dnia, aby czegoś nie sprawdzano, nie przeliczano, nie opisywano

czy nie wyjaśniano. Musieliśmy się przed szefem kompanii drobiazgowo wyliczać z każdego brakującego środka materialnego. Jeśli braki mieściły się w granicach dopuszczalnej normy zużycia − wszystko było w porządku. Gorzej, gdy były większe. Wtedy należało przekonująco uzasadnić nadmierne straty. Słowem − chodziło o dokonanie rzetelnego bilansu ogólnych kosztów bitwy.

Cała ta akcja skończyłaby się dla mnie pomyślnie, gdyby nie maski przeciwgazowe. Otóż, jak się okazało, zdecydowana większość moich żołnierzy nie miała masek przeciwgazowych. Tłumaczyli to tym, że maski zostały zniszczone i jako niesprawne pozostawione w terenie. Oczywiście argumentacja nie odpowiadała prawdzie. Maski, uznane przez żołnierzy za zbyteczny balast, zostały po prostu przez nich wyrzucone, a ja jako przełożony nie zapobiegłem takiemu postępowaniu. Ponieważ podobna sytuacja zaistniała nie tylko w plutonach naszej kompanii, lecz i w innych pododdziałach, co ocenione zostało przez wyższych przełożonych jako przejaw lekceważącego stosunku szeregowych i dowódców do mienia wojskowego, dowódca pułku major Piotrowski, na wniosek oficera gazowego kapitana Bartkowskiego, wydał bardzo ostry w tonie i jednoznaczny w treści rozkaz, z którego wynikało, że spisanie z ewidencji każdej zniszczonej maski może się odbyć tylko na podstawie przedstawionych dowodów zniszczenia.

Po tym rozkazie porucznik Ozga także zareagował ostro. Wezwał dowódców plutonów do siebie i stanowczo nam nakazał, byśmy niezwłocznie udali się w teren, nie wyłączając przedniego skraju linii obrony, i pozbierali maski bez względu na ich stopień zniszczenia. Nie było żadnych dyskusji. Kompletne maski lub ich elementy miały się

znaleźć, by szef kompanii mógł się rozliczyć z organem zaopatrzeniowym pułku.

Nie było rady. Wziąłem dwóch szeregowych i w minorowym nastroju, bez większej nadziei na odnalezienie kilkudziesięciu masek, wyruszyliśmy w „świat”. Kręciliśmy się po okolicy, zaglądaliśmy do przeróżnych dziur i zakamarków terenowych, penetrowaliśmy wszelkiego rodzaju ukrycia, bardzo uważnie przeglądaliśmy zakrzaczenia i zarośla. Nie licząc kilku nakrętek i kołków do pochłaniaczy − poszukiwania nie dały żadnych rezultatów.

Wreszcie zauważyłem stojącego na posterunku żołnierza radzieckiego, który strzegł starannie przykrytych i zamaskowanych skrzyń ustawionych w piramidy. Od razu pomyślałem: „Czy czasami nie są to maski przeciwgazowe?”. Podszedłem nieśmiało bliżej. Zaczepił mnie pierwszy, a gdy odpowiedziałem przyjaźnie, rozmowa potoczyła się żywiej i bardziej konkretnie. Okazało się, że mój rozmówca, pilnujący magazynu chemicznego, jest skłonny zaspokoić każdą naszą potrzebę, pod warunkiem że uzyska odpowiednią zapłatę w naturze, czyli jakiś atrakcyjny dla niego artykuł. Zaproponowałem tytoń, który mieliśmy z naszych oficerskich przydziałów. Kiedy mój rozmówca nawet dość ochoczo przystał na zgłoszoną ofertę, pomyślałem nie tylko o własnych, lecz i całej kompanii potrzebach. Uzgodniliśmy, że dam mu dziesięć paczek przedniego tytoniu, a on w zamian wydzieli mi dziesięć skrzyń masek przeciwgazowych, pod warunkiem że transakcja zostanie przeprowadzona w możliwie najkrótszym czasie.

Biegłem po tytoń i odpowiedni transport co sił w nogach. Potrzebną ilość tytoniu udało mi się zebrać od oficerów,

a szef kompanii, widząc, że spadnie mu kłopot z głowy, chętnie przydzielił podwody.

Transakcja została dokonana bez zakłóceń. Jeszcze tego samego dnia dowódca kompanii mógł zameldować przełożonym o wykonaniu rozkazu.

[…]

Do tak zwanych rejonów wyjściowych, oddalonych od linii frontu o około trzech kilometrów, z których przed trzema dniami wyruszaliśmy do walki, od kilku dni przybywały coraz to nowe wycofujące się pododdziały, grupy ludzi a nawet pojedynczy żołnierze. […]

Stany liczbowe pododdziałów zmniejszyły się nie tylko z powodu zgonów i zranień, lecz także na skutek zaginięć bez wieści, co w większości przypadków oznaczało dostanie się do niewoli. […]

Nie upłynęło parę dni nudnego przesiadywania pod młodymi olszynami, gdy nagle z wieczora zostaliśmy postawieni na równe nogi. Mieliśmy się jak najrychlej przygotować do opuszczenia zajmowanego rejonu.

Jeszcze tej nocy, jak zwykle bez podawania bliższych szczegółów, po sformowaniu kolumny marszowej ruszyliśmy z miejsca. Z początku lawirowaliśmy drogami polnymi po terenie i trudno się było zorientować, dokąd idziemy. Gdy jednak frontowa akustyka i iluminacja coraz bardziej słabły, stało się jasne, że oddalamy się od linii bojowej. A zatem ponowne wejście do walki, przynajmniej w najbliższym okresie, przestaje być aktualne.

[…]

Po dość intensywnym marszu w nocy i w dzień − 27 października zatrzymaliśmy się w mocno pokaleczonym mieszanym zagajniku, nieopodal wsi Zabrodzie.
W odróżnieniu od lasu, wiejskie chałupy, stojące długim rzędem na wzniesieniu, były zupełnie niezniszczone.

Pomiędzy nami a wsią rozciągał się szeroki pas łąk, przedzielonych leniwie płynącym strumykiem.

Pogoda, na którą jak dotąd nie mogliśmy narzekać, tym razem wyraźnie się pogorszyła. Nastała jesienna szaruga, zaczęło padać, oziębiło się i pojawiły się pierwsze przymrozki, uniemożliwiając dłuższe przesiadywanie pod krzaczkiem.

W tych warunkach, na polecenie przełożonych, przystąpiliśmy bezzwłocznie do urządzania się w nowym rejonie, czyli do budowy ziemianek. Rozpoczęło się kopanie dołów jak również ściąganie zewsząd materiałów potrzebnych do konstrukcji pomieszczeń oraz ich wyposażenia. Z ziemi, żerdzi, gałęzi, słomy, trzciny, liści i innych podręcznych środków rosły ziemianki jak grzyby po deszczu. Był dach nad głową. Do pełnego szczęścia brakowało tylko przyzwoitych piecyków, które − jak mówiono − miały zostać dostarczone nieco później. Na razie musiały nam wystarczyć ziemne paleniska.

[…]

Teraz dopiero, po dłuższej obserwacji, na swojego ordynansa − po tragicznie zmarłym Piotrze Żurawiu − wybrałem szeregowego Stanisława Sebzdę, z drugiej drużyny. Był żołnierzem cichym, zdyscyplinowanym i co najważniejsze − o rok młodszym ode mnie. Jemu powierzyłem cały swój majątek ruchomy, razem z oficerskimi delicjami.

Moje przypuszczenia odnośnie do czasu postoju pod Zabrodziem zupełnie się nie sprawdziły. Oto pewnego grudniowego już dnia w trybie prawie alarmowym opuściliśmy obozowisko i − jak zwykle − nie znając ani marszruty, ani celu marszu, zmierzaliśmy znowu w kierunku wschodnim, oddalając się tym samym coraz bardziej od linii frontu. Wraz ze wzrostem odległości od

frontu malała szansa rychłego udziału w ponownych walkach, z czego − wobec nieuchronnie nadchodzącej zimy − mogliśmy się tylko cieszyć.

Po dość intensywnym prawie dobowym przemarszu po zmrożonych drogach polnych przybyliśmy do rozległej i jakże swojsko brzmiącej miejscowości Janowo. Stąd po krótkim postoju spowodowanym zapewne jakimiś względami organizacyjnymi, skierowano nas − wraz z 2. kompanią strzelecką, dowodzoną przez porucznika Zalewskiego − do leżącej nieopodal osady Jewdokino. W tej mieścinie, oddzielonej od Janowa głębokim jarem i grząskim strumykiem, składającej się z zaledwie kilku ocalałych drewnianych chałup, zostaliśmy zakwaterowani. […]

Zaraz po przybyciu do Jewdokina przystąpiliśmy do urządzania się w nowym miejscu. Musieliśmy się przystosować do wyjątkowo skromnych zasobów kwaterunkowych. […]

Nie zauważyłem, by − dopiero co wyzwolona spod okupacji niemieckiej i przez wojujące armie ogołocona zupełnie z płci męskiej − miejscowa ludność była do nas wrogo ustosunkowana. Wręcz przeciwnie. W miarę jak przedłużał się nasz pobyt − wchodziliśmy z nią w coraz bliższe kontakty. Pękały stopniowo lody nieufności. Poznawaliśmy się. Zawiązywały się znajomości i przyjaźnie. Nie wykluczam, że na tym męskim bezrybiu co bardziej przedsiębiorczy wojacy wykorzystywali nadarzające się okazje.

Chałupa, którą otrzymałem do dyspozycji, składała się z dwóch izb, ogrzewanych glinianym piecem, z przedsionka i pustej zagrody. Była własnością mocno podstarzałego i schorowanego małżeństwa. Większą izbę przeznaczyłem dla szeregowych, a mniejszą − dla podoficerów,

z plutonowym Wolaniukiem na czele. Wszyscy spali na drewnianej podłodze pokotem, jeden obok drugiego. Tylko gospodarze, starym zwyczajem, okupowali obszerny zapiecek. […]

Jeszcze nie zdążyliśmy się porządnie zadomowić w nowym rejonie, gdy zostaliśmy w trybie nagłym ściągnięci do pobliskiej dolinki, by uczestniczyć w potwornym widowisku rozstrzeliwania żołnierza z naszego batalionu. Był nim bardzo młody, zaledwie szesnastoletni chłopak, szeregowy Włodzimierz Liśkiewicz z 1. kompanii, którego polowy sąd wojskowy skazał na karę śmierci za dezercję i szpiegostwo na rzecz Niemiec. W bitwie pod Lenino dostał się z całym plutonem, dowodzonym przez podchorążego Nowaka, do niewoli. Podobno po zobowiązaniu się do współpracy z Niemcami − został ponownie przerzucony przez linię frontu i po dołączeniu do swojego pododdziału miał drogą radiową przekazywać wiadomości o dywizji.

Tym razem z uczestnictwa w imprezie nie udało mi się wymigać. Musiałem osobiście poprowadzić swój pluton na miejsce egzekucji i − chcąc nie chcąc − być świadkiem przerażającego wydarzenia, które kojarzyło mi się z nie tak dawno wykonanym wyrokiem śmierci na moim żołnierzu Janie Jakubowiczu.

Na skazańca czekałem w przygnębiającym nastroju. Gdy ujrzałem go, płaczącego i idącego w naszą stronę w towarzystwie dywizyjnego kapelana księdza majora Kubsza, nie mogłem opanować wzruszenia. Oto ten młodzik, o wyraźnie dziecinnej twarzy, pocieszany przez księdza, miał za chwilę na naszych oczach zginąć z mocy prawa wojennego. Kiedy z zawiązanymi oczyma i skrępowanymi rękami stanął nad zawczasu wykopanym dołem, kapłan pożegnał go znakiem krzyża, a prokurator

dał znak do wykonania wyroku. Gdy padła komenda, przeniosłem spojrzenie w zupełnie inne miejsce i przestałem myśleć. Poderwała mnie salwa karabinowa. Do uszu doleciał przeraźliwy jęk i głuchy łomot padającego ciała. Odszedłem na bok, aby nie przyglądać się pracy grabarzy.

Liśkiewicz pozostał w podsmoleńskiej ziemi jako jedna z ostatnich ofiar bitwy pod Lenino, a my, wracając w głębokiej zadumie do swoich zajęć, byliśmy przekonani, że cały ten spektakl miał ostrzec i zarazem nastraszyć społeczność żołnierską.

[…]

Normalizacja życia w nowych warunkach postępowała bardzo szybko.

[…]

Jeszcze przed nadejściem mrozów zostaliśmy gruntownie przemundurowani. Otrzymaliśmy ciepłą bieliznę, zamiast sukiennych płaszczy watowane kurtki, tak zwane fufajki, czapki uszanki oraz zimowe rękawice, przy czym oficerskie czapki obszyte były, zamiast sztucznego, prawdziwym futerkiem, a rękawiczki, zamiast watowanych i trzypalcowych, mieliśmy z dzianiny i pięciopalcowe. Ponadto każdą kompanię wyposażono w kożuchy i wojłoki − do pełnienia służby wartowniczej i patrolowej.

Każdy powszedni dzień najeżony był zbiórkami, zajęciami szkoleniowymi i odprawami. Podobnie jak w obozie sieleckim − znowu poczęły rozbrzmiewać poranne i wieczorne modlitwy. […]

Wszystko wskazywało na to, że w tych chałupach posiedzimy dłużej, że zimę będziemy mieli z głowy, a to oznaczało, że przez pewien okres czasu nie będziemy znajdowali się w wojennych opałach, że czekając na kolejny

bojowy występ, będziemy siedzieli jak u Pana Boga za piecem.

[…]

[…] Zima tego roku wyjątkowo wcześnie dała znać o sobie. Solidnie przysypało śniegiem, a temperatury z reguły nie podnosiły się powyżej zera. W tych warunkach trzeba było realizować normalny proces szkoleniowy. Nie było dnia, by nie odbywały się zajęcia w terenie. Uczyliśmy się nawet jazdy na nartach. Tak wypadło, że podczas bardzo silnych mrozów uczestniczyliśmy w batalionowych a później w pułkowych manewrach.

[…]

Po raz pierwszy święta Bożego Narodzenia przyszło mi spędzić w rozłące z najbliższymi, za to wśród braci żołnierskiej, co wcale nie złagodziło smutnego nastroju. Jakże mogło być inaczej, skoro, wbrew powszechnym oczekiwaniom, nie nadano im podniosłego charakteru, zgodnego z narodową i religijną tradycją. To prawda, że były dwa dni wolne od normalnych zajęć, że w wigilijny obiad odbieraliśmy z kuchni śledzie, ale przełożeni nie uważali za stosowne, by z podwładnymi zasiąść do wspólnego żołnierskiego stołu, połamać się opłatkiem i złożyć świąteczne życzenia. Nie zadbano także o choinki, które − wedle tutejszego zwyczaju − miały być dopiero noworoczną ozdobą. W tych warunkach nie pozostawało nic innego, jak tylko we własnym zakresie, na miarę skromnych możliwości uczcić święto.

W pomieszczeniu zajmowanym przez moich żołnierzy znalazło się kilka wymyślnie przystrojonych świerkowych gałązek. Wieczorami rozbrzmiewały gromadnie śpiewane kolędy. Nie zważając na zachowanie wyższych przełożonych, uważałem za właściwe złożyć swoim wojakom jak najserdeczniejsze życzenia. Z kolei

z prawdziwym wzruszeniem odbierałem świąteczne życzenia od podoficerów i szeregowych, przy czym nie obeszło się bez długich przyjacielskich rozmów na różne tematy, nie wyłączając wspomnień o dopiero co przebytej frontowej drodze jak również zwierzeń z osobistych trosk i kłopotów. Teraz mogłem się przekonać, że moi podkomendni w zdecydowanej większości byli przywiązani do bożonarodzeniowej tradycji.

W podobnie skromny sposób przebiegały święta i w pozostałych pododdziałach naszej kompanii; także bez udziału dowództwa. Sądzę, że w tej sprawie − zgodnie z ateistycznym poglądem i obcą nam ideologią − obowiązywały odgórne wytyczne, zmierzające ku temu, by świętom nie nadawać zbyt uroczystego i zorganizowanego charakteru, ponieważ mogłoby to negatywnie oddziaływać na miejscową ludność, która po przerwie okupacyjnej ponownie miała się stać obiektem komunistycznego wychowania i indoktrynacji. Faktycznie nasi gospodarze, których święta Bożego Narodzenia przypadały dwa tygodnie później, bacznie się nam przypatrywali; dość pochlebnie wypowiadali się o naszych świątecznych zwyczajach, jak również z wyraźną sympatią odnosili się do nas jako do wyznawców tej samej chrześcijańskiej wiary.

[…]

Tymczasem odchodził stary i zbliżał się nowy − 1944 rok. Kolejny rok wojennych zmagań. Znajdując się w głębokich frontowych odwodach, mogliśmy pozwolić sobie na względnie godne i uroczyste imprezy noworoczne, organizowane tym razem z inicjatywy i przy pewnej aprobacie przełożonych wszystkich szczebli służbowych.

Nie obeszło się bez sylwestrowych bali. W Łaptiewie, jak zwykle, bawiło się z żołnierkami dywizyjne kierownictwo, w Janowie zaś pułkowa śmietanka. Wszędzie − ściśle za

zaproszeniami, co czyniło te imprezy zupełnie niedostępne dla oficerskiego proletariatu. Nam pozostawały wiejskie chałupy, własne towarzystwo i ewentualnie miejscowa płeć piękna. Jurkowi [Rybnikowi] udało się jakimś cudem zdobyć flaszkę czystej moskiewskiej. Ponieważ mieliśmy również pewne rezerwy żywnościowe z dodatkowych oficerskich przydziałów, mogliśmy wspólnie z gospodynią i jej córką spędzić sylwestrowy wieczór przy skromnie zastawionym stole, za to w różowym nastroju, pozwalającym oderwać się od codziennych trosk. Dokładnie o północy w ramach noworocznego toastu wychyliliśmy ostatnie krople alkoholu, a następnie złożyliśmy sobie życzenia.

Nowy Rok rozpoczęliśmy od zbiórki, na której dowódca kompanii odczytał okolicznościowy rozkaz dywizji, zawierający nie tylko życzenia szczęścia i wszelkiej pomyślności dla każdego z nas, lecz przede wszystkim słowa nadziei na pomyślny rozwój frontowych wydarzeń, w wyniku których będziemy mogli znaleźć się w wolnej, niepodległej i demokratycznej ojczyźnie.

Tego też dnia, ale już w zupełnie kameralnych warunkach, składałem życzenia noworoczne swoim podwładnym. Ci z kolei odwzajemniali się podobnymi życzeniami. Nie interesowała nas wtedy wielka polityka ani to, że patriotyczne zwroty, wypowiadane przez przełożonych lub odczytywane z rozkazu w związku z rozpoczynającym się rokiem − to były zwykłe slogany. […]

W pierwszych dniach stycznia, kiedy wydawało się, że w najbliższym okresie nic w naszym życiu nie może się zmienić, dowódca kompanii otrzymał ze sztabu pułku telefoniczne polecenie, by jednego z dowódców plutonów rozliczyć z jednostką i nazajutrz na wyznaczoną godzinę skierować do sztabu w celu otrzymania nowego przydziału służbowego. Wykonanie tego dość tajemniczego rozkazu

oznaczało, że któryś z nas będzie musiał rozstać się ze swoim pododdziałem i opuścić spokojne domowe pielesze. Ponieważ nie było z naszej strony chętnych do wyruszenia w nieznane, porucznik Ozga uznał, że sprawiedliwie będzie, jeśli tym kandydatem do nowego, być może wyższego stanowiska będzie najstarszy z nas, czyli dowódca 1. plutonu Jurek Rybnikow. Ale Jurek zdecydowanie sprzeciwił się temu zamiarowi, przedstawiając przeróżne argumenty za pozostawieniem go na miejscu. Dowódca kompanii dał się w końcu przekonać. Teraz wybór padł na następnego z kolei dowódcę plutonu, czyli na mnie. Nie oponowałem. Nawet w duchu byłem zadowolony, że niebawem zmienię środowisko i wyruszę w szeroki świat.

Jeszcze tego samego dnia na zbiórce pożegnałem się ze swoimi podwładnymi, z którymi pod Lenino przeszedłem chrzest bojowy. Przekazałem obowiązki dowódcze zastępcy − plutonowemu Wolaniukowi. Oddałem szefowi plutonowemu Dobrusinowi pistolet, buty filcowe i inne niebędące moją własnością przedmioty. Serdecznie pożegnałem się z kolegami.

Jak się później okazało, z Jurkiem Rybnikowem, którego wyręczyłem w wyjeździe z kompanii, pożegnałem się na zawsze. Zginął biedaczysko w 1944 roku w walkach pod Warszawą i został pochowany na żołnierskim cmentarzu na Grochowie.

Zgodnie z rozkazem, po odmeldowaniu się u dowódcy kompanii porucznika Ozgi i jego zastępców podporuczników Jankowskiego oraz Wodnara, z workiem osobistych rzeczy na plecach zjawiłem się w sztabie pułku w Janowie, skąd po załatwieniu niezbędnych formalności zostałem przewieziony samochodem do sztabu dywizji w Łaptiewie. Tutaj, przed jedną z wiejskich chałup, w której mieścił się dywizyjny wydział kadr, zastałem grupę

wojskowych osób. Dowiedziałem się od nich, że zostaliśmy zgromadzeni po to, by wyjechać na przeszkolenie chemiczne do radzieckiego ośrodka dydaktycznego. W praktyce oznaczało to zmianę specjalności wojskowej: z piechoty na służbę chemiczną. Wiadomość odebrałem z pełną obojętnością. Podobnie jak w Sielcach, kiedy kierowano mnie do podchorążówki a potem do pełnienia dalszej służby wojskowej, nie wybierałem i jak dotąd źle na tym nie wyszedłem, tak i teraz zawierzyłem swojemu przeznaczeniu.

WACŁAW ZAKRZEWSKI

1 września 1943 roku w rocznicę napaści Niemców na nasz kraj dywizja wyruszyła na front. […]

Załadowanie do wagonów − w tym samym Diwowie, do którego przyjechaliśmy, jadąc do wojska, jak również na następnych stacjach: Rybnoje i Fruktowaja. […] Jechaliśmy parę dni, aż zajechaliśmy w rejon Wiaźmy. Włączono nas w skład Frontu Białoruskiego. Byliśmy w trzecim rzucie tego frontu. W dalszym ciągu szkolenie, przemarsze i posuwanie się ciągle do przodu. Szkoliliśmy się już na ostrej amunicji.

[…]

Na pozycje wyjściowe ruszyliśmy wieczorem 11 października 1943 roku. W nocy nastąpiło zajęcie okopów, które opuścili Rosjanie. Zluzowaliśmy jednostki, które trwały w tych okopach już dłuższy czas, gdyż był tam względny spokój. Do okopów weszły dwa pułki − 1. i 2. Nasz 3. pułk był w odwodzie dowódcy dywizji. Przeleżeliśmy noc w lasku. Przed nami słychać strzały tak pojedyncze, jak i serie maszynowe.

12 października 1943 roku ranek wstał mglisty, chłodny. W nocy siąpił deszczyk i wszystko mieliśmy przemoczone.

Wszyscy drżą z chłodu jak również z tego bliskiego, a nieznanego. Zaczęło się przygotowanie artyleryjskie. Armaty, haubice, katiusze oraz wszelka broń artyleryjska dalszego zasięgu biją, ile tylko zdążą podawać amunicji. Cały ogień dział skierowany jest na bliższe i dalsze linie obrony niemieckiej. Istna lawina ognia, słychać tylko jeden grzmot. Ta nawała artyleryjska trwała trzy godziny. Była jak gra na olbrzymich organach: cała ziemia drżała.

Bitwa pod Lenino (12–13 października 1943). W natarciu żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Mgła zaczęła powoli opadać − wkoło rzadki lasek. Drzewa połamane lub pościnane odłamkami pocisków. Coraz wyraźniej widać świat, który zgłupiał − ludzie toczą o kawałek ziemi zorany pociskami zażarty bój. Patrzę po twarzach − są jakieś inne. Komendy ostrzejsze i bardziej jednoznaczne. Zaczynamy maszerować do przodu. Mijamy nasze zaplecze, mijamy pozycje artyleryjskie i posuwając się śladem drugiego pułku, wychodzimy na odkrytą

przestrzeń, porosłą pojedynczymi krzakami i kalekimi drzewami. Przed nami rozpoczął się bój.

Słychać trzask broni maszynowej i grzechot pojedynczych karabinów. W ten jazgot wplatają się pojedyncze strzały artylerii i moździerzy. Strzelanina narasta. My idziemy w ten ogłuszający charakterystyczny zgiełk. Dochodzimy do Mierei. Przed nami dolina rzeczki, w tym miejscu szeroka na 150 metrów. Sama rzeczka nie jest szeroka, około trzech metrów. Gdyby nie oporządzenie, które każdy ma ze sobą, można by ją szybko przeskoczyć. Jest już popołudnie. Obok stoją działa pułkowe. Przed chwilą strzelały, a teraz prowadzą ogień pojedynczy. W bagnistym terenie ugrzęzły dwa czołgi. Saperzy próbują je wyciągnąć z bagnistego brzegu.

Przez rzeczkę biegną kładki − na nich położony jest ogień snajperów niemieckich i cekaemów. Pułkownik Piotrowski wzywa do siebie dowódców batalionów. Za chwilę rozkaz: „Kompaniami tyralierą przez rzeczkę, biegiem marsz!”. Biegniemy przez podmokłe łąki do rzeczki. Byliśmy już w połowie drogi, gdy nadleciały samoloty niemieckie i obłożyły nas bombami. Wtedy zaczęło się piekło. Do bombardowania z góry dołączyła się artyleria.

Wkoło pełno wybuchów, ktoś padł, inny woła ratunku. Ktoś przeraźliwie krzyczy, my biegniemy dalej, aby przebić się przez tę przeklętą rzeczkę. Nikt nie szuka mostków, raczej je omijamy. Dopadamy do rzeczki. Serie z karabinów maszynowych i broni pokładowej samolotów sieją po ziemi i wodzie. Z ziemi powstają tylko kupki kurzu, z wody widać wypryski. Biegniemy i w biegu do rzeki… karabin do góry i na drugi brzeg. Woda miejscami sięga powyżej pasa. Za rzeczką dalej biegiem, bo tam jeszcze około pięćdziesięciu metrów bagien i wreszcie upragnione krzaki. Pułk wpadł w zarośla i od razu się okopuje. Czujemy się bezpieczniejsi.

Samoloty odleciały, za chwilę znowu przylecą i znowu zaczną bombardować. My już zaryci w ziemi. Teraz tylko bezpośrednie trafienia są groźne, odłamki już nas nie sięgają.

Ta droga przez rzekę i łąkę była drogą przez piekło. Huk, dym, wybuchy, deszcz ziemi i odłamków. A my biegiem wśród tego chaosu, między wybuchami wywracającymi ziemię. W górze wciąż po czterdzieści i więcej samolotów, które tylko wypatrują, gdzie kogo dopaść. Chyba nikt nie czuł wtedy strachu, bo nie miał czasu myśleć o tym. Każdy tylko biegiem, aby dalej od tego, co zostało za nim.

Co jakiś czas przychodzą nowe fale tych przeklętych samolotów. […] Coraz to przychodzą i bombardują widoczne cele. Nas jednak nie widzą, okopujemy się coraz głębiej i leżymy tak pod ogniem do wieczora. Pojedyncze wybuchy bomb już nie robią wrażenia. […]

Wieczorem, gdy zaczęło się ściemniać, podniesiono nas i pomaszerowaliśmy dalej do przodu. Przed nami wzgórze. Idziemy na to wzgórze, tam w okopach jest 1. pułk. Wchodzimy do okopów. Aż wierzyć się nie chce, że ta garstka, co ją zastaliśmy, to cały pułk. Z tych resztek chyba i kompanii by nie skompletował. Zajmujemy stanowiska w okopach. W drodze został ranny w obie nogi dowódca mojego plutonu porucznik [Roman] Baczyński. Komendę nad plutonem obejmuje plutonowy Julian Rybakowski, starszy już wiekiem, ze Lwowa. Zdobył gdzieś niemiecki karabin snajperski i polował nim na Niemców.

Co jakiś czas Niemcy zaczynają strzelaninę i próbują atakować, odpieramy ataki i czekamy rana. Zaczyna się dzień − jak poprzedni: jesienny, mglisty, co raz we mgle coś majaczy. To Niemcy próbują wykorzystać mgłę, aby wedrzeć się bliżej.

Artyleria krótką nawałą przygotowuje teren do naszego ataku. W nocy fizylierzy zrobili wypad do wsi Trygubowa. Atak się udał i przyprowadzili jeńców. Ogień artyleryjski trwa krótko, mgła zaczyna opadać i pułk szykuje się do natarcia. Nareszcie i my poszliśmy do przodu. To siedzenie w okopach i czekanie, kiedy oni tu przyjdą, jest bardzo męczące. Niemcy w nocy podciągnęli posiłki i umocnili teren bronią maszynową. Jest ich dużo więcej niż w dniu wczorajszym. Pełno stanowisk dobrze zakrytych i zamaskowanych. Bez przerwy biją ogniem zaporowym, musimy się zatrzymać, prowadzimy ciągły ogień. Co pół godziny nadlatują samoloty i strzelają do nas z broni pokładowej, i bombardują nasze pozycje. Po każdym nalocie Niemcy próbują nas atakować z przodu lub z boku. Cały wysiłek Niemców skupiony jest na nas.

Chce się pić, a wody nie ma. Do Mierei daleko i nie ma kiedy po nią iść; a można nie dojść lub nie wrócić. Odcinek rzeki na długości dwóch kilometrów pokryty jest wybuchami pocisków artyleryjskich z moździerzy i bomb. Do przodu iść trudno i wrócić też niełatwo, zresztą rozkaz wyraźnie mówił: „Tylko do przodu. Do tyłu odchodzą tylko ranni i gońcy z rozkazami”.

Leżymy i pilnujemy Niemców. A oni nas: kto tylko wystawi głowę z okopu lub zza górki, zaraz go snajper wypatrzy. Pilnujemy się nawzajem. […] Snajperzy strzelają do wszystkiego co się rusza. My też, co zobaczymy, to nie darujemy. Każdy najmniejszy podejrzany ruch lub przedmiot są ostrzeliwane. […] Znów komenda do ataku i znów zmuszają nas do zalegnięcia. Wracamy pojedynczo na poprzednie stanowiska.

Z okopu wychylił się chorąży Kuropatwa – odłamek bomby zranił go w ramię. Szybko na miejscu zrobiono mu opatrunek, lecz w następnym nalocie został zraniony

odłamkiem i zginął w okopie. Coraz ktoś zostaje ranny, zabity lub zasypany w okopie. Coraz ktoś woła, żeby mu pomóc

Bitwa pod Lenino (12–13 października 1943). Czołgi i piechota na bagnach Mierei.
NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka

Cały dzień jesteśmy w ogniu: próbujemy atakować lub bronimy się przed atakami Niemców. Każdy już głodny i spragniony. Rannych zabierają sanitariusze. Wielu leży pod ogniem, tak że trudno się do nich dostać i nim ktoś się przeczołga, jest już za późno. A ilu się nie znajdzie? Baczyńskiego znajdą dopiero jutro, ale bardzo osłabionego. Ciągle ktoś woła o amunicję i coraz o nią trudniej, brakuje granatów. Co jakiś czas ktoś trochę podrzuci, ale podstawowym zaopatrzeniem jest to, co zabraliśmy ze sobą. Kto wziął w kieszenie i plecak oraz w torbę od maski gazowej, teraz ma czym strzelać. Dzielimy się tym co jest,

lecz zawsze właściciel zostawi sobie więcej. A kto ma czym strzelać, ten jest bezpieczniejszy, bo ma czym się bronić, i jest groźniejszy, bo ma czym atakować. Niemcy nacierają i gdy tylko ma się ich na muszce, trafić nie jest trudno. Ilu ja ich trafiłem? A czy to ważne? Ważne, że jeszcze żyję. Co będzie dalej − to się okaże. Zaczyna się ściemniać. Cały dzień boju, cały dzień ryzykowania życia, cały dzień drogi do Polski i… zaledwie cztery kilometry bliżej. […]

Stu ludzi poległo z pułku. Byli też i tacy, co przeszli na stronę Niemców, oddając się do niewoli. Chronili głowy, a stracili honor […]. Kompania fizylierów wzięła do niewoli sześciu Szwabów. Fizylierki odprowadziły jeńców do sztabu. Nie wolno nad nimi się znęcać, to prawda, ale po co z nimi się cackać. […]

Robi się ciemno, znów Niemcy próbują atakować. Wyszły czołgi niemieckie ferdynandy[4]. Wyszły ze wsi, a nasze rusznice po nich. Zaczynają dymić; dymi jeden, drugi, reszta się wycofała. Trwamy na stanowiskach do nocy. W nocy zmienili nas Rosjanie, a my odchodzimy do tyłu.

Dowódca kompanii porucznik Zalewski, nazywany pospolicie „Frajer”, bo sam tak lubił nazywać wszystkich, zbiera kompanie i maszerujemy z powrotem. Łączymy się z batalionem, potem w pułk. Odeszliśmy parę kilometrów i zatrzymaliśmy się w lesie. Wtedy dopiero prawdziwy odpoczynek i posiłek. Zaczęto liczyć straty, sprawdzając stany osobowe. Naraz alarm i w drogę. Uszliśmy parę kilometrów, gdy doszły nas odgłosy wybuchów bomb. To Niemcy bombardowali las, z którego tylko co zdążyliśmy wyjść. Chcieli koniecznie wykończyć naszą dywizję.

Po policzeniu okazało się, że do boju dywizja wystawiła około dwunastu tysięcy żołnierzy, a po boju liczyła przeszło pięć tysięcy ludzi. Reszta to zabici, ranni i zaginieni.

JAN PROROK

Próba generalna − bitwa – odbyła się, jak wiadomo, 12 i 13 października 1943 roku pod Lenino, a ściślej na przedpolach i we wsiach Trygubowa i Połzuchy, pod bacznym okiem dywizji radzieckich i w zasięgu ich dział. […]

Mnie los oszczędził. Udało mi się wyjść z opresji cało, z niewidocznymi jedynie wewnętrznymi obrażeniami narządów słuchu. Obok mnie upadła bomba, a ja wraz z nią twarzą ku ziemi. Targnęło powietrzem, przysypało mnie błotem, poczułem lepkość krwi w ustach i… niewiele więcej pamiętam. Było to drugiego dnia bitwy, podczas wychodzenia na pozycje bojowe. […]

Trzeciego dnia po generalnej próbie ognia zebrano nas, pozostałych przy życiu żołnierzy 3. pułku piechoty, na przedpolach wsi Nikołajewka lub Mojsiejewo, dobrze nie pamiętam, aby zbiorowo oddać hołd wszystkim tym, których droga do Polski skończyła się w tym miejscu. Pod wysokim krzyżem z heblowanego drewna, ustawionym nad świeżą żołnierską mogiłą, kapelan wojskowy odprawił mszę żałobną za dusze braci rodaków, których nazwiska, imiona i stopnie widniały na obszernej tablicy. Było ich 96. Dziś mówi się i pisze o 95 − być może ktoś się odnalazł. Część żołnierzy płakała. Ja również nie mogłem powstrzymać łez, gdy na tablicy dostrzegłem nazwiska kolegów, a wśród nich nazwisko kuzyna Józefa Proroka, kaprala, rocznik 1923. Zginął, jak później mówili jego podwładni, pierwszego dnia bitwy od pierwszej bomby lotniczej, krótko po wydaniu drużynie rozkazu: „Lotnik, kryj się!”. To ten sam Józek, który pamiętnego dnia w Dżepcie cieszył się kartą powołania do wojska i możliwością wydostania się z piekła na ziemi, kiedy jego starszy brat Stanisław takiej karty nie dostał i musiał pozostać w lesie.

[…]

Po bitwie wycofano dywizję na tak zwaną drugą linię frontu i rozlokowano na tyłach, w kępach niezbyt wysokiej wikliny, pomiędzy rzadko rozsianymi wsiami białoruskimi. Żołnierze − przyzwyczajeni do trudów i niewygód podczas długiego zesłania − nie narzekali na warunki przyfrontowe. Sypiali, gdzie popadło: w zimnych ziemiankach, skleconych naprędce z niczego, lub po prostu w norach wydrążonych w piasku pod korzeniami co gęstszych krzewów wikliny, grubo już w tym czasie nocami pobielonej szronem. Mnie to też spotkało. Wślizgiwaliśmy się we dwóch do takiej lisiej jamy, zatykaliśmy od dołu otwór płaszczem-pałatką i zasypialiśmy. Rano po takiej drzemce wypełzaliśmy zapiaszczeni i odurzeni własnymi wyziewami, ale w miarę wyspani. Mniej skostniali niż ci, co nie mając nory ani ziemianki, spali pod krzaczkiem wikliny, stłoczeni jak kuropatwy. […] Dodam, że ze względu na bliskość frontu, obowiązywał zakaz wzniecania ognia tak w dzień, jak i w nocy.

JÓZEF FRANCZAK

Bitwa pod Lenino… Jak tu opowiedzieć o niej, przekazać wszystko, co przeżyliśmy w owych dniach, kiedy − wydawało się − całe piekło wyległo na ziemię, a od postradania zmysłów bronił nas jedynie szał bojowy? Po latach wszystkie wspomnienia zlewają się w jeden chaos, a pamięć wywołuje jedynie koszmarny obraz, którego tłem są ogień i dym, a na pierwszym planie można dojrzeć biegnących przez zwały trupów szaleńców z bagnetami w ręku i rozrywające się w huku eksplozji czołgi, grzęznące w bagnach i mule rzecznym. Z góry żywym ogniem zieją samoloty, zrzucając jakieś nieprawdopodobne żelastwo (z

beczkami włącznie), żeby tylko wzniecić większą panikę w szeregach nacierających.

I te potężne okrzyki: „Hurra! Hurra!”, i bieg − byle do przodu, byle dalej, żeby tylko dopaść wroga i uciec od ścigającego zewsząd ognia. Nie zapomnę nigdy oszalałej twarzy plutonowego Kruka, z wybitym okiem, który z nadludzką siłą przygwoździł długą piką trzech Niemców do belki jakiejś ziemianki. Zwano go odtąd „Podbipiętą”.

I nie zapomnę nigdy tego uczucia rozpaczy i wściekłości, kiedy odkryliśmy, że zabrakło amunicji. Zbieraliśmy ją na pobojowisku i zdobywaliśmy na wrogu… Nie zapomnę też nigdy odwrotu, który odczuliśmy jak niezawinioną przez nas klęskę. Bo przecież w tym pierwszym impecie dopadliśmy wroga w okopach na pierwszej linii i parliśmy dalej. Żeby nie było czym strzelać?!… Wtedy właśnie zaczęła się szerzyć w naszych szeregach panika i w czasie odwrotu zginęło nas więcej niż w czasie natarcia. A ilu rannych i ile broni porzuconej, chwilowo bezużytecznej, zostawiliśmy za sobą!

Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki w natarciu. *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Nie daliśmy się jednak opanować rozpaczy. W tym samym dniu wracaliśmy nie tylko po martwych i żywych jeszcze kolegów, ale także po porzucone rzeczy: broń, chlebaki, łopatki saperskie. Okopaliśmy się, przygotowaliśmy się i uzupełniliśmy braki. I znowu atak. Cały ten koszmar trwał dwa i pół dnia.

A zaczęło się tak dziwnie… Wczesnym rankiem, we mgle i zatrważającej ciszy oczekiwania. W krajobrazie melancholijnym, w jesiennej pustce szerokich przestrzeni. Czekaliśmy na rozkaz ataku z podnieceniem i trwogą zarazem. A potem… Kiedy to było?… W którym dniu?… Potem doleciały do nas ulotki, wyrzucane przez Niemców

z moździerza, i usłyszeliśmy przez megafony wezwania: „Polacy! Opuśćcie rosyjskie wojsko i przystańcie do nas! Oni was zdradzą!”. Przyjęliśmy to z oburzeniem, gdyż Niemcy byli na razie wrogiem numer jeden.

Leżeliśmy w okopach i strzelaliśmy w górę, jakbyśmy mogli dosięgnąć rażące ogniem samoloty, zatrzymać na chwilę wściekłe dywanowe naloty. Potwornie zmęczeni, spragnieni i głodni, leżeliśmy dosłownie w błocie. Potrafiliśmy nawet spać w tym huku i piekielnym hałasie. Naokoło nas było tyle trupów, że nie dawało się przejść, trudno było także wychylić głowę z okopu. Robiliśmy próby, wystawiając na łopatce hełmy do góry. Od razu odbijały się od nich kule, znak ostrzegawczy, że wróg czuwa.

W którymś momencie ocknęła się wreszcie nasza artyleria i wsparła nas podczas następnego ataku. Jeszcze wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo byliśmy osamotnieni. Jeszcze o wszystkim nie wiedzieliśmy, ale chwilami do naszej świadomości docierały złe myśli i ponure przeczucia: wysłali nas tutaj specjalnie, żebyśmy wszyscy wyginęli! Ale trudno, musimy pokazać, jak walczą Polacy. […]

Pamiętam dobrze niektórych oficerów, tych, o których tak źle się zwykle mówi, że nie Polacy, że Ruscy lub „urzędowi Polacy”. Na polu bitwy na te sprawy patrzyło się inaczej. […]

Jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia − żeby nie było wątpliwości. Posądzano nas, żołnierzy dywizji kościuszkowskiej, że zdając sobie sprawę z beznadziejności walki pod Lenino i podejrzewając celowe wysłanie nas na rzeź − dezerterowaliśmy całymi grupami. Nie było czegoś takiego. Przynajmniej ja o tym nie wiem. Takie myśli może i przychodziły do głowy, ale nie wpływały zasadniczo na bojowe morale. Myśmy rzeczywiście płonęli żądzą zemsty

i myśleli o honorze polskiego żołnierza. Co nie znaczy, że obce nam było uczucie lęku i że nie ulegaliśmy panice w najcięższych chwilach. Są to jednak dwie różne sprawy.

[…] Tuż przed walką dostawało się po sto gramów „wódki” na odwagę. Może to trochę pomagało w opanowaniu lęku, ale z pewnością nie miało większego znaczenia. Dlatego też, kiedy przyszedł rozkaz wycofania się − poczuliśmy się rozgoryczeni. Gdyby tylko dano nam więcej amunicji i okazano chociaż trochę pomocy, moglibyśmy walczyć dalej.

Po bitwie

WACŁAW ZAKRZEWSKI

Stacjonowaliśmy pod Smoleńskiem. Trzeci pułk kwaterował we wsi Grigoriewka. Ja otrzymałem rozkaz zameldowania się w drukarni dywizyjnej „Żołnierza Wolności” […]. Zgłosiłem się do redaktora naczelnego, porucznika bez stopnia, bo tacy wówczas też byli, Henryka Wernera: „Dobra, będziesz pracował u nas w drukarni. Mamy kłopoty z fachowcami. Cieszę się, że ciebie znalazłem”.

Wracam do jednostki z nadzieją na zmianę przydziału służbowego. Miałem już dosyć piechoty i dosyć tej radości z pobytu na pierwszej linii. Przecież muszę wrócić do kraju, a na pierwszej linii trudno coś planować. Po kilku dniach przyszedł rozkaz odkomenderowania mnie do dyspozycji sztabu dywizji. Tam dostałem przydział do drukarni.

[…]

Szefem drukarni był sierżant Henryk Przykorski, maszynistą sierżant Wiktor Chilewski, zecerami – Jurek Jaworski, zwany „Synkiem”, i ja. Gońcem był szeregowy Michał Woźniczuk.

[…]

Drukarnia była zakwaterowana u *chaziajki*[5] we wsi Bubury pod Smoleńskiem. Praca moja polegała na składaniu, wraz z „Synkiem”, tekstów do gazetki dywizyjnej „Żołnierz Wolności”. Rękopisy otrzymywaliśmy z redakcji, w której pracowali redaktorzy: Henryk Werner jako naczelny, Henryk Bochenek jako depeszowy i jego żona jako sekretarz. Był tam również kapitan Kalinowski, prokurator dywizji, który w wolnych chwilach zajmował się zbieraniem materiałów. Składaliśmy ręcznie − to znaczy czcionka po czcionce, aż powstał cały wyraz. Następnego dnia, już po

wydrukowaniu, trzeba to było rozebrać, to znaczy każdą czcionkę należało włożyć do właściwej przegródki w kaszcie, czyli odpowiedniej szufladzie [zecerskiej] podzielonej na przegródki. Była to praca wypełniająca cały dzień. Zaprowiantowani byliśmy w kompanii ochrony sztabu dywizji. Po jakimś czasie redaktor Werner wyszukał jeszcze dwóch zecerów, przyszli pod koniec roku. Był to plutonowy Józek Krygier i szeregowiec Isakowski. Zrobiło się trochę lżej.

Siedzimy więc przy kasztach i składamy teksty. […] Przed Bożym Narodzeniem przyszedł rozkaz odkomenderowania sierżanta Chilewskiego do nowo tworzącej się drukarni armijnej. Odszedł więc maszynista, a na jego miejsce redaktor wyznaczył mnie. Zmieniłem więc pracę składacza na pracę maszynisty. Co złożyli zecerzy, ja miałem obowiązek wydrukować. Na odbicie jednej strony potrzebne były cztery obroty koła zamachowego, czyli musiałem cztery razy nacisnąć pedał, który wprowadzał maszynę w ruch. Mimo że była to praca cięższa, to jednak przyjemniejsza, gdyż po wydrukowaniu gazety trzeba było ją wydać kolporterom. Przychodzili po nią żołnierze z różnych pułków i jednostek pomocniczych, więc było z kim rozmawiać i stale miałem najnowsze wiadomości z życia dywizji. […] Nakład wynosił dwa tysiące sztuk gazety dwustronicowej.

Maszyna drukarska znajdowała się na samochodzie. Mieliśmy dwa studebakery[6] i ciężarowy gazik. Na jednym studebakerze była maszyna […] z materiałami potrzebnymi do druku. Z boku samochodu, wewnątrz, znajdowało się podnoszone łóżko, na którym w czasie marszów spałem. W drugim samochodzie były regały na czcionki, stół do formowania stron i dwa łóżka do spania. Na gaziku był

agregat do wytwarzania elektryczności, aby w polu można było normalnie pracować.

W nocy szły różne komunikaty nadawane przez Radio Moskwa. Z tego redakcja wybierała treść artykułów do gazety. Prócz tego pisali żołnierze z jednostek. Co zecerzy złożyli w dzień, ja w nocy drukowałem, a rano gazeta była gotowa. Zazwyczaj żołnierze przychodzili z rana po świeży numer. Komunikaty z frontu doskładywałem rano, żeby jednostki otrzymywały prasę z najświeższymi wiadomościami. Tak pracowałem przez całą zimę, aż do kwietnia 1944 roku.

Chaziajka nasza miała dwoje dzieci i męża na froncie. Przychodził do niej Rosjanin spod Katynia. Był tam w czasie, gdy ginęli polscy oficerowie. Pojechaliśmy z wycieczką, aby obejrzeć obóz zagłady polskich oficerów. Słyszeliśmy opowieści o tamtych dniach, znajdowaliśmy części oporządzenia. Obie wersje – tego Rosjanina i przewodnika – były straszne, lecz przeczyły sobie. Ktokolwiek dopuścił się tej zbrodni, zasłużył na równie straszną karę. Która z tych wersji jest prawdziwa? Myślę, że ta Rosjanina chaziajki, bo i po cóż miałby kłamać. Opowiadając, uważał, aby go nikt więcej [poza nami] nie usłyszał – bał się.

W Buburach spędziliśmy pierwsze Boże Narodzenie w drodze do Polski. Życzyliśmy sobie nawzajem, aby następne święta spędzić już w Polsce, wśród swoich. Na Nowy Rok wydaliśmy gazetę czterostronicową i w dwóch kolorach. Po wydrukowaniu tego numeru byłem wykończony. Druk trwał dwie noce i dzień. Nie byłem w stanie nawet jeść, wypiłem szklankę wódki i poszedłem spać. Obudziłem się po dwóch nocach i dniu.

Spędziliśmy tutaj całą ciężką zimę białoruską. […] W kwietniu 1944 roku dywizja została przemieszczona

w rejon Żytomierza. Nasza drukarnia ze sztabem dywizji stacjonowała we wsi Reja, też u chaziajki, tym razem ukraińskiej. Przejazd odbył się pociągiem. Jechaliśmy w swoich samochodach, które stały na platformach kolejowych. Trasa biegła z północy na południe, przez pustkowia, przez step. Niewiele było domów, w których mieszkali ludzie. Wzdłuż całej trasy widziało się domki dróżników, pozabijane deskami na głucho. Tylko sygnalizacja świetlna kierowała ruchem pociągów.

W czasie podróży, nie zatrzymując się, wydaliśmy dwa numery gazety. Ile to kosztowało wysiłku i zręczności, zrozumie ten, kto sobie uświadomi, jak pociąg w biegu rzuca samochodem stojącym na platformie − a nasza praca wymagała precyzji.

W maju przyszedł rozkaz dla drukarni, aby opuściła 1. Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i przeniosła się do Sum, do nowo formowanego tam 4. zapasowego pułku piechoty. Załadowaliśmy więc swój sprzęt na samochody i przez Kijów pojechaliśmy do Sum.

Sumy […] były mocno zniszczone działaniami wojennymi. Koszary znajdowały się około kilometra za miastem. Tam formowano 4. zapasowy pułk piechoty. Przyjeżdżali ci, którzy uchronili głowy przed Niemcami, przed prześladowaniami i morderstwami Ukraińców.

JAN PROROK

Mijały tygodnie, a my wciąż, w coraz trudniejszych warunkach ówczesnej jesieni, tkwiliśmy na tyłach, na tak zwanej drugiej linii frontu. Dopiero listopadowy śnieg i znaczne spadki temperatury zmusiły naczelne dowództwo do wyprowadzenia pododdziałów z ziemianek i rozlokowania ich we wsiach białoruskich, na tak zwanej trzeciej linii frontu.

Naszej kompanii przydzielono wieś Jewdokino, położoną na wysokim brzegu zamarzniętego już wówczas jeziora. Tam też, w opalanych domach tubylców, mogliśmy się ogrzać nawet na zapas i wypoczywać do woli po trudach ostatnich miesięcy. Zajęć służbowych było niewiele. Uczono jazdy na nartach tych, którzy nart nigdy na nogach nie mieli. Przedwojenni narciarze […] byli instruktorami. Względnie z grupą zaawansowanych można było doskonalić zjazdy i miniskoki na stromym brzegu jeziora. Po kilku tygodniach doszliśmy do siebie i przeżywaliśmy błogie dni prawdziwego żołnierskiego lenistwa.

Nic dziwnego, że w nadmiernie rozluźnionych warunkach także i w naszej zdyscyplinowanej, jak dotąd, kompanii […] zdarzyło się to, czego należało oczekiwać: żołnierze zaczęli zaglądać do kieliszka. Ktoś jednak w porę doniósł naszemu dobrotliwemu dowódcy, że jego podwładni piją i że we wsi kwitnie handel wymienny: bimber za sorty mundurowe. Sorty, za które on był osobiście odpowiedzialny. No i stała się rzecz straszna. Nasz dobrotliwy dowódca wpadł w szał i całej kompanii „stawił bycze jaja” – poniewierał nami, symulując natarcie w zaśnieżonych wertepach przez cały dzień, bez śniadania i obiadu. A wieczorem, przy blasku księżyca, zarządził alarm bojowy w pełnym rynsztunku. I wtedy wyszły na jaw wszystkie braki wyposażeniowe 120-osobowej kompanii. Wyliczono, że brakuje: ponad 60 płaszczy-pałatek, około 20 koców, 15 „wieszczowych mieszków” (plecaków) i chyba 2 płaszczy. Dużo, a nawet bardzo dużo.

− Kryminał! – huknął dowódca – Albo ja do końca życia zostanę bez gaży!… A tak wam ufałem…

Zapadła długa, denerwująca cisza. W końcu dowódca jakby zmienił głos i odezwał się pojednawczo:

− Chłopcy, stało się! Ja was nawet rozumiem − święta blisko. Ale to, czego nie ma, musi się znaleźć! Wiem, że z płaszczy-pałatek dzieci białoruskie noszą już spodnie, a inne sorty pocięto na drobne fatałaszki, ale to nic. Zrobiono to bezprawnie, zaś my prawnie będziemy dochodzić swego, gdyż wszystkim cywilom wiadomo, że od żołnierzy niczego kupować nie wolno!

Nazajutrz, w dzień wigilijny, trójki odpowiednio pouczonych „egzekutorów" wyjechały na nartach w teren, do sąsiednich wsi, aby rekwirować wszystko co pachnie wojskiem, nawet drobne strzępy pociętych płaszczy-pałatek. Później osmolono im brzegi i spisano na straty: „uległy spaleniu w kwaterach prywatnych".

Dla mnie próżniaczy relaks we wsi Jewdokino nie trwał zbyt długo. Skończył się 7 lutego 1944 roku, kiedy to – zgodnie z wcześniejszymi zapewnieniami dowódcy kompanii – zostałem skierowany do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu.

[…]

Riazań powitał nas zwałami śniegu i solidnym mrozem. Nic dziwnego, zaczynała się druga dekada lutego rosyjskiej zimy. Chłodem wiało także z wnętrza wielkiej koszarowej sali, mieszczącej się na poddaszu dwupiętrowego budynku szkolnego, w której czekało na elewów 120 piętrowych żelaznych łóżek. W ciągu kilku dni na tej sali, wśród zgiełku i krzyku, sformowano dwie szkolne kompanie: piątą i szóstą, liczące po 120 osób każda. Ja trafiłem do piątej, z której po ośmiu miesiącach miałem wyjść z oficerską gwiazdką. Długie riazańskie dni − naszpikowane musztrą, taktyką i wykładami − dłużyły się okropnie. […]

Miesięczny żołd elewa wynosił 45 rubli […] i wypłacany był przez szefa kompanii na koniec każdego miesiąca. Były to grosze, a nawet ułamki groszy, jeśli liczyć po

przedwojennemu, przewidziane na tak zwane żołnierskie drobiazgi: nici, pastę i tym podobne, a szły w całości na… lepioszki. Wszyscy kupowaliśmy te smakołyki od gadatliwych riazańskich bab − za podwórkową latryną, żeby szef nie widział – po 15 rubli za sztukę. Ceny były okrągłe i tak skalkulowane, aby nikt reszty nie żądał. Trzy lepioszki za jeden żołnierski żołd, i kwita! Albo – jeśli ktoś woli – trzy kęsy razowego żytniego placka po dobrym żołnierskim obiedzie. Był żołd i nie ma żołdu. […]

W końcu maja 1944 roku dostałem od sióstr długo oczekiwany list. Donosiły w nim z radością, pisząc na jednym skrawku papieru, że w nocy z 16 na 17 maja ich eszelon, zdążający z północy na południe, stał przez dłuższy czas na stacji w Riazaniu i że wszystkie, […] wiedząc, że jestem w tym mieście, oczekiwały moich przypadkowych odwiedzin. […]

Ich wyjazd z Komi nastąpił niespodziewanie – podobnie jak mój do wojska przed rokiem, w pierwszej połowie maja. […]

Promocja w riazańskiej szkole odbyła się pod koniec września 1944 roku. Gwiazdki oficerskie otrzymało 69 elewów, zaś trzech awansowało do stopnia starszego sierżanta, z możliwością dalszego awansu w jednostkach frontowych.

Wkrótce po urzędowej ceremonii nowo mianowani oficerowie – po obowiązkowym zwiedzaniu Moskwy – rozjechali się do przydzielonych im pododdziałów, stacjonujących już w większości na wyzwolonych terenach Polski. Mnie jednak, z trzynastoma innymi „wybrańcami”, pozostawiono w Riazaniu na tak zwany… kurs dodatkowy, upolityczniający. Trwał pięć tygodni, a po jego pomyślnym ukończeniu kursant mógł być skierowany na dużo wyższe

stanowisko w hierarchii wojskowej, z pominięciem kilku nawet niższych szczebli.

W tym czasie nasza (i moja) orientacja polityczna świeżo upieczonych oficerów od pługa – zesłańców, skazańców, *lesorubów*[7] i kołchoźników przywróconych nagle do życia i karmionych wiadomościami z jednej ręki – była zbyt nikła i naiwna, abyśmy mogli właściwie ocenić i zrozumieć prawdziwe zamierzenia władz wojskowych. Ich poczynania wydawały się nam wtedy słuszne i oczywiste, a nadrzędny cel: wolna i niepodległa Polska – zasługiwał na najwyższe poświęcenie. […] Z pozycji szeregowca, podchorążego czy świeżo upieczonego podporucznika słyszeliśmy w Sielcach i Riazaniu budujące słowa: „Idziemy do Polski najkrótszą drogą", „Nasze wojsko jest i pozostanie apolityczne", […], „Zbudujemy Polskę wolną i niepodległą", „Ustanowimy parlament jednoizbowy (senat to przeżytek)", „Obszarnicza ziemia dla chłopów!", „Anders stchórzył i zdradził"… Widzieliśmy też, jak zza głębokiego frontu, z Polski do Sielc przemycono katolickiego księdza. Zrobiono go, na wzór przedwojenny, kapelanem wojskowym, zezwolono na zbiorowe modły i nabożeństwa… Wszystko w polskim stylu, po polsku i dla Polski. […]

Z czasem jednak, gdy władza okrzepła, […] w końcu oficjalnie przyznano, że były to tylko taktyczne wymogi chwili. Po prostu taka wtedy istniała potrzeba.

Ja jednak, i nie tylko ja, we wszystko wierzyłem. […] Wszelkie odstępstwa od pierwotnie głoszonych komunałów tłumaczyłem sobie potrzebą chwili. Trwała przecież wojna i liczyła się jedynie taktyka; taktyczne przemyślane działania na froncie i tyłach!

Przypisy

[1] Chodzi o uroczyste awansowanie na podoficerów i oficerów.
[2] Gżatsk − obecnie Gagarin, w obwodzie smoleńskim (Rosja).
[3] Radziecki karabin samopowtarzalny zaprojektowany przez Fiodora Tokariewa.
[4] *Ferdinand, Elefant* − niemieckie ciężkie działo pancerne do niszczenia czołgów.
[5] *Chaziajka* (ros.) − gospodyni.
[6] Studebaker US-6 − amerykański samochód ciężarowo-terenowy.
[7] *Lesoruby* (ros.) − wyrębujący lasy

Rozdział V

Ruszaj, Pierwszy Korpus nasz…

Powstanie 1. Armii Polskiej w ZSRR

W wyniku starań gen. Zygmunta Berlinga dotyczących rozbudowy polskich formacji, 16 marca 1944 roku na polecenie Stalina wydano dekret o rozwinięciu 1. Korpusu w Armię Polską w ZSRR. Nie zważano przy tym na to, że wiele jednostek nie osiągnęło pełnych stanów osobowych, nie otrzymało całego wyposażenia i nie zakończyło szkolenia. Stalinowi zależało, ze względów politycznych, by mógł się pochwalić polskim wojskiem w momencie przekroczenia przez Armię Czerwoną granicy II RP, co nastąpiło 3 stycznia 1944 roku.

Żołnierze polscy, których większość pochodziła z Kresów, nie zdawali sobie sprawy, że na mocy porozumień zawartych pomiędzy Józefem Stalinem, Franklinem Rooseveltem i Winstonem Churchillem podczas konferencji w Teheranie (28 listopada–1 grudnia 1943) wschodnia granica Rzeczpospolitej miała zostać przesunięta na linię Bugu, zaś terytoria wschodnie włączone do ZSRR.

Dowódcą 1. Armii Polskiej został gen. dyw. Zygmunt Berling, a jego zastępcami: do spraw polityczno-wychowawczych płk Aleksander Zawadzki, do spraw liniowych gen. Karol Świerczewski, a szefem sztabu gen. Władysław Korczyc. Świerczewski był jednocześnie odpowiedzialny za uzupełnienia i zadania organizacyjno-szkoleniowe, przy czym działał według bezpośrednich wytycznych NKWD.

W maju 1944 roku niedaleko miasta Równe utworzono Polski Sztab Partyzancki, którego zadaniem była

koordynacja działań komunistycznych oddziałów partyzanckich w kraju (między innymi Armii Ludowej), zaopatrywanie ich w broń, amunicję i sprzęt wojskowy oraz przerzuty przez linię frontu. Jednak głównym zadaniem sztabu była penetracja polskiego podziemia i jego zwalczanie, zwłaszcza Armii Krajowej.

Na Ukrainie Armia Polska została podporządkowana pod względem operacyjnym 1. Frontowi Ukraińskiemu gen. Nikołaja Watutina. Jednostki armii polowej zostały przemieszczone na Wołyń w rejon Kiwerc, a Ośrodek Formowania przesunięty z Sum do Żytomierza. Pomiędzy majem a czerwcem 1944 roku sformowano 78 jednostek oraz rozpoczęto prace organizacyjne nad dalszymi 42. Ogółem w ośrodkach formowania i uzupełnień w Sumach i Żytomierzu utworzono 135 jednostek i wcielono w szeregi wojska 73 544 żołnierzy. W połowie lipca 1. Armia Polska w ZSRR, składająca się z trzech członów: armii polowej, sztabu formowania z ośrodkami organizacyjnymi oraz Polskiego Sztabu Partyzanckiego, liczyła 101 473 żołnierzy.

Operacja brzesko-lubelska (18 lipca–2 sierpnia 1944)

W kwietniu 1944 roku 1. Armia Polska została podporządkowana dowódcy 1. Frontu Białoruskiego i przegrupowana na Wołyń. Tam do połowy lipca prowadzono szkolenia bojowe oraz polityczne oficerów i żołnierzy. Dnia 18 lipca 1944 roku rozpoczęła się operacja brzesko-lubelska Armii Czerwonej, podczas której do walki miały ponownie wejść polskie oddziały.

Jako pierwsi do akcji przystąpili polscy artylerzyści, którzy przyczynili się do rozbicia sił niemieckich nad Turią i Bugiem. W operacji wzięło udział około 7000 żołnierzy i 260 dział. W nocy z 22 na 23 lipca oddziały 1. Armii

Polskiej przekroczyły Bug i skierowały się na Chełm i Lublin. W czasach PRL opisywano to jako przekroczenie polskiej granicy i początek batalii o wyzwolenie ojczyzny. Po przekroczeniu Bugu wejście do walki z Niemcami całej Armii Polskiej nabrało wymiaru politycznego. W przyszłości miało się stać symbolem wyzwolenia i przyszłej budowy nowej Polski w nowych granicach.

Powołanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i utworzenie Wojska Polskiego

21 lipca 1944 roku powstał w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN): fasadowa organizacja zarządzana przez komunistów, która była zapowiedzią nowego polskiego rządu, całkowicie podporządkowanego Kremlowi. Przy czym propaganda radziecka głosiła, niezgodnie z prawdą, że PKWN powstał w Chełmie, „w pierwszym wyzwolonym mieście polskim”. Jak zapowiadał PKWN − po wojnie do Polski miały zostać przyłączone Pomorze i Śląsk Opolski, na wschodzie zaś przyjęto dla granic kryteria etniczne, przez co Polska utraciła tereny zamieszkane w dużym stopniu przez ludność litewską, białoruską i ukraińską.

PKWN był uwieńczeniem dążeń Stalina do podporządkowania dużego sąsiedniego kraju. Początkiem wydarzeń stało się założenie w styczniu 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej (PPR), utworzonej przez polskich komunistów, wysłanych z Moskwy na tereny okupowanego przez nazistów kraju. Rok później PPR, od 23 listopada 1943 roku pod przewodnictwem Władysława Gomułki, powołała do życia Krajową Radę Narodową (KRN): rodzaj podziemnego parlamentu złożonego z ugrupowań

podporządkowanych komunistom; przewodniczącym został Bolesław Bierut.

KRN uznała się za faktyczną reprezentację polityczną narodu polskiego, upoważnioną do występowania w jego imieniu i kierowania jego losami do czasu wyzwolenia Polski spod okupacji niemieckiej. Wszystkie te działania były wymierzone w legalnie działający rząd RP w Londynie. W maju 1944 roku ZPP uznał KRN za najwyższy organ polityczny narodu polskiego.

22 lipca 1944 roku − ale faktycznie dzień wcześniej − ogłoszono w Lublinie manifest uznający PKWN za jedyną legalną władzę w Polsce, zaś rząd polski na uchodźstwie za władzę samozwańczą. 26 lipca 1944 roku w Lublinie żołnierze 1. Armii WP wzięli udział w uroczystej defiladzie, ze sztandarami i z udziałem orkiestry. Ludność cywilna, mimo nieufności do berlingowców, witała żołnierzy w polskich mundurach bardzo serdecznie. Zmęczone okupacją niemiecką społeczeństwo dawało wyraz swojej radości.

Zbrojne oddziały podziemne PPR (Gwardia Ludowa, później Armia Ludowa) zostały wcielone w szeregi Armii Polskiej w ZSRR i utworzyły jednolite Wojsko Polskie. Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego mianowano gen. Michała Żymierskiego (1890−1989), używającego pseudonimu „Rola”.

Ten były żołnierz Legionów, w II Rzeczpospolitej zaledwie w wieku 35 lat dosłużył się stopnia generała brygady, jednak już dwa lata później, w 1927 roku skazano go na pięć lat więzienia, zdegradowano i wydalono z szeregów armii za nadużycia finansowe w wojsku. W więzieniu Żymierski nawiązał kontakt z komunistami, a po wyjściu na wolność − z radzieckim wywiadem. Podczas okupacji związał się z PPR-em i w styczniu 1944 roku został

dowódcą Armii Ludowej. W lipcu 1944 roku, wraz z objęciem przez gen. Michała Żymierskiego funkcji Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego − nastąpił koniec błyskotliwej kariery gen. Zygmunta Berlinga i jego wpływu na armię. W latach 1944−1947 to gen. Żymierski zatwierdzał, wydawane przez sądy wojskowe, wyroki śmierci na żołnierzy podziemia, głównie Armii Krajowej. 3 maja 1945 roku został mianowany Marszałkiem Polski.

15 sierpnia 1944 roku PKWN wydał dekret o mobilizacji poborowych urodzonych w latach 1921−1924. Pierwsza faza mobilizacji, przeprowadzona na terenach między Bugiem a Wisłą, nie przyniosła spodziewanych rezultatów − z powodu niechęci społeczeństwa do nieznanych i kojarzonych z Moskwą władz, a także ze względu na represje sowieckich organów bezpieczeństwa w stosunku do żołnierzy Armii Krajowej. Powtórny dekret − wydany w październiku − rozszerzał pobór o rocznik 1925 i starszych ochotników. Ogółem do końca 1944 roku udało się zmobilizować 110 210 żołnierzy.

Przyczyną niezadowalających wyników poboru była również nietrafna ocena możliwości mobilizacyjnych oraz wcielenie prawie 80 tys. Polaków z terenów zabużańskich do Armii Czerwonej. Żołnierze ci, na mocy polsko-radzieckiego porozumienia o granicach, byli traktowani jako obywatele ZSRR.

Wojsko Polskie a Armia Krajowa

Przekroczenie − 3 stycznia 1944 roku − przez Armię Czerwoną przedwojennej granicy polsko-radzieckiej zmieniło sytuację oddziałów Armii Krajowej na Kresach. Mimo nawiązania w kilku przypadkach współpracy a nawet taktycznego współdziałania przeciwko Niemcom, żołnierze Armii Krajowej byli rozbrajani i aresztowani przez jednostki

NKWD. Te doświadczenia wpłynęły na późniejszy stosunek żołnierzy podziemia do Armii Czerwonej i działającego u jej boku Wojska Polskiego. Zgodnie z porozumieniem między PKWN-em a Moskwą z lipca 1944 roku tereny polskie wyzwalane przez jednostki Armii Czerwonej przechodziły pod pełne panowanie radzieckich władz i ich sądów wojskowych. Pozbawiało to ludność cywilną i żołnierzy podziemia ochrony legalnego rządu RP w Londynie. Zadaniem PKWN-u było utworzenie organów administracji i zaspokajanie potrzeb wojsk radzieckich przebywających na terytorium Polski.

Początkowo, bezpośrednio po przekroczeniu Bugu − mającego stanowić nową granicę polsko-radziecką − Sowieci tylko prowadzili rozmowy z ujawniającymi się oddziałami Armii Krajowej; wtedy nie dokonywano jeszcze aresztowań. Dopiero dyrektywa wydana przez Stalina 1 sierpnia 1944 roku, bezwzględnie nakazująca rozbrajanie akowców i członków innych organizacji podziemnych niepodporządkowanych PKWN-owi, nie pozostawiała wątpliwości co do prawdziwych intencji sowieckich władz. Aresztowani podoficerowie i szeregowcy mogli być wcieleni w szeregi 1. Armii WP, jeśli wyrazili chęć dalszej walki z Niemcami.

Do wybuchu powstania warszawskiego stosunek dowódców wojskowych, nie wyłączając generałów Żymierskiego i Berlinga, do żołnierzy Armii Krajowej nie był nacechowany wrogością − w odróżnieniu od funkcjonariuszy Resortu Bezpieczeństwa Publicznego (działającego przy PKWN-ie), którzy w akowcach widzieli przede wszystkim ideologicznych wrogów. Być może liczono, że uda się przeciągnąć i wcielić w szeregi Wojska Polskiego znaczną część żołnierzy Armii Krajowej i innych podziemnych organizacji bojowych.

Za wszelką cenę starano się ocieplić wizerunek polskiego wojska walczącego razem z Armią Czerwoną. 15 sierpnia 1944 roku, w rocznicę bitwy warszawskiej, jedyny raz w czasie wojny obchodzono Święto Wojska Polskiego. W tym samym miesiącu wprowadzono nową rotę przysięgi wojskowej; w tekście ślubowania pominięto sformułowania o: „dochowaniu wierności braterstwa broni sojuszniczej Armii Czerwonej” oraz „dochowaniu wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu”. Niestety, ten początkowo pojednawczy stosunek do przeciwników politycznych nie szedł w parze z działaniami NKWD, które nasiliło terror wymierzony w polskie podziemie jak również w społeczeństwo. Zakrojone na szeroką skalę operacje organów bezpieczeństwa zakończyły się wywózką kilkudziesięciu tysięcy ludzi do Związku Radzieckiego. W tej grupie kilka tysięcy stanowili aresztowani żołnierze Armii Krajowej.

Pomimo deklarowanych przez PKWN haseł o jedności i zachęcania do wstępowania w szeregi polskiego wojska, działania NKWD budziły zrozumiałą nieufność do berlingowców. Pozbawiona złudzeń, Komenda Główna Armii Krajowej ogłosiła bojkot mobilizacji zarządzonej przez PKWN, a terenowe dowództwa Armii Krajowej rozgłaszały, że wstępowanie w szeregi nowego Wojska Polskiego traktowane będzie jak zbrodnia stanu, zagrożona karą śmierci. Bojkot odniósł pewien skutek − liczba zmobilizowanych była dużo mniejsza niż zakładało Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego. Niemniej wielu akowców − którzy znaleźli się w podobnej sytuacji co ludzie zmierzający do obozu w Sielcach w 1943 roku − zgłosiło się do punktów mobilizacyjnych. Dla większości z nich wcielenie do idących ze wschodu polskich jednostek było

jedynym ratunkiem przed aresztowaniem i wywózką w głąb ZSRR.

Ten bojkot mobilizacji spowodował, że Armię Krajową zaczęto obwiniać za późniejsze dezercje z szeregów Wojska Polskiego, choć w rzeczywistości ucieczki wynikały z powodów dużo głębszych, często w ogóle niezwiązanych z polityką. Dezercje stanowiły duży problem dla władz wojskowych. We wrześniu 1944 roku z 1. Armii WP uciekło 66 osób, w październiku już 266. Dużo gorsza sytuacja zaistniała w 2. Armii WP, z której w ciągu jednego miesiąca zdezerterowało około 3 tys. żołnierzy. Przy czym żołnierze Armii Krajowej stanowili wśród dezerterów bardzo niewielki procent.

Po upadku powstania warszawskiego Sowieci wzmogli represje w stosunku do oddziałów polskiego podziemia. Po odsunięciu gen. Berlinga od dowodzenia polską armią, wojsko poddane zostało całkowicie kontroli komunistów z PPR. Miało to wpływ na wzmożenie akcji oczyszczania jednostek z wcześniej wcielonych akowców. Początkiem procesu była tajna instrukcja Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego o zwalczaniu Armii Krajowej w polskich jednostkach, obowiązująca od listopada 1944 roku. Władze wojskowe ujawniły wtedy cynizm − dotąd skutecznie ukrywany − w stosunku do żołnierzy podziemia, których wcześniej z taką gorliwością namawiano do wstępowania w szeregi polskiego wojska. Aresztowanych akowców osadzano w specjalnych obozach karnych, znajdujących się w dawnych katowniach niemieckich, na przykład na Zamku w Lublinie lub na terenie obozu koncentracyjnego na Majdanku. Do tych samych baraków, w których podczas wojny Niemcy przetrzymywali więźniów, trafili teraz żołnierze Armii Krajowej.

W latach 1944−1945 aresztowano około 5 tys. osób związanych z Armią Krajową i innymi organizacjami podziemnymi. W tej liczbie sporą grupę stanowiły osoby cywilne, działające podczas okupacji w organizacjach niepodległościowych. Zasądzono wówczas około 900 wyroków śmierci, z których 170 wykonano. (mb)

Szyfrogram Stalina do dowódców 1, 2 i 3 Frontów Białoruskich, 1 Frontu Ukraińskiego, Naczelnego Dowódcy WP i dowódcy 1 Armii Polskiej w sprawie likwidacji struktur AK na wyzwolonych terenach Polski. Ściśle tajne. Moskwa, 1 sierpnia 1944 roku

1. Ze względu na to, że terytorium polskie na wschód od Wisły w większości swojej uwolnione [zostało] od niemieckich zaborców i nie ma żadnej potrzeby prowadzić bojowej pracy partyzantów polskich na tej części terytorium Polski, Naczelne Dowództwo rozkazuje:

Uzbrojone oddziały „Krajowej Narodowej Armii" podlegające Krajowej Radzie Narodowej, które pragną walczyć przeciw Niemcom, kierować do dyspozycji 1 armii gen. Berlinga dlatego, żeby je włączyć w szeregi Wojska Polskiego. Partyzanci zdają starą broń, aby otrzymać nową i lepszą.

2. Ze względu na to, że hitlerowskie szpiegostwo stara się przeniknąć na terytorium działań wojennych Armii Czerwonej i pozostać na terytorium uwolnionej Polski pod pretekstem polskich oddziałów „Armii Krajowej", Naczelne Dowództwo rozkazuje:

Uzbrojone oddziały wchodzące w skład Armii Krajowej czy innych podobnych organizacji, bezwarunkowo mające w swoim składzie niemieckich szpiegów – przy ujawnieniu natychmiast rozbroić. Oficerów tych oddziałów internować, a podoficerów i szeregowych skierować do samodzielnych zapasowych batalionów 1 Armii Polskiej. Broń odebraną tym oddziałom zdawać do magazynów uzbrojenia armii.

Dowódca 1. Armii Polskiej dla tego celu sformuje do 7 sierpnia samodzielne zapasowe baony:

dla 3 Białoruskiego Frontu w rejonie Wilna,
dla 2 Białoruskiego Frontu w rejonie Białegostoku,
dla 1 Białoruskiego Frontu w rejonie Lublina,
dla 1 Ukraińskiego Frontu w rejonie Jarosławia.

Podoficerów i szeregowych kierowanych do samodzielnych zapasowych baonów dokładnie badać i kontrolować w oddziale informacyjnym 1 Armii. Po zbadaniu i kontroli skierować do zapasowego pułku w Lublinie.

3. O rozbrajaniu podoficerów oraz szeregowych kierowanych do 1 Armii Polskiej, a zwłaszcza o liczbie internowanych oficerów meldować do Sztabu Generalnego do pięciu dni, począwszy od 1 sierpnia.

Naczelne Dowództwo
J[ózef] Stalin
A[leksiej] Antonow

CAW, III-1/412, s. 34.

Odezwa Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju gen. Bora-Komorowskiego wzywająca do bojkotu poboru do wojska ogłoszonego przez PKWN. Warszawa, 17 sierpnia 1944 roku

Na słupach obwieszczeniowych ukazało się ogłoszenie o rejestracji oficerów do lat 60 i podoficerów do lat 50. Powyższe ogłoszenie wydane jest przez PPR i jako takie nie powinno być honorowane przez nas, Polaków, którzy krwawiliśmy przez 5 lat w szeregach konspiracji i walczyliśmy o lepsze jutro Polski z odwiecznym wrogiem germańskim.

Nam wszystkim, skupionym wokół osoby premiera St[anisława] Mikołajczyka i prowadzonego przezeń Rządu, który nie jest na usługach niczyich, a tylko stoi na gruncie czysto polskim, wszelkie zarządzenia władz samozwańczych są obce.

Wzywa się i nakazuje wszystkim oficerom i podoficerom nie stosować się do powyższego zarządzenia. Wszyscy jak jeden mąż musimy stanąć zwarcie i przeciwstawić się temu, by dać wyraz naszej solidarności i karności społecznej. Musimy wykazać tę karność i solidarność dziś właśnie, kiedy nasze stanowisko w polityce światowej spotyka się z wielkim uznaniem i poparciem demokracji zachodnich, widzących naszą zwartość i zjednoczenie w walce o Wielką, Niepodległą i Demokratyczną Polskę z Lwowem i Wilnem.

Niech żaden z oficerów i podoficerów nie rejestruje się i tym niech da wyraz swego protestu przeciw władzom samozwańczym, niemającym żadnego poparcia w naszym Narodzie.

Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju
Bór, gen.

Archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego, III/40/31, s. 73.

Rozkaz nr 51 Naczelnego Dowódcy WP o ukaraniu winnych dezercji zbiorowej z 31 pp. Tajne. Miejsce postoju, 16 października 1944 roku

Oficerowie i żołnierze Wojska Polskiego!

Pięć lat krwawych rządów na ziemi polskiej Niemcy wykorzystali do werbowania volksdeutschów, szpiegów i dywersantów spośród najsłabszych i spodlonych elementów w naszym narodzie.

Te agentury hitlerowskie dokonują dziś rozpaczliwych wysiłków, by zerwać mobilizację i rozrost odrodzonego Wojska Polskiego, przenikać w szeregi naszego wojska w celu rozsadzenia go od wewnątrz.

Na rękę wrażej dywersji hitlerowskiej idzie zakonspirowana na wyzwolonej ziemi polskiej działalność kierownictwa tzw. Armii Krajowej, które szkodzi wszelkimi sposobami poborowi do wojska, wzywa żołnierzy do dezercji i te dezercje organizuje, rozpowszechnia wśród wojska i ludności fałszywe pogłoski, wysyła ze swych szeregów skrytobójców do mordowania oddanych ojczyźnie oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego.

Ta wspólna zbrodnicza akcja agentury hitlerowskiej i nieprzebierających w środkach przywódców AK dała rezultaty.

W nocy z 12 na 13 października pod wpływem dywersyjnych agentur wrogów Wojska Polskiego z koszar 31 pułku piechoty zbiegło do lasu kilkuset żołnierzy.

Ta masowa dezercja z szeregów okryła hańbą cały pułk.

Wypadki pojedynczych i grupowych dezercji w innych jednostkach wojska dowodzą, że hitlerowsko-akowska agentura działa niezmordowanie na szkodę narodu polskiego i Rzeczypospolitej.

Oficerowie, żołnierze!

Wspólnym wysiłkiem i bezwzględnym działaniem musimy położyć kres działalności wrogich agentur, położyć kres dezercji hańbiącej sławne tradycje Wojska Polskiego.

Rozkazuję:

1. Aresztować i oddać pod sąd oficerów 31 pułku piechoty winnych zbrodniczego niedbalstwa i dopuszczenia do działalności wrogich agentur w pułku.
2. Rozformować 31 pułk piechoty, a podoficerów i żołnierzy uznać moralnie współwinnymi dopuszczenia do masowej dezercji ich kolegów w pułku. Numer 31 pułku piechoty wykreślić jako zhańbiony z rejestrów Wojska Polskiego.
3. Dowódcę dywizji, płk. Meldera, zdjąć z zajmowanego stanowiska i oddać pod sąd za dopuszczenie do upadku dyscypliny w dywizji.
4. Dezerterów i agitatorów do dezercji bezlitośnie karać śmiercią przez sądy wojskowe.
5. Surowo karać przez sądy wojskowe tych wojskowych, którzy wiedzieli o działalności wrogich agentur w wojsku lub zamierzonej dezercji i nie donieśli na czas właściwym władzom.

Rozkaz niniejszy odczytać przed frontem wszystkich jednostek Wojska Polskiego.

Za ścisłe wykonanie rozkazu czynić osobiście odpowiedzialnymi, według surowego prawa wojennego, dowódców wszystkich stopni i ich zastępców do spraw polityczno-wychowawczych oraz sędziów i prokuratorów sądów wojskowych.

Zastępca naczelnego Dowódcy WP do Spraw Polityczno-Wychowawczych
A[leksander] Zawadzki
Naczelny Dowódca Wojska Polskiego
wz. Z[ygmunt] Berling, gen. dyw.
Szef Sztabu Głównego WP
B[olesław] Zarako-Zarakowski, gen. bryg.
CAW, III-4/91, s. 12.

Zarządzenie naczelnego prokuratora WP dla prokuratorów 1, 2 i 3 armii, 1 korpusu pancernego i garnizonów: lubelskiego, białostockiego i rzeszowskiego, w sprawie wykonywania wyroków kary śmierci. Ściśle tajne. Lublin, 9 października 1944 roku

Mimo moich wskazówek o sposobie wykonywania wyroków kary śmierci w ostatnim tygodniu miały miejsce dwie ucieczki skazanych na karę śmierci w czasie wykonywania wyroków.

W związku z powyższym rozkazuję, by do wykonywania wyroków śmierci wydzielony był specjalny pluton egzekucyjny w składzie ośmiu ludzi pod dowództwem oficera.

Skazanych na karę śmierci należy przewozić na miejsce wykonywania wyroków ze związanymi rękoma i nogami.

Pożądanym byłoby wykonywać wyroki w lesie, w każdym razie z dala od miejsc zaludnionych.

Po przyjeździe na miejsce wykonania wyroku należy rozwiązać skazanym przed rozstrzelaniem tylko nogi, przy czym według obowiązujących przepisów należy przywiązywać ich do drzewa i tylko w takim położeniu wykonywać wyroki.

Wykonanie wyroków śmierci winno się odbywać tylko w dzień lub wieczorem, ale nigdy w porze nocnej. Przy wykonywaniu takich wyroków bezwzględnie winien być obecny prokurator, a przekazywania tych czynności innym osobom kategorycznie zabraniam.

Naczelny Prokurator WP
J[an] Mastalerz, płk

CAW, III-4/951, s. 102.

RELACJE

Przez granicę, za Bugiem

W rozdziale autorzy odnoszą się do dwóch granic wschodnich Polski: granicy II RP sprzed 1939 roku i nowej granicy ustanowionej na linii Bugu. Część miast polskich, które wymieniają, relacjonując trasę swojego przejazdu, znalazła się po 1945 roku poza terytorium Polski − przyp. red.

JÓZEF DUBIŃSKI

6 kwietnia 1944 roku dywizja załadowana została na wagony i ruszyliśmy na front. […]

Do naszego wagonu przychodził były nasz dowódca Michał Mickiewicz i uczył nas pieśni przedwojennych. […]

Ze stacji Darnice − przez Dniepr − przejechaliśmy do Kijowa. Kijów, w stosunku do innych miast, nie był mocno zniszczony. Przejechaliśmy przez to miasto, nie zatrzymując się na jakiś dłuższy postój. Kierowaliśmy się na Żytomierz.

W Żytomierzu zatrzymaliśmy się na parę godzin. Przy okazji zwiedziliśmy cmentarz polski oraz część miasta w pobliżu dworca i stację towarową. Podziwialiśmy głęboki lej po wybuchu dziesięciotonowej bomby. Z Żytomierza, już bez zatrzymywania się, przejechaliśmy Sarny, Równe, Dubno. Te trzy ostatnie miejscowości traktowaliśmy jako miasta polskie. Punktem docelowym były Kiwerce, do których dotarliśmy 4 maja o świcie.

W chwilę po przybyciu do strefy przyfrontowej pociąg zatrzymał się tuż przed dworcem, w lesie, ponieważ kilka niemieckich eskadr leciało na Równe. Pierwsze zetknięcie się z hukiem armat przeciwlotniczych, wybuchem bomb lotniczych, wyciem samolotów bojowych… Zetknięcie się z tak bliskimi działaniami wojennymi wywołało w nas przerażenie. Tym bardziej że każdą eskadrę samolotów

niemieckich witały baterie przeciwlotnicze, ustawione wokół węzła kolejowego w Kiwercach. Uciekliśmy z wagonów do lasu i kryliśmy się za grubymi pniami drzew.

Po uspokojeniu się nalotów, nad samym ranem wjechaliśmy na właściwą stację Kiwerce. Spotkało nas tu coś bardzo przykrego. Otóż, kiedyśmy wjeżdżali na prawy tor, na lewym torze stał już pociąg − zakratowany podobnie jak ten, w którym nas cztery lata wcześniej wieźli na Sybir − a obok wagonów, po obu stronach, co parę kroków stali sołdaci z karabinami gotowymi do strzału. Po chwili spostrzegliśmy, że za kratami w tych zamkniętych wagonach jedzie wojsko polskie z orzełkiem w koronie na rogatywkach. Wyskoczyliśmy z naszych wagonów i pytaliśmy sołdatów, kto to jest. Wyjaśniono nam, że to polscy faszyści. Gdy chcieliśmy z nimi porozmawiać, szybko podpięto parowóz, co nie trwało dłużej niż pięć minut, i już pociąg odjechał na wschód. […]

Po takich przeżyciach, około godziny szesnastej podstawili nasze wagony przy rampie – do rozładunku. Wieczorem tego samego dnia pułk wymaszerował na Przebraże, a właściwie za Przebraże, do lasu, gdzie rozbito namioty […].

Mnie i pięciu kolegów pozostawiono jeszcze na kilka dni na stacji towarowej − do pilnowania siana w belach, które przywieźliśmy ze sobą w transporcie dla naszych koni. […] Koczowaliśmy na tej stacji w schronie z ułożonych beli siana co najmniej trzy tygodnie. Przez ten czas nawiązaliśmy kontakt z miejscową ludnością polską, od której można było kupić białe bułki i mleko, jeżeli się oczywiście miało ruble. Możliwość zakupu nadarzyła się już parę dni po naszym zainstalowaniu się na stacji.

Pewnego poranka podstawili pod rampę magazynu kilka wagonów amerykańskiej wódki. Dwóch z nas poszło pomóc

Ruskim rozładować te wagony. Kiedy zobaczyliśmy, jak postępują rosyjscy żołnierze, popróbowaliśmy tak samo. Korzystając z nieuwagi wartownika, wzięliśmy po cztery butelki wódki, zanieśliśmy do naszego schronu, tam schowaliśmy wódkę i wróciliśmy do rozładunku. Druga podobna próba zakończyła się groźniej. Kiedy w drodze powrotnej przechodziłem z wódką przez dziurę w płocie, zauważył mnie strażnik rosyjski, Kozak, i zaczął za mną strzelać. Jakoś udało mi się szczęśliwie uciec, ale więcej już tam nie wróciłem. Zaraz na drugi dzień sprzedałem te 8 butelek za 800 rubli. Połowę kwoty od razu wysłałem mamie na Sybir, a za pozostałe 400 rubli prawie każdego dnia tu, w Kiwercach, a potem do końca pobytu w Przebrażu kupowałem sobie po dwie bułki i litrze mleka, które przynosiły pod nasz obóz gospodynie z Przebraża.

[…] W Przebrażu kwaterowaliśmy do 19 lipca 1944 roku. W tym okresie odbywały się normalne ćwiczenia i przygotowania do wymarszu na pierwszą linię frontu. Między innymi mieliśmy ćwiczenia z udziałem czołgów, które przejeżdżały przez nasze okopy, a myśmy rzucali w nie granaty zaczepne.

W tych lasach, na wielkiej polanie odbył się pokazowy proces z udziałem całej naszej dywizji. W procesie tym sądzono sierżanta […], rocznik [19]25, i plutonowego […], może o dwa lata starszego […]. Obu za dezercję. Sierżant tłumaczył się, że nie planował dezercji, chciał jedynie odwiedzić ciotkę swoją w Równem, która wróciła […] z Syberii, i zabrał ze sobą kolegę […]. W Równem złapała ich na dworcu żandarmeria wojskowa i nie było tłumaczenia. Sąd polowy skazał sierżanta na karę śmierci przez rozstrzelanie, plutonowego zaś na 10 lat więzienia. […]

W tym pokazowym procesie oskarżano również sześciu chłopców z naszej kompanii i podporucznika […] z 1. kompanii piechoty. Ich przewinieniem była wymiana naszych koni mongołów[1] na tutejsze koniki ze wsi Jeziorko. Wymiany tej dokonano z udziałem przedstawiciela Przebraża u najbardziej dokuczliwych Ukraińców. Zrobiono to w dobrej intencji, na korzyść naszej kompanii, chcąc uwolnić nas od koni, za którymi na gorszych drogach musieliśmy sami wozy pchać. Transakcji dokonano pod okiem podporucznika […], z udziałem chłopców z rocznika [19]18−[19]19, którzy przyszli do naszej kompanii z 1. Dywizji po bitwie pod Lenino. Na drugi dzień po wymianie przyjechała do naszej kompanii rosyjsko-polska komisja, postawiono nas w dwuszeregu i polecono gospodarzom, aby poznali tych żołnierzy, którzy w tej wymianie brali udział. Sądzono ich z wolnej stopy, a proces odbył się w tym samym dniu, kiedy wydano wyrok na sierżanta i plutonowego. Było to gdzieś pod koniec czerwca 1944 roku […]. Dla naszych chłopców zapadł wyrok po trzy lata karnej kompanii, podporucznik […] dostał półtora roku w zawieszeniu. Karną kompanię rzucili na most przy forsowaniu Wisły pod Puławami − wszyscy zginęli, z wyjątkiem jednego […], który miał przestrzeloną rękę. Po kilku dniach, a było to na przyczółku magnuszewskim, wezwano go do sztabu i już więcej nie wrócił do naszej kompanii. Plotka krążyła, że ranę zadał sobie sam i rozstrzelano go za symulowanie.

W marszu na Kiwerce (1944). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

[…] Egzekucja sierżanta odbyła się kilka dni po skazaniu. Na łące wśród lasów Przebraża przywiązano go do olchy, nas ustawiono po przeciwnej stronie. Odczytano wyrok, który miał służyć jako przykład dla każdego kto pokusi się o dezercją. Próbowano zorganizować ochotników do wykonania tej egzekucji, ale nie było chętnych. Wywołali więc sześciu z żandarmerii i po rozkazie: „Salwa pal!” skazany osunął się na ziemię. Tuż przed strzałami zdążył krzyknąć: „Precz ze Stalinem! Niech żyje Polska!”. To jeszcze jedno smutne wydarzenie pozostawiło w naszych sercach żal, że musiał zginąć niewinny dwudziestoletni młodzieniec.

Przed wyruszeniem na pierwszą linię frontu zorganizowano nam spotkanie w miasteczku Zofiówka z tak zwaną Krajową Radą Narodową. Uroczystość odbyła się z dużą pompą. Nie pamiętam już, kto z byłych władz brał w niej udział.

Na drugi lub trzeci dzień po spotkaniu wyruszyliśmy z przebraskich lasów na przedpole frontu. Okopaliśmy się na cmentarzu, między grobami, i na drugi dzień ruszyliśmy do natarcia, a po sforsowaniu Bugu, pod wieczór w natarciu przeszliśmy w niedalekiej odległości od Chełma − widać było wieże kościołów i dachy kamienic.

DANIEL RUDNICKI

Wreszcie w ostatnim tygodniu kwietnia już po raz drugi wyjechałem z baonem z Sielc w strefę przyfrontową; tym razem przez Woroneż, Biełgorod, Kijów.

[…] W pierwszych dniach maja [19]44 roku wraz z batalionem wylądowałem w Kiwercach. Początkowo rozlokowano nas pięć kilometrów od stacji kolejowej, na polanie obok tartaku we wsi Siekierzyce, pod lasem, w którym stała brygada westerplattowców pułkownika Nalutina[2], skąd po jakichś dwóch tygodniach kompanię moją skierowano do wsi Elżbietyn, w pobliżu dużej kolonii osadników wojskowych, spalonej kilka miesięcy temu przez banderowców, której większość mieszkańców uratowali partyzanci Kowpaka[3]. Tu z plutonem platerówek stanowiliśmy ochronę składu amunicyjnego 3. Dywizji Piechoty.

Okres kiwerecko-elżbietyński nie był łatwy, jeżeli chodzi o warunki prowadzenia pracy politycznej − ze względu na materiał ludzki batalionu i zagadnienia, które narzucała ówczesna sytuacja; zagadnienia niełatwe do rozstrzygnięcia

nawet z perspektywy dnia dzisiejszego. Oj, przeszedłem tam nie lada szkołę pracownika politycznego…

Jeszcze w drodze z Sielc do Kiwerc wygłaszałem w pociągu pogadankę o reformie rolnej. W „wągrówce”, czyli konspekcie ułożonym przez Mieczysława Wągrowskiego[4], dużo miejsca poświęcało się przedwojennej sytuacji ekonomicznej ludności pracującej. Mówiło się o znanych − wydawałoby się − i niepodlegających dyskusji faktach: dzieleniu zapałek na wsi na cztery części, masowym bezrobociu, wyzysku obcego kapitału, regresie w produkcji…

Słuchacze moi byli to albo całkowicie bierni chorzy, albo starsi już żołnierze, po pięćdziesiątce, którym było wszystko jedno co do nich mówiono, albo Ślązacy i łodzianie z Wehrmachtu, albo przedwojenni podoficerowie, osadnicy wojskowi na Kresach. Chcąc uplastycznić konspekt, dodałem od siebie kilka faktów, które miały świadczyć o niskiej stopie życiowej robotnika, o braku przyszłości dla inteligentów i tym podobne, i… przebrałem miarę!

Zareagowali przede wszystkim – o dziwo! – byli żołnierze Wehrmachtu, którym w sukurs przyszli byli osadnicy:

− Komu pan takie rzeczy opowiada, panie plutonowy! Gdzie pan to widział? Kto to panu opowiedział? Ale pan nas buja!

Tak mniej więcej skwitowano moją pracę uświadamiającą. Mało tego, temperatura dyskusji w pędzącym pociągu w pewnej chwili tak się podniosła, że nie na żarty zacząłem się zastanawiać, czy podwładni nie wyrzucą mnie zaraz z wagonu przez rozsunięte drzwi. Mogłem wprawdzie po pogadance powiadomić o wszystkim oficera Informacji[5], ale nie byliśmy jeszcze na tym etapie, poza tym nigdy nie uciekałem się do tego rodzaju środków […]. Poniosłem

porażkę. Pozostało tylko wyciągnąć z niej wnioski, aby uniknąć podobnej sytuacji w przyszłości.

Drugim twardym orzechem do zgryzienia były zagadnienia ukraińskie: ostre, bolesne, niełatwe. Staliśmy przecież na terenach, na których grasowały bandy banderowców. Obok było Rożyszcze[6]. Co tu mogło pomóc opowiadanie, że są rozmaici Ukraińcy – dobrzy i źli, co dałoby rozwodzenie się nad braterstwem ludów słowiańskich lub nad tym, co dziś nazywamy internacjonalizmem proletariackim? Kto by w to uwierzył, kiedy wystarczyło oddalić się 10 kilometrów od domu, aby nazajutrz zostać znalezionym z odrąbaną głową, wykłutymi oczyma i znakiem tryzuba na czaszce.

Trudno, nie mogłem poprzestać na odfajkowaniu w planie wyszkolenia politycznego pogadanki według konspektu. Zresztą, przyznaję, sam nie bardzo wierzyłem w to, co napisano w konspekcie, a trudno kogoś przekonywać, jeśli się samemu nie jest przekonanym.

Tak więc któregoś dnia pojechałem konno do Zarządu Polityczno-Wychowawczego w Chopniowie[7], […] aby powiedzieć autorom nadsyłanych konspektów, że żołnierze nie rozumieją, czy też nie chcą zrozumieć „przyjaźni” i „bojowego sojuszu narodów słowiańskich”. Może na górze o tym nie wiedzą, a zatem dobrze będzie otworzyć im oczy.

W Chopniowie nie udało mi się znaleźć pułkownika Wągrowskiego, wobec tego zaszedłem do podporucznika Karpińskigo […], do którego niebawem zaszedł jeszcze podporucznik Korta. Jak można było się spodziewać, na mój jeden argument rozmówcy przytoczyli 15 kontrargumentów: że oprócz banderowców wyrzynających Polaków, są i partyzanci Kowpaka, którzy ratują życie tym samym Polakom, że to skutek przedwrześniowych pacyfikacji Małopolski Wschodniej, że tradycje

Grunwaldu… że to taki sam faszyzm, jak niemiecki hitleryzm, że oprócz ukraińskich faszystów trzeba też widzieć ukraińskich antyfaszystów. Tu dotknięto zagadnienia, którego nie zdołałem przetrawić do dnia dzisiejszego.

− Jak to – krzyknąłem prawie – a dlaczego nie mówimy tego samego w odniesieniu do Niemców? Że są Niemcy faszyści i Niemcy antyfaszyści, że jest Adolf Hitler i Ernst Thälmann[8], że obok ośmiu milionów hitlerowców, w ostatnich wyborach prezydenckich pięć i pół miliona [Niemców] głosowało na komunistów. Dlaczego?

Korta równie zapalczywie odparł:

− No i… gdzie macie tych Niemców komunistów? Gdzie macie jakąś partyzantkę niemiecką? Może w komitecie Freies Deutschland[9], z feldmarszałkiem Paulusem[10] na podmoskiewskiej daczy? Niemcy zawsze byli wrogami słowiańszczyzny i to jest fakt historyczny!

Karpiński – były członek „Życia [Technicznego]” na Politechnice Warszawskiej – był mniej apodyktyczny i raczej łagodnie stwierdził:

− Sprawa niemiecka jeszcze nie dojrzała. Może i o niej będziemy kiedyś mówić, ale dziś chodzi o jedno, o zmobilizowanie wszystkich sił przeciwko faszyzmowi niemieckiemu!

[…]

W moim niedużym oddziale widziałem niekiedy oznaki zapowiadające późniejsze bezkompromisowe starcie. Na przykład taki fakt. Mieliśmy wtedy w batalionie dużo żołnierzy z byłej 27. Dywizji AK. Między innymi do mojej kompanii przydzielono podporucznika „Ćwika” [Józef Malinowski], szczupłego bruneta bez ręki, chodzącego w przedwojennym mundurze oficerskim. Swojego nazwiska, podobnie jak inni akowcy, nie używał. Dlaczego? Nie wiem.

Słuchał kiedyś, jak wygłaszałem pogadankę o naszych granicach, w której naturalnie mowa była także o linii Curzona. Po pogadance „Ćwik” odwołał mnie na bok i błyskając bandyckimi oczyma, wyrzucił z siebie:

− Czyli że trzeba Wilno i Lwów Rosji oddać, bo to nie są polskie miasta? Tak? Pan tam kiedyś był? Niech mi pan powie, pan jest Polakiem?

I co miałem zrobić, oddać go Informacji? Postępując w ten sposób, spowodowalibyśmy rozlecenie się Korpusu w ciągu dwudziestu czterech godzin.

[…]

Od razu po przybyciu do Kiwerc przydzielono nam co najmniej pluton dziewcząt z baonu kobiecego. Ależ bojowe to były niewiasty! Widziałem kiedyś taką scenkę w Elżbietynie, przez którą nabrałem szacunku dla naszych kobiet żołnierzy. Gdzieś w czerwcu na polance przed wejściem do składu amunicyjnego trauguttowców[11] pojawiła się grupa oficerów z dowódcą dywizji generałem [Stanisławem] Galickim − zamierzali chyba obejrzeć skład. Grupę zatrzymał tradycyjny okrzyk fizylierki na warcie:

− Stój, kto idzie! Zbliżyć się do podania hasła!

A tu ogólna konsternacja, bo nikt nie zna hasła! Co robić? Dziewczyna powtarza głośniej:

− Hasło!

Znów milczenie. Fizylierka nie zlękła się generała ze świtą i na jakiś kwadrans położyła na ziemię całe towarzystwo. Dopiero ktoś, kto chyba widział z daleka całą scenę, prawdopodobnie zaalarmował dowódcę warty, który nadbiegł i wyzwolił generała od groźnej niewiasty z zarepetowaną pepeszą.

[…]

Dwudziestego któregoś lipca batalion przejechał Bug pod Dorohuskiem, minął Chełm i zatrzymał się kilka kilometrów

przed Lublinem – dalej nie było wolnej drogi. Toczyła się ofensywa i tory były do niemożliwości zatłoczone transportami oddziałów liniowych. Natychmiast po zatrzymaniu się pociągu kapitan Angerman poszedł na stację zorientować się, kiedy ruszymy. Niebawem wrócił. Dowiedział się, że nie ma mowy, abyśmy stąd przed wieczorem wyjechali.

Było pogodne letnie południe. Ktoś z kolegów zaproponował, by pójść zwiedzić pierwsze duże miasto za Bugiem, w którym znaleźliśmy się w Polsce. Dowódca baonu nie wyraził sprzeciwu i w piątkę poszliśmy do Lublina.

Oglądaliśmy śródmieście i ludzi. Ci rozmaicie reagowali na nasz widok. Niektórzy okazywali niepohamowaną radość, inni rezerwę, a jeszcze inni nawet wyraźną obcość − zwłaszcza młodzieńcy w butach oficerkach, ubrani w długie po kolana i obficie wywatowane marynarki sportowe.

Po blisko godzinnym spacerze ulicami znaleźliśmy się ni to na przedmieściu, ni to na podmiejskim osiedlu, gdzie na żółtej, czarno obramowanej tablicy przeczytaliśmy napis: „Majdanek”. Co ta nazwa oznaczała – tego nikt wtedy nie wiedział […].

Poszliśmy, kierowani zwykłą ciekawością, wzdłuż długiego wysokiego płotu z desek, najeżonego drutem kolczastym, z wieżami wartowniczymi co pewien czas – identycznymi zresztą, jakie oglądałem tyle lat temu w Komi, na północy [ZSRR]. Ten obóz był jednak zupełnie czymś innym.

[…]

Ludzie, którzy oglądali to piekło, reagowali bardzo różnie. Obok nas, żołnierzy ze Wschodu, wstrząśniętych i niemal nieprzytomnych na widok tych dowodów świadomego,

rozmyślnego okrucieństwa ludzkiego, kręciły się paniusie, wyglądające na wielce pobożne gospodynie domowe, które korzystając z okazji – „jutro postawią warty i może już być za późno!” – grzebały w stosie zelówek pozostałych ze zniszczonego, starego obuwia pomordowanych i wybierały co lepsze kawałki skóry lub też fachowo obmacywały w innym baraku koszulki dziecięce, te same, które zdjęto z maleństw idących do krematoriów!

I może to było najstraszliwsze! Ta jakaś niewytłumaczalna obojętność wobec seryjnego, milion razy powtórzonego morderstwa! Obojętność, ukazująca straty niewymierne, ale chyba nie mniejsze od innych, które zaobserwowaliśmy po powrocie zza wschodniej granicy. Straty w sposobie myślenia ludzi pod okupacją i w ich postawie wobec losu innych.

Po tym pobycie na Majdanku − w pierwszym dniu powrotu do kraju po czteroletniej nieobecności − nastąpił we mnie wyraźny zwrot w myśleniu. Wystarczył moment, krótki szok, abym jasno dostrzegł głębszy sens istnienia żołnierzy 1. Armii.

Po obozie oprowadzał nas jeden z byłych więźniów, ubrany jeszcze w obozowy pasiak. W pewnej chwili doprowadził nas do − stojącego daleko w polu − samotnego bloku z czerwonej cegły, wysokiego na sześć metrów, podobnego do pieca cegielnianego. Staliśmy przed krematorium. Zatrzymaliśmy się akurat na wprost podwójnych, ciężkich, żeliwnych drzwiczek, przed którymi w ziemi wykopany był dół przykryty kratą, do którego spadał popiół, wysypujący się z paleniska przy otwieraniu drzwiczek. Mimo woli zajrzałem przez kratę w dół – zobaczyłem coś dużego, białego, długiego. Co to mogło być? Nachyliłem się nad kratą, przyjrzałem się dokładniej. Pod kratą w popiele leżała pokrwawiona, okopcona,

okręcona różowymi zwojami jelit dolna połowa ciała ludzkiego! Odpowiadając na nasze nieme pytanie: co to znaczy? – przewodnik zaprowadził nas kilka metrów dalej i wskazał przytwierdzoną nitami do bocznej ściany pieca niewielką mosiężną tabliczkę: „paszport techniczny” maszyny do palenia ludzi. Jakaś fabryka w jednym z miast Nadrenii, pomiędzy innymi danymi technicznymi − określiła „zdolność produkcyjną” pieca krematoryjnego na 40 trupów na „jeden cykl”. Ponieważ *Leichen Kommandoführer*[12] starał się przekroczyć normę, pakował do pieca więcej niż 40 ciał. Pakował tyle, aby tylko można było drzwiczki zamknąć. Za którymś razem, gdy ponadplanowy trup wystawał z paleniska i nie dało się zamknąć drzwiczek, po prostu przerąbano go toporem w pasie, a odrąbane nogi, biodra i brzuch spadły do popieliska przed piecem…

[…]

Z Lublina batalion dojechał do Garwolina i rozlokował się we wsi Zawady, pięć kilometrów od miasta. Tam też niebawem po raz któryś z rzędu stwierdziłem, że w kraju ludzie − pod wpływem strasznej lekcji okupacji − nie stali się aniołami, jak sądziłem przez cztery lata pobytu w Rosji…

BOLESŁAW DAŃKO

Podczas gdy nasze rodziny jadą na Ukrainę, my wkraczamy do Chełma i Lublina, serdecznie witani przez rodaków.

Gdy maszerowaliśmy przez Chełm, zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Na chodnikach stało mnóstwo ludzi z kwiatami, papierosami i słodyczami, którymi obdarowywali żołnierzy. W pewnym momencie jakiś może siedmioletni chłopak wbiegł na jezdnię i wpadł pod koła samochodu wiozącego generała Berlinga.

Kierowca willysa, plutonowy Maligranda, nie zdążył zahamować. Generał natychmiast wysiadł z wozu, wziął dziecko na ręce. Chłopiec miał prawdopodobnie uszkodzone nogi. W tym momencie przybiegła z płaczem jego matka. Powstało małe zamieszanie. Wina była po stronie poszkodowanego, ale radosny nastrój powitania został na chwilę zakłócony.

Lublin również witał nas owacyjnie. Szybciej biły serca wkraczających żołnierzy tułaczy i łzy kręciły się w oczach, bo po tylu przeżyciach, poniewierkach, głodzie i chłodzie wracaliśmy do kraju jako żołnierze i nieśliśmy wolność.

W czasie pobytu w Lublinie znalazłem się też na zamku − obraz mam do dziś przed oczyma. W celach leżały kupy rozkładających się trupów. Prawdopodobnie oprawcy spędzali do jednego rogu celi wszystkich więźniów, a następnie otwierali ogień z broni maszynowej. Pomordowani leżeli jeden na drugim. Część z nich, na pewno tylko ranna, została uduszona ciężarem innych. Powykrzywiane twarze, krew, trupi zaduch – makabryczny widok. Nasi saperzy wynosili ciała na noszach, układali w rzędach, a miejscowa ludność rozpoznawała krewnych i znajomych. Był płacz, lament i wołanie o pomstę do Boga.

[…]

Droga do Warszawy prowadziła przez nieduże miasteczko Ryki, które pewnego sierpniowego dnia znalazło się w sporym niebezpieczeństwie, z czego nie zdawali sobie sprawy jego mieszkańcy jak i polscy, i radzieccy żołnierze.

Tego dnia ruch samochodowy na szosie Lublin−Warszawa był bardzo duży. W kierunku frontu jechały samochody ciężarowe z amunicją artyleryjską, bombami i benzyną. Z przeciwnej strony też sunęła kolumna aut. W miasteczku powstał potężny zator, bo kierowcy zatrzymywali pojazdy, by kupić u przydrożnych handlarzy papierosy. Na długości

kilometra stały samochody, blokując przejazd, a nawet przejście piechotą. Wystarczyłby jeden niemiecki samolot i z miasteczka niewiele by zostało, nie mówiąc o stratach w pojazdach i ładunku.

Była godzina dwunasta, gdy do korka dojechał samochód generała Berlinga, który natychmiast zorientował się w sytuacji. Wysiadł z samochodu i począł regulować ruchem, by jak najszybciej rozładować korek. Po kilkunastu minutach zrobiło się trochę luźniej na jezdni, lecz przejazdu w dalszym ciągu nie było. Niezdyscyplinowani kierowcy nasi i Armii Czerwonej co chwilę nadjeżdżali i zamiast zatrzymać się za stojącym wozem, zatrzymywali się obok, tarasując w ten sposób cały przejazd.

Tak w pewnym momencie postąpił kierowca polskiego samochodu ciężarowego z moździerzem. Mimo danego przez generała znaku − kierowca jechał dalej. Dysponentem wozu był młody chorąży, siedzący obok kierowcy. Brak zdyscyplinowania wyprowadził generała z równowagi. Podszedł więc do samochodu, otworzył drzwi i powiedział: „Ty sk…synu, gdzie jedziesz!”, po czym przyłożył chorążemu kilka razy. Żołnierz tylko zasłaniał się rękami. Kierowca miał szybki refleks, natychmiast włączył wsteczny bieg i się wycofał, bo jeszcze miał taką możliwość. Za chwilę w podobnej sytuacji znalazł się samochód Armii Czerwonej. Pojazd też się nie zatrzymał, mimo wyraźnego sygnału generała. Ten wydobył pistolet i oddał kilka strzałów. Wystraszony kierowca szybko zaczął się wycofywać. Na jezdni obok generała znalazł się, też przejeżdżający, pułkownik Armii Czerwonej. Natychmiast włączył się do pomocy generałowi. Po godzinie zator został rozładowany i samochody ruszyły w obu kierunkach. Obserwujący rozwój sytuacji żołnierze Armii Czerwonej, głośno mówili: „Wot charoszyj wasz gienierał”[13].

JAN PROROK

W końcu października 1944 roku również i naszej czternastoosobowej grupce „upolitycznionych” wydano *putiowki*, czyli rozkazy wyjazdu na front. Jechaliśmy śladami naszych kolegów z turnusu, przez Moskwę i Mińsk do Lublina, z obowiązkową przerwą w podróży na zwiedzanie Moskwy.

Zaopatrzeni na drogę w suchy prowiant z *dopołnitielnym pajkom* i pierwszą oficerską gażę, nie czuliśmy się syci. Kupowaliśmy więc na stacjach od białoruskich bab smakowite i tutaj żytnie, razowe lepioszki − takie same, jak w Riazaniu za szkolną latryną. Rosja – wiadomo – ogromna i różnorodna, ale lepioszki w Komi, Riazaniu i Smoleńsku takie same. Wszędzie trącą biedą.

Radość z powrotu do kraju wśród naszej czternastki była ogromna. Już od Mińska staliśmy niemal wszyscy przy oknach, rozpłaszczając nosy o zapocone szyby, aby nie uronić niczego z mijanych widoków. Aby uchwycić wzrokiem to jedyne miejsce […] znak lub linię oraz czas przekroczenia granicy polsko-radzieckiej z 1939 roku. I aby od tego momentu […] zacząć liczyć czas i rozpocząć nowe życie […]. Nawet nasz szkolny kolega, czterdziestoletni Józef Macewicz z Żytomierza, Polak i nauczyciel języka polskiego w tamtejszym gimnazjum, który nigdy Polski nie widział, zachowywał się jak my. Dla niego kraj ojców był swego rodzaju egzotyką, wielką niewiadomą, znaną – być może – tylko z opowiadań babuni. My wracaliśmy do siebie, jakby na stare śmieci.

Było – pamiętam – wczesne popołudnie. Październikowe słońce w swojej codziennej wędrówce wisiało jeszcze wysoko na bezchmurnym niebie, gdy nasz pociąg, zdążający z Mińska do Brześcia nad Bugiem, zatrzymał się na jakiejś stacji.

– Stołpce! – rozległo się w wagonie. – Jak Boga kocham, Stołpce! – powtórzył jeden z kolegów. − Tędy nas wywożono do Rosji w 1940 roku. Pamiętam! To przedwojenne polskie miasto i graniczna stacja kolejowa po polskiej stronie – wykrzyknął radośnie. − Tędy nas wieźli z Polski.

Wszystkie oczy, jak na komendę, utkwiły w oknach wagonu od strony peronu. Nie wytrzymałem. Byłem najbliżej drzwi, wyskoczyłem na peron i zadarłem wysoko głowę, starając się dojrzeć i odczytać nazwę stacji na głównym budynku.

− Rzeczywiście Stołpce! – krzyknąłem i ja po krótkiej rozmowie z kolejarzami w polskich uniformach, gdyż główny budynek stacyjny przesłaniały wagony stojące na sąsiednich torach.

„Boże mój, toć to już Polska!… Jestem już w Polsce, o której marzyłem!” – przemknęło mi przez myśl. I nawet nie dostrzegłem z okien wagonu miejsca w terenie lub znaku na polu, którędy przebiegała nasza polska granica przed zaledwie pięciu laty. Pięć długich lat czekałem na tę chwilę…

Serce waliło mi jak młotem. Czułem je w piersiach, skroniach i oczach. Świat pulsował i wirował wokoło. Chciało się skakać i krzyczeć w głos. Spojrzałem dziękczynnie w niebo, zaczerpnąłem głęboko powietrza, a nieproszone łzy radości spłynęły mi po policzkach…

− Jestem już w Polsce! – wyrwało mi się bezwiednie drugi raz tego samego dnia, gdy pociąg zjeżdżał z mostu w Brześciu nad Bugiem. […]

Szum pociągu, zdążającego na południe, mącił do reszty moje rozdygotane myśli: z Kubania na Wolę, z Sielec do Ważju i Stobnu. […] Pomyśleć tylko − przed 18 miesiącami byłem niczym, „kułackim synem”, lesorubem skazanym na

zagładę… A dziś jako współgospodarz ojczystej ziemi spoglądam na nią z góry, z okna wysokiego wagonu i jadę objąć oficerskie stanowisko w wojsku… Nie do wiary?! A jednak to PRAWDA […].

Zamyślony i wpatrzony w jesienny krajobraz polesko-lubelskiej równiny, dojechałem do Lublina, który w owym czasie był stolicą Polski. Tu zbiegały się linie kolejowe i telefoniczne z terenów wyzwolonych spod okupacji niemieckiej. Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego mieściło się w centrum miasta, przy Krakowskim Przedmieściu, więc tam – zgodnie z rozkazem wyjazdu wydanym w Riazaniu – skierowaliśmy „oficerskie” kroki.

[…]

Po krótkiej odprawie w gmachu rządu i sztabu – na którą przyszedł i przywitał się z każdym z nas generał Aleksander Zawadzki – wręczono nam skierowania do frontowych jednostek Wojska Polskiego na wakujące stanowiska.

„Wygrałem los na loterii!” – myślałem, idąc później z kolegą Macewiczem na ulicę Leśną w Lublinie do 1. pułku samochodowego, do którego obaj zostaliśmy skierowani na podobne stanowiska. Niczego lepszego nie mógłbym sobie nawet wymarzyć. Jednostka samodzielna, zmotoryzowana, podległa bezpośrednio naczelnemu dowództwu i… stacjonująca w stolicy! Czy mógłbym to przewidzieć?!

[…]

Zbliżało się Święto Zmarłych 1944 roku. Ja, świeżo upieczony podporucznik, absolwent renomowanej riazańskiej szkoły, jedyny oficer w batalionie mówiący na co dzień po polsku, skierowany na stanowisko zastępcy dowódcy batalionu – miałem początkowo wolną rękę na polu wychowawczym w batalionie. Toteż bez wahania 1 listopada zarządziłem zbiórkę całego batalionu i − w uzgodnieniu z proboszczem najbliższej parafii −

wprowadziłem trzy kompanie wojska do kościoła na sumę. W szyku zwartym, czwórkami, zajęliśmy środek świątyni a w czasie podniesienia – zgodnie z przedwojennym rytuałem wojskowym – prezentowaliśmy broń.

Ludzie płakali. Ksiądz długo mi dziękował za masowy i przykładny udział wojska w kościele, a żołnierze od tego dnia nazywali mnie „swoim chłopem", a nie jak z początku „przybłędą z Moskwy nasłanym".

Następnego dnia, w dzień zaduszny, odbyła się na Majdanku msza żałobna, z procesją za dusze pomordowanych. Moich wczorajszych żołnierzy też na niej nie zabrakło. […] Świeże zwały ludzkich kości, włosów, obuwia i odzieży, a także krematorium: z wózkami, hakami i stertami popiołów pochodzenia ludzkiego – zrobiły na nas wstrząsające wrażenie. […]

Dni mojej wojaczki w stołecznym Lublinie mijały dość szybko. Uzupełnianie szeregów wojskowych, szkolenie przyszłych kierowców i przygotowanie do wymarszu na prawdziwy front – wypełniały mi czas od rana do wieczora. Podobnie było w Sielcach, Riazaniu i Komi, tyle że teraz to ja wydawałem rozkazy, które ktoś wykonywał. […] Przestałem się martwić niewykonaniem norm, brakiem chleba, odzieży. Teraz to wszystko mi się należało!

[…]

Święta Bożego Narodzenia spędziłem z całym batalionem w przyfrontowym Białymstoku. Szkoliliśmy kierowców, robiliśmy krótkie wypady nad Narew, do frontowego Tykocina, ale wszędzie panowała cisza. Cisza przed burzą, która miała się rozpętać 12 stycznia [1945]. Dwie nowoczesne armie zaległy na przeciwległych brzegach Narwi i przygotowywały się w tajemnicy do ataku i odparcia.

[…]

W pierwszych dniach stycznia w Białymstoku odbyły się egzaminy dla kierowców wojskowych. Wypadły średnio, ale na pełny przydział samochodów do naszego batalionu musieliśmy jeszcze poczekać.

JÓZEF FRANCZAK

Znalezienie się na ziemi ojczystej w 1944 roku było radosnym przeżyciem − chociaż od stron rodzinnych w Stanisławowskiem dzieliła mnie spora odległość. Spotkania z rodakami w różnym jednak przebiegały nastroju. Witano nas, owszem, bardzo często z radością i wzruszeniem, ale czasem odprowadzano ponurymi i podejrzliwymi spojrzeniami. „Wprawdzie polskimi jesteście żołnierzami − mówiły te spojrzenia − ale polszczyzna waszych oficerów jakaś dziwna, orzełki nie te i w ogóle coś nie tak”.

Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy żołnierzy Armii Krajowej − tego dokładnie już nie pamiętam. Zdarzało się jednak dość często, że nasze patrole natykały się na patrole akowskie, stacjonujące na tym samym terenie, i wtedy dochodziło do rozmów. Koledzy z AK na ogół dobrze znali i rozumieli naszą sytuację, podobnie jak orientowali się w swojej − jeszcze trudniejszej. Wypytywali nas często o dowódców, sowieckich oficerów, o ich stosunek do polskich żołnierzy.

− Bo jeżeli jest zły − mówili − to my ich załatwimy!

Takie zdarzenia miały miejsce. Zdejmowali nam także „wrony” i wręczali orzełki z koroną. Najczęstsze spotkania miały miejsce wtedy, kiedy przebywaliśmy na terenie Lubelszczyzny. Rozmowy toczyły się nierzadko w knajpie, przy kielichu.

ANDRZEJ REY

Ostatnie miesiące mojej służby w AK to upalne dni końca lata, a później coraz krótsze dni października i jesienne słoty na początku listopada, kiedy pedałowało się godzinami pod wiatr, tnący lodowatym deszczem. Pomimo że już nas zalała jak powódź „zwycięska i wyzwolicielska" Armia Czerwona, w końcu sierpnia, a nawet jeszcze we wrześniu tliły się [w nas] jakieś nadzieje. Zgasły, gdy skapitulowało powstanie warszawskie.

[…]

Dopóki walczyła Warszawa, zdawało się nam, wbrew rozsądkowi, że jeszcze coś może się stać, że może alianci przyjdą nam z pomocą. Ale alianci dali zginąć samotnie Warszawie. Nie potrafili udzielić powstańcom pomocy ani zmusić do tego Sowietów stojących za Wisłą. Nie byliśmy już nikomu potrzebni i spisano nas na straty, tak jak spisano na straty powstanie warszawskie.

Na początku września była pierwsza duża wsypa. Na skutek aresztowania porucznika „Witalisa", zastępcy komendanta obwodu, musiał zniknąć z terenu prawie cały skład sztabu. W rezultacie musiałem przejąć po „Ołówku" obowiązki adiutanta, a „Oleńka" po „Sewerze" obowiązki oficera łączności. Do naszych dotychczasowych powinności doszły nowe, z odpowiedzialnością właściwą stopniom oficerskim, a zarówno „Oleńce", jak i mnie, brakowało galonów oficerskich, no i po prostu doświadczenia życiowego. Przecież oboje mieliśmy wtedy po niepełne dwadzieścia lat. Nie mnie sądzić, jak wywiązałem się z zadań. Robiłem, co mogłem i jak mogłem najlepiej, mając równocześnie świadomość, że i tak nie ma już nikogo innego do tej roboty. Nie było już motywacji. Ludzie byli zmęczeni latami wojny, zdezorientowani i nieufni. Czuło się to w każdej rozmowie, chociaż nikt tego nie formułował.

Rozkazy i dyrektywy naszego dowództwa też nie były jasne, nie dawały określonych celów działania, wyrażały tylko negatywny, defensywny stosunek do władzy ludowej, którą byli w terenie sowieccy komendanci wojenni i wszędzie obecne NKWD. Zaczęli sypać najpewniejsi nasi ludzie, bo nie znali sowieckiej mentalności. Trzeba było nieraz co kilka dni przeorganizowywać łączność w obwodzie: wyłączać skrzynki kontaktowe i uruchamiać nowe, chronić zagrożonych ludzi, zmieniać szyfry, neutralizować konfidentów. Czuło się coraz wyraźniej, że to, co robimy, to już tylko rozpaczliwe próby łatania rozsypującej się niepowstrzymanie sieci konspiracyjnej.

Od października mnożyły się aresztowania. Pokazały się też pierwsze oddziałki berlingowców, którzy werbowali po miasteczkach. Byli niby swoi, w polowych rogatywkach, ale przecież odrażająco obcy. Razili ludzi wyglądem, ostentacyjną agitacją, często upiorną ruską polszczyzną. Pierwszy raz spotkałem ich w Baranowie. Rozlepiali afisze i siedząc na platformie ciężarówki, śpiewali piosenkę, która miała słowa naszego hymnu narodowego, ale melodię ukraińskiej dumki: „Oj, ne chody Hryciu na toj wieczernyciu”[14]. […]

Na początku listopada wpadł kapitan „Sosna”, nasz komendant obwodu. Aresztowanie tego niezłomnego człowieka było dla nas prawdziwą katastrofą. Do czasu nowej nominacji zastępcą miał być jakiś starszy pan, kapitan w stanie spoczynku. Zameldowałem się u niego i po krótkiej rozmowie zorientowałem się, że on z konspiracji nic a nic nie rozumie; nawet nie wprowadziłem go w bieżące sprawy.

Byłem trochę puszczony samopas, gdy dostałem rozkaz zameldowania się u nowego komendanta obwodu, w gorzelni w Chorzelowie. Widziałem go tylko ten jeden raz

i nawet nie pamiętam jego pseudonimu. Był cichociemnym w stopniu kapitana, zrzuconym z Anglii na początku 1944 roku; niewysoki, silnie zbudowany brunet, o wyglądzie i sposobie bycia zawodowego oficera.

Przyglądał mi się uważnie, gdy składałem mu raport o stanie obwodu. Miałem wrażenie, że mój zachlapany błotem stary prochowiec, narzucony na bateldres, nie wydał mu się wystarczająco wojskowy. Prosiłem o zmianę przydziału, uzasadniając to tym, że prawdopodobnie jestem już spalony. Wyraził zgodę i kazał mi czekać na nowe rozkazy. Na końcu rozmowy pokazał mi rozkaz odznaczeniowy, w którym, poległy wiosną, Przemek Kowalczewski dostał pośmiertnie Krzyż Virtuti Militari, „Oleńka" Krzyż Walecznych, a ja, podchorąży „Majski" − Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami. Gdy kapitan gratulował mi odznaczenia, czułem w jego mocnym uścisku ręki odruch sympatii.

Nie doczekałem się nowego przydziału. Kilka dni później zabrał mnie na drodze pod Mielcem patrol NKWD i odstawił ciupasem do rzeszowskiego zamku. Kruszałem przez kilka dni w dużej i bardzo wilgotnej piwnicy – sam, jeśli nie liczyć licznej szczurzej rodziny. Gdy tylko pozwalała mi na to szczurza rodzinka, spałem na gołych deskach pryczy z rodzajem ulgi, że to, czego najbardziej się obawiałem, mam już za sobą. […]

Wiadomo było powszechnie, że oficerów AK wywożą bez gadania do „ojczyzny socjalizmu", a szeregowych wcielają do berlingowców. Sam zeznałem, że jestem kapralem podchorążym, co potwierdzili świadkowie, czyli siedzący ze mną w celi, do której zostałem przeniesiony na czas śledztwa. Ci ludzie znali mnie z Kedywu[15] jako „Dehowę". Ale kim jest podchorąży? Oficerem, czy nie − *ot wopros*[16]? Na tym utknęliśmy, chociaż wiadomo, że

kapral to podoficer, czyli *starszyj*. Nagle w tym impasie przypomniałem sobie porzekadło: „żenszczina nie czełowiek, praporszczik nie oficer, a żopa nie sołowiej”[17]. Obydwaj ze śledczym głośno rechotaliśmy z mało wybrednego dowcipu. Widocznie moja dosadna argumentacja trafiła mu do przekonania, bo nazajutrz zaraz na wstępie przesłuchania padło decydujące pytanie: „Nu, Rein, czy jak ci tam, kuda choczesz − w Sibir ili w armiju?”[18]. A więc mam wybór. Nie zawahałem się ani sekundy z odpowiedzią: „Konieczno, czto w armiju”[19].

Konwojujący mnie dwaj *bojcy*[20] zdejmują mi kajdanki przed drzwiami, za którymi urzęduje Rejonowa Komisja Rekrutacyjna, i bez ceregieli wpychają mnie do środka. Rejestruje rekrutów sierżant, siedzący przy stoliku, dalej jest lekarz i za stołem − komisja. Podaję moje dane, a na pytanie: skąd pochodzę, podaję powiat mielecki. Sierżant wpisuje: „ochotnik”, bo powiat mielecki jest w strefie przyfrontowej i nie obowiązuje tam powszechna mobilizacja.

Lekarza interesuje tylko prawe oko i palec wskazujący prawej ręki, ten od cyngla. Gdy upominam się o moje ucho, z którego cieknie jakieś paskudztwo, od kiedy rozwalił je śledczy, lekarz się niecierpliwi: „Jakie ucho? Nie zawracać głowy, zdatny”.

W koszarach piechoty za Wisłokiem siedzą rekruci przy żelaznej kozie[21] i iskają się w skupieniu. Przyłączam się do nich. Poznaję kilka twarzy. Sama akowska wiara, tacy sami ochotnicy, jak i ja. Wszyscy się boją, że z tych wszy, które skwierczą na blasze piecyka, będzie epidemia tyfusu plamistego. […]

Nie ma mundurów, a nasze cywilne łachy zaczynają się rozłazić, w strzępach. Gdy kompania idzie ulicami, gołe to i owo prześwieca przez dziury w porciętach. Mnie wylazło

całe kolano, a tu już mróz. Dopiero w połowie grudnia dostaliśmy mundury drelichowe − całkiem podarte i z wielkimi rudymi plamami krwi. Robi się piekło, bo nie chcemy mundurów ściągniętych z zabitych. To poskutkowało. Wreszcie są mundury, wprawdzie drelichowe na zimę, ale całe i czyste. Do tego wydano nam płaszcze *made in USA*, nie do zdarcia, prawdziwy skarb. Jest też w miarę głodno, ale tutaj z pomocą przychodzi „Stryj", który mi co kilka dni podrzuca jakąś wałówkę.

Na pierwszą przepustkę idę do meliny, w której „Stryj" czasem się ukrywa. Właściwie jestem chory, bo w tym rozwalonym uchu zrobił się wrzód, który rwie jak cholera i powoduje gorączkę. […]

Po doświadczeniach ostatnich miesięcy zrozumiałem, że sytuacja zrobiła się całkiem inna niż za okupacji niemieckiej. Wtedy wszystko było proste: Polak był swój, Szkop to wróg. Wiedzieliśmy wszyscy, że jesteśmy następni w kolejce do pieca − po Żydach i Cyganach − i nikt nie miał złudzeń. A teraz Niemcy okupują jeszcze pół Polski, ale Sowieciarze pewnie ich niedługo znów popędzą na zachód. Póki co, rządzą się tutaj jak w podbitym kraju: zaprowadzają swoje porządki, zamykają i wywożą kogo chcą, a ten lubelski komitet PKWN-u nawet nie rządzi, bo o wszystkim decydują NKWD i komendanci wojenni. PKWN nie rządzi, ale stwarza pozór polskiego państwa, władzy, wojska. To wojsko znad Oki ma teraz być jedynym Wojskiem Polskim. Oszustwo jest tak oczywiste, że powszechnie mówi się „berlingowcy" albo „LWP", ale nie „WP" − jak mieliśmy na opaskach w czasie akcji „Burza".

Jednak ten pozór sprawia, że wszystko staje się niejasne, wieloznaczne, niby polskie, niby narodowe i ludowe, a zarazem koszmarnie obce.

Patrzę na to coś na mojej czapce polowej, co ma być „piastowskim orłem” − ale to raczej jakaś pokraka, podobniejsza bardziej do wrony niż orła. […] Jest także pozorna rewolucja, sterowana z bliska przez NKWD. A równocześnie więzienia są pełne ludzi z okolicznych wsi i miasteczek, którzy dla Niemców byli: *polnische Banditen*, a teraz stali się nagle: „faszystowskimi pachołkami i zdrajcami ludu pracującego”. Zamiast carskich kibitek, jadą w głąb Rosji zaplombowane wagony, a *wieszatiela*[22] zastąpił ruski *stupajka*[23] z naganem.

Robi się wczesna mroźna zima i zapada grudniowy zmrok. Rozmawiam o tym wszystkim także z Jackiem „Ołówkiem”, bo i on się ukrywa w melinie „Stryja”. Do mojego munduru berlingowca dorabiam sobie taką teoryjkę, że gdyby nawet Chińczycy szli bić Niemców, to także poszedłbym z nimi. Ale sam jestem o tym tylko na wpół przekonany, bo z Chińczykami nie mamy żadnych porachunków, a z Ruskimi to całkiem inna sprawa. Znów wszystko robi się mętne.

Przed wyjściem biorę na stronę Jacka i proszę go, żeby teraz odebrał ode mnie akowską przysięgę. Zdziwił się. Tłumaczę, że w 1942 roku w Warszawie ci z nas, którzy byli kadetami, uważali, że nadal wiąże ich kadecka przysięga i że ona wystarczy. „Ołówek” konkluduje: „Ty zawsze wszystko robisz na odwrót” – i na pewno ma rację. Czuję jednak, że teraz jest mi to potrzebne. Powtarzam więc z nim rotę przysięgi, z której się już wywiązałem jak umiałem najlepiej. […]

Jestem przydzielony do szkoły podoficerskiej, która ma dostarczać kadr dla tworzącej się 2. Armii. Nasi instruktorzy, przedwojenni podoficerowie, dokonują cudów. Mają wyszkolić nas w ciągu sześciu tygodni, co normalnie nie wystarcza, żeby z rekruta zrobić żołnierza. Ale my nie

byliśmy nowicjuszami w wojennym rzemiośle, więc nasz szef kompanii, wielki moczymorda, mawiał o nas z przekąsem: „podchorążówka”. I rzeczywiście, po Nowym Roku nasza kompania prezentowała się już znakomicie, a do tego tworzyła zżytą i solidarną bandę, co nie ułatwiało życia naszym dowódcom.

W skasowane święto Trzech Króli, gdy zamiast do kościoła, maszerowaliśmy w kierunku placu ćwiczeń, na rozkaz: „Kompania śpiewa!”, ryknęliśmy jak jeden: „Mędrcy świata, monarchowie…”[24] i ani rusz nie dało się nas zmusić do zaśpiewania czegoś mniej trącącego wstecznym religianctwem. […]

Poważniejsze wydarzenie miało miejsce kilka dni później, gdy wybrano pluton egzekucyjny do rozstrzelania „dezerterów”. Byli to baptyści, którym pacyfistyczna etyka nie pozwalała nawet dotknąć broni. Na komendę: „Pal!”, pluton rąbnął salwę… Panu Bogu w okno, jak na paradzie, po czym, już bez komendy, zarepetował broń i przybrał tak groźną postawę, że musiano zrezygnować z uroczystości. Kolegów w te pędy odstawiono do koszar. Chociaż baptystów i tak pewnie cichcem zamordowano, przynajmniej wojsko pokazało, że nie da się użyć do mokrej roboty.

Niedługo potem, około 10 stycznia, były egzaminy, z których wyszedłem jako plutonowy piechoty. Zaraz też pojawili się „kupcy” i zrobiło się coś w rodzaju targu niewolników. Najliczniejszą grupę „kupił” jakiś przystojniak z Lublina w randze kapitana. Mieliśmy pół dnia na pożegnanie rodzin i zebranie się. Pod wieczór ruszyliśmy na dworzec, gdzie o mały włos nie nastąpiła ostateczna katastrofa.

W zatłoczonej poczekalni dworcowej nagle rzuciła się do mnie uradowana babinka, wrzeszcząc wniebogłosy: „O mój

Jezusicku, to pon podchorąży tutaj, a u nas i w samym Mielcu to wos te Ruskie tak szukajom, ze strach. Waszo gembe po murach porozlepiały i fajnom nagrode obiecujom…”. Zrobił się mały tumult, ja dałem nura w tłum, a koledzy przez ten czas próbowali babę uciszyć. To był chyba cud, że akurat w pobliżu nie było nikogo z naczalstwa, że od razu podstawiono pociąg i mogliśmy w kilka minut po zajściu ewakuować się z poczekalni.

[…]

Tymczasem jechaliśmy do Lublina. Podróż byłaby nawet dosyć komfortowa, gdyby nie to, że dostaliśmy na drogę prowiant na jedną dobę, a tłukliśmy się trzy dni. Kluczyliśmy pociągiem z powodu pozrywanych mostów, puszczaliśmy idące na front transporty, a do tego skład był „samoobsługowy”. Zatrzymywaliśmy się dosyć często w lesie, maszynista wydawał pasażerom siekiery i piły i szło się po drzewo do robienia pary[25].

W Lublinie zostaliśmy zakwaterowani na Majdanku, w barakach na piątym polu, gdzie tuż za ogrodzeniem sterczały jeszcze ruiny wysadzonego przez Niemców krematorium i wszędzie można było zbierać kawałki ludzkich kości. Zimno było potężne, bo mróz ścisnął, więc w żelaznym piecu paliło się sąsiednim barakiem.

Z powodu mrozu nie wychodziliśmy na ćwiczenia. Co byłoby też trudne z powodu osłabienia z głodu. Dawano nam jeść raczej jak w obozie koncentracyjnym niż wojskowym: znikome porcje zamarzniętego jęczmiennego chleba i zupę z przemrożonych kartofli albo buraków pastewnych, z dodatkiem podejrzanego oleju. Pochylenie się groziło zawrotem głowy, więc żeby zawiązać trzewiki, które dla ochrony przed mrozem i kradzieżą chowało się pod kocem, trzeba było najpierw oburącz podnieść na brzeg pryczy jedną a potem drugą nogę.

12 stycznia [1945] ruszył front, stojący na Wiśle od lipca. My stopniowo odkrywaliśmy, że jednostka, do której zostaliśmy wcieleni, jest pierwszym batalionem kadrowym WW, czyli wojsk wewnętrznych. Nikt z nas oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, do czego takie wojsko ma służyć. Pewne wydawało się tylko to, że zanim jednostka zostanie sformowana, upłynie sporo czasu, i nawet jeżeli do tej chwili nie skończy się wojna, to przynajmniej skończy się zima. Nie brzmi to bardzo patriotycznie, ale przecież żaden z nas ochotnikiem nie był, a amatorów mrozu i umierania „za sowietskuju rodinu i Stalina” w tym ludowym wojsku można było na palcach jednej ręki policzyć.

Powitanie polskich żołnierzy (lipiec 1944, Lublin). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Chyba z powodu okularów − zostałem przydzielony jako pisarz do sztabu. Ta na ogół dosyć pożądana funkcja, tu nie dawała wielu przywilejów, ale przynajmniej można było w dzień siedzieć w cieple. Padło jednak na mnie ciężkie podejrzenie, że przepisałem i puściłem w obieg okólnik naczelnego dowództwa, w którym dokładnie określono

racje żywnościowe należące się żołnierzom. Zaprzeczałem gwałtownie tym podejrzeniom, zwłaszcza że były… słuszne.

A tu wojsko zaczęło się ostro upominać o należne racje. Podpadłem więc całej kadrze oficerskiej, która te nasze porcje żywnościowe zamieniała na gotówkę i wesołe życie w stołecznym Lublinie. Nie dość że wyleciałem z kancelarii, to jeszcze zwróciłem na siebie uwagę oficera politycznego batalionu chorążego [Marka?] Templa, który odbył ze mną „rozmowy ostrzegawcze". Byłem tym zaniepokojony, bo ten czujny politycznie wojak mógł zacząć szukać informacji o mnie i trafić na coś niepożądanego. Aby zejść mu z oczu, zgłosiłem się na ochotnika do służby wartowniczej przy jakimś obiekcie otoczonym ścisłą tajemnicą. Zrobiłem błąd taktyczny, bo w takiej sytuacji należy siedzieć cicho i się nie wychylać.

Zanim jednak nastąpił mój wymarsz do tej służby, poderwał nas w nocy alarm. Rozdano ostrą amunicję i pojechaliśmy pędem dwiema ciężarówkami do Lublina. Potem szliśmy w szyku bojowym wąskimi uliczkami i drogą prowadzącą do Zamku [Lubelskiego]. Nasza władza ludowa, za przykładem poprzednich lokatorów z gestapo, zrobiła z tej szacownej budowli katownię, o której szeptano w Lublinie rzeczy pełne grozy.

Brama Zamku była na wpół rozwalona wybuchem, w sieni i na dziedzińcu leżały jeszcze zwłoki mundurowych strażników, a pod butami trzeszczały łuski wystrzelonej amunicji[26]. Cele były otwarte i w całym Zamku nie było żywego ducha. Nasza „oficerka" użalała się nad trupem jakiegoś sierżanta, co to niby był *nastojaszczij kommunist*[27], weteran wojny hiszpańskiej. Znali go wszyscy, bo ćwiczył rekrutów w legendarnych Sielcach nad Oką i w nagrodę osiadł tutaj jako naczelny kat akowców. Jeden z chłopaków, doświadczony partyzant, szepnął mi do

ucha z uznaniem: „Fachowa robota”. Zrobić ten Zamek w środku miasta, w siedzibie władz napchanej wojskiem oraz polską i sowiecką bezpieką, to nie byle co.

Służbę wartowniczą w ruinach fabryki Franka[28] pełniłem tylko dwa dni. Pilnowaliśmy kilku szczelnie zamkniętych wagonów na bocznicy i wysokiej anteny. Musiał to być dla naszego dowództwa dowód wielkiego zaufania ze strony sprzymierzeńców − taką z tego robiono tajemnicę. Zaraz drugiej nocy wpadłem w ciemnościach do głębokiego ocembrowanego dołu i złamałem prawą nogę. Sanitariusz włożył nogę w łupki i wozem dostarczającym żywność dla wartowników odesłał mnie nazajutrz na Majdanek.

Zamiast iść do izby chorych, musiałem natychmiast zameldować się u oficera politycznego na przesłuchanie. Zrozumiałem z pytań, że jestem podejrzany o umyślne spowodowanie wypadku, żeby zdobyte informacje o owym tajemniczym obiekcie przekazać obcej agenturze szpiegowskiej. Chorąży chciał się koniecznie dowiedzieć, co to jest za obiekt, ale czując prowokację, stanowczo odmówiłem wszelkich informacji.

Sanitariusz wymacał, że mam złamaną kość strzałkową pod kolanem, lecz nie chciał zakładać gipsu bez prześwietlenia nogi i zatrzymał mnie w izbie chorych. Nazajutrz kuśtykałem o lasce do politruka, który wręczył mi pisemny rozkaz natychmiastowego zameldowania się w komendzie głównej WW w Lublinie. Pytam o środek lokomocji. Nie ma. Mam iść z podporucznikiem, który był uważany za wiejskiego przygłupa, popychadło i ofiarę całego naczalstwa.

Z Majdanka do Lublina, naszego celu, jest około ośmiu kilometrów. Miałem tam iść na złamanej nodze, po lodzie przykrytym topniejącym śniegiem − to mówi samo za

siebie. Mój pastuszek denerwuje się powolnością mojego kuśtykania i częstymi postojami. Wyraźnie spieszy się na dziewczynki. […]

Czekam w korytarzu, przy drzwiach wydziału politycznego i czuję, że noga puchnie, za to nie czuję, że mi po policzkach łzy same ciekną z bólu. Czekam tak długo, że zaczynam rozpoznawać twarze przechodzących ludzi. Zwraca moją uwagę wybitnie przystojna młoda kobieta, z dystynkcjami kapitana, która mnie obserwuje. Wreszcie podchodzi i wypytuje, co tutaj robię i co mi jest. Odpowiadam na pytania i widzę, że kapitan czerwienieje z gniewu. W wydziale politycznym robi piekło, ruga kogoś za nieludzkie obchodzenie się z żołnierzami. Potem opieprza przez telefon Templa, całkiem po żołniersku, i gdy sanitariusz pomaga mi wsiąść do gazika, którym mam wracać na Majdanek, przejeżdża się jeszcze po moim pastuszku.

Defilada zwycięstwa (lipiec 1944, Lublin). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Izba chorych to luksusowe miejsce, o jakim można tylko pomarzyć. Są tam łóżka z pościelą, jest ciepło, czysto i nawet jedzenie znośne. Odpoczywam pierwszy raz od wypadku w piwnicy pod rzeszowskim zamkiem. Odwiedzają mnie koledzy i opowiadają, że z naszej kompanii jedna partia pojechała do Rzeszowa. Mam szczęście, że na mnie nie padło.

Mogę już chodzić i wracam o lasce do naszego baraku. Od tej wycieczki do Lublina nie widziałem chorążego Templa. Może się ode mnie odczepił?

Dopadł mnie tydzień później i wyglądało na to, że tym razem mnie wykończy. […]

Na porannym apelu szef kompanii czyta listę ludzi wyznaczonych na wyjazd do Krakowa. Jestem na tej liście. Zdajemy broń i szykujemy się do wymarszu. Przed samym wymarszem znów czyta listę, ale ja już zostałem skreślony. Udaję, że nic o tym nie wiem, i o lasce, zaciskając zęby z bólu, raźno maszeruję na dworzec. Czekamy kilka godzin na podstawienie pociągu. Chwilę przed odjazdem wyciąga mnie z wagonu patrol żandarmerii wojskowej i ciupasem odstawia na Majdanek, prosto do biura chorążego Templa, który tryumfuje. Złapał dezertera. Tym razem Tempel już nie truje jak przedtem, ale chlusta na mnie tak ohydnymi pomyjami, że nagle ruszam od drzwi z podniesioną do góry lagą, warcząc obelgi. Zamierzam zabić tę pokrakę w paroksyzmie wściekłości. Walę lagą w blat biurka, a Tempel nurkuje pod mebel. Przytomnieję dopiero wtedy, kiedy obchodząc biurko, spostrzegam, jak politruk gramoli się na czworakach z twarzą koloru ściany.

Nie było świadków tej sceny. Nocuję w areszcie bez pasa i sznurowadeł i rozmyślam. Pierwszy raz chciałem zabić

człowieka w zimnej pasji, nieświadomy, że popełniam równocześnie morderstwo i samobójstwo. Moja sytuacja, jakkolwiek by nie spojrzeć, nie wygląda najlepiej. Próba dezercji, do tego zamach na życie oficera w warunkach wojny… Czapa jak stąd do Kołomyi. Teraz mnie dostał.

Rano przychodzi szef kompanii i każe mi się zbierać. Nic nie mówi, ma groźną minę, ale śmieją mu się ślepia. Prowadzi mnie na pierwsze pole, do pułku zapasowego, z którego co kilka dni kompanie marszowe odchodzą na front. Chorąży Tempel znalazł sposób bezszmerowego wykończenia mnie cudzymi rękami, bez ujawniania kompromitującego go zajścia z laską i biurkiem. Przyjemnie mieć do czynienia z inteligentnym facetem. Jestem uszczęśliwiony.

Przypisy

[1] Tj. konie rasy mongolskiej.

[2] Chodzi o Aleksandra Malutina.

[3] Sidor Kowpak (1887−1967) − dowódca radzieckich oddziałów partyzanckich na Ukrainie.

[4] Mieczysław Wągrowski (1902−1967) − współtwórca ZPP i 1. DP im. T. Kościuszki; zastępca szefa, potem szef Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP.

[5] Informacja Wojskowa − kontrwywiad WP, narzędzie represji wobec byłych żołnierzy podziemia, głównie z AK.

[6] Rożyszcze − miasto na Wołyniu (Ukraina). W czasie II wojny światowej − ze względu na obecność: garnizonu niemieckiego, oddziału żołnierzy węgierskich oraz silnej grupy polskiej samoobrony (około 130 osób) − ściągali tu Polacy z całego Wołynia, chroniąc się przed bojówkami UPA.

[7] Chopniów na Wołyniu.

[8] Ernst Thälmann (1886−1944) − niemiecki komunista, zamordowany w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie.
[9] *Das Nationalkomitee Freies Deutschland* (NKFD) − Komitet Narodowy Wolne Niemcy; antyfaszystowska organizacja utworzona w 1943 na terenie ZSRR przez niemieckich jeńców wojennych.
[10] Friedrich W. E. Paulus (1890−1957) − niemiecki feldmarszałek, dowódca 6. Armii Polowej, która skapitulowała pod Stalingradem; członek NKFD.
[11] Trauguttowcy − żołnierze 3. Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta.
[12] Kierownik krematorium (niem.). Na Majdanku był nim Erich Muhsfeldt (wrzesień 1941−maj 1944), w 1947 skazany na karę śmierci przez powieszenie za zbrodnie w obozach Auschwitz-Birkenau i na Majdanku.
[13] Ale macie dobrego generała (ros.).
[14] Oj, nie chodź Grzesiu, na tę wieczornicę (ukr.).
[15] Kedyw − Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej AK.
[16] Oto pytanie (ros.).
[17] Kobieta nie człowiek, chorąży nie oficer, a dupa nie słowik (ros.).
[18] No, Rein, czy jak ci tam, gdzie chcesz − na Sybir czy do armii (ros.)?
[19] Oczywiście, że do armii.
[20] Żołnierze, wojacy (ros.).
[21] Przenośny piecyk opalany drewnem lub węglem.
[22] Gen. Michaił Murawjow (1796−1866) − zwany Murawjow-*wieszatiel*; carski gubernator, który wsławił się okrucieństwem podczas tłumienia powstania styczniowego.
[23] *Stupajka* (ros.) − służbista; pogardliwe określenie policjanta lub innego funkcjonariusza na służbie.

[24] „Mędrcy świata” − katolicka kolęda.
[25] Tj. po drewno do pieca napędzającego parowóz.
[26] W nocy z 18 na 19 lutego 1945 dokonano jedynej skutecznej akcji uwolnienia więźniów Zamku Lubelskiego: uciekło 11 skazanych i 12 strażników. Operacją dowodził Jan Kempiński „Błysk” z AK.
[27] Prawdziwy komunista (ros.).
[28] Fragment niejasny. Prawdopodobnie chodzi o obiekt w Rzeszowie, być może o Wytwórnię Silników (lotniczych), którą w 1939 przejęli Niemcy (Rzeszów należał do Generalnej Guberni zarządzanej przez Hansa Franka). 2 sierpnia 1944 fabrykę zajęła Armia Czerwona, w lipcu 1945 przekazano ją polskiej administracji. Obecnie to WSK PZL−Rzeszów.

Rozdział VI

Niedaleki czas,
gdy zmora przepadnie zła…

Pod Dęblinem, Puławami i na przyczółku warecko-magnuszewskim (28 lipca−12 września 1944)

Po wyjściu z Lublina 1. Armia WP została wprowadzona do pierwszego rzutu 1. Frontu Białoruskiego z zadaniem wyjścia nad Wisłę i zorganizowania obrony prawego brzegu rzeki między Dęblinem a Puławami. 29 lipca dowódca 1. Frontu marsz. Konstanty Rokossowski, wykonując dyrektywę Kwatery Głównej Armii Czerwonej, rozkazał sforsowanie Wisły przez 1. Armię WP oraz radzieckie: 8. Armię Gwardii i 69. Armię. Plan operacyjny zakładał utworzenie trzech przyczółków: pod Magnuszewem, Puławami i Kazimierzem Dolnym, które − połączone − miały tworzyć bazę do ofensywy w kierunku północno-zachodnim, na Warszawę.

Zadaniem 1. Armii WP było uchwycenie przyczółka między Dęblinem a Puławami. Do wykonania tego rozkazu gen. Zygmunt Berling wyznaczył 1. i 2. Dywizję Piechoty oraz jednostki wsparcia. Forsowanie, które miało się rozpocząć 1 sierpnia 1944 roku, od samego początku przebiegało z problemami − ze względu na braki w sprzęcie przeprawowym. Dodatkowo zawiniło rozpoznanie, które nie wykryło znacznych sił niemieckich na przeciwległym brzegu rzeki. Tak lekkomyślna ocena sytuacji kosztowała życie wielu żołnierzy.

Armia, którą dowodził gen. Zygmunt Berling, była w owym czasie armią tylko z nazwy. Cała formacja liczyła

zaledwie 35 tys. żołnierzy w trzech dywizjach piechoty. Dla porównania − inne armie walczące podczas II wojny światowej składały się przynajmniej z 9−12 dywizji piechoty oraz dywizji pancernej lub korpusu pancernego. Armia Berlinga była znacznie słabsza, mimo to otrzymała zadanie jak dla pełnowartościowego związku operacyjnego. Przydzielony pas natarcia (około 25 km) był zbyt szeroki w stosunku do jej możliwości bojowych, zaś przed niedoświadczonymi żołnierzami postawiono skomplikowane zadanie sforsowania przeszkody wodnej w bardzo krótkim czasie.

Podejmowane próby zakończyły się ostatecznie niepowodzeniem. Polscy żołnierze nie zdołali sforsować Wisły i utrzymać przyczółków na lewym brzegu rzeki. W bojach pod Dęblinem i Puławami 1. Armia WP poniosła duże straty − 1443 poległych, rannych i zaginionych. Jednak poświęcenie berlingowców nie poszło na marne, gdyż ich desanty związały w walce duże siły niemieckie, co ułatwiło sforsowanie rzeki sąsiednim armiom radzieckim. Dzięki działaniom dwóch polskich dywizji możliwe stało się uchwycenie przyczółka pod Magnuszewem przez radzieckie: 8. Armię Gwardii oraz pod Kazimierzem i Puławami przez 69. Armię.

Na szacunek zasługuje postawa polskich oficerów i żołnierzy, którzy tak trudne zadanie wykonali z największym poświęceniem. Nieliczni, którym udało się zdobyć przyczółki na drugim brzegu, wprawdzie nie utrzymali ich długo, ale nie kapitulowali, lecz walczyli do końca. Nie ulega wątpliwości, że straty obu polskich dywizji mogły być dużo mniejsze, gdyby należycie przygotowano przeprawy.

Sztab 1. Armii WP, po przeanalizowaniu przyczyn wcześniejszych niepowodzeń, opracował nowy plan

desantu, który miał się rozpocząć 8 sierpnia 1944 roku. Nie został on jednak zrealizowany, gdyż 6 sierpnia dowódca 1. Frontu Białoruskiego wydał nowy rozkaz polskim oddziałom, które miały się teraz przegrupować na przyczółek magnuszewski, żeby wesprzeć działania 8. Armii Gwardii gen. Wasilija Czujkowa, walczącej z kontratakiem niemieckim.

Kiedy 1 sierpnia 1944 roku w Warszawie wybuchło powstanie, Niemcy − którzy kilka dni wcześniej zatrzymali w zwycięskim boju na wschód od miasta radzieckie czołgi − dążyli za wszelką cenę do ustabilizowania sytuacji na froncie. Przyczółek magnuszewski mógł stanowić bazę do dalszej ofensywy radzieckiej, dlatego Wehrmacht rzucił znaczne siły, żeby go zlikwidować. Ściągnięto pod Warkę 19. Dywizję Pancerną (90 czołgów i 40 dział pancernych) oraz Dywizję Pancerno-Spadochronową „Hermann Göring” (140 czołgów i 90 samochodów pancernych).

Do 4 sierpnia 1944 roku wojska 8. Armii Gwardii skoncentrowały na przyczółku magnuszewskim sześć dywizji piechoty. Po rozpoczęciu przeciwnatarcia niemieckiego marsz. Rokossowski zorientował się, że siły radzieckie są niewystarczające, aby utrzymać teren, dlatego wydał rozkaz wsparcia ich przez 1. Armię WP. Silne natarcie niemieckie − 9 sierpnia 1945 roku − przerwało radziecką obronę w rejonie wsi Studzianki. Czerwonoarmiści znaleźli się w tak trudnym położeniu, że aby ratować sytuację, dowódca Frontu wydał rozkaz wsparcia piechurów polską 1. Brygadą Pancerną im. Bohaterów Westerplatte, z gen. Janem Mierzycanem na czele (2200 żołnierzy i 86 czołgów). Przeprawa czołgów rozpoczęła się natychmiast po otrzymaniu rozkazu, gdyż czas grał w całej operacji rolę decydującą.

Niestety w trakcie przeprawy czołgów Niemcy przeszli do skutecznego kontrnatarcia i przerwali obronę na styku dwóch radzieckich dywizji piechoty. To spowodowało wydanie rozkazu polskim pancerniakom, by czołgi wprowadzać do walki sukcesywnie, w miarę ich przeprawiania przez Wisłę. Decyzja ta, choć wymuszona sytuacją bojową, miała dla polskiej brygady fatalne następstwa. Generał Mierzycan został pozbawiony możliwości dowodzenia całą jednostką, zaś bitwa z czołgami niemieckimi zamieniła się w potyczki pojedynczych polskich załóg. Mimo to bój pancerny pod Studziankami zakończył się sukcesem polskich czołgistów, dla których był to w tej wojnie chrzest bojowy. Pomimo niekorzystnych warunków, w których została wprowadzona do działań − 1. Brygada Pancerna przyczyniła się do powstrzymania niemieckiego kontrataku, a następnie utrzymania przyczółka pod Magnuszewem. Podczas siedmiodniowych walk polscy czołgiści zniszczyli: 20 czołgów i dział pancernych, 9 transporterów opancerzonych, 13 dział, 9 moździerzy i 7 samochodów. Zginęło lub dostało się do niewoli około 1500 żołnierzy niemieckich. Straty własne polskiej brygady wyniosły: 265 poległych, zaginionych i rannych oraz 27 spalonych lub uszkodzonych czołgów.

Podczas gdy pod Studziankami toczyła się bitwa pancerna, na północy przyczółka magnuszewskiego weszły do walki trzy dywizje 1. Armii WP. Ich zadaniem było wzmocnienie obrony na tym odcinku i odciążenie jednostek radzieckich. W trakcie tych walk ujawniło się niedostateczne opanowanie przez kadrę oficerską umiejętności dowodzenia, braki w wyszkoleniu całych pododdziałów oraz fatalne kierowanie ogniem artylerii, która niejednokrotnie ostrzeliwała własnych żołnierzy.

Zmagania 1. Armii WP na przyczółku magnuszewskim, które trwały od 9 sierpnia do 12 września 1944 roku, odegrały ważną rolę w działaniach całego 1. Frontu Białoruskiego nad środkową Wisłą i były jej pierwszym sukcesem, choć okupionym dużymi ofiarami. Poświęcenie szeregowych żołnierzy poszło, niestety, na marne z powodu fatalnego dowodzenia kadry oficerskiej oraz niewłaściwego przygotowania do działań. Pod Magnuszewem poległo, zaginęło lub zostało rannych 1683 żołnierzy polskiej armii. Były to straty niewspółmiernie wysokie − biorąc pod uwagę charakter prowadzonych walk i stosunek zaangażowanych sił.

Przyczółek magnuszewski był chrztem bojowym nie tylko dla polskich czołgistów, ale również dla pilotów z polskich jednostek lotniczych. 23 sierpnia nad polem bitwy odbyły swój pierwszy lot bojowy maszyny 1. pułku myśliwskiego „Warszawa” i 3. pułku lotnictwa szturmowego. Loty te miały duże znaczenie propagandowe i przez lata Polski Ludowej dzień ten był świętem lotnictwa polskiego. 30 sierpnia 1944 roku z obu pułków oraz 2. pułku nocnych bombowców „Kraków” utworzono 1. Dywizję Lotniczą, pod dowództwem radzieckiego oficera płk. Józefa Smagi. Większość dowódców polskich jednostek lotniczych stanowili oficerowie przeniesieni z Armii Czerwonej. Zdarzało się, że do lotnictwa polskiego włączano całe radzieckie pułki, razem z pilotami, zmieniając tylko nazwy i numery.

Działania 1. Armii Wojska Polskiego w Warszawie (sierpień−wrzesień 1944)

Walki o warszawską Pragę (10−15 września 1944)

Gdy od 1 sierpnia 1944 roku w Warszawie trwało powstanie przeciwko Niemcom, po drugiej stronie Wisły, w okolicach

Radzymina i Wołomina toczyły się zaciekłe walki pancerne, w wyniku których radzieckie czołgi zostały zatrzymane przez niemieckie dywizje. Wykorzystując ten sukces, Niemcy postanowili jak najszybciej stłumić warszawską rewoltę, gdyż utrata miasta uniemożliwiłaby zatrzymanie ofensywy radzieckiej.

Stalin − od początku wrogo nastawiony do powstania warszawskiego i jego przywódców − nie zamierzał pomagać Armii Krajowej, którą uważał za przeciwnika w jego dążeniu do przejęcia władzy w Polsce. Przez cały sierpień i początek września Armia Czerwona nie podjęła praktycznie żadnych działań, które przyczyniłyby się do poprawienia sytuacji powstańców. Nawet lotnictwo radzieckie, mimo że Warszawa leżała w jego zasięgu, nie zorganizowało osłony powietrznej przed ciągłymi nalotami Luftwaffe na pozycje powstańcze. Nie przeprowadzono również zrzutów broni, żywności ani lekarstw. Pomoc lotnicza nadeszła w połowie września, kiedy powstanie chyliło się już ku upadkowi; zbyt późno, by mogła być skuteczna. Ta zwłoka była zamierzona.

Aby uniknąć zarzutów ze strony aliantów, wspierających rząd RP w Londynie, że celowo zatrzymano ofensywę pod Warszawą, na początku września 1944 roku Stalin wydał rozkaz, by Armia Czerwona kontynuowała ograniczone natarcie. Do wykonania zadania, którym było przełamanie niemieckiej obrony i atak w kierunku Pragi, Jabłonny i Legionowa, wyznaczono dwie armie radzieckie 1. Frontu Białoruskiego. Na głównym kierunku miała nacierać 47. Armia gen. Nikołaja Gusiewa, której podporządkowano polską 1. Dywizję Piechoty pod dowództwem gen. Wojciecha Bewziuka. Polska jednostka − wzmocniona batalionem czołgów, batalionem saperów i kompanią

miotaczy ognia − miała działać razem z dwiema dywizjami radzieckimi w składzie 125. Korpusu Armijnego.

10 września 1944 roku ruszyło natarcie na warszawską Pragę, wspierane przez artylerię i lotnictwo. Nocą dokonano nalotu na niemieckie pozycje. W akcji, obok samolotów radzieckich, wzięły udział maszyny 2. pułku nocnych bombowców „Kraków”. Do końca dnia polscy żołnierze przełamali pierwszą i drugą pozycję obronną, rozbijając niemiecki 70. pułk piechoty. 11 września w krwawych bojach żołnierze polscy i radzieccy opanowali Wygodę, Grochów i Kawęczyn.

W tych dniach doszło do spotkania berlingowców z powstańcami z Armii Krajowej, walczącymi w prawobrzeżnej Warszawie. Akowcy wsparli natarcie polskiej dywizji na Pradze. 12 września doszło do najcięższych walk polskich żołnierzy, którzy pod Kozią Górką musieli szturmować niemieckie bunkry. Kilkukrotne ataki zakończyły się niepowodzeniem i dużymi stratami. Dopiero przybycie czołgów przełamało obronę nieprzyjaciela.

13 września gen. Berling otrzymał rozkaz przegrupowania całej 1. Armii WP do walk o Pragę. Polskie dywizje musiały być ściągnięte z przyczółka magnuszewskiego, gdzie zakończyły walkę. Tymczasem na Pradze nagłe wycofanie się Niemców w kierunku zachodniego brzegu Wisły spowodowało wznowienie natarcia przez armie radzieckie, w tym również przez polską 1. Dywizję Piechoty. Polska jednostka, decyzją gen. Berlinga, została wzmocniona czołgami 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte oraz działami samobieżnymi 13. pułku artylerii samobieżnej: z polskimi oznakowaniami, ale radzieckimi załogami (10 840 żołnierzy). Mimo mocnego wsparcia artylerii szturm

czerwonoarmistów i berlingowców napotkał silny opór Niemców, którzy często kontratakowali. Natarcie rozwijało się bardzo wolno, gdyż żołnierze znaleźli się wśród zwartej zabudowy miejskiej. Dlatego zrezygnowano z ataku frontalnego na rzecz grup szturmowych, zajmujących budynek po budynku.

14 i 15 września trzy polskie pułki opanowały rejon Dworca Wileńskiego, mostu Kierbedzia i mostu kolejowego. Wszystkie przeprawy zostały przez Niemców zniszczone, co odcięło nacierających berlingowców od powstańców z drugiego brzegu Wisły. O świcie 15 września 1944 roku Praga została opanowana przez oddziały polsko-radzieckie, choć walki w północnej części dzielnicy trwały jeszcze przez trzy dni.

W operacji praskiej 1. Dywizja Piechoty w pełni wykonała postawione jej zadanie, choć sukces został okupiony ofiarami − 496 żołnierzy poległo i około 1300 zostało rannych. Straty niemieckie wyniosły około 2 tys. zabitych i rannych, zaś 106 żołnierzy dostało się do niewoli.

Walki o przyczółki warszawskie (16−23 września 1944)

W połowie września 1944 roku walki powstańcze w Warszawie weszły w fazę końcową. W płonącym mieście broniły się już tylko duże zgrupowania na Czerniakowie i Żoliborzu. W tym czasie każda pomoc była już i tak mocno spóźniona, ale dawała szansę uratowania licznych żołnierzy Armii Krajowej oraz mieszkańców. Ponadto, gdyby Warszawa została zdobyta we wrześniu 1944 roku, uratowano by znaczną część zabudowy, którą Niemcy zniszczyli już po upadku powstania.

Przez wiele lat w Polsce Ludowej temat ten wywoływał liczne kontrowersje. Brak pomocy ze strony Armii Czerwonej dla powstańczej Warszawy próbowano tłumaczyć wyczerpaniem jednostek radzieckich po wielkiej

ofensywie rozpoczętej na Białorusi oraz rozciągnięciem linii zaopatrzeniowych. Nie była to prawda, ponieważ 1. Front Białoruski miał wystarczające siły, by realnie pomóc powstaniu; jeżeli nie bezpośrednio, to poprzez działania lotnictwa i artylerii. O braku woli przyjścia z pomocą najlepiej świadczy to, że „sojusznicy” udzielili jednostkom polskim dokonującym desantu na drugi brzeg Wisły, podczas walk o przyczółki warszawskie, bardzo ograniczonego wsparcia.

15 września 1944 roku dowódca 1. Frontu Białoruskiego marsz. Rokossowski wydał rozkaz dwóm armiom radzieckim, które wcześniej opanowały Pragę, aby wznowiły natarcie na północ od Warszawy, w kierunku Legionowa, w celu uchwycenia przyczółków po lewej stronie Wisły − pod Łomiankami i Młocinami. W tym samym czasie gen. Berling miał za zadanie, siłami 1 Armii WP, dokonać rozpoznania praskiego brzegu Wisły − żeby uchwycić przyczółki po drugiej stronie rzeki.

Zarządzenie wydane polskiej armii przez dowódcę frontu przez wiele lat wywoływało spory. Dyskutowano − czy inicjatywa późniejszych desantów była pomysłem gen. Berlinga, czy również marsz. Rokossowskiego. Kontrowersje budziła forma wydanego polecenia, ponieważ ta dyspozycja nie była typowym rozkazem do natarcia. Późniejsze odwołanie Berlinga ze stanowiska dowódcy 1. Armii WP zdawało się tylko potwierdzać jakiś rodzaj własnej inicjatywy z jego strony, a może nawet niesubordynację.

1. Armia WP, dysponując zaledwie czterema dywizjami piechoty[1], nie miała wystarczających sił do samodzielnego wykonania powierzonego zadania. Ponadto wojsko było wyczerpane wcześniejszymi walkami pod Puławami, Dęblinem, na przyczółku magnuszewskim oraz

na Pradze. Podobnie jak w poprzednich operacjach desantowych, nie wyposażono Polaków w sprzęt przeprawowy w odpowiedniej liczbie i jakości; na przykład nie wzięto pod uwagę szerokości Wisły na przeprawowych odcinkach. Ponieważ na drugim brzegu rzeki nieprzyjaciel mógł chronić się w zabudowie miejskiej, aby zapewnić sukces operacji, desanty należało odpowiednio wesprzeć ogniem artylerii i lotnictwa. Tymczasem polska artyleria nie dysponowała dostateczną ilością amunicji, aby skutecznie chronić własne oddziały podczas przeprawy. Nadzieją dla polskich żołnierzy mogła być pomoc radziecka, jednak Rokossowski − wcześniejszym rozkazem delegującym dwie swoje armie na północ − pozbawił polskie dywizje ich wsparcia. Jedynie radzieckie brygady artylerii oraz jednostki inżynieryjne, które przekazały sprzęt przeprawowy − pomogły polskim pułkom. Radzieckie samoloty dokonywały wprawdzie zrzutów sprzętu, ale na skalę zbyt małą, by mogło to wpłynąć na działania bitewne.

Przeprowadzenie desantów i utworzenie przyczółków na powstańczym brzegu zostało powierzone: 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta pod dowództwem gen. Stanisława Galickiego, 2. Dywizji Piechoty im. Jana Henryka Dąbrowskiego pod dowództwem gen. Antoniego Siwickiego, a także 1. Samodzielnej Brygadzie Kawalerii płk. Włodzimierza Radziwanowicza. Osłabiona po walkach o Pragę 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki do operacji desantowej skierowała tylko jedną kompanię piechoty. W drugim rzucie znajdowali się pozostali żołnierze 1. Dywizji oraz 4. Dywizja Piechoty im. Jana Kilińskiego pod dowództwem gen. Bolesława Kieniewicza.

Przeprawa pierwszych batalionów rozpoczęła się w nocy z 15 na 16 września, po wcześniejszym ostrzale polskiej artylerii i nalocie samolotów 2. pułku nocnych bombowców

„Kraków”. Od samego początku ujawniły się zła organizacja operacji i chaotyczne dowodzenie. Przeprawa rozpoczęła się zbyt późno, bez zachowania odpowiedniej ciszy, co spowodowało kontrdziałania niemieckiej artylerii. Żołnierze polscy − z uwagi na wspomniane braki w sprzęcie desantowym − przeprawiali się w niewielkich grupach; za małych, aby wywalczyć solidne przyczółki.

Pierwszy przyczółek − na Czerniakowie − utworzyły bataliony 3. Dywizji Piechoty, przeprawiające się z Saskiej Kępy. Na drugim brzegu rzeki berlingowcom udało się nawiązać kontakt z powstańcami ze zgrupowania „Radosław” (było to pierwsze spotkanie żołnierzy gen. Berlinga z powstańcami) i wesprzeć ich w walce z Niemcami. Niestety brak koordynacji z oddziałami Armii Krajowej ze Śródmieścia oraz silne ataki niemieckie uniemożliwiły dłuższe współdziałania bojowe. Na słabą organizację walk oddziałów desantowanych duży wpływ miało to, że z żołnierzami nie przeprawili się na drugi brzeg oficerowie z dowództw pułków.

19 września pododdziałom 8. pułku piechoty z 3. Dywizji, które dzięki wsparciu artylerii i lotnictwa atakowały za zasłoną dymną, udało się utworzyć na Powiślu kolejny przyczółek. Zadaniem tego desantu było połączenie z przyczółkiem czerniakowskim i jego poszerzenie, aby opanować rejon dwóch zniszczonych mostów: Poniatowskiego i Kierbedzia. Około 800 przerzuconych żołnierzy miało ze sobą również kilka dział i moździerzy. Niestety niemieckie kontrataki przy użyciu czołgów spowodowały, że berlingowcom nie udało się połączyć z oddziałami powstańczymi i po trzech dniach ciężkich walk polscy żołnierze, ponosząc duże straty, musieli się ewakuować na prawy brzeg Wisły.

Trzeci przyczółek został utworzony na Żoliborzu − w nocy z 18 na 19 września przez 6. pułk piechoty z 2. Dywizji. O świcie na przyczółku znalazło się 370 żołnierzy, którzy podjęli nieudaną próbę połączenia z powstańcami ze zgrupowania ppłk. Mieczysława Niedzielskiego „Żywiciela". Aby wyprzeć Polaków, wyposażonych tylko w lekką broń, nieprzyjaciel rzucił do walki czołgi, artylerię i lotnictwo.

Podczas gdy na trzech przyczółkach trwały krwawe walki, próbę sforsowania Wisły po zniszczonym moście Kierbedzia podjęła 1. Brygada Kawalerii, zaś w rejonie Kępy Gocławskiej, w kierunku Siekierek − jedna kompania 1. Dywizji Piechoty. Obie próby, mające charakter rozpoznawczy i pozorujący, zakończyły się niepowodzeniem.

Do najcięższych i najbardziej dramatycznych walk w ciągu całej operacji doszło na przyczółku czerniakowskim, na którym dwa bataliony berlingowców broniły się ramię w ramię z powstańcami ppłk. „Radosława". Zdarzało się, że oficerowie Armii Krajowej przejmowali dowodzenie nad połączonymi pododdziałami. Do walki w tym rejonie Niemcy skierowali czołgi i działa przeciwpancerne pułku grenadierów z dwiema grupami bojowymi Wehrmachtu i SS. Przewaga wroga była tak duża, że niepowodzeniem zakończyły się próby przerzucenia przez Wisłę dodatkowych oddziałów wsparcia dla obrońców przyczółka; oddziały wsparcia zostały ostrzelane przez artylerię.

W nocy z 22 na 23 września na rozkaz gen. Berlinga rozpoczęto ewakuację resztek oddziałów na praski brzeg Wisły. W całej operacji było zaangażowanych ponad 44 tys. żołnierzy 1. Armii WP. W ciągu ośmiu dni krwawych walk zginęło, zaginęło lub zostało rannych 3892 uczestników batalii. Straty były więc bardzo wysokie i przewyższyły liczbę ofiar poniesionych w bitwie pod Lenino.

Mimo zaangażowania żołnierzy 1. Armii WP walki o przyczółki zakończyły się porażką polskich jednostek, które − nie dysponując wystarczającymi siłami − nie były w stanie wykonać powierzonego zadania. Berlingowcy i powstańcy pozostawieni zostali sami sobie − wobec przygniatającej przewagi Niemców. Główną przyczyną porażki desantów był brak realnego wsparcia ze strony Armii Czerwonej; nieliczne zrzuty z samolotów i udostępnienie sprzętu przeprawowego niewiele znaczyły wobec siły przeciwnika. Gdyby marsz. Rokossowski użył w Warszawie przynajmniej kilku dywizji, które wysłał na północ, a artyleria i lotnictwo zostałyby skierowane do niszczenia niemieckich stanowisk, miasto mogło zostać zdobyte przez polsko-radzieckie jednostki już we wrześniu 1944 roku.

Nie tylko problemy polityczne przyczyniły się do klęski berlingowców. Żołnierze nie mieli wystarczającego doświadczenia w organizowaniu i prowadzeniu walk w mieście. Wszystkie poprzednie boje toczyli na otwartym terenie. Również sposób dowodzenia pułkami pozostawiał wiele do życzenia, choć trzeba przyznać, że zadanie postawione przed oficerami było bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe do zrealizowania.

Po bitwie gen. Berling zrzucił winę za porażkę na dowódcę 3. Dywizji gen. Stanisława Galickiego, którego odwołał ze stanowiska jeszcze w trakcie bitwy. Sytuacja była o tyle wyjątkowa, że to oficer polski zdymisjonował oficera, który przybył do polskiego wojska z Armii Czerwonej. Za całość operacji odpowiadał jednak dowódca, gdyż to jego rozkazy wykonywali podlegli oficerowie. 30 września 1944 roku na osobiste polecenie Stalina odwołano gen. Zygmunta Berlinga ze stanowiska dowódcy 1. Armii

WP. Nowym dowódcą został radziecki generał Władysław Korczyc.

To znamienne wydarzenie świadczyło o coraz większej sowietyzacji polskiej armii. Po wojnie narodziła się pewnego rodzaju legenda: szybko zaczęto opowiadać, że gen. Berling zapłacił stanowiskiem za próbę pomocy − wbrew rozkazom − powstańcom warszawskim. Taką interpretację wydarzeń podtrzymywał sam zainteresowany. Bez wątpienia oficjalnym powodem odwołania była jednak negatywna ocena dowódczych umiejętności gen. Berlinga, którą otrzymał ze sztabu 1. Frontu Białoruskiego − 21 listopada 1944 roku. W surowym i dalece tendencyjnym dokumencie stwierdzono, że wszystkie podjęte operacje zostały przeprowadzone niedostatecznie i wina za klęskę leży jedynie po stronie Polaków. Prawdopodobnie ocena ta miała uzasadnić potrzebę zmiany dowódcy armii, gdyż odwołanie gen. Berlinga nie zostało dobrze przyjęte przez polskich żołnierzy. Natomiast mogli być zadowoleni komuniści skupieni wokół ZPP i KRN, którzy nie tolerowali − co nie było tajemnicą − dowódcy 1. Armii WP.

W świetle dzisiejszych ustaleń bez wątpienia można przyjąć, że ani gen. Berling, ani żaden inny polski oficer tej armii nie mógł działać bez porozumienia z dowództwem radzieckim. Pozorna samodzielność polskiego sztabu podczas operacji desantowej w Warszawie wynikała raczej z cynizmu generalicji radzieckiej i Stalina, którzy posłali polskich żołnierzy na pewną śmierć, bez wsparcia własnych wojsk.

Generał Zygmunt Berling, po odwołaniu ze stanowiska dowódcy 1. Armii WP, nigdy już nie powrócił na front. Przeniesiono go do Lublina, gdzie w ostatnich miesiącach 1944 roku pełnił funkcję zastępcy Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego i zastępcy kierownika resortu obrony

narodowej. Był jednocześnie członkiem władz PKWN-u. Pomimo pełnienia tych funkcji jego wpływ na rozwój wydarzeń znacznie zmalał. W niespełna dwa miesiące po odwołaniu go ze stanowiska dowódcy 1. Armii został przymusowo skierowany na studia do Wyższej Wojskowej Akademii Sił Zbrojnych im. K. J. Woroszyłowa w Moskwie. Do Polski powrócił dopiero w 1947 roku i został pierwszym komendantem Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. W 1953 roku przeszedł na wojskową emeryturę.

Walki o Jabłonnę (10−29 października 1944)

Po zakończeniu walk o przyczółki warszawskie i ich ostatecznej ewakuacji, 1. Armia WP przeszła do obrony prawego brzegu Wisły. Wykrwawione pułki 3. Dywizji wycofano z pierwszej linii, zaś ich miejsce zajęły dywizje: 2. i 4.

O ile sytuacja na tym odcinku frontu została ustabilizowana, o tyle na północ od Warszawy, w międzyrzeczu Wisły, Bugu i Narwi, wciąż groził kontratak skoncentrowanych tam dywizji niemieckich wspartych korpusem pancernym. Wcześniejsze próby opanowania tego rejonu przez wojska radzieckie zakończyły się w sierpniu 1944 roku porażką pod Radzyminem; była to największa bitwa pancerna na ziemiach polskich podczas II wojny światowej (25 lipca−5 sierpnia).

Podczas gdy polscy żołnierze walczyli na warszawskich przyczółkach, marsz. Rokossowski wysłał na północ dwie armie wsparte korpusem pancernym. Wojska radzieckie nie zdołały jednak przełamać niemieckich linii i obie formacje zatrzymały się 20 września na linii Żerań−Nieporęt. Po uzupełnieniu sił, do których dodano polski 6. pułk piechoty z 2. Dywizji, wzmocniony bateriami dział pancernych

i artylerią − 10 października ponowiono próbę przerwania niemieckich umocnień. W operacji wzięły udział również polskie samoloty z 1. Mieszanej Dywizji Lotniczej. Po trzech dniach polskie natarcie zatrzymało się przy Kanale Żerańskim, by − po wzmocnieniu kolejnym pułkiem − ruszyć z atakiem na nowo. 24 października zdobyto brzeg Wisły między Żeraniem a Tarchominem. Wcześniej do walk włączyła się 1. Dywizja Piechoty, nacierająca od strony Białołęki, wspierana przez kompanię czołgów i artylerię. Po ciężkich walkach − 28 października polscy żołnierze weszli do Jabłonny, zaś czerwonoarmiści do Legionowa. Dalsze natarcie załamało się pod Chotomowem − z powodu zdecydowanego oporu niemieckich dywizji.

W październikowych bojach o Jabłonnę wzięło udział ponad 23 tys. polskich żołnierzy; straty wyniosły 1066 poległych i rannych. Mimo że Armii Czerwonej nie udało się do końca wyprzeć Niemców z dorzecza Wisły i Bugo-Narwi, operacja polskich jednostek na tym odcinku zakończyła się sukcesem, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę trudne warunki terenowe i zacięty opór nieprzyjaciela. Jednostki 1. Armii WP przyczyniły się tym samym do likwidacji zagrożenia na prawym skrzydle 1. Frontu Białoruskiego.

Udział Wojska Polskiego w operacji wiślańsko-odrzańskiej (styczeń−luty 1945). Zdobycie Warszawy (17 stycznia 1945)

Po walkach w rejonie Jabłonny i Legionowa − 1. Front Białoruski i działająca w jego składzie 1. Armia WP przeszły do obrony. Na olbrzymim obszarze działań bojowych, od Bałtyku do Karpat nastąpiło ustabilizowanie sytuacji, co potrwało około dziesięciu tygodni, do połowy stycznia 1945

roku. Tymczasem w Warszawie − przekształconej po upadku powstania w twierdzę − Niemcy rozpoczęli planowe niszczenie miasta, połączone z wysiedleniem ludności cywilnej.

12 stycznia 1945 roku rozpoczęła się operacja wiślańsko-odrzańska Armii Czerwonej, zwana również ofensywą styczniową. Na ogromnym terenie zgromadzono 33 armie polowe, 5 armii pancernych i 7 armii lotniczych, 10 samodzielnych korpusów pancernych i zmechanizowanych, 4 korpusy kawalerii oraz Flotę Bałtycką. Celem ofensywy było przełamanie obrony niemieckiej na północnym Mazowszu, w zachodniej Polsce i Czechosłowacji, a także wyjście na linię Poznań−Wrocław−Wiedeń, żeby zapewnić warunki do skutecznego uderzenia na Berlin.

W składzie najpotężniejszego 1. Frontu Białoruskiego działała 1. Armia WP; pod dowództwem radzieckiego generała Stanisława Popławskiego, który w grudniu 1944 roku przejął stanowisko głównodowodzącego po gen. Władysławie Korczycu i pozostał na nim do końca wojny.

Siły polskie liczyły na początku ofensywy styczniowej około 90 tys. żołnierzy i były przeznaczone do uderzenia na Warszawę − w momencie kiedy radzieckie armie oskrzydlały miasto od południa i północy. Polskie dowództwo spodziewało się ciężkich walk o zamienioną w twierdzę stolicę, jednakże w wyniku przełamania frontu przez radzieckie armie pancerne w pierwszych dniach ofensywy, Niemcy wycofali się z zajmowanych pozycji wzdłuż całej linii obrony na Wiśle.

17 stycznia 1945 roku z Karczewa i Magnuszewa, odległych wówczas od Warszawy o 40 i 80 km, ruszyło zgrupowanie uderzeniowe 1. Armii WP z zamiarem dotarcia do przedmieść stolicy i jej zdobycia. Wspomniane przełamanie frontu i wycofanie się Niemców z miasta

spowodowało, że 16 stycznia podjęto − nieplanowaną wcześniej − decyzję o skierowaniu na drugi brzeg skutej lodem Wisły 6. Dywizji Piechoty, stacjonującej na Pradze. W tym samym czasie 2. Dywizja Piechoty przeprawiła się przez Wisłę w okolicy Łomianek i weszła do Warszawy od północy, zaś 1. Brygada Kawalerii − od południa.

Wcześniejsze wycofanie się Niemców z miasta pozwoliło polskim żołnierzom na szybkie opanowanie stolicy. Zamiast oczekiwanej bitwy doszło do kilku potyczek z niedobitkami nieprzyjaciela, a łączne straty dwóch dywizji wyniosły 275 żołnierzy; w tym 79 poległych, głównie w wyniku wybuchu min.

Radość ze zdobycia stolicy Polski przytłumił obraz zrujnowanego miasta, prawie całkowicie opuszczonego przez ludność. Nastroju żołnierzy nie poprawiła nawet defilada zwycięskich oddziałów, na którą ściągnięto z Lublina przedstawicieli nowej władzy: prezydenta KRN Bolesława Bieruta, premiera Edwarda Osóbkę-Morawskiego i Naczelnego Dowódcę Wojska Polskiego gen. Michała Rolę-Żymierskiego. (mb)

RELACJE

Przez Wisłę, do Warszawy i dalej...

STANISŁAWA KUBIAK

29 czerwca 1944

Dosięgła mnie zemsta bogów! Wszyscy dostali awanse, oprócz mnie. Wiem, że byłam na liście. Walek Jewtiuchow mówi, że to zemsta majora Z. Może ma rację. Mnie tak specjalnie nie zależy na stopniach. Nie po to tu przyszłam. Żywię nadzieję, że jak swoje odwojuję, zamienię mundur na sukienkę. Tyle że nie wiem, czy tego dożyję, podobnie jak ci z licznymi gwiazdkami. I o co się tu targować? Może o parę groszy żołdu więcej. I tak tu do niczego nie są potrzebne. Nawet nie jest mi przykro z tego powodu. Dobrze że Nolek[2] dostał, bo on by to przeżywał, a jak go znam, to pewnie by się awanturował z naczalstwem.

[10 sierpnia 1944, w rejonie Magnuszewa]

Parę dni temu się przenieśliśmy. Wojaczka idzie na całego. Wspieramy naszych z 3. i 2. Dywizji i Rosjan. Żołnierze spisują się bardzo dobrze.

Od wczoraj (9 VIII) jestem dowódcą plutonu ogniowego. Cholernie dużo roboty. Mój poprzednik, młodszy lejtnant Kazurow, poległ. Żołnierze, przyzwyczajeni do komendy rosyjskiej, mają trochę trudności z moją − polską. Nolek jest p.o.[3] w pierwszej linii piechoty. Utrzymujemy stałą łączność. Nie widziałam go już tydzień.

19 sierpnia 1944

Jestem cholernie dumna z Nolka. Pisali o nim we wczorajszej gazecie − jak poderwał naszą piechotę do ataku.

Nie śpię już od trzech dni. Nie mogę usnąć, bo wciąż mi się wydaje, że Nolek prosi o ogień.

Śmieją się, że jak on woła o ogień, to można na haubicach rosół gotować – takie rozgrzane. Wymyślił to Wiktor Górko, sybirak, którego niedawno do nas przysłali. Bardzo fajny chłop, dowcipny i diabelnie inteligentny.

Nasz „gospodarz” bardzo zadowolony. Był u mnie na stanowiskach. Naszą baterię nazywa „małżeńską”.

Powiedział mi, że Nolka przedstawił do odznaczenia. Bardzo się cieszę, ale nie wolno mi tego powiedzieć Nolkowi. Tajemnica.

A swoją drogą, jaki miły ten nasz „gospodarz”. Umie oceniać ludzi, jest rozumny. Stary żołnierz.

[*Około 20 sierpnia*]

Wczoraj nas trochę potłukły szwabskie samoloty. Szczęście, że nic się haubicom nie stało. Żołnierze trochę nawalili. Ja też. Maskowanie złe. Widocznie pelotki[4] mają mało pocisków. Słabo strzelali. Szwaby zrzuciły parę bomb i odleciały.

To straszne uczucie, kiedy chce się strzelać, cel widoczny, a nie ma czym. Choć się powiesić!

Przeżyliśmy już taki moment pod Puławami. Byłam wtedy z Nolkiem na p.o. i daremnie wywoływaliśmy ogień. Fryce snuły się nam pod nosem. Nolek się zezłościł strasznie i wreszcie wezwał na pomoc pelotki. Waliły ogniem na wprost i nawet skutecznie. Okazało się, że nasi nie mieli pocisków.

Stale nas przestrzegają i nakazują oszczędność. Bijemy tylko do pewnych celów. O żadnych wiwatach nie ma mowy.

Jestem zmęczona. Już trzy dni nie rozbierałam się i tylko jeden raz myłam. O wodę teraz trudno i choć chłopaki chętne, nie mogę ich narażać na wędrówki. Oni też się nie myją. Tylko golą, bo nie pozwalam chodzić im z brodami.

Wtedy wyglądają jak diabły z podkrążonymi ślepiami, niewyspani, umorusani.

No cóż, wojenka daje w kość.

Dobrze, że nie mamy zbyt dużych strat. U Nolka na p.o. poległo dwóch i trzech jest rannych. Dziś ich zabrali sanitariusze z piechoty…

22 sierpnia 1944

Myślałam, że oszaleję, gdy telefonista powiedział mi, że Nolek ranny. Uspokoiłam się nieco, gdy usłyszałam jego głos. Nie chce, by go zmieniono, prosił tylko o dwóch dodatkowych żołnierzy, jodynę i bandaż. Dostał w ramię, ale podobno lekko. Czy to prawda? Opatrzyły go dziewuchy z piechoty rosyjskiej. Są blisko niego.

Meldowałam „gospodarzowi” i prosiłam, by wysłał mnie na p.o. zamiast Nolka, który by trochę wypoczął w baterii. Zgodził się, ale zanim się zebrałam, odwołał, bo podobno zmieniamy miejsce postoju…

Cofnęliśmy nieco nasze stanowiska, bliżej Pilicy (to dobrze, będzie bliżej po wodę). Dostałam od „gospodarza” pochwałę za sprawne zajęcie nowych stanowisk i naganę od Nolka za niedopilnowanie pociągnięcia łączności do p.o. Co prawda, to nie mój obowiązek, ale Nolek uważa, że jak nie ma go w baterii, powinnam wszystkiego dopilnować.

[…]

Jutro mają być rozkazy co do dalszych posunięć. Chyba pójdę na p.o. zamiast Nolka, a może razem z nim. Ramię boli go, nie może pisać ani rysować. Rana nieduża, ale trochę zaczęła się jątrzyć. Byłam z nim na opatrunku w sanbacie[5]. Lekarz mówi, że za trzy dni się zagoi. Teraz sama będę zmieniać mu opatrunki. Przy nim trzymam się, ale jak nie widzi, pochlipuję.

Około 9 września 1944 w rejonie przyczółka warecko-magnuszewskiego Stanisława Kubiak została ranna i trafiła do szpitala. W tym samym

czasie i miejscu zginął jej mąż − przyp. red.

JÓZEF DUBIŃSKI

Po jakimś czasie dotarliśmy do Puław i po krótkim odpoczynku − 8 sierpnia doszliśmy do linii frontu nad Wisłą. Tu po okopaniu się w sosnowym lesie, kilkaset metrów od brzegu Wisły, trafiliśmy na nasilone bombardowanie naszej przeprawy na przyczółek magnuszewsko-warecki. Naloty falowe trwały całą dobę […]. Noc ta pod względem widoczności podobna była do dnia.

Po ustaniu intensywnych nalotów − 10 sierpnia około godziny czternastej przystąpiliśmy do forsowania Wisły. Dzień był piękny i słoneczny, a gdy znaleźliśmy się na środku rzeki, nadleciała eskadra messerschmittów i z wysokości kilkunastu metrów pruli po nas z karabinów maszynowych. Forsowanie odbywało się na różnym sprzęcie: jedni na łodziach, inni na tratwach, a jeszcze inni na wiązkach szuwarów. Po przeprawieniu się na drugą stronę Wisły i ukryciu w nadbrzeżnych krzakach, okazało się, że mamy dwóch rannych: lekko w rękę − Jerzego Chożego i ciężko − szefa kompanii, którego już więcej nie widziałem.

Po sforsowaniu Wisły zbliżyliśmy się na kilkaset metrów do Pilicy, naprzeciw […] Warki. Tu przez ponad cztery tygodnie zmienialiśmy kilka razy stanowiska obronne i czyniliśmy przygotowania do przeprawy przez Pilicę. Niestety do planowanej ofensywy w tych dniach nie mogło dojść. Ze zrozumiałych względów − w Warszawie trwało powstanie. […]

Przygotowania do forsowania Pilicy skończyły się na zbudowaniu nad brzegiem rzeki tratwy (przez naszą

kompanię i przez inne), na kilku zaczepkach artyleryjskich i przeprawie „po język”. […]

Ten spokój sprzyjał również lotnictwu niemieckiemu, które nękało nas nalotami prawie każdego dnia. Messerschmitty z wysokości kilku metrów kosiły po naszych umocnieniach, a my czołgaliśmy się z kąta w kąt okopu łącznikowego. W takich to okolicznościach zbliżała się jesień. Po pierwszej dekadzie września w bezchmurne noce można było obserwować palącą się Warszawę. […]

Dopiero w nocy z 12 na 13 września otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia przyczółka […]. Podczas gdy nasza kompania wycofywała się do wsi odległej o kilka kilometrów od Pilicy, mnie polecono pozostać przy tratwie do chwili przyjścia zmiany, składającej się z wojsk radzieckich.

Noc była jasna, a ja zostałem sam przy tej tratwie nad Pilicą. Z drugiego brzegu wróg wyczuł jakiś ruch wojsk po naszej stronie i rozpoczął kanonadę z dział oraz moździerzy, a także ze skrzypaczy[6], tak zwanych waniuszy. Przeraziłem się trochę, bo myślałem, że ruszą do natarcia, a ja tu sam na pierwszej linii frontu. Godziny mijały, a Ruskich jak nie było, tak nie było. Bałem się, że w ogóle się nie zjawią, ale gdzieś przed czwartą nad ranem przyszli na zmianę. Z miejsca pobiegłem do swoich. Znowu się bałem − tym razem, że już nie zastanę swoich, ale wszystko dobrze się skończyło. Prawie w chwili mojego przybycia jednostka szykowała się do przeprawy mostem pontonowym za Wisłę.

Nad ranem 13 września wyruszyliśmy tyłami przez Otwock, 14 września o godzinie dwudziestej drugiej dotarliśmy na Saską Kępę, do ogrodów między mostem Poniatowskiego i ulicami Francuską i chyba Zwycięzców. Po zbliżeniu się do wału ochronnego, weszliśmy w zasieki z drutu kolczastego. I tu spotkała nas wielka niespodzianka

i ogromne zdziwienie. W nocnych ciemnościach stanęło przed nami troje ludzi, dwie kobiety i mężczyzna. Była to delegacja powstańców, której zadaniem było nawiązanie kontaktów z dowództwem naszej armii, by prosić o pomoc dla walczącej Warszawy. Okazało się, że ci młodzi ludzie przedarli się przez pozycje niemieckie, przepłynęli Wisłę wpław i trafili w ten sposób na naszą kompanię. Prosili, by ich skierować do sztabu generała Berlinga. Podobna delegacja przepłynęła na naszą stronę w tym samym miejscu w nocy z 15 na 16 września i również została skierowana do sztabu naszej armii. Z tą pierwszą delegacją prowadziliśmy rozmowy. Podziwialiśmy ich za to, że przedostali się przez linię wroga i przepłynęli Wisłę niezauważeni. Wyjaśnili nam, jak to zorganizowali. Pokazali swoje placówki, które jako tylne straże ubezpieczały ich przeprawę. Pokazali na swoich placówkach czerwone światełka, które miały być sygnałem dla jednej i drugiej strony.

Po zajęciu pozycji w odległości 50−70 metrów od wału ochronnego i może stu metrów od mostu Poniatowskiego − do rana okopaliśmy się na stanowiskach. Gdy tylko zaświtało, poszedłem do opustoszałych kamienic, żeby znaleźć coś do jedzenia. Mieszkania były puste i niczego do jedzenia nie znalazłem, ale wróciłem z półlitrówką koniaku i używanymi trzewikami, w lepszym stanie niż moje.
W promieniach wschodzącego słońca zacząłem zmieniać buty. Ja nakładałem te zdobyczne, a Władek Sokoliński moje, bo były lepsze niż jego.

Z okopów powychodzili koledzy i w porannym słońcu tak sobie gwarzyliśmy. A tu… W jednej chwili… Ni stąd, ni zowąd spadło na nasze stanowisko pięć, sześć pocisków moździerzowych 81 mm, wystrzelonych przez Niemców gdzieś z drugiej strony Wisły. I ta sielanka w promieniach

wschodzącego słońca zakończyła się przykro: Władek Sokolnicki został ciężko ranny w plecy, a ja − lekko w piętę. Władek już nie wrócił do kompanii. […] Mnie, po zabandażowaniu nogi, pozostawiono na linii frontu.

Chyba w trzecim dniu pobytu na Saskiej Kępie, w nocy z 15 na 16 września przegrupowano nas na przedpole Czerniakowa, do wspierania desantu 9. pułku naszej dywizji, którego zadaniem było zajęcie przyczółka po drugiej stronie Wisły i umożliwienie przeprawy dalszym jednostkom. Z kolei celem tych oddziałów miało być wsparcie powstańców. Tej samej nocy okopaliśmy się i wspieraliśmy ogniem naszych moździerzy przeprawę na przyczółek. Nad samym ranem Niemcy wykryli nasze stanowiska i puścili po naszych pozycjach serie min z moździerzy. Ciężko ranny został mój najlepszy kolega Wiktor Tytus, który pełnił funkcję celowniczego w naszej drużynie. Odłamek trafił go w nerkę i na pewno zmarł w szpitalu, bo nie było od niego żadnych wiadomości […]. Został też całkowicie zniszczony nasz moździerz.

[…]

Na drugi dzień po zajęciu przyczółka czerniakowskiego nastąpiła cisza i bezruch z naszej strony. Zabrano nam dowódcę naczelnego − generała armii Zygmunta Berlinga i dowódcę naszej dywizji generała Stanisława Galickiego. Ich nieobecność tłumaczono wyjazdem na szkolenie do Moskwy. Brak dowództwa i wsparcia oddziałów na przyczółku oraz kompletny bezład i ciszę z naszej strony − wykorzystał wróg. Niemcy zepchnęli naszą przeprawę do Wisły i wytopili krzyżowym ogniem większość załogi.

[…]

Po tych zajściach, wieczorem tego samego dnia wróciliśmy na poprzednie stanowiska na Saską Kępę i tu na drugi dzień, to jest 18 września, przed zachodem słońca

przeżyliśmy parę minut wielkiego strachu i zarazem złudnej radości. A wszystko zakończyło się uczuciem rezygnacji i zawodu. Pod wieczór, gdy słońce już zachodziło nad Warszawą, od zachodu na wysokości około pięciu tysięcy metrów ukazało się kilka eskadr ciężkich samolotów transportowych. Początkowo myśleliśmy, że to bombowce niemieckie i artyleria na naszych tyłach rozpoczęła kanonadę w ich kierunku. Trwało to jednak bardzo krótko. Ukryliśmy się w okopach, w obawie przed nalotem na nasze pozycje. Sprawy przybrały jednak inny obrót. Gdy samoloty znalazły się nad Warszawą, zaczęto z nich spuszczać na spadochronach ładunki, które z dużej odległości wyglądały jak ludzkie postaci. Wywołało to w naszych oddziałach szał radości… z przybycia armii generała Andersa na pomoc powstaniu warszawskiemu. Wyskoczyliśmy z okopów, wiwatując, że nareszcie przyszła pomoc dla […] Warszawy. Niestety radość trwała krótko, zwłaszcza w naszej kompanii. Po pierwsze – nie była to armia Andersa tylko broń, lekarstwa i żywność. Po drugie − odsłoniliśmy się, skacząc w euforii po okopach, co wykorzystali Niemcy i puścili po nas serię pocisków z waniuszy […].

Przerwa w boju (wrzesień 1944, Warszawa, Praga, ul. Brzeska). *Fot. Józef Rybicki*

W pierwszych dniach pobytu na Saskiej Kępie kapral w średnim wieku przyprowadził do naszej kompanii pięciu chłopców z rocznika 1928. Utworzono z nich drużynę łączności, na czele z tym kapralem. Byli to partyzanci należący dotychczas do Batalionów Chłopskich na terenie Lubelszczyzny. Jeden już na drugi dzień poszedł na sprawdzenie przewodu telefonicznego, a kiedy długo nie wracał, posłano mnie z kolegą, żeby sprawdzić, co się stało.

Poszliśmy tą samą ścieżką i około trzystu metrów od naszych stanowisk znaleźliśmy go − leżał jeszcze z zaciśniętym przewodem w garści, ale już nie żył. Był cały potargany odłamkami z pocisku moździerzowego, który rozerwał się tuż obok niego. Pochowaliśmy go przy ul. Zwycięzców.

W rejonie Warszawy krążyliśmy do 12 stycznia. Najpierw zajmowaliśmy pozycje obronne na Pradze, obok cerkwi prawosławnej, potem na Targówku, w grudniu na Bródnie, a od ostatnich dni grudnia aż do 12 stycznia − na Choszczówce. Trwaliśmy na pozycjach obronnych, często zmienialiśmy stanowiska i kopaliśmy po kilka linii zapasowych. Żyliśmy dzień i noc w ziemiankach, na patrolach, na straży w okopach.

Sylwestra 1944 roku obchodziliśmy w ziemiankach na Choszczówce. Około godziny dwudziestej z niemieckiej strony jakiś kapral z naszego pułku wzywał nas do poddania się i przejścia na stronę wroga. Tłumaczył, że i tak nasze ziemie oddali Ruskim, że Niemcy dają dobrze jeść i że naszych jeńców dobrze traktują. Przemawiając do nas przez niemiecką tubę, podał nawet swoje nazwisko, imię oraz stopień wojskowy.

Po odpoczynku w leśnych ziemiankach na Choszczówce, 12 stycznia wyruszyliśmy w pełnym rynsztunku bojowym do przemarszu poza Warszawę; bez spania i odpoczynku, przy dwudziestostopniowym mrozie. Wieczorem 16 stycznia podeszliśmy na bliską odległość do Wisły, w rejon Góry Kalwarii. Zmęczeni drogą bez snu i ciepłej strawy, zasypialiśmy oparci o karabin lub drzewo. Czekaliśmy w ostrym pogotowiu na rozkaz forsowania rzeki.

Po północy z 16 na 17 stycznia ruszyliśmy do natarcia − po lodzie śliskim jak szkło i w ciemnościach oraz wielkiej obawie, by nie natrafić na przeręblę po pocisku artyleryjskim. Udało nam się przejść szczęśliwie i bez żadnych strat. Natomiast zmęczenie dawało o sobie coraz bardziej znać. W dalszym marszu na […] Górę Kalwarię, drogą wśród łąk i krzaków moczarowych, […] ludzie byli tak zmęczeni, że spali, idąc; kilku wpadło do przydrożnego rowu i zmoczyło się do nitki. […] Po dojściu do jakiegoś

drewnianego domu bez podłogi, który przed kilkoma godzinami opuścili Niemcy, rozpaliliśmy na środku pokoju ognisko, by się ogrzać i wysuszyć odzież. Ktoś skorzystał z chwili nieuwagi Chuńskiego i ukradł mu buty. My mieliśmy trochę uciechy, ale biedny Chuński musiał w dalszym marszu owijać nogi szmatami, aż w jakiejś wsi zlitował się nad nim ktoś i podarował mu buty.

W Górze Kalwarii, w której znaleźliśmy się wczesnym rankiem, przywitał nas na rynku starszy człowiek. Wyglądał, jakby go z komina wyjęli. Klęknął przed nami i ręce złożył jak do modlitwy. Wyjaśnił, że przez kilka miesięcy ukrywał się w piwnicy. Wieczorem 17 stycznia wkroczyliśmy do Warszawy, a właściwie do gruzów, które pozostały z miasta. Razem z nami ciągnęła do stolicy ludność cywilna, nie zważając na ciężkie warunki atmosferyczne (silny mróz) i na to, że Warszawa jest […] zniszczona. W Warszawie nie znaleźliśmy miejsca, w którym można byłoby uchronić się przed dwudziestostopniowym mrozem i chociaż parę godzin przespać po tygodniowym trudzie. W ocalałych od całkowitego zniszczenia budynkach nie było okien ani drzwi. Nawet w piwnicach szalały mróz i przeciągi. Nie pomogło zasłanianie otworów szafami i deskami. A była to już piąta doba bez snu i w ciągłym marszu. […]

W Warszawie nie zagrzaliśmy miejsca. Już nad ranem wyruszyliśmy w pościg za cofającą się armią niemiecką.

DANIEL RUDNICKI

W pierwszej dekadzie września przeniosłem się spod Garwolina już zupełnie blisko pod Warszawę, do Świdra koło Otwocka, niecałe 30 kilometrów od domu rodzinnego, do którego dostęp zagradzała jednak linia frontu, przebiegająca gdzieś pod Radością.

Jednak niespodziewanie szybko dostałem się do […] kamienicy na Targowej, w której do września 1939 roku mieszkałem z rodzicami. Po wkroczeniu naszych wojsk na Pragę uprosiłem dowódcę baonu, by pozwolił mi pojechać i dowiedzieć się, co z rodzicami. Było to 15 września, drugiego dnia walk na Pradze − Niemcy bronili się jeszcze na Saskiej Kępie i zajmowali most Poniatowskiego. Sztodrem[7] udało mi się dojechać do punktu kontrolnego przy pętli tramwajowej na Gocławku, a stamtąd poszedłem do fabryki Wedla, kuląc się pod murami przed pociskami artyleryjskimi z drugiej strony Wisły.

Dalej, do domu na rogu Targowej i Kępnej, gdzie zostawiłem najbliższych pięć lat temu, nie było już drogi wolnej. Trzeba było przedostać się przez placyk przy skrzyżowaniu Zamoyskiego, Targowej i Zielenieckiej; placyk gęsto polewany ogniem moździerzy i seriami kaemów z wieżyczek mostu Poniatowskiego. W bramie Wedla walczyły we mnie chyba z pół godziny dwa uczucia – strach przed tą barierą ognia i chęć dowiedzenia się, co z rodziną. Strach − bo nie chciałem umrzeć dosłownie na progu domu. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak to się stało, że przebiegłem te 150−200 metrów nieosłoniętej przestrzeni. Wreszcie znalazłem się przed dobrze znaną mi bramą.

Polski sierżant w otoczeniu kobiet i dzieci (wrzesień 1944, Warszawa, Praga, ul. Brzeska). *Fot. Józef Rybicki*

W tej […] scenie powrotu żołnierza do domu po długich, ciężkich latach nie było nic z ckliwego, taniego banału. W bramie zastałem jakieś nieznane mi kobieciny w kraciastych chustkach narzuconych na plecy. Widocznie zamieszkały podczas okupacji w pożydowskich mieszkaniach. Otaczały jakiegoś radzieckiego podoficera, solidnie podpitego i awanturującego się nie wiadomo o co. To samo małe kwadratowe podwórko co pięć lat temu, okna mieszkań pozamykane, pozasłaniane kocami, nad drzwiami do warsztatu ojca obcy szyld. Staruszka, dozorczyni Rosnowa, z miejsca poznała żołnierza, którego nosiła na ręku, kiedy był dzieckiem. Witając się, jednym tchem przekazała mi wiadomość:

− O, pańscy rodzice już nie żyją. Ostatni raz widziałam matkę w getcie w czterdziestym drugim roku. Była bardzo chora. Nosiłam jej czasami chleb i cukier. Tylko martwiła się o pana, jedynego syna. Zawsze płakała przede mną, że chciałaby pana jeszcze zobaczyć. A starszą siostrę zabrali, wie pan, Niemcy w czterdziestym roku, do Oświęcimia. A u was taka jedna Waligórska mieszka, zamieniła się mieszkaniem z pana rodzicami w czterdziestym roku. A może ma pan chleb albo konserwy do sprzedania? Bo wczoraj był tu u nas jeden Rosjanin, wszystko na bimber wymienił…

Nie słuchałem dłużej, pobiegłem do mieszkania, przepraszam, do byłego mieszkania. Na klatce schodowej przystawałem na każdym piętrze. Dotykałem wytartej poręczy, na której tak lubiłem zjeżdżać − niejeden raz dostałem pasem za porwane na poręczy spodnie. Patrzyłem na parapet okna, na którym flirtowałem na migi z sąsiadką z naprzeciwka − moją rówieśnicą śliczną Danką Lewandowską. […] Oglądałem plamy na ścianie po wytarciu nieprzyzwoitych rysunków i napisów Ryśka Woźniaka. Wreszcie stanąłem przed drzwiami z numerem osiemnaście − ale już z inną tabliczką, nie! Rudnicki. Zadzwoniłem. Nie odezwano się.

Dzwonię po raz drugi, głośniej.

− Kto tam znowu?

− Proszę otworzyć! Tu żołnierz...

− A co Pan chce?

− Może pani otworzyć? Ja tu mieszkałem do wojny…

− No to co? Mieszkał pan, a teraz już pan nie mieszka!

Osłupiałem! To chamstwo było zbyt szokujące, abym miał krzyczeć… Łagodnie, najuprzejmiej w świecie jeszcze raz poprosiłem – wciąż za drzwiami, z krtanią ściśniętą przez łzy − aby mi pozwolono choć na chwilę wejść do

mieszkania, w którym się urodziłem, w którym przeżyłem z najbliższymi osiemnaście lat… Ubłagałem.

W pokoju te same tapety, podłoga, żyrandol, balkon. Oglądałem, patrzyłem – może dwie, może trzy minuty. Raptem zerknąłem na zegar – czas było już wracać do Świdra, nic tu więcej nie miałem do roboty…

Wyszedłem na Targową z kompletną pustką w głowie − ani zły, ani smutny, po prostu zupełnie apatyczny, obojętny, […], jakby to ktoś inny dowiedział się przed chwilą, że stracił rodziców.

W międzyczasie na przejeździe koło Zielenieckiej ustawiono już wysoki płot z desek. Pojedynczy ludzie mogli już tędy bezpieczniej i łatwiej przechodzić. Z daleka zobaczyłem przy „Wedlu” jakieś zbiegowisko. Ludzie tłoczyli się pod murowanym parkanem między Zieleniecką a stawem Kamionkowskim. Niektórzy przełazili przez płot w fabryce. Kanada![8] Znaleziono cały kocioł z melasą czekoladową i ersatz-rumem. Wdrapałem się i ja przez mur – zaledwie kilkanaście minut potem, kiedy się dowiedziałem, że nie mam już ojca i matki. Dlaczego? Nie wiem! Nie jestem psychologiem ani literatem. Fakt, że tak było.

W Świdrze zorganizowałem w batalionie uroczysty obchód pierwszej rocznicy bitwy pod Lenino. Do wygłoszenia przemówienia zaproszono również miejscowego proboszcza, staruszka. Księżulo mówił po moim referacie. Przypomniał żołnierzom i ludności cywilnej, że w ubiegłym roku polskie wojsko rozsławiło swój oręż pod Orszą […]. No cóż, byliśmy wtedy na takim etapie!

U wyzdrowieńców robiło mi się coraz ciaśniej. Wydawało mi się, że jako tako wróciłem do zdrowia, a stać mnie było na coś więcej niż praca w kompanii, w jednostce głęboko na tyłach. Wtedy to przystąpiłem do walki, która miała

zakończyć się powodzeniem dopiero na początku kwietnia [19]45 roku.

Na razie osiągnąłem to, że skierowano mnie na kurs lektorów-instruktorów pułkowych przy Zarządzie Polityczno-Wychowawczym 1. Armii w Zielonej, koło Rembertowa. Bezpośrednio po kursie 11 listopada 1944 roku dostałem wreszcie awans na chorążego i nowy przydział służbowy. Ale nie, broń Boże, do prawdziwego wojska, nie! Przydzielono mnie do 6. szpitala lekko rannych 1. Armii, stacjonującego w Otwocku, na terenie przedwojennego żydowskiego szpitala dla umysłowo chorych […]. Jednym słowem − zamienił stryjek siekierkę na kijek. Szedłem na formalne stanowisko szefa klubu.

[…]

17 stycznia 1945 roku znalazłem się w Warszawie. Co prawda fuksem. A było tak: z samego rana miałem pojechać do Parczewa lub Pilawy, nie pamiętam już dokładnie, by w magazynie Zarządu Polityczno-Wychowawczego 1. Armii WP pobrać bieżące, przypadające na rozdzielnik, materiały. Stanąłem więc na skrzyżowaniu szosy lubelskiej i odnogi prowadzącej do Otwocka, licząc na jakiś samochód w kierunku Lublina[9].

Na szosie panował niezwykły ruch – naraz pojawiło się dużo czołgów, artylerii, samochodów, piechoty, taborów. Wszystko nieprzerwanie ciągnęło ku Pradze. Nie było w tym nic nadzwyczajnego – od dwóch, trzech dni na froncie trwała ofensywa […].

Z przejeżdżającego otwartego studebakera wychyla się do grupy stojących na KP[10] „sojuszników” młody bojec i z uśmiechem od ucha do ucha wrzeszczy ni to serio, ni na żarty: „Nu, kak, jediem w Warszawu, uże oswobożdionnaja!”[11].

Stanąłem, jakby mnie ktoś drągiem w łeb trzepnął… Zapomniałem o jeździe pod Lublin, machnąłem na wszystko ręką, wskoczyłem na jakąś ciężarówkę i w ciągu pół godziny byłem na Pradze, na rogu Targowej i Zygmuntowskiej. Biegiem prawie dotarłem do wysadzonego w powietrze mostu Kierbedzia, wzdłuż którego przez zmarzłą Wisłę doszedłem do płonącego jeszcze domu Schichta[12].

Potem przez Mariensztat, przez gruzy zerwanego wiaduktu Pancera na Nowym Zjeździe, dokonując nie lada wyczynów akrobatycznych − dotarłem do dzwonnicy kościoła św. Anny i placu Zamkowego. Kolumna Zygmunta leżała rozbita na kilka kawałków, a połowa posągu króla, z odrąbaną głową i połamaną szablą, poniewierała się w jakimś rowie, wśród mebli, pierzyn, naczyń kuchennych.

W mieście widocznie jeszcze toczyła się walka z Niemcami – rzadko pękały granaty, krótko i zajadle terkotały kaemy, tu i ówdzie strzelano z karabinów.

I naraz odczułem, że nie ma nic, absolutnie nic, co by przypominało dawną Warszawę. Była tylko kupa gruzów, którą należałoby otoczyć drutem kolczastym i w przyszłości pokazywać ludziom, że na tym miejscu stała kiedyś stolica. Właściwie nie wiedząc po co, poszedłem jeszcze Krakowskim Przedmieściem. Usiłowałem po drodze uporządkować tłoczące się do głowy myśli, oswoić się ze świadomością, że nie ma już mojego miasta.

Dochodzę do uniwersytetu. Z bramy wychodzi jakiś młodzieniec, niosąc pod pachą wielkie kryształowe antyczne lustro. Tak, pierwsi cywilni warszawiacy, których spotkałem w mieście, to byli szabrownicy! Zatrzymuję faceta, każę mu natychmiast odnieść lustro tam, skąd je wziął. Krzyczy:

− Co pan chce, żeby inni zabrali? Mało tego, że mi się mieszkanie spaliło w powstaniu, to jeszcze głupiego mebla nie można sobie wziąć?!

Uspokoił się dopiero na widok wyciągniętego pistoletu…

Przy cokole Kopernika z niemieckim napisem […] skręcam w uliczkę do Teatru Polskiego. O dziwo, na tej pustyni wypalonych murów budynek pozostał nienaruszony! Mało tego, wchodzę do foyer, gdzie spotykam woźnego w przedwojennej liberii!

Poczęstowałem go fasowanymi wolnościami[13] i zapytałem, co on tu właściwie robi? Nic. Od kapitulacji siedział tu sobie cały czas w teatrze. Usługiwał trochę Niemcom, którzy jeszcze wczoraj tu spali, bo podczas okupacji był tu kabaret dla *Mannschaft*[14].

Wszedłem z nim na widownię. Porąbane krzesła, zerwana wspaniała kurtyna, podłoga zarzucona śmieciami, skrzyniami. Nagle woźny jakby sobie coś przypomniał:

− O, dobrze, że pan porucznik przyszedł. Szkopy tu zostawiły jakieś druty za sceną. Nie chcę tego ruszać, bo nie wiem, co to jest. Może pan będzie łaskaw zobaczyć?

Zaprowadził mnie za kulisy. Rzeczywiście, pomiędzy stosami dekoracji z dykty i tektury biegł jakiś przewód, podobny do polowego drutu telefonicznego. Co prawda guzik się na tym znałem, ale to mogło być coś niebezpiecznego. Na wszelki wypadek uprzedziłem woźnego, że teatr może być zaminowany, radziłem mu opuścić gmach i obiecałem, że przyślę tu saperów.

Po saperów poszedłem do komendy miasta, mieszczącej się wówczas w jednym jedynym domu w Warszawie, w którym były w oknach szyby – w Prezydium Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Ale już przy Królewskiej natknąłem się na kilku minierów radzieckich, którym opowiedziałem o tajemniczych drutach w teatrze

i poprosiłem, by koniecznie zajrzeli tam i sprawdzili, czy gmach nie jest czasem zaminowany. To wszystko.

JÓZEF FRANCZAK

Kiedy dowiedzieliśmy o wybuchu powstania w Warszawie, w naszych szeregach zapanował nieopisany entuzjazm. Z ogromną niecierpliwością czekaliśmy na sygnał, żeby wyruszyć na odsiecz walczącym rodakom. Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że może nas spotkać taki zawód. […]

Doszliśmy więc do tej rzeki, o której śpiewaliśmy w piosence: „pójdziemy, dojdziemy…”. Nie wiedzieliśmy jednak, że stanie się dla nas przeszkodą nie do pokonania i będziemy musieli patrzeć bezsilnie, jak na naszych oczach kona, rozpaczliwie walcząca, bohaterska Warszawa. Na razie jeszcze wierzyliśmy, że będzie inaczej.

W nocy z 14 na 15 września wylądowały na Czerniakowie dwie kompanie naszej dywizji, a później reszta batalionu. Nie zapomnę nigdy pierwszego spotkania z powstańcami! Porucznik Olechnowicz zebrał nas kilkunastu ze swojego batalionu i nocą przeprawiliśmy się na tratwie z belek przez Wisłę, kierując się na migocące światełka. Znalazłszy się po drugiej stronie, przekradliśmy się do stanowisk powstańców głębokimi rowami, z których trudno było wyjść, tak silnie Niemcy prażyli ogniem.

Defilada wśród ruin (19 stycznia 1945, Warszawa). *Wojskowa Agencja Fotograficzna, z kolekcji zdjęć z II wojny światowej dr. Marka Tuszyńskiego*

Powstańcy: brudni, obdarci, z wyglądu u kresu sił − bardzo byli rozczarowani, że oddaliśmy im tylko tę broń, którą mieliśmy przy sobie, że nie przywieźliśmy więcej. Ale skąd mieliśmy ją wziąć? Niewiele więc mogliśmy pomóc, a sami ponieśliśmy ogromne straty. Z powrotem na nasz brzeg wróciło nas tylko czterech czy pięciu, już dobrze nie pamiętam.

Przez rzekę przeprawialiśmy się wpław, w samych slipkach, wśród chlupotu padających wokoło kul. Uratowaliśmy wprawdzie życie, ale z miejsca podpadliśmy naczalstwu. Rzucili się na nas sowieccy żołnierze z krzykiem: „Kto wy? Giermańcy?”. Nie pomagały tłumaczenia, bo nie mieliśmy dokumentów ani żadnych dowodów, że nie jesteśmy szpiegami…Wsadzono nas do

piwnicy zalanej wodą. Siedzieliśmy tam do rana, pilnowani przez bojców z karabinami i z pewnością czekałby nas smutny koniec, gdyby nie to, że Olechnowicz posłyszał przez piwniczne okienko znajomy głos majora Szczagiela. Ale było jeszcze wiele perypetii, zanim Ruscy zgodzili się nas wypuścić i zaprowadzili do *sztaba*, gdzie wydano nam nowe dokumenty i mundury.

A potem już tylko patrzyliśmy z przygnębieniem i rozpaczą na dogorywającą Warszawę. […] W styczniu 1945 roku weszliśmy do Warszawy, a raczej do miejsca, które było kiedyś stolicą i otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do defilady. Idąc w stronę trybuny przez upiorne wąwozy wypalonych ulic, zobaczyliśmy na trasie przemarszu grupkę kobiet, trzymających wysoko wzniesiony do góry polski sztandar. I wtedy padł rozkaz: „Na prawo patrz!”. Ścisnęło mnie coś za gardło, ale zaraz wzdrygnąłem się, bo usłyszałem niezadowolony głos: „Co się wygłupiacie, przecież to nie trybuna!”. Odpowiedział ktoś na to z wyrzutem: „A nie widzisz, że to najprawdziwszy sztandar? Z Matką Boską!”.

Za chwilę znaleźliśmy się przy trybunie i znowu padł rozkaz: „Na prawo patrz!”. Wykonaliśmy go rutynowo i przeszliśmy obok trybuny, nawet nie patrząc, kto na niej stoi. Czekaliśmy tylko na słowa: „Spocznij, rozejść się”. Kiedy to nastąpiło, całą hurmą rzuciliśmy się z powrotem, żeby odnaleźć te wspaniałe polskie kobiety, które w zrujnowanej Warszawie powitały nas tak pięknie; nas − rodaków, zesłańców, polskich żołnierzy. Nikogo już jednak nie znaleźliśmy; kobiety w międzyczasie odeszły.

ANDRZEJ REY

Po dwóch dobach podróży przez Łuków i Siedlce dojeżdżamy do Warszawy. Wysiadamy na Dworcu

Wschodnim na Pradze. Tutaj jeszcze kręci się trochę cywilów, za to most pontonowy zapchany już tylko wojskiem. Mosty leżą w wodzie. Z daleka widać sterczące z Wisły filary [mostu] Poniatowskiego. Zamku już nie ma.

Od Nowego Zjazdu idziemy w górę skarpy stromą ścieżką na plac Zamkowy, gdzie leżą w śniegu król Zygmunt z krzyżem i złomy kolumny, a tuż przy nas rdzewieje na stanowisku niemiecki cekaem. Z morza ruin sterczy tylko jak bezkształtna skała kościół św. Anny. Tam, gdzie kiedyś było Stare Miasto, wznoszą się ażurowe mury katedry św. Jana, przez które widać białe, zimowe niebo.

Krakowskie Przedmieście to wciąż ulica wśród ruin, ale Nowy Świat przypomina raczej wąwóz z wydeptaną w gruzie i śniegu ścieżką, którą trzeba wspinać się w górę, ześlizgiwać w dół i znów wspinać − w miarę jak się przekracza zwalone na ulicę domy. Na rogu Alej Jerozolimskich stoi jeszcze czarny, wypalony do cna gmach Banku Gospodarstwa Krajowego. W Alejach − w perspektywie nie ma już nic, prócz ruin zasnutych śniegiem. Sterczą tylko czasem poszarpane mury zwalonych domów. Gdzieś na wysokim piętrze widać kawałek pokoju − w rogu zasypany śniegiem fotel, a zdarta różowa tapeta łopocze na wietrze jak proporzec.

Oficerowie nie znają miasta, więc ja prowadzę kompanię. Przez plac Trzech Krzyży i Aleje Ujazdowskie do placu Zbawiciela, gdzie kłują niebo wieże kościoła, obok spalonego gmachu politechniki, alejami 6 Sierpnia i Niepodległości dochodzimy do Pola Mokotowskiego, na którym − przy ruinach Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego − jest punkt zbiórki.

Urywam się i idę przez Pole Mokotowskie ścieżką na przełaj, w kierunku widocznej z daleka wieży kościoła św. Jakuba. Przez cały czas fotografuję oczami widoki

Warszawy w gruzach. Nigdy ich już nie zapomnę. Nasz dom przy ulicy Adama Pługa stoi spalony i czarny. W bramie napisy na murach informują, że taki a taki jest w Radomiu, Skarżysku, Częstochowie… Drapię kawałkiem szkła na sadzy: „Idę na front, luty 1945” i podpis. Nie wiem, którego lutego, straciłem rachubę czasu.

Na placu Narutowicza siedzi przekupka z koszykiem bułek… Mój Boże, ta sama! Babina patrzy na mnie, poznaje i padamy sobie w objęcia. […]

Kwaterujemy przez kilka dni w szkole w Pruszkowie. Zbieramy węgiel na torach kolejowych dla rodziny woźnego, inwalidy z 1920 roku, cichego, starszego człowieka. W zajmowanej przez nich izbie, pod obrazem Częstochowskiej Panienki wisi legionowy orzełek i Krzyż Virtuti Militari. Stary socjalista opowiada nam dawne dzieje: o towarzyszach, Daszyńskim i Piłsudskim, Legionach i cudzie nad Wisłą. I o tym, jak jego jedynego syna, wyratowanego z warszawskiego powstania, „zabrały ubeki” i przepadł bez wieści. „Babcia”, żona woźnego, obszywa mi epolety biało-czerwonym sznureczkiem, na znak cenzusu (matury). Tak więc znów jestem podchorążym i tak już zostanie.

Przy stojącym transporcie dostaję pluton: około 35 starszych wiekiem chłopów, Białorusinów z okolic Nowogródka. Siedzą w wagonie dookoła piecyka kozy i nucą coś bardzo melodyjnego i tęsknego: „Kak zwieniała zelenaja kruczyna…”[15], a ja z nimi. Koła towarowego wagonu stukają leniwie. Leżymy pokotem na słomie i odmawiamy wieczorną modlitwę, powtarzając za Starykiem: „Hospody, Spasie, pomyłuj”[16] nam, grzesznym ludziom, którzy cię prosimy w bliskiej godzinie naszej śmierci, „pomyłuj, Spasie…”.

[…] Jest mi dobrze i spokojnie wśród tych prostych, zacnych ludzi, którzy tak wierzą w Boga, jak oddychają. Udziela mi się ich rezygnacja, która nie jest fatalizmem, ale ufnym zdaniem swego losu na wolę Bożą. Jedziemy na front.

Struktura społeczna mojego plutonu odbiega znacznie od przewidzianej przez regulamin wojskowy. Ja jestem dowódcą, tego nikt nie kwestionuje. Żołnierze mówią do mnie: „pane podchorąży", ale prywatnie często: „synok", bo jestem od nich o wiele młodszy. Autorytetem w tej grupie jest Staryk[17], około pięćdziesięcioletni chłop z siwiejącą brodą i mądrymi oczami. To on załatwia, bez mojego udziału, sprawy bytowe: pobudkę i capstrzyk, dyżury przy kozie, gotowanie kaszy. To on arbitruje spory i godzi zwaśnionych, ale przede wszystkim przewodniczy wieczornej modlitwie. Naradzam się z nim, korzystam w pełni z jego doświadczenia i mądrości życiowej. Czuję, że zdobyłem ich sympatię i przyjęli mnie do swojej grupy dzięki temu, że nie narzucam im więcej dyscypliny wojskowej niż koniecznie trzeba, że szanuję ich wzajemne układy i obyczaje i wreszcie dlatego, że im opowiadam.

Zaczęło się to w Łodzi, gdzie staliśmy wiele godzin na bocznym torze. Nie wolno się było rozchodzić i tak się złożyło, że zacząłem im opowiadać o Warszawie − nie o tej w gruzach, którą widzieli, ale o tej mojej, pełnej życia, walczącej Warszawie lat okupacji. Mówiłem też o królu Zygmuncie, którego posąg widzieli leżący w śniegu, o „swiatym, wyłykim kniaziu Kazimierzu"[18], który z Wilna władał Litwą i Rusią, o królach i hetmanach, o potędze i chwale Rzeczpospolitej Obojga Narodów, a też o jej upadku i niewoli, powstaniach i Sybirze, i o tym, jak zmartwychwstała.

Mówiłem wolno i wyraźnie, po polsku i ukraińsku, a oni siedzieli zasłuchani, kiwali głowami, że mnie rozumieją, pytali i chcieli ciągle jeszcze tego bajania, na którym zeszło nam wtedy i później wiele godzin.

Mieli ci moi żołnierze jedną tylko wadę − gdy pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji czy w szczerym polu, rozłazili się natychmiast po torach i przykopach. Każdy z nich, ilu ich było, musiał coś, cokolwiek, przynieść do wagonu. Na razie bez miłosierdzia wyrzucałem te skarby. To wojsko − czy nie wojsko?

W czasie dłuższego postoju w Kaliszu kadra oficerska udała się dość chwiejnym krokiem w miasto. Nasz transport ruszył bez nich i nad ranem stanął na dużej stacji rozrządowej na południe od Poznania. Nie było widoków na rychły odjazd, bo zabrano nam parowóz, więc moje wojsko udało się „na furaż” po stacji i okolicy, a ja, nie mając co robić w wagonie, też poszedłem rozprostować nogi, niczego złego nie podejrzewając.

Gdy po godzinie wróciłem, zastałem nasz pociąg otoczony przez sowieckich żołnierzy, a na peronie pieklącego się lejtnanta z naszywkami NKWD. Okazało się, że nasi chłopcy dobrali się do − stojącego nieopodal − transportu *trofiejnej*[19] broni niemieckiej, konwojowanego przez NKWD. Nic o tym nie wiedząc, zaklinałem się, że w naszym wagonie nie mamy broni, podczas gdy rewidujący Sowieciarze wyciągali właśnie karabiny, pistolety maszynowe i tym podobne żelastwo. Lejtnant natychmiast aresztował mnie i dwóch kaprali z innych wagonów − jako w tym momencie jedynych odpowiedzialnych. Zostaliśmy wsadzeni pod strażą do wagonu obstawy sowieckiego transportu i pociąg ruszył w kierunku Kalisza. Zapowiedziano nam, że wiozą nas *w razstriełku*[20].

Gdy pociąg wolno wjeżdżał na most przez Wartę, którą płynęła dość gęsta kra, stałem przy otwartym oknie wagonu. Już szykowałem się do skoku do rzeki i wychyliłem się trochę, gdy stojący na zewnętrznym stopniu bojec podetknął mi lufę pepeszy pod nos i powiedział przyjaźnie: „Nie smotri, brat, uże tiebie nie intieriesno”[21]. Modliłem się więc do mojego patrona, św. Andrzeja Boboli, który widocznie pokierował dalszymi wydarzeniami. Pociąg stanął w dosyć głębokim wykopie. Wypchnięto nas z wagonu i ustawiono pod wysoką skarpą. Przed nami kilku czubaryków[22] zarepetowało pepesze. Sytuacja stała się jasna. Trzeba było się żegnać z tak niedawno rozpoczętym życiem. Jeden z towarzyszy niedoli załamał się zupełnie: siedział na ziemi, osłaniając rękami głowę, i szlochał. Drugi dał krok do ucieczki, ale został zatrzymany na miejscu ostrzegawczą serią z automatu.

Było mi żal tak głupio zginąć, lecz postanowiłem umrzeć z godnością i po chrześcijańsku, więc stojąc spokojnie, zacząłem cicho odmawiać: „Pod Twoją obronę…”. I właśnie w tym momencie wtoczył się w moje pole widzenia sowiecki major w rozpiętym mundurze; wyraźnie na porządnej bańce, ale jeszcze nieźle trzymający się na nogach. Musiał od jakiegoś czasu obserwować scenę, bo podszedł prosto do mnie i zapytał: „A ty się śmierci nie boisz?”. Odpowiedziałem mu, że jadę na front, pewnie i tak zginę, a poza tym wierzę w życie po śmierci. Major, wyraźnie zainteresowany, zaczął mnie wypytywać: w co wierzę, czy według mnie istnieje dusza nieśmiertelna… Odpowiadałem na jego pytania zwięźle i z przekonaniem, co wyraźnie zrobiło na nim wrażenie. Kilka razy wtrącał: „Słyszałem już o tym”. Obserwowałem uprzednio zainteresowanie niektórych Sowieciarzy sprawami religii, co się w tym przypadku, na moje szczęście, sprawdziło.

Nie mam pojęcia, jak długo trwała ta przedziwna rozmowa *pod stienkoj*[23], widziałem tylko kątem oka, że obstawiający nas bojcy trochę zniżyli lufy pepesz. Major zamyślił się przez chwilę, popatrzył nad moją głową i odprawił nas grzmiącym: „A iditie k czortu”[24]. Zasalutowałem służbiście i zmusiłem szeptem moich dwóch towarzyszy niedoszłej egzekucji do odejścia spokojnym krokiem, chociaż sam czułem łaskotanie między łopatkami, bo nie byłem pewny, czy nie rąbną nam serii w plecy. Ale usłyszeliśmy za sobą trzaskanie drzwi wagonu i ruszający pociąg.

Godzinę później, przy transporcie, zarządziłem ogólną zbiórkę i przed frontem wygłosiłem przemówienie, zaczynające się od słów: „Skurwysyny, nie dzieci…”. Z trudem utrzymywałem naburmuszoną minę − na widok skruszonych pysków mojego wojska. Ludzie otoczyli mnie, uradowani naszym szczęśliwym powrotem. Staryk dyskretnie wsunął mi do ręki coś ciężkiego, zawiniętego w szmatę. Była to ukradziona Sowieciarzom parabelka i magazynki do niej, które, czort wie, jakim sposobem, przemycił przy rewizji. Uściskaliśmy się na zgodę i przyjaźń. Miałem ochotę wszystkich ich uściskać. Świat robi się piękny, gdy wróci się z tak daleka.

O zmroku nasz pociąg przejeżdżał przez Poznań. Świeciły pożary, wzniecone bombardowaniem, i pohukiwała wciąż broniona przez Niemców cytadela. Rankiem stanęliśmy w Pile i opuściliśmy już dobrze zadomowione wagony.

Przypisy

[1] Przed walkami o Pragę do 1. AWP włączono 4. DP, która nie wzięła udziału w walkach o Warszawę, ale była w dyspozycji gen. Zygmunta Berlinga.

[2] Pierwszy mąż Stanisławy Kubiak, z którym wzięła ślub w radzieckim urzędzie stanu cywilnego wiosną 1944. Nie udało się ustalić jego imienia i nazwiska. Małżonkowie poznali się w Szkole Oficerskiej w Riazaniu, do której Stanisława Kubiak trafiła w listopadzie 1943.
[3] Prawd. punkt ogniowy.
[4] Pelotki − pot. działa przeciwlotnicze.
[5] Sanbat − pot. batalion sanitarny.
[6] Skrzypacz, waniusza − *Nebelwerfer*: niemiecka wieloprowadnicowa wyrzutnia rakietowa, zwana również „(ryczącą) krową” lub „szafą” ze względu na wydawany dźwięk.
[7] Popularne określenie na samochód marki Studebaker.
[8] W znaczeniu: Ale raj!
[9] To znaczy, że autor jechał do Parczewa, nie do Pilawy.
[10] *Kontrolnyj punkt* (ros.) − punkt kontrolny.
[11] To jak? Jedziemy do Warszawy. Już jest wyzwolona (ros.).
[12] Budynek stoi do dzisiaj przy ul. Nowy Zjazd 1.
[13] Przydziałowe papierosy „Wolność”.
[14] *Mannschaft* (niem.) − załoga.
[15] Jak dźwięczał zielony brzeg (ukr.).
[16] Panie, Zbawicielu, zmiłuj się (ukr.).
[17] *Staryk* (białorus.) − nieformalny przywódca grupy, najstarszy wiekiem lub doświadczeniem.
[18] Świętym, wielkim księciu Kazimierzu (ukr.).
[19] Trofiejnaja (ros.) – zdobyczna.
[20] Na rozstrzelanie (ros.).
[21] Nie patrz, bracie, to już nie dla ciebie (ros.).
[22] Czubaryk − pogardliwe o kimś zza wschodniej granicy II RP.
[23] Pod ścianą (ros.).
[24] A idźcie do diabła (ros.).

Rozdział VII

Na Zachód marsz…

Udział 1. Armii WP w przełamaniu Wału Pomorskiego (31 stycznia–10 lutego 1945)

Dwa dni po zajęciu Warszawy, 19 stycznia 1945 roku jednostki 1. Armii WP skierowały się na Bydgoszcz, gdzie miały dokonać koncentracji do dalszych działań. Forsowny dwutygodniowy marsz w surowych zimowych warunkach skrajnie wyczerpał żołnierzy. Szwankowało też zaopatrzenie, które trzeba było dowozić na odległość ponad 250 km, gdyż cała baza materiałowa została za Wisłą.

Armia Czerwona posuwała się tak szybko, że już pod koniec stycznia czołgi 1. Frontu Białoruskiego dotarły do Odry i uchwyciły przyczółek pod Kostrzyniem, zaledwie 60 km od Berlina. W podobnym tempie parły do przodu wojska 1. Frontu Ukraińskiego marsz. Iwana Koniewa, które po zdobyciu Krakowa (18 stycznia 1945) i Śląska wyszły nad Odrę w okolicach Opola, Wrocławia i Głogowa. Tymczasem działający na północy 2. Front Białoruski marsz. Rokossowskiego, związany ciężkimi walkami w Prusach Wschodnich, nie zdołał przekroczyć Wisły i rozwinąć natarcia na zachód. Sytuacja ta zagrażała prawemu skrzydłu 1. Frontu Białoruskiego.

Ponieważ w wyniku tych działań, między radzieckimi 1. i 2. Frontem powstała luka, dowódca 1. Armii WP gen. Stanisław Popławski otrzymał 28 stycznia rozkaz uderzenia w kierunku Złotowa, Jastrowia, Nadarzyc i Mirosławca, w piętnastokilometrowym pasie między radzieckim 2. Korpusem Kawalerii a 47. Armią, atakującą Wałcz.

Dowódca 1. Frontu Białoruskiego marsz. Gieorgij Żukow do wsparcia tych jednostek wysłał dodatkowo 3. Armię Uderzeniową i 61. Armię − tworząc front pomorski.

Żołnierze 1. Armii WP po przełamaniu oporu Niemców mieli się kierować w stronę Odry. Polskie dowództwo nie dysponowało właściwie żadnymi informacjami o nieprzyjacielu, a według radzieckiego sztabu frontu − przed 1. Armią WP miały się znajdować tylko rozbite grupy żołnierzy niemieckich, za którymi należało rozwinąć pościg. Tymczasem na drodze polskich dywizji stały umocnienia Wału Pomorskiego, który − razem z Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym i Linią Odrzańską − był elementem systemu obronnego wschodniej granicy Trzeciej Rzeszy, doskonale osadzonym w terenie i wykluczającym możliwość obejścia go przez nacierające wojska. Budowę tych umocnień Niemcy rozpoczęli po zakończeniu I wojny światowej − w celu obrony granicy z Polską. Prace, przerwane w latach 30., wznowiono w 1944 roku w obliczu narastającego zagrożenia na froncie wschodnim.

Odcinek polskiego natarcia był dużym wyzwaniem terenowym. Lasy i bagna stanowiły naturalne przeszkody a między jeziorami nieprzyjaciel wybudował potężne fortyfikacje, w których skład wchodziły schrony i bunkry różnej wielkości, pola minowe, zapory przeciwczołgowe. Wał Pomorski uważano za najsilniejszą linię umocnień w niemieckim systemie obrony Pomorza.

Przed frontem polskich dywizji znajdowała się 15. Dywizja Grenadierów SS, złożona z Łotyszy, oraz część niemieckiej 32. Dywizji.

29 stycznia 1945 roku oddziały polskie ruszyły do walki w kierunku nakazanym przez radziecki sztab frontu, przekraczając granicę polsko-niemiecką z 1939 roku. Ugrupowanie uderzeniowe 1. Armii WP składało się

z dwóch kolumn. W prawej znalazły się: 1. i 3. Dywizja Piechoty, 1. Brygada Kawalerii, dwie brygady artylerii i pułki moździerzy. Nieco słabszą lewą kolumnę tworzyły: 4. i 6. Dywizja Piechoty oraz dwie brygady artylerii. Na tyłach znajdowały się: 1. Brygada Pancerna, 13. pułk artylerii samobieżnej oraz 4. pułk czołgów ciężkich. Jednostki te miały dołączyć do kolumny północnej.

Przegrupowanie wojsk odbywało się w trudnych warunkach mroźnej zimy, przez co artyleria, czołgi i transport zmechanizowany pozostały w tyle. Armii doskwierały ciągłe braki w zaopatrzeniu. Na przełomie stycznia i lutego zaczęło brakować nie tylko żywności, ale także benzyny i amunicji. Niekorzystne położenie polskich żołnierzy dodatkowo pogłębiły zaniedbania w rozpoznaniu. Sztab armii i gen. Popławski mieli zbyt mało informacji o przeciwniku; do oceny sytuacji nie wykorzystano nawet lotnictwa. Zmęczeni i głodni żołnierze nie byli przygotowani na przełamywanie umocnień, ruszyli nieświadomi trudności zadania.

Od początku natarcie Polaków napotykało na problemy. Trzeci pułk piechoty 1. Dywizji stracił orientację w terenie i − zamiast na Jastrowie − skierował się na Podgaje, wieś leżącą poza linią działania polskiej armii. 31 stycznia oddziały te natknęły się na jednostki 15. Dywizji SS, zaś wysłana do rozpoznania 4. kompania tego pułku (około 80 żołnierzy) wpadła w zasadzkę przeważających sił przeciwnika. Większość żołnierzy poległa w walce, zaś 34 dostało się do niewoli. Jeńcy zostali zamknięci w stodole i tam poddani torturom. Walcząc o życie, zorganizowali ucieczkę, ale złapano ich i na powrót zamknięto w stodole; uratowało się tylko dwóch. W ciągu następnych dni Podgaje ostrzeliwała artyleria, co spowodowało zniszczenie wszystkich zabudowań. Polscy żołnierze, którzy zajęli wieś

trzy dni później, odkryli zwłoki kolegów w spalonej stodole. Do dziś nie wiadomo, czy polscy jeńcy zostali zamordowani przed ostrzałem, czy w wyniku artyleryjskiej nawały. Mimo to tragedia w Podgajach stała się symbolem bestialstwa wroga i wpłynęła na psychikę żołnierzy − zdopingowała ich do walki. W potyczce o Podgaje 1. Dywizja straciła: 233 poległych, 520 rannych i 58 zaginionych. Na trzy dni zatrzymało się natarcie całej północnej grupy 1. Armii WP.

Tymczasem na południu 4. Pomorska Dywizja Piechoty, pod dowództwem gen. Bolesława Kieniewicza, idąca na przodzie polskiego ugrupowania, skierowała się do wsi Szwecja i dotarła przed pas obronny Wału Pomorskiego. Wcześniej wydzielony 10. pułk piechoty, przy wsparciu dwóch innych pułków, zdobył 2 lutego miasteczko Jastrowie. Natarcie przeprowadzono dużo sprawniej niż w Podgajach i przy dużo mniejszych stratach. Bitwa na przedpolach Wału Pomorskiego była zacięta i toczona w trudnych warunkach atmosferycznych. Ostatecznie w wyniku działań 1. Armii WP udało się rozbić łotewską 15. Dywizję SS. Sukces okupiony był ofiarami: 339 żołnierzy poległo, 789 zostało rannych a 73 zaginęło.

Od 3 lutego do jednostek polskiej armii zaczęło docierać tak potrzebne, choć jeszcze skromne, zaopatrzenie. Dzięki dostawom amunicji i paliwa do akcji mogła wejść część artylerii i czołgów, co okazało się niezwykle ważne podczas przełamywania umocnionych stanowisk Wału Pomorskiego. 4 lutego żołnierze dwóch polskich dywizji − 4. i 6., uderzyli z marszu na niemieckie pozycje na północ od Nadarzyc, nie zdając sobie sprawy, że znaleźli się tuż przed linią fortyfikacji. Natarcie zostało zatrzymane, lecz Polacy powtórzyli je następnego dnia. Pomimo dokonania wyłomu w niemieckich liniach, pierwszorzutowe bataliony 4. Dywizji − w wyniku kontrataku − zostały odcięte i niemal

całkowicie zniszczone. Zginęło wielu żołnierzy, ale pojawiła się szansa na przełamanie pierwszej linii Wału Pomorskiego. Dowódca 1. Armii WP, chcąc poszerzyć wyłom, wprowadzał do walki nowe siły. W kolejnych dniach do bitwy włączyły się trzy polskie dywizje piechoty oraz czołgi 1. Brygady Pancernej. Do akcji wkroczyła również artyleria, która okazała się bardzo skuteczna − ogniem ciężkich dział zniszczono niemieckie bunkry.

Do 9 lutego 1945 roku 1. Armia WP ostatecznie przełamała umocnienia Wału Pomorskiego. Jednocześnie wreszcie nastąpił przełom w dostawach paliwa, dzięki czemu można było prowadzić natarcie wszystkimi siłami. Sukces polskich żołnierzy doprowadził do zmiany kierunku następnego uderzenia.

Marszałek Żukow wydał polskim dywizjom rozkaz natarcia na Mirosławiec, aby odciąć drogę niemieckim oddziałom walczącym w rejonie Wałcza. Do wykonania zadania wyznaczono silne zgrupowanie uderzeniowe, złożone z 1. i 2. Dywizji Piechoty, dwóch brygad artylerii, 1. Brygady Pancernej, 13. pułku artylerii samobieżnej, 4. pułku czołgów ciężkich i mniejszych oddziałów; łącznie około 25 tys. żołnierzy. Walki o Mirosławiec okazały się bardzo ciężkie. Szarża czołgów 1. Brygady Pancernej, które wyprzedziły piechotę i próbowały zająć miasto z marszu, zakończyła się stratą siedmiu maszyn. 10 lutego miasteczko zostało zajęte przez oddziały piechoty, a 1. Armia WP przełamała Wał Pomorski na głębokości 30 km i zagroziła okrążeniem zgrupowaniu niemieckiemu w rejonie Wałcza.

Pomimo zmęczenia i wykrwawienia polskich oddziałów w bojach o niemiecki system umocnień dowódca 1. Frontu Białoruskiego rozkazał 1. Armii WP wznowienie natarcia w kierunku północno-zachodnim. Celem operacji było uchwycenie dogodnej rubieży, na której wojska mogłyby

przejść do obrony. Marszałek Żukow wciąż myślał o uderzeniu na Berlin w lutym i musiał zabezpieczyć swoją prawą flankę, tym bardziej że sąsiedni 2. Front Białoruski marsz. Rokossowskiego wznowił natarcie w kierunku Chojnic i Starogardu, i kierował się na Gdańsk. Walki 1. Armii WP, trwające do 19 lutego 1945 roku, nie przyniosły rezultatu z powodu zaciętego oporu Niemców. Ponieważ wojska 1. Frontu Białoruskiego również nie odniosły zwycięstwa, sztab radziecki zadecydował o zlikwidowaniu w pierwszej kolejności zgrupowania niemieckiego na Pomorzu.

20 lutego 1945 roku zakończyły się działania 1. Armii WP na Wale Pomorskim i jego obrzeżach. Straty były bardzo duże: 3130 poległych, 5905 rannych, 1957 zaginionych oraz 349 chorych ewakuowanych do szpitali. Były to największe straty Wojska Polskiego na całym szlaku bojowym od Lenino do Berlina poniesione w jednej operacji. Polscy żołnierze wyeliminowali z walki około 8 tys. żołnierzy z formacji niemieckich i innych, walczących u boku nazistów; wzięto 1500 jeńców. Jednostki 1. Armii WP zniszczyły lub zdobyły 30 czołgów i dział pancernych, 130 dział i moździerzy, 630 samochodów, a także 27 schronów bojowych i bunkrów.

Podczas walk o Wał Pomorski po raz kolejny ujawniła się niekompetencja wielu dowódców polskiej armii, którzy szafowali życiem żołnierzy i wysyłali ludzi na dobrze ufortyfikowane pozycje nieprzyjaciela bez odpowiedniego rozpoznania i wsparcia ciężkiej broni. Do dużych strat poniesionych przez polskich piechurów przyczynił się też typowo sowiecki sposób natarcia: bez liczenia się z przelaną krwią żołnierską. Na Wale Pomorskim, mimo ponoszonych strat na danym odcinku, dowódcy często kierowali do walki kolejne oddziały. Taka taktyka przyniosła

ostatecznie zwycięstwo, ale wielu szeregowych żołnierzy zapłaciło za to najwyższą cenę. Dodatkowo fatalne zaopatrzenie w amunicję i paliwo powodowało, że nacierające oddziały piechoty bywały pozbawione wsparcia artylerii i broni pancernej. Szwankowała też aprowizacja medyczna i brakowało szpitali polowych, co przyczyniło się do śmierci wielu ciężko rannych żołnierzy.

Wojsko Polskie w operacji pomorskiej (1 marca–7 kwietnia 1945)

Pod koniec lutego 1945 roku wojska 1. Frontu Białoruskiego zrezygnowały z uderzenia na kierunku berlińskim i skierowały się na Pomorze, aby ostatecznie zlikwidować zagrożenie swojej prawej flanki i wyjść nad Bałtyk. Duże siły niemieckie zgromadzone w tym rejonie, czyli Grupa Armii „Wisła” (dwie dywizje, w tym jedna pancerna), zamierzano zniszczyć przy współdziałaniu z 2. Frontem Białoruskim, nacierającym od strony Kujaw.
W planowanej operacji miały wziąć udział również jednostki 1. Armii WP, w sile około 100 tys. żołnierzy, 1600 dział i moździerzy, 150 czołgów i dział samobieżnych oraz 100 samolotów. Polskie jednostki działały w samym środku, między dwoma frontami radzieckimi, i nacierały w kierunku Złocieńca i Białogardu.

1 marca 1945 roku wojska 1. Frontu Białoruskiego przeszły do natarcia, a razem z nimi ruszyły jednostki polskiej armii. Na początku operacji zawiodła artyleria, której ostrzał okazał się mało skuteczny. Nacierająca na Borujsko (obecnie Żeńsko) 2. Dywizja Piechoty, pod dowództwem gen. Jana Rotkiewicza, została zatrzymana i zaległa pod ogniem niemieckich dział i karabinów maszynowych. Jako wsparcie wysłano dwa bataliony czołgów i trzy baterie dział samobieżnych. Wyjątkowo

zacięte walki trwały ponad dwa tygodnie. Doskonale wykonały zadanie polskie czołgi, które zniszczyły niemiecką artylerię, zaś wprowadzona do walki grupa konna z 1. Brygady Kawalerii przeprowadziła zaskakującą i błyskawiczną szarżę, zakończoną sukcesem. Czołgi z desantem fizylierów (oraz ułani), wyprzedzając nacierającą piechotę, z ogromną siłą uderzyły na wroga i wdarły się do wsi. Borujsko, będące kluczem niemieckiej obrony, zostało zdobyte.

W następnym dniu gen. Stanisław Popławski do walczących 1. i 2. Dywizji Piechoty dołączył 4. Dywizję i zdecydował o przegrupowaniu całego frontu polskiej armii na północ. W ciągu następnych trzech dni zmagań polscy żołnierze przedzierali się przez niemieckie pozycje, zdobywając kolejne miejscowości. Do walki weszły również dywizje 3. i 6., które zajęły Czaplinek i Wierzchowo.
W wyniku działań radzieckiego 2. Korpusu Kawalerii Gwardii, który zagroził nieprzyjacielowi oskrzydleniem, polskie oddziały mogły przejść do pościgu. 5 marca 1945 roku żołnierze zdobyli Złocieniec i Drawsko.
W międzyczasie wojska 1. Frontu Białoruskiego w ciągu czterech dni rozbiły jednostki niemieckie i przegrupowały się w kierunku Zalewu Szczecińskiego oraz Białogardu, gdzie nawiązały styczność z jednostkami 2. Frontu Białoruskiego, ciągnącymi na Koszalin.

Kiedy czołgi radzieckiej 1. Armii Pancernej dotarły do Bałtyku na zachód od Kołobrzegu, duże siły niemieckie, złożone z części 10. Korpusu Armijnego SS oraz innych rozbitych wcześniej jednostek, znalazły się w okrążeniu w okolicach Świdwina. Marszałek Żukow zaplanował operację zniszczenia tych wojsk siłami: radzieckiego 2. Korpusu Kawalerii, który miał zaatakować od wschodu, 3. Armii Uderzeniowej − atakującej od zachodu, wspartej

czołgami 1. Armii Pancernej, zamykającej kocioł od północy; od południa miała uderzyć 1. Armia WP. Generał Popławski do tego niezwykle ważnego zadania rzucił wszystkie pięć dywizji. Wydzielił też grupę szybką, złożoną z 1. Brygady Kawalerii, 1. Brygady Pancernej i 13. pułku artylerii samobieżnej, która przedarła się przez niemieckie pozycje. Szczególną zaciętością wykazali się ponownie polscy ułani, którzy pod Bierzwnicą przypuścili ostatnią szarżę polskiej kawalerii w tej wojnie. Do 7 marca 1945 roku okrążone jednostki niemieckie zostały zniszczone, a Polacy wzięli do niewoli około 5200 jeńców, w tym dowódcę 10. Korpusu Armijnego SS gen. Günthera von Krappe i dowódcę dywizji „Bärwalde” (tj. Barwice) − gen. Wilhelma von Raithela.

W operacji pomorskiej wzięły udział również 2. Dywizja Artylerii i 1. Brygada Moździerzy, które zostały wydzielone z 1. Armii WP i wcielone do radzieckiej 3. Armii Uderzeniowej, działającej na lewym skrzydle wojsk polskich. Polscy artylerzyści wspierali również − do 20 marca 1945 roku − 2. Armię Pancerną i 47. Armię, działające w kierunku Zalewu Szczecińskiego i Odry.

Do 8 marca 1945 roku niemal całe Pomorze Zachodnie zostało opanowane przez wojska 1. Frontu Białoruskiego i działającą w jego składzie 1. Armię WP. Z rozbitej niemieckiej Grupy Armii „Wisła” na Pomorzu broniły się jeszcze oddziały w okolicach Gdyni, Gdańska, w Kołobrzegu, pod Trzebiatowem i w pobliżu Szczecina.

Bitwa o Kołobrzeg (4−18 marca 1945)

6 marca 1945 roku marsz. Żukow wydał rozkaz 1. Armii WP do wznowienia natarcia w kierunku Bałtyku, aby w jak najszybszym tempie dotrzeć do wybrzeża na odcinku od Kołobrzegu do Zalewu Kamieńskiego, na którym polscy

żołnierze mieli oczyścić teren z wojsk nieprzyjaciela i przejąć obronę od jednostek radzieckich. W rozkazie nie było mowy o zdobywaniu Kołobrzegu, zamienionego przez Niemców w twierdzę. Wcześniej do miasta dotarły czołgi radzieckiej 1. Armii Pancernej, które przystąpiły do blokady.

Miasta broniło łącznie około 10 tys. żołnierzy garnizonu oraz rozbitych na Pomorzu jednostek frontowych, wyposażonych w 84 działa, 8 wozów pancernych i 12 transporterów opancerzonych. Twierdzę okalały trzy pierścienie obrony, składające się z licznych umocnień. Niemcom sprzyjały warunki naturalne − podmokłe tereny, otaczające miasto, uniemożliwiały użycie czołgów.

Niestety, dowódca 1. Armii WP gen. Popławski zbagatelizował informacje o silnej obronie niemieckiej w Kołobrzegu i nakazał kontynuowanie natarcia przez 3. i 6. Dywizje Piechoty, które już wieczorem 7 marca zbliżyły się do miasta. Mimo ostrzelania polskich jednostek przez Niemców, co mogło sugerować determinację obrońców, dowódca polskiej armii rozkazał uderzyć na Kołobrzeg z marszu. Nie po raz pierwszy wskutek błędnej decyzji dowództwa polscy żołnierze musieli szturmować nierozpoznane pozycje wroga, jak również toczyć walki w mieście bez odpowiedniego przygotowania. Powodem takiego postępowania mogły być nawyki gen. Popławskiego, który jako kadrowy radziecki oficer nie liczył się z ofiarami, kiedy trzeba było wykonać zadanie postawione przez dowództwo frontu. Co więcej, wcześniej atakujące miasto jednostki radzieckie nie poinformowały Polaków ani o sile obrony niemieckiej, ani o rozpoznanych punktach oporu.

8 marca 1945 roku rozpoczęła się bitwa o Kołobrzeg − najkrwawsza walka o miasto, jaką stoczyli polscy żołnierze. W pierwszych dniach batalii − z powodu złej pogody −

walczących nie mogło wesprzeć lotnictwo, co utrudniło natarcie. Pierwsza uderzyła 6. Dywizja Piechoty płk. Gienadija Szejpaka. Dywizyjne pułki, nie mając pojęcia o sile nieprzyjaciela, poniosły dotkliwe straty. Dopiero w tym momencie polscy dowódcy i żołnierze zorientowali się, że szturmują twierdzę. Oficerowie nie potrafili odpowiednio zorganizować natarcia wśród miejskiej zabudowy, co doprowadziło do wydania rozkazu o utworzeniu oddziałów szturmowych. O całkowitym braku rozeznania w sile przeciwnika świadczyło stopniowe wysyłanie do boju dodatkowych dywizji; w miarę napływania informacji. Do walki włączyła się 3. Dywizja Piechoty płk. Stanisława Zajkowskiego, a 12 marca gen. Popławski, poirytowany brakiem postępów, wysłał dodatkowo 4. Dywizję Piechoty gen. Kieniewicza, 4. pułk czołgów ciężkich, dwa pułki przeciwlotnicze i batalion miotaczy ognia.

Do bitwy o Kołobrzeg 1. Armia WP rzuciła 29 tys. żołnierzy, wspieranych przez: 815 dział i moździerzy, 12 czołgów ciężkich, 23 działa samobieżne oraz 102 samoloty. Piechota szturmowała razem z czołgami. Toczyły się zacięte boje o każdy kwartał miasta. Umocnienia, zagradzające drogę nacierającym oddziałom, były niszczone przez artylerię − ogniem na wprost.

Do przełomu doszło 13 i 14 marca − kiedy polskie oddziały opanowały najsilniejsze punkty oporu w wewnętrznej linii obrony twierdzy. Wreszcie jeden z pułków 4. Dywizji Piechoty przebił się do morza, po wschodniej stronie miasta. Po raz pierwszy polskie dowództwo rozkazało przerwać ogień i korzystając z megafonów, postawiło Niemcom ultimatum: życie za złożenie broni. Odpowiedzi nie było, dlatego wznowiono ofensywę.

W ostatnich dniach batalii do Kołobrzegu przybyła brygada radzieckiej artylerii rakietowej, słynnych katiusz, która rozpoczęła nieustanne ostrzeliwanie pozycji nieprzyjaciela. Mimo to szeregi obrońców twierdzy nie malały − Niemcy uzupełniali straty wśród żołnierzy ludnością cywilną, a załoga twierdzy otrzymywała zaopatrzenie i posiłki wojskowe drogą morską. Determinacja polskich żołnierzy okazała się jednak większa i 16 marca dotarli oni do ostatniej pozycji niemieckich umocnień. W rękach obrońców pozostawały już tylko port i niewielki odcinek plaży. W nocy z 17 na 18 marca 1945 roku Niemcy rozpoczęli ewakuację wojsk drogą morską; przy wsparciu artylerii okrętowej udało im się ocalić 7500 żołnierzy.

18 marca 1945 roku po zaciętych i krwawych walkach Kołobrzeg został zdobyty przez polskich żołnierzy. Pod wieczór w obecności żołnierzy 1. Armii WP oraz delegacji z 2. Armii WP odbyły się uroczyste symboliczne zaślubiny Polski z morzem. Na zniszczonej latarni morskiej załopotała polska flaga.

Aktu zaślubin dokonał kapral Franciszek Niewidziajło z 7. pułku piechoty, który powiedział wtedy:

> „Po ciężkim, krwawym trudzie doszliśmy do Ciebie, Morze. Widzimy, że nie na marne poszła nasza krew. Przysięgamy, że już nigdy Cię nie opuścimy. Rzucam ten pierścień w Twe fale, poślubiam Cię, jak żeś było i będziesz nasze”[1].

W bitwie o Kołobrzeg 1. Armia WP poniosła ogromne straty: 1266 żołnierzy poległo lub zaginęło, a 3138 odniosło rany. Straty niemieckie były dużo większe: zginęło około 5 tys. obrońców twierdzy, a ponad 4 tys. dostało się do niewoli.

Batalia kołobrzeska była pierwszym samodzielnym zwycięstwem operacyjnym Wojska Polskiego. O jej sukcesie zadecydowało, mimo początkowych trudności, dobre współdziałanie piechoty, artylerii, czołgów i samolotów. Poprawiono również pracę służb zaopatrzenia i medycznych. Postawione wojskom zadanie nie zostało jednak w pełni wykonane. Nie udało się całkowicie rozbić załogi twierdzy; duża grupa obrońców ewakuowała się statkami. Największym błędem był brak rozpoznania sił przeciwnika przed bitwą, co doprowadziło do wydłużenia walk i dużych strat wśród atakujących. Polskie dowództwo ponosi również odpowiedzialność za brak wyraźnie zarysowanego głównego kierunku natarcia. Żołnierze, zamiast się skoncentrować na zdobyciu portu, żeby odciąć załogę twierdzy od zaopatrzenia, szturmowali ze wszystkich stron.

Pomiędzy Zalewem Szczecińskim a Zatoką Gdańską

W bitwie o Kołobrzeg wzięła udział tylko część 1. Armii WP. Kiedy zaczynały się walki o nadbałtycką twierdzę, dywizje niebiorące w nich udziału ruszyły w kierunku zalewów Kamieńskiego i Szczecińskiego, żeby przejąć zadania radzieckiej 3. Armii Uderzeniowej. Początkowo w przegrupowaniu w te rejony wzięły udział 1., 2. i 4. Dywizja Piechoty. Ta ostatnia formacja − wskutek przedłużającej się batalii o Kołobrzeg − została 12 marca wysłana do zdobywania twierdzy.

Sytuacja na Pomorzu nie była jeszcze stabilna. Na tym wielkim obszarze działały zgrupowania, utworzone z rozbitych oddziałów niemieckich, które próbowały przebijać się na zachód. Jedna z takich grup, w sile 25 tys. żołnierzy, od 11 marca kierowała się z Trzebiatowa, wzdłuż

wybrzeża Bałtyku, w kierunku Dziwnowa − z zamiarem przedarcia się na wyspę Wolin. Do zlikwidowania tych jednostek rzucono dwa radzieckie korpusy piechoty, a polska 2. Dywizja Piechoty, dowodzona przez gen. Jana Rotkiewicza, razem z radziecką 171. Dywizją otrzymały zadanie odcięcia Niemcom dróg odwrotu. Działania zaczepne trwały do 13 marca, kiedy polskie oddziały wdarły się do Wrzosowa i Dziwnówka. O obie wsie stoczono ciężkie boje. W dwudniowych walkach wzięło udział 8 tys. polskich żołnierzy; poległo lub poniosło rany 120. Dotarcie do Zalewu Kamieńskiego i Bałtyku zakończyło walki polskich jednostek na Pomorzu Zachodnim.

Rozsławiona przez bitwę pod Studziankami 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte, pod dowództwem radzieckiego pułkownika Aleksandra Malutina, w połowie marca 1945 roku została wydzielona ze składu 1. Armii WP i włączona do radzieckiej 1. Armii Pancernej, nacierającej na Zatokę Gdańską. Brygada pozostała w składzie Armii Czerwonej już do końca wojny.

4 marca 1945 roku wojska 2. Frontu Białoruskiego marsz. Rokossowskiego zdobyły Koszalin i rozcięły niemiecką linię obrony Pomorza na dwie części. Do wsparcia frontu skierowano 1. Armię Pancerną wraz z 1. Brygadą Pancerną. Polskie czołgi przejechały 450 km w 60 godzin i po otrzymaniu uzupełnień w sprzęcie pancernym ruszyły do walki o Wejherowo. Przeciwnikiem radzieckich i polskich pancerniaków były dwa niemieckie korpusy pancerne.

Od 13 do 15 marca 1. Brygada Pancerna toczyła ciężkie boje w Dolinie Janowskiej, ponosząc znaczne straty. W tym czasie wojska radzieckie przystąpiły do szturmu na Gdańsk i Gdynię. 25 marca czołgi 1. Brygady Pancernej razem z 3. Korpusem Pancernym wdarły się na przedpola Gdyni, gdzie doszło do niezwykle ciężkich walk − z powodu trudnego

terenu i rozbudowanego niemieckiego systemu obronnego. W ostatnim epizodzie bojów o port polscy czołgiści wspierali dwie radzieckie dywizje piechoty. 28 marca 1945 roku Gdynia została zdobyta.

Następnego dnia, mimo strat w ludziach i sprzęcie, 1. Brygada Pancerna została skierowana do wsparcia radzieckich piechurów, nacierających na Oksywie i Babi Dół; polskie czołgi dotarły w ten sposób do Zatoki Gdańskiej. 5 kwietnia pluton polskich czołgów i batalion piechoty zmotoryzowanej wzięły udział w ostatecznym szturmie na Gdańsk. Po zdobyciu starego miasta polscy żołnierze, ppor. Bronisław Wilczewski i chor. Zbigniew Michel, zatknęli polską flagę na Dworze Artusa. Był to ważny gest polityczny, symbolizujący powrót Gdańska do Polski. Walki o miasto zakończyły się 7 kwietnia 1945 roku.

Dzień później w porcie wojennym na Oksywiu podniesiono polską banderę na patrolowcu „Korsarz". Okręt przypłynął do Gdańska z 1. morskim batalionem zapasowym kmdr. por. Karola Kopca, którego żołnierze mieli wziąć udział w szturmie na Westerplatte. Do natarcia ostatecznie nie doszło, gdyż Niemcy się poddali. Patrolowiec z polską banderą był zaczątkiem nowej polskiej Marynarki Wojennej, zaś żołnierze batalionu morskiego razem z Brygadą Pancerną utworzyli pierwszy garnizon wojskowy polskiego Gdańska.

W walkach o Zatokę Gdańską poległo 59 polskich czołgistów, 178 żołnierzy zostało rannych, a 3 zaginęło bez wieści. Boje toczone przez 1. Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte miały przede wszystkim wymiar symboliczny. Czołgi z piastowskim orłem na pancerzach dotarły bowiem do miejsca, w którym rozpoczęła się II wojna światowa.

Wojsko Polskie w operacji berlińskiej (16 kwietnia–2 maja 1945)

Polscy żołnierze, którzy rozpoczęli szlak bojowy w październiku 1943 roku pod Lenino, w kwietniu 1945 roku dotarli do Morza Bałtyckiego oraz stanęli nad Odrą i Nysą Łużycką. Wojsko Polskie miało wziąć udział w jednej z najbardziej zaciekłych i krwawych bitew stoczonych na froncie wschodnim. Operacja berlińska była ogromnym przedsięwzięciem. Do jej realizacji przeznaczono wojska trzech radzieckich frontów (łącznie 196 dywizji), które liczyły ponad 2,5 mln żołnierzy, 41 600 dział, moździerzy i wyrzutni rakietowych, 6250 czołgów i dział samobieżnych oraz 7500 samolotów.

1. Front Białoruski marsz. Gieorgija Żukowa miał wykonać zasadnicze zadanie − zdobyć stolicę Trzeciej Rzeszy i wyjść nad Łabę. W jego składzie znalazły się cztery armie piechoty, dwie armie pancerne i jedna lotnicza, a wśród nich 1. Armia WP, pod dowództwem gen. Stanisława Popławskiego. Od północy działania frontu marsz. Żukowa miał zabezpieczać 2. Front Białoruski marsz. Konstantego Rokossowskiego, zaś od południa 1. Front Ukraiński marsz. Iwana Koniewa, w którego składzie działała 2. Armia WP, dowodzona przez gen. Karola Świerczewskiego.

Do obrony Berlina, Brandenburgii i Łużyc Niemcy wyznaczyli trzy armie, w tym dwie pancerne, o łącznej liczbie około miliona żołnierzy, uzbrojonych w 9300 dział i moździerzy, 1500 czołgów i dział szturmowych, 2200 samolotów. Na kierunku natarcia 1. Frontu Białoruskiego znajdowała się niemiecka 9. Armia, złożona z 18 dywizji. Bezpośrednia rubież obrony stolicy Trzeciej Rzeszy była

bardzo mocno rozbudowana i opierała się na wzgórzach Seelow, z których doskonale było widać nacierające wojska.

W operacji berlińskiej 1. i 2. Armia WP nie działały razem, lecz zostały wcielone do dwóch różnych radzieckich frontów. Realizowały jednak podobne zadanie operacyjne, stanowiąc osłonę zgrupowań uderzeniowych Armii Czerwonej. Działająca w składzie 1. Frontu Białoruskiego − 1. Armia WP była wspierana samolotami 1. Korpusu Lotniczego, zaś 2. Armia WP, znajdująca się w składzie 1. Frontu Ukraińskiego, została wzmocniona: 1. Korpusem Pancernym, 2. Dywizją Artylerii i 14. Brygadą Artylerii Przeciwpancernej. Ponadto w składzie jednostek radzieckich operowały: 1. Brygada Moździerzy i 6. batalion pontonowo-mostowy.

Biorąc pod uwagę możliwość spotkania z wojskami aliantów, w przeddzień operacji w jednostkach polskich zbadano nastroje wśród żołnierzy. Aresztowano wszystkie osoby, które manifestowały swoje sympatie do rządu w Londynie i „współbraci” z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zakazano posiadania odbiorników radiowych i słuchania audycji nadawanych przez alianckie rozgłośnie wojskowe.

Stojące nad Odrą i Nysą wojsko liczyło 164 400 żołnierzy, w wyposażeniu miało: 3381 dział i moździerzy, 460 czołgów i dział samobieżnych, 55 samochodów pancernych, 508 samolotów, około 6700 pojazdów mechanicznych różnego typu i 18 500 koni. W kraju oraz w Związku Radzieckim szkoliło się 175 703 żołnierzy. Był to szczytowy moment w rozbudowie Wojska Polskiego przed ostatnią bitwą w tej wojnie.

Walki 1. Armii WP w Brandenburgii (16 kwietnia–8 maja 1945)

16 kwietnia 1945 roku, po przygotowaniu uderzenia przez artylerię i lotnictwo, wojska 1. Frontu Białoruskiego i 1. Frontu Ukraińskiego ruszyły na niemieckie pozycje, rozpoczynając operację berlińską. 20 kwietnia na północy ruszył do natarcia również 2. Front Białoruski.

Żołnierze 1. Armii WP nacierali pasem o szerokości 15 km. Na prawym skrzydle znajdowała się radziecka 61. Armia, a na lewym 47. Armia oraz 3. Armia Uderzeniowa. W pierwszym rzucie szły do walki trzy polskie dywizje piechoty (1., 2. i 3. DP), a w drugim dwie (4. i 6. DP). Rejon przeprawy znajdował się między wsiami Gozdowice i Siekierki. To właśnie tam przed szturmem polscy żołnierze wbili w ziemię symboliczne słupy graniczne z wizerunkiem Orła Białego.

Forsowanie szerokiej Odry przyniosło duże straty wśród polskiej piechoty. Wielu żołnierzy nie umiało pływać i zginęło w nurtach rzeki. W niektórych miejscach Odra na odcinku przeprawiania się 1. Armii WP wylała, przez co o wiele trudniej było ją pokonać. „Tradycyjnie” sprzęt przeprawowy dla polskich dywizji nie został dostarczony w odpowiedniej liczbie. Saperzy budowali drewniane łodzie wiosłowe i gromadzili różnego rodzaju przedmioty nadające się do pływania. Pod Siekierkami artyleria nie zdołała zniszczyć niemieckich stanowisk, dlatego w trakcie pokonywania rzeki na żołnierzy 1. Dywizji Piechoty spadł grad pocisków z karabinów maszynowych i dział. Ostrzał wroga zniszczył wiele łodzi. Pomimo rosnących strat kontynuowano przeprawę. W pierwszym dniu walk poległo 41 żołnierzy, a prawie 200 zostało rannych. Dużo lepiej poszło 3. Dywizji Piechoty, przeprawiającej się z przyczółka pod Gozdowicami, gdzie Odra nie wylała z koryta i saperzy mogli zbudować most pontonowy, po którym przeszła

również 4. Dywizja Piechoty. Dodatkowym wsparciem na tym odcinku były skuteczne akcje polskich samolotów.

Do 19 kwietnia 1945 roku trwały walki o uchwycenie przyczółków na Starej Odrze. Warunki do przełamania obrony na drugim brzegu okazały się niezwykle trudne − ze względu na silnie umocnione pozycje niemieckie, rozbudowane na trudnym do atakowania terenie. Tego dnia uderzenie 3. i 4. Dywizji Piechoty na skrzydło wojsk niemieckich w rejonie miasta Wriezen spowodowało przełamanie frontu na Starej Odrze przez całą 1. Armię WP i przejście polskich jednostek do pościgu. Natarcie przebiegało wzdłuż północnych obrzeży Berlina na zachód.

W czwartym dniu operacji berlińskiej na całym pasie natarcia 1. Frontu Białoruskiego nastąpił przełom. 20 kwietnia 1945 roku radziecka artyleria po raz pierwszy ostrzelała niemiecką stolicę, zaś piechota i czołgi rozpoczęły walki na bezpośrednich liniach obrony miasta. 1. Armia WP kontynuowała natarcie, by 24 kwietnia zamknąć od północy, razem z radziecką 61. Armią, pierścień wokół Berlina. Dwa dni wcześniej 2. Dywizja Piechoty, razem z żołnierzami radzieckimi, wyzwoliła niemiecki obóz koncentracyjny w Sachsenhausen.

Niemcy nie utrzymywali już stałej linii obrony, prowadzili jedynie walki opóźniające. Polskie dywizje w szybkim tempie sforsowały Hawelę (prawy dopływ Łaby) i przeszły do obrony wzdłuż Kanału Hohenzollernów (kanał Odra−Hawela). Najdalej na zachód wysunęły się 4., 6. i 3. Dywizja Piechoty.

Tymczasem 25 kwietnia prawe skrzydło polskiej armii, bronione przez 2. Dywizję Piechoty, zostało zaatakowane w okolicach Oranienburga przez 25. Dywizję Grenadierów Pancernych z grupy gen. Feliksa Steinera, nacierającą zza Kanału Ruppiner. Po trzech dniach ciężkich walk polskim

żołnierzom udało się zatrzymać Niemców i zlikwidować ich trzykilometrowy przyczółek w rejonie Germendorf.
W walkach na tym odcinku znaczne wsparcie piechocie zapewniły polskie samoloty z 1. Korpusu Lotniczego.
Podczas trwania operacji berlińskiej żołnierze polscy musieli walczyć również z ukrywającymi się po lasach grupkami Niemców z rozbitych dywizji. Codziennością były zasadzki na polskie kolumny wojskowe oraz dezorganizowanie łączności i zaopatrzenia. W takich potyczkach zginęło wielu żołnierzy.

Po likwidacji zagrożenia ze strony wojsk gen. Steinera − 27 kwietnia 1945 roku dowództwo Armii Czerwonej wydało rozkaz, by 1. Armia WP i radziecka 61. Armia przeszły do natarcia w kierunku Łaby. Polska 3., 4. i 6. Dywizja Piechoty posuwały się do przodu, zaś 1. i 2. Dywizja pozostały w tyle − w celu zabezpieczenia prawego skrzydła armii i likwidacji resztek niemieckich oddziałów.

Polscy żołnierze nacierający w kierunku Łaby znaleźli się w trudnym podmokłym terenie, poprzecinanym licznymi kanałami i rowami. Przed sobą mieli jednostki niemieckiego 41. Korpusu Pancernego. Jego linię obrony przełamali ostatecznie 30 kwietnia, po czym ruszyli w pościg, forsując Hawelę, na której polscy saperzy zbudowali ostatni most wojenny w operacji berlińskiej.

3 maja 1945 roku żołnierze 14. pułku 6. Dywizji Piechoty jako pierwsi osiągnęli brzeg Łaby, w rejonie miasteczka Wulkau. Po drugiej stronie rzeki stały już oddziały amerykańskiej 102. Dywizji Piechoty 9. Armii Stanów Zjednoczonych. Ostatnie walki − w pobliżu miasta Klietz − trwały do 6 maja.

W ciągu dwóch dni stacjonowania nad Łabą wielu polskich żołnierzy przeszło na amerykańską stronę, co spowodowało wycofanie oddziałów 1. Armii WP na tyły

i wprowadzenie na ich miejsce jednostek radzieckich. W tym momencie zakończyła się dla polskich żołnierzy operacja berlińska.

Raport I[wana] Sierowa dla Ł[awrentija] Berii o nastrojach w armii polskiej. [Warszawa], 14 kwietnia 1945 roku

Moskwa, NKWD ZSRS
towarzysz Beria

Ściśle tajne
Przyjęto przez WCz
1 Front Białoruski

W związku z szybkim przesuwaniem się wojsk sojuszników na Froncie Zachodnim, wśród szeregowych i oficerów 1 Armii Polskiej, działającej w składzie 1 Frontu Białoruskiego, pojawiły się niezdrowe nastroje w związku z mającym nastąpić spotkaniem z wojskami armii Andersa.

Organy informacji 1 Armii Polskiej wykryły i włączyły do ewidencji osobowej byłych żołnierzy armii Andersa, akowców, a także żołnierzy posiadających bliskich krewnych w armii Andersa i in[nych], ogółem do 2000 osób.

Wymienione osoby prowadzą rozmowy i rozpowszechniają różnego rodzaju pogłoski o mającym nastąpić spotkaniu z szeregowymi i oficerami armii Andersa.

Najbardziej charakterystyczne są następujące nastroje:

Zastępca do spraw polit[ycznych] dowódcy 10 batalionu 1 brygady inżynieryjno-saperskiej Karpiński Narcyz, urodzony w Łodzi, przyszedł do pierwszej kompanii i w rozmowie z szeregowymi i oficerami oświadczył:

„W ostatnich dniach usłyszałem z radia londyńskiego, że Anders objął dowództwo całej armii polskiej i powinien połączyć się z nami. Uważam, że Anders będzie dobrym dowódcą".

Znaczna część obecnych przy tym szeregowych i oficerów zgodziła się z wypowiedzią Karpińskiego.

Karpiński jest rozpracowywany przez Wydział Informacji jako wrogo nastawiony do obecnego rządu polskiego.

Starszy sierżant samodzielnego armijnego pułku łączności Glemba Piotr, urodzony w województwie lwowskim, Polak, 2 kwietnia br. w rozmowie z informatorem oświadczył:

„Po tamtej stronie Berlina, razem z armią angielską idzie armia Andersa. Gdy spotka się z polskim wojskiem, większość naszych szeregowych i oficerów przejdzie do andersowców. Władza sowiecka wystarczająco dręczyła nas na Syberii".

Glemba rozpracowywany jest jako wrogo nastawiony element.

Dowódca plutonu 10 batalionu Koricki Janusz, urodzony w Warszawie, Polak, w rozmowie ze swoimi szeregowcami oświadczył:

„To dobrze, że wojsko polskie idzie na spotkanie armii Andersa, która będzie walczyć razem z naszą armią i obali nasz obecny demokratyczny rząd, skazujący naród polski na głód".

Rozpracowywany na podstawie akt formularnych chorąży Strzelecki Roman, urodzony w Łodzi, w rozmowie z naszym źródłem oświadczył:

„Jeśli armia Andersa pojawi się niedaleko, to wielu naszych żołnierzy przejdzie na stronę andersowców. Będę jednym z pierwszych, gdyż nie mam tu nic do roboty. Teraz, gdy mi będą wydawać dowód osobisty, nie powiem, jaki jest adres mojej rodziny, aby nie została pociągnięta za mnie do odpowiedzialności”.

Szef sztabu 27 samodzielnego armijnego batalionu remontowo-naprawczego kapitan Wochnowski Edward, urodzony w województwie wileńskim, w przeszłości służący w armii Andersa. W rozmowie z naszym informatorem powiedział:

„Po zakończeniu wojny w Niemczech będziemy jeszcze walczyć z Rosją. W Anglii mamy trzymilionową armię Andersa”.

Zastępca dowódcy 2 samodzielnego batalionu łączności porucznik Lewandowski Józef, urodzony w województwie warszawskim, 3 kwietnia oświadczył:

„Wkrótce pierwsza armia polska powinna się spotkać z armią Andersa, w której każdy z nas ma krewnych i znajomych. Podczas spotkania uściśniemy dłonie szeregowych i oficerów armii Andresa jak rodzonych braci, a niektórzy przejdą z naszej armii do niej”.

W związku z przedstawionymi nastrojami, uaktywnili się również byli akowcy, znajdujący się obecnie w armii polskiej. Na przykład:

Dowódca działa 2 brygady art[yleryjskiej], były członek AK plutonowy Ostrowski Tadeusz, urodzony w Równem, prowadził z szeregowymi następującą rozmowę:

„Wtykają nam swoją demokrację. Gdy tylko nasze wojska połączą się z andersowskimi, to przepadnie ten rząd tymczasowy razem z Osóbką-Morawskim. Londyński rząd weźmie władze w swoje ręce i wtedy Polska będzie taka, jaką była do 1939 roku. Anglia i Ameryka pomogą Polsce wygnać Rosjan”.

Wydział informacji wykrył w batalionie szkolnym 3 dywizji piechoty grupę siedmiu akowców. Wszyscy członkowie grupy systematycznie wychwalają armię Andersa. Jeden z nich, Farfiecki, oświadczył:

„Jest nas tutaj ośmiu akowców i walczymy u was do pewnego czasu, a potem wszyscy odejdziemy”.

Dowódca plutonu dywizji przeciwlotniczej Błażkow Janusz (rozpracowywany jako akowiec), przed aresztowaniem otwarcie agitował przeciwko rządowi tymczasowemu, wychwalał rząd emigracyjny w Londynie, armię Andersa i AK.

Błażkow został aresztowany.

Jak ustaliliśmy, pomimo występowania takich nastrojów naczelne dowództwo wojska polskiego nie podjęło żadnych praktycznych kroków w zakresie wzmożenia pracy polityczno-wyjaśniającej.

Dowódca 1 Armii Polskiej zwraca się do nas z pytaniem, jak należy właściwie ustosunkować się do szeregowych i oficerów, którzy aktywnie agitują i rozpowszechniają podobne nastroje.

Ze swej strony uważam za celowe:

1. Przed rozpoczęciem aktywnych działań aresztować pod różnymi pozorami wszystkich żołnierzy, którzy aktywnie występują za przyjaznym spotkaniem z armią Andersa, a przeciwko rządowi tymczasowemu.

2. Rekomendować Bierutowi, KC PPR i Zarządowi Politycznemu Wojska Polskiego przeprowadzenie w tych sprawach niezbędnej pracy wyjaśniającej wśród kadry szeregowej i oficerskiej.
3. Polecić wydziałom informacji 1 i 2 Armii Polskiej przeprowadzenie dokładnej kontroli posiadania odbiorników radio[wych] przez kadrę szeregową i oficerską armii i skonfiskowanie ich w celu pozbawienia możliwości słuchania audycji z Londynu.

Proszę Was o wytyczne.

I[wan] Sierow

Kopia, maszynopis.
GARF, fond 9401, opis 2, p. 95, s. 32–35.

Żołnierze polscy w bitwie o Berlin

Podczas gdy trwało natarcie 1. Armii WP w kierunku Łaby, część polskich oddziałów wzięła udział w bezpośrednim szturmie na Berlin. Generał Popławski wyznaczył do tego zadania 6. samodzielny batalion pontonowo-mostowy i 2. Brygadę Artylerii Haubic, które miały działać w składzie radzieckiej 2. Armii Pancernej, oraz 1. Brygadę Moździerzy − do wsparcia radzieckiej 47. Armii. 30 kwietnia 1945 roku do Berlina skierowano również 1. Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Ogółem w bitwie na ulicach stolicy Trzeciej Rzeszy wzięło udział 12 700 polskich żołnierzy. Biorąc pod uwagę wszystkie zaangażowane w zdobycie Berlina siły − był to wkład symboliczny. Miał jednak duże znaczenie propagandowe. Początkowo Polacy nie byli uwzględniani w radzieckich planach szturmu na stolicę Trzeciej Rzeszy, ale po interwencji gen. Michała Żymierskiego u marsz. Żukowa i po decyzji samego Stalina, żołnierze 1. Dywizji Piechoty wzięli udział w ostatecznej ofensywie.

Jak się później okazało, polscy piechurzy − włączeni do radzieckich brygad pancernych − odegrali ważną rolę w zdobywaniu centralnych sektorów Berlina. Pierwsi polscy żołnierze dotarli na przedpola miasta już 24 kwietnia 1945 roku. Była to 1. Brygada Moździerzy płk. Wasyla Juryma, która wspierała radziecką 47. Armię, oskrzydlającą Berlin od północnego zachodu. Polacy nawiązali walkę pod Spandau i Poczdamem.

27 kwietnia 1945 roku artylerzyści z 2. Brygady Artylerii Haubic płk. Kazimierza Wikientiewa jako pierwsi polscy żołnierze zostali przegrupowani do Berlina i rozpoczęli ostrzeliwanie miasta, wspierając radzieckich czołgistów z 2. Armii Pancernej. 30 kwietnia polskie pociski zaczęły spadać

na niemieckie umocnienia w rejonie parku Tiergarten, leżącego w samym centrum niemieckiej stolicy. W ciągu kolejnych dni dwa pułki 2. Brygady wspierały również polskich piechurów z 1. Dywizji Piechoty, zdobywających od strony Szprewy rejon berlińskiej politechniki.

Bardzo ważne zadanie wykonali polscy saperzy z 6. batalionu pontonowo-mostowego mjr. Aleksandra Kofanowa. 27 kwietnia zbudowali oni most na Szprewie, po którym przejechały radzieckie czołgi 2. Armii Pancernej, nacierające na centrum Berlina.

1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, pod dowództwem gen. Wojciecha Bewziuka, przystąpiła do zdobywania Berlina 30 kwietnia 1945 roku. Polskie pułki włączyły się do walki w samym centrum miasta i toczyły boje o budynki politechniki oraz stację kolejową Tiergarten. O świcie 2 maja 1945 roku żołnierze 3. pułku piechoty dotarli − przez Charlottenburger Chaussee − pod Bramę Brandenburską i budynek Reichstagu, zajętego wcześniej przez żołnierzy radzieckich. W kilku miejscach w Berlinie powiewały polskie flagi. Wydźwięk propagandowy obecności polskich żołnierzy był bardzo mocny. Dywizja kościuszkowska, która zapoczątkowała szlak bojowy polskiej armii pod Lenino, mogła się teraz szczycić mianem zdobywców stolicy Trzeciej Rzeszy.

Podczas operacji berlińskiej, trwającej od 16 kwietnia do 2 maja 1945 roku, straty bojowe 1. Armii WP wyniosły 4871 poległych, rannych i zaginionych. Najwięcej żołnierzy zginęło podczas przełamywania niemieckiej obrony nad Odrą. Stosunkowo niewielkie straty poniosło polskie wojsko w samym Berlinie; było to wynikiem zaangażowania dużo mniejszych sił. Dla porównania Armia Czerwona w całej operacji berlińskiej straciła ponad 300 tys. żołnierzy.

Operacja łużycka 2. Armii WP i tragedia pod Budziszynem

Formowanie 2. Armii WP rozpoczęło się w sierpniu 1944 roku. Dowódcą nowego związku operacyjnego mianowano gen. Karola Świerczewskiego, radzieckiego oficera polskiego pochodzenia. Walczył on w szeregach Armii Czerwonej już w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919−1921. Potem w latach 1936−1938, pod pseudonimem „generał Walter”, brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii, w szeregach Brygad Międzynarodowych. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, w listopadzie 1941 roku dowodził radziecką dywizją na froncie pod Moskwą. Wskutek niekompetencji i rażących błędów w dowodzeniu doprowadził wtedy do rozbicia formacji przez Niemców, za co został odsunięty na tyły. Karol Świerczewski był alkoholikiem – mimo to sprawował nadzór nad całą armią. Generał Świerczewski był również odpowiedzialny za sądy wojskowe, które skazały na śmierć wielu żołnierzy Armii Krajowej.

Druga polska armia powstawała na terenach tzw. Polski lubelskiej. Tak komuniści nazywali obszar między środkowym biegiem Wisły, Sanem, Bugiem i Narwią wyzwolony w drugiej połowie lipca 1944 roku przez połączone siły Armii Czerwonej i polskie dywizje piechoty. Wśród poborowych 85 procent stanowili Polacy, werbowani również licznie z oddziałów Armii Krajowej oraz innych organizacji podziemnych. W odróżnieniu od 1. Armii WP − w 2. Armii WP większość stanowisk dowódczych zajmowali oficerowie radzieccy. Niechętnie przyjmowano do tej formacji oficerów II RP lub Armii Krajowej.

Mobilizacja przebiegała w bardzo trudnych warunkach. Żołnierzom często brakowało umundurowania i obuwia,

ludzie kwaterowali w prymitywnych namiotach lub ziemiankach, co w okresie jesienno-zimowym skutkowało licznymi chorobami. Formowanie 2. Armii nie przebiegało tak sprawnie jak do 1. Armii WP, mimo stosunkowo dużych możliwości mobilizacyjnych w centralnej Polsce. Początkowo Naczelne Dowództwo WP zamierzało utworzyć równolegle 3. Armię WP, co pozwoliłoby powołać Front Wojska Polskiego, złożony z trzech armii. Zrezygnowano z tego pomysłu w listopadzie 1944 roku − ze względu na zbyt małą liczbę zmobilizowanych żołnierzy. Na 600 tys. mężczyzn objętych poborem − od sierpnia 1944 roku do maja 1945 roku powołano do wojska niespełna 200 tys., czyli zaledwie jedną trzecią poborowych.

W tym czasie polskie dowództwo borykało się z problemem licznych dezercji, które po części były spowodowane niechętnym stosunkiem do armii przybyłej z ZSRR, dowodzonej przez oficerów obcego państwa, ubranych w polskie mundury. Żołnierze uciekali z armii nie tylko pojedynczo, ale całymi grupami, a nawet oddziałami. Do najgłośniejszego przypadku dezercji doszło 13 października 1944 roku na Lubelszczyźnie, kiedy uciekło 636 żołnierzy 31. pułku piechoty (z 7. DP 2. Armii WP).

Zniszczenia wojenne, braki w zaopatrzeniu dla wojska i niechętny stosunek ludności cywilnej do mobilizacji − spowodowały, że formowanie 2. Armii WP rozpoczęło się dopiero w styczniu 1945 roku. Oddziały dowodzone przez gen. Karola Świerczewskiego liczyły wtedy prawie 60 tys. żołnierzy: w pięciu dywizjach piechoty, jednej dywizji artylerii przeciwlotniczej oraz dwóch brygadach artylerii przeciwpancernej. Do składu armii włączono również jedną brygadę saperów, a w lutym − radziecką 16. Brygadę Pancerną.

W kwietniu 1945 roku − przed przystąpieniem do działań bojowych − 2. Armia WP liczyła już prawie 90 tys. żołnierzy. Na jej potrzeby utworzono jeszcze w 1944 roku 1. Korpus Pancerny, pod dowództwem radzieckiego generała Józefa Kimbara. Nawet w 1. Armii WP nie było formacji o podobnej sile. Korpus składał się z trzech brygad pancernych, trzech pułków artylerii samobieżnej, brygady piechoty zmotoryzowanej oraz mniejszych jednostek. Łącznie 2. Armia WP miała na stanie: 521 czołgów, dział samobieżnych i transporterów opancerzonych, 1736 dział i moździerzy, 2219 samochodów oraz ponad 8 tys. koni. Niestety, jej słabościami były: niedostateczne wyszkolenie żołnierzy, brak doświadczenia bojowego oraz fatalny dowódca. Te czynniki przyczyniły się do klęski w bitwie pod Budziszynem na Łużycach.

W lutym 1945 roku, kiedy 1. Armia WP toczyła zacięte boje o przełamanie Wału Pomorskiego, poszczególne jednostki 2. Armii WP, mimo że żołnierze nie zakończyli szkolenia, zostały wysłane na Pomorze. W marcu w okolicach Gorzowa skoncentrowano wszystkie dostępne oddziały i skierowano na Dolny Śląsk. Początkowo planowano, że 2. Armia WP weźmie udział w szturmie na twierdzę Wrocław, ale ostatecznie ze względów propagandowych skierowano ją do działań nad Nysą Łużycką. Chodziło o to, żeby polscy żołnierze zdobyli tzw. piastowskie granice Polski.

Operacja łużycka była częścią wielkiej ofensywy na kierunku berlińskim, realizowanej przez 1. Front Ukraiński marsz. Iwana Koniewa. Zadaniem tych jednostek było zabezpieczenie od południa sił głównych (1. Frontu Białoruskiego marsz. Żukowa) operacji berlińskiej. Wojska marsz. Koniewa szły na Drezno, Lipsk i Magdeburg, potem miały się również skierować na stolicę Trzeciej Rzeszy.

Zadaniem 2. Armii WP było sforsowanie Nysy i natarcie w kierunku Drezna. Zasadniczym celem była osłona, razem z radziecką 52. Armią, lewego skrzydła 1. Frontu Ukraińskiego, przed niemieckimi kontratakami z południa.

Przed frontem natarcia 2. Armii WP broniły się wojska 1. Dywizji Grenadierów Pancernych „Brandenburg” i 615. Dywizji Korpusu Specjalnego „Grossdeutschland” 4. Armii Pancernej Grupy Armii „Środek”, pod dowództwem feldmarszałka Ferdinanda Schörnera. Siły te liczyły około 50 tys. żołnierzy, a także 300 czołgów i dział pancernych oraz 600 dział i moździerzy. W odwodzie znajdowało się osiem dywizji, w tym sześć pancernych, o których dowództwo polskie nie miało praktycznie żadnych informacji. Z powodu nietrafnego rozeznania sytuacji podjęto niewłaściwe decyzje, co zakończyło się dla polskich jednostek tragedią.

16 kwietnia 1945 roku 2. Armia WP razem z wojskami 1. Frontu Ukraińskiego przekroczyły Nysę Łużycką w rejonie Rothenburga. Polska piechota kierowała się na miejscowości Niesky, Welka i Drezno. Pierwszy atak przypuściły 8. i 9. Dywizja Piechoty − na lewym skrzydle. W tym czasie 7. i 10. Dywizja Piechoty prowadziły zadania wiążące wojska niemieckie na prawym skrzydle.
W odwodzie pozostała 5. Dywizja Piechoty. Nie mając pojęcia o rzeczywistych siłach nieprzyjaciela, gen. Świerczewski wydał rozkaz, aby 1. Korpus Pancerny dotarł do Drezna już drugiego dnia operacji. Decyzja okazała się tragiczna w skutkach, gdyż ta część dywizji piechoty, która nie nadążała za czołgami, została pozostawiona bez wsparcia broni pancernej. Dodatkowo wskutek zatrzymania natarcia dwóch dywizji nad Nysą, jednostki 2. Armii WP zostały rozciągnięte na przestrzeni 50 km i rozdzielone na trzy odrębne ugrupowania. Wspomniany 1. Korpus

Pancerny nacierał na Drezno razem z 8. i 9. Dywizją Piechoty. W środku − w rejonie Budziszyna − znajdowały się 5. Dywizja Piechoty i 16. Brygada Pancerna, zaś nad Nysą walczyły dywizje 7. i 10. Taki układ sił doprowadził do niemieckiego kontruderzenia z południa.

21 kwietnia 1945 roku silne zgrupowanie wroga, złożone z pięciu dywizji, w tym dwóch pancernych, uderzyło na polskie jednostki pod Budziszynem. W okrążeniu znalazł się sztab i część 5. Dywizji Piechoty. Do niewoli dostał się ranny dowódca dywizji gen. Aleksander Waszkiewicz; Niemcy poddali go torturom i zamordowali. Rozbiciu uległa 16. Brygada Pancerna, z której przeżyło jedynie około stu żołnierzy (z 1300); stracono również prawie wszystkie czołgi. Najgorsze, że 2. Armia WP została rozcięta na dwa zgrupowania. W efekcie doszło do zerwania linii zaopatrzenia i łączności z wysuniętymi polskimi oddziałami. 22 kwietnia gen. Świerczewski, który zupełnie nie panował nad sytuacją, mimo dramatycznego położenia, rozkazał trzem polskim dywizjom (5., 9. i 10. DP) dalej nacierać na Drezno, razem z 1. Korpusem Pancernym, którego czołgi dotarły do rogatek miasta jeszcze tego samego dnia. W ten sposób głównodowodzący całkowicie pozbawił oddziały lewego skrzydła − odpierające potężne niemieckie kontruderzenie − ogniowego wsparcia. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i w sztabie armii zapanował kompletny chaos, wydawano sprzeczne rozkazy. Polscy piechurzy musieli walczyć bez osłony czołgów i artylerii. Z kolei artyleria, również pozostawiona sama sobie, poniosła duże straty w bezpośrednich potyczkach z niemiecką piechotą i czołgami. W pewnym momencie zagrożony został sam sztab 2. Armii WP, usytuowany pod Budziszynem.

Dopiero w tym momencie gen. Świerczewski zdał sobie sprawę z tragicznego położenia swoich jednostek i rozkazał

zawrócić spod Drezna czołgom 1. Korpusu Pancernego oraz siłom głównym 5. Dywizji Piechoty. Dywizje 8. i 9. miały pozostać na pozycjach obronnych pod miastem.

Tymczasem nad ranem 23 kwietnia 1945 roku na Budziszyn uderzyły niemieckie oddziały pancerne i następnego dnia zdobyły miasto. Kontratak polskich czołgów 1. Korpusu Pancernego nie przyniósł rezultatów; utracono tylko kolejne wozy bojowe.

Dramatyczna sytuacja 2. Armii WP została w końcu dostrzeżona przez sztab 1. Frontu Ukraińskiego. Marszałek Koniew rozkazał ściągnąć spod Drezna polską 8. Dywizję Piechoty płk. Józefa Grażewicza, żeby wzmocnić obronę całej 2. Armii − tym samym przejął dowodzenie nad polskimi wojskami. Marszałek Koniew zamierzał odtworzyć ciągłą linię frontu na Łużycach i umożliwić wycofanie spod Drezna 9. Dywizji Piechoty, która samodzielnie nie była w stanie utrzymać pozycji. Na pomoc Polakom wysłał również część sił radzieckiej 5. Armii.

26 kwietnia 1945 roku niemieckie 20. i 29. Dywizja Pancerna, 1. Spadochronowa Dywizja Pancerna „Hermann Göering” oraz Dywizja Grenadierów Pancernych „Brandenburg” − przypuściły z zaskoczenia atak na koncentrujące się siły 2. Armii WP. Próbując opanować sytuację, gen. Świerczewski rzucił do walki wszystkie czołgi i działa artylerii, którymi dysponował.

W ciągu kolejnych dni trwały próby odparcia niemieckiego uderzenia. Zaatakowane przez wroga pozycje obronne 8. Dywizji Piechoty zostały rozbite. Polacy ponieśli duże straty, ale walczyli z wielkim poświęceniem, dzięki czemu nie doszło do całkowitego rozgromienia armii.

Tymczasem wycofująca się spod Drezna 9. Dywizja Piechoty natknęła się pod miejscowością Horka na główne siły niemieckie i w wyniku nierównego starcia utraciła:

ponad 30 procent żołnierzy, większość artylerii oraz dowódcę płk. Aleksandra Łaskiego, który dostał się do niewoli. Polską jednostkę przed całkowitym rozbiciem uratował kontratak radzieckich oddziałów, jednak straty były tak duże, że 9. Dywizja Piechoty straciła zdolność bojową.

29 kwietnia 1945 roku wyczerpane walką pancerne dywizje niemieckie wycofały się spod Budziszyna, a ich miejsce zajęły oddziały piechoty. Nastąpił przełom w bitwie, który umożliwił 2. Armii WP uporządkowanie sił i umocnienie ciągłego frontu obrony skierowanego na południe. Ostatecznie w bitwie pod Budziszynem udało się Polakom zatrzymać bardzo groźne niemieckie kontruderzenie, które mogło zagrozić całemu 1. Frontowi Ukraińskiemu, ale 2. Armia WP zapłaciła tak dużą cenę, że nie można uznać tego starcia za zwycięstwo.

W Polsce Ludowej uważano bitwę na polach Łużyc za jeden z najcięższych egzaminów Wojska Polskiego. Mimo ogromnych strat przyjęto, że test został zdany. Przemilczano fakty, świadczące o niekompetencji i złym dowodzeniu gen. Świerczewskiego, które w największym stopniu przyczyniły się do śmierci tak wielu żołnierzy. Zawiedli również dowódcy niższego szczebla, którzy nie potrafili wydawać właściwych rozkazów, przez co doprowadzili do chaosu w oddziałach i pozostawili piechotę bez osłony czołgów i artylerii, a artylerię bez wparcia piechoty.

Podczas całej operacji łużyckiej 2. Armia WP utraciła ponad 20 procent stanu osobowego: prawie 5 tys. żołnierzy poległo, 10 532 zostało rannych, a około 2800 uznano za zaginionych. Do tego dochodziły straty w sprzęcie: 170 czołgów i 56 dział samobieżnych (co stanowiło ponad

połowę stanu), 124 moździerze, 232 działa, 330 samochodów oraz 1373 koni.

Mimo tak ogromnych ofiar, spowodowanych brakiem kwalifikacji dowódczych, Karol Świerczewski nie poniósł żadnych konsekwencji, wręcz przeciwnie − 1 maja 1945 roku dostał nominację na generała broni. Natomiast w bitwie pod Budziszynem na prawdziwy szacunek i uznanie zasłużyli prości żołnierze, którzy − nieudolnie dowodzeni, mimo braków w wyszkoleniu i bez doświadczenia bojowego − walczyli z wielkim poświęceniem. To ich zaciekły opór, mimo nierzadko beznadziejnej sytuacji, uratował całą armię przed całkowitą klęską.

Ostatni akord – operacja praska 2. Armii WP

Po upadku Berlina − 2 maja 1945 roku − większe siły niemieckie broniły się już tylko na terenach Czechosłowacji. Skoncentrowały się tam trzy armie, w tym jedna pancerna z Grupy Armii „Środek” (dowodzona przez feldmarszałka Ferdinanda Schörnera) oraz część oddziałów Grupy Armii „Ostmark” gen. Lothara Rendulicia. Łącznie wojska niemieckie liczyły około 900 tys. żołnierzy, wyposażonych w 1900 czołgów i dział samobieżnych oraz 9700 dział i moździerzy.

Niemieccy dowódcy, mimo posiadania znacznej siły, nie zamierzali się bronić w Czechosłowacji. Ich prawdziwym celem było wyprowadzenie wojsk w kierunku zachodnim i poddanie się armii amerykańskiej. Wywiad radziecki odkrył niemieckie plany i dowództwo Armii Czerwonej postanowiło szybko i zdecydowanie przeciwdziałać.

Do operacji praskiej wyznaczono siły trzech radzieckich frontów: 1. Front Ukraiński marsz. Iwana Koniewa miał

nacierać od strony Łużyc i Dolnego Śląska, 2. Front Ukraiński marsz. Rodiona Malinowskiego − od strony Wiednia, a 4. Front Ukraiński gen. Andrieja Jeriomienki − od strony Słowacji i Moraw. Do ostatniej batalii przeciwko Niemcom zgromadzono olbrzymie siły: 2 280 000 żołnierzy, 1960 czołgów i wozów pancernych, 30 tys. dział, moździerzy i wyrzutni rakietowych oraz 3014 samolotów.

Ponieważ w skład 1. Frontu Ukraińskiego wciąż wchodziła 2. Armia WP, polscy żołnierze również mieli wziąć udział w operacji praskiej; polskie oddziały przegrupowano w kierunku Pragi. Po ciężkich stratach pod Budziszynem, na początku maja 1945 roku jednostki gen. Świerczewskiego liczyły 69 256 żołnierzy, wyposażonych w 187 czołgów i dział samobieżnych oraz 646 dział i moździerzy. Do natarcia wyznaczono wszystkie pięć dywizji piechoty, wsparciem ogniowym miały być czołgi 1. Korpusu Pancernego, 16. Brygady Pancernej oraz 5. pułku czołgów ciężkich oraz działa samobieżne 28. pułku. Zamierzano wykorzystać całą armijną artylerię.

Operacja praska rozpoczęła się 6 maja 1945 roku od zmasowanego uderzenia wojsk 1. Frontu Ukraińskiego, które w ciągu dwóch dni prawie okrążyły jednostki niemieckiej Grupy Armii „Środek”. 7 maja ruszyły dywizje 2. Armii WP − z zadaniem rozbicia nieprzyjacielskiego zgrupowania między Dreznem, Budziszynem i Zgorzelcem. Potem zwycięskie oddziały miały się kierować do Pragi. Polskie jednostki nacierały w Sudetach, w trudnym górzystym terenie, na którym Niemcy dobrze się przygotowali do obrony.

8 maja 1945 roku Trzecia Rzesza skapitulowała, ale dla żołnierzy 2. Armii WP wojna nadal trwała. Ostatecznie Polacy do Pragi nie dotarli − miasto zostało zdobyte przez czeskich powstańców i jednostki pancerne Armii

Czerwonej. 10 maja 1945 roku czołgi polskiego 1. Korpus Pancernego wjechały do miasteczka Mielnik, położonego kilkadziesiąt kilometrów od stolicy Czechosłowacji, i tam zakończyły swój szlak bojowy. Najdalej na południe, bo aż na przedmieścia Pragi, dotarł 11 maja 1945 roku pododdział rozpoznawczy 16. Brygady Pancernej i 28. pułku artylerii samobieżnej. W tym momencie zakończyły się działania polskich żołnierzy.

W operacji praskiej 2. Armia WP poniosła niewielkie straty: zginęło lub zaginęło 66 żołnierzy, 902 zostało rannych. Podczas walk zniszczono kilkanaście czołgów i dział pancernych przeciwnika oraz wzięto do niewoli ponad 3 tys. żołnierzy niemieckich. (mb)

RELACJE

Przez Wał Pomorski, Kołobrzeg, Odrę.... na Berlin

JÓZEF FRANCZAK

W następnych miesiącach dalej toczyliśmy boje u boku Armii Czerwonej − w jej zwycięskim pochodzie do Berlina. Z tych ostatnich dni, tygodni i miesięcy zostało w mojej pamięci kilka szczególnie wyraźnych, niezacierających się z biegiem lat, wspomnień.

Pierwsze dotyczy incydentu, który wydarzył się po przekroczeniu dawnej granicy polsko-niemieckiej. Nie byłem już wtedy bezpośrednio na linii frontu, gdyż po śmierci zaopatrzeniowca z batalionu zająłem jego miejsce. Jeździłem przeważnie nocami po broń i amunicję do głównego magazynu; wozem nakrytym plandeką i z końmi, którym zakładało się koce na nogi, żeby nie hałasowały po bruku.

Okopaliśmy się właśnie pod jakimś folwarkiem i cały pluton odpoczywał w pomieszczeniach piwnicznych majątku, kiedy podczas bombardowania zawalił się sufit. Tylko dzięki temu, że wszyscy leżeliśmy tuż przy ścianach, nic się nikomu, poza potłuczeniami i zadrapaniami, nie stało. Lecz zasypani zostaliśmy gruntownie i przez co najmniej pięć godzin siedzieliśmy, nie wiedząc, w jaki sposób wydobyć się z pułapki. Wkrótce zaczęło brakować tlenu. Z ulicy dochodziły głosy ludzkie, ale któryś z zasypanych, wsłuchawszy się uważniej, powiedział, że to są Niemcy. Siedzieliśmy więc cicho. A był wśród nas żołnierz nazwiskiem Zuckerman, Żyd, który wsłuchał się uważniej w głosy i krzyknął, że to nie jest rozmowa

w języku niemieckim tylko w jidysz. Zawołaliśmy więc o pomoc i po chwili zaczęto od zewnątrz wybijać dziury w rumowisku i wyciągać nas po kolei. Po wyjściu na światło dzienne zobaczyliśmy wszyscy, że Zuckerman, silny brunet, prawie zupełnie osiwiał.

Prawdopodobnie miasteczko Jastrowie. Polscy żołnierze obok propagandowego transparentu z napisem „Na Berlin!” (luty 1945, Pomorze Zachodnie). *Fot. Józef Rybicki*

Drugie wspomnienie związane jest z walkami o Kołobrzeg. Nasz batalion zatrzymał się w cegielni pod miastem, niedaleko klasztoru, który siedem razy przechodził z rąk do rąk. Obok pobliskiego cmentarza leżały zwały trupów i żeby przejść, trzeba się było dosłownie po nich wspinać jak po zboczu pagórka. Wskutek

wciąż ponoszonych strat zaczęło brakować żołnierzy, więc zmobilizowano wszystkich, nawet kucharzy.

Staliśmy na razie na cmentarzu jako rezerwa. Za osłonę służyły grobowce. Ogień był tak silny i gęsty, że nasuwało się porównanie z bitwą pod Lenino. Kiedy ruszyliśmy do przodu, cmentarz się skończył i trzeba było przedostać się przez szosę obok muru. Wtedy ranny został pułkownik Szczagiel. Razem z Jarkiem Bilewiczem, kucharzem, ściągnęliśmy go z szosy i odwieźliśmy do wojskowego szpitala, po czym wróciliśmy na linię walk.

Kołobrzeg został zdobyty − znów kosztem niesłychanych ofiar. Nie brakowało ich zresztą na całym długim szlaku od Lenino pod Berlin. Rosły sterty trupów, które jak papierosy w pudełku układano w wielkich mogiłach, przesypując chlorkiem.

Pod Kołobrzegiem taka mogiła pomieściła od 400 do 500 Polaków. […] Po ustaniu działań wojennych podporucznik Duda z 8. kompanii 3. Dywizji jeździł po tych mogiłach z kompanią ludzi, odkopywał zabitych i przewoził na polskie tereny.

JÓZEF DUBIŃSKI

Marsz za cofającymi się siłami niemieckimi trwał dzień i noc. Szliśmy z szybkością od 30 do 50 kilometrów na dobę w kierunku na Płock, Włocławek, Toruń. 25 stycznia wkroczyliśmy do Bydgoszczy, gdzie Niemcy stawiali jeszcze opór. Po krótkotrwałych walkach następnego dnia ruszyliśmy w kierunku międzywojennej granicy polsko-niemieckiej − na Flatów[2], Jastrowie i w ostatnich dniach stycznia lub pierwszych dniach lutego dotarliśmy do Flatowa. Tu czyniliśmy przygotowania do odsieczy okrążonej w Jastrowiu 4. Dywizji.

Po zakwaterowaniu się we Flatowie, pod koniec dnia w miejscowym folwarku zabiliśmy tucznika i napiekliśmy mięsa. Rano, po nocnym odpoczynku, koledzy zjedli sute śniadanie i pojechali na odsiecz. Szef kompanii pozostał ze mną w miejscu zakwaterowania. Moim zadaniem było pilnowanie Niemki i jej syna w wieku około 14 lat. Zostali oni przyprowadzeni z okrążenia; zamierzano zasięgnąć od nich języka. Zamknięto ich w pokoju obok kuchni. Parę minut po wymarszu naszych chłopców i zniknięciu nie wiadomo gdzie szefa kompanii − przyjechała do Flatowa kolumna czołgów radzieckich. Jedną z załóg zwabił zapach pieczonego mięsa. Czołgiści weszli do kuchni i zażądali, bym dla nich też usmażył tego mięsa. Usmażyłem im na dużej patelni. Oni w tym czasie przynieśli dwudziestolitrową bańkę spirytusu i rozpoczęła się zabawa: garnuszek spirytusu, garnuszek wody i mięso na zakąskę. A gdy sobie już dobrze podjedli i popili, zainteresowali się Niemką. Wyprowadzili ją do drewutni, w której w nocy stały konie, i tam gwałcili ją jeden po drugim. Kiedy wyczynu tego dokonało już siedmiu, a ósmy czekał przy drzwiach na swoją kolej, napatoczył się szef, starszy ode mnie co najmniej o piętnaście lat. Zdenerwowany, odtrącił od drzwi czekającego na swoją kolejkę żołnierza i przyprowadził płaczącą Niemkę do pokoju. Całe zajście obserwował przez okno jej syn. […]

Żołnierze 1. Armii WP podczas zdobywania Wału Pomorskiego (luty 1945). *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Na Wale Pomorskim walczyliśmy od pierwszych dni lutego; ze zmiennym szczęściem. Kilkakrotnie wchodziliśmy do ataku bez większego zdobycia terenu […]. Kiedy zbliżaliśmy się do Wałcza, oczom naszym ukazał się niesłychanie smutny widok: setki zabitych żołnierzy z 4. Dywizji, których […] poprzedniego wieczora wprost z marszu rzucono do ataku na Wał Pomorski. Gruba warstwa śniegu, a oni w ciemnych mundurach i na terenie równym jak stół… Wszystko to było gratką dla ukrytych w bunkrach i za nasypem kolejowym Niemców, którzy dopuścili ich na kilkadziesiąt metrów od swojej linii, po czym otworzyli ogień huraganowy z broni maszynowej,

kładąc pokotem kilkuset naszych. Na tej bieli śnieżnej leżeli jak na łanie snopy po snopowiązałce.

W pobliżu zajętych przez nas stanowisk nad jeziorami nadarzyckimi[3] był również obóz jeniecki − oficerów polskich z września 1939 − parę dni wcześniej opuszczony. Na ścianach baraków można było odczytać nazwiska i stopnie. […] Nad jednym z jezior nadarzyckich zdarzył się następujący wypadek. 12 lutego o czwartej rano miało ruszyć natarcie na pozycje nieprzyjaciela. Czekając na rozkaz do rozpoczęcia ognia z moździerzy, usłyszeliśmy strzelaninę i ruch na pierwszej linii i nagle zobaczyliśmy Niemców, idących na nas po lodzie jeziora. Zanim zdążyliśmy wskoczyć do ziemianek, puścili po nas serię i zniknęli w pobliskim lesie sosnowym. Las ten okrążono wczesnym rankiem i zabrano ich do niewoli. Okazało się, że pierwsza linia naszego pułku została przez Niemców przerwana godzinę przed naszym natarciem. Niemcy przebili się przez pierwszą linię obrony, wzięli kilkunastu żołnierzy do niewoli i wywołali ogólną panikę zarówno na pierwszej linii, jak i w sztabie pułku. O świcie sytuacja została opanowana. Część naszych żołnierzy, znajdujących się w niewoli niemieckiej, odbiliśmy w Kołobrzegu. […]

16 lutego nastąpiło przegrupowanie jednostek. Czekaliśmy całe popołudnie na rozkaz do natarcia na bunkry Wału Pomorskiego.

Do szturmu jednak w tym czasie nie doszło, z nieznanych nam powodów, i około godziny osiemnastej zeszliśmy do byłych koszar lotnictwa niemieckiego, odległych o jakieś dwa kilometry od pierwszej linii. Nie pobyliśmy tam długo, bo już o godzinie dwudziestej pierwszej ogłoszono alarm i ruszyliśmy do natarcia na Wał Pomorski. Niemcy większego oporu nie stawiali i już następnego dnia przyspieszyliśmy atak w kierunku Czaplinka.

Tabory konne (luty 1945, Jastrowie). *Fot. Józef Rybicki*

W Czaplinku Niemcy okopali się i stawiali dość silny opór. Kilku naszych żołnierzy zostało zabitych i rannych. Zniszczonych zostało kilka czołgów, rażonych pancerfaustami. Po wycofaniu się Niemców z Czaplinka ruszyliśmy w pościg za nimi. Podczas przechodzenia przez lasy i pola, wpadliśmy w zasadzkę tylnych straży niemieckich. Jeden żołnierz z naszego zwiadu został zabity i kilku rannych. Dowódca zwiadu porucznik Łakota z resztą zwiadowców ledwo zdołali się wycofać. Łakota pozbył się swojego zindapa[4]. Parę godzin później okrążyliśmy tę jednostkę i zamknęliśmy Niemcom drogę odwrotu. Około godziny piętnastej część Niemców z tej grupy wzięto do niewoli, kilku udało się uciec. Odbito także motocykl. Okazało się, że w sumie było 40 Niemców. Mieli cztery

moździerze 81 mm, kilka karabinów maszynowych i broń ręczną w postaci automatów. Większość była własowcami[5], byli też Ukraińcy i kilku Ślązaków. Ślązacy okazali się sąsiadami porucznika Łakoty, Janka Alfreda i Jerzego Chożego z Rybnika. Za karę zabrano im dobre buty i zamknięto w jakimś opuszczonym domku na skraju lasu. Jaki jest epilog tej historii, nie wiem. Wiem tylko, że parę godzin później, tego samego dnia szliśmy szosą, która ciągnęła się leśnym wąwozem. Trzeba było dobrze mieć się na baczności, bo w każdym momencie mogła posypać się seria z karabinów maszynowych, tym bardziej że było to niezwykle dogodne miejsce do zorganizowania zasadzki. Nagle gdzieś w połowie drogi zauważyliśmy dwóch niemieckich żołnierzy z podniesionymi rękami. Schodzili z góry i dawali nam znaki, że chcą się poddać.

Przed Kołobrzegiem był jeszcze Połczyn-Zdrój, który zajęliśmy nad ranem 5 marca, zaskakując Niemców. To niespodziewane okrążenie doprowadziło do desperacji wielu mieszkańców tego miasteczka; niektórzy popełnili samobójstwo. Zaraz po zajęciu przez nas pierwszego domu, młyna i gospodarstwa, po wejściu do kancelarii młyna zobaczyliśmy ciała matki i córki. Otruły się tabletkami, co powiedziała nam starsza córka, której matka również wręczyła taką tabletkę, ale ona jej nie zażyła i pozostała przy życiu. Dziadkowie siedzieli już na wozie gotowi do ucieczki.

Po chwilowym odpoczynku i zjedzeniu śniadania ruszyłem na zwiedzenie miasteczka. […] Wszedłem do paru domów, między innymi do masarni. Schodami poszedłem na piętro. Po otwarciu drzwi do pokoju zobaczyłem straszny widok. Wokół stołu leżało zastrzelonych osiem osób, kobiety i dzieci w różnym wieku, a na środku pokoju leżał nieżywy dziadek z pistoletem przy skroni. Idąc dalej, wstąpiłem do

jakiegoś sklepu, gdzie wyszedłem aż na strych… Uciekłem z niego ze strachem, bo nie znosiłem widoku wisielców, a tu zobaczyłem aż dwunastu. Zrezygnowałem z dalszego zaglądania do tych domów, w których na pewno rozegrała się niejedna jeszcze tragedia.

Po namyśle ruszyłem na stację kolejową. Stał tam pociąg towarowy załadowany różnymi rzeczami, między innymi czerwonymi damskimi butami. Zabrałem dwie pary tych bucików, dołożyłem kostium koloru szarego i kilka kompletów bielizny pościelowej. Zrobiłem z tego paczkę i wysłałem mamie na Sybir, podając nazwisko rosyjskiego oficera jako wysyłającego. Podkreślam to, że nadawcą był niby Rosjanin, ponieważ im wolno było wysyłać paczki do 12 kilogramów, co nam było zabronione definitywnie. Paczka ta dotarła do matki na Sybir po sześciu miesiącach.

Miasteczko Połczyn-Zdrój, jak żadne inne na naszej drodze na terenie Niemiec, żyło: było światło, można było słuchać radia i obserwować dymiące kominy browaru połczyńskiego.

Marsz, z małymi potyczkami, trwał − aż 9 marca nad ranem podeszliśmy pod Kołobrzeg. Jeszcze była zima: z pokrywą śnieżną sięgającą powyżej kolan na polach i drogach, słabymi przymrozkami nocą i odwilżą w dzień.

Wiadomo, że prawie cały czas poruszaliśmy się na froncie pod osłoną nocy. Tak było i tym razem − w dzień odpoczywaliśmy, by wieczorem maszerować w kierunku Kołobrzegu […]. Około godziny dziewiątej wyszliśmy na przedpole pierwszej linii i już w pierwszych minutach ponieśliśmy poważne straty. Pierwszy zginął, od kuli snajpera, wzorowy żołnierz i kolega z naszej kompanii Władysław Chmielnicki. Parę sekund później tygrys trafił w załogę cekaemu: dwóch cekaemistów zginęło na miejscu, a jeden Wołyniak został ciężko ranny, urwało mu nogę,

a cały bok pocięło odłamkami. Wyniesiono go z pola ognia na nosiłkach sanitarnych i próbowano włożyć na wóz konny, który wyjechał zza budynków po drugiej stronie szosy, zwanej szosą śmierci. Nim zdążyli go włożyć na ten wóz, już na szosie leżały oba konie, rażone przez snajpera z wieży kościoła św. Jerzego.

Bitwa o Wał Pomorski (luty 1945). Zbieranie rannych. *NAC/Archiwum fotograficzne Stefana Bałuka*

Sanitariusze zostawili rannego obok wozu na szosie i to jeszcze od strony miasta. Leżał na tych nosiłkach i krzyczał do kolegów: „Jezu, koledzy dobijcie mnie”. Powtarzał te słowa wielokrotnie. Leżał dość długo, bo nikt nie odważył się do niego podejść − w obawie przed strzelcem wyborowym, siedzącym na wieży kościelnej. […]

Toteż kiedy po południu ruszyliśmy do natarcia, każdy starał się wydobyć z siebie wszystkie siły, by tamtym nie dać czasu ani możliwości wymierzenia nam kuli w piersi lub czoło. Szybkimi skokami, rowem pełnym trupów trzech narodowości: Niemców, Rosjan i Polaków, kryjąc się za tymi trupami, przedostaliśmy się pod barykadę pod miasto. W odległości 10−12 metrów od rozwalonego budynku i barykady okopaliśmy się; nie głębiej niż po kolana, gdyż więcej nie dało się − z powodu podmokłego terenu i wiosennych roztopów. Niemieckie okopy znajdowały się na cmentarzu, naprzeciw kościoła św. Jerzego, nie dalej niż sto metrów od naszych. Niemcy starali się po kilka razy dziennie atakować nasze pozycje. Niekiedy podrywali się do kontrataku z taką brawurą, że widzieliśmy ich w odległość kilkunastu metrów od naszych pozycji, szczególnie w okolicy cmentarza. Dochodziło do tego, że musieliśmy strzelać z moździerzy bez celownika, na najkrótszą możliwą odległość. Te kontrataki Niemców na nasze pozycje trwały do 13 marca, do chwili zaplanowanego przez nasze jednostki natarcia w głąb miasta.

13 marca wydarzyła się wielka tragedia, która szczególnie dotknęła naszą kompanię moździerzy i kilka innych jednostek okopanych w tym rejonie. Rozkazano nam przygotować się do artyleryjskiego natarcia. Otrzymaliśmy po 30 pocisków […] na każdy moździerz – do wystrzelenia na pozycje niemieckie. Wszyscy klęczeliśmy na swoich stanowiskach, w płytko wykopanych okopach, gotowi do ataku. Podoficerów, zwłaszcza do spraw polityczno-wychowawczych, wysłano na tyły po amunicję do moździerzy. Dowódca kompanii [Roman] Borejza i jego zastępczyni do spraw polityczno-wychowawczych przebywali w szpitalu. Komendant zachorował,

a zastępczyni dzień wcześniej została trafiona pociskiem artyleryjskim i była ranna.

Kompanią dowodził podporucznik Jan Gabryelczyk. Atak miał się rozpocząć o godzinie dziesiątej rano. Klęcząc, czekaliśmy na rozkaz do strzelania. W pewnym momencie z tyłu naszych pozycji usłyszeliśmy wybuchy rozrywających się katiuszy − nie dalej niż 50 metrów od naszych pozycji. W mgnieniu oka zorientowaliśmy się, że to jakieś nieporozumienie. Kazałem opuścić pozycję i kryć się, gdzie kto może. Sam zdążyłem jeszcze wskoczyć do pojedynczego okopu strzeleckiego. Pozostali czterej moi koledzy zdążyli tylko wyskoczyć ze stanowiska i w tym momencie spadła na nich seria pocisków. Jeden trafił prosto w żołnierzy. Wszyscy czterej zginęli na miejscu. […] Padli jeden na drugiego może metr od naszego okopu. […] Po tym ataku płakałem z bezsilności. Tylu zabitych i rannych kolegów…

Około godziny trzynastej uzupełniono nasze drużyny − bojową drużyną łączności, furmanami i ordynansem dowódcy kompanii. Po tym dopełnieniu uruchomiliśmy trzy moździerze; na osiem dotychczas działających w kompanii. Niestety przedpołudniowa tragedia powtórzyła się i po południu, z tym że miała mniej tragiczny wymiar. Około godziny trzynastej pancerny pojazd gąsienicowy przywiózł dla naszej kompanii amunicję do moździerzy. Podjechał pod samą barykadę. Nasza drużyna wyskoczyła, by go rozładować. […] Tu znów, jak w godzinach rannych, spadł z tyłu między nas ciężki pocisk artyleryjski, raniąc bardzo ciężko Wasilewskiego, lekko − Rotsztejna. Ja znów wyszedłem cało, chociaż zostałem rzucony podmuchem do jakiegoś okopu. Wyskoczyłem z tego dołu i nie wiedziałem, komu pomagać. Rotsztejn krzyczał: „Dubiński ratuj mnie!”. Wasilewski już nie miał sił krzyczeć o ratunek, miał rozerwane podbrzusze […].

Następnego dnia nacieraliśmy w głąb miasta, zdobywając dom po domu, ulicę po ulicy. Silna obrona nieprzyjaciela utrudniała natarcie. Trzeba było posuwać się przez dziury w murze, w płocie lub przez okienka piwnic. Bywało tak, że my znajdowaliśmy się w budynku z jednej strony ulicy, a nieprzyjaciel z drugiej. Miasto cały czas płonęło − atakowane przez nas i bronione przez Niemców z lądu i morza. Zdobywaliśmy dom po domu i ponosiliśmy duże straty. Ponieważ miałem dobrą orientację w terenie, pełniący w tych dniach funkcję dowódcy kompanii podporucznik Jan Gabryelczyk brał mnie zawsze nocą, bym mu towarzyszył w drodze do sztabu na narady. Chciał uniknąć błądzenia, o które było bardzo łatwo. Przy czym, można było samemu wleźć w ręce Niemców. I takie przypadki przydarzyły się wielu naszym żołnierzom.

[…] Rankiem 18 marca poszliśmy z kolegą Tadeuszem Kiełczewskim poszukać czegoś do jedzenia. Kiedy znaleźliśmy się na trzecim piętrze jakiegoś domu, […], spojrzałem przez okno na stację towarową. Biegali po niej nasi żołnierze, a niemieccy z niej uciekali. Nie byliśmy zorientowani, co się dzieje, gdyż minionej nocy i jeszcze rano bez przerwy nękała nas artyleria z okrętów niemieckich stojących na redzie. Sprawa wyjaśniła się po naszym powrocie na stanowiska, które znajdowały się na podwórku między kamienicami. Zastaliśmy tam tylko jednego żołnierza. Miał być dla nas łącznikiem do brzegu morza w rejonie latarni morskiej, do której już nasza jednostka dotarła. W tym czasie reszta Niemców ratowała się ucieczką w głąb morza.

Nasze dotarcie do morza opóźniło się o prawie dwie godziny, gdyż po przybyciu na stanowiska, postanowiliśmy jeszcze otworzyć garaż na podwórku i czegoś tam poszukać. Po otwarciu drzwi okazało się, że garaż

załadowany jest pod sam sufit różnymi ubiorami, takimi jak płaszcze skórzane, kurtki, a pod tym wszystkim stoi ukryty nowiutki opel koloru szafirowego. Natychmiast podjął się go uruchomić kolega, który czekał na nasz powrót. Pochodził z Wilna i znał się na samochodach − jego nazwiska nie pamiętam. On tylko podłączył klemę i zaraz uruchomił silnik. Samochodem tym honorowo przyjechaliśmy do portu. Wiadomo, że długo się nim nie cieszyliśmy, gdyż zaraz zabrał go nam nasz dowódca z pułku piechoty […]. Po przybyciu na plażę mogliśmy jeszcze obserwować, jak oddalały się dwa niemieckie statki. Opowiadano nam, że trzeci przed chwilą zatonął. Na brzegu, a zwłaszcza u wejścia do portu na Parsęcie widać było dziesiątki zabitych Niemców, niektóre ciała unosiły się na wodzie.

W dywizji zapanowała wielka radość i strzelanina na wiwat w morze. Wykorzystano do tego celu pozostawione przez Niemców na plaży działka i amunicję. Strzelano, aż lufy rozgrzały się do czerwoności. Po dwugodzinnym rozluźnieniu i wrażeniach ze spotkania z morzem, dla mnie było to pierwszy raz w życiu, zorganizowano uroczystość podsumowania walk o Kołobrzeg. Kilku żołnierzy i oficerów − w tym i mnie − odznaczono Krzyżem Walecznych.

Po uroczystościach, w godzinach wieczornych pożegnaliśmy Kołobrzeg i udaliśmy się na odpoczynek do odległej o około 20 kilometrów wsi kołobrzeskiej. W tej wsi obchodziliśmy Święta Wielkanocne oraz uroczystość nadania naszej dywizji Krzyża Grunwaldu III klasy.

Batalion nasz był bardzo uszczuplony. Kiedy zebraliśmy się w miejscowej szkole na uroczystości Wielkiej Nocy, przemówił do nas i złożył nam życzenia dowódca batalionu kapitan Zygmunt Tarnawski, który powiedział, że jest nas tu

zaledwie 63, nie licząc pełniących w tym czasie służbowe dyżury.

Zaraz po Świętach Wielkanocnych wyruszyliśmy w dalszą drogę na zachód, w kierunku na Szczecinek. Po drodze skręciliśmy w kierunku południowo-zachodnim, do miejscowości Siekierki nad Odrą. Tu, w rejonie zgrupowania 1. Armii WP, 15 kwietnia w środku dnia rozpoczęliśmy szturm na zachodni brzeg Odry. Przeprawa odbywała się przy wysokim poziomie wody, na tratwach i łodziach desantowych, pod silnym ostrzałem artylerii niemieckiej. Pociski rozrywały się obok nas i trafiały w łodzie lub tratwy. Obok naszej tratwy poszło na dno kilka dział. Było wiele strachu i jęku rannych, i wielu tonących. Nasza tratwa desantowa, dzięki Bogu, szczęśliwie dotarła do drugiego brzegu Odry, choć kilka pocisków artyleryjskich rozerwało się w nurtach rzeki w niewielkiej odległości.

Na drugim brzegu szybko okopaliśmy się w nasypie wału ochronnego, na którego zboczu od strony wschodniej nie było chyba metra kwadratowego, gdzie by ktoś nie był zasłonięty ziemią i gotowy do skoku w każdej chwili w kierunku na zachód. Tego samego dnia, już pod osłoną ciemności zbliżyliśmy się do pierwszej wsi zajętej przez nasze jednostki, a gdzieś około godziny dwudziestej pierwszej […] zaatakowały nas […] samoloty: zrzuciły kilkadziesiąt bomb i puściły ogniem z broni maszynowej po naszych pozycjach. Przeżyliśmy chwile grozy. Ja w tym czasie leżałem w pojedynczym okopie, obok obory z czerwonej cegły, i czułem, jak ziemia trzęsła się pode mną, a odłamki cegieł leciały na mnie.

Kilka minut po nalocie dowiedzieliśmy się, że szczególnie ucierpiał nasz sztab dywizji, w którym było kilku rannych i zabitych.

Jeszcze tego samego dnia przed północą wyszliśmy na pozycje wyjściowe do ataku. W środku nocy otrzymaliśmy uzupełnienie − kilku młodych chłopców dopiero co przybyłych na front. Pochodzili z Wileńszczyzny. Byli bardzo mili i koleżeńscy. Należy nadmienić, że przed rozpoczęciem ofensywy na ten przyczółek − zgrupowano kilkanaście jednostek radzieckich i polskich z 1. Armii WP.

Ofensywa rozpoczęła się 16 lub 17 kwietnia; przy bardzo silnym ostrzale artyleryjskim z prawej strony przyczółka, gdzie przygotowywała się do natarcia Armia Czerwona, i lekkim ogniu na odcinku naszej armii. Przy czym większość artylerii, zwłaszcza ciężkiej, strzelała ze wschodniego brzegu Odry i wszystkie pociski, zanim padły po stronie niemieckiej, przelatywały nad naszymi głowami. Pod koniec nawały artyleryjskiej, rozpoczętej o świcie, przy silnej mgle ruszyliśmy do ataku. Pierwsza wyskoczyła na przedpole piechota, ale zaraz musiała się wycofać na pozycje wyjściowe, gdyż w odległości może 50 metrów natrafiła na silnie zaminowany teren, co uniemożliwiło dalsze natarcie.

[…] Po powrocie kolegów i wyniesieniu rannych, a było ich bardzo dużo, przeważnie z porozrywanymi kończynami dolnymi, otrzymaliśmy rozkaz zniszczenia tego pasa pól minowych za pomocą kilku serii puszczonych z naszych moździerzy 82 mm. Po tej krótkiej strzelaninie ponownie ruszyliśmy do natarcia − polami równymi jak stół, między Odrą i Starą Odrą.

Po ustąpieniu mgły i nastaniu dnia posuwaliśmy się do przodu skokami po kilkadziesiąt metrów, stale zmuszani do zalegania z powodu silnego ognia niemieckich karabinów maszynowych i artylerii. W takiej sytuacji nie było możliwości dalszego natarcia. Próbowano jeszcze kilka razy poderwać nas do ataku, ale […] nie było żadnych szans.

Około godziny dziesiątej dostaliśmy rozkaz wycofania się za wał Starej Odry i ustawienia moździerzy na stanowiskach.

W międzyczasie na te pola, które myśmy przed chwilą opuścili, wyskoczył na swoim zindapie dowódca zwiadu naszego batalionu porucznik Łakota. W pierwszej chwili przeraziliśmy się, że wpadnie w zasadzkę i zostanie schwytany przez Niemców, ale w tym samym momencie Niemcy z odległości kilkuset metrów puścili w jego kierunku serię pocisków z karabinów maszynowych. Porucznik zorientował się w sytuacji, padł na ziemię i pomału wyczołgał się w tym samym kierunku, z którego przed paroma minutami wyruszył.

Po wycofaniu się za wał ochronny Starej Odry okopaliśmy się i ustawiliśmy moździerze gotowe do strzału. Oczekując na rozkazy, obserwowaliśmy nasze przedpole i ruchy wojsk nieprzyjaciela. Linia stanowisk niemieckich zlokalizowana była w rowach melioracyjnych na przedpolach trzech wsi, prawie łączących się ze sobą. W niedalekiej odległości od nas, kilkadziesiąt metrów na tyłach pierwszej linii niemieckiej, przy stercie słomy zobaczyliśmy przez lornetkę cztery działa niemieckie: po lewej stronie jedno, po prawej trzy, a wszystkie zamaskowane makietami z drewna. Działo ze strony lewej było przeciwlotnicze i jeszcze tego samego dnia […] bardzo silnie poturbowało naszą kolumnę pancerną.

Dla naszej kompanii, a może i całego pułku był to dzień szczególny, gdyż po raz pierwszy w ciągu całego okresu walk dostaliśmy wsparcie czołgów. Dotychczas czołgi […] widzieliśmy tylko na zgrupowaniu przed ofensywą lub wymijające nas w drodze. Jak już wspomniałem, w tym dniu około godziny jedenastej – 20 żelaznych cielsk przejechało obok naszych stanowisk na przed chwilą opuszczone przez nas pole i ruszyło tyralierą […] do natarcia na pozycje

niemieckie, strzelając pojedynczymi pociskami po stanowiskach wroga. Ta sielanka dla oczu bardzo szybko się skończyła. Właśnie z tego lewego działa nieprzyjaciel puścił po naszych czołgach parę pocisków, które po przebiciu pancerza, rozrywały się w środku czołgu i paliły wszystko. W ciągu 10 minut sześć naszych czołgów zostało spalonych. Pozostałe natychmiast wycofały się za wał. Czołgi, rażone pociskami, w kilka sekund wybuchały i rozrywały się w kawałki, ponieważ następowała eksplozja zgromadzonych wewnątrz maszyn pocisków. Był to straszny widok − płyty żelastwa rozlatywały się na wszystkie strony.

Z sześciu trafionych czołgów uratował się tylko jeden czołgista, który wydostał się bocznym włazem z lewej strony maszyny i szybko wycofał się na jej tył. Około 20−25 sekund po jego wyskoczeniu czołg eksplodował. Uratowany czołgista, silnie poparzony tlącą się na nim kufajką, został wyniesiony przez sanitariuszy z pola ostrzału za nasyp wału. […]

Po wycofaniu się czołgów przez kilkanaście minut trwał bezruch na naszym odcinku. Niemcy natomiast kręcili się po swoich okopach, przygotowując się do przegrupowania w kierunku miasta Wriezen. Jeszcze tego samego dnia około godziny trzynastej zostaliśmy zaskoczeni zgrzytem katiuszy, które ustawiono około stu metrów od naszych stanowisk. Artylerzyści puścili serię pocisków […] po niemieckich pozycjach. Nie trwało to dłużej niż 30 minut i Niemcy rozpoczęli ucieczkę ze swoich pierwszych linii do tyłu. My ruszyliśmy do natarcia − biegiem wzdłuż nasypu wału.

Biegnąc, zauważyłem u podnóża nasypu niemieckiego oficera. Leżał i trzymał lewą nogę urwaną w kolanie pod prawą pachą; noga ta trzymała się tylko na ścięgnie. Zamieniłem z nim parę słów. Okazało się, że bardzo

poprawnie mówił polsku. Zapytany, skąd pochodzi, odpowiedział, że z Łodzi, a przed samą wojną mieszkał w Warszawie. Zapytałem go, dlaczego wcześniej nie poszedł do niewoli. Tłumaczył się tym, że nie wiedział, że to idą Polacy. Gdyby wiedział, dawno by się poddał. Gdy od niego odszedłem, spojrzałem jeszcze raz do tyłu i zobaczyłem, jak oficer radziecki wyjął pistolet i zabił go.

Najbliższa noc była dla nas bardzo pracowita: trzykrotnie zmienialiśmy stanowiska, a trzeba było je wykopać, zamaskować i ustawić moździerze, tak żeby były gotowe do strzału. A gdy nastał świt, okazało się, że jesteśmy na odkrytym polu, na wzgórzu i niecałe sto metrów od nasypu kolejowego, za którym wróg ustawił karabiny maszynowe i ma nas jak na talerzu, i tylko mały ruch z naszej strony, a już ktoś będzie leżał martwy. Nie było możliwości podniesienia głowy. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało się nam wycofać: na nasze stanowiska napłynęła mgła, pod której osłoną zwinęliśmy manatki i w wodzie po szyję (w pobliżu było jezioro) przeszliśmy kilkaset metrów do niewielkiego lasu. Na polanie tego lasu ustawiliśmy moździerze i po raz pierwszy mogliśmy wystrzelić tyle pocisków, ile nam nasze […] dowództwo mogło dostarczyć.

Po południu, gdy się trochę uspokoiło i wyszedłem na skraj tego zagajnika, żeby obserwować pobliskie pola, doszedł do mych uszu ludzki jęk. Podszedłem bliżej i zobaczyłem leżącego i wyjącego z bólu rannego Niemca. Zbliżyłem się do niego ostrożnie, rozbroiłem go i pomału zaprowadziłem, całego zbroczonego krwią, do sztabu pułku. Jeszcze tego samego dnia pod wieczór ruszyliśmy do natarcia na Wriezen, które od rana tak silnie bombardowaliśmy moździerzami.

Na skraju tego miasteczka, pod lasem, Niemcy założyli obóz jeniecki dla oficerów francuskich, angielskich i amerykańskich. Po kolacji i krótkim odpoczynku ruszyliśmy „na Berlin!” − jak to się wówczas mówiło. Do Berlina jednak nie dotarliśmy, ominęliśmy go północną stroną przez miejscowość Flatow. […] Z tej miejscowości, jak nas poinformowano, było tylko dwadzieścia kilometrów do Berlina. Można w niej było spotkać wielu Polaków, w tym polskie dziewczęta, które tu przebywały na robotach przymusowych. Stąd również po krótkim odpoczynku poszliśmy w dalszą drogę na zachód − na spotkanie z aliantami zachodnimi.

25 kwietnia 1945 roku znaleźliśmy się na zachodnim skraju jakiegoś lasu, kilka kilometrów od Łaby, za którą alianci już odpoczywali w pozycjach obronnych i czekali na nasz ostateczny bój, i dotarcie do rzeki. Po południu zebrano nas na zbiórkach całymi kompaniami i oznajmiono, że w najbliższych godzinach spotkamy się z aliantami. Zobowiązano nas do przeglądu mundurów, przyszycia kołnierzyków, guzików i w ogóle do uzupełnienia wszystkich spraw związanych z toaletą osobistą oraz do przygotowania się do ostatniego ataku na pozycje nieprzyjaciela.

Przed zmrokiem, jeszcze prawie za dnia, wyskoczyliśmy do ataku na pozycje wroga, który ulokował się na wzgórzach, na ornych polach po stronie wschodniej, tuż nad Łabą. Nasze natarcie tego wieczora zostało zatrzymane przed pagórkiem z tymi ornymi polami − działkami automatycznymi pięciolufowymi 333 mm, które Niemcy wprowadzili na front w ostatnich dniach wojny. Bardzo silny ogień z tych samobieżnych działek położył nas na polu i musieliśmy się okopać. Rano to samo. Każdy nasz ruch był pod silnym ostrzałem, ale najczęściej ginęło za naszymi plecami bydło wypuszczone wcześniej na pastwiska. Setki

bydła zamkniętego w kwaterach ryczało z ran, a krowy dodatkowo z niewydojenia. Był to straszny widok i żal nam było tych ładnych niewinnych biało-czarnych krów.

Na dodatek już w pierwszą noc naszego oczekiwania na rozkaz do natarcia kilku kolegów − zwłaszcza oficerowie z nowego uzupełnienia ze szkoły lubelskiej − skorzystało z nocnych ciemności i uciekło przez linie niemieckie do aliantów. Nasze dowództwo, po zorientowaniu się, co zaszło w nocy, już drugiego dnia wieczorem rozkazało nam opuścić wczoraj zajęte stanowiska i przemaszerować trzydzieści kilometrów w lewo. Po nocnym przemarszu, nad ranem zajęliśmy pozycje wyjściowe na miasteczko Sandau. Stwierdziliśmy, że były tu już przed nami inne jednostki polskie, które poniosły duże straty i chyba musiały się wycofać, lub zająć stanowiska w pozycjach obronnych, ponieważ pozostawiły na polu walki wielu zabitych.

W jednym z rowów melioracyjnych znalazłem zabitego porucznika Wierzbickiego, nauczyciela, który uczył mnie w ostatnim roku przed wybuchem wojny. Znalazłem przy nim dokumenty i adresy rodziny, na które wysłałem, razem z dokumentami, zawiadomienie o śmierci porucznika Wierzbickiego.

Przez dwa dni kilka razy podrywaliśmy się do ataku w kierunku na Sandau, ale przed nami rozpościerała się równina ornych pól, a bliżej miasta łąk. Każde nasze poderwanie się do ataku kończyło się zaleganiem w najbliższym okopie, dole lub rowie melioracyjnym, ponieważ podobnie jak w dniach poprzednich natychmiast rozpoczynały strzelaninę działka samobieżne, siejąc gradem pocisków z zamaskowanych stanowisk na skraju miasta.

Ostatecznie 1 maja około godziny dziewiątej trzydzieści wysunęła się przed nas karna kompania, której żołnierze przy naszym wsparciu około godziny trzynastej dotarli, przy

dużych stratach, do miasta. Zajęli miasto i puścili się za wrogiem w pościg do lasu, już za miastem, czego nie przewidziało nasze dowództwo, więc wystrzeliliśmy kilka pocisków po własnej karnej kompanii.

Bez chwili odpoczynku ruszyliśmy za rozbitkami w pościg. Niestety bardzo krótko to trwało. Przyjechał goniec na koniu, który skierował się prosto do dowódcy naszego pułku i po rozmowie otrzymaliśmy rozkaz wycofania się do zajętego przed godziną miasta Sandau. […] Po czym otrzymaliśmy rozkaz wymarszu do odległej o cztery kilometry wsi, w której rozlokowaliśmy się w parku, w folwarku okolonym wysokim murem. Na bramach stały straże naszej jednostki. Odpoczywaliśmy tam dwa dni.

DANIEL RUDNICKI

W trzeciej dekadzie stycznia 1945 roku szpital ruszył na zachód. Po jednodniowym postoju w majątku Giżyce, koło Sochaczewa, przystanęliśmy we Włocławku. Po co ten postój był potrzebny, nie wiem − rannych nie było, pozostawała tylko właściwie praca z ludnością cywilną. I te kilka tygodni we Włocławku pozostały w pamięci jako piękne, niepowtarzalne czasy, jako okres, w którym czułem, że wpadłem na swój tor, że żyję pełnią życia.

Natychmiast po przybyciu do miasta zorganizowałem w ładnej, dużej sali teatru miejskiego wiec, na którym co nieco mówiłem o pochodzeniu, charakterze i szlaku bojowym naszego wojska oraz o aktualnej sytuacji na frontach. Charakterystyczne, że nie widać było nic z nastrojów lubelskich − na Pomorzu wierzono w każde nasze słowo bez zastrzeżeń.

Natomiast coś innego stanowiło swoisty problem w pracy propagandowej − była to nawet dość otwarcie wyrażana obawa, czy aby Niemcy jeszcze nie wrócą, brak

przekonania o nieodwracalności zachodzących zmian. Ale i z tym udało się nam uporać; jak, opowiem niedługo.

Po tymże wiecu odwołał mnie na bok nieznany mi oficer, niejaki porucznik Roth […]. Po złożeniu wyrazów uznania dla mojego talentu krasomówczego, a jakże!, nastąpiła seria tak dobrze znanych mi pytań odnośnie mojej biografii, po czym porucznik oświadczył, że mobilizuje moją skromną osobę w charakterze pomocy do jego zadań, to znaczy dla przedstawiciela pełnomocnika Rządu Tymczasowego na województwo pomorskie z siedzibą w Bydgoszczy − dla kapitana Antoniego Alstera[6].

A konkretne zadania? Zorganizować terenowe organy władzy, uruchomić miejscowy przemysł, głównie Celulozę[7], zorganizować milicję, komórkę ZWM[8] i tak dalej. Oczywiście, sprawę zwolnienia mnie z bieżących codziennych zajęć w szpitalu wziął na siebie. I tak rozpoczęły się dni gęsto naszpikowane wyjazdami do Celulozy, konferencjami w Miejskiej Radzie Narodowej i w redakcji miejscowej gazety, a głównie działalnością propagandową.

W szpitalu istniał od dawna stosunkowo niezły zespół amatorski, głównie dzięki pomocy, jaką okazywał mu major Wąsowicz. Sam też włożyłem dużo pracy w ten teatrzyk z rewelersami, chórem i niezłą orkiestrą. Reżyserowałem, pisałem, grałem. I otóż właśnie to „wojsko” pchnęliśmy do decydującego uderzenia przeciwko nastrojom niepewności i obawy przed powrotem Niemców, co okazało się w konsekwencji wcale niezłym pomysłem.

[…] W połowie lutego 6. szpital przeniósł się na nowe miejsce postoju w Złotowie, koło Piły. W tymże Złotowie stało również dowództwo drugiego rzutu armii. I otóż kiedyś koło północy oficer dyżurny wzywa wszystkich oficerów jednostki na odprawę do komendanta. Wąsowicz

komunikuje nam, że otrzymał telefonogram ze sztabu kwatermistrzostwa, nakazujący uzbroić cały zdolny do noszenia broni skład osobowy, wyjść z nim na szosę do Piły, wykopać rowy przeciwczołgowe i oczekiwać na silną kolumnę pancerną nieprzyjaciela, która przerwała pierścień okrążenia, wydostała się z otoczenia Piły i może zaatakować Złotów.

Nie skłamię, jeżeli powiem, że z kilku tysięcy ludzi w szpitalu, udało się z wielkim trudem sklecić chyba trzydziestoosobowy oddział. Ja − jako były liniowiec − zostałem zastępcą dowódcy grupy szoferów, kancelistów, sanitariuszy. A przedsmak tego, co czekałoby mnie w boju z tym wojskiem, miałem już po kilkukilometrowej drodze, kiedy jeden czy dwóch wojaków raptem zemdlało na szosie…

Po godzinie drogi wykopaliśmy płytkie dołki w topniejącym śniegu i leżeliśmy w nich chyba aż do świtu − kiedy okazało się, że Rosjanie przed nami zdążyli zatrzymać i spalić niemieckie czołgi. Szczęśliwie zatem skończyło się na strachu.

[…]

Okres złotowski utwierdził mnie w przekonaniu, że naprawdę muszę […] wiać do linii. Właściwie to o moim buncie przesądziło dwóch ludzi – podporucznik [Mieczysław] Taube, zastępca dowódcy 10. pułku piechoty i porucznik Malczewski (z brygady artylerii), którzy krótko leczyli się w szpitalu i odkryli we mnie jakieś nadzwyczajne talenty propagandzisty i organizatora, doradzając, bym usiłował za wszelką cenę wyrwać się stąd.

W związku z tym byłem już kilkakrotnie u zastępcy kwatermistrza 1. Armii WP generała [Jewgienija] Cukanowa[9], u niejakiego kapitana Mazura […], u kapitana Brandstaettera[10] […], ale na wszystkie moje

lamenty otrzymywałem wciąż jednakową odpowiedź w rozmaitych wersjach:

− A w szpitalu kto będzie pracował? Co, tam praca jest nieważna, tam nie pracujecie dla zwycięstwa? Poza tym byliście ciężko ranni, a na pierwszej linii potrzeba ludzi zupełnie zdrowych. Zresztą, pomyślimy, zobaczymy…

Zobaczymy… A tu i czas, i front szły wciąż naprzód. Po przyjeździe do Regenwalde[11], gdy już „mapa się skończyła”, gdy 1. Armia stała nad Zatoką Szczecińską – nie mogłem dłużej czekać ani dnia. Na początku kwietnia, nic nikomu nie meldując, spakowałem cały mój dobytek w plecak, wytrzasnąłem gdzieś trofiejny rower i pojechałem do kapitana Mazura.

W sztabie go nie było, poszedłem więc do ładnej willi niemieckiej, w której mieszkał. Drzwi od werandy otworzył mi ordynans […]:

− Kapitan zawtrakajet![12]

− Gó…o mnie jego *zawtrak*[13] obchodzi! Jestem wezwany – skłamałem.

Mazur siedział za „niewąsko” zastawionym stołem, bez munduru, w szelkach, pił herbatę, ocierając ręcznikiem pot z łysej głowy. Postanowiłem działać zdecydowanie […]:

− Obywatelu kapitanie, proszę o ostateczne wyjaśnienie, czy ja kiedyś wyjdę z tego szpitala. Już tyle razy zwracałem się do was w tej sprawie…

− Wy czto?[14] Ja już wam tyle razy mówił, a wy tu jeszcze mnie w mieszkaniu nachodzicie!

− Obywatelu kapitanie, dobrze, w takim razie sam pojadę do sztabu armii i bądźcie pewni, że do szpitala już nie wrócę!

− Czto za biezobrazije, ja was[15]…

Ale już zbiegłem z werandy, a Mazur, bez munduru, w szelkach, goni za mną, macha pięściami i wykrzykuje,

w ostatniej chwili zapomniawszy mego nazwiska:

− Daniel! Daniel!…

Ale siedziałem już na rowerze i pedałowałem co sił.

Jechałem do Greifenbergu[16]. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, na jaką awanturę poszedłem i co mógłbym przez nią ściągnąć na swoją biedną głowinę. No, bo jeśli w zarządzie polityczno-wychowawczym armii ktoś kto mnie przyjmie stanie na stanowisku, że nie wolno tak sobie, według własnego widzimisię, łamać rozkazu przełożonych […] rzucać jednostki, w której się służy, i szukać sobie drugiej, że właściwie to dezercja − co wtedy? Widziałem i taką ewentualność […].

W Gryficach poszło nawet bardziej gładko, aniżeli mógłbym się spodziewać. Z początku dostałem się przed oblicze „instruktora Oddziału Personalnego” podporucznik Blanki Hakman. Jej też wygarnąłem, z czym przychodzę: 1. Dywizja, ranienie pod Lenino, rekonwalescencja u wyzdrowieńców, kurs armijny w Zielonej (Hakman od razu zajrzała do jakiejś teczki na biurku), powołałem się na to, co mówili o mnie i Mietek, i Fredek Malczewski, i jeszcze dziesięciu innych, wreszcie biję na to, co najważniejsze: jestem młody, już w pełni zdrowy, nie chcę wygrzewać się na tyłach. Wojna się kończy, samowolnie tu przyjechałem, bo chcę do linii!

Hakman zaprowadziła mnie do kapitana [Bronisława] Szubicza, który […] polecił mi poczekać kilka chwil na korytarzu. Wkrótce mnie woła:

− Rozmawiałem telefonicznie w waszej sprawie z zastępcą dowódcy armii, majorem [Piotrem] Jaroszewiczem[17]. Wyraża zgodę, abyście poszli do 2. Dywizji, do 6. pułku na stanowisko lektora pułku. Dywizja idzie teraz spod Gammina[18] do nowego rejonu koncentracji nad Odrę, gdzie wkrótce przechodzimy do

natarcia. […] Zameldujcie się u zastępcy dowódcy dywizji, kapitana [Stanisława] Okęckiego. To wszystko. Życzę powodzenia!

Wkopywanie słupów granicznych nad Odrą (kwiecień 1945). *Fot. Józef Rybicki*

Sztab [2.] Dywizji, maszerującej w rejon Frankfurtu nad Odrą, znalazłem koło miejscowości Men-Müncheberg[19]. Krótka rozmowa z Okęckim, który pamiętał mnie z kursu pod Rembertowem, gdzie […] był jednym z wykładowców […]; okazał się wtedy dla mnie bardzo życzliwy − dowiedziawszy się, że ma przed sobą kościuszkowca, rannego pod Lenino […].

Z kolei dłuższy rzeczowy instruktaż u zastępcy szefa, podporucznika Szymona Alstera, od którego się dowiedziałem, że w sekcji polityczno-wychowawczej 6. pułku piechoty przyjdę na miejsce podporucznika Bułata, przenoszonego gdzie indziej. Następnie Alster przedstawił

zadanie bojowe dywizji i omówił formy jego „zabezpieczenia politycznego”, a także charakterystykę dowódcy pułku i poszczególnych ludzi w aparacie politycznym.

− Rozumiem, ale przecież nie mam żadnego doświadczenia w pracy politycznej w oddziale liniowym w czasie boju!

− To nic, na razie jak najprędzej dostańcie się do pułku, za kilka dni forsujecie Odrę i nacieracie. A tak w ogóle, nie bójcie się, nie pozostawimy was samego, pomożemy!

A jak nie pozostawili samego i jak pomogli – niebawem zobaczymy.

Do pułku dostałem się nazajutrz z rana − po przenocowaniu w wysokim, gęstym lesie sosnowym, obok szosy, przez którą przez całą noc przetoczyła się masa wojska i ciężkiego sprzętu.

Sztab pułku zatrzymał się w folwarku Alt Lietzegöricke[20], między skrajem lasu a szeroko rozlanymi − wskutek wiosennych roztopów i zerwania przez Niemców tam przeciwpowodziowych − wodami Odry; w rozległym piętrowym budynku, opuszczonym przez jakiegoś zamożnego *grossbauera*[21]. Tam od razu odnalazłem zastępcę dowódcy pułku do spraw polityczno-wychowawczych porucznika Rybaczonka, młodego, cholernie sympatycznego, przystojnego bruneta z Wilna, który poznał mnie z dotychczasowym lektorem podporucznikiem Bułatem, pokazał mi pracowników sekcji, a następnie przedstawił szefowi sztabu kapitanowi Ojchmanowi, którego miałem być formalnym zastępcą. Dalej krótka rozmowa o zadaniach pułku w natarciu, mającym rozpocząć się nazajutrz o świcie, o warunkach i środkach pracy w toku operacji.

Następnego dnia, poświęconego na zapoznanie się z pododdziałami, obecny byłem na odprawie zastępców dowódców pododdziałów, na której omówiono miejsca i zadania pracowników politycznych podczas forsowania rzeki i uchwycenia przeciwległego brzegu. Z wieloma oficerami widziałem się po raz ostatni. Na Odrze zginęli m.in. porucznik Rybaczonek, podporucznik Przybylak, chorąży Grek. Ja otrzymałem konkretne zadania: skontrolować w pododdziałach przebieg uroczystego wbijania słupów granicznych nad Odrą, skontrolować odprawy aktywu żołnierskiego, napisać ulotki i zorganizować ich rozprowadzenie wśród żołnierzy na drugim brzegu rzeki. […]

Ostatnie godziny nocy z 15 na 16 kwietnia 1945 roku – jak już pisałem – poza gorączkowym zapinaniem wszystkiego na ostatni guzik, upłynęły mi na długiej rozmowie z Rybaczonkiem na temat problemu niemieckiego. Około trzeciej nad ranem, już zupełnie krótko przed forsowaniem, Rybaczonek jak gdyby sobie coś przypomniał:

− Więc wy tu, poruczniku („ogony” chorążego kazał mi Alster w sztabie dywizji zdjąć, tak więc jeszcze przed końcem wojny awansowałem o stopień wyżej, co formalnie zostało przypieczętowane rozkazem mianującym mnie od razu porucznikiem, w sierpniu 1945 roku), zostaniecie na tym brzegu ze sztabem i będziecie utrzymywać kontakt z dywizją. A ja już pójdę do łodzi…

Osłupiałem:

− Jak to? Co wy? Nie zgadzam się!

Rybaczonek był nieubłagany:

− Co? Wy tu w wojsku jesteście, a ja jestem waszym przełożonym, a nie wy moim!

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszałem od zastępcy dowódcy pułku. Na krótko zdrzemnąłem się na kanapie. Obudziła mnie o świcie kilkudziesięciominutowa *artpodgotowka*[22]. Wybiegłem na brzeg – łodzi ani pontonów już nie było. Lustro wody pokrywały gęste opary mgły. Z przeciwległego brzegu rzeki dochodziły wybuchy granatów, min i terkotanie kaemów.

W sztabie łapię jakiegoś nieznanego mi zaaferowanego oficera:

− Co słychać? Ano bijemy się już chyba za *dambą* (nadbrzeżnym wałem przeciwpowodziowym). Trudno mi coś więcej powiedzieć, bo trochę łączność nawala z drugim brzegiem.

Wysyłam gońca sekcji […] z paczką odbitych w nocy na powielaczu ulotek, by doręczył je na drugim brzegu porucznikowi Rybaczonkowi. Stasio, niemający chyba nawet szesnastu lat, którego Heniek Jankowski z WPW[23] nazywał, nie wiadomo dlaczego, volksdeutschem, znaleziony został przez pułk w styczniu 1945 roku na Żoliborzu, bez ojca, matki, rodziny; był takim dzieckiem pułku, jakie miał prawie każdy oddział 1. Armii. […] Stasio, po przejściu po zbudowanym już moście pontonowym, wdrapał się na pancerz jakiegoś czołgu i tak dojechał do pułku.

Oficerowie polityczno-wychowawczy (tzw. politrucy) na kwaterze (marzec 1945, okolice Kołobrzegu). *Fot. Józef Rybicki*

Około dziesiątej rano w sztabie dowiaduję się, że porucznik Rybaczonek zginął na rzece. W łódź, którą przeprawiali się: dowódca batalionu kapitan Owczarow, jego zastępca chorąży Grek i około 30 żołnierzy − uderzyła niemiecka mina i wszyscy poszli od razu na dno. Lecę do sekcji, łączę telefon i melduję kapitanowi Okęckiemu. Przyjmuje wiadomość w milczeniu. Po chwili:

− A jak w ogóle sytuacja na drugim brzegu? Doszliście już do toru kolejowego?

− Nie wiem, obywatelu kapitanie, nie nadchodzą stamtąd wiadomości…

W słuchawce wieloznaczne: „Hm, tak…”. Zastępca szefa sztabu nie orientuje się w tak ważnej kwestii, jak ta, czy oddział wykonał postawione przed nim zadanie w operacji… Tak mi jakoś głupio, bo co ja, do cholery, jeszcze tu robię?…

Na drugi brzeg przeprawiam się z resztą sztabu około godziny piętnastej − z Alt Lietzegöricke po moście pontonowym. Na drugim brzegu tyły zatrzymują się, czekając na rozkaz dojścia do przedniego skraju [frontu], który nie wiadomo, gdzie w tej chwili przebiega. A mnie w nowej sytuacji, po śmierci Rybaczonka, nie wolno zwlekać ani chwili. Wsiadam na „Baśkę”, klacz Rybaczonka, otrzymaną po nim w spadku; mądre stworzenie, do którego przyzwyczaiłem się potem jak do bliskiego człowieka.

Na „Baśce” po wielogodzinnym błądzeniu po bezdrożach, w ciemnościach rozświetlanych jedynie łunami pożarów, dobrze uważając, żeby nie poranić konia o druty kolczaste lub nie wpaść na miny, dotarłem wreszcie do wsi Neurüdnitz, w której dwieście metrów dalej, w budynku stacyjnym bronili się hitlerowcy − ogniem maszynowym i reaktywnych sześciolufowych moździerzy, tak zwanych krów.

W piwnicy jakiegoś parterowego murowanego budynku znalazłem dowództwo pułku. Zameldowałem przybycie podpułkownikowi [Ignacemu] Goraninowi, bardzo popularnemu w pułku oficerowi, uwielbianemu wprost przez żołnierzy, doskonale zresztą mówiącemu po polsku. Ten powiadamia mnie o śmierci Rybaczonka i poleca przejąć po nim funkcję. Odrywając się na chwilę od rozprostowanej na stole dużej mapy polowej, oświetlonej światłem kopciłki[24], dodaje po rosyjsku:

− Budietie gazietki rozdawat`, swodki czitat` i [nieczytelne]![25]

Tą oto formułą „inwestytury” wprowadził mnie w nowe obowiązki, po czym pochylił się znów nad mapą i zaczął wydawać rozkaz bojowy. Nie chcąc mu w tej chwili zajmować więcej czasu, przeszedłem do pokoju sekcji, gdzie przejąłem oficjalnie kierownictwo polityczne pułku.

Na przełamanie oporu nieprzyjaciela między Odrą a Starą Odrą pułk musiał stracić bodaj trzy dni. W tym czasie z WPW dywizji zajrzał do pułku podporucznik Alster i chorąży Bednarz, by zobaczyć, jak sobie Rudnicki poczyna. Byłem akurat *na pieriedowoj*[26], w schronie zastępcy dowódcy 2. batalionu porucznika Barcza […].

Barcz akurat jadł śniadanie, no i z okazji poznania nowego „politycznego" pułku postawił butelkę. […] A ponadto porucznik, pragnąc widocznie wypróbować, co za gość ten nowy „polityczny", zaproponował wypad na Niemców na wariata. Rzecz jasna, wódka była nieodłączna w przygotowaniach do takiego przedsięwzięcia – pomagała opanować strach.

Po wypiciu pierwszej, drugiej, trzeciej kolejki u wejścia do ziemianki naraz ukazali się dwaj oficerowie z dywizji. Miałem już niemały szmerek w głowie. Przez mgłę zauważyłem w ich oczach coś w rodzaju nieprzyjemnego zaskoczenia, że nowy pracownik polityczny rozpoczął pracę w pułku od picia z oficerami. No, bo tak to chyba musiało wyglądać z boku.

Wyszedłem z nimi na dwór. Alster pytał o stan i formy pracy, o nastroje żołnierzy, o to, jak radzę sobie sam po śmierci Rybaczonka. […] Po przekazaniu obrony nad Ruppiner Kanal pułk znalazł się w Oranienburgu: ładnym, podmiejskim osiedlu koło Berlina (drogowskaz określał nawet dokładnie: „*Berlin−Mitte*[27] – 12 km"), przeciętym z kolei Kanałem [Hochenzollernów]. Tu był jeden z pierwszych w Trzeciej Rzeszy konzlagrów[28], a o kilka kilometrów dalej, w lesie – Sachsenhausen[29], z rozległymi warsztatami mechanicznymi.

O Oranienburgu[30], w którym zastaliśmy jeszcze kilkaset więźniarek: Francuzek, Belgijek, Holenderek, Niemek, których nie zdążono wywieźć na zachód, nie będę

pisał z tego samego powodu, dla którego nie pisałem szerzej o Majdanku – bo inni już to zrobili lepiej ode mnie. Powiem tylko jeszcze raz, że w porównaniu z Majdankiem ujrzeliśmy doprowadzoną do doskonałości technikę seryjnego zabijania ludzi. Ot, chociażby takie cudo techniki jak komora gazowa. Wchodząc, widzi się komfortowe kąpielisko, wszędzie chromonikiel, szkło, porcelana, nowoczesne oświetlenie, terrakota, ale wystarczyło otworzyć krany pryszniców, by − zamiast wody − wydostał się cyklon…

[…]

W drodze z rejonu Berlina do Łaby, bodajże 2 maja do pułku przybył nowy dowódca major Knapiński oraz nowy zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych porucznik Papierkowski, by zastąpić porucznika Rybaczonka, po którym ja, formalnie rzecz biorąc, chwilowo tylko pełniłem obowiązki.

ANDRZEJ REY

Od zachodu dochodziło już wyraźnie dudnienie dział na budzącym się froncie − odległym może o 30 kilometrów. Żeby mi się wojsko znów nie rozłaziło, pomagaliśmy ładować rannych do naszych wagonów. Spędzili oni noc, leżąc wprost na betonie peronów, i wielu nie doczekało rana. Pośród pozostałych rannych jakieś szarże robiły nieopisany zamęt, biegając bez sensu i klnąc, bo właśnie nadszedł transport amunicji, którego nie można rozładować, ponieważ jeszcze nie nadeszły ciężarówki. W końcu zaczęto wyrzucać z wagonów ciężkie skrzynki, prosto na tory, więc wolałem się wycofać, zanim rzucą skrzynkę zapalników.

W kierunku frontu szliśmy przez lekko falisty, rozległy kraj, z jeziorami wtulonymi pomiędzy obłe wzgórza,

w oprawie czarnych jeszcze o tej porze lasów. Murowane fermy, stojące w polach, świeciły czerwoną dachówką. Czyste, porządnie utrzymane i bezludne, przeważnie w takim stanie, w jakim zostały pospiesznie opuszczone.

Na postoju myłem się z rozkoszą pod studnią i zmieniłem bieliznę, wyjąwszy czystą z czyjejś otwartej szafy. Moje Białorusy wyszabrowały już jakieś zapasy i piekły placki na blasze kuchni. Od kilku dni nie mieliśmy nic ciepłego w pysku, a te placki były znakomite.

O zmroku weszliśmy w las. Szeroko rozjeżdżony trakt, obrzeżony resztkami śniegu, znaczył się jaśniejszym pasem w gęstniejącej ciemności. Przed nami, na tle już gasnącej zorzy coraz wyraźniej rozbłyskiwało niebo i niósł się przytłumiony grzmot, jakby w tym końcu zimy nadchodziła burza. Las pachniał mocno igliwiem i topniejącym śniegiem.

Ciemną nocą stanęliśmy na dosyć obszernej polanie. Sztab dywizji kwaterował w leśniczówce. Ludzie kładli się na mokrej trawie, jeszcze zgniecionej spod śniegu, i natychmiast zasypiali. […]

Obudziły mnie głosy ludzi stojących z latarnią na ganku. Jeden z nich dość głośno powtarzał: „Kto chce otrzymać rozgrzeszenie, proszę uklęknąć”. Żołnierze budzili się i klękali, a ksiądz powtarzał po kilkakroć łacińską formułę absolucji[31] i żegnał pochylone głowy. Moi prawosławni towarzysze też klęczeli i po swojemu żegnali się po trzykroć, skupieni i poważni w tym akcie ekumenizmu, niezamierzonym, ale jakże prawdziwym.

O świcie podzielono nas na grupy i poprowadzono leśnymi drogami. Dowiedziałem się od naszego przewodnika, że to jest odcinek frontu 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta, a my zostaliśmy przydzieleni do 9. pułku, tego samego, który w ostatnich dniach powstania

warszawskiego próbował przeprawy na Czerniaków. Jest tutaj kilku warszawiaków, którzy wtedy dołączyli do tego pułku.

Przed schronem ze skrzynek i dyli przyjmuje nas kapitan, szef sztabu pułku, niewysoki, siwiejący inteligent, na pewno przedwojenny rezerwista. Patrzy na mnie uważnie, gdy mu melduję stan uzupełnienia.

– Jesteście podchorążym?

– Plutonowy z cenzusem, panie kapitanie.

– A skąd jesteście?

– Z rzeszowskiego.

– To jesteście od „Grota”[32]?

– Tak jest, z Kedywu.

– To byliście już w ogniu?

– Byłem.

Dlaczego mam takie zaufanie do tego kapitana, że w tych kilku słowach powiedziałem dosyć, aby iść zaraz do dziury w charakterze „wroga ludu pracującego”? Czy to jego spokojne, uważne spojrzenie, a może to pytanie jak hasło: „Od Grota”?… Nasza rzeszowska dywizja Armii Krajowej nosiła imię generała „Grota”. On to wiedział, tak jak wiedział, co to jest Kedyw. Jak to powiedziałem, to mu oko błysło…

Przy ziemiance pobieram broń i oporządzenie i rozdaję ludziom. Zauważam z niepokojem, że trzymają karabiny, jakby to były widły. Ale mam wojsko!… To zbrodnia wysłać na front ludzi, którzy nigdy nie mieli broni w ręku. Dzielę się tą obserwacją z kapitanem przy kuchni polowej, przy której wydają gęstą zupę i chleb. Kapitan odpowiada: „Nauczycie ich. Wszyscy przychodzą bez przeszkolenia”. Po chwili zwraca się do oficera bez dystynkcji: „Podchorąży będzie dowódcą trzeciego plutonu po zabitym X”.

Z menażką w ręku stukam obcasami, „Wedle rozkazu!”, i podajemy sobie ręce.

Do naszych stanowisk na pierwszej linii dochodzimy brzegiem lasu, gdzie zaczyna się rów za niskim wałem. Z kapralem Tytiurką pełzamy wzdłuż rowu i uczymy nowo przybyłych ludzi obchodzić się z bronią i okopywać się. W czasie tych wędrówek o mało nie dostał mnie „gołębiarz”[33]. Pierwszym strzałem mnie zgórował, drugim wpakował mi kulę pod nos, tak że długo potem plułem piaskiem. Jedynym ratunkiem było nurkowanie w rowie. Przemoczony do nitki polowałem potem na tego drania i w końcu Staryk, doświadczony kłusownik, wypatrzył go i spuścił z olchy.

Niemcy cofali się skokami po parę kilometrów i umacniali na kilka czy kilkanaście godzin w dobrze wybranych punktach oporu. Posuwamy się naprzód, idąc gęsiego lub tyralierą. Prawie partyzantka. Straty są niewielkie, a moi ludzie i ja z nimi szybko uczymy się wojny. Zaczynamy wyglądać jak banda opryszków, bo za wzorem Staryka wszyscy pozapuszczaliśmy brody, a do tego nadzialiśmy na głowy zdobyczne szkopskie hełmy, z wymalowanymi orzełkami i biało-czerwonymi proporczykami.

[…]

Na razie jestem odpowiedzialny za życie czterdziestu kilku ludzi, których los mi powierzył, a mnie powierzył im. Patrzę z podziwem na tych moich żołnierzy. Walczą, jakby robili w polu: spokojnie, z rozwagą, jakby walili cepami w klepisko, na zmianę, rytmicznie i bezbłędnie. Nie ma w nich cienia zawziętości ani nienawiści do nieprzyjaciela, a slogany naszych politruków zupełnie do nich nie docierają. Walczą dlatego, że po to tutaj są, że właśnie to jest do roboty, a wreszcie dlatego, że ja im każę robić to czy tamto. Wiedzą doskonale, że ja każdy rozkaz obracam

w gębie pięć razy, żeby z głupoty nie stracić ani jednego z nich. […]

Dobrze, że zaczyna robić się ciepło i budzą się mrówki. Siedzi sobie dobry człowiek na pniaku z fajką w zębach, jak go Pan Bóg stworzył, a jego ubranie, leżące na mrowisku razem z wszami, mrówki obrabiają do czysta. Nauczył mnie tego procederu jeden z Sowieciarzy w partyzantce, w Puszczy Sandomierskiej. Po pół godzinie trzepiesz, „brat ty moj”[34], twoje łachy z mrówek i na dobrych kilka dni masz spokój z wszami, bo ubranie śmierdzi kwasem mrówczanym, a tego „wosz boitsia”[35]. Na wszach to oni się znają jak nikt, ale z tym trzepaniem mrówek to nie taka prosta sprawa. A żeby cię!… Gryzie draństwo jak cholera. Najgorsze te małe, czerwone.

Ruiny kościoła św. Jerzego w Kołobrzegu (marzec 1945). *Fot. Józef Rybicki*

Zatrzymujemy się na kilka dni odpoczynku w Regenwalde (w Resku) nad rzeką Regą. Miasteczko jest pełne ogrodów, w inspektach są cudowne rzodkiewki, jest lenistwo na słońcu − laba, jakiej nie było od niepamiętnych czasów.

Z naszym sanitariuszem Finkelmanem wyszabrowuję opuszczoną aptekę. Finkelman leczy moje rozwalone stopy, które znów krwawią. Jakim cudem ten chłopak przeżył pogrom Żydów w Grodnie? − cała epopeja. Boi się

panicznie, żeby nie dostać się do niewoli, bo Niemcy mogliby poznać, że jest Żydem. […]

W przeddzień naszego wymarszu z Reska, wczesnym popołudniem, gdy z moim plutonem pełnię służbę w wartowni przy młynie, nadchodzi kolumna jeńców, na której czele idzie grupa wyższych oficerów Wehrmachtu, a wśród nich dwóch czy trzech generałów i kilku pułkowników. Idą porządnie, czwórkami, z podniesionymi głowami, pomimo zmęczenia długim marszem. Umieją w nieszczęściu zachować godność. Zanim zdążyłem pomyśleć o konsekwencjach, krzyknąłem: „Warta pod broń!” i już moje Białorusy prezentowały broń jeńcom, którzy przechodzili, salutując.

Po zdaniu służby wartowniczej melduję się na wezwanie u dowódcy kompanii. Ten POP (Pełniący Obowiązki Polaka) jest czerwony na pysku i zatyka go ze złości. Ryczy na powitanie: „Nu, Rein, ty zdurieł!”[36]. „Melduję posłusznie, podchorąży Rey, a nie Rein i proszę, żebyście mi mówili przez wy”.

[…] Tłumaczę mu jak dziecku, że regulamin służby wartowniczej nakazuje oddawanie honorów przez wartę pod bronią wyższym oficerom. „Ależ to Giermańcy, sukinsyny!”[37] – ryczy mój dowódca. Tłumaczę dalej, że regulamin nie precyzuje narodowości tylko stopnie oficerów, którym należy oddawać honory. Od pułkownika wzwyż należy, a w kolumnie jenieckiej byli nawet generałowie. Mój POP już nawet nie słucha, tylko dalej ryczy, że tydzień *tiurmy*[38] po zakończeniu działań wojennych. Kładę rękę na kolbie mojej ukradzionej przez Staryka parabelki, nieprzepisowo zatkniętej za pas, i mówię: „Pożywiom, uwidim”[39], tym razem po rosyjsku. Dowódca ryczy: „Paszoł won!”[40]. „Melduję posłusznie swoje odejście”. […]

Przy tej rozmowie z dowódcą był obecny sierżant, kompanijny politruk, który mnie dogania i coś zaczyna chrzanić, że stary na mnie wściekły, że oficerom się nie podoba, że ja *indywidualist* i w ogóle skąd mi się wziął ten partyzancki styl. […]

Idziemy już drugi dzień do Kołobrzegu, prosto na północ. Niemcy, okrążeni w mieście i porcie, bronią się zaciekle. My mamy luzować jakiś pułk, który jest w ogniu od początku oblężenia. Uczyłem się w Warszawie taktyki walk ulicznych, ale to była teoria, a praktyka to całkiem coś innego. Gadam długo z jednym z warszawiaków, który mi daje dużo cennych wskazówek. W otwartym terenie to ja jestem w swoim żywiole, ale w zamkniętej przestrzeni miasta… A moi chłopi w takich warunkach… Mam wyraźną tremę.

W szpicy ubezpieczenia pułku idziemy w szyku bojowym, po dwóch stronach drogi, ze szperaczami po bokach. Po południu nagle wyskakują na nas zza górki trzy messerschmitty. Idą koszącym lotem i prują z broni pokładowej po szosie. U nas nie było strat, ale w tyle, gdzie pułk szedł zwartym szykiem, narobili spustoszenia, strzelając w tłum uciekających ludzi.

Dochodzimy do Kołobrzegu. Morza nie widać, za to ostry północno-zachodni wiatr zwiewa na nas dymy palącego się miasta. Do wieczora zajmujemy stanowiska po zluzowanym przez nas pułku. Są śmiertelnie zmęczeni, ponieśli duże straty i mają dosyć wojny na dobrą chwilę.

Wśród gruzów, w potwornym żarze pożarów, w kłębach dymu i tumanach duszącego pyłu najbardziej przydatna jest moja praktyka murarska. Kujemy dziury w ścianach domów i wysadzamy je dynamitem. Szkopy wiercą [dziury] w stropach nad przejściami i rzucają ręczne granaty na wchodzących przez wyłom ludzi. Kujemy więc na kilku

poziomach i odpalamy wszystkie miny razem. Niemcy poddają się wtedy bez większego oporu.

Najtrudniejsze jest przekraczanie ulic będących pod ogniem, więc pod osłoną nocy budujemy barykady i za nimi przekopy w bruku, aby dopełznąć pod przeciwległy mur i wysadzić bramę. W tych warunkach wojsko staje się czymś w rodzaju przedsiębiorstwa wyburzeń, więcej używając łomów, kilofów i dynamitu niż broni.

Aby uniknąć nadmiernych strat w ludziach, nie zdobywamy bloków, które Niemcy zamienili w bunkry, ale je izolujemy. Pchamy się tam, gdzie puszczają. Nasza artyleria dość często wali po nas, a ponieważ nie ma łączności, trzeba się kryć i czekać, aż przeniosą ogień. Próbuję wprowadzić trzyzmianowy system, jak przy służbie wartowniczej, żeby − wobec przemęczenia żołnierzy − nie robić głupstw przy odpalaniu min. Ale i tak są wypadki. Sam przez własną nieostrożność oberwałem po plecach kawałem walącego się muru.

Zaślubiny z morzem sztandaru 10. pułku piechoty, ufundowanego przez mieszkańców warszawskiej Pragi (18 marca 1945, Kołobrzeg). *Fot. Józef Rybicki*

Nie mam najmniejszego pojęcia, ile dni i nocy trwa ta zażarta walka. Opór Niemców zaczyna jakby słabnąć, ale mamy dużo zabitych i rannych. Jest już chyba druga połowa marca, bo gdy czasem wiatr zwieje dymy, widać, że słońce stoi dość wysoko na niebie.

Ze zdobytej ostatniej nocy pozycji widzimy szeroką brukowaną ulicę, z torami kolejowymi, a po drugiej stronie szereg magazynów. Chłopak z punktu obserwacyjnego przy dymniku wrzeszczy, że zobaczył jakąś dużą wodę. To musi być port. Zajmujemy w bramach pozycje wyjściowe do natarcia, podczas gdy nasza artyleria wali po porcie, zapala

rząd magazynów, a silny wiatr szybko roznieca i roznosi pożar.

Zlawszy się uprzednio pod studnią wodą, mokrzy jak szczury przeskakujemy ulicę, gdy tylko artyleria milknie. Pod murami magazynów rozdzielamy się na dwie grupy. Idziemy ku przejściom widocznym między magazynami. Trzeba działać prędko, bo za chwilę już nie można będzie przejść. Rzucamy granaty w te przejścia i ile sił w nogach nurkujemy w zawieruchę pożaru, osłaniając twarze przed żarem i wstrzymując oddech.

Koło mnie ktoś pada, pali się na nim płaszcz, więc z rozpędu spycham go do basenu portowego, który jest tuż i walę się za nim. Próbuję uchwycić ustami powietrze i łykam potężny haust słonej wody, od której pieką oparzone ręce i twarz. Czepiam się szpar w betonie ściany basenu. Jest klamra, zaczynam się wspinać do góry, oślepły, krztusząc się i holując za sobą człowieka, którego przed chwilą zepchnąłem do wody. Uczepił się pierwszej klamry, więc już jestem na bruku nadbrzeża i rzygam morską wodą, cuchnącą ropą i ściekami.

Od strony miasta huczy ściana ognia, przeginana przez wiatr. Zaczynają się zapadać dachy płonących magazynów, wyrzucając w górę gejzery iskier. Próbuję wstać, nogi mam jak z waty, ręce palą, dookoła mnie rozlewa się kałuża morskiej wody. Zgubiłem w basenie zdobycznego szmajsera[41], czort z nim, ludzie słaniają się lub leżą na bruku. Niemców już nie ma, port zdobyty!

Któregoś z następnych dni leżymy w pachnącej wiosennej trawie, przy kamiennym poidle, w którym przelewa się chłodna woda. Moczę moje rozwalone nogi i smaruję je oliwą nicejską „z prawdziwych oliwek”. Przysiada się nasz kompanijny politruk z gazetą w ręku. Odbieram mu gazetę. Na pierwszej stronie jest wielki tytuł: „ZAŚLUBINY

POLSKIEGO WOJSKA Z MORZEM” i ta fotografia, którą publikowano wtedy i później w tylu wydawnictwach, przedstawiająca czyściutką plażę, na której stoją dobrze odżywieni i ciepło ubrani żołnierze z pepeszami i flagą. Żołnierz − w wodzie do połowy cholew oficerek, elegancki jak z igły − wrzuca coś do morza. Napis wyjaśnia, że to pierścień. Podaję gazetę dalej i tłumaczę tytuł i napis. Ładne, prawda, chłopcy? Ktoś za mną mówi: „Ale lipa”, ktoś drugi: „Co za skurwysyny”. U nas fotografa nie było, a mnie ciągle jeszcze chce się rzygać po wodzie z ropą.

Nie dali nam odpocząć po ciężko zapracowanym zwycięstwie. Pognali nas, a raczej samiśmy się powlekli, śmiertelnie znużeni. Przed wymarszem dowódca naszego pułku coś tam pieprzył przed uszykowanym w czworobok wojskiem o „gieroiczeskoj borbie polskich żołnirow”[42], że nasza 3. Dywizja z rozkazu naczelnego wodza przybrała nazwę Pomorskiej i tak dalej. Nikt chyba tego dukania z kartki nie słuchał, zresztą i tak trudno byłoby cokolwiek z tego zrozumieć.

Nikt z nas nie wiedział, dokąd idziemy ani po co. Kazali iść, to się szło, kazali stać, to się stało lub siadało w pyle czy błocie drogi, w marszu − na wpół drzemiąc, na postojach − od razu zasypiając w przydrożnych rowach. Z tej koszmarnej drogi niewiele pamiętam, poza nocnym bombardowaniem Szczecina przez zbitą ławicę „latających fortec”. Ze znacznej odległości wyglądało to jak wybuch wulkanu. Nocą obchodziliśmy palący się w dolinie Stargard. Dolina widziana z góry była cała wypełniona ogniem − jak piekielny tygiel, w środku którego sterczał ogromny, czarny, gotycki kościół.

Zmęczeni i rozdrażnieni ludzie ciągle się sprzeczali, kto i kiedy ma nieść nasz ciężki sprzęt: rozłożony cekaem, erkaem, skrzynki z amunicją i inny wojenny dobytek. […]

Raz, po kilku kilometrach z podstawą cekaemu na plecach, wylądowałem twarzą w błocie. Zarobiłem na tym tyle, że Staryk zwymyślał mnie od narwanych durniów i wlekli mnie potem we dwóch z Wasylem po niekończącej się błotnistej drodze. Znów miałem nogi piekące jak ogień, onuce przemoczone do krwi, a w głowie pustkę i zamęt.

Właśnie w tym czasie przyczepił się znowu do mnie nasz kompanijny politruk, który już w Resku deptał mi po piętach, ale w Kołobrzegu zniknął. Pewnie siedział w schronie i pisał donosy na walczących kolegów. Nie spodobały mu się nasze uwagi na temat „ślubnej fotografii" w jego gazecie i od tego czasu stale się koło mnie i moich ludzi kręcił.

Na jednym z postojów, zanim jeszcze zaczęła się słota, powiedziałem coś takiego, że teraz, gdy my stoimy na Odrze, a alianci na Renie, może Szkopy pójdą po rozum do głowy i skapitulują, więc wojna może skończyć się lada dzień. Politruk aż podskoczył i dawaj zakładać gadkę, że: „nam nado ubit' Giermańca, sukinsyna, w samom Bierlinie"[43], że sieję w wojsku defetyzm, że mnie tchórz obleciał. Nie dałem mu skończyć: „Ty ścierwo, dekowniku, w pysku to ty mocny, a jak strzelają, to akurat cię nie ma" i już siedziałem na nim okrakiem, gdy nas rozdzielono.

[…] Może się wystraszył, bo znów zniknął, ale na krótko i znowu zaczynał truć, tym razem na niebezpieczny dla mnie temat. Podczas nocnego marszu, gdy pochód się tak rozciągnął, że byliśmy sami na drodze, wreszcie wypluł, co mu leżało na sercu: „Ty, Rein, nawierno z AK, bo ty w oczkach"[44]. Lojalnie go ostrzegałem, żeby się ode mnie odczepił, że mogę stracić cierpliwość, że już raz o mało nie dostał. Nic z tego. On w kółko swoje, ichnim zwyczajem. Za którymś razem nie kontrolowałem już rozdrażnienia i siły − walnąłem go od dołu w szczękę okutą kolbą karabinu, który

niosłem na pasie. Uderzenie musiało być straszne, bo zatoczył się do najbliższego rowu i zniknął mi z oczu. Bez jednej myśli powlokłem się dalej, nawet nie obejrzałem się za siebie.

Nigdy go już nie widziałem. Wątpię jednak, że go zabiłem. Musiałem go tylko ogłuszyć lub nawet złamać mu szczękę, tak że zanim się pozbierał, wojsko było już daleko. Albo skorzystał z okazji, żeby zdezerterować, albo po pewnym czasie dołączył do innej jednostki. Takich maruderów, szukających niby to swoich jednostek, było wtedy pełno na drogach i oni właśnie dopuszczali się najgorszych gwałtów i zbrodni.

Chyba na przedostatnim etapie tej wędrówki, gdzieś między Pyrzycami a Gorzowem Wielkopolskim, nastąpił dla nas nie tyle sądny dzień, ile sądna noc. Niedługo po wymarszu pokazał się niemiecki samolot obserwacyjny, który przez chwilę kręcił się nad okolicą. Prawie o zachodzie słońca rozciągnięta na kilka kilometrów kolumna marszowa zaczęła się zagęszczać, bo podano od czoła rozkaz: „Stać, droga zaminowana”. Na samym końcu tej kolumny dołączający wóz taborowy nagle wyleciał na minie. Cała droga, na której staliśmy, była zaminowana. Wywołało to panikę i kilku ludzi, chcących się schronić w polach, wyleciało na minach ukrytych na poboczach drogi i w rowach. Właśnie wtedy z zachodzącego słońca wypadły trzy myśliwce, jeden za drugim, i zaczęły walić z broni pokładowej po szosie, ludziach, koniach i wozach, wzniecając panikę i wzbijając tumany kurzu. Byliśmy w pułapce. Samoloty przelatywały, zawracały szerokim łukiem i od nowa atakowały. Gdy pierwsza trójka wyczerpała amunicję, zmieniała ją druga i tak trwało do zmroku. Nie było się czym bronić, więc wlazłem pod wóz amunicyjny, przy którym leżały zabite konie zaprzęgu

i słuchałem łomotu serii cekaemów, wybuchów min i granatów, które lotnicy sypali na drogę, krzyków trwogi i jęków rannych. Myślałem, że na tej drodze nie zostanie ani jedna żywa dusza. Zanim saperzy rozminowali drogę, zanim pozbierano rannych i pochowano zabitych, zaczynało już świtać.

Jak można było dopuścić do takiej klęski − nie rozpoznać terenu świeżo odebranego Niemcom i nie zaopatrzyć się w broń przeciwlotniczą? Dowódca powinien za to odpowiedzieć przed sądem polowym. O niczym takim oczywiście nie było mowy. Zaledwie kilka dni później niedobitki tej Pomorskiej Dywizji oddawały honory naczelnemu wodzowi „ludowego" wojska generałowi Roli-Żymierskiemu, który przybył świętować z nami zwycięstwo kołobrzeskie.

Znów staliśmy w szeregach, słuchając przemówień w upiornej mowie POP-a. Przypinano sobie medale, grała orkiestra wojskowa, krzyczeliśmy na komendę: „Czołem, obywatelu generale!", a także: „Czołem, obywatelu pułkowniku!". Chwila była podniosła, a mnie świeże opatrunki na nogach znów przemakały krwią. Gdy padła komenda: „Odznaczani, wystąp!", miałem wyjść z szeregu sprężystym żołnierskim krokiem wraz z kilkoma towarzyszami. Ten manewr wypadł raczej kulawo i cud, że żaden z nas nie wywalił się pod nogi generałom. Zafasowałem Krzyż Walecznych z rąk własnych naczelnego wodza, który spojrzał na mnie dopiero wtedy, kiedy mu wrzasnąłem do ucha: „Ku chwale Ojczyzny!".

Żegnaliśmy też uroczyście naszego bohaterskiego dowódcę pułku, który za swoje historyczne zwycięstwo *uszoł w gienierały*[45]. Dowlokłem się do kwatery, Krzyż wsadziłem do kieszeni i chlałem komiśną[46] gorzałę, dopóki mi się film nie urwał.

Na drugi dzień dostaliśmy uzupełnienie, złożone z niewyszkolonych rekrutów i świeżo upieczonych oficerów po trzymiesięcznych kursach. Zafasowałem na dowódcę plutonu młodziutkiego chorążego „ze szczerej chęci”, a sam zostałem jego zastępcą. Wrócił też z rusznikarni nasz rozpieprzony cekaem, pięknie odmalowany na zielono, za to nienaprawiony. Celowniczy zachwycił się: „wykrasit’ i wybrosit”[47]. Zacinał się ten gruchot w najmniej odpowiednich momentach, jak niepoprawny jąkajło.

Szczodrość dowództwa poszła tak daleko, że nawet wymieniono nam w magazynie nasze płaszcze przypalone w Kołobrzegu. Obecny przy tym oficer z intendentury rugnął nas ostro: „A wyście co, do cholery, zrobili z tymi płaszczami? Trzeba szanować umundurowanie!”. […] Tak odpicowane, a nawet już trochę wypoczęte wojsko ruszyło znów nocnymi marszami na zachód, ku Odrze. Na jednym z postojów, już u schyłku nocy, ubezpieczałem z moją drużyną biwak. Rozstawiłem posterunki na górce, poniżej której rozciągała się szeroka dolina zalana mgłą, położyłem się przy stanowisku erkaemu i kazałem celowniczemu, żeby mnie budził, gdyby kogoś diabli przynieśli. Jeszcze przed świtem Dymitr szarpie mnie za ramię i szepce mi do ucha: „Słysz, podchorąży… szczo ce takije?”[48]. Z dołu, z zakrytej tumanem doliny dochodzi do nas jakby chrzęst, stłumiony i zmieszany tupot, czasem coś jakby parsknięcie. Bydło nocą pędzą dla wojska… czy co?

Most pontonowy na Starej Odrze (kwiecień 1945). *Fot. Józef Rybicki*

Najpierw z mgły zaczęli się powoli wynurzać ludzie, potem konie idące stępa dwójkami, sotnia za sotnią. Czasem koń parsknął, zadźwięczało strzemię, zamajaczyło czerwone denko czapki. Nachyliłem się do ucha Dymitra: „Kozaki idut”[49]. Wyszedłszy z mgły, ruszali kłusem i znikali za pochyłością terenu, jak zjawa dalekiej przeszłości. Szli tak i szli w tej mgle, chyba cała brygada.

Zapadliśmy w wikliny i topole za wałem Odry, nieco poniżej Kostrzyna i ujścia Warty. Za wałem była rzeka, za rzeką Niemcy. Stróżowaliśmy na zmianę przy stanowiskach broni maszynowej, wkopanych w wał. Oglądaliśmy bez sympatii pontony desantowe, leżące w krzakach dnem do góry i grzaliśmy się na słońcu. Z rzadka Niemcy posyłali

nam zza rzeki po kilka pocisków, nasze moździerze odpowiadały, kogoś odsyłano do szpitala − codzienny frontowy dzień, nuda i oczekiwanie.

„O wschodzie słońca ryknęły spiże…”[50], a właściwie jeszcze przed świtem zaniósł się potężny grzmot setek dział i huczał wzdłuż Odry. Nad nami z wyciem i szumem leciały pociski i odpowiadały działom echem wybuchów po drugiej stronie rzeki. Na lewo, od strony Kostrzyna rzęziły katiusze. Ich pociski, lecące płaskimi torami, znaczyły smugi ognia na ciemnym jeszcze niebie. Uwertura do ofensywy na Odrę była rzeczywiście imponującym fortissimo[51]. Błyskało się zewsząd we mgle, kotłowało się na drugim brzegu, z powiewem dochodził mocny zapach trotylu.

Obwieszeni jak boże drzewka bronią, amunicją, granatami i różnymi skrzynkami − siedzieliśmy przy pontonach, wsłuchani w tę kanonadę. […] Gdy tylko umilkły działa, a jeszcze niosło się echo, spuszczaliśmy na wodę pontony i biegiem ładowaliśmy się do nich, znoszeni od razu bystrym prądem rzeki.

Niemcy siedzieli cicho. A może ich diabli wzięli od tej artylerii? Ale gdzie tam, tylko się przyczaili. Gdy pontony płynęły najbystrzejszym prądem, mając już za sobą około dwie trzecie przeprawy, wytrysnęły pomiędzy nimi fontanny wody. Jeśli jakiś pocisk eksplodował z suchym trzaskiem, któryś z pontonów gwałtownie przechylał się i znikał z powierzchni lub stawał dęba, i pogrążał się szybko, sypiąc swoją żywą zawartość w nurt rzeki. Teraz Szkopy waliły w nas z moździerzy jak w kaczy kuper.

Niepokoiłem się moim brakiem talentów pływackich i wrodzonym wstrętem do zimnej wody, gdy nasz ponton, trafiony w dziób, stanął dęba, rufą do góry, wysypując brutalnie cały nasz pluton. Jakim sposobem znalazłem się przy brzegu, nie mam najmniejszego pojęcia − musiał już

być blisko i pewnie jakaś zbawcza łacha dała mi grunt pod nogami. Pływackie umiejętności byłyby i tak na nic przy takim obciążeniu. Prawdopodobnie przespacerowałem się po dnie i wychynąłem z wody pod stromym brzegiem, umocnionym kamieniami, zanurzony po piersi w wodzie.

Nie mogliśmy wychodzić na ten brzeg. Znaleźlibyśmy się pod ogniem Szkopów, siedzących za wałem. W wodzie byliśmy kryci, ale zaczynaliśmy kłapać zębami z zimna. W końcu Niemcy sami wskazali nam sposób wyjścia z tego impasu, obrzucając nas granatami. Ponieważ wybuchały w wodzie, nie robiły nam większej szkody poza ochlapywaniem. Zaczęliśmy i my rzucać granaty za wał. Okazały się skuteczne. Pół plutonu mogło wyczołgać się na brzeg i stamtąd osłaniać lądowanie pozostałych.

Po chwili ze swoją drużyną atakowałem wał, za którym już nie było nikogo. Przyczółek był już w kilku miejscach zdobyty, więc artyleria zaczęła znów walić zza rzeki, ale tym razem po nas. Dopiero na sygnał rakietą przeniosła ogień dalej i zmusiła niemieckie moździerze do milczenia.

Skryci za wałem, liczyliśmy straty. Nasz pluton wyszedł najlepiej, bo straciliśmy tylko dwóch ludzi, a kilku było lekko rannych. Pierwszy pluton w całości zniknął w rzece, razem z tym dowódcą naszej kompanii, który mnie nazywał Rein. Drugi pluton lądował suchą nogą, ale na brzegu dostał się pod niemiecki ogień i poniósł duże straty. Z opatrywaniem rannych był kłopot, bo sanitariusz miał w swojej torbie pełno rzecznego szlamu. Ściągnął więc z siebie i ze mnie mokre koszule i darł je na bandaże, klnąc po hebrajsku. Leżeliśmy w wiklinach, ubezpieczając lądowanie drugiego rzutu, i suszyliśmy się na słońcu.

Na mój prosty rozum zwykłego piechura, gdyby sowiecka artyleria po wielkim koncercie na tysiąc dział nadal kryła nas ogniem podczas przeprawy przez Odrę, nie

stracilibyśmy bez potrzeby około 30 procent pierwszego rzutu desantu. […]

Pomiędzy Odrą a Starą Odrą, na płaskich jak stół osuszonych bagnach okupowaliśmy każdy rów, kanał, stare rzeczne koryto czy ruinę fermy strasznym haraczem życia. Zbawieniem dla żołnierza w takich warunkach jest każda, nawet najmniejsza nierówność terenu, jak lej po pocisku, rów czy stojące jeszcze resztki muru. Nawet najmniejszy ruch, zwykłe podniesienie głowy, ściąga natychmiast serię cekaemu lub celną kulę „gołębiarza", która kogoś przygważdża do ziemi. Nie ma tutaj miejsca na huczne koncerty artylerii czy na czołowe natarcia piechoty z okrzykiem: „Hurra!". Anonimowi ludzie, uwalani ziemią, polują na takich samych jak oni anonimowych ludzi; są zarazem myśliwymi i zwierzyną. Nie ma tutaj ani litości, ani wahania, bo jak ja ciebie nie dostanę, to ty mnie dostaniesz.

[…]

Czasem nieopodal ktoś trafiony pociskiem odwraca się z jękiem na plecy, a sterczące ponad zieleń kolana ściągają ogień na całej linii, rozszarpujący z potworną zaciekłością nieżywego już człowieka. Rannych, jeżeli dożyją do zmroku, ściąga się, pełzając, i niesie się nisko wzdłuż płytkiego rowu, tak żeby się nie zdradzić ani szelestem, ani jękiem.

Nocą we mgle wiją się po ziemi jak zaskrońce ludzie z automatami w rękach i nożami w zębach, żeby zniszczyć jednym rzutem granatu stanowisko cekaemu, który nas tępi, żeby wskoczyć w okop i mordować w szale podniecenia i strachu. Za nimi czołgają się inni i nagle w ciemnościach wybucha bitwa na kolby, bagnety i noże − krótka i straszna. Wzlatują w górę rakiety, rozświetlając upiornym blaskiem magnezji kotłującą się ciemność. Przez chwilę widać sylwetki biegnących przygiętych ludzi. Padają, znów biegną, znów padają i wstają, lub nigdy już nie

wstaną, gdy ich dosięgną świetlne smugi trasujących pocisków.

Bywa, że gdzieś na linii, po jednej lub drugiej stronie frontu, wstaje ponad horyzont obłąkany ze strachu człowiek i ucieka kilka kroków, zanim nie przewróci się skoszony. Widziałem takiego szaleńca, który szedł ku Niemcom wyprostowany, bez broni i hełmu, coś krzycząc strasznym głosem, dopóki nie padł. Idzie wtedy po linii frontu dreszcz zgrozy przed szaleństwem, przed zarazą obłąkania… Zmiłuj się, Panie, nad nami grzesznymi.

To płaskie piekło […] trwało około tygodnia. Nasze naczalstwo próbowało sowieckiej taktyki czołowego natarcia. Nie zdołali podnieść ludzi do ataku. Mój smarkaty dowódca plutonu „ze szczerej chęci” poległ, stojąc i machając pistoletem nad głową, żeby podnieść ludzi. Krzyczałem do niego: „Kryj się, k…wa mać!”, a on się tylko zatoczył jak pijany. Wywlekli stamtąd ciężko rannego naszego dzielnego dowódcę batalionu kapitana Baranowskiego, sybiraka. Dowódcę plutonu z 2. kompanii stuknęli jego ludzie, bo chciał strzelać do cofającego się rannego żołnierza. Z pięćdziesięciu ludzi w plutonie, którego znów jestem dowódcą, zostało może trzydziestu. Ci, którzy w Gorzowie Wielkopolskim przyszli z uzupełnieniem, zginęli prawie wszyscy w pierwszych dniach ofensywy, zanim nauczyli się strzelać i kryć.

Chowaliśmy w opuszczonym stanowisku artyleryjskim dwóch naszych serdecznych towarzyszy, leżąc na brzuchach i grzebiąc łopatkami w błocie. Nie było z czego zrobić krzyża, więc ułożyliśmy na krzyż ich karabiny. Ta śmierć wstrząsnęła mną do głębi. Przywiązałem się mocno do moich ludzi, którzy zawierzyli mi swoje życie i przyjęli mnie jak sierotę do swojej gromady i do swoich prostych, zacnych serc. Resztę tej nocy po pogrzebie leżałem obok

Staryka w leju po pocisku. Modliliśmy się wspólnie jak ojciec z synem i nie wstydziliśmy się łez.

Przeszedłem dotychczas nietknięty przez tyle niebezpieczeństw, tyle razy ominęła mnie śmierć, jakby się mnie kule nie imały. Chyba następnego ranka po pogrzebie przyszło pierwsze ostrzeżenie. Wydało mi się, że gdzieś coś się rusza i ciut-ciut podniosłem głowę. Jak pałą po głowie − kula rykoszetem od hełmu przywaliła mnie twarzą w błoto. Po południu jeszcze mi burczało we łbie, gdy oberwałem drugi raz. Leżeliśmy na płaściutkiej łące, tam gdzie nas położył szkopski cekaem. Bałem się, że jak tak dalej będziemy leżeć na widoku publicznym, to nas Szkopy po jednym wszystkich wyzbierają do wieczora. Postanowiłem więc przesunąć naszą linię o jakieś dwadzieścia metrów do przodu, do pięknego rowu, który kusił jak zacisze domowe. Puściłem po linii sygnał: „Pojedynczo, skokami naprzód!”. Skoczyłem pierwszy i w chwili, gdy padałem całkiem już pochylony do przodu, eksplodował za mną pocisk z granatnika. Nie słyszałem, jak leciał, bo szedł prosto na mnie. Podmuch wybuchu potoczył mnie po ziemi i poczułem od tyłu, jakbym został oblany ukropem poniżej pasa. Zanim nadleciał drugi pocisk, zdążyłem się okopać i ostrożnie sięgnąłem ręką za siebie. Spodnie lepiły się od krwi. Do rowu było już niedaleko, ale nie byłem pewny, czy zdołam do niego doskoczyć, żeby dołączyć do towarzyszy.

Kapral Tytiurko chciał mnie ściągnąć, pełzając, ale to było oczywiste samobójstwo, więc krzyknąłem, żeby się krył i że mi tutaj dobrze. To była lekka przesada, bo piekło mnie jak jasna cholera i bałem się, że zanim zapadnie zmrok, wykrwawię się w tym dołku do cna. Ale słońce było już na zachodzie, a ja nie czułem nadchodzącej śmierci, więc nabrałem lepszego ducha i chyba zasnąłem.

O zmroku dwóch ludzi zawlekło mnie za ruinę jakiejś obórki, gdzie siedział zadekowany sanitariusz Finkelman i czekał tam na ofiary. Obejrzał mnie przy świetle rakiety i stwierdził, że rana już nie krwawi, że trzeba ją tylko zdezynfekować, a z opatrunkiem można czekać do rana. Wlał mi najpierw szklankę gorzały do gardła jako narkozę, potem rozciął nożem spodnie i polewał mi nogi i niewymowną cześć mojej osoby tym samym spirytusem, którym mnie poprzednio spoił. Do tego Wasyl siedział na mnie okrakiem i zatykał mi gębę czapką, a drugi oprawca przygwoździł mi nogi do ziemi. Po skończonej operacji skląłem wszystkich trzech od matuszki i nakryty pałatką, na płaszczu pod brzuchem, spałem jak basza do samego rana.

[…]

Te odłamki musiał mi mój przyjaciel wyjmować jeszcze kilkakrotnie. Potem latami same mi wyłaziły i wyjmowali je różni magicy z tytułami naukowymi, ale żaden z nich nie miał takich czarodziejskich rąk, jak sanitariusz Finkelman z Grodna, który może jest teraz gdzieś na dalekim świecie wybitnym uczonym albo sławnym chirurgiem, a może skrzypkiem wirtuozem…

Wieczorem tegoż dnia byłem już z moimi towarzyszami w tym naszym rowie, jeszcze trochę obolały, ale za to wyspany za wszystkie czasy. To był zresztą już koniec naszej męki na tych strasznych zielonych błoniach Starej Odry. Nazajutrz szturmowaliśmy linię kolejową, idąc pod osłoną ognia katiuszy. Strzelano pociskami ładowanymi fosforem. Za nasypem i torami nie było już nikogo, tylko szalał pożar. Paliły się krzaki i trawa, nawet ziemia, paliły się na wietrze jak pochodnie wysmukłe włoskie topole. Szliśmy znów na zachód, jak uwolnieni od zmory, przez pola i wzgórza […].

Czy nas też prowadzą na zdobywanie Berlina? Ktoś mówił, że ma tam iść 1. Dywizja kościuszkowców. Opór Niemców jest coraz słabszy i sporadyczny. Mamy tutaj do czynienia z nowo uformowanymi oddziałami Wehrmachtu, które − tak samo jak wprowadzone do akcji oddziały obrony terytorialnej (Landsturm[52]) − są złożone z sześćdziesięcioletnich dziadków i ich wnuków, zaledwie piętnasto- czy szesnastoletnich wyrostków. Wszyscy razem nie zdradzają najmniejszej ochoty do walki i przeważnie od razu się poddają.

Zdecydowany i twardy opór stawiają natomiast małe oddziałki esesmanów, nieraz liczące zaledwie po kilku ludzi. Ci wiedzą doskonale, że nie ma dla nich pardonu. Wzięci do niewoli, są niezwłocznie rozwalani przez NKWD, które idzie za wojskiem. Wybierają odpowiednie miejsca do obrony, jakieś wzgórze czy zabudowania, lub okopują czołg unieruchomiony przez brak paliwa i bronią się do wyczerpania amunicji. Ostatnimi ładunkami strzelają sobie w łeb. Kilku takich straceńców potrafi nieraz zatrzymać znaczny odcinek frontu na parę godzin i spowodować spore straty. Pomimo tego posuwamy się dość szybko naprzód.

Po kilku dniach weszliśmy w gęsto zabudowane okolice dalekich przedmieść Berlina. W tej strefie nie było już oporu nieprzyjaciela. Teren został poprzednio zajęty przez wojska sowieckie, które przyszły tutaj od wschodu i północy, okrążając te niemieckie siły, z którymi mieliśmy do czynienia na bagnach Starej Odry. Wszystkie jednostki sowieckie koncentrowały się teraz wokół oblężonego Berlina, który grzmiał i świecił łunami na południowo-zachodnim horyzoncie. Tam musi być gorąco!…

Na tyłach wojsk oblegających Berlin, tam gdzie przechodziliśmy, omijając miasto od północy, panował nie tylko nieopisany zamęt, ale szerzyły się gwałty, mordy

i rabunek na taką skalę, że wszystko, co wcześniej widziałem, nie dawało nawet przedsmaku tego, co się tam działo.

Na drogach prowadzących w kierunku Berlina olbrzymie korki ciężarówek, czołgów, zmotoryzowanej artylerii, transportów i wojska zatykały całkowicie przejazd, mimo rozpaczliwych wysiłków *riegulirowszczyc*, umundurowanych sowieckich dziewczyn regulujących ruchem. Wszystko to kotłowało się w przepastnym błocie rozrytych gąsienicami jezdni, lejów po bombach, tryskających wodą porwanych rur.

Tam właśnie widziałem człowieka rozjechanego przez kolumnę czołgów. Jego rozkrzyżowana na bruku sylwetka była chyba dwukrotnie powiększona. Nikt tego nieszczęśnika nie podniósł i właśnie przejeżdżała po nim kolumna ciężarówek załadowanych amunicją. Zagadnięty przeze mnie starszyna, roześmiał się: „Czort z nim, chleb będzie o kopiejkę tańszy”.

Ale nie to było najstraszniejsze. Na tyłach wojsk frontowych kłębiło się mrowie różnego rodzaju rabusiów, szabrowników, maruderów, trofiejnych kompanii, różnych oddziałów pomocniczych i zapasowych, intendentury i taborów oraz wszelkiego autoramentu mundurowej hołoty wraz z oddziałami NKWD, szukającymi tylko kogo by tu jeszcze rozwalić pod jakimkolwiek pretekstem lub bez pretekstu. Rabowano, co popadło, potem rzucano przy drodze to wszystko, czego rabusie nie mogli udźwignąć, torturowano starców, żeby wymusić oddanie rzekomych skarbów, gwałcono kobiety niezależnie od ich wieku i narodowości, po czym je zabijano, żeby nie pozostawić świadka. Za mord, gwałt i rabunek groziła kara śmierci.

Na naszych oczach zdobyte już poprzednio miasta, osiedla i podmiejskie „kurorty” zamieniały się szybko

w ruiny i zgliszcza. To co ocalało z alianckich bombardowań i po działaniach wojennych, padało ofiarą rozpasanej i wiecznie pijanej dziczy, która zostawiała za sobą tylko niebo i ziemię, jakby przeszły tędy hordy Dżyngis-chana uzbrojone w pepesze.

Cywilnej ludności niemieckiej zostało po ewakuacji bardzo mało. […] Mężczyzn w wieku od kilkunastu do sześćdziesięciu kilku lat NKWD wyłapywało i rozwalało jako *Giermańców*, jako przebranych niemieckich żołnierzy. Nikt tutaj nie był pewien życia, kto nie mówił po rosyjsku, kto nosił jakikolwiek obcy mundur − jak na przykład uwolnieni jeńcy wojenni. Każdy kto miał zegarek, obrączkę czy choćby lepsze buty − w każdej chwili mógł być obrabowany przez pierwszego z brzegu bojca, zastrzelony lub też odprowadzony do komendantury i tam mógł zafasować dziewięć gramów ołowiu w tył głowy jako *Giermaniec* czy *szpion*[53], lub bez żadnej przyczyny.

Ofiarami tych okropności, a nieraz i ich sprawcami była liczna tu ludność nie-niemiecka: przymusowi robotnicy zwiezieni do Reichu z całej Europy oraz uwolnieni jeńcy wojenni różnych narodowości.

Z francuskimi jeńcami z jakiegoś stalagu miałem przeprawę, bo przyłapaliśmy ich na rabunku i gwałtach. Do dzisiaj żałuję, że ich puściłem bezkarnie, wbrew rozkazom. Postawiłem ich tylko na baczność i skląłem sowicie po francusku, ku ich nieopisanemu zdumieniu i takiejże radości moich żołnierzy, trzymających ich pod karabinami. Inna grupa francuskich jeńców, słysząc moją dosyć poprawną francuszczyznę, proponowała mi, z dobrego serca, żebym zdezerterował i przyłączył się do nich. Ofiarowali mi nawet francuski mundur i papiery wojskowe. Odmówiłem równie stanowczo, jak nieuprzejmie. […]

Na północ od Berlina natknąłem się na grupę polskich oficerów. W porządnie ściśniętych pasami mundurach, w wyczyszczonych butach szli na wschód po opuszczeniu oflagu, z którego uciekli strażnicy. Reakcja tych ludzi, do których podszedłem z prostego odruchu serca, zmroziła mnie i uderzyła w moją godność. Potraktowali mnie jak zdrajcę. Bóg z nimi, poszli swoją drogą. […]

Zmieszane w jeden wir różnojęzyczne tłumy jeńców i przymusowych robotników starały się jakoś przetrwać do bliskiego końca wojny albo uciekały z tego piekła gdzie się dało, spontanicznie tworząc grupy narodowościowe. Tutaj znajdowały schronienie kobiety, którym groziło największe niebezpieczeństwo.

Na mojej drodze spotkałem kilka grup Polaków wędrujących na wschód. Na jedną polską grupę natknąłem się na północny zachód od Berlina, w jakiejś miejscowości, w której nasz pułk zakwaterował na noc i gdzie usiłowaliśmy zaprowadzić jako taki spokój, i chronić ludność przed grasującymi sowieckimi maruderami.

Wracając ciemną nocą przez willową dzielnicę do mojej kwatery, usłyszałem głos kobiety, wołającej po polsku na ratunek. Jednym skokiem przez wybite okno byłem w pokoju, w którym dziewczyna w poszarpanej odzieży broniła się rozpaczliwie przed sowieckim żołnierzem. Na mój widok bojec błyskawicznie sięgnął po pepeszę. Bez wahania wpakowałem w niego pełny magazynek od parabelki − jak we wściekłego psa. Do kwatery mojego plutonu było blisko. Na wszelki wypadek wziąłem stamtąd dwóch ludzi i odprowadziliśmy zupełnie roztrzęsioną dziewczynę do polskiego konwoju, który właśnie ruszał. Wcisnąłem jej jeszcze do ręki kilka złotych monet, które moi niepoprawni żołnierze wymyszkowali w ruinach Kołobrzegu i dali mi na czarną godzinę. Po drodze

dowiedziałem się od niej, że była studentką medycyny na tajnym Uniwersytecie Warszawskim i że po upadku powstania została wywieziona na roboty do Niemiec.

Tego wieczoru na kwaterze mojego plutonu długo nie mogłem zasnąć, mimo zmęczenia i puszystego dywanu, na którym leżałem. Obracałem w głowie te wszystkie okropności, których tutaj byłem świadkiem, ale też do pewnego stopnia uczestnikiem. Bo przecież, cholerny świat, dopiero co rozwaliłem faceta i nic nie czuję. Moje wychuchane sumienie siedzi cicho, a ja dosyć skutecznie zaczynam się zamieniać w bandziora. Gdybym znów trafił na gwałciciela, rąbnąłbym go bez zmrużenia oka. Jeszcze trochę wprawy, a będę mógł po demobilizacji zarabiać na studia, chodząc z lufką po prośbie.

Ale tak na dobrą sprawę − co ja tutaj, do cholery, robię? Miałem się bić za ludową ojczyznę, żeby nie rąbać syberyjskiej tajgi. Ta ojczyzna, ludowa czy jaka, ale moja, została już daleko za mną, a ja w jakimś dziwnym, ani polskim, ani sowieckim wojsku lezę wciąż *w pieriod*[54]*, na zapad*[55], nieść Niemcom ruską zemstę i zdobywać cudzy kraj, żeby Sowieciarze mieli co rabować. Pcham się więc w te Niemcy z ruskim karabinem, w niemieckim hełmie i portkach ściągniętych z trupa, na czele plutonu prawosławnych Białorusinów i już zapominam mówić po polsku, bo w tym wojsku mało kto ten język rozumie, a już najmniej oficerowie, którzy nami dowodzą.

Już nawet do Ciebie, Panie mój, w myślach zaczynam mówić „*Hospody, Spasże*”, tak jak co dzień mówię z moimi żołnierzami, jeśli tylko Niemcy na to pozwalają. Nie daj mi, Panie, zginąć za Stalina i za zwycięstwo światowego komunizmu na tej wrażej ziemi, jak bezdomnemu psu, bez ratunku ani chrześcijańskiego pogrzebu.

Od Odry i bagien Starej Odry szliśmy bez przerwy w ciągłych walkach i koszmarnym kotłowisku strefy przyfrontowej, gdzie nie zgubić się i utrzymać jako taką dyscyplinę w wojsku było nie lada wyczynem. Straciliśmy na tej drodze połowę stanów w oddziałach, a ponadto pogubiliśmy nasze zaplecze zaopatrzeniowe, intendenturę i tabory, kuchnie polowe, zaplecze sanitarne i zapewne przynajmniej część środków łączności, sądząc po ewidentnym dla mnie braku koordynacji operacyjnej pomiędzy jednostkami w boju. W tych warunkach byliśmy zmuszeni samemu uzupełniać braki w zaopatrzeniu w żywność, materiały opatrunkowe, odzież, a nawet broń i amunicję. Najdotkliwszy był brak chleba i machorki.

W podberlińskim kurorcie Wandlitz dostaliśmy jeszcze jedno uzupełnienie, tak jak i poprzednio złożone z niewyszkolonych rekrutów i świeżo upieczonych oficerów: Polaków po trzymiesięcznym kursie, ale chyba tylko marksizmu-leninizmu. Ten dzień reorganizacji spędziliśmy na szkoleniu naszych nowych towarzyszy, tak żeby przynajmniej umieli się kryć, okopać, używać broni i nie strzelać po swoich. Do dzisiaj nie rozumiem, po jaką cholerę uczono tych ludzi w jednostkach zapasowych maszerować w nogę, zamiast dać im podstawowe wyszkolenie bojowe, żeby nie musieli ginąć pierwszego dnia na froncie.

„Dawaj w pieriod! Dawaj w pieriod!”. Idziemy znów w szalonym pośpiechu, nie zważając na nic, ani na warunki życia wojska, ani na potworne straty w ludziach. Oblężony Berlin wciąż dudni za nami. Nocami ogromna łuna rozświetla wschodni horyzont. Cichnie to i stopniowo blednie, w miarę jak oddalamy się na zachód.

Niemcy stawiali nam zdecydowany i skuteczny opór, który przełamywaliśmy, ale z wielkimi stratami. W piaszczystych

laskach i bezkresnych torfowiskach zręcznie wykorzystywali warunki terenowe, broniąc się z determinacją i sprawnością godną podziwu. Znów były to małe oddziałki esesmanów, niemających już niczego do stracenia w tych ostatnich dniach ich klęski. Walczyli na swoim terenie, świetnie wyćwiczeni i uzbrojeni, zaopatrzeni we wszystko co żołnierzowi jest potrzebne w polu.

My mieliśmy do przeciwstawienia Niemcom tylko przewagę liczebną, która z dnia na dzień topniała. Żołnierze byli zmęczeni, często głodni, brakowało nam wszystkiego, a naczalstwo ograniczało swoje wysiłki do pędzenia nas do przodu, nie zwracając uwagi na straty.

Rosło niezadowolenie żołnierzy, a nawet wrogość do dowództwa, co gorsze przeważnie uzasadniona. Wbrew temu, co często oficerowie sobie wyobrażają, żołnierz na froncie bacznie obserwuje i surowo ocenia swojego dowódcę. Tutaj stawką w grze jest życie. Oficer traktujący swoich podkomendnych jak mięso armatnie − staje się dla nich potencjalnym niebezpieczeństwem i nie może liczyć na pobłażliwość z ich strony. Jeszcze nad Odrą oficer, który w czasie natarcia groził pistoletem wycofującemu się rannemu, został zastrzelony przez swoich żołnierzy. Później tego rodzaju wypadki powtarzały się u nas i w innych jednostkach, i to nie tylko pod ogniem.

[…]

Przyczyną konfliktów między kadrą oficerską a wojskiem stał się też rozkaz, wydany jeszcze nad Odrą, który żołnierzom w akcji zabraniał niesienia pomocy rannym i grzebania zabitych. Żołnierz musi wiedzieć, że jak oberwie, to koledzy pospieszą mu na ratunek, a gdy polegnie, to nie zostawią go bez pogrzebu, wronom na pożarcie. Nie mogąc wytłumaczyć POP-om, że ich rozkaz jest bez sensu, nie do przeprowadzenia i działa

demobilizująco, odmówiłem po prostu jego wykonania jako sprzecznego z regulaminem i tradycjami polskiej armii, których oczywiście żaden z nich nie znał.

Sytuacja stawała się szczególnie napięta, gdy na naszym odcinku frontu pojawiały się oddziały sowieckie i próbowały przejmować dowództwo, jakby się to rozumiało samo przez się.

Któregoś dnia, gdy u kresu sił zapadliśmy w głęboki kanał melioracyjny, osłonięty wałem, ktoś zasygnalizował, że za nami tyralierą idą Kozacy. Rzeczywiście, na brunatno-zielonej równi torfowiska widać, idące skokami, sylwetki. Migają czerwone denka kozackich czapek. Po chwili doszli, osłaniani przez nas ogniem, i pokładli się między nami. Jest ich całe mrowie: trzy lub cztery razy liczniejsi od nas. Wypoczęci, w porządnych mundurach − widać, że świeże wojsko. Pewnie teraz oni obejmą front, a my pójdziemy na wypoczynek.

Sąsiednim plutonem dowodzi kapral podchorąży z lubelskiej AK, miły chłopak, z którym łączą mnie wspólny los i wzajemna sympatia. Leżymy obok siebie przy stanowisku erkaemu i już marzymy słodko o menażce pełnej gorących kartofli i stodole pełnej siana, gdy jakaś swołocz zaczyna się drzeć: „Dawaj w pieriod!”. A to sobie idźcie w ten wasz *pieriod* na złamanie karku, a my zostajemy… Ale gdzie tam: „Polaczki, dawaj w pieriod!”. Kozacki politruk z naszywkami enkawudysty biega po rowie z pistoletem w ręku i wrzeszczy. Tego to już za dużo. Nie pójdziemy, a ten kacap nie będzie nami komenderował. Sytuacja jest dosyć paskudna, bo Kozaków jest od cholery, z nimi nie wygramy. Oglądam się na mojego kumpla, a on spokojnie celuje ze swojej parabelki do politruka i zanim się ktokolwiek połapał, kładzie go jednym strzałem, zrywa się

z erkaemem w rękach i wrzeszczy: „Chłopaki, za mną!!!”. Poszliśmy ławą za wariatem.

Jesteśmy coraz bardziej wymęczeni i napięci. Brnięcie na przełaj tyralierą jest zajęciem fizycznie wyczerpującym. Z ulgą padamy i okopujemy się, gdy Niemcy stawiają opór. Można wtedy chwilę poleżeć i odpocząć. Gdy tylko opór słabnie, walimy do przodu, żeby przed zmrokiem zająć jakieś zabudowania, w których może znajdzie się coś do żarcia i trochę słomy na godzinkę snu. Lepsze to niż z pustym brzuchem leżeć w polu lub rowie i kłapać zębami z zimna przez całą noc.

Nawet w dzień ludzie zasypiają twardo na stanowiskach, tak że nie wiadomo, czy człowiek leżący o kilka kroków ode mnie − poległ, czy śpi. Najgorsze są noce, gdy czujki przy stanowiskach broni maszynowej zasypiają kamiennym snem. Trzeba co chwilę budzić i zmieniać ludzi, samemu czuwać, żeby nie dać się Niemcom zaskoczyć. Zmieniamy się z Tytiurką, ale obaj zasypiamy, stojąc. Szczęśliwie, Niemcy muszą być w podobnym stanie, bo nie próbują nocnych akcji.

Jednak noce też nie są bezpieczne. Od czasu do czasu na uśpionych ludzi lecą pociski z moździerzy, które nawet nas nie budzą. Którejś nocy w dosyć luksusowym rowie zasnąłem twardo obok mało mi znanego sierżanta ze sztabu. Nakryliśmy się obaj jednym płaszczem, żeby się wzajemnie grzać. Przed świtem, po jakiejś godzinie snu wstaję, żeby zmienić posterunki, ściągam z faceta mój płaszcz, a on przewala się bezwładnie na plecy. Nie ma połowy czaszki, a zamiast twarzy przelewa się jakaś straszna krwawa masa.

Jeszcze tego samego dnia oberwałem odłamkiem granatu w nadgarstek lewej ręki. Poczułem tylko silne oparzenie. Nie było czasu na szukanie sanitariusza, więc chwyciłem

zębami za wystający kawałek żelaza i wyrwałem go, zobaczywszy przy okazji wszystkie gwiazdy. Nie krwawiło, bo rana była mocno spieczona, ale paskudziło się dość długo.

W świeżo zajętej przez nas wsi wpadliśmy we dwóch do domu, w którym zauważyliśmy z ulicy jakiś ruch. Może skrył się tutaj Szkop, który zaraz zacznie do nas strzelać z mansardy? Z towarzyszem uzbrojonym w szmajser i parabelką gotową do strzału, jednym kopnięciem wywaliłem drzwi z sieni do izby, krzycząc: „Hände hoch!”[56]. I zgłupieliśmy. Na wprost drzwi siedział za stołem siwy jak gołąb starzec. Widocznie nie mógł lub nie chciał opuścić domu i spokojnie czekał na śmierć. Z rękami płasko na blacie patrzył na mnie wyblakłymi oczami, bez cienia trwogi, a raczej z cieniem wyrozumiałej drwiny. Z rozpędu zrobiłem jeszcze dwa kroki i okropnie zmieszany powiedziałem, salutując: „Verzeihen Sie bitte” (proszę mi wybaczyć). Wyszedłem cicho, zamykając za sobą drzwi. Dopiero na ulicy dostaliśmy takiego ataku śmiechu, że łzy nam ciekły ciurkiem po policzkach.

Czuję jednak, że zaczynają mi całkiem poważnie nawalać nerwy − ze zmęczenia, z napięcia wywołanego nieustanną czujnością i po prostu ze strachu. Kto był w pierwszej linii frontu, wie doskonale, że bohater bez trwogi jest mitem. Każdy zdrowy na umyśle człowiek się boi, bo to jest dyktowane instynktem samozachowawczym. Im kto jest lepiej obdarzony wyobraźnią, tym się bardziej boi, bo widząc, jak obrywają inni, może sobie wyobrazić, że on też może dostać. Ja mam, na moje szczęście, strach retrospektywny, to znaczy boję się, gdy jest już po wszystkim. W akcji działam jak w transie, z pełną przytomnością umysłu, pozornie spokojnie i z rozwagą.

Pomaga mi w tym świadomość, że jestem odpowiedzialny za życie moich ludzi.

Wszystko zależy od siły woli i wytrzymałości systemu nerwowego, w pewnym momencie może nastąpić załamanie, samobójczy obłęd, szał strachu. Gdy tamtej nocy odkryłem, że spałem pod jednym płaszczem z facetem, który zginął we śnie tuż obok mnie, przez chwilę nie panowałem nad sobą. Drugi raz nawaliłem niewiele później, ale tym razem zupełnie − gdy w czasie dosyć zażartej walki usłyszałem nagle nad głową jakieś koszmarne wycie. Coś, czego nie da się opisać. Tak jakby nagle wszyscy diabli zerwali się z łańcucha i lecieli wprost na nas. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Podobno w momencie, gdy się zrywałem, żeby się rzucić do panicznej ucieczki, leżący obok mnie Wasyl, mój anioł stróż, skoczył i zwalił mnie z nóg, przygniatając do ziemi całym swoim ciężarem. Leżąc potem obok, uspokajał mnie jak chore dziecko, a ja krztusiłem się długo spazmatycznym płaczem. Uratował mnie wówczas od niechybnej śmierci.

To wycie było wymyśloną wtedy przez Niemców bronią psychologiczną. Zamiast normalnego pocisku wystrzeliwano z działa odpowiednio ukształtowaną wiązkę stalowych prętów, które rozlatywały się w dużym promieniu i przeraźliwie wyły, wirując z wielką szybkością.

Po tym kryzysie nastąpiło odprężenie, które pomogło mi przeżyć tych kilka ostatnich dni do końca wojny.

Jest już koniec kwietnia, ciepły, słoneczny dzień. Jest wiosna. […] Niemcy znów stawiają zacięty opór. Na niskich łąkach między lasami idzie po froncie zaciekła strzelanina z broni ręcznej i maszynowej. Nagle z lasku, położonego na naszym prawym skrzydle, wypadają wyciągniętym galopem dwie sarny i rogacz i biegną między liniami. Równolegle z nimi przesuwa się strefa ciszy. Nikt ani z jednej, ani

z drugiej strony frontu nie strzela do saren. Czy to dlatego, że polowano na grubszą niż one zwierzynę, czy też dlatego, że były w tym biegu tak absolutnie piękne?… Sarny przebiegły i zniknęły w przeciwległym lesie, ale została po nich jakaś nadzieja, że może coś ludzkiego jest jeszcze do uratowania.

Pod wieczór zapadamy w rowy melioracyjne na rozległym torfowisku, przegrodzonym nasypem drogi wysadzanej drzewami. Na prawo od naszych pozycji były widoczne z dala zabudowania wsi Dektof[57] (zapamiętałem tę nazwę), na lewo trochę wyższe pastwiska, w odległości około kilometra. Jakieś osiemset metrów od nas, za nasypem drogi usadowili się Niemcy i siedzą tam twardo. Niełatwo będzie się do nich dobrać. Na odprawie żądam rozpoznania ogniowego i idę z nim sam na ochotnika. Moja konkluzja była taka, że trzeba Szkopów obejść bokiem, na ich skrzydle zrobić dywersję i dopiero wtedy atakować. Posłałem raport do dowódcy batalionu i walnąłem się spać.

Rano ktoś mówi, że to dzisiaj święto 1 Maja. Mgła leży tak gęsta, że można by Szkopów podejść bez żadnego ryzyka. Jednak dopiero około dziewiątej, gdy mgła się podnosi, robi się ruch na linii: „Przygotować się do natarcia”. Co to naczalstwo zamierza? Jeżeli chcą próbować czołowego natarcia na tę pozycję, to dostaniemy takie lanie, jakiego jeszcze nie było. Do tego wczoraj wieczorem zgubiłem moją saperkę. Głupia sprawa, ale może jakoś przeleci.

„Dawaj w pieriod! Dawaj w pieriod!” A żeby wam diabli dali w ten wasz *pieriod*… Ruszamy skokami, trzy kroki biegiem, padnij, odczołgaj się w bok, znowu biegiem. Niemcy siedzą jak trusie. „Dawaj w pieriod!” Denerwuje mnie ten cholerny bydlak. Idziemy pochyleni naprzód: sto, dwieście, trzysta metrów. Czy te Szkopy nawiały, czy się

przyczaiły? Do drogi na nasypie zostaje jeszcze około trzystu metrów, akurat na skuteczny zasięg szmajsera. W tej właśnie chwili wali na nas ściana ognia i kosi tyralierę za jednym zamachem. Leżę na ziemi plackiem i drę darń gołymi rękami, gdy sąsiad z prawej woła poprzez huk: „Jędrek, łap łopatkę”. Okopuję się błyskawicznie w miękkim torfie. Kto uratował mi życie?

Niemcy walą w nas tak gęsto, że dokoła ziemia pryska pod seriami, a powietrze aż wyje od pocisków. My nie strzelamy, bo nie da się podnieść głowy, a strzały zdradziłyby nasze stanowiska. Tymczasem za nami pojawia się opancerzone działo samobieżne i wali na wprost, nad naszymi głowami. Za wysoko, cholera, co za bałwan! Ścina tylko młode topole przy drodze, a jego pociski eksplodują w polu, daleko za liniami niemieckimi. Kątem oka widzę, że mój sąsiad z prawej, ten co mi przed chwilą rzucił łopatkę, nagle się wyprężył i znieruchomiał. Od lewej ktoś krzyczy ponad hukiem, dochodzi do mnie: „Hospody!”. Za nami co chwila wali to działo na wprost, aż bębenki pękają i trawa kładzie się od szoku. Jak ten cham skróci, to będzie walił po nas!

Nic nie mogę zrobić, patrzę i słucham bezsilnie, jak kolejno giną moi starzy towarzysze broni i przyjaciele, których z takim trudem doprowadziłem żywych aż tutaj. Modlę się za nich, za nas, z taką wiarą i rozpaczą, że nie słyszę już strzelania, jakbym był pod szklanym kloszem, skupiony, ale zarazem odprężony i bezpieczny. Sprawdzam, czy jeszcze żyję. Tak, bo czuję w ręku kolbę parabelki. Słyszę, jak sam mówię głośno: „Pod Twoją obronę uciekamy się…”.

Jest godzina wpół do dwunastej […]. Walą w nas już co najmniej od półtorej godziny, walą bez opamiętania, walą, żeby nas wytłuc do nogi. Skąd oni mają tyle amunicji?

Coś się jednak dzieje od lewego skrzydła. Niemiecki ogień wyraźnie słabnie. Widzę, jak trzech Szkopów przenosi przez drogę cekaem, więc rąbię w nich z karabinu, ile tylko zdążę zarepetować. Coś się tam zakotłowało i znikli za nasypem. Ogień ustaje zupełnie i to cholerne działo też przestaje strzelać. Robi się przeraźliwa cisza − słychać, jak na niedalekiej łące skrzeczy żaba.

Unoszę się na rękach i czołgam do sąsiada z prawej, tego od łopatki. Jest nie do poznania. Leżę przy nim z pustką w głowie i słyszę, że ktoś zaczyna krzyczeć: „Dawaj w pieriod!”. O dziesięć kroków za mną stoi wyprostowany porucznik, taki znad Oki, w skórzanej kurtce i z pistoletem w ręku. Stoi i drze się. Zalewa mnie nagła fala wściekłości, zwiera szczęki bolesnym skurczem i jeży włosy pod hełmem. Celuję z parabelki do politruka… Za moich poległych towarzyszy, za waszą zbrodniczą głupotę i chamstwo, za ten znienawidzony rosyjski wrzask… Ręka mi drży, nie mogę tego drżenia opanować. Zanim zdążyłem nacisnąć spust, oficer zgina się wpół i pada. Leży z kolanami pod brodą, pewnie dostał w brzuch.

Podnosi się z lewej dwóch ludzi, z prawej jeszcze jeden. Od tyłu biegnie sierżant Lewandowski, taki POP ze sztabu, i klęka przy rannym poruczniku. Każę mu zająć się rannym i idziemy we czterech ku szosie. Jeden z żołnierzy strzela jak oszalały z pepeszy, ja rzucam na oślep granat za nasyp. Leży tam rozpieprzony szkopski cekaem i dwóch czy trzech zabitych. Zostawiłem na łące mój karabin, więc podnoszę szmajsera i napycham chlebak magazynkami.

Idziemy rowem za drogą ku wsi, w której słychać jeszcze pojedyncze strzały i zaczyna się kłębić dym. Staryk idzie zaraz za mną, ma cały rękaw we krwi. Jeden z dwóch żołnierzy idących z tyłu mocno utyka. To całe wojsko, jakie mi zostało. Przy pierwszych zabudowaniach dogania nas

sierżant Lewandowski − w kurtce porucznika i z jego pistoletem w futerale. Na pewno dobił rannego i obrabował go. Mam już Lewandowskiego pod lufą szmajsera. Co za hiena! Ucieka w stronę zabudowań, a ja powstrzymuję się całą siłą woli, żeby nie puścić za nim serii. Nie, dosyć, zaczynamy się już na dobre wzajemnie mordować.

We wsi wygarniamy z jakiegoś domu ukrytych trzech esesmanów. Nie stawiają oporu i rzucają broń. Gdy ich prowadzimy, jeden z tych blondynów błyskawicznym ruchem sięga do kieszeni munduru. Ale Staryk już zdążył mu przyłożyć lufę karabinu do brzucha i odbiera mu granat, który chciał nam rzucić pod nogi. Rewidujemy jeńców i znajdujemy jeszcze jeden granat, a w ich chlebakach papierosy i czekoladę, które rozdzielam między moich żołnierzy. Oni chcą koniecznie zaraz jeńców rozwalić, ja nie pozwalam, więc kłócimy się zażarcie, dopóki ktoś nie zabrał Szkopów do sztabu. Pewnie na spytki i rozwałkę, ale to już nie nasza sprawa.

Powoli ściągają resztki 3. kompanii. Jest sierżant Ołtarzewski z gońcem, dwóch ludzi z 1. plutonu, na końcu dołącza sanitariusz, który dotąd opatrywał w polu rannych, teraz sam lekko ranny. Oficera nie ma ani jednego, więc zostaję zastępcą dowódcy kompanii w składzie jeden plus siedmiu.

Po tym morderczym święcie 1 Maja niedobitki 9. pułku szły jeszcze półtora dnia ku zachodowi, ciągnąc po piachu leśnych dróg nikomu już niepotrzebne działa i nie napotykając nieprzyjaciela. Zostało może stu ludzi, licząc z kucharzami, może trochę więcej. Na postoju w zabudowaniach pod lasem gruchnęła wiadomość, że znajdujemy się zaledwie dwadzieścia kilometrów od Łaby, za którą stoją już Amerykanie. Cicho opowiadano sobie

również, że 7. pułk naszej dywizji doszedł do Łaby i cały przeszedł przez most na stronę amerykańską.

Jakiś chłopak siada koło mnie na słomie: „No co, Jędrek, idziesz z nami?”. Jest ze dwudziestu chłopa i mają wychodzić o północy, bo straż z tej zmiany też idzie. „Gdyby nas ktoś chciał gonić, to potrafimy się odgryźć”. Niewiele myśląc, mówię, że idę − żeby być jak najdalej od tego sowieckiego świństwa, którego już nie mogę znieść. Tam jest przecież prawdziwe polskie wojsko, do którego należę jako podchorąży Armii Krajowej. Kogoś tam przecież znajdę, coś ze sobą zrobię, będę próbował szczęścia w szerokim świecie. Teraz, gdy Niemcy już pobici, a moi starzy towarzysze prawie wszyscy polegli przez zbrodniczą głupotę dowództwa, nic mnie już z tym wojskiem nie wiąże, jestem wolny od wszelkich zobowiązań. Czyszczę broń i moje zdarte buciska, tak jak staram się to robić co dzień. Nic poza tym nie mam, jestem gotowy do drogi.

Niespodziewanie o wpół do jedenastej alarm i pospieszny wymarsz. Czy może jeszcze gdzieś diabli nadali Niemców? Nic podobnego. Jutro ma być nad Łabą spotkanie wojsk sprzymierzonych. Tym lepiej. Gładką, asfaltową szosą idziemy w czarną jak atrament noc: czwórkami, trzymając się pod ręce, i śpimy. Przed nami niebo robi się jaśniejsze. Co to, księżyc na zachodzie, czy co? Ależ to już zaczyna świtać… prosto przed nami! Całą noc maszerowaliśmy na wschód.

Nasze naczalstwo musiało coś zwąchać albo się wystraszyli, że za przykładem 7. pułku pójdziemy za Łabę. Opowiedzieli nam bajeczkę o spotkaniu z aliantami, a teraz dzieli nas od Łaby już kilkadziesiąt kilometrów. Może i lepiej, że nie zostałem dezerterem i nie poszedłem na tułaczkę. Zresztą, jest mi już wszystko jedno.

Zakończenie wojny

JAN PROROK

2 maja wracając z Berlina do Warszawy i Siedlec po kolejny ładunek dla frontu, w którego przewożeniu brały teraz udział kolumny złożone z dziesiątków samochodów, zboczyłem nieco z drogi i znalazłem się w podberlińskiej miejscowości N., gdzie mieściła się wytwórnia niemieckich filmów UFA[58]. Był tam również jakiś ośrodek rekreacyjny i szpital dla wyższych oficerów Wehrmachtu, a także: magazyny, warsztaty i niewielki kobiecy obóz pracy[59], mieszczący się w częściowo zdewastowanych barakach.

− Polacy!! Polscy żołnierze!! Polskie wojsko – krzyknęła jedna z kobiet, gdy wysiadaliśmy z samochodu.

Po kilku minutach obaj z kierowcą zostaliśmy otoczeni przez pokaźną grupę więźniarek mówiących po polsku. Zaskoczone naszym przybyciem i nieoczekiwanym spotkaniem z rodakami w mundurach, cieszyły się ogromnie. Śmiały się, płakały i przekrzykiwały w pytaniach. Pytały o wojsko polskie, Warszawę, Łódź, warszawskie domy i ulice, i pomniejsze osiedla z okolic Warszawy.

My również, obaj z kierowcą – bo nie z całą kolumną samochodów tam dojechaliśmy – byliśmy zaskoczeni odkryciem hitlerowskiego obozu pracy w samym środku Niemiec. Tym bardziej że, jak się później okazało, były to w większości Polki z Warszawy i okolic, uczestniczki powstania warszawskiego.

Nasze spontaniczne powitanie przedłużało się w nieskończoność. Pytaniom […] nie było końca. Moja rogatywka ze srebrnym orzełkiem i okutym daszkiem, potrącona niechcący przy pierwszym powitalnym pocałunku, krążyła wśród kobiet, daleko, daleko ode mnie.

Oglądały ją wszystkie, dotykały i przymierzały. Niektóre całowały wpierw z namaszczeniem lśniącego w słońcu orzełka. Był, na szczęście, w koronie. Zadbałem o to jeszcze w Lublinie, zaraz po przybyciu z Riazania. I dzięki temu w oczach Polek i byłych więźniarek zyskałem miano „prawdziwego polskiego żołnierza", nie jakiegoś tam Uzbeka w polskim mundurze i z wroną na czapie − jak im to Niemcy wmawiali.

A gdybym nie zmienił „kazionnego"[60] orzełka i guzików na błyszczące, co wtedy? – myślałem. No, oczywiście nic. Nie zostałbym chyba pobity […], ale radość powitania byłaby krótka i wygasłaby zupełnie po kilku zdawkowych westchnieniach […].

Słońce zniżyło się mocno i zaczęło blednąć, było późne popołudnie […] 2 maja 1945 roku. Na północno-zachodniej części nieba, oglądanej z miejscowości N., wisiała przeogromna chmura czarnosiwego dymu, strzelającego kłębami w górę, a zza rozległego jeziora dolatywały głuche odgłosy salw artyleryjskich, wstrząsające niekiedy powietrzem. To Berlin […] dziś wydawał ostatnie tchnienie – kapitulował. Przed kilkunastoma godzinami krążyliśmy jeszcze zwartą kolumną samochodów po jego pustych i zapchanych ulicach, na których rwały się pociski, rozsypywały domy i wybuchały pożary – wtedy jeszcze się trzymał.

We wspomnianej już miejscowości N., odległej o kilkanaście kilometrów od głównego teatru wojny, za jeziorem − panował spokój. Wojska radzieckie przewaliły się tędy osiem dni temu, przepędzając Niemców i oswabadzając więzionych. Staranowano czołgami główną bramę obozu[61], wyłamano zamki w magazynach i w ciągu jednej godziny w obozowych barakach zapanowały − długo tu niewidziane − wolność i dostatek. Na stolikach

w barakach pojawiły się konserwy, wino i czekolada, przeznaczone do niedawna dla niedoszłych „panów świata". Uwolniono więźniarki – a był tam prawdziwy przekładaniec: Polki, Francuzki, Holenderki, Belgijki i Dunki. Kobiety wiodły teraz dostatnie życie, czekając na wiadomości z frontu i rychły powrót do swoich krajów i rodzin.

Mój dwugodzinny pobyt w gościnnym obozie dobiegł końca. Musiałem się spieszyć, aby dogonić swoją kolumnę samochodową, zdążającą w kierunku Poznania, i 3 maja rano stawić się w dowództwie […] po dalsze rozkazy. Panie pisały pospiesznie listy do swoich rodzin i znajomych w kraju, które zobowiązałem się zabrać, przewieźć do Warszawy i wysłać za pośrednictwem poczty polowej.

Radość ze spotkania Polek była ogromna, ale byłaby jeszcze większa, gdybym mógł zabrać wszystkie rodaczki na samochody i przetransportować do Warszawy, o co prosiły usilnie ze łzami w oczach. Techniczne warunki ku temu nawet istniały − wystarczyło zawrócić z drogi podległą mi kolumnę pustych samochodów i skierować ją pod załadunek do obozu − ale praktycznych nie było wcale. Prawa wojny bywają nieubłagane. Obowiązywał ścisły zakaz przewożenia osób cywilnych samochodami wojskowymi, szczególnie w strefie przyfrontowej, bez ważnych dokumentów wydanych przez wyższe władze wojskowe. Punkty kontroli drogowej Armii Czerwonej, zwane w skrócie PPK, rozmieszczone we wszystkich miastach i na wszystkich ważniejszych skrzyżowaniach dróg, nieubłaganie przestrzegały tego zarządzenia. Próżne więc, a nawet szkodliwe dla podróżnych stałyby się moje szczere wysiłki w tej sprawie, toteż skończyło się na dobrych chęciach z mojej strony i płaczu, i utyskiwaniu zawiedzionych byłych więźniarek.

Koniec wojny zastał mnie na rodzinnej ziemi krakowskiej, gdy nieco okrężną drogą wracałem do Warszawy z kolejnego wojażu na południe, z rejonu walk 2. Armii WP, której oddziały w dniu mojego odjazdu zmierzały ku granicy czechosłowackiej.

Nie tak wyobrażałem sobie koniec wojny […]. Widziałem tę chwilę jako podniosłe ogólnonarodowe i ogólnoludzkie święto − jako prawdziwie wielki dzień zwycięstwa. […] A co zobaczyłem na trasie?… We wsiach nic jeszcze nie wiedziano o zakończeniu wojny. W mojej rodzinnej wsi, w której zatrzymałem się nocą na kilka godzin snu − też nie. W Dąbrowie Tarnowskiej, Sandomierzu i Kielcach, przez które przejeżdżałem 9 maja, wiedziano już, ale entuzjazmu nie było. Na szkołach i urzędach powiewały biało-czerwone flagi, ludzie chodzili jakby odświętniej ubrani, choć to była środa, ale niewiele więcej można było dostrzec z okien samochodu. Przechodnie trochę weselsi i bardziej rozmowni, gdy o coś pytałem, cieszyli się nie jak z własnego, ale jak z cudzego zwycięstwa. Czyż dlatego, że orła w koronie nigdzie widać nie było?…

Tylko wojskowi – co zrozumiałe – jadący samochodami lub idący w grupach, tu i ówdzie śpiewali, machali rękami, rzucali czapkami i strzelali w górę na wiwat. Wśród nich panował odmienny nastrój. Najradośniej jednak i bez wątpliwości witali ten dzień czerwonoarmiści – co też zrozumiałe.

W międzyczasie nasz pułk zmienił miejsce postoju i teraz, zamiast do Anina pod Warszawą, zmierzałem do Brwinowa, też pod Warszawą. […]

JÓZEF DUBIŃSKI

I gdy coraz więcej nas wiedziało, że znajdujemy się zaledwie o dwa kilometry od aliantów, otrzymaliśmy rozkaz

do drogi powrotnej na wschód. Wracając, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Dopiero w szóstym lub siódmy dniu naszej drogi powrotnej, podczas marszu przez duży kompleks leśny, obok jednostki radzieckiej usłyszeliśmy nagle tysiące strzałów z różnej broni. Strzałom tym towarzyszyły okrzyki: „Hura! Hura!” i rzucanie czapek w powietrze, a wszystko to na cześć zakończenia wojny i ostatecznej kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Ten entuzjazm udzielił się oczywiście i nam. Też strzelaliśmy na wiwat i cieszyliśmy się z zakończenia długotrwałej poniewierki. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej na wschód. […]

Wiadomość o zakończeniu wojny i możliwości powrotu do Polski wzbudziła w nas chęć znalezienia jakichś zdobyczy: ubrań cywilnych, bielizny, obuwia, a także rowerów, aparatów fotograficznych i tym podobnych rzeczy. Możliwość taka, niestety, już się skończyła, gdyż w mijanych miejscowościach działała już władza ludowa, która uniemożliwiała takie poszukiwania.

Również mnie z kolegą […] przytrafiło się, że milicja ludowa przepędziła nas z gospodarstwa niemieckiego. Tłumaczyli nam, że tu już nie wolno niczego szukać i zabierać, że oni są synami komunistów jugosłowiańskich i należą do milicji ludowej, która ma za zadanie pilnować tu porządku i chronić ludność cywilną przed nieproszonymi gośćmi.

W dalszej drodze na wschód nie próbowaliśmy więcej odłączać się od kolumny marszowej w poszukiwaniu zdobyczy.

Po kilku dniach marszu porwała nam się uprząż na jednym z koni naszej kompanii. Po zatrzymaniu się na odpoczynek nocny wybraliśmy się z kolegą […] na rowerach w poszukiwaniu tej uprzęży. Jadąc asfaltową drogą przez las, dojechaliśmy do krzyżówki leśnej, przy której stało

duże gospodarstwo rolne z okazałym domem mieszkalnym, na pewno była to leśniczówka. Stała przed tą leśniczówką kobieta w średnim wieku, w butach na wysokim obcasie i w ciemnym stroju. Zapytaliśmy o wieś […]; pokazała nam na zachodzące słońce pomiędzy wysokimi sosnami, gdzie miała być ta niemiecka wieś. Ruszyliśmy więc w tym kierunku, ale już na piechotę, prowadząc rowery obok siebie, ponieważ tu już była droga piaszczysta i nie dało się jechać. Po przejściu około dwustu metrów zauważyliśmy na wzgórzu leśnym dach baraku obsypanego wałem ochronnym. Zaciekawieni zabudowaniami w tym obrębie leśnym, postanowiliśmy zbadać, co się tam znajduje, ale w miarę zbliżania się do pagórka i tych budynków, zauważyliśmy w krzakach reflektor przeciwlotniczy, który zapragnęliśmy zobaczyć z bliska, bo dotychczas oglądaliśmy tylko smugi świateł na szafirowym niebie z takich reflektorów – podczas wypatrywania samolotów.

Po dojściu do nasypu oparliśmy rowery i poszliśmy obejrzeć reflektor. Kiedy wróciliśmy po rowery, słońce już zachodziło. Nagle przy nasypie usłyszeliśmy głosy kilku Niemców, co było dla nas wielkim zaskoczeniem. Z braku bliższych danych o ich liczebności, broni i zamiarach, postanowiliśmy wrócić do jednostki, z tą myślą, że przyjdziemy zaraz o świcie we wzmocnionej obsadzie i z lepszym uzbrojeniem.

Raniutko w grupie 15 żołnierzy, na czele z podporucznikiem zwiadu batalionu […], uzbrojeni w pepeszki i granaty, okrążyliśmy budynek i miejsce ukrycia Niemców. Po odpowiedniej rozstawie ubezpieczeń otwarliśmy pierwsze drzwi baraku, w którym z łóżek zeskoczyło trzech Niemców w ubraniach cywilnych. Wypytywanie o liczbę osób w drugim pomieszczeniu nie przyniosło rezultatu. Na wszystkie nasze pytania [Niemcy]

odpowiadali, że nic im nie wiadomo. Nie było czasu na szczegółową rewizję, gdyż jednostka szykowała się do dalszego marszu na wschód i trzeba było się spieszyć. Postanowiliśmy jednak sprawdzić drugą część baraku, do której drzwi znajdowały się już w przybudówce, w takim przedsionku. Stały tu − przygotowany rozczyn na chleb i dwa worki mąki. Otworzyliśmy drzwi. Wewnątrz baraku było ciemno, gdyż okna zamknięto z zewnątrz okiennicami. Natychmiast po otwarciu zeskoczył z łóżka następny Niemiec. Jednocześnie usłyszeliśmy wewnątrz strzał. Odskoczyliśmy od drzwi. Pobiegłem za barak, otworzyłem okiennice, a koledzy weszli do środka, ale nikogo nie zauważyli i nie pomogły nawoływania o ujawnienie się. Gdy kierowaliśmy się już do wyjścia, spojrzałem jeszcze przez okno i zauważyłem leżącego pod łóżkiem Niemca, a przy jego głowie pistolet i kałużę krwi. Okazało się, że był to esesman, który nie wytrzymał nerwowo i postanowił sam wymierzyć sobie wyrok.

Naturalnie trofea od niego zabrane przywłaszczył sobie podporucznik zwiadu […]. Nam nic się nie dostało. Zabrał mu sygnet, dwie obrączki, pistolet, dwa zegarki, jeden kieszonkowy i jeden na rękę, oraz portfel skórzany. Spiesząc się do jednostki, postanowiliśmy zabrać tych czterech Niemców, załadować na nich worki z mąką i wracać do swoich. Po przybyciu do jednostki przekazaliśmy jeńców do sztabu pułku, a sami wyruszyliśmy w dalszą drogę na wschód.

Defilada z okazji zakończenia wojny (9 maja 1945, okolice Berlina). Przemawia gen. Bolesław Kieniewicz. *Fot. Józef Rybicki*

W połowie maja po raz drugi dotarliśmy do Wriezen. W tym mocno zniszczonym miasteczku kwaterowaliśmy około dwóch tygodni. W międzyczasie nasze dowództwo dowiedziało się, że na moście pontonowym na Odrze bojcy radzieccy zabierają naszym żołnierzom wszystkie zdobyczne przedmioty. […] Nasz dowódca kompanii […] z zastępcą […], postanowili wywieźć trofea za Odrę, innym mostem cywilnym, chyba w Starej Rudnicy, do miejscowości Moryń.

Do Morynia oddelegowano nas sześciu − na furmankach załadowanych dywanami, kanapami i tym podobnymi rzeczami. Otrzymaliśmy suchy prowiant na sześć dni. Po

sześciu dniach mieli dołączyć nasi, z powrotem załadować się i jechać do Polski.

W tym samym dniu, po rozładunku bagażu w stodole pięknego gospodarstwa na skraju wsi Moryń, rozpoczęliśmy przeszukiwanie budynków. Drzwi były pootwierane, ludzi nie było, jednak parę minut później okazało się, że mieszkały tam trzy Niemki: dwie siostry w wieku 40−45 lat i córka jednej z nich, Brygida. Ich początkowe przerażenie i próby ukrycia się przed nami − przerodziły się w dużą zażyłość i poufałość. […] Wskutek tej przyjaźni suchego prowiantu starczyło nam zaledwie na trzy dni, bo korzystało z niego dziewięć osób, nie sześć. Znalazło się wyjście. Rosjanie pędzili na wschód bydło. Wydelegowaliśmy więc dwóch ochotników, którzy zrobili zasadzkę w krzakach i przyprowadzili jałówkę, po czym zabili. Niemki były zadowolone. Ugotowały smaczny gulasz, spały z chłopakami i panowało ogólne zadowolenie.

Ale przyszedł czas, że i ta sielanka musiała się skończyć. Jak było umówione przed naszym wyjazdem, w szóstym dniu przyjechały po nas furmanki, na które załadowaliśmy nasz bagaż i ruszyliśmy w drogę powrotną do Wriezen. W międzyczasie dołączyła do nas jeszcze jedna pani – Ślązaczka, która była tłumaczką. Trzeba było pożegnać miłe Niemki i odjechać. Nie było to proste. Kobiety po sześciu dniach naszego pobytu i nawiązaniu przyjaźni nie chciały się z nami rozstać. Wsiadły na nasze wozy i nie było rady, uparły się, że pojadą z nami do Polski. Po dojechaniu do mostu na Odrze musieliśmy prawie siłą pozostawić je na miejscu. Było wiele płaczu i próśb, by ich nie porzucać.

DANIEL RUDNICKI

4 maja docieramy do Łaby w rejonie wsi Scharliebe, na południe od miasta Rathenow. Tu już „mapa się skończyła”.

Na prawym brzegu byli już Amerykanie i w związku z tym – trzy wypadki dezercji.

Następnego dnia – wydarzenie świadczące o tym, jakie cholerne szczęście, mimo wszystko, miałem cały czas na wojnie. Przyciśnięta do rzeki liczna grupa hitlerowców niespodziewanie dokonała nalotu artyleryjskiego na miejsce postoju sztabu pułku. Jeden z pocisków wpadł przez okno do pokoju sąsiadującego z sekcją polityczną i urwał obie nogi szefowi łączności pułku […].

Tego samego dnia rozpoczęliśmy marsz powrotny w kierunku Berlina. 8 maja na szosie koło wsi Buckow w Kreis Potsdam[62], dokładnie o godzinie szesnastej z radioodbiornika w trofiejnym samochodzie dowódcy pułku usłyszałem nadany z Londynu po polsku komunikat o kapitulacji OKW[63] wobec aliantów zachodnich w mieście Muyenz albo Mainz[64].

Szalona noc w tejże wsi Buckow. Każdy strzela z czego może i czym może, tak że zbłąkane pociski zabijają nam dwóch żołnierzy. We wsi znalazło się też blisko 70 wywiezionych na roboty Ukrainek i Rosjanek, z którymi zaczęło się *gulanie*[65] w miejscowej szkole.

Około godziny dwudziestej trzeciej zabawa została niespodziewanie zakłócona. Na szosie zawarczały czołgi i wnet do sali wcisnęli się pancerniacy, westerplattowcy w zasmarowanych kombinezonach, widać, że już solidnie pod gazem.

Wolnych dziewcząt już nie było, ale czołgiści nie tracą tupetu. Wracają do maszyn i wykręcają baszty z działkami w kierunku budynku:

− Dawaj, wsie wychadit, a to siejczas wsio rozjeb[66]…

Wytworzyła się nieprzyjemna sytuacja… Nie wiadomo, czym zakończyłaby się ta pierwsza noc pokoju, gdyby nie lotnicy z pułku „Warszawa”[67], którzy również zajechali na

GAZ-ach[68] do tej wsi i zostali mediatorami między piechotą a bronią pancerną.

Jak gdyby symbolicznie − spotykam Jurka Czownickiego[69], tego samego, z którym rozstałem się pod koniec maja lub na początku czerwca 1943 roku. Byliśmy w trzeciej kompanii strzelców pierwszego pułku piechoty w Sielcach, gdy on poszedł do szkoły w Grigoriewskoje. Dajemy sobie pyska, oblewamy zwycięstwo z [Wasylem] Gaszynem[70]; na pamiątkę spotkania daruję mu dwa nowiutkie trofiejne walthery[71], z całej walizki pistoletów, które wiozłem ze sobą. Ta walizka, to były moje jedyne trofea za całą wojnę…

I wreszcie ostatni akord − odprawa zwycięstwa w sali kirchy[72] w miasteczku Seelow. Pijany, rozczulający się do łez Popławski, żegna dywizje: 1. i 4. − idące do kraju na walkę z bandami […].

ANDRZEJ REY

Po trzydniowym odpoczynku w jakimś […] folwarku zbliżamy się znów do Berlina. Cały wschodni horyzont jest zawalony potężną chmurą dymu, a nocą wschodnie niebo jest czerwone od olbrzymiej łuny nad dopalającym się miastem. Rozkładamy biwak pod sosnami, na brzegu jeziora. Dalej są tereny sportowe, z białymi barierami, i dachy willi tonących w zieleni. O zmroku, po zupie z kotła, ogłoszono koniec wojny. Kto żyw strzela w powietrze na wiwat, huk jak podczas porządnej bitwy. Że im się jeszcze chce strzelać, ja mam już dosyć na resztę życia.

Z daleka od radosnej kanonady siedzę nad brzegiem jeziora […] i jak kiedyś w melinie „Stryja” w Rzeszowie próbuję zrozumieć nową sytuację.

Przeżyłem wojnę, sam nie bardzo wiem, jakim cudem. Dobrze, że już się skończyła ta nieludzka, wojenna

poniewierka, że nie będzie już walk, strachu, śmierci i tych niekończących się marszów na pokrwawionych nogach, z karabinem i wszami na grzbiecie. Nie poszedłem na zachód, teraz idę na wschód. Właściwie jest mi obojętne, dokąd idę, bylebym nie musiał teraz o niczym decydować. Bo tak na dobrą sprawę, to nie bardzo mam dokąd wracać z tej wojny. Nie mam już domu, nie wiem, co się stało z moimi bliskimi. Może − gdy ja tu wojowałem − oni zostali wywiezieni w głąb Azji.

Wiemy od ludzi przychodzących z uzupełnieniami, że w Polsce nadal rządzą, jak chcą, Sowieciarze, nadal stoi *Krasnaja Armia*, więzienia są pełne akowców, po lasach walczą jeszcze partyzanci, panują powszechna nędza i terror.

Sowieci zalali już pół Europy […]. Teraz nas trzymają, a przecież w Polsce każde dziecko wie, że jak oni raz coś zagarną, to nigdy nie oddadzą, chyba że zostaną do tego zmuszeni. Ja także wiem to od dawna, a jednak przyłożyłem rękę do ich zwycięstwa, a przez to przyczyniłem się do sowieckiego panowania nad nami.

Jest wieczór 8 maja 1945. Na czerwonym od łuny niebie co chwilę pęka czerwona rakieta. Wtedy wszystko dokoła staje w czerwonym migotliwym świetle, które powoli gaśnie i znów zapada coraz gęstszy mrok. Może trzeba było wybrać Sybir zamiast armii − gdy śledczy dał mi taki wybór? Ci polscy oficerowie z oflagu, spotkani pod Berlinem, potraktowali mnie jak zdrajcę. Ale który z nich był kiedyś postawiony przed takim wyborem? Nikt nie ma prawa sądzić mnie za to, że wolałem polec z bronią w ręku niż gnić w sowieckim łagrze.

Przecież także my, akowcy wcieleni do tego niby polskiego i niby ludowego wojska pod sowieckim dowództwem, także my walczyliśmy jednak przeciwko

Niemcom. Od początku do końca tej wojny wszyscy walczyliśmy „o wolność naszą i waszą”, gdzie i jak kto mógł, nawet wtedy, kiedy już nas spisano na straty. Po co było tyle zapału, tyle męki i ofiar, tyle nadziei i pewności zwycięstwa wbrew rzeczywistości? Przecież nie walczyliśmy „za sowietskuju rodinu i za Stalina”, ale w rezultacie właśnie na to wyszło. Nie umiem wyleźć z tej matni…

Przypisy

[1] Za: Edward Kospath-Pawłowski, *Kołobrzeg 8−18 marca 1945*, Pruszków 1997, s. 36.

[2] Prawd. chodzi o niemiecki Flatow, czyli polski Złotów.

[3] Rozlewiska i Zalewy Nadarzyckie w górnym odcinku rzeki Pilawy.

[4] Niemiecki motocykl marki Zündapp.

[5] Żołnierze Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, utworzonej przez generała Armii Czerwonej Andrieja A. Własowa, który po dostaniu się do niewoli podjął współpracę z Niemcami.

[6] Antoni Alster (1903−1968) − w PRL poseł oraz wiceminister spraw wewnętrznych i gospodarki komunalnej.

[7] Zakłady Celulozowo-Papiernicze we Włocławku.

[8] Związek Walki Młodych − komunistyczna organizacja młodzieżowa.

[9] Jewgienij Cukanow (1897−1966) − gen. Armii Czerwonej, służący w LWP; od czerwca 1944 zastępca dowódcy 1. AWP ds. tyłów.

[10] Później gen. Edward Braniewski (1908−1987) − od listopada 1944 zastępca szefa Wydziału Polityczno-Wychowawczego Kwatermistrzostwa 1. AWP.

[11] Obecnie Resko, w województwie zachodniopomorskim.

[12] Kapitan je śniadanie (ros.).
[13] *Zawtrak* (ros.) − śniadanie.
[14] A ty co… (ros.).
[15] Co za skandal, ja ciebie…(ros.).
[16] Obecnie Gryfice, w województwie zachodniopomorskim.
[17] Piotr Jaroszewicz (1909−1992) − później generał WP, członek Komitetu Centralnego PZPR (1948−1980), wicepremier (1952−1970) i premier (1970−1980).
[18] Prawd. Kamień Pomorski, niem. *Cammin in Pommern*.
[19] Prawd. Müncheberg.
[20] Od 1945 Stare Łysogórki − wieś w województwie zachodniopomorskim, w której znajduje się obecnie Muzeum Pamiątek 1. AWP.
[21] *Grossbauer* (niem.) − dosł. duży gospodarz, w znaczeniu: bogaty.
[22] Artyleryjskie przygotowanie (ros.).
[23] Wydział Polityczno-Wychowaczy.
[24] Prowizoryczna lampa naftowa, zrobiona często z puszki wypełnionej naftą, w której tkwił knot.
[25] Będziecie gazetki rozdawać, komunikaty czytać i… (ros.).
[26] Na pierwszej linii frontu (ros.).
[27] Dzielnica Berlina.
[28] Oranienburg (KL) − niemiecki obóz koncentracyjny (niem. *Konzentrationslager,* KL w centrum Oranienburga; działał w latach 1933−1936, potem Inspektorat Obozów Koncentracyjnych (rodzaj głównego zarządu), w marcu 1942 włączony do Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS.
[29] Sachsenhausen (KL) − niemiecki obóz koncentracyjny, działający od 1936, wyzwolony 22 kwietnia 1945; Sachsenhausen to obecnie dzielnica Oranienburga.

[30] Chodzi raczej o Sachsenhausen (KL).
[31] Absolucja − rozgrzeszenie.
[32] Gen. Stefan Rowecki, ps. „Grot” (1895−1944) − od 14 lutego 1942 do 30 czerwca 1943 komendant główny AK, zamordowany w Sachsenhausen.
[33] Tj. snajper.
[34] Bracie mój (ros.)
[35] Wesz się boi (ros.).
[36] No, Rein, ty zgłupiałeś (ros.)?
[37] Ależ to Niemcy, s…ny (ros.)!
[38] *Tiurma* (ros.) − więzienie.
[39] Pożyjemy, zobaczymy (ros.).
[40] Idź precz (ros.).
[41] Pot. niemiecki pistolet maszynowy MP 40, na bazie pistoletu MP 36 zaprojektowanego przez Hugona Schmeissera.
[42] O bohaterskiej walce polskich (ros.) żołnierzy (ukr.).
[43] My musimy zabić Germańca, s…na, w samym Berlinie (ros.).
[44] Ty, Rein, na pewno z AK [jesteś], bo ty w okularach (ros.).
[45] Dosł. poszedł w generały (ros.), czyli awansował na generała.
[46] Tj. przydzieloną wojsku, wojskową.
[47] Wymalować i wyrzucić (ros.).
[48] Posłuchaj, podchorąży… co to takiego (ukr.)?
[49] Kozacy idą (ros.).
[50] Cytat z *Ballady Alpuhara*, z poematu Adama Mickiewicza *Konrad Wallenrod*.
[51] Bardzo głośno (wł.)
[52] Oddziały rezerwy, złożone z żołnierzy powyżej 45 lat lub niepełnoletnich.
[53] *Szpion* (ros.) – szpieg.

[54] Do przodu (ros.).
[55] Na zachód (ros.).
[56] Ręce do góry (niem.)!
[57] Prawd. chodzi o wieś Dechtow.
[58] Universum Film AG (UFA) − niemiecka wytwórnia filmowa w Babelsbergu; działała w latach 1917-1990.
[59] Obóz pracy dla kobiet Potsdam−Babelsberg; filia Sachsenhausen (KL), ulokowana w studiach wytwórni filmowej.
[60] Tj. rosyjskiego.
[61] Chodzi o Sachsenhausen (KL).
[62] Okręg Poczdam (niem.).
[63] *Oberkommando der Wehrmacht* − naczelne dowództwo Wehrmachtu.
[64] Kapitulację podpisano w Reims.
[65] *Gulanie* (ros.) – zabawa.
[66] Wszyscy wychodzą, a w tym czasie wszystko rozje…y (ros.).
[67] 1. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.
[68] GAZ − samochód produkowany przez Fabrykę Samochodów w Niżnym Nowogrodzie (*Gorkowskij awtomobilnyj zawod*).
[69] Chor. pilot Jerzy Czownicki − 2. eskadra 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.
[70] Mjr Wasyl Gaszyn − pilot, od 8 maja 1945 dowódca 1. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.
[71] Niemiecki pistolet produkowany nieprzerwanie od 1929 roku.
[72] Z niem. *Kirche* − kościół.

Rozdział VIII

Potęga wyrośnie z nas…

Po wojnie

W ciągu całej wojny na szlaku bojowym od Lenino do Berlina poległo ogółem 25 648 żołnierzy Wojska Polskiego, 7330 zostało uznanych za zaginionych, zaś 23 062 odniosło rany. Do niewoli dostało się 1385 Polaków. Najwięcej ofiar kosztowały walki na Pomorzu i w operacji berlińskiej. Straty zadane Niemcom ocenia się na około 60 tys. zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

W dniu zakończenia wojny w maju 1945 roku w Wojsku Polskim służyło około 330 tys. żołnierzy, skoncentrowanych w dwóch armiach. Ogółem formacje te liczyły 23 dywizje, 16 brygad, około 100 samodzielnych pułków i batalionów oraz mniejszych jednostek. Żołnierze wyposażeni byli w ponad 4 tys. dział i moździerzy, około 500 czołgów i dział samobieżnych, około 450 samolotów bojowych oraz 12 600 różnego rodzaju pojazdów transportowych.

Po zakończeniu działań wojennych jednostki 2. Armii WP zostały niemal natychmiast wycofane z frontu i skierowane do kraju. Tam, skoncentrowane w rejonie Wrocławia, dostały zadanie obsadzenia obszarów przygranicznych nad Odrą i Nysą. Oddziały te stały się zalążkiem utworzonych we wrześniu 1945 roku, Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP). Żołnierze 1. Armii WP pozostali na terenie Niemiec jeszcze przez ponad miesiąc i pełnili służbę okupacyjną. Ich powrót do Polski odbywał się cyklicznie, w kilku etapach.

W kraju wojsko stało się głównym narzędziem wprowadzenia nowego systemu społeczno-politycznego. W języku ówczesnej propagandy okres ten nazwany został

„walkami z reakcyjnym podziemiem o utrwalenie władzy ludowej”. W rzeczywistości wyrażenie to oznaczało zwalczanie zbrojnych oddziałów, reprezentujących politycznych przeciwników nowej władzy, wywodzących się głównie z rozwiązanej Armii Krajowej i innych formacji, które nie akceptowały włączenia Polski w sowiecką strefę wpływów i pozostały lojalne wobec rządu RP w Londynie.

Pod koniec maja 1945 roku ze składu Wojska Polskiego wydzielono 4. Dywizję Piechoty, tworząc Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), którego zadaniem było zwalczanie: polskiego podziemia zbrojnego, partyzantów Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz resztek rozbitych niemieckich jednostek, tzw. Werwolfu. W walkach tych, oprócz jednostek KBW, brały również udział regularne oddziały wojska.

Żołnierze dodatkowo wykorzystywani byli do wysiedlania ludności niemieckiej z ziem włączonych do Polski oraz zabezpieczania akcji politycznych (referendum i wyborów do Sejmu). Wspierali również funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa (UB) i Milicji Obywatelskiej (MO) w rejonach, w których stacjonowały ich jednostki.

Te dodatkowe zadania były powodem licznych dezercji zarówno z szeregów regularnej armii, jak i z jednostek KBW. Część żołnierzy, nie godząc się z sytuacją, w której się znaleźli, przeszła do lasu, czyli do partyzantów z polskich formacji podziemnych. Wielu żołnierzy zmobilizowanych po wojnie, nie mających doświadczenia frontowego, nie wytrzymało napięcia związanego z ciągłym zagrożeniem dla siebie i swoich rodzin. Niektórzy przyjmowali postawę bierną lub starali się wydostać z szeregów KBW i wojska − najczęściej tłumacząc się złym stanem zdrowia.

Biorąc pod uwagę dużą liczbę takich zachowań, nieporozumieniem jest współczesna ocena powojennej

postawy żołnierzy Wojska Polskiego, postrzeganych jako część wielkiego aparatu represji, wymierzonego w przeciwników władzy ludowej. Wielu żołnierzy, również ci, którzy przeszli cały szlak wojenny, zginęło w licznych zasadzkach i atakach na posterunki, dokonywanych nie tylko przez formacje podziemne, ale również przez pospolite bandy − a tych nie brakowało w zniszczonym i opanowanym przez anarchię kraju.

Ważną, lecz często zapomnianą służbą Wojska Polskiego w okresie powojennym była akcja rozminowywania kraju, w której śmierć poniosło 627 żołnierzy, a 674 zostało rannych. W latach 1945−1956 polscy saperzy wykryli i zniszczyli prawie 15 mln min różnego typu i prawie 60 mln innych ładunków wybuchowych. Nie da się przecenić zasług wojska w odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych i zagospodarowywaniu tzw. Ziem Odzyskanych, to jest terenów na wschód od Odry i Nysy, włączonych do Polski w 1945 roku.

W Polsce Ludowej żołnierze walczący na froncie wschodnim byli wręcz hołubieni. Ich czyny bojowe sławiono w licznych publikacjach jako największe zwycięstwa w historii polskiego oręża. Z wielkim rozmachem celebrowano kolejne rocznice bitew i święta powstania jednostek. Kombatanci Ludowego Wojska Polskiego otrzymywali odznaczenia, odwiedzali szkoły, zakłady pracy, uczestniczyli w akademiach i konferencjach naukowych.

Kolejni przywódcy PRL zaprzęgali ich do swojej polityki, mimo że wielu weteranów nie podzielało głoszonych przez PZPR poglądów. W tamtym okresie dużą popularnością cieszyły się filmy sławiące czyny ludowego wojska. Niestety, te nakręcone z wielkim rozmachem batalistyczne dzieła, mimo najwyższego poziomu produkcji filmowej i gry aktorskiej, w większości przekłamywały prawdę o historii

i przyczyniły się do utrwalenia pokutujących do dzisiaj mitów.

Po zmianach ustrojowych w 1989 roku kombatanci, walczący pod Lenino i zdobywający Berlin, niemalże z dnia na dzień stracili uprzywilejowaną pozycję, o którą zresztą nigdy nie zabiegali. Nastąpiło wielkie przewartościowanie historii. Teraz to zwalczani i niedoceniani przez lata żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych czy późniejszych formacji antykomunistycznych, czyli tzw. żołnierze wyklęci, stali się głównymi bohaterami czasów II wojny światowej. I tylko im bieżąca polityka historyczna przyznawała rację, zaś kombatanci Ludowego Wojska Polskiego, którzy ponownie stali się narzędziem polityki, byli przedstawiani jako ludzie narzucający siłą nową władzę w Polsce. Charakterystyczne stało się zachwianie proporcji w ocenie zaangażowania żołnierzy na frontach.

Dzisiaj, próbując oceniać losy żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, należy pamiętać, że walcząc pod polskimi sztandarami, wierzyli, że przyniosą ojczyźnie wolność, a rodakom wyzwolenie. Ich historia jest przykładem tragicznego losu Polaków podczas ostatniej wojny, którzy wielokrotnie stawali przed trudnymi wyborami, nie zastanawiając się, jak zostaną ocenieni przez późniejsze pokolenia.

Różne drogi wiodły do Polski. Żołnierze, którzy nie zdążyli do armii Andersa, tak samo jak inni pragnęli wrócić do wolnej ojczyzny. Po ciężkich przeżyciach, po utracie domów i nierzadko całych rodzin, wyrwani z łagrów − poszli najkrótszą drogą do Polski, by walczyć i ginąć za ojczyznę. (mb)

RELACJE

Tuż po wojnie

JAN PROROK

Lato i jesień 1945 roku upłynęły mi pod znakiem akcji żniwnej i buraczanej. Nasze wysłużone wojskowe samochody, nie całkiem jeszcze rozgruchotane, były niekiedy jedynym środkiem transportowym w powiecie, w którym przyszło nam furmanić.

We wrześniu, podczas akcji buraczanej, jednemu z oficerów naszego batalionu, porucznikowi S., wydarzył się przykry w skutkach wypadek. W biały dzień na rynku w Krakowie nieznany sprawca uprowadził mu samochód marki Studebaker − gdy on wraz z kierowcą weszli na chwilę do sklepu.

Kierowca usłyszał start swojego wozu, wyskoczył na ulicę i pogonił za samochodem […]. Oficer zrobił tak samo. Biegnąc za swoim kierowcą i oddalającym się autem, wyciągnął z futerału pistolet, podniósł do góry i krzyczał: „Trzymać złodzieja!”. I wtedy doszło do nieporozumienia. Milicjant, widząc biegnącego i krzyczącego oficera oraz „uciekającego” żołnierza [kierowcę], wezwał tego drugiego do zatrzymania się, a gdy ten nie posłuchał, oddał do niego strzał, raniąc go w nogę. Żołnierza po chwili umieszczono w szpitalu, a porucznik S. po kilku dniach bezowocnych poszukiwań skradzionego pojazdu wrócił do Warszawy pociągiem − bez kierowcy i samochodu.

Reakcja dowódcy pułku na ustny raport nieszczęśnika była nadzwyczaj lapidarna: „Wydumaj i skaży naszoł”[1]. A po dłuższym namyśle dorzucił: „Daję wam samochód z szoferem, beczkę benzyny i po dwóch tygodniach proszę

się zameldować ze skradzioną *awtomaszynoj*. Jasne? Odmaszerować!”.

Co było robić?! Pojechał więc nieszczęsny oficer w rejon Krakowa, aby tam przy odrobinie szczęścia raczej buchnąć Ruskim studebakera, niż odnaleźć swoje auto. Szukaj wiatru w polu – robił, co mógł, ale nic mu się do rąk nie przykleiło.

W międzyczasie nadszedł do batalionu list od przebywającego w krakowskim szpitalu kierowcy, adresowany do porucznika S., który właśnie wyjechał. Ze względu na adnotację „pilny” zdecydowaliśmy się otworzyć go komisyjnie. Podejrzewaliśmy, że może zawierać cenną informację dotyczącą skradzionego samochodu. I nie pomyliliśmy się. Przezorny kierowca donosił, że w czasie niedzielnych odwiedzin podsłuchał rozmowę sąsiada z łóżka, czerwonoarmisty, z odwiedzającymi go kolegami. Któryś z żołnierzy powiedział, że: „Wania już ma samochód. Takiego samego studa, jakiego miał”. Bystry chłopak od razu skojarzył te słowa ze swoją tragedią i ustalił przez siostrę szpitalną numer jednostki wojskowej sąsiada, a potem co prędzej zameldował o wszystkim swojemu dowódcy, z myślą, że te informacje posłużą, być może, porucznikowi do odnalezienia jego skradzionego samochodu.

Pułkownik [Jemielian] Chriapin[2], dowódca pułku, ogromne, otyłe chłopisko, zaśmiał się chrobotliwie na zaskakującą wiadomość, że sprawcą kradzieży mógł być czerwonoarmista, jakiś dzielny jego rodak, z jednostki, której numer podał w liście poszkodowany kierowca. Nie było jak tego ukryć. Sięgnął więc po słuchawkę i po chwili całkiem poważnie powiedział: „Taka jednostka Armii Czerwonej stacjonuje w rejonie Trzebnicy i do odbioru samochodu, jeśli tam jest, wyznaczam was, poruczniku –

i wskazał na mnie. Ty – mówił – jesteś Polakiem, ale z Ruskimi gadać umiesz, więc może ci się uda. Gdybym wysłał majora Miroszniczenkę albo porucznika Gryszyna, to ich Ruscy wyśmieją i maszyny nie dadzą, bo jak może Ruski Ruskiemu odebrać polski samochód?”.

Chcąc nie chcąc, zaopatrzony w odpowiednie pełnomocnictwa i dodatkowego kierowcę (który znał skradziony samochód, gdyż jeździł nim wcześniej) pojechałem do Trzebnicy. Za miastem, w lesie, obok leśniczówki znalazłem właściwą jednostkę Armii Czerwonej i zostałem przyjęty przez uprzejmego majora, szefa sztabu tej jednostki. Udawał ogromnie zdziwionego, gdy mu wyjawiłem, co mnie sprowadza, i ubolewał, że na jego pododdział, stacjonujący daleko od Krakowa i Warszawy, padło podejrzenie przywłaszczenia polskiej *awtomaszyny*. Poczęstował mnie gościnnie herbatą i podał mi do wglądu księgę ewidencji pojazdów swojego pododdziału, z numerami silników i podwozi.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się takiego obrotu sprawy, takiego przyjęcia i takiej zdawkowej uprzejmości. Wiedziałem, że z tej przyczyny zabawię jakiś czas w sztabie. Toteż przed wejściem do leśniczówki nakazałem obu swoim kierowcom, aby się rozejrzeli w terenie i w razie wypatrzenia zguby sprawdzili jej stan techniczny i ilość benzyny w baku, a potem byli gotowi na mój znak wystartować z parkingu dwoma samochodami naraz.

Zgodnie z przewidywaniami − major po upływie kwadransa odprowadził mnie na ganek leśniczówki, uścisnął mi przyjaźnie dłoń i gestem ręki dał znak wartownikowi, aby nas przepuścił. Dalej wszystko potoczyło się na zwiększonych obrotach. Kierowca studebakera, którym przyjechaliśmy, grzał silnik, celowo gazując ponad miarę, aby drugi kierowca mógł niepostrzeżenie włączyć

stacyjkę w odnalezionym na tyłach parkingu naszym samochodzie. Major zadowolony, że pozbył się intruza, skrył się pospiesznie za drzwiami leśniczówki, a ja, widząc, że oba silniki pracują i szlaban otwarty, dałem znak do odjazdu.

Zadymiły rury obu samochodów, zawyły motory i… co koń wyskoczy, jeden za drugim wypadliśmy na drogę do Trzebnicy. Podniósł się za nami krzyk, najpierw z głębi parkingu, a później przy bramie i na drodze. Padły nawet strzały, ale byliśmy już tak daleko, że mogli sobie strzelać. Przypuszczalnie zorganizowano i pościg, który najprawdopodobniej poszedł w kierunku Krakowa lub Wrocławia. Natomiast my pędziliśmy na północny wschód, w kierunku Krotoszyna i Kalisza.

Daleko za Krotoszynem, już w bezpiecznej odległości, zjechaliśmy z drogi w las, aby ochłonąć z wrażenia i uzupełnić paliwo w samochodach. Wtedy dopiero, na postoju, uświadomiłem sobie, że wyrwaliśmy się z paszczy lwa. Gdyby tak szczęki się zacisnęły… Na szczęście tak się nie stało. Major takiej ewentualności nie przewidywał.

[…] Śmialiśmy się wszyscy trzej z udanej i tak finezyjnie przeprowadzonej akcji, w której najtrudniejsze zadanie przypadło zaproszonemu kierowcy. On to po drobnych wgnieceniach i zadraśnięciach – nie po numerach silnika i podwozia, bo te już zmieniono − musiał rozpoznać wśród innych swojego dawnego studebakera, a później uruchomić silnik i niepostrzeżenie, tuż za skrzynią pierwszego samochodu z polskimi znakami, przemknąć obok uzbrojonego wartownika. Sprostał zadaniu. […]

Śmiał się również pułkownik Chriapin, dowódca pułku, ogromne, otyłe chłopisko, gdy mu relacjonowałem w szczegółach przebieg akcji. Jego obwisły brzuch trząsł się

podczas śmiechu i szorował sprzączką o kant biurka, aż wióry leciały.

− Mołodiec, mołodiec z tiebia![3] – powtarzał bez końca. − Ukraść Ruskim samochód z parkingu w biały dzień, na oczach szefa sztabu i wartowników, to nie lada wyczyn!… Ha, ha, ha…

− Ja nie ukradłem, lecz odebrałem złodziejom swoją własność! – odrzekłem poirytowany. – A to wielka różnica.

− Da, da[4], masz rację – przyznał pułkownik, klepiąc mnie w ramię, jakby chciał zatuszować przejęzyczenie. − Dzięki twojej przemyślnej akcji odzyskaliśmy maszynę, bo legalną drogą nic byś nie wskórał… Daję ci dziesięć dni dodatkowego urlopu, tylko powiedz od kiedy?

− Proszę o cały mój zaległy urlop od 1 października, bo chciałbym pojechać na Kubań po rodzinę – odrzekłem.

− Ty masz rodzinę pod Kubaniem, w Sowietskim Sojuzie? – zdziwił się poważnie. – I chcesz ją przywieźć do Polski? Jeśli tak, to ja ci pomogę, bo bez *pisma*[5] nic nie wskórasz.

I dotrzymał słowa − 2 października miałem już w garści i paszport, i *pismo* w dwóch językach (po polsku i rosyjsku) do tamtejszych władz z prośbą o zezwolenie moim siostrom i kuzynce na wyjazd do Polski.

Uradowany, dziękowałem zwierzchnikowi za jedno i drugie, a on, wspominając mój wyczyn, kręcił głową i powtarzał: „Mołodiec, mołodiec”…

JÓZEF DUBIŃSKI

Po powrocie do jednostki, na miejsce postoju, już na drugi dzień załadowaliśmy się do wagonów towarowych i przez Kostrzyń i Poznań 6 czerwca dojechaliśmy do stacji końcowej – do Lublina. Tu, jeszcze przed opuszczeniem wagonów, doszła do nas wiadomość, że mamy się

zakwaterować na Majdanku, w barakach byłego obozu zagłady.

Na stacji dowiedziałem się od porucznika Borejzy, że na bramie Majdanka zabierają żołnierzom wszystko co posiadają zdobycznego. Sam mnie namówił, bym co się da posprzedawał i jeszcze przed wejściem na Majdanek dał mi swój rower, bym mu go sprzedał. Sprzedałem garnitur, aparat fotograficzny… Przedmioty te lublinianie kupowali od nas za pół darmo. Na stacji nagromadzono dużo różnych towarów, zwłaszcza pochodzenia amerykańskiego. Można było zaopatrzyć się w konserwy rybne i mięsne tuszonki.

Na Majdanku zakwaterowano nas na polu numer dziewięć[6], w baraku numer trzy. Mówiono nam, że jesteśmy na tym polu, z którego szło się do krematorium. W pierwszych dniach oglądaliśmy piece fabryki śmierci, tłuszcz z ciał w beczkach i kilkadziesiąt czaszek ludzkich wewnątrz krematorium. Później pokazano nam skład z ludzkimi włosami, obuwiem, łachmanami oraz komory śmierci, w których zabijano setki tysięcy ludzi − gazem wrzucanym z dachu do komór gazowych przez lufciki w suficie.

Kilka dni później okazało się, że w płocie okalającym obóz nie wyłączono napięcia elektrycznego, co było powodem, że przywiezione przez nas z frontu piękne i silne konie padały co parę dni rażone prądem. Żołnierzom zabroniono zbliżać się do siatki ogrodzeniowej. Po zakwaterowaniu w barakach spaliśmy na tych samych narach, na których spali wcześniej więźniowie obozu.

Już od pierwszych dni pobytu na Majdanku odbywaliśmy normalne ćwiczenia. Uczestniczyliśmy też w ostatniej pokazowej egzekucji za dezercję i stopniowo zaczęto nas włączać do zwalczanie podziemia − AK i WiN[7]. Na terenie Lubelszczyzny było tych organizacji dużo i były silnie

rozbudowane. Tu […] do tego podziemia należała prawie każda dziewczyna i chłopak. Często też naszą kompanię moździerzy włączano do akcji, na której czele stał Urząd Informacji i Propagandy, później Urząd Bezpieczeństwa. Naszą jednostkę moździerzową traktowano jako osłonę. Kilka wypraw mieliśmy na teren powiatów: Hrubieszów, Kraśnik, Krasnystaw, Włodawa, Lubartów i inne.

Szczególnie trudne przeżycie miałem w rejonie Kazimierza [Dolnego], w którym po nocnym marszu postawiono nas w dwuszeregu i oznajmiono, że od tej pory jesteśmy partyzantami. Jako partyzanci mamy pozrywać dystynkcje i odznaczenia, a nawet, jeśli ktoś ma – nałożyć ubranie cywilne.

Po przybyciu pod Kazimierz [Dolny] zakwaterowano nas w leśniczówce na skraju lasu, odległej od Kazimierza o trzy, cztery kilometry. Nas zakwaterowano w pomieszczeniach gospodarskich, sztab w domu mieszkalnym.

W pierwszym dniu naszego pobytu, przed południem, jeden z partyzantów połknął haczyk i sam wlazł w ręce porucznika naszej grupy, który akurat w tym czasie wyszedł na drogę w rejonie zgrupowania. Partyzant ten tłumaczył swoje przyjście w te strony zerwaniem z oddziałem warszawskim, a ponieważ dowiedział się o oddziale partyzanckim tu zgrupowanym, postanowił się do nas przyłączyć. Naturalnie musiał wykazać, że posiada broń, którą wręczył naszemu oficerowi do obejrzenia, a ten skorzystał z tego i zaprowadził go do sztabu, gdzie na pewno już w pierwszą noc zniechęcono go do partyzantki.

W drugim dniu tego zgrupowania − w godzinach popołudniowych otrzymaliśmy rozkaz wymarszu w pełnym rynsztunku. Po drodze kluczyliśmy dróżkami polnymi i leśnymi, aż przed zachodem słońca zajęliśmy stanowiska wokół wsi około czterech kilometrów na południe od

Kazimierza. W bardzo krótkim czasie dotarła do nas wiadomość, że z drugiej strony Wisły ma się przeprawić na naszą stronę duża grupa partyzantów. Przeżywałem bardzo ten okres oczekiwania, a zwłaszcza pierwszego starcia Polaka z Polakiem.

Moje stanowisko znajdowało się po prawej stronie wąwozu, wypełnionego wiejskimi zagrodami, nad samym brzegiem Wisły, na wysokim wzgórzu górującym nad wsią i wąwozem. Gdy zapadł zmrok, rzeczywiście z drugiego brzegu i leśnej kniei po drugiej stronie ruszyła duża łódź. W ciemnościach nie było możliwości zorientowania się, ile osób znajduje się w łodzi. Z naszego brzegu widać było na spokojnej tafli Wisły tylko dość duży obiekt, poruszany wiosłami i z każdą minutą zbliżający się do naszego brzegu. A gdy łódź już dopłynęła do nas, okazało się, że poza przewodnikiem znajdował się w niej tylko jeden partyzant, uzbrojony w automat sten[8] i granaty. Szybko zbliżyliśmy się do niego. Był to przystojny młody żołnierz, rocznik 1925, syn leśniczego. W pierwszej chwili uwierzył, że jesteśmy partyzantami. Zaczął się nam zwierzać z tajemnic służbowych, opowiadał o rozlokowaniu placówek partyzanckich. Mówił, że ich dowódcą jest kapitan bez ręki, dezerter z naszej armii. Szczera rozmowa trwała kilka minut, do chwili, gdy zaczęliśmy wychodzić z wąwozu i zdejmować nasze straże, rozmieszczone w terenie wokół tej wsi nad Wisłą. W czasie zwoływania grupy wydało się, że było w niej dużo nazwisk żydowskich i rosyjskich, co dało partyzantowi do myślenia. Ten młody akowiec szybko się zorientował, że znajduje się w pułapce. Poprosił, że musi wyjść za potrzebą, a przy okazji dał chyba znać [ludziom ze wsi], że znajduje się w matni. Musiał również dać polecenie, by natychmiast zawiadomili leśnych, że jest w pułapce i może nastąpić zdrada. Po przeprowadzeniu go

do naszego zgrupowania − zamilkł. Już więcej od niego nic nie usłyszeliśmy. W drodze powrotnej do leśniczówki, naszego stałego miejsca postoju, bardzo mu współczułem.

Droga powrotna wiodła przez zagajnik i pola. Były to chwile pełne grozy i niebezpieczeństwa, gdyż nasza grupa nie liczyła więcej niż 80, może 100 osób. Już nieraz przechodziło się takimi drogami, teraz jednak − po przekazaniu wieśniakom informacji przez tego partyzanta − wokół nas, na wszystkich kompleksach leśnych rozszalała się strzelanina czerwonych rakiet. Byliśmy zdezorientowani, przeżywaliśmy duży niepokój, myśląc, że mogą nas okrążyć i starać się odbić kolegę.

[…] Trzeciego lub czwartego dnia część naszych chłopców pojechała do Kazimierza na stację [kolejową]. Ja w tym dniu nie pojechałem i nie brałem udziału w akcji. W Kazimierzu obstawiono stację kolejki wąskotorowej i tu znów doszło do wpadki. Tym razem dały się złapać dwie bardzo ładne dziewczyny – łączniczki z Warszawy; jedna w wieku 18, druga 22 lat.

Jak po powrocie z tej wyprawy poinformował mnie kolega […], te panienki same wpadły w pułapkę. Dojeżdżając do stacji w Kazimierzu Dolnym, rozbroiły naszego kapitana, nie przeczuwając, że stacja jest obstawiona. Kiedy pociąg wjechał na stację, oficer poczuł się pewny siebie i wszczął alarm. Łączniczki zostały aresztowane i przyprowadzone do leśniczówki z dwoma teczkami bibuły podziemnej. Następnie przesłuchiwano je w leśniczówce.

Wieczorem ukryliśmy się pod oknem i podsłuchiwaliśmy, jak znęcano się nad nimi. Śledztwo przeprowadzały osoby z Urzędu Propagandy i Informacji oraz z Urzędu Bezpieczeństwa. Strasznie przeżywałem jęki tych biednych łączniczek. Po nocnym przesłuchaniu, rano wywieziono je do Lublina i zatrzymano w Zamku Lubelskim, który już

Niemcy wykorzystywali na straszne więzienie. Doszły do nas wiadomości, że było to więzienie przejściowe dla siedemnastu tysięcy ludzi, których w tamtych latach wywożono na wschód, do „przyjaciół”. Była to rzecz straszna dla takich jak ja, gdyż miałem to za sobą i wiedziałem, co ich czeka w kazamatach i obozach pracy.

Dzień ten był dla naszej kompanii bardzo tragiczny. Po powrocie ze stacji przyszedł do mnie kolega […], z którym byłem od Sielc nad Oką, opowiedział mi o przebiegu akcji i złapaniu […] łączniczek. Był w stanie upojenia alkoholowego. Przekazał mi około trzech kilogramów cukru i kilka kawałków skóry na zelówki. Powiedział, że mam to przechować, a później podzielimy się łupem. Nie pytałem, skąd to ma. Schowałem to, zgodnie z jego życzeniem, w słomie na naszym legowisku, po czym rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Ja wybrałem się do ogródka na świeże maliny. On dorwał rower wolnobieżkę, który zabrano jednemu z partyzantów na szosie przed naszym miejscem zakwaterowania. Tym rowerem wybrał się do miasta. Jechał szosą, która cały czas prowadziła z góry. Podchmielony, z pewnością nie opanował szybkości i wpadł do przydrożnego rowu na przedmieściu Kazimierza. Silne uderzenie o ziemię, a może o jakiś twardy przedmiot, spowodowało wybuch granatów, które każdy z nas nosił stale przy sobie: po osiem sztuk, w pełnej gotowości, z wkręconymi zapalnikami, wystarczyło tylko wyrwać zawleczkę i granat wybuchał. Mieliśmy również po czterysta sztuk amunicji do pepeszek. W czasie tej wywrotki jeden z granatów wybuchł, rozrywając go prawie na pół w okolicy brzucha.

O wypadku powiadomił nas mieszkaniec Kazimierza. Po otrzymaniu tej tragicznej informacji pojechaliśmy do miasteczka, ale niestety już tylko po ciało kolegi […].

Tragedia ta była niewątpliwie powodem tego, że już następnego dnia rankiem odmaszerowaliśmy do Lublina. Na drugi dzień po powrocie do Lublina odbył się uroczysty pogrzeb kolegi […], na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

Po paru dniach odpoczynku znów wyruszyliśmy, tym razem z całym pułkiem, w rejon powiatu Lubaczów, penetrując takie miejscowości, jak Stary Dzików, Nowy Dzików, Olszanów, Nowe Sioło, Oleszyce. Gdzieś do Bożego Narodzenia 1945 roku prawie na stałe przebywaliśmy w tym rejonie. Naszym zadaniem było wysiedlanie ludności ukraińskiej i dowożenie na stację kolejową, skąd wywożono ludzi do ZSRR. Mieliśmy również pilnować torów kolejowych, które nieustannie niszczyło podziemie ukraińskie, co miało zahamować, a nawet powstrzymać wywózkę do niechcianego sąsiada.

Okres ten niczym się nie różnił od działań na pierwszej linii frontu. Tu nigdy nie było wiadomo, z której strony może na nas napaść jakiś oddział UPA. […] W dzień wysiedlaliśmy całe wsie na stację do Oleszyc lub Lubaczowa, a w nocy pilnowaliśmy torów kolejowych.

Ludność ukraińska opuszczała swoje wsie i domostwa z dużą rozpaczą i ogromnym oporem. Niechętnie godziła się na przesiedlanie za Bug. Nam to wysiedlanie przychodziło z dużą trudnością, ponieważ parę lat wcześniej przeżywaliśmy to samo.

Zwłaszcza że ludzie czekali na stacji po kilka tygodni na podstawienie wagonów, którymi miano ich wywieźć do Kraju Rad, w nieznane. Większość mężczyzn, szczególnie młodych, decydowała się na ucieczkę do lasu lub do kryjówek znajdujących się tam pod ziemią, których w tych okolicach nie brakowało.

Prawie w każdym domu i zagrodzie pobudowane były takie misternie zamaskowane ukrycia; niejednokrotnie

miały swoje wyjścia w odległości kilkuset metrów od gospodarstwa. Były i takie, które otaczały tunelami podziemnymi całe wzgórze, z dobrze zamaskowanymi oknami strzelniczymi, magazynami broni i żywności oraz sprytnie zasłoniętymi tunelami wyjściowymi poza linią okrążenia.

Jesienią 1945 roku przekonaliśmy się o istnieniu takiego ukrycia na trasie Oleszyce−Jarosław. Podchodząc pod wzgórze, natknęliśmy się raz na silny ogień karabinów maszynowych. Ale gdy przez noc zgromadziliśmy artylerię i moździerze i rano poszliśmy do ataku, zdobyliśmy wzgórze bez boju, z pustymi już tunelami. Znaleźliśmy tam sześć beczek solonego mięsa i inne produkty żywnościowe, ale upowców nie było − wyszli pod naszymi liniami i ukryli się w leśnej kniei.

W tym okresie, na przełomie września i października, prawie miesiąc czasu chorowałem na czerwonkę, było to − o ile pamiętam − w Starym Dzikowie.

Po przegrupowaniu się naszej jednostki do rejonu Oleszyc, po akcji wysiedlania ludności pochodzenia ukraińskiego otrzymaliśmy następne zadanie, polegające na stałym pilnowaniu torów i mostów kolejowych, które były ciągle wysadzane i niszczone za pomocą niewypałów, bomb i pocisków artyleryjskich.

W akcji tej brałem udział z pięcioma kolegami od początku listopada 1945 roku. Nasza stała placówka znajdowała się na wzgórzu. Była to ziemianka wykopana w piasku, obok torów kolejowych, połączona rowem łącznikowym ze stanowiskiem z erkaemem, przy którym każdej nocy stało nas dwóch na warcie, gotowych do strzelania i obrony torów.

W dzień mieliśmy bardzo dobrą widoczność w obie strony na tory biegnące obok naszego stanowiska. W tym miejscu

las został wycięty jeszcze przez okupanta na szerokość około pięćdziesięciu metrów, po jednej i drugiej stronie torów. Natomiast noce były dla nas koszmarem. Stanowisko umieszczone na wzgórzu nie dawało żadnej widoczności nocą. Przy szumiącym wokół lesie nie było też nic słychać, a że zbliżała się jesień, to i noce stawały się coraz dłuższe i bardziej ponure.

Po wykopaniu na tym piaszczystym wzgórzu ziemianki i stanowiska dla erkaemu, musieliśmy ściany obudować deskami i okrąglakami ze świerków. Na miejscu przeznaczonym dla erkaemu wystawały wysoko ponad ziemię słupy wkopane w rogach. Ponieważ była już późna jesień i często padało, przyszedł mi pomysł, by wykorzystać te słupy do zbudowania zadaszenia nad stanowiskiem. Dach składał się ze skrzyni wypełnionej piachem, a dodatkowo − ze względu na jego wysokość od ziemi − przybiliśmy dookoła deski, tak że erkaem stał jak gdyby w okienkach strzelniczych.

Na placówce tej […] było nas sześciu. W nocy dwóch stało na warcie, a czterech spało w ziemiance. Jedną z takich […] nocy listopadowych wykorzystało sześciu upowców, którzy podeszli od strony torów na kilka metrów do naszego stanowiska z erkaemem. W tym czasie stał na warcie kapral […] i szeregowy […]. Upowcy z około siedmiu metrów rzucili granat, który trafił w deskę, rozerwał się i rzucił tych dwóch żołnierzy razem z erkaemem do środka. Na szczęście żadnemu nic się nie stało, mimo że w środku sufit pocięty był odłamkami.

Noc ta była dla nas sześciu wielkim koszmarem. Strzelaliśmy na ślepo, we wszystkich kierunkach, wykorzystując również amunicję z erkaemu, który został unieruchomiony z powodu zapiaszczenia. Jeszcze bardziej przerażał nas brak rakietnicy, gdyż nie mogliśmy oświetlić

terenu, by się zorientować, co się wokół dzieje. Banderowcy nie powtórzyli ataku. My musieliśmy oszczędzać amunicję, dlatego tylko od czasu do czasu puszczaliśmy po kilka pocisków z karabinów ręcznych i nasłuchiwaliśmy w nocnej ciszy szmerów i trzaskania suchych gałęzi. Trwało to do świtu. Nikt nam nie przyszedł z pomocą, choć nie dalej jak trzy kilometry od nas, w Oleszycach, stał sztab pułku i batalionu.

Gdy nastał świt dwóch naiwnych – ja i Staszek Żukowski − ruszyliśmy za upowcami w las […]; po śladach pozostawionych na śniegu, który poprószył nad ranem. Po przejściu kilku kilometrów doszliśmy do wioski położonej wśród lasów. Miejscowa ludność poinformowała nas, że przed kilkoma minutami przeszło przez ich wieś sześciu uzbrojonych ludzi z psem, minęli wieś i poszli w las.

Po tej informacji zawróciliśmy na placówkę, przy czym ustaliliśmy, że musimy o nocnym zajściu poinformować dowództwo. Tej samej nocy zaatakowano również placówkę chroniącą most na Sanie, w której zostało zabitych 30 naszych żołnierzy: cała załoga z jednej strony mostu kolejowego.

[…]

Po dwóch koszmarnych nocach nastąpiło częściowe uspokojenie i dalsza normalna służba na tej placówce. Trwało to gdzieś do 5 grudnia. W tym czasie nasypało już dużo śniegu i zima rozpoczęła się na całego, nie było sensu utrzymywać placówki.

Tym bardziej że dwa lub trzy dni po napaści na nasze stanowisko, wydarzył się nowy incydent w odległości kilku kilometrów. Grupa polskich żołnierzy natknęła się na kilkuosobową jednostkę UPA, która na widok wojska ukryła się w lasku, na wzgórzu wznoszącym się nad terenem do wysokości około 50−60 metrów. Prowadząc pościg,

żołnierze natrafili na silny opór ze strony UPA. Postanowili wycofać się i poinformować sztab o wydarzeniu. Dowódca zadecydował, żeby jeszcze tej nocy okrążyć wzgórze większą siłą, wzmocnioną artylerią i moździerzami, i rano zaatakować. Po ataku okazało się, że nie było ze strony UPA żadnego oporu, a po wejściu do bunkrów okalających wzgórze stwierdzono, że bunkry i tunele łącznikowe są puste. Cała jednostka podziemna UPA przeszła z tego wzgórza − tunelem łącznikowym pod naszymi oddziałami − do dużego kompleksu leśnego. W bunkrach zostały […] zapasy żywności.

Pod koniec pierwszej dekady grudnia zdjęto nas na odpoczynek do Oleszyc, w których w jednej ze szkół dochodziliśmy do siebie i świętowaliśmy Boże Narodzenie 1945 roku. W czasie wolnego, a zwłaszcza w Wigilię, po zjedzeniu kolacji trochę bardziej urozmaiconej niż normalnie, leżeliśmy na narach i wspominaliśmy naszych najbliższych, którzy wciąż znajdowali się na zesłaniu: w Azji, za Uralem, w Kazachstanie, gdzieś na terenach wschodnich lub na Wileńszczyźnie. Niejednemu łza zakręciła się w oku. […]

Zaraz po świętach, pod koniec grudnia wybrano z nas 30 osób i oznajmiono, że wyjeżdżamy do szkoły do Lublina. W Lublinie zakwaterowano nas w bloku numer pięć przy Alejach Racławickich.

Po jako takim zakwaterowaniu okazało się, że na razie nikt się nami nie interesuje. Ja skontaktowałem się z kolegami ze sztabu pułku […], którzy po froncie zostali pisarzami w pułku. Załatwiłem blankiet karty urlopowej, którą oni opieczętowali, wypisali i na której podrobili podpis dowódcy, Rosjanina. Po otrzymaniu takiej karty natychmiast wyruszyłem do ojca, na zachód, do miejscowości Łąka, koło Nysy.

W tamtych dniach podróż pociągiem była koszmarem. W Koluszkach trzeba było wchodzić do wagonu przez okno, a do stacji docelowej Otmuchów dojechałem po dwóch dobach − a karata urlopowa była wypisana na sześć dni. Z Otmuchowa dotarłem przez wał nad jeziorem do Meszna, na posterunek milicji, która zorganizowała mi dojazd furmanką do Łąki.

Ojciec przybył tu jesienią 1945 roku z Husiatyna […]. Krótki termin karty urlopowej pozwalał zostać u ojca tylko przez dwa dni i trzeba było wracać do jednostki. Tak się jednak nie stało − dzięki świadectwu lekarskiemu przedłużyłem pobyt o kolejne sześć dni.

Czas u ojca wykorzystałem na rozrywki, spotkania z dawnymi znajomymi, również repatriowanymi z naszych stron. Głównie jednak opowiadałem ojcu o tym, co się działo w czasie naszego rozstania: o dwudziestoletnim wyroku zesłania, o pracy i głodzie całej rodziny, o tym, jak dotarłem do wojska, i o pobycie na froncie oraz działalności po powrocie z frontu.

Ojciec opowiadał, jak go torturowano w więzieniu czortkowskim[9] na śledztwie i w czasie ewakuacji więzienia w głąb Rosji przed natarciem wojsk niemieckich, jak udało mu się uratować przed niechybną śmiercią z głodu lub od kuli enkawudzisty.

[…]

Po powrocie włączono mnie do jednego z plutonów szkolnych byłych podoficerów frontowych. Było pięć takich plutonów: nasze dwa, dla wojska z doświadczeniem frontowym, i trzy − ze świeżo zmobilizowanych żołnierzy. Wychodziliśmy na ćwiczenia w terenie, na poligon w pobliżu szosy na Kraśnik i stacji wąskotorowej, prowadzącej do cukrowni Lublin. Dla nas, frontowców, była to zabawa i rozrywka, gdyż najczęściej to myśmy prowadzili

wykłady dla tych świeżo upieczonych oficerów, a oni chętnie słuchali naszych relacji z frontu. Natomiast młodzi rekruci odbywali systematyczne ćwiczenia i szermierkę.

Denerwowały mnie częste wykłady polityczno-wychowawcze i przekonywanie nas, jaką to przyszłość przewidują dla nas w państwie demokracji i równouprawnienia. W świetlicy, w której prowadzono dla nas wykłady, wisiały portrety [Edwarda] Osóbki-Morawskiego, [Michała] Roli-Żymierskiego, później premiera Stanisława Mikołajczyka.

Wszystko to byłoby niczym, gdyby nie to, że co parę dni, zwłaszcza w porze nocnej, ogłaszano alarm, zaopatrywano nas w automaty pepeszki, po czterysta sztuk amunicji i po osiem granatów, ładowano na fordy kanady[10] i w teren − do zwalczania podziemia. Kilka razy w środku zimy, przy silnych mrozach, wywożono nas w różne rejony województwa lubelskiego.

Jednej nocy styczniowej, było to z soboty na niedzielę, wywieźli nas do powiatu hrubieszowskiego, kilka kilometrów od dość dużej wsi. Rozładowano nas w lesie i ustalono zadania operacyjne dla poszczególnych żołnierzy i grup. W tej wsi miały się odbywać dwa wesela. Liczono, że zrobienie w tym czasie obławy przyniesie rezultaty, że uda się schwytać większą liczbę żołnierzy AK. Mnie z kolegą […] przydzielono zrewidować pierwsze gospodarstwo na skraju wsi.

Noc ta była koszmarem dla tej wsi i dla nas samych. Silny mróz i śnieg po kolana, a tu okrążenie w środku nocy. […] Wszystko odbywało się przy zachowaniu tajemnicy, w zupełnej ciszy. Spokój mąciło huraganowe szczekanie psów w całej okolicy. Kolega i ja podeszliśmy do przydzielonego gospodarstwa i jak kiedyś do naszych okien pukali enkawudziści, tak teraz przyszło nam zrobić to samo.

W mieszkaniu słychać było jakąś szamotaninę, ale nikt nam nie otwierał. Gdy drzwi się wreszcie rozwarły, wyskoczył z nich młody mężczyzna, wypadł za stodołę i uciekł po śniegu w pola. Nie poszliśmy za nim, daliśmy mu możliwość ucieczki.

Weszliśmy do mieszkania, w którym zastaliśmy przerażone dwie kobiety, matkę i żonę. Trzęsły się ze strachu. Po zaświeceniu lampy karbidówki staraliśmy się je uspokoić. One z wdzięczności wyciągnęły butelkę wódki, chleb i masło. Wszystko skończyło się na ich przerażeniu i strachu. Nie wiem, co przeżywał ich syn i mąż, który przed chwilą uciekł z ciepłego łóżka w mroźną przestrzeń pól. Po posileniu się i wypiciu, opuściliśmy − biedne i przestraszone, ale już uspokojone, że im nic nie grozi − kobiety. Kiedy wychodziliśmy z mieszkania, zauważyłem na korytarzu sporą ilość banknotów papierowych, które uciekający musiał w pośpiechu źle włożyć do kieszeni i pogubił je w ciasnej sieni. Pozbieraliśmy te pieniądze i oddaliśmy kobietom.

Cała akcja spaliła na panewce, bo jak się okazało, nikogo w tę noc nie złapano. Wróciliśmy do Lublina bez NSZ (reakcyjnych bandytów − jak nam próbowano przy każdej okazji wmówić).

Osadnicy wojskowi z dywizji kościuszkowskiej na Ziemiach Odzyskanych (1945–1946). *Fot. Tadeusz Olszewski, zbiory Ośrodka KARTA, udostępniła Anna Olszewska*

Po pierwszym pobycie na urlopie trudno mi już było myśleć o kontynuowaniu służby wojskowej, a zwłaszcza o uczestniczeniu w takich akcjach, jak opisana wyżej. Tym bardziej że chodziłem z kolegami […] do ich matki, która mieszkała już w tym czasie w Lublinie, niedaleko koszar, i tam słuchaliśmy radia BBC w języku polskim. Z tych audycji wywnioskowaliśmy, że Zachód uderzy zbrojnie na naszych zaborców i będzie wojna ze Wschodem. Większość z nas tak myślała i na to czekała. […]

W pierwszych dniach lutego złożyłem podanie na ręce dowódcy szkoły o urlop od 4 lutego. I tu znów podobna sytuacja jak wcześniej. Pod wieczór, tuż przed moim odjazdem na urlop, do dowódcy szkoły przyjechało dwóch

majorów i jeden pułkownik Armii Czerwonej z prośbą o pomoc w uratowaniu ich kolumny wojskowej (47 samochodów), którą AK opanowała i zarekwirowała pod Puławami. W koszarach ogłoszono alarm. Byłem w rozterce, co mam robić − jechać na obławę czy starać się o wyjazd na urlop? Zgłosiłem się bezpośrednio do porucznika Rzepkowskiego i poprosiłem, żeby mi pozwolił pojechać na urlop, nie na akcję. Porucznik […] wyraził zgodę […]. 4 lutego wyjechałem na zachód, do ojca.

Na zachodzie odwiedzałem znajomych z lat przedwojennych, nawiązywałem kontakty koleżeńskie z nowymi osobami, a pewnego dnia zapoznałem przyszłą żonę. […] Po kilku […] spotkaniach z […] późniejszą moją żoną wróciłem do Lublina, do swojej jednostki.

W jednostce, a właściwie w szkole podoficerskiej, życie toczyło się normalnie. Chodziliśmy na ćwiczenia w niedalekiej odległości od koszar. Na zajęciach to nie nasi wykładowcy uczyli nas, ale my ich. Opowiadaliśmy im nasze historie, zwłaszcza przeżycia i zdarzenia frontowe. Podczas gdy młode roczniki ćwiczyły musztrę, myśmy opowiadali i odpoczywali. Wyjątek stanowiły wykłady polityczno-wychowawcze, na których próbowano z nas zrobić przyszłych komunistów. Potępiano wszystko z okresu przedwojennego. Nie mówiono tylko o dobrobycie kołchozowym, bo większość z nas dobrze znała ten dobrobyt. Obiecywano nam po 10 hektarów ziemi za darmo, chociaż każdy z dawnych zesłańców przewidywał, że dziś nam ziemię dadzą, a jutro założą kołchozy i odbiorą. Chwalono nowych przywódców Rządu Tymczasowego: [Władysława] Gomułkę, Osóbkę-Morawskiego, Żymierskiego i Mikołajczyka z rządu londyńskiego, który próbował nawiązać współpracę z rządem przywiezionym z Moskwy.

Nie podobało mi się to wszystko, a zwłaszcza te ciągłe alarmy w koszarach i wyjazdy na akcje. Właściwie liczyłem jeszcze na to, że dojdzie do wojny pomiędzy aliantami zachodnimi a Rosją. Po jakimś czasie, przy demobilizacji starszych roczników, postanowiłem poprosić dowódcę szkoły porucznika Rzepkowskiego o możliwość odejścia do cywila. […] Wyjaśnił mi, że nie może mnie zwolnić − ze względu na mój wiek i stopień plutonowego. Ostatecznie postawił warunek: najpierw zdegraduje mnie do stopnia starszego strzelca − tylko na takiej podstawie mógł mnie zdemobilizować. Wyraziłem zgodę na propozycję − głównie z powodu ciągłego angażowania naszej szkoły, a szczególnie mnie jako moździerzysty, do akcji przeciwko jednostkom polskiego podziemia, co godziło w moje przekonania i sumienie.

Po kilku dniach, 13 marca 1946 roku, ponadczterdziestoosobową grupę [żołnierzy] wysłano pociągiem Lublin−Bełżec. W Bełżcu przespaliśmy noc z 13 na 14 marca, gdyż pociąg dalej nie jechał; natomiast do Bełżca kursował tylko w porze dziennej − z obawy przed opanowaniem go w nocy przez podziemie. Nad ranem doszły do nas odgłosy walk w niedalekiej od Bełżca Lubyczy Królewskiej. Wyruszyliśmy w tym kierunku, ale dotarliśmy − jak nas poinformowano − za późno.

Stacjonował tam 8. pułk piechoty naszej dywizji, który w nocy został zaatakowany znienacka przez oddział UPA. Zginęło wtedy 14 polskich żołnierzy. W momencie naszego przyjścia leżeli oni na korytarzu miejscowej szkoły […].

Już po naszym przybyciu w rogu spalonego budynku znaleziono ciało jednego banderowca. Jak się okazało, pułk wcale nie był przygotowany na atak. Mało tego − upowcy znali hasło i pierwszego naszego żołnierza zakłuli nożem przed sztabem pułku. Po takich przeżyciach ruszyliśmy

w dalszą drogę do miejscowości Uhnów, gdzie stała nasza kompania i sztab batalionu. Tu nasi w dalszym ciągu wysiedlali Ukraińców na wschód.

Po dwudniowym pobycie w Uhnowie wydano nam karty demobilizacyjne. Żegnaliśmy się ze smutkiem i płaczem, byliśmy przecież kolegami wspólnej doli i niedoli. Każdy z nas ruszył w swoją stronę. […]

16 marca 1946 roku przez Lublin pojechałem na Ziemie Zachodnie, do Łąki koło Nysy, do której, jak już wspomniałem, przybył z Podola mój ojciec.

W Łące nic mnie nie trzymało. Czekałem na powrót pozostałej rodziny z Syberii. Nie zdejmując munduru, jeździłem i odwiedzałem rodzinę ze strony matki, która już w tym czasie zamieszkała na Ziemiach Odzyskanych, w rejonie Żar i Wąsosza.

Jednocześnie jeździłem do głównego PUR-u[11] w Łodzi, by dowiadywać się o przyjazdy transportów z repatriantami z Omska. Wreszcie w drugiej połowie lipca 1946 roku przybył drugi transport zesłańców z Omska, który został skierowany w rejon Drezdenka i właśnie tam, dziesięć kilometrów od Czaplinka, znalazłem nareszcie najbliższą rodzinę.

Następnego dnia załadowałem bliskich do pociągu w Czaplinku i przywiozłem do Łąki koło Nysy. I tu już rozpoczął się nowy rozdział mojego życia.

JÓZEF FRANCZAK

Po kapitulacji Niemiec przerzucono nasze wojsko do Chełma lubelskiego, a potem na odpoczynek do Krasnegostawu. Po dwóch lub trzech miesiącach mój batalion skierowany został do walki z Ukraińską Powstańczą Armią na Rzeszowszczyźnie. Działaliśmy tam aż do demobilizacji w 1946 roku. Napatrzyłem się na różne

okropności, o których nie tylko mówić, ale nawet wspominać się nie chce.

Po zdemobilizowaniu proponowano wielu z nas szkołę oficerską, ale większość kolegów, podobnie jak ja, zrezygnowała z tego „zaszczytu”, chcąc wrócić jak najszybciej do cywila. Razem z bratem, także żołnierzem 1. Dywizji, pojechaliśmy do Szczecina, gdzie już znajdowali się rodzice i siostra, repatriowani z Krasnojarska. Ożeniłem się wkrótce, z dziewczyną poznaną jeszcze pod Warszawą, i przeniosłem się do Krakowa, gdzie podjąłem pracę w Krakowskim Przedsiębiorstwie Budowy Pieców Przemysłowych.

W czasach stalinowskich naciskano na mnie, żebym wstąpił do partii. Roztaczano przede mną miraże świetlanej przyszłości: „Zrobisz karierę, wszystko będziesz miał − ty, z twoją przeszłością kościuszkowca, żołnierza spod Lenino”. Odpowiadałem: „Nie dam rady, nie mogę”. W 1950 roku na otwartym zebraniu partyjnym palnąłem im: „Byłem tam, przeżyłem, nie podobało mi się. Nie wierzycie, to dajcie przepustkę, pojedziemy razem, pokażę wam, przekonacie się sami!”. Jak na tamte czasy i tak powiedziałem za dużo, ale odtąd zostawili mnie w spokoju.

Przypisy

[1] Wymyśl coś, a potem chcę usłyszeć, że znalazłeś (ros.).

[2] Płk inż. Jemielian Chriapin − od grudnia 1944 do końca wojny dowódca 1. pułku samochodowego Wojska Polskiego.

[3] Zuch chłopak z ciebie (ros.).

[4] Tak, tak (ros.).

[5] *Pismo* (ros.) − list

[6] Błąd autora, w obozie koncentracyjnym na Majdanku nie było dziewiątego pola. Prawdopodobnie chodzi o pole

piąte, w sąsiedztwie krematorium.
[7] Wolność i Niezawisłość − organizacja antykomunistyczna.
[8] Brytyjski pistolet maszynowy.
[9] Więzienie NKWD w Czortkowie (Ukraina, obwód tarnopolski).
[10] Ford Canada − amerykański samochód ciężarowy.
[11] Państwowy Urząd Repatriacyjny.

KALENDARIUM

1 września 1939 – agresja Trzeciej Rzeszy na Polskę
17 września 1939 – agresja ZSRR na Polskę
29 listopada 1939 – na mocy dekretu wydanego przez władze radzieckie wszystkim mieszkańcom ziem II RP wcielonych w 1939 roku do ZSRR zostaje narzucone obywatelstwo radzieckie
9−10 lutego 1940 – pierwsza deportacja obywateli polskich w głąb ZSRR
5 marca 1940 – wydanie decyzji o rozstrzelaniu polskich żołnierzy z sowieckich obozów jenieckich i więzień NKWD, na polecenie Józefa Stalina; w wyniku zbrodni katyńskiej zamordowano 21 857 obywateli polskich, w tym 9631 oficerów Wojska Polskiego i służb mundurowych
12−13 kwietnia 1940 – druga deportacja w głąb ZSRR
28−29 czerwca 1940 – trzecia deportacja w głąb ZSRR
maj–czerwiec 1941 – czwarta deportacja w głąb ZSRR
22 czerwca 1941 – początek wojny niemiecko-radzieckiej
30 lipca 1941 – podpisanie w Londynie polsko-radzieckiego układu (układ Sikorski−Majski), przywracającego wzajemne stosunki dyplomatyczne
14 sierpnia 1941 – podpisanie w Moskwie polsko-radzieckiej umowy wojskowej, przewidującej utworzenie na terenie ZSRR Armii Polskiej, złożonej z obywateli polskich zesłanych oraz przetrzymywanych w radzieckich obozach i więzieniach
30 listopada 1941 – wizyta Naczelnego Wodza i premiera RP gen. Władysława Sikorskiego w Moskwie i jego spotkanie z Józefem Stalinem; decyzja o przeprowadzeniu Armii Polskiej do Uzbekistanu, Kirgistanu i Kazachstanu
5 stycznia 1942 – utworzenie w Warszawie Polskiej Partii Robotniczej (PPR)

marzec–listopad 1942 – ewakuacja Armii Polskiej ze Związku Radzieckiego do Iranu
1 marca 1943 – utworzenie w ZSRR Związku Patriotów Polskich pod przewodnictwem Wandy Wasilewskiej
12 kwietnia 1943 – odkrycie przez Niemców w lesie katyńskim masowych grobów pomordowanych oficerów polskich; wskazanie władz radzieckich jako sprawców mordu
25 kwietnia 1943 – zerwanie przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z rządem RP w Londynie
7 maja 1943 – podjęcie uchwały przez Komitet Obrony Związku Radzieckiego o utworzeniu 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki na terytorium ZSRR
10 sierpnia 1943 – podjęcie decyzji przez Józefa Stalina o sformowaniu 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych (1. K PSZ) w ZSRR
19 sierpnia 1943 – utworzenie 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater
1 września 1943 – wysłanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki na front
12−13 października 1943 – bitwa pod Lenino, chrzest bojowy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki
28 listopada–1 grudnia 1943 – podczas konferencji w Teheranie przywódcy trzech mocarstw podejmują decyzję o nowych granicach Polski
31 grudnia 1943–1 stycznia 1944 – w Warszawie PPR powołuje Krajową Radę Narodową (KRN)
1 stycznia 1944 – przekształcenie komunistycznych oddziałów Gwardii Ludowej (GL) w Armię Ludową (AL), działającą pod dowództwem gen. Michała Roli-Żymierskiego.
3−4 stycznia 1944 – Armia Czerwona przekracza przedwojenną granicę polsko-radziecką

luty 1944 – przeniesienie ośrodka formowania jednostek polskich z Sielc nad Oką do miasta Sumy w Ukraińskiej SRR
16 marca 1944 – przekształcenie, decyzją Stalina, 1. K PSZ w Armię Polską w ZSRR
maj 1944 – utworzenie Polskiego Sztabu Partyzanckiego (PSzP), którego zadaniem jest koordynacja działań komunistycznych oddziałów partyzanckich w kraju i zwalczanie polskiego podziemia, głównie Armii Krajowej (AK)
18 lipca 1944 – początek operacji brzesko−lubelskiej Armii Czerwonej; nad Turią i Bugiem do walki zostaje wprowadzona polska artyleria
21 lipca 1944 – utworzenie w Moskwie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN)
21 lipca 1944 – połączenie, dekretem KRN, zorganizowanej w Polsce Armii Ludowej z utworzoną w ZSRR Armią Polską w jednolitą całość pod nazwą Wojsko Polskie; Naczelne Dowództwo WP obejmuje gen. Michał Rola-Żymierski
22 lipca 1944 – ogłoszenie w Lublinie manifestu, uznającego PKWN za jedyną legalną władzę w Polsce
22−23 lipca 1944 – oddziały 1. Armii WP przekraczają rzekę Bug i kierują się na Chełm i Lublin
26 lipca 1944 – uroczysta defilada żołnierzy 1. Armii Polskiej w Lublinie
28 lipca–6 sierpnia 1944 – walki 1. Armii Polskiej pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga o przyczółki pod Dęblinem i Puławami
29 lipca 1944 – pierwszy rozkaz Naczelnego Dowódcy WP nakazujący używanie terminu Wojsko Polskie − 1. Armia Polska zostaje przemianowana na 1. Armię WP (1. AWP)
1 sierpnia 1944 – wybuch powstania warszawskiego

9 sierpnia–12 września 1944 – walki 1. AWP na przyczółku warecko-magnuszewskim
9−16 sierpnia 1944 – bitwa pod Studziankami, w której wzięły udział czołgi polskiej 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte
15 sierpnia 1944 – wydanie przez PKWN pierwszego dekretu o mobilizacji poborowych do WP
20 sierpnia 1944 – początek formowania 2. Armii WP (2. AWP)
10−15 września 1944 – walki żołnierzy 1. AWP o warszawską Pragę
16−23 września 1944 – desant wydzielonych oddziałów 1. AWP na przyczółki warszawskie
30 września 1944 – odwołanie gen. Zygmunta Berlinga ze stanowiska dowódcy 1. AWP, na osobiste polecenie Józefa Stalina
3 października 1944 – podpisanie aktu kapitulacji powstania warszawskiego
4 października 1944 – mianowanie radzieckiego generała Władysława Korczyca dowódcą 1. AWP
10−29 października 1944 – walki żołnierzy 1. AWP o Jabłonnę
15 listopada 1944 – rozkaz Naczelnego Dowódcy WP w sprawie zaprzestania organizacji 3. Armii WP; rozkazem tym ostatecznie zaniechano planów utworzenia Frontu WP
28 grudnia 1944 – mianowanie gen. Karola Świerczewskiego dowódcą 2. AWP, zaś gen. Stanisława Popławskiego − 1. AWP
12 stycznia 1945 – początek ofensywy wiślańsko-odrzańskiej Armii Czerwonej
17 stycznia 1945 – zajęcie przez jednostki 1. AWP ruin Warszawy
19 stycznia 1945 – rozwiązanie struktur AK

31 stycznia–10 lutego 1945 – udział 1. AWP w przełamaniu Wału Pomorskiego
4–11 lutego 1945 – podczas konferencji jałtańskiej Polska ostatecznie utraciła wschodnie tereny II RP na rzecz ZSRR
1 marca–7 kwietnia 1945 – udział żołnierzy 1. AWP w operacji pomorskiej
4–18 marca 1945 – bitwa o Kołobrzeg
11 marca–7 kwietnia 1945 – walki 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte w rejonie Gdyni i Gdańska
16 kwietnia–8 maja 1945 – udział WP w operacji berlińskiej; udział żołnierzy 1. AWP w operacji brandenburskiej
16 kwietnia–4 maja 1945 – walki żołnierzy 2 Armii WP podczas operacji łużyckiej
21–29 kwietnia 1945 – bitwa pod Budziszynem z udziałem 2. AWP
2 maja 1945 – kapitulacja Berlina, stolicy Trzeciej Rzeszy
7–11 maja – udział jednostek 2. AWP w operacji praskiej
8 maja 1945 – kapitulacja Trzeciej Rzeszy

BIOGRAMY AUTORÓW RELACJI

Bolesław Dańko (ur. 1925 w osadzie wojskowej Zababie na Polesiu, zm. 1997). We wrześniu 1939 jego ojca aresztowało NKWD. W lutym 1940 roku Bolesław Dańko, z matką i siostrami, został deportowany z Zababia w okolice Archangielska, gdzie pracował przy spławie drewna, a później jako tragarz na statku. W 1942 roku próbował się zaciągnąć do armii gen. Władysława Andersa, ale nie dotarł na czas do punktu werbunkowego. W styczniu 1943 roku został powołany do Armii Czerwonej, ukończył trzymiesięczne szkolenie, ale tuż przed wyjazdem na front odesłano go do domu. W maju 1943 roku, na wieść o formowaniu się kolejnych oddziałów polskiego wojska, zgłosił się do punktu werbunkowego, skąd trafił do Sielc nad Oką i został przydzielony do 3. pułku piechoty. Brał udział w bitwie pod Lenino. Wiosną 1944 roku znalazł się w grupie podoficerów stanowiących ochronę osobistą gen. Zygmunta Berlinga. Po odwołaniu gen. Berlinga ze stanowiska dowódcy 1. Armii WP trafił razem z nim do Lublina. Pod koniec grudnia, dzięki dokumentom wystawionym przez gen. Berlinga, wyjechał do ZSRR, by sprowadzić do kraju matkę i siostry. W marcu 1945 rozpoczął naukę w Oficerskiej Szkole Piechoty Nr 3 w Inowrocławiu, we wrześniu został promowany na stopień podporucznika. W październiku 1945 roku dostał przydział do 7. Lubelskiego Oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP), skąd wkrótce został skierowany do Włodawy, gdzie brał udział w wysiedlaniu ludności ukraińskiej i w walkach z oddziałami podziemia. W listopadzie 1946 roku został komendantem strażnicy w Bełzie (pow. hrubieszowski). Od 1948 roku służył w oddziale WOP w Szczecinie. W 1952 roku odszedł z wojska. Autor dwóch książek: *Nie zdążyli do*

Andersa (Berlingowcy) (wyd. 1992) oraz *Bez układów* (wyd. 1993).

(Wybór na podstawie wspomnień z Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA, nadesłanych w marcu 1989).

Józef Dubiński (ur. 1926 we wsi Szydłowce nad rzeką Zbrucz w woj. tarnopolskim). W latach 30. rodzina przeprowadziła się do kolonii Trojanówka. Ojciec Józefa Dubińskiego, zagrożony aresztowaniem przez NKWD, ukrywał się od początku 1940 roku. Aresztowany w marcu 1941, trafił do więzienia w Czortkowie, następnie Charkowie. W maju 1941 roku Józef Dubiński wraz z matką i dwojgiem rodzeństwa został deportowany do wsi Chochłowo w obwodzie omskim, gdzie pracował na budowie, w mleczarni i jako bednarz. W listopadzie 1943 roku trafił do Sielc nad Oką i został przydzielony do kompanii moździerzy 7. pułku piechoty 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta. Od kwietnia do lipca 1944 roku stacjonował w Przebrażu koło Kiwerc. W sierpniu 1944 roku brał udział w bitwie o przyczółek warecko-magnuszewski, we wrześniu 1944 roku wraz z oddziałem kwaterował na Saskiej Kępie. Następnie brał udział w walkach o Wał Pomorski, w zdobywaniu Kołobrzegu, forsowaniu Odry, szlak bojowy skończył nad Łabą. Po powrocie do kraju został skierowany do Lublina, do szkoły podoficerskiej. Brał udział w akcjach zbrojnych przeciwko UPA i antykomunistycznemu podziemiu, uczestniczył w wysiedlaniu ludności ukraińskiej z okolic Tomaszowa Lubelskiego. Zdemobilizowany na własną prośbę, w 1946 roku zamieszkał w Łące koło Nysy, gdzie prowadził gospodarstwo.

(Wybór na podstawie wspomnień z Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA spisanych w większości w 1964 roku,

a ukończonych w 1992 roku).

Józef Franczak (ur. około 1924). W lutym 1940 roku został deportowany z rodzicami i rodzeństwem z miejscowości Kamionka Wielka (woj. stanisławowskie) do Krasnojarskiego Kraju, gdzie pracował przy wyrębie lasów. W 1942 roku próbował zaciągnąć się do armii gen. Władysława Andersa, ale nie zdążył dotrzeć do punktu werbunkowego. Po powrocie do miejsca zesłania został aresztowany za samowolne opuszczenie stanowiska pracy i skazany na pół roku więzienia. Po odbyciu kary wcielono go przymusowo do Armii Czerwonej, z której po krótkim czasie został zwolniony. W maju 1943 roku trafił do obozu w Sielcach nad Oką. Brał udział w bitwie pod Lenino, desancie na Czerniaków (w nocy z 14 na 15 września 1944 roku), walkach o Kołobrzeg, forsowaniu Odry. Po zakończeniu wojny jego oddział został przerzucony do walk z UPA na terenie Rzeszowszczyzny. W 1946 roku został zdemobilizowany. Zamieszkał w Szczecinie, a potem w Krakowie.

(Tekst wspomnień przygotowany na podstawie rozmów przeprowadzonych i spisanych przez Danutę Suchorowską w 1990 roku w Krakowie. Pierwodruk w „Karcie” nr 7 w 1992 roku).

Stanisława Kubiak (ur. 1920 w Żółkwi, zm. 2000). W 1939 roku zdała maturę. Po wybuchu wojny pracowała jako sanitariuszka w szpitalu polowym w Żółkwi. W kwietniu 1940 roku, za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego, razem z dwoma braćmi (rodzicie zmarli jeszcze przed wojną) została deportowana do Kazachskiej SRR, gdzie pracowała fizycznie w kołchozie i sowchozie. Młodszy brat zmarł w Kazachstanie w 1942 roku, starszy wstąpił do armii

gen. Władysława Andersa. W maju 1943 roku jako ochotniczka trafiła do Sielc nad Oką, w lipcu skończyła kurs oficerów oświatowych i objęła stanowisko zastępcy dowódcy (od sierpnia jako chorąży) 1. kompanii fizylierek Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Następnie trafiła do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu. Była tam zastępcą dowódcy do spraw polityczno-oświatowych, a w lutym 1944 roku awansowała na sekretarza polityczno-wychowawczego. W maju została przeniesiona na stanowisko instruktora polityczno-wychowawczego 3. Brygady Artylerii Haubic. Na przełomie lipca i sierpnia brała udział w walkach pod Puławami, a w sierpniu na przyczółku magnuszewsko-wareckim, gdzie 8 sierpnia 1944 roku została ranna. Po wyjściu ze szpitala służyła w kancelarii ogólnej Sztabu Głównego WP. W listopadzie awansowała na podporucznika. W marcu 1945 roku wróciła do 3. Brygady Artylerii Haubic na stanowisko zastępcy dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych. Brała udział w walkach o Kołobrzeg i w operacji berlińskiej. We wrześniu została zdemobilizowana. W 1948 roku wyszła za mąż za pułkownika (potem gen. bryg.) Jana Drzewieckiego. Autorka książki *Szłyśmy znad Oki* (wyd. 1965) i współscenarzystka filmu *Rzeczpospolita babska* (1969).

(Od 1 września 1939 roku Stanisława Kubiak prowadziła wojenny dziennik; wyboru dokonano z fragmentów dziennika zachowanych w postaci maszynopisu w kolekcji Józefa Margulesa w Centralnej Bibliotece Wojskowej. Biogram opracowany na podstawie noty zamieszczonej w książce Marii Wójcik, *Kobiety – żołnierze 1 i 2 Armii WP. Biografie i wspomnienia*, Lublin 2010).

Roman Marchwicki (ur. 1924 w Grodnie, zm. 2012). Ojciec – starszy ogniomistrz 29. pułku artylerii lekkiej − został w 1940 roku aresztowany przez NKWD i zaginął bez wieści. W kwietniu 1940 roku Roman Marchwicki z mamą, babcią i rodzeństwem został deportowany z Grodna do Kazachskiej SRR, gdzie pracował jako robotnik rolny w kołchozie Czerwone Pole, a następnie w kopalni złota w Żołymbecie. Jesienią 1942 roku razem z bratem podjął decyzję o wstąpieniu do armii gen. Władysława Andersa. Tuż przed dotarciem do punktu werbunkowego zmienił zdanie i zdecydował się wrócić do miejsca deportacji. Rozstał się wtedy z bratem, któremu udało się zaciągnąć do armii Andersa. W czerwcu 1943 roku trafił do Sielc nad Oką, ukończył Kurs Szkoły Podchorążych i został dowódcą plutonu w 3. kompanii strzeleckiej 3. pułku piechoty. Jako dowódca plutonu brał udział w bitwie pod Lenino. Od stycznia do czerwca 1944 roku uczestniczył w Kursie Chemicznym przy Wyższej Oficerskiej Szkole Technicznej Wojsk Chemicznych. W kwietniu 1945 został dowódcą kompanii chemicznej w 1. Korpusie Pancernym 2. Armii WP. Po wojnie służył zawodowo w Wojsku Polskim. Autor książki *Strzępy wspomnień z Grodna, zesłania i wojny* (wyd. 2004).

(Wybór na podstawie wspomnień z Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA, spisanych w latach 80.).

Jan Prorok (ur. 1920). W lutym 1940 roku został deportowany z rodzicami, dziadkiem, siostrami i kuzynką z Woli Lubomirskiej (woj. stanisławowskie) do Komi ASRR, gdzie pracował przy wyrębie lasów (w 1942 rodzina samowolnie opuściła miejsce pracy i przeniosła się do pobliskiego kołchozu). W czerwcu 1943 roku zgłosił się do obozu w Sielcach nad Oką, gdzie został wyznaczony na dowódcę drużyny 1. kompanii fizylierów 3. pułku piechoty.

W lutym 1944 roku skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu, we wrześniu awansował na podporucznika, po czym odbył jeszcze miesięczny kurs upolityczniający. Pod koniec października 1944 roku trafił do Lublina, gdzie dostał przydział do 1. pułku samochodowego. Służył w okolicach Białegostoku, następnie Warszawy, a także wzdłuż szlaku bojowego w rejonie Piły, Kołobrzegu i Berlina. W październiku 1945 roku, dzięki dokumentom od dowódcy, wyjechał do ZSRR, by sprowadzić do Polski siostry i kuzynkę (dziadek i rodzice już nie żyli). Po powrocie do Polski stacjonował z oddziałem w Brwinowie, następnie w Stawiskach. Od 1946 roku mieszkał w Gdańsku.

(Wybór ze wspomnień spisanych w 1990 roku na podstawie zapisków prowadzonych od deportacji w lutym 1940 do maja 1943).

Andrzej Rey (ur. 1924 w Psarach, woj. stanisławowskie, zm. 2004). W 1938 roku wstąpił do Korpusu Kadetów we Lwowie. We wrześniu 1939 roku, po wkroczeniu Armii Czerwonej, dzięki pomocy Ukraińców z miejscowego „wiejskiego komitetu”, razem z rodziną przedostał się do Lwowa, a następnie na obszar okupacji niemieckiej, gdzie zamieszkał w majątku stryja w Przecławiu (k. Mielca). W lipcu 1942 roku zdał tajną maturę w Krakowie i jesienią zapisał się na Wydział Architektury tajnej Politechniki Warszawskiej. Pod koniec 1942 roku jako były kadet został przyjęty na kurs podchorążych Armii Krajowej, ale latem 1943 roku musiał uciekać z Warszawy. Po powrocie do Przecławia został zwerbowany do wywiadu AK (ps. „Dehowa”) do obserwacji instalowania i funkcjonowania wyrzutni rakiet V2 w pobliżu wsi Blizna w lasach na prawym brzegu Wisłoki. W marcu 1944 roku awansował na

podchorążego i w kwietniu został przydzielony do grupy dyspozycyjnej Kedywu przy Komendzie Podokręgu Rzeszów. Mieszkając i pracując w Sędziszowie Małopolskim (Obwód AK Dębica), uczestniczył w akcjach dywersyjnych („robotach kolejowych”) na linii PKP Kraków–Lwów oraz w obstawie akcji odwetowych przeciw gestapowcom w Rzeszowie. W lipcu 1944 roku walczył w grupie operacyjnej Kedywu działającej na tyłach niemieckich wojsk w rejonie Przemyśla. Podczas akcji „Burza” dołączył do oddziału Wojskowej Służby Ochrony Powstania w Sędziszowie. Po zdobyciu miasta przez Sowietów jako ranny został odesłany za linię frontu. W połowie sierpnia zgłosił się ponownie do obwodu Mielec AK, w którym − po chwilowym ujawnieniu − powrócono do działań konspiracyjnych. Został przydzielony do sztabu (ps. „Majski”) i mianowany drugim adiutantem komendanta Obwodu Mielec, kpt. „Sosny”, oraz zastępcą komendanta placówki Gawłuszowice, por. „Rolnika”. We wrześniu wskutek kolejnych aresztowań i reorganizacji sztabu przejął (po ppor. „Ołówku”) funkcję adiutanta, którą pełnił aż do aresztowania kpt. „Sosny” na początku listopada. Jesienią 1944 roku został aresztowany przez NKWD. Mając do wyboru wstąpienie do armii gen. Zygmunta Berlinga lub wywiezienie w głąb ZSRR, zdecydował się na wojsko. Odbył kurs podoficerski, który ukończył w stopniu plutonowego piechoty. Dowodził plutonem w 9. pułku 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta. Na front trafił w okolicach Piły, brał udział w: walkach o Wał Pomorski, zdobywaniu Kołobrzegu, forsowaniu Odry, walkach na przedpolach Berlina. Wkrótce po wojnie uzyskał warunkowe zwolnienie z wojska − jego jednostka została skierowana do walk z partyzantką na terenie południowej Lubelszczyzny –

i kontynuował rozpoczęte podczas okupacji studia architektoniczne.

(Wybór wspomnień z pierwodruku publikowanego w „Karcie” nr 28 w 1999 roku).

Daniel Rudnicki (ur. 1919 w Warszawie, zm. 1977). Przed wojną przez rok studiował chemię na uniwersytecie w Strasburgu. W kwietniu 1940 roku złapany został na próbie nielegalnego przekroczenia granicy między Generalną Gubernią a Zachodnią Białoruską SRR i wysłany do obozu pracy w Komi ASRR. We wrześniu 1941 roku podjął pracę przy spławie drewna w pobliżu Syktywkaru. W maju 1943 roku zgłosił się do obozu w Sielcach nad Oką i został przydzielony do 3. kompanii strzeleckiej 1. pułku piechoty. W czasie bitwy pod Lenino (służył wtedy w 1. kompanii strzeleckiej 1. pułku piechoty) został ciężko ranny i trafił do szpitala w Moskwie. W kwietniu 1944 roku ponownie znalazł się w obozie w Sielcach, gdzie skierowano go do samodzielnego batalionu ozdrowieńców w 6. szpitalu lekko rannych, w którym przebywał do października; został tam zastępcą dowódcy plutonu do spraw polityczno-oświatowych. Przeszedł szlak bojowy od Warszawy przez Wał Pomorski i forsowanie Odry do Łaby. Od kwietnia 1945 roku był zastępcą do spraw polityczno-oświatowych dowódcy 6. pułku 2. Warszawskiej Dywizji Piechoty. Po wojnie pracował w MON.

(Wybór ze wspomnień zachowanych w kolekcji Józefa Margulesa w Centralnej Bibliotece Wojskowej, spisanych w latach 1957–1959).

Wacław Zakrzewski (ur. 1921 w Zarębach Kościelnych, woj. białostockie). Przed wojną uczył się zawodu zecera w zawodowej szkole poligraficznej w Warszawie.

W czerwcu 1941 roku dobrowolnie zgłosił się do transportu w głąb ZSRR, żeby towarzyszyć deportowanemu ojcu. Wywieziono ich do Komi ASRR, do pracy przy wyrębie lasów; po czterech miesiącach ojciec Wacława Zakrzewskiego zmarł. W styczniu 1942 roku, po samowolnej próbie zmiany miejsca pracy, został aresztowany i trafił do łagru, po wyjściu z łagru pracował przy spławie drewna. W czerwcu 1943 zgłosił się do polskiej armii i trafił do obozu w Sielcach nad Oką, gdzie został przydzielony do 3. pułku piechoty. Brał udział w bitwie pod Lenino, tuż po niej został oddelegowany do służby przy drukowaniu „Żołnierza Wolności” (wówczas gazety frontowej 1. DP); najpierw jako zecer, potem maszynista. W maju 1944 roku przeniesiono go do drukarni gazety „Do boju” w 4. zapasowym pułku piechoty im. Romualda Traugutta stacjonującym w Sumach. W czerwcu 1944 roku rozpoczął naukę w 2. Czkałowskiej Szkole Wojskowej Lotników. Do Polski wrócił we wrześniu 1945 roku. Pracował jako adiutant eskadry w 7. Samodzielnym Pułku Bombowców Nurkujących w Łęczycy, od maja 1946 roku w eskadrze rządowej w Warszawie. W maju 1947 roku odszedł z wojska na własną prośbę.

(Wybór na podstawie wspomnień z Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA, spisanych w latach 1973–1975).

ŹRÓDŁA RELACJI

Relacje z Archiwum Wschodniego Ośrodka KARTA

- Dańko Bolesław, „Poleszuk”, AW/II/82a
- Dubiński Józef, „Wspomnienia z lat 1939−1946”, AW/II/1275/2K
- Franczak Józef, „My spod Lenino…”, AW/II/2731
- Franczak Józef, „My spod Lenino”, [w:] „Karta”, 1992, nr 7
- Marchwicki Roman, „Strzępy wspomnień”, AW/II/793
- Prorok Jan, „Skazani na zagładę. Wspomnienia z lat 1939−1945”, AW/II/868
- Psarski (właśc. Rey) Andrzej, „Spisani na straty. Akowskie wspomnienia z LWP”, AW/II/1843
- Rey Andrzej, „Spisani na straty”, [w:] „Karta”, 1999, nr 28
- Zakrzewski Wacław, „Po wojennych bezdrożach”, AW/507/Ł

Relacje ze Zbiorów Specjalnych Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie, z kolekcji płk. Józefa Margulesa

- Drzewiecka (Kubiak) Stanisława, „Dziennik” (fragmenty)
- Rudnicki Daniel, „Wspomnienia z okresu służby w 1. DP im. Tadeusza Kościuszki. Maj−październik 1943” oraz „Wspomnienia ze służby w 1. AWP. Kwiecień 1944−maj 1945”

WYBÓR DOKUMENTÓW ŹRÓDŁOWYCH[1]

1. Przemówienie radiowe Wandy Wasilewskiej do Polaków w Związku Radzieckim. Moskwa, 28 kwietnia 1943 roku
2. Komunikat o zgodzie rządu radzieckiego na formowanie polskiej dywizji na terytorium Związku Radzieckiego. Moskwa, 9 maja 1943 roku
3. Nota rządu RP złożona w Foreign Office w sprawie tworzenia dywizji polskiej na terytorium ZSRR. Londyn, 13 maja 1943 roku
4. Wyciąg z rozkazu dziennego nr 39 dowódcy 1. DP w sprawie przysięgi wojskowej. Sielce, 12 lipca 1943 roku
5. Raport Instruktora Wydziału Politycznego 2. DP z wykonania wyroku sądu polowego na dezerterach. Sielce, 27 grudnia 1943 roku
6. Przysięga 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, złożona 15 lipca 1943 roku w Sielcach nad Oką; za: Roman Marchwicki, *Strzępy wspomnień*, AW/II/793.
7. Odezwa Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju gen. [Tadeusza] Bora-Komorowskiego wzywająca do bojkotu poboru do wojska ogłoszonego przez PKWN. Warszawa, 17 sierpnia 1944 roku
8. Rozkaz nr 51 Naczelnego Dowódcy WP o ukaraniu winnych dezercji zbiorowej z 31. pp. Tajne. Miejsce postoju, 16 października 1944 roku
9. Szyfrogram [Józefa] Stalina do dowódców 1., 2. i 3. Frontów Białoruskich, 1. Frontu Ukraińskiego, Naczelnego Dowódcy WP i dowódcy 1. Armii Polskiej w sprawie likwidacji struktur AK na wyzwolonych terenach Polski. Ściśle tajne. Moskwa, 1 sierpnia 1944 roku

10. Zarządzenie naczelnego prokuratora WP dla prokuratorów 1., 2. i 3. Armii, 1. Korpusu pancernego i garnizonów: lubelskiego, białostockiego i rzeszowskiego, w sprawie wykonywania wyroków kary śmierci. Ściśle tajne. Lublin, 9 października 1944 roku
11. Akt zaślubin Polski z morzem, dokonany 18 marca 1945 w Kołobrzegu; za: Edward Kospath-Pawłowski, *Kołobrzeg 8−18 marca 1945*, Pruszków 1997.
12. Raport I[wana] Sierowa dla Ł[awrentija] Berii o nastrojach w armii polskiej. [Warszawa], 14 kwietnia 1945 roku

Przypisy

[1] Teksty dokumentów źródłowych, jeśli nie zaznaczono inaczej, podano za: *Wojsko polskie na froncie wschodnim 1943–1945. Wybór materiałów źródłowych*, wybór i opracowanie Czesław Grzelak, Henryk Stańczyk, Stefan Zwoliński, Warszawa 1994.